

ZAPACH PROCHU I MAGII  
CZUĆ OD PIERWSZEJ DO OSTATNIEJ STRONY.

JAROSŁAW GRZĘDOWICZ



BRIAN  
McCLELLAN

GRZECHY  
IMPERIUM

DWIE RZECZY JEDNOCZĄ LUDZI  
STRACH I WSPÓLNY CEL



fabryka słów®  
W D A W N I C T W O



BRIAN  
McCLELLAN  
GRZECHY  
IMPERIUM



TŁUMACZYŁ  
KRZYSZTOF SOKOŁOWSKI

fabryka słów®

LUBLIN – WARSZAWA

# Spis treści

Strona tytułowa

Cykle autorskie

Dedykacje

Mapy

Prolog

1 Rozdział

2 Rozdział

3 Rozdział

4 Rozdział

5 Rozdział

6 Rozdział

7 Rozdział

8 Rozdział

9 Rozdział

10 Rozdział

11 Rozdział

12 Rozdział

13 Rozdział

14 Rozdział

15 Rozdział

16 Rozdział

17 Rozdział

18 Rozdział

19 Rozdział

20 Rozdział

21 Rozdział

22 Rozdział

23 Rozdział

24 Rozdział

25 Rozdział

26 Rozdział  
27 Rozdział  
28 Rozdział  
29 Rozdział  
30 Rozdział  
31 Rozdział  
32 Rozdział  
33 Rozdział  
34 Rozdział  
35 Rozdział  
36 Rozdział  
37 Rozdział  
38 Rozdział  
39 Rozdział  
40 Rozdział  
41 Rozdział  
42 Rozdział  
43 Rozdział  
44 Rozdział  
45 Rozdział  
46 Rozdział  
47 Rozdział  
48 Rozdział  
49 Rozdział  
50 Rozdział  
51 Rozdział  
52 Rozdział  
53 Rozdział  
54 Rozdział  
55 Rozdział  
56 Rozdział  
57 Rozdział  
58 Rozdział

59 Rozdział

60 Rozdział

61 Rozdział

62 Rozdział

63 Rozdział

64 Rozdział

65 Rozdział

66 Rozdział

Epilog

Podziękowania

Autor



TRYLOGIA  
MAGÓW PROCHOWYCH

---

Tom 1 • Obietnica krwi  
Tom 2 • Krwawa kampania  
Tom 3 • Jesienna republika

OPOWIEŚCI  
ZE ŚWIATA MAGÓW PROCHOWYCH

---

Sługa korony



BOGOWIE  
KRWI I PROCHU

---

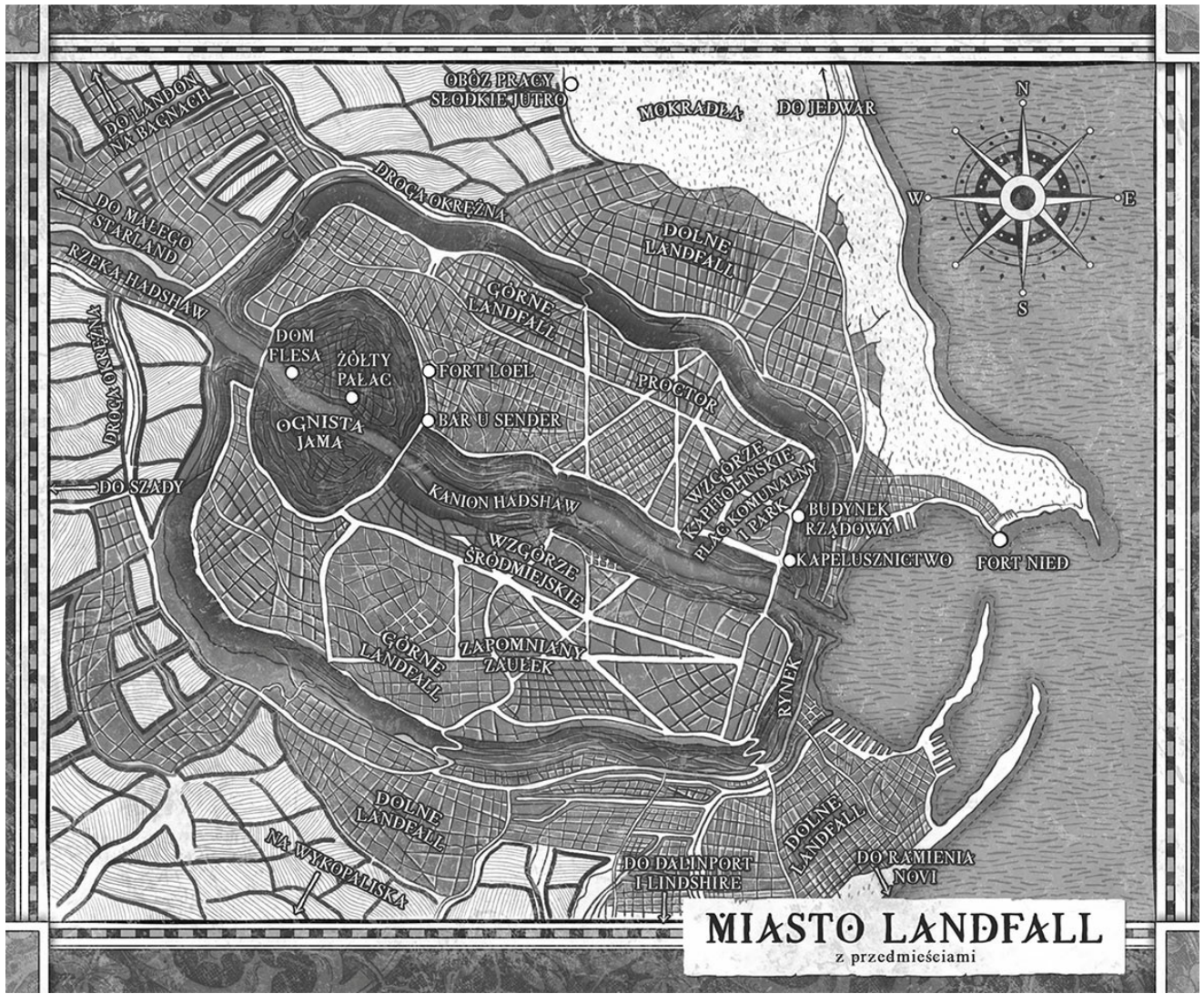
Tom 1 • Grzechy Imperium  
Tom 2 • Gniew Imperium  
Tom 3 • Krew Imperium



*Marlene Napalo, licealnej nauczycielce angielskiego, za czytanie i redagowanie moich wczesnych, wtórnych śmieci pełnych krasnoludów, elfów i smoków, choć jestem pewien, że w ferie bożonarodzeniowe miała lepsze rzeczy do roboty.*

*I Williamowi Prueterowi, licealnemu nauczycielowi angielskiego, za to, że uczył mnie myśleć niezależnie i ciężko pracować. A także ponieważ wiem, że prologi w powieściach fantasy go irytują.*











# FATRASTA

i krainy Zachodu







# Prolog

Uprzywilejowany Robson znieruchomiał z jedną nogą na błotnistym trakcie, drugą na stopniu powozu i z jastrzębim nosem nastawionym na gorący wiatr fatrastańskiego pustkowia. Powietrze było tu wilgotne, śmierzące, a woń dymu z kominów dalekiego miasta wydawała się sklejać mu nos. Gdyby ktoś mnie widział, pomyślał, mógłby stwierdzić, że wyglądam jak pies łapiący wiatr – choć tylko głupiec ośmieliłby się głośno porównać Uprzywilejowanego do istoty tak niskiej jak pies – i miałby, muszę przyznać, sporo racji.

Magia Uprzywilejowanych dostrojona była do żywiołów i do Nieświata. Dzięki temu Robson oraz wszyscy jego bracia i siostry dysponowali głęboką wiedzą o świecie, której nikt inny nie był w stanie osiąść. Wiedza ta, rodzaj szóstego zmysłu, dawała mu bezcenną przewagę w wielu różnych sytuacjach, ale w tej jedynej, czego doświadczał, to nieokreślony niepokój, przeczucie czegoś groźnego, wywołujące mrowienie w opuszkach palców. Blisko minutę trwał tak nieruchomo z nogą na stopniu, po czym godnie zstąpił na ziemię.

W polu widzenia nie było nikogo. Na południu i na zachodzie farmy i równina zalewowa ciągnęły się aż po horyzont. Od wschodu, od oceanu, wiał słony wiatr, na północy zaś stolica Fatrasty, Landfall, królowała nad krajem z wysokości dwustustopowego wapiennego płaskowyżu. Miasto odległe było o niespełna dwie mile, znajdowało się praktycznie w zasięgu głosu, a obecność tajnej policji lady kanclerz gwarantowała, że z tej strony nie nadejdzie żadne niebezpieczeństwo.

Robson nie oddalał się od powozu. Nałożył rękawice, przez chwilę poruszał palcami. Sprawdzał, czy może nawiązać kontakt

z Nieświatem. Wyczuwał zwykłe trzaski i iskry magii, blisko, tuż poza zasięgiem, gotowe poddać się jego woli. Skrzywił wargi w lekkim uśmiechu na myśl o tym, jaką przyniosło mu to ulgę. Choć to przecież zwykły drobiazg, głupstwo!

Uprzywilejowanemu rzucić wyzwanie mógł tylko prochowy mag, a ich w Landfall nie było. Skąd więc ten niepokój?

Zbadał okolicę aż po horyzont, drugi raz i trzeci, wyęzając wszystkie zmysły. Nic, tylko nieliczni farmerzy i zwykły ruch na gościńcu, omijający jego powóz. Złączył się z Nieświatem lekkim ruchem środkowego palca, jakby pociągał za niewidzialną nić, aż wreszcie zgromadził tyle energii, by otoczyć ciało tarczą stwardniałego powietrza.

Ostrożności nigdy za wiele.

– Jeszcze chwila, Thom – powiedział do stangreta podrzemującego na koźle.

Błoto chlupotało pod butami Robsona na ścieżce, prowadzącej w bok od gościńca, w stronę kilku rozbitych obok siebie brudnych namiotów. Na zdeptanym teraz polu bawełny, na niewielkim wzniesieniu, rozłożono obóz. Robotnicy wynosili ziemię z dziury wygrzebanej w samym jego środku. Im bliżej obozu, tym większy był niepokój Robsona, lecz mag mu się nie poddawał. Wręcz przeciwnie, na widok wychodzącego z namiotu starszego mężczyzny przywołał na twarz chłodny uśmiech.

– Uprzywilejowany Robsonie. – Starszy mężczyzna uklonił się kilkakrotnie, nim ośmielił się wyciągnąć dłoń na powitanie. – Jestem Cressel. Profesor Cressel. Kieruję pracami wykopaliskowymi. Jestem ci bardzo wdzięczny, panie, że nie zwlekałeś z przybyciem.

Robson potrząsnął wyciągniętą dłonią, notując w pamięci, jak Cressel drgnął i skulił się, czując pod palcami haftowaną tkaninę rękawicy. Profesor był chudy, zgarbiony od wieloletniego ślęczenia nad księgami, łysy z wyjątkiem jednego pasma siwych włosów, a na czubku nosa nosił kwadratowe okulary. Przekroczył już sześćdziesiątkę, był więc o dwadzieścia lat starszy od maga,

zdecydowanie górującego nad nim wzrostem i posturą. Na Uniwersytecie Landfall cieszył się doskonałą opinią.

Cressel wyrwał rękę z uścisku Uprzywilejowanego najszybciej, jak na to pozwalała grzeczność. To zaciskał pięści, to je rozwierał, patrząc nieruchomym wzrokiem na gościa. Wszystko wskazywało na to, że jest płochliwym człowiekiem.

– Otrzymałem informację, że to ważne – powiedział Robson.

Cressel gapił się na niego przez kilka długich chwil.

– Och tak, tak! – zareagował z opóźnieniem. – To bardzo ważne. A przynajmniej wydaje się ważne mnie.

– Wydaje się? Wydaje? Za dwie godziny siadam do kolacji z samą lady kanclerz, a tobie się wydaje, profesorze?

Na czole Cressela pojawiły się krople potu.

– Bardzo mi przykro, Uprzywilejowany. Nie wiedziałem przecież, że...

– Skoro już tu jestem – przerwał mu mag – może powiesz mi, panie, o co chodzi.

Kiedy podeszli bliżej obozu, Robson zauważył, że wokół namiotów stoi w luźnym kręgu kilkunastu strażników, uzbrojonych w muszkiety i pałki. W środku było ich więcej, łatwi do rozpoznania w żółtych kurtkach pilnowali pracujących robotników.

Robson miał poważne zastrzeżenia do obozów pracy. Na ich więźniów nie można było liczyć, słabi z niedożywienia pracowali leniwie, powoli. Fatrasta była jednak obszarem frontowym, więc wysyłano tu więcej kryminalistów i skazańców z Dziewięciu niż gdziekolwiek indziej. Lady kanclerz dawno temu uznała, że jedyne, co dało się z nimi zrobić, to umożliwić im zapracowanie na wolność. Dzięki temu miasto dysponowało zasobami do prowadzenia wielkich prac publicznych, a także mogło wynajmować robotników organizacjom prywatnym, jak w tym przypadku Uniwersytetowi Landfall.

– Czy orientujesz się, panie, co tu robimy? – spytał Cressel.

– Słyszałem, że wykopujecie jakieś pozostałości po Dynizyjczykach – odparł mag. Wszędzie było tego pełno, reliktyw po



starej cywilizacji, która wycofała się z kontynentu na długo przedtem, nim pojawił się tutaj ktoś z Dziewięciu. Wyrastały w środku parków, służyły za fundamenty domów, a jeśli było coś z prawdy w krążących uparcie plotkach, pod bagnistą równiną otaczającą Landfall znajdowały się kamienne ruiny miasta. Niektóre z wydobywanych pamiątek zachowały nawet ślady starej magii, co czyniło je szczególnie interesującymi dla naukowców i Uprzywilejowanych.

– Tak. Oczywiście, to prawda. A więc do istoty sprawy. – Profesor nadal wykręcał sobie ręce. – Rzecz w tym, Uprzywilejowany Robsonie, że kiedy odkopaliśmy czterdzieści stóp artefaktu, sześciu moich robotników oszalało.

Robson zrezygnował z rozważań nad ekonomiczną sensownością obozów pracy. Spojrzał na profesora z nagłym zainteresowaniem.

– Twierdzisz, panie, że oszaleli?

– Tak. Dostali nagłego ataku gwałtownego szaleństwa.

– Proszę mi pokazać ten artefakt.

Profesor poprowadził maga do wnętrza obozu, ku wielkiej dziurze w ziemi, mającej mniej więcej dwadzieścia jardów średnicy i tyleż samo głębokości. Jej środek wypełniał obelisk o średnicy czterech stóp kwadratowych, otoczony rusztowaniami. Odpadające ze ścian schnące błoto ukazywało gładki szary wapień, bez najmniejszych wątpliwości wydobywany w kamieniołomach zajmujących centrum płaskowyżu Landfall. Po wielkich literach, wyrytych na jednej ze ścianek, Robson rozpoznał język jako starodynizyjski – nic niezwykłego, często spotykało się go na rozsianych po mieście ruinach. Ale poczuł też, jak skręca mu się żołądek. Magia, zawsze obecna na granicach postrzegania świata czarodzieja, znikła, jakby obelisk wywołał w niej nieprzezwyrodną odrazę.

– Wygląda całkiem zwyczajnie – powiedział głośno. Wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł nos, tylko po to, by ukryć drżenie palców. – Po prostu kolejny kawał kamienia, pozostały nam po Dynizyjczykach.

– Myśmy też tak myśleli. – Cressel poprawił umazane błotem okulary. – Ten zabytek nie wydaje się niezwykły, od innych różni się wyłącznie tym, że znajduje się w pewnym oddaleniu od centrum miasta.

– Jeśli nie ma w nim niczego nadzwyczajnego, dlaczego uparliście się go odkopać? – spytał mag, nie ukrywając rozdrażnienia.

– Osiadł w miękkiej ziemi równiny zalewowej. Istnieje oczywiście problem wody, ale poza tym to miało być łatwe.

– I jest?

– Na razie... tak. – Cressel zawahał się i dodał: – Póki nie zdarzyły się te przypadki szaleństwa.

– A co się właściwie stało?

– Robotnicy. – Cressel machnął ręką w kierunku długiego sznura więźniów, wynoszących kosze ziemi i gruzu po drewnianych rampach i opróżniających je na granicy jamy. – Wysokość obiektu szacujemy na osiemdziesiąt stóp, co czyniłoby go największym ze znalezionych dotychczas w mieście. W zeszłym tygodniu, jakieś sześćdziesiąt stóp w dół, czy raczej dwadzieścia, licząc od podstawy obelisku, odkryliśmy niezwykle inskrypcje. Tego samego dnia mieliśmy pierwszy przypadek szaleństwa.

– Zbieżność to nie przyczynowość – rzucił mag zirytowany.

– Prawda, oczywiście. Założyliśmy, że ten człowiek doznał udaru cieplnego, ale następnego dnia mieliśmy drugi przypadek. A potem trzeci. Powtarzało się to każdego dnia. Po szóstej ofierze postanowiliśmy skontaktować się z tobą, panie, bo zawsze bardzo interesowałaś się uniwersytetem, więc pomyśleliśmy...

– ...że zrobię wam uprzejmość – dokończył Robson kwaśno. Postanowił zmniejszyć roczną darowiznę na uniwersytet o kilka tysięcy kрана. Niech nie myślą o nim, że jest aż taki hojny. Cenił uniwersytet, fascynowało go dążenie do wiedzy, poznania przeszłej i tworzenia przyszłej, ale teraz uczeni posunęli się za daleko. Był przecież człowiekiem zajęтым.

– W jakim sensie niezwykle były te inskrypcje? – spytał.

– Nie zapisano ich w starodynizyjskim. Nikt na Uniwersytecie nie rozpoznał tego pisma. Powinieneś zejść i zobaczyć je na własne oczy, panie. – Cressel, nie czekając, poszedł rampą w dół jamy. – Ciekaw jestem opinii Uprzywilejowanego.

Robson poczuł gęsią skórę na całym ciele. Nie mógł się ruszyć, jakby wrósł w ziemię, a strach ścisnął mu żołądek żelazną pięścią. Nie potrafił powiedzieć, skąd wzięło się to uczucie. Prawie wszystkie starożytne ruiny na tym kontynencie pokryte były napisami w starodynizyjskim. Odkrycie na którymś z obelisków napisów w innym języku miałoby zapewne historyczne znaczenie, ale problemy z odczytaniem inskrypcji to nie powód, żeby się aż tak przestraszyć.

Zastanawiał się, czy zmysły dobrze mu radzą: unikać tego czegoś za wszelką cenę. Przecież to nic wielkiego, powiedzieć Cresselowi „nie”. Mógł nakazać zamknięcie wykopaliska, a obelisk zniszczyć prochem lub magią. Ale Uprzywilejowani nie zawdzięczali swej reputacji powściągliwości.

Robson ruszył do jamy za Cresselem. Schodzili prowizorycznym, chwiejnym rusztowaniem, robotnicy natychmiast ustępowali im z drogi. Już wkrótce stali na ziemi, wpatrując się w punkt odległy o kilka zaledwie stóp od dna. Rzeczywiście, na jednym z kamieni widać było skomplikowaną inskrypcję. Kamień starannie oczyszczono z błota, aż wydawał się niemal biały, a wijące się, ozdobne litery nie przypominały żadnych znanych magowi. Przyglądał się im przez kilka długich chwil.

– Czy te przypadki szaleństwa miały jakąś cechę wspólną? – spytał z roztargnieniem. Za jego plecami słychać było stłumiony odgłos kopania ziemi motykami i łopatami, od którego tu, na dole, wibrowało powietrze.

– Wydaje się, że poddają się mu tylko ci, którzy spędzili tu większą część dnia. Po trzecim przypadku zakazałem straży i pracownikom uniwersytetu schodzenia tu, chyba że jest to absolutnie konieczne.



Ale robotnikom już nie, pomyślał Robson. A co tam. Nauka wymaga ofiar.

Przechylił głowę na bok. Zaczął dostrzegać w inskrypcji pewien porządek. Cressel miał rację, to było jakieś pismo. Ale pismo jakiego języka? Uprzywilejowani w wieku Robsona dysponowali szeroką wiedzą, nieustępującą wiedzy profesorów w ich specjalizacjach, ale Robsonowi nie zdarzyło się widzieć niczego choćby trochę podobnego.

Pismo wydawało się stare, o wiele starsze od powszechnego na otaczających ich zabytkach pisma dynizyjskiego, a dynizyjski był jednym z najstarszych języków znanych współczesnej lingwistyce. Powoli, z wahaniem Robson uniósł dłoń. Sięgnął do Nieświata, by podporządkować sobie chaotyczną magię spoza świata. Ale magia znów usunęła się przed jego dotykiem, musiał walczyć, by utrzymać ją przy sobie blisko, na wypadek gdyby nagle jej potrzebował. Obelisk wydawał mu się w jakiś sposób groźny. Nie chciał dać się zaskoczyć. A kiedy był już pewien, że jest przygotowany na każdą ewentualność, dotknął kamienia z inskrypcją dłonią w rękawicy.

Przez głowę Uprzywilejowanego jak błyskawica przemknęła wizja. Zobaczył mężczyznę, znajomą twarz otoczoną kręconymi jasnymi włosami. Mężczyzna wyciągał ręce, jakby chciał przytulić świat do piersi. Otaczała go biel, jaskrawa i bezlitosna. Robson wcale nie miał pewności, czy biel tę tworzy mężczyzna, czy odwrotnie: biel go pożera.

Oderwał dłoń od obelisku. Wizja znikła, a Robson uświadomił sobie, że drży gwałtownie, a ubranie ma przesiąknięte potem. Cressel przyglądał mu się, wstrząśnięty.

Mag zatarł dłonie. Czubki palców prawej rękawicy znikły niczym spalone, choć skóra pod nią była nietknięta. Pozostawił zaskoczonego Cressela na platformie, a sam wbiegł na górę i popędził do powozu, nie zwalniając ani na chwilę.

– Thom!

Podrzemujący stangret drgnął i obudził się.

– Panie?

– Thom, chcę, żebyś zawiózł informację do lady kanclerz.

– Tak jest, panie. Jaką?

– Powiedz jej, że znalazłem.

Thom podrapał się po głowie.

– I to wszystko?

– Tak, to wszystko. Więcej nie musisz wiedzieć. Dla twojego własnego bezpieczeństwa. Jedź!

Odprowadził wzrokiem powóz, który wjechał na gościniec tak gwałtownie, że niemal zepchnął z niego karawanę mułów i klnącego pod niebiosa handlarza. Robson wyjął chusteczkę. Chciał przetrzeć spocone czoło, ale okazało się, że chusteczka już jest przesiąknięta potem.

– Uprzywilejowany...

Obrócił się. Profesor wreszcie go dogonił.

– Uprzywilejowany... – wydyszał Cressel. – Co się dzieje? Dobrze się czujesz, panie?

– Oczywiście, oczywiście, czuję się bardzo dobrze. – Robson machnął ręką. Poszedł w kierunku obozu. Archeolog natychmiast do niego dołączył.

– Ale... ale wyglądałeś, panie, jakbyś zobaczył ducha.

Robson przypomniał sobie swoją krótką wizję, zatrzymał ją w wyobraźni kilka chwil, zmarszczył brwi.

– Nie, nie ducha – powiedział. – Widziałem boga.



## I ROZDZIAŁ

**Z** Fort Samnan pozostały tylko ruiny. Wysoka na dwadzieścia stóp palisada z półbali drewna cyprysowego otaczała niegdyś największą fortyfikację przy zachodnim rozgałęzieniu nurtu rzeki Tristan, a także spore, prosperujące miasteczko handlowe z półobronnym centrum, w którym znajdowały się plac zebrania mieszkańców i budynki urzędowe. Czterdziestostopowe wieże strażnicze strzegły go od strony rzeki i od przeciwnej, gdzie na kilkuset akrach ziemi, osuszonej pod uprawy, powstały duże farmy.

Fort był pomnikiem cywilizacji, wzniesionym pośrodku największych bagien znanego świata, co tylko dodatkowo smuciło Vlorę, patrzącą na to, co z niego zostało. Roztrzaskana wielka brama leżała wewnątrz palisady, niemal całkowicie zniszczonej ogniem artyleryjskim, wieże spłonęły i wciąż się tliły, z drewnianego gródka, który skupił na sobie uwagę artylerii, pozostały drzazgi. Ruiny jeszcze nie dogasły, chmura dymu wznosiła się w gorące, wilgotne popołudniowe powietrze na tysiąc stóp.



Krajobraz po bitwie rzadko budził we Vlorze przerażenie. Zawodowy żołnierz szybko by zwariował, gdyby przerażały go walki, które toczy się przecież jedną po drugiej, ale Vlora zawsze czuła coś w rodzaju smutku, tłumiącego szok. Nadal obecny, choć na granicy świadomości, nie pozwalał jej radować się zwycięską bitwą.

Vlora poczuła znajomy smak dymu na języku. Splunęła w błoto. Przyglądała się żołnierzom w szkarłatnych i niebieskich kurtkach, to wyłaniającym się, to ginącym w jego chmurach. Wynosili zwłoki, gromadzili rozrzuconą broń, przeliczali jeńców, szpital polowy operował rannych. Robiono to szybko i sprawnie, nikt nie rabował, nie gwałcił, nie mordował; dla Vlory był to powód do dumy. Ale jej wzrok ciągle zbaczał na ciała poległych. Jakie będą straty? Po obu stronach?

Przeszła przez wartownię po kawałkach drewna, pozostałościach bramy fortu. Zatrzymała się na chwilę, by przepuścić dwóch żołnierzy z noszami. A potem, kiedy po raz pierwszy zobaczyła wewnątrz Fort Samnan, odetchnęła głęboko przez zaciśnięte zęby. Kilka budynków wprawdzie stało, ale i tak nie wyglądał on wiele lepiej od gródka.

Frontowe forty konstruowano tak, by współczesna broń, w tym lekka artyleria, znajdowała się za osłoną fortyfikacji, a Palo z ich łukami i przestarzałymi muszkietami operowali poza umocnieniami. Nigdy odwrotnie.

Nagle kątem oka dostrzegła żołnierza, wychodzącego chyłkiem z na pół zrujnowanego budynku z małym pudełkiem pod pachą. Bardziej zaskoczona niż rozgniewana przechyliła głowę na bok. Próbowała przypomnieć sobie stopień i nazwisko.

– Szeregowy Dobri! – krzyknęła.

Żołnierz, niski człowieczek z wielkim nosem i długimi palcami, podskoczył dobrą stopę i wykonał zwrot, usiłując przy tym ukryć pudełko za plecami.

– Tak jest! – Stuknął obcasami i zasalutował. Udało mu się przy tym upuścić pudełko. Wypadło z niego na ziemię kilka kubków

i jakieś srebra stołowe. Vlorze milczała, żeby tym bardziej osłabić pewność siebie szeregowego, wzbudzić strach.

– Szukacie właściciela tych cennych sreber, Dobri? – spytała niewinnie.

Widziała, jak Dobri robi wielkie oczy. Nadal salutował, wyprężony, i patrzył wprost przed siebie, ale Vlorze wydawało się, że widzi, jak drży. Podeszła do żołnierza z boku i ignorując leżące na ziemi dobra, obeszła go powoli dookoła. Nosił taki sam mundur jak ona, krwawoczerwoną kurtę ze złotymi guzikami i spodnie z czerwonym lampasem i mankietami. Jak ona miał też mosiężną odznakę w klapie kurty: czako w tle dwóch skrzyżowanych muszkietów. Najemny Oddział Strzelców Wyborowych. Mundur pokryty był pyłem, na rękawach i nogawkach widać było smugi sadzy.

Dobri otworzył usta, zamknął je i westchnął. Wiedział, że przegrał.

– Nie, lady Krzemień. Ja je ukradłem.

– Doskonale! – ucieszyła się Vlorze. – Przynajmniej pamiętacie, jak bardzo nie znoszę... łgarzy.

Szybko rozważyła sytuację. Bitwa była krótka, lecz gwałtowna. Dobri jako jeden z pierwszych jej żołnierzy znalazł się za palisadą, gdy tylko artyleria rozbiła bramę. Dobry, odważny żołnierz, tyle że ma lepkie palce.

– Dobri, w tej chwili odniesiecie znalezione dobra do kwatermistrzostwa, a następnie zameldujecie się pułkownikowi Olemowi. Powiecie mu, że zgłaszacie się na ochotnika do czyszczenia latryn. Przez trzy tygodnie. Jeśli pułkownik spróbuje dociekać motywów tej decyzji, na waszym miejscu zachowałabym dyskrecję. Chyba że nad latryny przedkładacie pluton egzekucyjny.

– Tak jest, lady Krzemień.

– Moi strzelcy nie kradną – przypomniała mu Vlorze. – Jesteśmy najemnikami, nie złodziejami. Odmaszerować!

Nie spuszczała oka z żołnierza, póki nie pozbierał sreber i nie odszedł wprost do namiotu kwatermistrzostwa za palisadą fortu.

Zastanowiła się przelotnie, czy nie uczynić z szeregowego dobrego przykładu, w końcu powinna od czasu do czasu udowodnić czymś, że nie od parady nosi przydomek Krzemień, ale jej ludzie już niemal rok walczyli na pograniczu. Zrozumienie i dyscyplina, trzeba je dobrze wyważyć, bo inaczej pojawia się ryzyko buntu.

– Generał Krzemień!

Odwróciła się. Młody sierżant podchodził do niej od strony zrównanego z ziemią forcyku.

– Sierżancie Padnir, w czym mogę być wam pomocna?

Sierżant zasalutował.

– Pułkownik Olem chce z panią rozmawiać, pani generał. Mówi, że to pilne.

Vlora zmarszczyła brwi. Padnir był blady mimo upału i patrzył na nią jakby nerwowo. A tymczasem był to człowiek na ogół spokojny, zrównoważony. Pod trzydziestkę, zaledwie kilka lat młodszy od niej, żołnierz ten, jak wielu innych, którymi dowodziła, wykuł się w wojnie Adro z Kezem. Coś musiało pójść bardzo źle, jeśli o niego chodzi. Ten niepokój..

– Oczywiście. Ja tylko sprawdzam, co się dzieje. Już idę.

Poszła za sierżantem, a następnie oboje skręcili w główną ulicę miasteczka. Vlora zatrzymała się raz, przed szeregiem jeńców, klęczących na poboczu i pilnowanych przez garstkę żołnierzy. Sami Palo, tubylcy Fatrasty, o jaskrawoczerwonych włosach i piegowatych ciałach. Jedno spojrzenie powiedziało jej, że to wieśniacy, nie żołnierze.

Ich grupa opanowała Samnan, zadeklarowała, że fort leży na jej ziemi, po czym zabroniła rządowi Fatrasty wkraczania na „ich teren”. Palo zabili kilkudziesięciu osadników, spalili kilka domów i w zasadzie niczego więcej nie dokonali. Niewiele tego na narodowe powstanie.

Rząd Fatrasty zareagował, wysyłając oddział Vlory, Najemny Oddział Strzelców Wyborowych, z zadaniem stłumienia powstania. Nie pierwszy raz Vlora dostawała takie zadanie i brała je, bo Fatrasta dobrze płaciła. Nie sądziła też, by był to raz ostatni.

Kiedy przechodziła obok, kilku jeńców uniosło twarze, spojrzano na nią pustym wzrokiem. Kilku innych przeszyło ją spojrzeniem przepełnionym nienawiścią, a jeszcze kilku zakłęło w swoim języku.

Zignorowała wszystkie te reakcje. Nie lubiła walczyć z tymi ludźmi, gwałtownymi, ale biednymi i słabo uzbrojonymi. To byli partyzanci i pod dowództwem takiej na przykład tajemniczej Czerwonej Ręki potrafili zadać dokuczliwe straty fatrastańskiej armii, która miała pecha, bo obrali ją sobie za cel. Pojedyncze potyczki, choćby takie jak zdobycie Samnan, przeradzały się w rzezie, tyle że w odwrotnym kierunku.

Tak jak Vlora to widziała, ci biedni głupcy mieli swoje racje. To była ich ziemia. Żyli na niej od czasów, kiedy odeszli Dynizyjczycy, a to było jakieś tysiąc lat temu. Na długo przedtem, nim Kresjanie przybyli z Dziewięciu i rozpoczęli kolonizację Fatrasty. Na nieszczęście dla nich, Palo nie stać było na najemników, choćby i jej strzelców, a rząd Fatrasty jak najbardziej.

Minęła jeńców. W zaledwie kilka chwil później po drugiej stronie gródka zobaczyła pułkownika Olega. Oleg miał czterdzieści pięć lat i powoli zaczynał wyglądać na swój wiek, a w jego jasnej brodzie pojawiły się pasma siwizny. Zdaniem Vlory dzięki temu wyglądał szlachetniej. Nosił identyczny czerwono-niebieski mundur co jego towarzysze, ale z pojedynczą gwiazdką w jednej klapie kurty, a odznaką Strzelców Wyborowych, z czako i muszkietami, w drugiej. To była oznaka jego rangi.

– Pułkowniku? – przywitała go Vlora.

– Generał Krzemień. – Oleg nie podniósł na nią wzroku. Formalnie był drugim oficerem, w rzeczywistości miał jak Vlora stopień generała adrańskiej armii w stanie spoczynku i połowę udziałów w Najemnym Oddziale Strzelców Wyborowych, a więc byli dokładnie równi rangą. Oleg wolał pozostać – formalnie – „pułkownikiem Olegem”, ale w rzeczywistości Vlora zasięgała jego rady równie często, jak on zasięgał jej.

Pułkownik przykucnął z rękami na kolanach. Był czymś wyraźnie zdumiony.

Przed nim leżało skulone ciało starego Palo o piegowatej skórze, pomarszczonej jak suszona śliwka. Z ran postrzałowych i od ciosów zadanych bagnetem ciągle sączyła się krew. Zwłoki tubylca otaczały trupy w mundurach Strzelców Wyborowych, dwadzieścia parę ciał. Rozcięto im gardła i rozplątano brzuchy. Dwa karabiny złamano czysto, na połowy.

– Co tu się stało? – spytała Vlora.

– Oboje możemy się tylko domyślać.

Pułkownik wyprostował się, potarł zapałkę o pas, osłonił płomyk przed wiatrem i zapalił papierosa. Zaciągnął się powoli, nie odrywał wzroku od ciała starego Palo.

Vlora tymczasem patrzyła na swych martwych żołnierzy. W myślach wymieniała ich imiona: Forlin, Jad, Wellans... To była długa lista. Wszyscy szeregowcy, żadnego z nich nie znała dobrze, lecz mimo wszystko to byli jednak jej ludzie.

– Co to za sukinsyn? – Wskazała starego Palo.

– Nie mam pojęcia.

– On to zrobił?

– Na to wygląda – przyznał pułkownik. – Już wynieśliśmy stąd piętnastu rannych.

To twierdzenie skłoniło Vlorę do zastanowienia. O co tu chodziło? Nic się nie zgadzało. Palo walczyli z furją, ale pod bagnetami regularnego wojska padali jak każdy.

– Jakim cudem jeden stary tubylec pokonał, poranił i pozabijał – w myślach policzyła szybko – niemal czterdziestu najlepszych żołnierzy piechoty na tym kontynencie?

– A to – westchnął pułkownik – jest naprawdę dobre pytanie.

– I...? – Obdarzyła Olema długim, gniewnym spojrzeniem, takim, przed jakim jej ludzie rozbiegali się w poszukiwaniu kryjówki. Pułkownik nic sobie z niego nie robił. Jak zwykle.

– Od chłopców usłyszałem, że poruszał się szybko. Za szybko, żeby wzrok mógł za nim nadążyć. Jak... – Olem dopiero teraz podniósł wzrok i spojrzał wprost w oczy Vlory. – Jak mag prochowy.



Vlora przywołała swoje magiczne zmysły. Szukała w Nieświecie. Jako mag prochowy potrafiła wyczuć każdy ładunek prochu i każdy rożek w promieniu setek jardów, ukazywały się w jej głowie niczym punkty na mapie. Skupiła się na ciełe starca. Nie wyczuła ani uncji prochu, ale magię owszem. Wyrafinowaną i taką, o której istnieniu nie miała pojęcia. Jeszcze chwila takiego badania i nagle rozboleła ją głowa. Zamknęła oczy.

– No więc – oznajmiła – to nie był mag prochowy. Ale są w nim ślady magii. Nie potrafię powiedzieć o niej nic konkretnego.

– Nic nie wyczułem – przyznał Olem. Miał własną, pomniejszą Zdolność, pozwalającą mu obywać się bez snu, ale nie potrafił jak Vlora tak łatwo sięgać w Nieświat.

Vlora przyklęła przy ciełe. Przyjrzała mu się dokładnie, tym razem bez użycia magii. Włosy starego dawno przestały być rude, a stały się siwe. W sękatych dłoniach nadal ścisnął dwa toporki z polerowanej kości. Większość Palo ubierała się zależnie od okoliczności – w dziczy nosili skóry, w mieście może nie od razu marynarki, ale w każdym razie cywilizowane stroje. Ten wojownik nie. Miał na sobie grubą ciemną skórę, z całą pewnością zdartą nie ze ssaka. Była szorstka i twarda, w dotyku przypominała skórę węża.

– Widziałeś kiedyś kogoś odzianego w coś takiego?

– Skóra smoka bagiennego – odparł Olem. – Widziałem zrobione z niej torby i buty, ale to rzecz niezmiernie kosztowna. Trudno ją wyprawić. Nikt nie nosi pełnego stroju ze skóry smoka. – Strząsnął popiół z papierosa. – A ja nigdy nie widziałem tak walczącego Palo. Trochę to niepokojące.

– Trochę – zgodziła się z nim Vlora. Była wstrząśnięta, choć dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. Bagna, bagienne smoki, węże, robale i Palo, to wszystko wydawało się wystarczająco złe, ale jakkolwiek by było, to strzelcy zawsze zajmowali miejsce na szczycie łańcucha pokarmowego. Aż do dziś. Jeszcze raz przesunęła palcami po stroju. Wyglądało na to, że stanowi niezłą osłonę przed nożem, a zapewne nawet bagnetem.

– Jest jak zbroja – szepnęła.

– Języki pójdą w ruch – zwrócił jej uwagę Olem. – Mam pilnować, żeby plotki się nie rozchodziły?

– Nie – zdecydowała Vlora. – Niech ludzie plotkują sobie do woli. Ale wydaj rozkaz, żeby jeśli zobaczą kogoś tak odzianego, zwarli szyki i trzymali go na odległość bagnetu. I żeby ktoś natychmiast mnie zawiadomił.

Olem zmarszczył brwi.

– Sądysz, że pokonasz kogoś, kto pokonał tylu żołnierzy?

– Nie mam pojęcia, ale niech będę przeklęta, jeśli pozwolę jakiemuś byle Palo rznąć moich ludzi jak szynkę na święto. Zawsze mogę wsadzić mu kulę w łeb z trzydziestu kroków.

– A jeśli zjawi się ich więcej niż jeden?

Vlora przeszła pułkownika gniewnym spojrzeniem.

– Jasne. – Olem rzucił papierosa na ziemię, przydepnął niedopałek. – Sformować się, wezwać generał Krzemień.

Przez kilka minut stali jeszcze oboje w milczeniu. Ciało wywieziono, oddział specjalny zdołał wygasić ogień. Gońcy dostarczyli meldunki, na zgliszczach jednej z wież ustawiono maszt, na który wciągnięto flagę Fatrasty, jasnożółtą z zielonymi rogami, a pod nią także mniejszą, czerwono-niebieską chorągiew Najemnego Oddziału Strzelców Wyborowych.

Koń niosący kurierkę przejechał przez wyrwę w palisadzie, w której kiedyś znajdowała się brama. Prowadzony wprawna ręką przebił się przez tłum i chaos, nieodłącznie towarzyszące zaprowadzaniu porządku po bitwie. Kobieta w siodle przyglądała się otoczeniu obojętnie, wydawała się nawet znudzona, a kiedy zobaczyła klęczących na ulicy Palo, uśmiechnęła się z nieukrywaną złośliwością. Vlora nigdy jej przedtem nie widziała, ale żółty mundur mówił sam za siebie. Przed chwilą wciągnęli na maszt flagę dokładnie tego koloru. Goniec należała do regularnych formacji armii Fatrasty.

Niemal naparła koniem na Vlorę i Olema. Patrzyła na nich z tym samym kpiącym uśmiechem, jak przylepionym do warg. Nie zasalutowała, nie przywitała ich ani słowem.

– Ty jesteś generał Krzemień?

– A kto pyta?

– Rozkazy od lady kanclerz. – Goniec podała im wyjętą spod kurtki kopertę. Odebrał ją Olem, rozdarł, wygładził papier na brzuchu. Kurierka zawróciła koniem w miejscu i natychmiast, bez słowa, opuściła fort przez bramę główną. Fatrastańscy regularni żołnierze cieszyli się opinią aroganckich dupków, ale nawet wśród nich Vlorza nieczęsto spotykała dupków aż tak aroganckich. Poklepała ręką pistoletu.

– Pewnie byłoby to bardzo nieprofesjonalne stracić jej teraz kapelusz z głowy? – spytała.

– Bardzo – przytaknął pułkownik, nie przerywając lektury rozkazu.

– Przeklęta fatrastańska armia powinna nauczyć się wreszcie okazywać szacunek tym, którzy odwalają za nią całą robotę.

– Niech cię pocieszy, że zarabiasz znacznie więcej od niej. – Olem podał Vlorze papier. – Powinnaś przeczytać.

– O co chodzi? – spytała.

– W Landfall mają problem. Wzywają nas do powrotu.

Vlorza miała ochotę zatańczyć. Landfall było wilgotne i cuchnące, owszem, ale jak każde nowoczesne miasto miało też swoje zalety. Można było przyzwoicie zjeść, pójść do teatru, nawet wziąć kąpiel. No i znalazłaby się daleko od tych przeklętych bagien i – spojrzała na ciało starca, wynoszone dopiero teraz – przeklętych Palo. Ulga szybko jednak ustąpiła miejsca podejrzliwości.

– Jaki problem?

– Tego nie napisali.

– Oczywiście! – Vlorza przygryzła dolną wargę. – No dobrze, kończymy sprzątanie. Jeńców niech nasi ludzie odprowadzą do Planth. Reszcie zapowiedzieć, że wyruszamy o świcie.



Vlora stała na brzegu rzeki Tristan. Piechota właśnie pakowała się na przysłane po strzelców płaskodenne łodzie towarowe. Spływ w takiej łodzi skracał drogę do Landfall do zaledwie kilku dni, ale zastanawiała ją, że dano im transport. Miasto musiało mieć poważny problem. Trochę to Vlorę niepokoiło, dała więc sobie spokój z przewidywaniami, a uwagę obróciła na trzymane na kolanach pudełko. A właściwie stare pudło na kapelusze – pamiątkę z czasów, gdy była nastolatką, dziś wypełnione listami od dawnej miłości, zakończonej już i niemal zapomnianej. Taniel Dwa Strzały był jej przyjacielem z dzieciństwa, przyrodnim, adopcyjnym bratem, w którymś momencie nawet narzeczonym, ale był także bohaterem rewolucji fatrastańskiej. Przed jedenastu laty na tych właśnie bagnach walczył z Kezem o wyzwolenie Fatrasty, przemykał się ścieżkami wodnymi wraz ze swym muszkietem, z którego zabijał Uprzywilejowanych, magów i oficerów.

Oboje byli Adrańczykami, obcymi w tym kraju. Bezpośrednie obserwacje i doświadczenia Taniela, najchętniej przez niego opisywane, stały się dla Vlory nieocenionym źródłem informacji o dzikim, upalnym kontynencie.

– Łodzie dostaliśmy tylko dla piechoty – donośny głos przerwał jej rozmyślenia.

Vlora aż podskoczyła i w pierwszym odruchu próbowała schować listy, ale zdołała się powstrzymać. Głos należał bowiem do Olema, a oboje z pułkownikiem nie mieli przed sobą żadnych sekretów.

– To co mamy zrobić z dragonami i kirasjerami?

Olem przydepnął niedopałek. Spojrzał na pudło listów, które generał Krzemień piastowała na kolanach.

– Major Gustar poprowadzi ich łądem. Dotrą do Landfall jakiś tydzień po nas. Możemy tylko mieć nadzieję, że nie będziemy ich potrzebować wcześniej. To listy Taniela?

– Tak. – Vlora przewracała karty, nawet na nie nie patrząc. Utrata kawalerii, nawet na tydzień... Jakie to irytujące! – Chciałam

sprawdzić, czy nie wspomniał gdzieś o wojownikach Palo, noszących skóry smoków bagiennych.

– Coś takiego rzucaloby się chyba w oczy – zauważył Olem. Usiadł obok Vlory na trawie. Kolejna łódź przybiła do brzegu, żołnierze wchodzili na pokład. Fort Samnan za ich plecami nadal się tlił.

Vlorę ogarnęła nostalgia za dawnymi czasami. Te listy nieodmiennie je przypominały – i jej, i Olemowi.

– Też tak myślę, ale chciałam sprawdzić.

Olem natychmiast się z nią zgodził.

– Wygląda mi to na dobry pomysł. Palo go lubili, prawda?

– Ciągle jest wśród nich jakąś przekłętą legendą, nawet po tych wszystkich latach. – Vlora miała tylko nadzieję, że jej słowa nie zabrzmiały zbyt kwaśno. Każde wspomnienie Taniela drażniło. Ich wspólna przeszłość była dość burzliwa.

– Myślisz, że walczyłyby o wolność Fatrasty, gdyby wiedział, że po paru latach Fatrastanie będą traktować Palo w ten sposób? – Ruchem głowy Olem wskazał Fort Samnan.

– Może? A może nie? – Vlora też miewała skrupuły, ale praca to praca. Najemnicy nie mogą wybrzydzać. – Poszedł na wojnę, żeby zabijać Kezan. Zakończył ją... – Oczy Vlory zwęziły się na myśl o czerwonowłosej Palo, którą Taniel przywiózł jako pamiątkę z podróży. – No dobrze... – Zamknęła pudło z trzaskiem. – Nic użytecznego tu nie znajdę. W każdym razie nic o tym wojowniku. – Wstała, podała rękę Olemowi. – Wracajmy do Landfall.





## 2 ROZDZIAŁ

**M**ichel Bravis siedział nad ciepłym piwem w pustym pubie, w głębi sali. Była szósta rano. Z ulicy dobiegały go głosy woźniców transportujących ziarno i bawełnę do doków. Klęli upał donośnie, z uczuciem, co drugi oddech, a Michel po prostu musiał zastanowić się, czy na całym wielkim świecie jest choćby jedna osoba lubiąca lato w Landfall. Uznał, że istnienie kogoś takiego byłoby policzkiem wymierzonym każdemu ze wszystkich możliwych bogów.

Większość swojego życia Bravis spędził w Landfall. Dorastał podczas rewolucji, w trakcie rekonstrukcji żył z kantowania handlarzy i turystów, a dziś, blisko trzydziestoletni, służył w tajnej policji lady kanclerz, lepiej znanej pod nazwą Czarnych Kapeluszy.

W moim wieku powinienem już wiedzieć, że latem ucieka się na północ, pomyślał gorzko.

Wziął wielki łyk piwa. Spojrzał na kieszonkowy zegarek. Jedenaście po szóstej. Ranek, upał i w dodatku ludzie się spóźniają. Nic bardziej nie psuje humoru. A w tym nieznośnym upale jeśli wpadłeś w zły humor, to zostajesz w złym humorze co najmniej do końca dnia.

Michel Bravis zmusił się do uśmiechu. Pokazał ten uśmiech pustej salce.

– Nie musisz być w złym humorze – oznajmił głośno. – Pociesz się, przecież mogłeś siedzieć pod gołym niebem.

– Słusznie – odpowiedział sobie bardzo poważnie. – W dodatku masz tu beczkowane piwo, a właściciel pojawi się dopiero około południa.

– Wiesz co? – powiedział głośno i wesoło, dopijając piwo. Podszedł do kranu, napełnił kufel. – Strasznie się dziś upijesz.

– Strasznie się upiję – przytaknął.

Często zastanawiał się, co by o nim pomyśleli ludzie, gdyby usłyszeli, jak przemawia do siebie. Pewnie uznaliby, że oszalał. Ale jako młody człowiek często był samotny, tak układało mu się życie. Rozmawianie ze sobą rozpraszało nudę długich, upalnych fatrastańskich nocy. Poza tym w jego pracy lepiej trzymać ludzi na dystans.

Pił trzecie piwo, kiedy drzwi wreszcie się otworzyły. Stał w nich młody człowiek. Zajrzał do środka niepewnie, wyglądał, jakby miał zamiar lada chwila rzucić się do ucieczki.

– Jest tam ktoś? – zawołał cicho, ale przedtem dla ostrożności obejrzał się jeszcze przez ramię.

– Ja tu jestem. – Michel uniósł dłoń. – Spóźniłeś się.

– Nie mogłem znaleźć tego baru.

– Głupia wymówka.

– Słucham?

Michel uniósł kufel. Przyjrzał się młodemu człowiekowi przez szkło. Młody człowiek? Raczej chłopiec, nie mógł mieć więcej niż szesnaście lat, broda dopiero zaczynała mu się sypać. Był niewysoki, jak na swój wiek, trochę za gruby, ale miał nijaką twarz z tych, które łatwo giną w tłumie. Pod tym względem przypominał Michela, co dawało się łatwo wytłumaczyć. Czarne Kapelusze preferowały funkcjonariuszy o takich twarzach.

– Głupia wymówka – powtórzył Michel. Chłopak miał na sobie spodnie pod pachy, obcisłą marynarkę, a na szyi apaszkę – krawat

biedaka. Tego rodzaju strój wyszedł z mody jakieś trzy lata temu, to też irytowało. – Nie mogłem znaleźć, nie mogłem znaleźć... Coś takiego robi z ciebie albo prostaczka, albo durnia. Jedno i drugie może się przydać od czasu do czasu, ale wcale nie tak często, jak ci się to może wydawać. Nikt nie lubi wioskowych głupków, nikt nie lubi durniów, a tobie ma zależeć przede wszystkim na tym, żeby ludzie cię lubili. Bo inaczej nie wtopisz się w tłum.

Młody człowiek rozejrzał się po pubie rozszerzonymi oczami, jakby zastanawiał się, czy nie został przypadkiem sam na sam z szaleńcem.

– Ty jesteś Mickle? – spytał.

– Michel – poprawił go Michel, akcentując drugą sylabę imienia. – Mi-chel. Moje imię nie rymuje się z „pikle”.

– Jasne – powiedział młody człowiek. – Ja jestem Dristan. To ty masz mnie nauczyć, jak być szpiegiem?

– Uprzejmi ludzie – mówił dalej Michel, jakby nie usłyszał pytania – są zawsze dobrze poinformowani. Bo mówią „proszę” i mówią „dziękuję”. Pytają, jak dojść stąd dotąd. Są punktualni. Albo opanujesz sztukę bycia uprzejmym, albo nie będziesz miał nic do roboty w tym zawodzie. W najlepszym wypadku ludzie, o których zechcesz się czegoś dowiedzieć, odrzucą cię. W najgorszym dowiedzą się, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz, i wtedy cię zabiją. Powoli. – Michel westchnął, dopił piwo i napomniał się surowo, by nie brać następnego. – Nie jesteś szpiegiem – zdecydował. – Zostaniesz, jak to mówimy, „pasywnym informatorem”. Staniesz się kimś zupełnie innym, będziesz prowadził nie swoje życie, a swojemu prowadzącemu będziesz dostarczał informacji o niepokojach, przestępstwach i spiskach przeciw rządowi.

Dristan jakby głęboko się zamyślił. Nie usiadł. Stał wciąż w drzwiach i wyglądał tak, jakby miał ochotę uciec.

– Nie strój się na dandysa w biedzie – mówił dalej Michel. – Łatwo cię zapamiętają, a tobie rzadko będzie zależeć, żeby ludzie cię pamiętali. Wkładaj krótkie spodnie. Koszule w jasnych kolorach. Do

tego może czapkę z daszkiem. Strój typowy dla zwykłego robotnika nigdy cię nie zawiedzie. – Michel wymierzył palec w młodego. – Ten wyraz twarzy... Wahasz się, denerwujesz. Lepiej zacznij ćwiczyć nierobienie takiej miny. Budzi podejrzenia. A teraz powiedz mi, jak się nazywasz.

– Przecież powiedziałem, że Dristan.

– Nie! – Michel uderzył dłonią w stół tak mocno, że Dristan aż podskoczył. – Powiedz mi, jak się nazywasz.

– Jestem Dris... Mam na imię Plinnith.

Szybko chwycił. Szybciej niż większość ludzi, których Michel uczył tego zawodu.

– Plinnith? Co to za imię, Plinnith? To głupie imię, Plinnith.

– Przecież już je tu słyszałem! – zaprotestował Dristan.

Michel przewrócił oczami.

– Plinnith to głupie imię – powtórzył. – Skąd ci się wzięło?

Chłopak popatrzył na niego niepewnie, jakby nie wiedział, o co chodzi, a potem twarz nagle mu się rozjaśniła.

– Och! Tak! Plinnith! To bruduńskie imię.

– Stamtąd pochodzisz? – Michel kontynuował fikcyjne przesłuchanie.

– No... nie. Mama była Brudunką. Pochodziła z jednej z ich rybackich wiosek.

– Doprawdy? Mój najlepszy przyjaciel urodził się w Brudanii. W wiosce rybackiej. Może nawet tej samej?

– Nie pamiętam nazwy – przyznał Dristan.

– Jaka szkoda! Co robisz w Landfall, Plinnith?

– Tata miał farmę. Pod Redstone. Zmarł tej jesieni, więc mama wysłała mnie do stolicy, żebym znalazł tu sobie jakąś pracę.

Pytania padały jedno za drugim. Trwało to dobre pięć minut. Michel wchodził w szczegóły, w które nie wszedłby chyba żaden normalny człowiek, aż wreszcie dał chłopakowi chwilę odpoczynku. Przestał udawać, nalał sobie piwa.

– Nieźle, całkiem nieźle – przyznał.

Dristan uśmiechnął się promiennie.

– Ale nie za dobrze. Nie uwierzyłem w ani jedno słowo.

– Przecież z góry wiedziałeś, że nie jestem synem farmera imieniem Plinnith – zaprotestował Dristan.

– Doprawdy? – Czarny Kapeluszu wzruszył ramionami. – Nie masz pojęcia, co wiem. To twój problem przekonać mnie, że jesteś tym, za kogo się podajesz. – Zakręcił piwem w kuflu. Po raz tysięczny zateśknął za lepszym sposobem zrobienia tego, co musiał zrobić. Dzieci ulicy zgłaszały się do Czarnych Kapeluszy nieprzerwanym strumieniem. Większość z nich zostawała niskiej rangi ludźmi od brudnej roboty, groźnymi dla tych, którzy ośmielili się wypowiedzieć słowo krytyki pod adresem lady kanclerz. Najsprytniejsi mieli szansę zostać łącznikami politycznymi lub otrzymać pracę za biurkiem. Wszyscy inni kwalifikowali się na informatorów, szpiegujących tych, którymi kanclerz rządziła.

To oni mieli najbardziej niebezpieczną pracę, a jednocześnie odbierali najgorsze wykształcenie. Co komu z informatora widzianego w towarzystwie kogoś, o kim wiadomo, że jest Czarnym Kapeluszem? Najlepsze, na co mogli liczyć, to kilka spotkań gdzieś na uboczu z kimś takim jak Michel – doświadczonym tajniakiem, który awansował z informatora na urzędnika. Bo ludzie wiedzieli, kim jest naprawdę. Nie wiedzieli tylko, że na swoją wysoką pozycję zarobił, wydając sąsiadów.

– Słuchaj – powiedział teraz – tu chodzi o wzajemne stosunki między ludźmi.

– Co to znaczy?

– My obaj na przykład jesteśmy Kresjanami, prawda? Nazywamy się Fatrastanami, ale nawet jeśli urodziliśmy się tutaj, to nasi dziadkowie urodzili się w Dziewięciu. Pojmujesz?

– Chyba tak.

– Więc nasi dziadkowie mogli się nienawidzić jak otchłań. Kiedyś, w swoich starych krajach. Moi może byli Kezanami, a twoi Adrańczykami. Wrogowie na śmierć i życie. Ale kiedy już przepłynęli ocean, zaczęli mieć ze sobą coś wspólnego. Więc

zapomnieli o dzielących ich różnicach i zaczęli nazywać się Fatrastanami. Mam rację?

Dristanowi chyba to nie zaimponowało.

– Może...?

Michel nie dał mu dokończyć.

– Odkryli, co ich łączy. Zaczęli współpracować. Współdziałali. Podczas rewolucji przeciw Kezowi wystąpiliśmy zgodnie my wszyscy, uważający się za Fatrastan. Wraz z Palo. Chcesz przykładu współdziałania, masz współdziałanie przeciw wspólnemu wrogowi.

– Ale teraz Fatrastanie i Palo się nienawidzą.

– Jasne. Sojusze się zmieniają, kiedy przestają przystawać do okoliczności. Pamiętaj, informatorzy muszą wtapiać się w tło. Lojalność, którą demonstrujesz publicznie, musi zgadzać się z lojalnością wszystkich innych. To trochę jak teatr, a każdy dobry aktor powie ci, że najlepszym sposobem odegrania roli jest utożsamić się z postacią, nawet jeśli jest to łotr. Skoro masz donosić na wrogów państwa, musisz myśleć jak wróg państwa, musisz stać się jednym z nich. – Michel zatoczył ręką szeroki krąg. – Takie jest szpiegostwo. W skrócie.

– Myślałem, że nie szpiegujemy.

– Informatorowanie źle brzmi. – Michel rozejrzał się po pubie i skrzywił przeraźliwie. Ma wziąć sobie kolejne piwo? Pół kufelka?

– Wydajesz się starszy, niż wyglądasz – zauważył Dristan.

Jednak weźmie sobie to piwo. Podszedł do baru.

– To dlatego, że wiem, o co chodzi. Naucz się pewności siebie, no, powiedzmy, udawania pewności siebie, a wszyscy natychmiast uznają, że jesteś dziesięć lat starszy niż w rzeczywistości. Dobrze jest też znać się na robocie, a moją robotą jest mieć na oku lud lady kanclerz. – Podstawił kufel pod kran, ale minęła długa chwila, nim zaczął go napełniać.

Dristan wydawał się dobrym dzieciakiem. Być może wystarczy mu sprytu, by w zawodzie informatora przeżyć te kilka lat. Michel zamierzał poświęcić dzień czy dwa na nauczenie go podstaw, a potem oddać pod opiekę Srebrnej Róży Salacii, mającej być jego



prowadzącą. Podjął już decyzję. Na nieszczęście najlepszą nauką zawodu było w tym wypadku „wrzucić do zatoki i niech się uczy pływać”.

– Co będziesz z tego miał? – spytał, napełniając drugi kufel. Przesunął go w stronę chłopaka.

– Dostanę Różę, prawda?

Róże było oznakami szarzy wśród Czarnych Kapeluszy. Widniały na medalionach, od których brały pierwszą część nazwy. Żelazne i Brązowe oznaczały niską rangę, Mosiężne i Srebrne średnią, a Złote Róże... Złote Róże były elitą, znały wszystkie sekrety i wszystkie machinacje rządu Fatrasty. Rządziły Fatrastą w imieniu lady kanclerz, trzymały w garści całe bogactwo kraju. Każdy chciał być Złotą Różą, niewielu dostępowало zaszczytu. Ale nawet Żelazna Róża to wielki awans dla chłopaka z plebsu, takiego jak Dristan. A jeśli przeżyje zadanie lub dwa, awansuje, i może nawet od razu o dwa stopnie, do Mosiądzu?

– A oprócz Róży co?

Dristan objął podsunięty mu kufel. Przez długą chwilę wpatrywał się w swoje ręce.

– Czarne Kapelusze zajmą się moimi siostrami. Będą miały gdzie mieszkać i co jeść, nie skończą w burdelu. Obojętne, co ze mną będzie... jak długo pozostanę lojalny.

Michel skinął głową. O Czarnych Kapeluszach mówiło się wszystko, co najgorsze, przeważnie słusznie, ale nie było też tajemnicą, że potrafiły zadbać o swoich.

– Jedna rada – powiedział głośno. – Masz teraz jakieś życie, rodzinę, szczęśliwe wspomnienia? – Wyciągnął otwartą dłoń, jakby chciał Dristanowi coś na niej pokazać.

– Nooo... tak...

– Kiedy zaczynasz robotę tajniaka, stajesz się kimś zupełnie innym. Nie wolno ci myśleć o dawnym życiu ani przez moment, bo możesz się zdradzić w chwili słabości. Jedz, śpij, oddychaj, nawet myśl jak Plinnith, syn farmera, albo kim, na otchłań, zostaniesz. – Michel zacisnął dłoń w pięść. – Zmień te wszystkie szczęśliwe myśli

w szóstą klepkę, umieść gdzieś z tyłu głowy i ani waż się na nie oglądać, póki nie skończysz roboty. Ja nie jestem już informatorem, tylko Czarnym Kapeluszem średniej rangi, którym lady kanclerz może rozporządzać, jak uzna za stosowne, ale byłem kiedyś tu, gdzie ty jesteś teraz. Ta sztuczka z klepką... To jej zawdzięczam zdrowe zmysły.

– Byłeś szpiegiem... to znaczy tym, no... informatorem?

– A myślisz, że skąd się tu wziąłem i dlaczego to ja tłumaczę ci to wszystko? Pracowałem pod przykrywką trzykrotnie... Czyli o dwa razy za dużo, przynajmniej w jednym mieście. Cud, że za drugim i trzecim razem nikt mnie nie rozpoznał. Ale liczy się też to, że mam doświadczenie i parę wolnych godzin, żeby przekazać wiedzę komuś takiemu jak ty.

– A dlaczego wybrałeś sobie akurat taką karierę?

Michel zastanowił się nad odpowiedzią.

– Jak ty. Dla Róży. – Zaczepił kciukiem sznurek otaczający mu szyję, wyjął srebrny medalion, pokazał chłopakowi. Nigdy go nie zdejmował. – Ale zrobiłem to też dla Fatrasty – przyznał uczciwie. – Chciałem coś poprawić.

– I poprawiłeś?

– Znajdź mnie, kiedy skończysz pierwsze zadanie, to opowiem ci o sprawie magów prochowych.

Opuścił wzrok na swój półpełny kufel. Odstawił go na bar. Był na siebie wściekły, cztery kufle piwa przed siódmą rano to gruba przesada, nawet jak na jego standardy. Nagle rozległ się wyraźny stukot. Michel odwrócił się. Drzwi pubu stały otworem, do środka zaglądała znajoma twarz.

Mężczyzna miał na sobie czarną koszulę z długimi rękawami i rzędem czarnych guzików na lewej piersi oraz dopasowane czarne spodnie, typowy mundur tajnej policji lady kanclerz. Przy lewym mankiecie brakowało guzika, niedbalstwo irytujące Michela nie do opisania. Mosiężną Różę przypiętą miał do koszuli. Niczego nie ukrywał.

– Agencie Bravis...

– Ty przeklęty sukin... Warsim, bój się bogów, to podobno bezpieczny dom! Ja tu uczę ludzi! Kiedy zobaczą, gdzie wchodzisz w mundurze, o siódmej rano... – Michel zaczął kląć i nie mógł przestać. No proszę, kiedy zły humor już go zaczął opuszczać, to Warsim oczywiście musiał się pojawić i spalić ulubioną kryjówkę Michela. – O, na otchłań, o co chodzi?

Warsim skrzywił się, opuścił głowę.

– Bardzo przepraszam, ale nie miałem wielkiego wyboru. Otrzymałeś wezwanie przed oblicze wielkiego mistrza. Fidelis Jes chce cię widzieć.

– Co? – zdumiał się Michel. Nie był Złotą Różą, nie miał żadnych układów z wielkim mistrzem. Zimny pot wystąpił mu na kark. – Mnie? Wymienił mnie po nazwisku?

– Tak mi powiedziano.

Michel odsunął kufel. Mógł tylko mieć nadzieję, że ma trochę czasu na wytrzeźwienie. O, na otchłań, już był trzeźwy! Powołanie przed oblicze wielkiego mistrza było jak orzeźwiająca kąpiel.

– Jasne. Oczywiście. Godzina?

– Spotkanie umówione zostało na ósmą piętnaście.

Zegarek. Wystarczyło jedno spojrzenie.

– Wynoś się, Dristan. Dziś lekcje odwołane.

– Mam przyjść jutro?

– Nie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, ja cię odnajdę i wtedy wrócimy do nauki.

– A jeśli nie pójdzie dobrze?

Michel jeszcze raz spojrział na zegarek, niech otchłań będzie przeklęta.

– To zapomnij, że kiedykolwiek ze mną rozmawiałeś.



### 3 ROZDZIAŁ

**P**ostęp. Nie brzmiało to słowo zbyt uroczyście, wymawiało się po prostu, bez wrażenia egzotyki, ale gazety powtarzały je tak często, jakby było imieniem nowego boga Fatrasty. Jakby Fatrasta, kraina wiecznie skłóconych emigrantów, dwukrotnie kradziony kontynent, rabowany w sposób wręcz przemysłowy, mogła spłodzić jakiegoś własnego boga. Landfall, jej stolica, przeżułoby boga, wypłuło resztki, a gazety nawet by tego nie zauważyły.

Styke siedział na niewygodnej drewnianej ławce, przy ścianie wąskiego korytarza. Oprócz Styke'a siedziało na niej jeszcze parę osób – złamani, pokonani ludzie, wyglądający na dwadzieścia lat więcej, niż rzeczywiście mieli. Patrzyli na podłogę albo w sufit, jak mogli unikali patrzenia na siebie, modlili się albo tylko pogrążyli w najbardziej rozpaczliwych myślach. Światło wlewało się do środka przez wysokie, zakratowane okna, a gdzieś blisko, w którymś z pokoi, ktoś wykaszliwał płuca.

Na kolanach Styke'a leżała wygnieciona gazeta sprzed czterech miesięcy, z wyrazem POSTĘP wytłuszczonym na pierwszej stronie.

Przyglądał mu się przez dobrych kilka minut. Pomyślał, że mógłby podrzeć gazetę i w ten sposób dać ujście obrzydzeniu, które się w nim budziło, ale w obozie pracy gazety były towarem cennym. Za tę dał swój tygodniowy przydział tytoniu.

Zamiast wyrzucać gazetę, Styke wyciągnął kawałek drewna. Złapał go tak mocno, jak tylko mógł ranną lewą ręką, a prawą kontynuował rzeźbienie tam, gdzie przerwał. Używał do tego małego nożyka, skradzionego w obozowej jadalni. Naciskając ostrze kciukiem, odcinał strużyny tak mechanicznie, jak czytał.

W gazecie napisali, że adrańscy najemnicy ciężko pracują nad „ucywilizowaniem pogranicza”. W Landfall miały powstać trzy nowe obozy pracy – budowano je wokół miasta – dla skazańców przysyłanych z Dziewięciu. W dzielnicy Palo wybuchły rozruchy, wywołane publiczną egzekucją – powieszono młodego radykała. Nadal nie udało się unormować handlu z Kezem, choć od końca wojny minęło sześć lat.

Styke prychnął głośno. Gazety, te wszystkie, które udało mu się przeczytać, przekonywały go, że świat niewiele zmienił się przez dziesięć lat, od dnia, gdy usłyszał wyrok skazujący. Nadal zamieszkiwali go ludzie chciwi, brutalni, biedni, gniewni i to chyba wszystko. Przeniósł uwagę z gazety na kawałek drewna. Przez następne kilka minut cierpliwie strugał miękką sosnę.

Obejrzał rzeźbę w świetle poranka. Nieźle mu wyszło to kanu, jeśli wolno powiedzieć coś takiego o własnym dziele. Miało długość dłoni, było zgrabne i smukłe, a na burtach widniały symbole Palo. Dobra robota, to z pewnością... mimo że nóż miał tępy, a jedną dłoń kaleką. Styke zdmuchnął strużyny z przedramienia, złożył gazetę i wstał z wysiłkiem, krzywiąc się przy tym, bo prawa noga słuchała wydawanych jej poleceń z kilkusekundowym opóźnieniem.

Podszedł do drzwi wychodzących na plac. Uchylił je lekko. Tuż obok, na ganku, stała dziewczynka. Obdarta i brudna jak wszyscy skazańcy, łatwo było pomylić ją z chłopakiem. Bosa, ubrana w starą koszulę Styke'a, musiała ją przewiązać wokół szyi i w pasie, żeby się



z niej nie zsunęła. Wyglądała jak głodujący wróbelek, który w dodatku stracił połowę piór.

– Celine – szepnął Styke.

Dziewczynka ożywiła się, wyprostowała, obróciła głowę.

– Ben? Wychodzisz? – spytała podekscytowana.

Styke pokręcił głową.

– Nawet jeszcze nie wszedłem. Masz. – Wsunął jej łódkę w dłoń, szybko, żeby strażnik nie dostrzegł. – To może potrwać kilka godzin.

– Poczekam.

Zamknął cicho drzwi i pokuśtykał na miejsce. Usiadł na twardej ławce, tłumiąc jęk. Jeden z więźniów podniósł głowę, spojrział na niego i natychmiast wbił wzrok w podłogę.

Minęło zaledwie kilka minut, gdy na końcu korytarza otworzyły się drzwi. Stanął w nich strażnik. Styke nie pamiętał jego nazwiska, ale wiedział, że w czasie wojny tamten służył jako żandarm w armii Kezu. Był wielki, wyższy od większości mężczyzn, ramiona miał grube jak beczki prochu. Rozejrzył się teraz obojętnie po żalosnych ludziach, siedzących i czekających w milczeniu. Odruchowo zakręcił pałką. Jak wszyscy strażnicy, miał na sobie jaskrawożółtą koszulę, barwą żywcem skopiowaną z mundurów armii Patrasty. Styke nosił kiedyś mundur w tym kolorze.

A teraz strażnik patrzył na niego gniewnie.

– Ty – powiedział. – Więzień dziesięć tysięcy sześćset czterdzieści dwa. Twoja kolej.

Styke wstał powoli. Podszedł do strażnika, kulejąc.

– Pospiesz się. Nie zmarnuję na ciebie całego dnia.

Ciekawe, jak byś wyglądał bez tych łapsk, pomyślał Styke.

– Na otchłań – powiedział strażnik, kiedy Styke znalazł się obok niego. – Wielki z ciebie gość, nie ma co.

Styke odwrócił wzrok. Z doświadczenia wiedział, jaka jest reakcja na jego rozmiary. Nie opłacało się być potężnym mężczyzną, nie tutaj. Strażnicy lubili brać się za największych, byli dobrym przykładem dla wszystkich.

Mógłbym rozgnieść cię jak muchę. Ta myśl pojawiła się nieproszona i Styke natychmiast wyrzucił ją z głowy. Tu nie myśli się o takich rzeczach. Był wzorowym więźniem i takim pozostanie, póki nie skończy mu się czas odsiadki. Albo zaharują go tu na śmierć. Przez głowę przeleciało mu wspomnienie: na nadgarstkach zakrwawione karwasze, w ręku miecz, ryczy na całe gardło pieśń lansjerów, przedziera się, pozbawiony konia, przez grenadierów przeciwnika, każdy z nich jest wielki jak ten arogancki strażnik.

Zamrugął i wspomnienie znikło.

To strażnik zrobił krok wstecz, a nawet otworzył przed nim drzwi, za którymi znajdował się kolejny brudnawy korytarz z jednym oknem.

– Pierwsze pomieszczenie na prawo – powiedział.

Styke wszedł do małego pokoiku o ceglanych ścianach, bardzo przypominającego konfesjonał w świątyniach Kresimira, tylko zamiast wiklinowej siatki oddzielającej pokoi od kolejnego, tu w okno wprawiono solidną żelazną kratę, nad którą umieszczono napis, wykonany wielkimi, grubymi literami: ZWOLNIENIA WARUNKOWE. Izba była rzęsiście oświetlona, zapewne po to, by sędziowie mogli dobrze przyjrzeć się potworom, które mieli wypuścić z klatek w niewinny świat.

– Proszę usiąść – dobiegł go głos zza kraty.

Styke usiadł na niskim drewnianym taborecie. Skrzywił się, bo taboret zaskrzypiał groźnie pod jego ciężarem.

Kilka długich chwil minęło w ciszy, aż Styke podniósł wzrok i spróbował zajrzeć przez kratę. Już dwukrotnie przechodził przez tę procedurę, znał ją od podszewki. Sędziami, rozpatrującymi sprawy o zwolnienie warunkowe, byli pracownicy administracji obozu, ci, którzy mieli akurat trochę wolnego czasu, co oznaczało, że o tym, czy kandydat odzyska wolność, czy pozostanie w niewoli na kolejne dwa lata, decydowało, którą nogą ktoś wstał z łóżka akurat dziś rano. Ale ten ktoś, kogo Styke dostrzegł przez kratę, sprawił, że serce mu się rozspiewało.

– Raimy? – spytał.

Czteropalczysta Raimy nie grzeszyła urodą. Była kobietą w średnim wieku, drobną, nierzucającą się w oczy, z okularami wiszącym na łańcuszku, ubraną w coś, co w obozie mogło uchodzić za garsonkę. Pracowała jako główna księgowa i kwatermistrz. Styke należał do niewielkiej grupy skazańców umiejących czytać, pisać i liczyć, więc wielokrotnie pomagał Raimy w prowadzeniu ksiąg. Lubił ciszę i spokój panujące w jej biurze. Celine mogła się tam bawić na podłodze bez strachu, że wpadnie w kłopoty.

Raimy zakaszłała. Zaczęła przewracać papiery, wzięła do ręki ołówek i zaraz go upuściła. Ołówek potoczył się po stole i spadł. Zamiast podnieść go z podłogi, z kieszonki zakietu wyjęła drugi. Sprawdziła, czy jest dobrze naostrzony.

– Benjamin – powiedziała.

– Co u ciebie, Raimy?

Kobieta uśmiechnęła się niewyraźnie.

– Kaszel mi dokucza. Sam wiesz, jaki tu kurz w te gorące dni. Kolano w porządku?

Styke wzruszył ramionami.

– Boli – przyznał. – Pewien mój przyjaciel też tak kasłał, to było w czasie wojny. Zaczął dodawać miodu do whisky. Potem też kasłał, trochę, ale nie było to już takie uciążliwe.

– Zapamiętam sobie. – Raimy odchrząknęła i znów się rozkaszała. Potem przez chwilę przerzucała papiery, aż wreszcie przemówiła bardzo formalnie. – Skazany dziesięć tysięcy sześćset czterdzieści dwa. Benjamin Styke. Rozpoczynamy przesłuchanie w sprawie zwolnienia warunkowego po dziesięciu latach odbywania kary w obozie pracy. Czy jest ktoś, kto mógłby przemówić za tobą?

Styke rozejrzał się po pokoiku.

– Nie wolno mi otrzymywać listów ani kontaktować się z kimkolwiek przebywającym na wolności. Nie jestem pewien, czy jest ktoś, kto by wiedział, że jeszcze żyję.

– Rozumiem. – Raimy postawiła znak w rubryce na leżącym przed nią dokumencie, mrużąc do siebie „brak świadectwa za”. Jej głos nic nie stracił ze swej formalnej surowości. – Benjaminie Styke,

zostałeś skazany na rozstrzelanie za niewykonanie rozkazu oficera starszego stopniem podczas rewolucji. Z łaski lady kanclerz wyrok został złagodzony do dwudziestu lat ciężkich robót. Czy to prawda?

– Nie powiedziałbym, żeby został złagodzony. – Styke uniósł zniekształconą dłoń, rozstawił palce, na ile to było możliwe. – Spróbowali dwa razy, a potem uznali, że prędzej zmuszą mnie do kopania okopów niż do przełknięcia kulki.

Oczy kobiety rozszerzyły się ze zdumienia, oficjalny ton znikł.

– Dwie salwy plutonu egzekucyjnego? Nie miałam pojęcia!

– Takie było moje przestępstwo – potwierdził Styke, opuszczając dłoń. – I taki dostałem za nie wyrok.

Kobieta zakaszła, upuściła kolejny ołówek, wyjęła z kieszonki trzeci, postawiła znak w następnej rubryce.

– Tak. Doskonale. Panie Styke, przez godzinę studiowałam twoje papiery. Przez ostatnie siedem lat nie odnotowano ani jednego przypadku gwałtownego zachowania, przez ostatnie pięć lat nie wpisano w akta żadnej uwagi. Biorąc pod uwagę, że... – odchrząknęła – przeciętna długość życia skazańca w obozie pracy Słodkie Jutro wynosi sześć lat, powiedziałabym, że doskonale sobie radziłeś.

Styke stwierdził ze zdziwieniem, że przesunął się do przodu na taborecie i że jego kolano protestuje ostrym bólem przeciw takiemu traktowaniu.

– Czy dostanę zwolnienie warunkowe? – spytał cicho, z napięciem, pilnując, by nie pokazać rodzącej mu się w duszy euforii.

– Sądzę, że... – Przerwała, bo ktoś zapukał do drzwi po jej stronie kraty. Zmarszczyła brwi, ostrożnie odłożyła ołówek, wstała. – Za chwilę – powiedziała i wyszła.

Do Styke'a dobiegały tylko stłumione odgłosy, nie słyszał treści rozmowy. Głosy podniosły się nagle, potem usłyszał kaszel, zapadła cisza i Raimy wróciła, trzymając w ręku kartkę. Położyła ją na stole, wygładziła, wsunęła pod akta. Siedziała w milczeniu, nerwowo bębniła palcami. Styke nie pojmował, o co chodzi, ale nie były to

dobre oznaki. Omal nie ześlizgnął się ze stołka. Miał straszną ochotę sięgnąć przez kratę, potrząsnąć kobietą.

– Zwolnienie warunkowe...

O czymkolwiek Raimy myślała, teraz powróciła do rzeczywistości. Drgnęła, spojrzała na niego, uśmiechnęła się.

– Na czym to ja skończyłam? Aha, no tak. Więc mam dla ciebie dobrą wiadomość i złą wiadomość, panie Styke. Zła wiadomość jest taka, że w zgodzie z moim sumieniem nie mogę udzielić zwolnienia warunkowego. Ale – dodała szybko – dobra wiadomość jest taka, że mogę zaoferować przeniesienie do obozu pracy o... mniej złowrogiej reputacji. Lekka praca, chyba tak to się u nas nazywa. – Kobieta roześmiała się nerwowo, zakaszłała. – No wiesz, miękkie prycze, mniej godzin pracy, lepsze warunki...

Styke zgarbił się, jakby poczuł wielki ciężar w piersi.

– Kolejny obóz pracy? – spytał cicho. Był w szoku, jak ktoś, kto dostał potężny cios w dołek. – To moje życie. Myślisz, że obchodzi mnie, jak miękka będzie prycza?

Po skroni Raimy spłynęła kropla potu.

– Wiem, że mogłaś mnie puścić. – Styke uderzył w ścianę zdrową ręką z hukiem, od którego kobieta aż podskoczyła. – Wiem, że decyzja należy do ciebie. Przez dziesięć lat chodziłem z opuszczoną głową. Bili mnie, a ja się nie broniłem. Zdychałem z głodu na zmniejszonych racjach. Przeklęta otchłań, nauczyłem cię czytać, kiedy oszukałaś ich, że umiesz, i zostałaś obozowym kwatermistrzem. Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi!

Raimy siedziała, patrząc wprost przed siebie niewidzącymi oczami niczym złapany w pułapkę jeleni, z dłońmi ułożonymi płasko na stole. Siedziała nieruchomo, tylko drżała gwałtownie na całym ciele.

– Przepraszam – powiedziała.

– Przepraszasz mnie? Za co mnie przepraszasz?

– Nie wiedziałam, że jesteś tym Benem Stykiem.

– A jakim Benem Stykiem mogę być? Ilu nas jest twoim zdaniem?

Wstał, tak wściekły, że nie odczuł nawet bólu w kolanie. Sięgał głową sufitu pomieszczenia, w którym rozpatrywano sprawy zwolnień warunkowych. Z jakiegoś powodu widok trzęsącej się jak osika Raimy tylko dodatkowo go rozwścieczał. Jak wiele dni spędzili w jej niestrzeżonym biurze?! Oboje potrafili się tam nawet śmiać! Ta kobieta próbowała z nim flirtować! A teraz drżała, przerażona do szaleństwa, choć broniła jej żelazna krata.

– Jesteśmy przyjaciółmi? – spytał.

– Tak! – pisnęła.

Styke zacisnął na kracie zdrową rękę oraz dwa zachowujące funkcjonalność palce uszkodzonej. Jednym szybkim ruchem wyrwał ją ze ściany. Raimy otworzyła usta, ale pozostała nieruchoma i milcząca, podczas gdy Styke odstawił żelazo na bok, przechylił się i spod stosu papierów wydobył dokument, który przyniosła ze sobą przed chwilą.

Na kartce z oficjalnym stemplem sekretariatu lady kanclerz zapisano trzy zdania.

*Szalony Ben Styke, uprzednio pułkownik Styke z Szalonych Lansjerów, jest maniakalnym mordercą odpowiedzialnym za szereg zbrodni wojennych. Nie wolno udzielić mu zwolnienia warunkowego. W sposób możliwie przekonujący.*

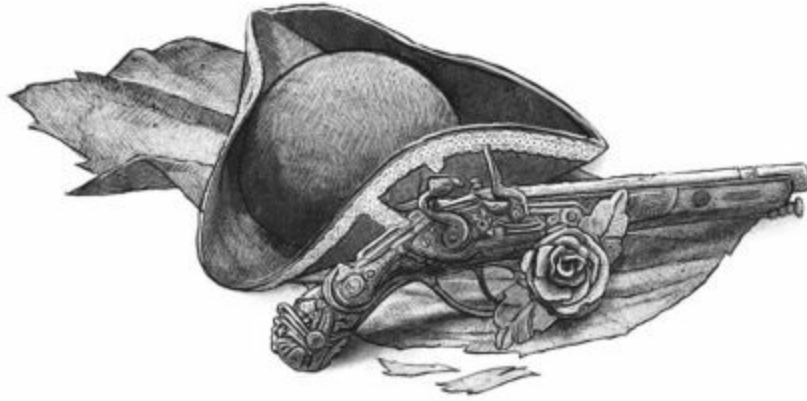
U dołu pisma widniał podpis: *Fidelis Jes, dowódca tajnej policji lady kanclerz.*

Styke usłyszał krzyki w korytarzu, hałas wzbudził niepokój, do gwaru dołączył tupot stóp nadbiegających strażników. Zgniół papier i rzucił kobiecie w twarz.

– To możesz przestać się trząść – powiedział głośno. – Nie krzywdzę przyjaciół.

Odwrócił się, rozpostarł ramiona. Czekał, aż w drzwiach pojawi się pierwszy strażnik.





## 4 ROZDZIAŁ

**M**ichel był w tej chwili w małej, znajdującej się nieco na uboczu miejskiego zgiełku dzielnicy nazywanej Proctor, leżącej mniej więcej półtorej mili od doków i dwieście pięćdziesiąt stóp nad nimi, w samym centrum płaskowyżu Landfall. Mieszkali tu głównie weterani na emeryturze i niebogie rodziny imigranckie. Przedmieście Proctor nie zaliczało się do dzielnic wytwornych, ale i nie było biedne niczym Ognista Jama. Większość ludzi nie znalazłaby go na mapie, co oznaczało między innymi, że nie wpadało się tu w kłopoty.

Fidelis Jes chce cię zobaczyć.

Słowa te grały Michelowi na nerwach, jak żadne inne by nie potrafiły. Od chwili, gdy odwołał lekcję, minęła godzina. Przystanął i jeszcze raz przeczytał list, który przekazał mu Warsim. Napisano go na papierze z wytłoczonym znakiem Platynowej Róży. Tego podpisu nie dało się z niczym pomylić. Tylko dwie osoby w Fatraście miały Platynową Różę: Fidelis Jes i sama lady kanclerz.

Czego wielki mistrz chciał od Srebrnej Róży? Michel parę razy widział Fidelisa Jesa w kwaterze dowodzenia, kiedyś zamienili

chyba nawet kilka słów. Ale Michel nigdy nie został wezwany do jego biura.

Być może, pomyślał, doszło do jakiegoś nieporozumienia? Albo może spotka się z kimś innym w biurze wielkiego mistrza? Kiełkujący powoli, lecz już odczuwalny strach mówił mu, że nieostrożnie powiedział coś komuś, komu nie powinien nic mówić, przez co zostanie oskarżony o zdradę stanu. Próbował wyśmiać tę myśl i odrzucić jako idiotyczną, ale prawdą było, że nawet nienaganna lojalność nie broniła Czarnego Kapelusza przed karą za przekroczenie dopuszczalnych granic. Uznał jednak, że gdyby przekroczył granice, to dziś obudziłby się w więziennej celi.

– Złe słowo wypowiedziane w złym czasie w tym mieście może pozbawić cię głowy.

Uśmiechnął się do swego odbicia w szybie sklepu, który właśnie mijał.

– Jesteś świetnym Czarnym Kapeluszem. Wszystko będzie dobrze.

– Mówisz to sam o sobie. Słuchaj, załatw tę sprawę, a potem wielki mistrz może ci już nakłaść po pysku.

Sprawdził godzinę na kieszonkowym zegarku. Do spotkania z wielkim mistrzem miał jeszcze czterdzieści pięć minut. Wolałby stawić się na miejscu wcześniej, ale patrząc na dom po przeciwnej stronie ulicy, stwierdził, że są przecież w życiu rzeczy ważniejsze od pracy i że to jest jedna z tych rzeczy. Zamierzał zająć się sprawą wieczorem, jeśli jednak rozmowa z Jesem nie pójdzie po myśli Michela, wieczorem może nie dysponować swoją osobą.

Przeszedł przez ulicę, obszedł dom alejką, ostrzem noża otworzył zamek kuchennych drzwi, wślizgnął się do środka.

Domeczek nie sprawiał imponującego wrażenia, miał jeden pokój na górze i łóżko na stryszku. Stół i dwa krzesła przy nim zarzucone były starymi groszowymi powieściami. Przy oknie stał bujany fotel, pusty, z czerwonym szalem przerzuconym przez oparcie. W powietrzu wisiał ciężki zapach lawendy, mający prawdopodobnie stłumić woń stęchlizny. Krótka chwila wystarczyła do znalezienia źródła tego drugiego: stosu zawilgłych książek w kącie, pod

charakterystycznymi żółtymi zaciekami na gipsie. Dach budynku był nieszczelny.

Michel westchnął. Odepchnął kilka tomów, zwalniając miejsce na pudło jedzenia, które przyniósł ze sobą. Szybko obszedł domek, notując w pamięci pęknięcia gipsu na ścianach, obecność drugiej dziury w dachu i to, że jedno z krzeseł trzyma się tylko dlatego, że je zdrutowano. Pochylił się, przesunął palcem po pęknięciu szkła w środkowym okienku i wtedy dostrzegł idącą ulicą niewysoką, tęgą kobietę. Jej długie, kasztanowe włosy siwiały na skroniach, sukienkę miała widocznie wytartą. Szła szybkim, pewnym krokiem, w rękę niosła torbę wypełnioną powieściami groszowymi, uśmiechała się i machała do każdego, kogo zauważyła po drodze. Przypomniawszy sobie, że to początek miesiąca, a na początku każdego miesiąca księgarze wystawiali na sprzedaż nowe książki.

– Powinieneś się z nią przywitać – powiedział do siebie.

– A w otchłań z tym. Nie mam czasu.

– Jesteś okropnym synem.

– Wiem o tym.

Uciekł przez kuchnię dokładnie w chwili, gdy pozdrowiwszy sąsiadów, jego matka wkładała klucz w zamek drzwi frontowych. Już na ulicy poczuł nagłą ulgę. Jeszcze moment i byliby się spotkali. Rozmowy z matką zawsze kończyły się kłótniami, a teraz bardzo nie chciał kłótni. Czekąco go przecięło widzenie z wielkim mistrzem.

Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. Być może dostrzeżono, jak ciężko pracował przez te wszystkie lata? Być może nie czeka go kara, a raczej nagroda? Zamrugnął, bo kropla potu spłynęła mu do oka. Pozwolił sobie na chwilę marzeń. Być może czeka go awans na Złotą Różę? Przyjaciele nie będą już kupować mu alkoholu, rodzina zamieszka w dużych domach w dzielnicy rządowej.

Nie będzie musiał przynosić jedzenia matce, która całą swoją rentę wydawała na książki.

Wygnał z głowy te obrazy, nie miał śmiałości marzyć. Uznał, że najlepiej uczyni, nadrabiając miną. Czegokolwiek chciał od niego Fidelis Jes, Michel zachowa się jak zawodowiec. Wielkiego mistrza

nie można było zauroczyć, nie reagował na komplementy, ale szanował władzę i szanował kompetencje. Michel nie mógł Jesowi oferować władzy, ale... był bardzo dobry w swojej pracy.

Nie tak znowu tajna siedziba tajnej policji Landfall, powszechnie znana pod nazwą Kapelusznictwa, znajdowała się zaledwie kilka przecznic od gmachu rządowego. Była to nowoczesna, surowa konstrukcja z czarnego granitu z bardzo niewieloma oknami na parterze i parapetami jak na dachu obronnego zamku. Czarne Kapelusze prezentowały w ten sposób swoje oficjalne oblicze, tu mieściły się koszary, cele, sale i tereny ćwiczeń oraz biura, zajmujące całe dwa miejskie kwartały. Znajdowały się tu nawet urzędy przyjmujące skargi zwykłych obywateli. To nieprzypadkowe przecież podobieństwo do central regularnych sił policyjnych Michel uważał za narzędzie manipulacji. Lady kanclerz zależało na tym, by ludzie ufali Czarnym Kapeluszą.

Akurat.

Na szczęście budowanie wizerunku tajnej policji nie było zadaniem Michela. Wszedł na teren Kapelusznictwa przez bramkę od strony alei Lindet, niedbałym salutem do kapelusza pozdrowił starego odźwiernego Kleina, a potem udał się krętymi korytarzami do najdalszego północnego narożnika kompleksu. Chusteczką wytarł pot z czoła, poprawił kamizelkę i wszedł do biura Fidelisa Jesa.

Biuro to składało się z dwóch pomieszczeń. W pierwszym, mniejszym, pełniącym funkcję poczekalni, stały stół i krzesła dla petentów. Podwójne drzwi otwierały się na znacznie większy gabinet, jasno oświetlony, z meblami z mahoni i wesołymi, kolorowymi kresjańskimi freskami. Mahoń nie zdziwił Michela, w jakiś sposób pasował do szefa tajnej policji, ale światło i barwy już nie. Po człowieku, który wśród wielu tytułów nosił też tytuł mistrza zabójców, spodziewał się czegoś bardziej stonowanego, wręcz ponurego.

– Michel Bravis. Wielki mistrz mnie wezwał – powiedział do sekretarki, kobiety w średnim wieku o delikatnych rysach twarzy, krótkich czarnych włosach i doskonałej fryzurze. Uśmiechnęła się

do niego zza biurka, a Michel przypomniał sobie, jak miała na imię. Dellina, Starlandka, stale obecna u boku Fidelisa Jesa od czasów tuż po wojnie, była jedyną powierniczką szefa, jeśli nie liczyć lady kanclerz. Ciekawe, ile tajemnic stanu przechowywała w pamięci, zastanowił się Michel.

– Umówiony na ósmą piętnaście? – spytała.

– Tak. Nazywam się Michel Bravis.

– Oczywiście. – Dellina uśmiechnęła się ciepło, ale dziwnie protekcyjnie, jak potrafią uśmiechać się tylko sekretarki. – Agent Bravis. Jak to miło, że zdołałeś przybyć punktualnie na spotkanie, choć poinformowano cię o nim w ostatniej chwili. Wielki mistrz jest dziś nieco spóźniony, więc jeśli masz na dzisiejszy rano jakieś plany, natychmiast wezwę posłańca.

– Ale po co? – zdziwił się Michel. Zmarszczył brwi.

– By przełożyć na później cokolwiek masz do zrobienia.

– Och! Oczywiście! Nie, to nie będzie konieczne.

– Doskonale. W takim razie proszę usiąść, o tam.

Ledwie Michel zdążył zająć miejsce i się rozejrzeć, do poczekalni wszedł szybkim krokiem sam Fidelis Jes. Michel natychmiast poderwał się na równe nogi, założył ręce za plecy, wyprostował się sztywno, przyjmując pozycję na baczność. Jes zachował się tak, jakby go w ogóle nie zauważył. Ubrany był w obcisłe spodnie i luźną białą koszulę rozpiętą niemal do pasa i przepoconą na wylot.

– Spóźniłeś się, panie – zganiała go Dellina.

Jes lekceważąco machnął ręką.

– Wszędzie prace budowlane – prychnął. – Normalną drogę odcięła mi budowa domów komunalnych, nowy pomysł Lindet. Zannotuj, że jutro mam omijać ulicę Hawthdun.

– Oczywiście, panie. Goście umówieni na ósmą i ósmą piętnaście już czekają.

W plotkarskich kolumnach miejskich gazet często pisano o Fidelisie Jesie jako mężczyźnie idealnym i bardzo sprawnym fizycznie. Michel musiał uznać, że w tych plotkach było zdumiewająco wiele prawdy. Jes miał doskonale wymodelowaną

klatkę piersiową, z perfekcyjnie do niej pasującymi barkami i ramionami, a jego nogi do rozpaczy doprowadziłyby profesjonalnego atletę. Podobno przekroczył już czterdziestkę, ale wyglądał najwyżej na trzydziestkę. Wyraźnie wyrzeźbione kości policzkowe nadawały jego twarzy wyraz charakterystycznej wyniosłości. Podobno biegał codziennie rano wokół podstawy płaskowyżu Landfall. Michel nigdy nie widział Jesa biegnącego, uznał więc, że to tylko żart dla wtajemniczonych, popularny wśród Złotych Róż. A teraz proszę, Fidelis pojawił się, ociekając potem. Z samego rana.

Jes wszedł do gabinetu, zamknął za sobą drzwi. Jego głos dotarł do poczekalni stłumiony.

– Na otchłań, kto to jest?

– Był umówiony na ósmą piętnaście, panie. Michel Bravis. To ten Srebrna Róża, którego kazałeś mi wezwać.

– Racja. – Zapadłą ciszę przerwało przekleństwo, a potem drzwi otworzyły się raptownie. Jes umył twarz, wilgotne ciemnokasztanowe włosy zaczesał do tyłu. Zmienił też ubranie, na identyczne, lecz czyste. Zapinał pas, przy którym wisiał krótki miecz.

– Gdzie wezwani na ósmą? – spytał.

– Na dziedzińcu, panie.

Jes podszedł bliżej i Michelowi nagle zrobiło się sucho w gardle. A tymczasem wielki mistrz przyjrzał mu się z prawa i przyjrzał mu się z lewa.

– Bravis – powiedział w końcu, mocno akcentując B. – Idziesz ze mną.

Nie mówiąc nic więcej, wyszedł z poczekalni. Zaniepokojony Michel spojrzał na Dellinę. Sekretarka uśmiechnęła się przepraszająco i podążyła za wielkim mistrzem.

– Zazwyczaj jesteśmy znacznie lepiej zorganizowani – powiedziała, mijając agenta. – Ale te budowy lady kanclerz...

Michelowi nie pozostało nic innego, tylko pobiec za nimi. Dopędził ich, gdy schodzili na drugie piętro. Fidelis Jes szedł z głową przechyloną na bok, słuchając, co sekretarka szepcze mu do ucha.



Zeszli na parter, skąd prowadziło wyjście na dziedziniec. Dellina przyspieszyła kroku, pierwsza podeszła do trzech mężczyzn, czekających w promieniach porannego słońca. Wszyscy trzej uzbrojeni byli w krótkie miecze. W tym momencie Michel zrozumiał, czym były spotkania wyznaczane na ósmą, i poczuł, jak zaciska mu się żołądek.

– Tak bardzo mi przykro – usłyszał Dellinę, zwracającą się do mężczyzn. – Od rana te budowy. Przeszkodziły wielkiemu mistrzowi w codziennym biegu i stąd to spóźnienie. Przyjmijcie, proszę, nasze najszczerze przeprosiny.

Pozostawiła mężczyzn, wyraźnie gniewnych i niewiele rozumiejących z tego, do czego doszło, podeszła do Jesa i wytłumaczyła mu:

– Ten po prawej jest synem handlarza wełną. Twierdzi, że w zeszłym tygodniu wziął do łóżka jego żonę, panie.

– A wziąłem?

– Owszem. Ten po lewej twierdzi, że zarządził egzekucję jego brata. Nie znalazłam żadnej wzmianki w aktach, nie pod tym nazwiskiem, ale i tak upiera się, że mówi prawdę. Nie mam pojęcia, kim jest stojący pośrodku Palo. On sam mówi, że po prostu chce się bić.

Doświadczenie mówiło Michelowi, że każdy człowiek ma co najmniej jedno dziwactwo. Dziwactwa ludzi potężnych bywały bardziej ekstremalne, ponieważ dysponowali oni środkami na ich zaspokojenie. Niektóre dziwactwa bywały skrzętnie ukrywane, inne wręcz przeciwnie, całkiem jawne. Fidelis Jes prezentował swoje publicznie i można powiedzieć, że je reklamował. Każdy, kto pragnął go zabić w walce jeden na jeden, był zawsze mile widziany. Żadnych czarów, żadnej broni palnej, na śmierć i życie. Michel wysiłkiem woli wyrównał oddech. Czuł się trochę jak widz w teatrze, jakby oglądał coś w rodzaju farsy. Oczywiście wiedział o porannych zajęciach wielkiego mistrza, tyle że po raz pierwszy był ich naocznym świadkiem.

Mówiło się, że jeśli nie liczyć biegania, Fidelis Jes zaczynał dzień od kawy i od zabójstwa.

– Niech będzie – powiedział Jes głośno. – Już jestem spóźniony. – Podszedł do czekającej na niego trójki. – Ty pierwszy, ty drugi, ty trzeci.

Echo ostatniego słowa brzmiało jeszcze w powietrzu, gdy zaatakował zgodnie z wyznaczoną kolejnością. Zadźwięczały uderzające o siebie głownie i pierwsza ofiara wielkiego mistrza upadła na ziemię z przeciętym gardłem. Dwa kroki i drugi mężczyzna zginął od pchnięcia w serce, nie zdążył nawet wyciągnąć broni.

Trzecim przeciwnikiem Jesa był Palo, spokojnie obserwujący pracę nóg mistrza w dwóch pierwszych pojedynkach. Był gotów, zanim ciało drugiego mężczyzny zdążyło upaść. W pierwszej fazie walki zmusił wielkiego mistrza do cofania się. Skrzyżowali ostrza kilkanaście razy, potem tubylec został rozbrojony. Jes pchnął go w brzuch, odrzucił miecz, zacisnął palce na jego szyi, zmusił do ukłęknięcia. Palo zmarł z braku powietrza, nim zdążył się wykrwawić.

Michel odetchnął głęboko, dopiero po wszystkim uświadomił sobie, że oglądał walki z zapartym tchem. Zemdliło go, mógł tylko mieć nadzieję, że twarz nie wyrażała jego prawdziwych uczuć.

– Bardzo dobrze, panie – powiedziała Dellina, podając Jesowi chusteczkę.

Jes otarł pot z czoła, a potem także klingę z krwi. Dwaj służący, czekający do tej pory w odległym kącie dziedzińca, załadowali trupy na taczki.

– Ten Palo był dobry – powiedział wielki mistrz.

– Tak, panie – zgodziła się Dellina. – Wytrzymał pierwszy atak.

– Na otchłań, niech mi ktoś powie, gdzie dziki tubylec może poznać tajniki sztuki Kresjan. Tacy jak on nie mają prawa pobierać lekcji szermierki.

– Oczywiście, panie.

– Która godzina?

Dellina sprawdziła godzinę na zegarku kieszonkowym.

– Ósma trzynaście, panie. A oto kawa. – Podawała wielkiemu mistrzowi porcelanową filiżankę kawy z tacy, którą wniósł na dziedziniec kolejny służący.

– Doskonale. Nadrobiliśmy spóźnienie, nawet wyprzedzamy czas.

Fidelis Jes zamknął oczy, odchylił głowę, pił kawę z niekłamaną rozkoszą. Michel nie miał wyboru, musiał stać na baczność, w milczeniu, a zimny pot ściekał mu wzdłuż kręgosłupa. Widział, jak trzecie ciało, ciało Palo, służący rzucają na wcześniej załadowane do taczek trupy. Bruk dziedzińca lśnił od krwi. Nie sposób było nie zadać sobie pytania, jak wielu ludzi wielki mistrz zamordował w ten sposób. Setki? Być może tysiące? Jaki cel mu przyświecał.. oprócz demonstracji, że może?

Czyżby chciał ustanowić jakiś rekord?

Trzy morderstwa w kilkadziesiąt sekund. Nawet się nie zadyszał. Wszyscy bali się Fidelisa Jesa. Dla lady kanclerz był narzędziem zemsty, być może najniebezpieczniejszym człowiekiem mieszkającym w Fatraście, nawet jeśli nie brało się pod uwagę, że na swe usługi miał tajną policję. Michel zdążył się już przyzwyczaić do wiszącego mu nad głową miecza. Kiedy pracuje się pod przykrywką, trzeba zawsze liczyć się z groźbą ujawnienia, a nawet tortur i śmierci. Ale też zawsze istniała jakaś droga wyjścia: można było próbować się wyłgać, uciec do siły lub podstępnie. Przed ostrzem miecza Fidelisa Jesa nie było ucieczki, mistrz wydawał się równie pewny w działaniu, co ostrze gilotyny, i dlatego Michela ogarnęło prawdziwe przerażenie.

Do każdego z bogów gotowych go wysłuchać zaniósł krótką modlitwę błagalną, by nigdy nie znaleźć się w takiej sytuacji.

– Ósma piętnaście, panie – oznajmiła Dellina.

Fidelis Jes odstawił filiżankę na trzymaną przez służącego podstawkę.

– Bravis, tak? – spytał.

– Tak jest – odparł Michel.

– Skąd znam to nazwisko?

– Sprawa maga prochowego – podpowiedziała sekretarka. – Dwa lata temu.

Michel zeszywniał jeszcze bardziej. Jes uniósł brew, a on poczuł się, jakby znowu zdawał egzamin.

– A tak, nasz informator. Czy dobrze się to skończyło?

– Bardzo dobrze, panie – pospieszyła z wyjaśnieniem Dellina.

Taczka z trupami odjechała boczną dróżką. Michel nie mógł się powstrzymać, odprowadził ją wzrokiem. Wielki mistrz nagle znalazł się obok niego, tak blisko, że agent poczuł na twarzy oddech Jesa.

– Przewrażliwiony? – zainteresował się.

Michel przełknął z wysiłkiem.

– Jestem szpiegiem, panie. Gdybym musiał kogoś zabić, znaczyłoby to, że nie byłem wystarczająco ostrożny.

– A musiałeś?

– Nie, panie, nigdy – przyznał Michel po chwili wahania.

– Będziesz musiał. Czym się teraz zajmujesz, agencie Bravis?

– Uczę informatorów, panie.

– Odwołaj wszystkie bieżące zajęcia.

Jes pstryknął palcami. Dellina podała mu broszurkę, którą natychmiast przekazał Michelowi.

– Wiesz, co to jest?

Broszurka wydrukowana została na tym samym tanim papierze co powieści groszowe, ale miała zaledwie kilkanaście stron. Na okładce nie było żadnych informacji, nawet znaczka drukarni, tylko wielki, wytłuszczony tytuł: GRZECHY IMPERIUM. Wyglądała bardzo zwyczajnie, jak setki coraz to nowych, rozpowszechnianych w Landfall książeczek wypełnionych dowcipami, plotkami, wiadomościami lub treściami religijnymi. Michel przekartkował ją bez zainteresowania.

– Wiem, co to są broszurki i czemu służą, panie, ale tej nie znam – powiedział głośno.

– To ją poznasz. Moi ludzie twierdzą, że w ciągu kilku najbliższych dni pojawi się ich tyle, że będą praktycznie wszędzie.

W ostatnim tygodniu wydrukowano ich przeszło sto tysięcy. Lada chwila dosłownie zaleją ulicę.

Michel znów wstrzymał oddech. Broszurami winni przecież zajmować się specjaliści od propagandy, a on był szpiegiem.

– Nie jestem pewien, panie, czy cię zrozumiałem.

– To śmieć najgorszego rodzaju. – Jes patrzył na broszurę z taką wściekłością, jakby właśnie obraziła jego matkę. – Ma podobno ujawnić wszystkie zbrodnie naszej umiłowanej lady kanclerz. Unurza w błocie jej imię. Ogłosi ją dyktatorką, oszalałą z żądzы władzy, opętaną ideą stworzenia w tym zakątku świata nowego imperium. Lewackie brednie.

– Wiemy, kto je wydrukował?

– Wiemy. Kilka drukarni rozsianych po całym Landfall. Właściciel każdej z nich wierzył głęboko, że tylko on wybrany został w drodze wyjątku do udziału w akcji kontrwywiadowczej, prowadzonej z rozkazu lady kanclerz.

Michel z trudem ukrył niebotyczne zdumienie.

– Przecież to propaganda antyrządowa! Jak mogli wierzyć, że pracują dla nas!

– Jesteś doświadczonym agentem, Bravis. Powiedz mi z tego doświadczenia, ilu spotkałeś ludzi otwarcie kwestionujących opinie Czarnych Kapeluszy?

– Nikogo takiego nie spotkałem, panie.

– Ano właśnie. Zlecenia w drukarniach złożono jednocześnie, zajęli się tym różni ludzie i każdy z nich miał Żelazną Różę.

Michel omal nie zadławił się własnym oddechem. Róże uważano za święte. Czarne Kapelusze jako organizacja tolerowały przestępstwa i korupcję, jeśli tylko nie kolidowały z interesami rządu, ale Róże... Nikt nie miał prawa przyznawać się do Róży, jeśli jej rzeczywiście nie posiadał.

– Czy ludzie coś już o tym wiedzą?

– W śledztwie publicznym kryjemy użycie Róż – odpowiedziała mu Dellina. – Poza tym sami też umiemy wojować propagandą. Mamy już kozła ofiarnego, zagranicznego biznesmena. Udowodnimy

mu, że druk broszurek to był taki jego żart, tyle że kiepsko pomyślany. Złapiemy go za tydzień, zapłaci grzywnę, zostanie deportowany, a my pozbieramy ulotki z ulic i tyle.

– Wydaje się to całkiem sprytne.

– Cieszę się, że pochwalasz, agencie – zakpił Jes. – Propaganda mało mnie obchodzi. Jeśli chodzi o losy narodów, to jakiś tam odosobniony przypadek propagandy, choćby nie wiadomo jak irytującej, nie pozbawi lady kanclerz rządów. Ale nie mam zamiaru stać z boku i przyglądać się, jak jakiś lewicowy gówniarz używa Żelaznej Róży do szerzenia kłamstw. I dlatego ty tu jesteś, agencie Bravis. Nasze publiczne śledztwo to będzie zasłona dymna. Twoim zadaniem będzie zbadanie, skąd wzięły się te Żelazne Róże. Jest ich w sumie piętnaście. Chcę wiedzieć, czy je podrobiono, skradziono, kupiono, czy też może rzeczywiście należą do naszych ludzi, wplątanych w ten spisek. Muszę wiedzieć i chcę wiedzieć szybko.

Michel próbował jakoś uporządkować te wszystkie informacje. Broszurka nie wydawała się szczególnie ważna. Za to piętnaście Żelaznych Róż...

– Lady kanclerz wie? – spytał.

– Wolałbym, żeby się nie dowiedziała – przyznał Fidelis Jes. – Z pewnością zastanawiasz się, dlaczego wybrałem właśnie ciebie, agencie Bravis. Otóż mamy wśród Czarnych Kapeluszy wielu zdolnych śledczych, ale prawie wszyscy przyszli do nas z policji. Są przyzwyczajeni do pracy pod okiem widowni. Ich śledztwa obserwuje prasa... i szpieczy spoza Fatrasty. Za drzwiami tego gabinetu jest bardzo niewielu ludzi wiedzących, jak dojść do rangi, do której ty doszedłeś. Nikt nie obserwuje cię z zainteresowaniem. Potrafisz, bo tego cię przecież nauczono, zbierać informacje tak, by nikt się nie zorientował. – Wielki mistrz wymienił szybkie spojrzenie z sekretarką, po czym dodał: – Jest coś jeszcze. Dellina ma listę kilkunastu młodych, ambitnych Czarnych Kapeluszy, których czeka wielka przyszłość. Na tę listę trafiają wyłącznie ludzie inteligentni, najlepiej samouki, z jak najmniejszym gronem przyjaciół i rodzinnym. Ludzie o lojalności ponad wszelkim podejrzeniem, ale

znajdujący się ciągle tak nisko w hierarchii, by było ich łatwo zastąpić. Twoje nazwisko jest na tej liście, agencje Bravis. Poza tym twój dziadek był Palo, możesz więc swobodnie poruszać się w kręgach niedostępnych innym agentom.

Michel wzdrygnął się na wzmiankę o swym pochodzeniu. Mieszkańców nikt nie kocha i nie było to coś, co chciałby upubliczniać.

– Rozumiem – powiedział. W końcu, choć z jednym wyjątkiem, słów wielkiego mistrza przyjemnie się słuchało. Mimo że naprawdę liczyło się tylko to „łatwo zastąpić”. Bardzo mu się to nie spodobało.

– Znajdę te Żelazne Róże, panie – obiecał.

– A spróbuj nie. – Fidelis Jes skinął głową do sekretarki. Michel dostał od niej akta.

– A na razie – powiedziała Dellina – mamy dla ciebie łatwe zadanie. Takie tymczasowe. O naszym wewnętrznym śledztwie ma wiedzieć jak najmniej ludzi, więc dajemy ci okazję węszenia bez wzbudzania przesadnych podejrzeń. Odwołaliśmy z pogranicza kompanię najemników, mamy dla niej coś do roboty w Ognistej Jamie. Słyszałeś kiedyś o generał Krzemień?

– Jest magiem prochowym?

– Tak. Dowodzi najemnikami. Będziesz jej łącznikiem z Czarnymi Kapeluszami.

Michel szybko przejrzał otrzymane od Delliny materiały. Kolejny mag prochowy. Cudownie! Przed dwoma laty był informatorem w centrum Landfall i to wówczas wykrył spisek, skierowany przeciw lady kanclerz. Jego duszą był Delivijczyk, mag prochowy. Temu odkryciu zawdzięczał Srebrną Różę, ale od tamtej pory został... Jak to się mówi? Zasufladkowany? Prychnął gniewnie. Jedno dobre, że tym razem on i mag prochowy są po tej samej stronie.

– Krążą o niej nieprawdopodobne opowieści.

– Arogancka suka. – Fidelis Jes lekceważąco machnął ręką. – Ma się za najemniczkę z zasadami, jakby coś takiego w ogóle mogło istnieć. Wyślemy ją do Ognistej Jamy, niech ma swobodę działania i zobaczymy, jak przestrzega zasad przy tłumieniu prawdziwego



buntu Palo. Przy nim walki z powstańcami z pogranicza to jak niedzielny spacer.

– Oczywiście, panie.

– Przybędzie dziś po południu – powiedziała Dellina uprzejmie. – Trzymaj się blisko niej, ale nie zapomnij, co jest twoim podstawowym zadaniem.

Michel opuścił wzrok na broszurkę, którą trzymał w ręku. „Grzechy Imperium”.

– Od razu biorę się do roboty – oznajmił głośno.

– Doskonale – pochwalił go wielki mistrz. – Dellina?

– Ósma dwadzieścia dwie, panie. Za osiemnaście minut jesz, panie, śniadanie z lady kanclerz.

Jes jakby dopiero teraz zorientował się, że trzyma w ręku chusteczkę, zakrwawioną po wytarciu klingi. Odrzucił ją, zmierzył Michela wzrokiem od stóp do głów, jakby chciał nabrać pewności, że pasuje on do tej roboty. Wyraz twarzy miał niezbyt zachęcający.

– Pokładam w tobie wielkie nadzieje, agencie Bravis. Jeśli odniesiesz sukces, zasłużysz na moją wdzięczność, a nie wątpię, iż wiesz, ile jest ona warta. Jeśli zawiedziesz...

Nie dokończył zdania. Odwrócił się i odszedł, a wraz z nim odeszła też Dellina. Michel został na dziedzińcu w towarzystwie porzuconej, poplamionej krwią chusteczki i małego sprzątacza Palo, ścierającego czerwone plamy z bruku. Zamknął oczy. Usiłował zignorować oczywistą groźbę, którą pożegnał go wielki mistrz.

– Myśl pozytywnie – napomniął sam siebie, uderzając się broszurką po dłoni i jednocześnie raz za razem powtarzając jej tytuł. „Grzechy Imperium”. – Znajdź Różę, a droga do kariery stoi przed tobą otworem.

– Albo – powiedział do siebie – nie znajdź Różę, a pozostanie z ciebie mokra plama na tych kamieniach.

– Przecież za to mnie nie zabije.

– Założysz się?

Na ten temat nie miał zamiaru kłócić się ze sobą.

– Ale mogę dostać Złotą Różę.

– Może i tak. – Zabrzmiało to groźniej, niż zamierzał.

Wsunął „Grzechy Imperium” do tylnej kieszeni spodni. Poszedł w przeciwnym kierunku, szerokim łukiem obchodząc sprzętacza Palo.

– No cóż – zakończył rozmowę ze sobą – jeśli mi się nie uda, przynajmniej nie będę się długo męczył.



## 5 ROZDZIAŁ

**S**tyke leżał na wznak na podłodze. Patrzył w spękany sufit jednej z cel aresztu w obozie pracy. Bolało go całe ciało. Obrócił się na brzuch, jęknął, odchrząknął kłęb czerwonej od krwi flegmy, splunął na posadzkę. Nie pamiętał, kiedy ostatnio dał się tak załatwić. Bili go przez trzy godziny, nim wtręcili do celi, ale jemu wydawało się, że trwało to w nieskończoność.

Gdzieś blisko pośpiesznie zebrana grupa administratorów obozu decydowała właśnie o losie Styke'a. Jej członkowie przeczytali notatkę, pochodzącą z biura lady kanclerz, a potem próbowali odczytać między wierszami, czy muszą utrzymać go przy życiu, czy też mogą pozwolić sobie na skończenie roboty, którą przed dziesięciu laty zaczęła armia, stawiając więźnia przed plutonem egzekucyjnym.

Styke próbował przypomnieć sobie, czy w bójce po zakończeniu procedury udzielania zwolnienia warunkowego zabił kogoś, czy też nie. Samą walkę pamiętał jak przez mgłę: krzyki, migające mu przed oczami pałki, pięści. Opanował się na tyle, że nie wy dobył nożyka do rzeźbienia – już mu go skonfiskowano – ale nie miał wątpliwości, że

co najmniej połamał trochę rąk. Walczył wściekły, a kiedy tak walczył, sprawy czasami wymykały mu się spod kontroli. Jeśli zabił strażnika albo strażników, będzie wisiał przed zachodem słońca niezależnie od tego, czy lady kanclerz życzy sobie mieć go żywego, czy nie.

Bardzo chciał wściec się na siebie, ale nawet na to nie wystarczało mu energii. Od pięciu lat nie powiedział złego słowa żadnemu strażnikowi, od siedmiu żadnego nie uderzył, od ośmiu nie próbował ucieczki. A to wszystko w złudnej nadziei, że dostanie w końcu zwolnienie warunkowe. Był pewien, że w tej dziurze przyjdzie mu spędzić teraz co najmniej pół roku, a potem miną lata, zanim przywrócą mu jakieś przywileje.

Usiadł. Niech otchłań pochłonie siedzenie w zamknięciu. Co się stanie z Celine? Jej ojciec nie żył, bagno wciągnęło go podczas kopania rowów odwadniających. Styke był jedyną nadzieją dziewczynki. Bez niego strażnicy i inni więźniowie zrobią z nią, co tylko chcą. Nie przetrwa jednej pory roku.

– Ośmiu silnych, wściekłych mężczyzn wybiło z ciebie całe gówno, a po paru godzinach ty już tak sobie siedzisz.

Styke błyskawicznie obrócił głowę, spojrzał na przednią ścianę celi. Spodziewał się zobaczyć któregoś ze strażników w tych ich żółtych kurtach, który doczekał wreszcie swojej kolejki w zabawie z pałką. Ale nie. Zobaczył mężczyznę w czarnym surducie i cylindrze, z laseczką pod pachą i w czarnych półbutach, wypolerowanych, aż odbijały światło jak lustro. Wysoki i chudy, człowiek ten miał ramiona i ręce szermierza, zimne niebieskie oczy, wypielęgnowaną kozią bródkę oraz drapieżne, ostre rysy twarzy. Wyglądał na mniej więcej trzydzieści lat.

Wyjął laseczkę spod pachy, przejechał nią po kratkach celi.

– Większości ludzi nie przeżyłaby takiego lania. Ciebie chyba rzeczywiście nie sposób dobić.

Styke przyglądał mu się podejrzliwie. Nikt tak dobrze ubrany nie mógł mieć nic wspólnego z obozem pracy, a zwłaszcza z celami obozowego aresztu.

- Widziałeś, jak to było? – spytał ostrożnie.
- A owszem, widziałem. – Gość uśmiechnął się lekko.
- Zabiłem kogoś?

– Jest parę ran głowy, ale nikt od nich nie umrze. To było imponujące, cieszę się, że dziesięć lat ciężkich robót nie odebrało ci ochoty do bitki.

Styke przyjrzał się dokładniej przybyłemu. Miał nieodparte wrażenie, że ich ścieżki kiedyś się skrzyżowały.

- Wiesz, kim jestem?
- Czy to aż takie dziwne?

– Oficjalnie od dziesięciu lat nie żyję. Nawet sędzia rozpatrujący moją sprawę o zwolnienie warunkowe był pewien, że jestem innym Benem Stykiem.

Mężczyzna zrobił kilka kroków korytarzem przed celami, wrócił na miejsce i oparł się o ścianę, jakby kurz, który zbierał drogą marynarką, nie miał wielkiego znaczenia.

– Szalony Ben Styke był bohaterem rewolucji. Szaleni Lansjerzy przeszli do legendy. – Uśmiechnął się nagle. – A poza tym kiedyś już się spotkaliśmy.

Z jakiegoś powodu Styke’a nie zaskoczyło to stwierdzenie. Było w tym dziwnym człowieku coś znajomego, jakby widział jego portret wiszący na ścianie nad czyimś kominkiem.

- Nie pamiętam cię – przyznał.

– Gregious Tampo, adwokat, do usług. – Mężczyzna skłonił się lekko.

- Prawnik? Niewielu spotkałem w życiu prawników.

– Wówczas nie byłem prawnikiem, lecz żołnierzem. Dragonem Trzydziestego Drugiego Regimentu. Zdezerterowałem z legii cudzoziemskiej Kezu, gdy tylko zaczęła się wojna.

W każdym innym kraju słowo „dezercja” było gorsze niż przekleństwo, w Fatraście przeciwnie, stało się powodem do dumy. Niemal każdy walczący w rewolucji przeciw Kezowi skądś zdezerterował. Styke wyteżył pamięć, szukał czegoś, jakiegoś wspomnienia, które przywołałoby tego człowieka. Nazwisko nic

Benowi nie mówiło. Może coś sobie przypomni, kiedy osłabnie ból i przestanie mu dzwonić w uszach?

– Bardzo mi przykro, ale nie pamiętam. Proszę się nie obrażać.

– Nie miałem zamiaru. Nasze ścieżki skrzyżowały się raz, przelotnie.

Dawnymi czasy Styke z przyjemnością zaprzyjaźniłby się z żołnierzem takim jak on, postawił mu piwo, spędził noc na opowiadaniu i słuchaniu historii. Ale dawne czasy minęły. Duchy przeszłości nie wróżyły dobrze, nie w obozie pracy. Nowi skazańcy nieśli ze sobą nowe porcje problemów, cudzych problemów, nowi strażnicy wymagali poznania nowych zwyczajów i sposobów myślenia. Ten Tampo jednak w jakiś sposób podobał się Styke'owi. Żołnierze potrafili porozumieć się w sposób niepojęty dla zwykłych ludzi. Łączyły ich zwycięstwa, przemoc, a nawet klęski.

– No tak... – Styke dotknął skroni, bardzo ostrożnie, a potem spróbował wstać. Strażnicy niczego mu nie złamali, bo trzeba więcej niż byle pałki, by złamać coś Benowi Styke'owi, ale w głowie kręciło mu się nieznośnie i nie od razu dał radę wyprostować się bez utraty równowagi. Wyciągnął ramiona na boki, palcami dotknął jednocześnie przeciwległych ścian celi. Zatrzeszczał rozciągnany kręgosłup. – Dzięki za chwilę rozmowy. Miło wiedzieć, że ktoś jeszcze pamięta moje nazwisko. Ale lepiej będzie dla ciebie, jeśli się wyniesiesz, nim strażnicy się tu pojawią.

– Ze strażnikami masz na razie spokój.

– Obchody robią dość często.

– Garść krana wywiera odpowiednie wrażenie.

Styke znieruchomiał. Zamrugał szybko, poczuł nieznośny ból za oczami.

– Przyszedłeś zobaczyć się ze mną? – spytał z niedowierzaniem. Jeden ze strażników musiał mocno zdzielić go pałką w głowę. W ciągu dziesięciu lat nikt go nie odwiedził. Nikt.

– Prawdę mówiąc, przyjechałem specjalnie na to twoje przesłuchanie w sprawie zwolnienia warunkowego. – Tampo kilkakrotnie postukał laską w podłogę, bawił się główką i w ogóle

sprawił wrażenie wściekłego na samego siebie. – Ruch był taki, że spóźniłem się o dziesięć minut. Przyjechałem w sam czas, by obejrzeć sobie walkę ze strażnikami.

Jakieś to było dziwne.

– Ja dopiero dziś rano dowiedziałem się o przesłuchaniu. Skąd ty o nim wiedziałeś?

– Mam przyjaciół.

Styke zrobił pół kroku w stronę Tamy. Zatrzymał się tuż przy kracie.

– To nie ty dałeś przesłuchującej mnie urzędniczce tę notatkę?

Tampo się skrzywił.

– Jaką notatkę? – spytał.

Styke miał ochotę powiedzieć mu o notatce z biura lady kanclerz, ale wydawało mu się to obrzydliwie żalosne. Poza tym ten człowiek był jednak obcym, któremu już i tak powiedział za dużo. Lepiej zrobi, jeśli się teraz zamknie. Poczekaj na wyrok administracji obozowej. Przeszedł przez celę tam i z powrotem.

– A więc przekupiłeś straż, żeby móc ze mną pogadać. Zakładam, że nie chodziło ci tylko o pogadanie o wojnie.

– Nie – zgodził się Tampo rzeczowo. – Nie chodziło o wojnę.

– Więc czego ty właściwie ode mnie chcesz?

– Jestem tu, żeby zaoferować ci pracę.

Styke odrzucił głowę i roześmiał się głośno, acz krótko, bo szczeka trzasnęła mu dziwnie, a skronie przeszył ból nie do zniesienia. Skrzywił się, potrząsnął głową i spojrzał Tamie wprost w oczy. Prawnik nadal niedbale opierał się o ścianę korytarza i wyglądał, jakby uznał, że śmieją się z niego, i jakby był tym lekko urażony.

– Na otchłań, ty mówisz poważnie!

– Oczywiście, że mówię poważnie. Nie sądzisz chyba, że przyjechałem do obozu pracy, żeby podowcipkować sobie z człowiekiem, którego cały świat ma za trupa?

– Dasz mi pracę, kiedy stąd wyjdę? – odwdzieczył mu się Styke. – No to długo poczekaś na jej efekty.



– Ależ wręcz przeciwnie. – Tampo spojrział na zegarek. – Jeśli przyjmiesz moją propozycję, spodziewam się, że za piętnaście minut staniesz po drugiej stronie obozowej bramy.

– Gówno prawda. – Jeśli wcześniej Styke czuł coś w rodzaju żołnierskiej więzi z tym mężczyzną i jeśli podobał mu się specyficzny humor ich rozmowy, to teraz nic z tego nie pozostało. Za to pojawił się zimny gniew. Kpiono sobie z niego? W coś z nim pogrywano? Czy ten Tampo był może agentem lady kanclerz, mającym zabawić się kosztem więźnia? To byłoby okrutne, nawet jak na standardy tej kobiety.

– To nie będzie łatwa praca. – Prawnik zachowywał się tak, jakby nie widział groźnego błysku w oczach rozmówcy. – Będą walki, padną trupy, być może rozegrają się nawet prawdziwe bitwy, ale nie spodziewam się, by dla ciebie było to coś nowego. Zakładałem, że stare rany po spotkaniu z plutonem egzekucyjnym nieco cię spowolniły, lecz walka ze strażnikami dowiodła, że poradzisz sobie doskonale. Pozostałeś Szalonym Benem Stykiem.

Styke zawarczał cicho, zwierzęco, z głębi gardła. Z trudem opanował ochotę sięgnięcia przez kraty i ściśnięcia w dłoniach głowy tego człowieka, aż pęknie. Tampo uniósł brwi. Obejrzał go spokojnie od stóp do głów. Tak się ocenia konia na końskim targu.

– Oczywiście. Poradzisz sobie doskonale. Lepiej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Jeszcze jedna sprawa: będziesz narzędziem w moich rękach. Prostym narzędziem, dzięki któremu mam zamiar osiągnąć pewne cele. W niektórych wypadkach to, co będziesz dla mnie robił, może ci się wydawać wstrętne. Mam nadzieję, że nie będzie to dla ciebie problemem?

– Wyciągnij mnie stąd, a zabiję dla ciebie nawet przekłętą królową Novi!

– Doskonale. Straż! – W korytarzu pojawiło się pięciu strażników w żółci. – Bardzo proszę wyprowadzić stąd pana Styke'a. Z góry dziękuję. Panie Styke, mam do załatwienia kilka drobiazgów. Spotkamy się za bramą, dobrze? I proszę do tego czasu powstrzymać się od bójek.

Formalności odbyły się błyskawicznie. Więźnia wyprowadzono z aresztu, strażnicy przeprowadzili go przez obóz, i po chwili stał już przed bramą. Otepiały Styke sztywno przestawiał nogi. Nie wierzył w to, co się działo. Każdy kolejny krok wydawał mu się czymś w rodzaju żartu, a jednocześnie okrutnym atakiem w wojnie psychologicznej. Dawali mu oto posmakować wolności przez chwilę, a ta chwila musiała się zaraz skończyć.

– Ben! – Ten okrzyk obudził go z otępienia. Dołączyła do niego Celine. Próbowwała iść z nim jednym krokiem, ale jednocześnie pozostawać jak najdalej od strażników. – Ben, powiedzieli mi, że wdałeś się w bójkę. Myślałam, że już po tobie.

Styke poczuł, jak nagle ściska go coś w gardle.

– Momencik – powiedział. Zatrzymał się, obrócił do dziewczynki, ale strażnicy szarpnęli go mocno.

– Nie ma mowy – powiedział jeden z nich. – Albo wychodzisz teraz, albo nie wychodzisz wcale.

– Ona – Styke wskazał palcem Celine – idzie ze mną. – Ale dał się pociągnąć do wyjścia. Nieposłuszne nogi same niosły go ku wolności.

– W umowie nie było nic o dziewczynce.

– Nie jest więźniem. – Wbrew woli Styke’a w jego głosie brzmiała rozpacz. – Jej ojciec nim był. Zmarł niedawno, utonął w bagnie. Ona nie odsiaduje kary, trafiła tu z tatą. Mówię prawdę, sprawdźcie w aktach. Wypuście ją!

– Nie ma mowy. – Strażnicy siłą wypchnęli Bena za bramę. Jeden z nich zamknął kratę, drugi przegonił dziewczynkę. Zatrzymała się w bezpiecznej odległości i gapiła na swojego opiekuna z wypisaną na buzi rozpaczą. Była dzieckiem, ale nie głupim dzieckiem. Wiedziała, co ją czeka: coś, przed czym do tej pory miała obronę.

– Daj spokój. Nie zwykłem błagać, ale teraz... bardzo cię proszę. Wypuść dziewczynkę.

Strażnik najpierw sprawdził, czy brama jest dobrze zamknięta, a potem uśmiechnął się do Styke’a kpiąco.

– Złamałeś nogę mojemu kuzynowi. Nie będzie mógł pracować przez wiele miesięcy. Ten twój dzieciak – wskazał Celine kciukiem –

nie przetrwa tygodnia.

Styke sięgnął przez pręty bramy, ale strażnik odskoczył, śmiejąc się szyderczo.

– Jesteś zwykłym mordercą – powiedział. – Wrócisz tu, gdy tylko skończy z tobą ten nadęty prawnik, za parę miesięcy. A komitet powitalny już będzie na ciebie czekał.

Styke uderzył pięścią w pręty, ale potem cofnął się pół kroku. Chodził to w lewo, to w prawo, przyglądając się strażnikom z muszkietami po drugiej stronie, trzymającym broń w pogotowiu. Rozwaliliby cały ten przeklęty obóz, byle tylko dostać Celine.

Wrócił Tampo. Otworzono mu bramę. W rękę trzymał notatkę, tę, którą Raimy otrzymała z biura lady kanclerz.

– O tym mówiłeś? – spytał.

– O tym.

Prawniki podpalił róg kartki zapalką. Trzymał ją, póki nie sparzyła mu palców, a potem rzucił na ziemię.

– To wszystko – oznajmił. – Jeśli chodzi o pracowników obozu, to nigdy nie było żadnej korespondencji z biura lady kanclerz, a ty dostałeś zwolnienie bezwarunkowe w uznaniu nienaganego zachowania. – Otrzepał surdut, sprawdził, czy buty lśnią, jak lśniły, po czym gestem wskazał czekający na nich powóz.

– Jedziemy?

Styke pokręcił głową.

– Zostawiłeś coś tam w środku? – spytał zdumiony Tampo.

– Celine – szepnął Styke. Dziewczynka gdzieś znikła, prawdopodobnie ukryła się przed strażnikami.

– Co?

– Celine – powtórzył Styke. – Bez niej nie wyjadę. Jest tam. – Dostrzegł dziewczynkę obok jednego z budynków administracyjnych. Wyglądała ostrożnie z ukrycia.

Zawsze podziwiał jej niezależność, potrafiła pobić każdego przebywającego w obozie chłopca w swoim wieku i uciec przed nawet najbardziej zdeterminowanymi więźniami, ale teraz nagle

wydała mu się bezradna, zagubiona. Nie zamierzał opuścić obozu bez niej.

– Jedzie ze mną.

Czekał, aż Tampo powie „nie”. Widział to słowo, zawisłe na wargach, gdy prawnik przenosił spojrzenie od niego do małej i z powrotem. Ale nagle krzyknął na strażnika i kazał mu otworzyć bramę. Z ręki do ręki przeszła garść monet. W zaledwie chwilę później Styke siedział już w powozie naprzeciw prawnika, obejmując ramieniem tulącą się do niego dziewczynkę. Ból ran i obrażeń po walce ze strażnikami odpłynął gdzieś daleko, nawet kolano jakby nieco się uspokoiło.

Opuścił wzrok na małą. Trzymała go za rękę, w drugiej dłoni ścisnęła łódkę, którą jej podarował. Potem spojrzał w oczy prawnikowi, jakby chciał go sprowokować do jakiegoś komentarza na temat ich relacji. Strażnicy i więźniowie mieli na ten temat wiele do powiedzenia... a teraz mają pewnie jeszcze więcej.

– Śmierdźcie oboje. – Tampo miał do powiedzenia tylko tyle.

– No dobrze, kogo mam dla ciebie zabić? – spytał Styke.

– Słyszałeś kiedyś o Vlorze zwanej Krzemień?

Styke przypomniał sobie artykuł w gazecie o wojnie kezańsko-adrańskiej. Czytał go dawno temu.

– Jest generałem w armii Adro, prawda?

– Tak, to o nią chodzi. Ale już nim nie jest. Opuściła Adro przed paru laty, kiedy tamtejszy rząd postanowił zredukować liczebność sił zbrojnych. Poszła za nią sama śmietanka i tak powstała Strzelcy Wyborowi, oddział około pięciu tysięcy żołnierzy. Kompania najemników. – Mówiąc to, Tampo cały czas wyglądał przez okno powozu. – Niedawno wezwano ją do Landfall, do uspokojenia rozruchów Palo. Dotrze na miejsce dziś po południu. Chcę, żebyś dołączył do jej kompanii.

– A co każe ci myśleć, że mnie zechce?

– Zechce, jeśli się dowie, kim jesteś. Każdy generał, jeśli jest coś wart, przyjmie Szalonego Bena Styke’a z otwartymi ramionami. Poza

tym przy tłumieniu powstań Palo na pograniczach jej oddział poniósł jednak pewne straty. Musi załatać dziury.

– Jeśli mnie przyjmie, to co? – zapytał Styke.

– Masz być jak najbliżej niej.

– Chcesz, żebym ją zabił? – Styke już o tym myślał. Generał Krzemień była magiem prochowym, a z kimś takim jeszcze nie walczył. Nie miał pewności, czy poradziłby sobie w uczciwej walce. Inna rzecz, że próbę skrytobójstwa trudno nazwać uczciwą walką.

Prawnik uśmiechnął się do Styke'a, ale uśmiech ten nie sięgał oczu.

– Wręcz przeciwnie. Masz utrzymać ją przy życiu. Na razie.

W tych dwóch ostatnich słowach było coś złowrogiego, ale Styke tylko wzruszył ramionami. Nie siedział już za kratami. Nikt nie będzie zmuszał go do ciężkiej pracy. Nie musiał się nawet meldować, jak przy zwolnieniu warunkowym. Delikatnie położył wielką, zniekształconą dłoń na głowie Celine, ostrożnie pogładził dziewczynkę po brudnych, zmierzwionych włosach. Za dar wolności dla siebie i dla niej zabije każdego, kogo mu wskaże ten przeklęty tajemniczy Tampo.



## 6 ROZDZIAŁ

**M**ichel czekał w dokach Dolnego Landfall. W tej chwili przyglądał się rzędowi łodzi, wypływających z kanionu Hadshaw i zmierzających bez pośpiechu do miejsca cumowania, przeznaczonego dla nich przy rynku. Z łodzi tych, długich, w kształcie cygara, płaskodennych, głęboko zanurzonych i zaniedbanych, farba odchodziła płatami. Na ławach siedzieli wioślarze, a na pokładach rządziła ciemnoczerwona i niebieska barwa najemników, których transportowały.

Fatrasta miała długą historię chodzenia do łóżka z najemnikami: od Bruduńczyków, spychających Palo dla zdobycia ich żyznej ziemi, po Skrzydła Adoma, oddział wspomagający rewolucję fatrastańską w walce z Kezem. Lady kanclerz dysponowała nie tylko własnym wojskiem, zatrudniała także oddziały najemne, operujące na całym kontynencie.

Sam Michel z zasady nie ufał nikomu, czyją lojalność można było kupić za stos krana.

– Nie podoba mi się to wcale a wcale – powiedział do siebie i przewrócił oczami. Reakcja na tę uwagę mogła być tylko jedna.

– Ostatnio jakoś nic ci się nie podoba. Lady Krzemień ma doskonałą opinię. Powinieneś cieszyć się, że nie przydzielono cię do jakiegoś dupka.

– Może być dupkiem, niezależnie od opinii. Fidelis Jes miał coś do powiedzenia o jej arogancji.

– Fidelis Jes może mi nas... – Michel przerwał. Nie chciał, by ktokolwiek usłyszał, jak prowadzi ten osobliwy jednoosobowy dialog. – Nie ma chyba dobrej opinii o nikim. Pamiętaj, to takie błahe zadanie. Zajmij się nim, a potem poszukasz tych Żelaznych Róż.

Łodzie zbliżały się powoli. Spływały z prądem, wiosłarze tylko od czasu do czasu zanurzali wiosła, by kontrolować powolny dryf. Wreszcie pierwsza z nich dobiła do brzegu. Jej właściciel wyskoczył, zawiązał cumę i przerzucił trap dla żołnierzy.

Wyładunek rozpoczął się natychmiast. Żołnierze brali plecaki i broń, wychodzili na ląd, prostowali się, przeciągali i formowali grupy, czyli, na to przynajmniej wyglądało, osobne oddziały. Michel stał z boku, z rękami założonymi za plecami, z czarnym melonikiem nasuniętym na oczy dla ochrony przed blaskiem popołudniowego słońca. Dobrze to czy źle, najemnicy raczej go ignorowali. Miał na sobie mundur swojej formacji: czarną koszulę z pasującymi guzikami. W myśli przeklinał tego, kto zdecydował, że Czarne Kapelusze po prostu muszą ubierać się na czarno.

Obserwował podpływające do brzegu łodzie, pierwszą, potem drugą i, coraz bardziej zniecierpliwiony, także trzecią. Do końca dnia przybędzie ich jeszcze kilkadziesiąt, bo tyle potrzebne było do transportu brygady najemników z Dorzecza Tristan. Nie zamierzał czekać tak długo, nie w tym upale.

Cierpliwość, a miał jej coraz mniej, wynagrodziła mu czwarta z łodzi. Rozpoznał pierwszą osobę schodzącą trapem na ląd, znał ją z opisów w aktach Czarnych Kapeluszy.

W lady Vlorze Krzemień wszystko wydawało się zaprzeczać imieniu, na które podobno dobrze sobie zasłużyła. Była to kobieta

niewysoka, drobna, w wieku około trzydziestu lat, z czarnymi włosami związanymi i przykrytymi bikornem. Twarz miała ładną, co prawda spaloną słońcem przez lata służby, ale wcale przez to nie starszą, i niebieskie oczy, patrzące na świat z wyrachowaniem. Mundur, nienagannie wyprasowany mimo spędzonych na łodzi kilku dni, wydawał się być jej drugą skórą. Jedną rękę trzymała na kolbie pistoletu, kciuk drugiej niedbale wsadziła za pas.

Ktoś gorzej poinformowany roześmiałyby się zapewne na myśl o tak niepozornej osobce dowodzącej dużym oddziałem najemników. I czekałaby go nieprzyjemna niespodzianka.

Michel powtórzył sobie w pamięci akta Krzemień. Od razu zauważył, że zawierały bardzo mało informacji poza tymi, które otrzymać można było z oficjalnych źródeł. Bo i była osobą publiczną. Wszyscy wiedzieli o jej zaręczynach z bohaterem wojennym Adro i Fatrasty Tanielem Dwa Strzały, zerwanych na krótko przed śmiercią Taniela w wojnie Adro z Kezem, i o tym, że przed czterema laty porzuciła wielki świat adrańskiej polityki. Jako mag prochowy i przybrana córka marszałka polnego Tamasa stała się wręcz symbolem żołnierza, zapewne najlepszym na świecie.

Michel odchrząknął.

– Dzień dobry, generał Krzemień – powiedział.

Generał przystanęła zaledwie kilka stóp za trapem. Przygięła się w pasie, obróciła, rozległ się głośny trzask kręgosłupa. Westchnęła z ulgą i dopiero wtedy zajrzała pod czarny melonik.

– Dzień dobry. Czy my się znamy?

Michel pokazał jej Srebrną Różę, dyskretnie, i zaraz schował do kieszeni koszuli.

– Agent Bravis, tajna policja lady kanclerz – przedstawił się.

Krzemień uściśnęła podaną dłoń, akurat tak mocno, by zaznaczyć, że ona tu rządzi, ale nie za mocno. Zastanowił się, czy nie ćwiczyła przypadkiem tego uścisku.

– Czarny Kapelusz, co? Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

– Bardzo wątpię, czy jest to rzeczywiście przyjemność. – Michel uśmiechnął się do niej najmilej jak potrafił. – Przysłało mnie tu



biuro lady kanclerz. Będę waszym łącznikiem z rządem. Dopóki oddział stacjonuje w mieście.

– Rozumiem. Ma pan nas mieć na oku, co?

– W największym skrócie, tak. A mówiąc otwarcie, to ja będę przydzielał wam zadania, dopilnuję, żebyście dostali pieniądze, zadbam o wygodny kwaterunek oddziału i zapewnię pomoc Czarnych Kapeluszy, jeśli będziecie jej potrzebowali.

Krzemień uniosła brew.

– To takie... odświeżająco szczere – zauważyła.

– Staram się unikać niedopowiedzeń. Prowadzą do chaosu.

– Marszałek polny Tamas lubił powtarzać, że uśmiechnięty szpieg niczym nie różni się od sprzedawcy dywanów. – Generał Krzemień pociągnęła nosem. – Ale od pana nie czuć taniej pomady i wody kolońskiej. – Jej uśmiech sprawił, że słowa nie brzmiały już tak ostro.

Michel kiwnął się w przód i w tył. On też się uśmiechał, usiłując jednocześnie wyrobić sobie jakąś opinię o pani generał. Uchodziła za twardą, nie na darmo nazwano ją „Krzemień”. Zdziwiło go jednak jej poczucie humoru, wśród wysokich rangą wojskowych mniej więcej tak rzadkie jak latający koń. I z całą pewnością nie wydawała się arogancka. Trzeba będzie bardzo na nią uważać.

– Landfall śmierdzi rozgrzanym gównem i potem – powiedział głośno. – Woda kolońska nic na to nie poradzi. Jest jednak faktem, że kupuję bardzo drogą pomadę. Cieszę się, że zostało to zauważone. Pani generał, bardzo miło byłoby mi prowadzić tak dowcipną rozmowę aż do wieczora, obawiam się jednak, że jestem tu z obowiązku. Rządowego obowiązku.

Krzemień powstrzymała przechodzącego obok żołnierza.

– Zostaw to tutaj, Dobri. Tak, dziękuję. – Znow skupiła uwagę na Michelu. – Oczywiście. Zaskoczyło mnie trochę, że zostaliśmy wezwani tak bezceremonialnie, a jeszcze bardziej zdziwiło mnie wysłanie ludzi po moją piechotę. Z tego, co widzę, nie wynika, by miasto spłonęło do fundamentów. Skąd ten pośpiech?

– Brakuje nam ludzi – wyjaśnił Michel, pamiętając informacje z akt, dotyczące nowych zadań przydzielonych najemnikom. –

W ostatnich miesiącach Palo wszczynali bunty. Nasz garnizon jest w pożałowania godny sposób nieprzygotowany do reakcji na takie zagrożenia. A zalew imigrantów powoduje, że Czarne Kapelusze i regularna policja nie nadążają z wypełnianiem obowiązków.

– Potrzebujecie ludzi? – spytała lady Krzemień z niemaskowanym zdumieniem. – Nie mogliście poczekać tych kilku tygodni, aż wykonamy nasze zadania w Dorzeczu Tristan?

Ktoś gdzieś uznał za wskazane mieć Krzemień w mieście jak najszybciej to możliwe. Michel nie zamierzał kwestionować opinii przełożonych.

– Uznali, że twoja obecność, pani, tutaj jest ważniejsza.

Michel dostrzegł kątem oka schodzącego z pokładu łodzi mężczyznę. Nie rozpoznał jego twarzy, ale srebrna gwiazda w klapie kurtki i to, z jaką pewnością siebie się zachowywał i jak swobodnie, bez wahania podszedł do lady Krzemień, powiedziało Bravisowi, że ma do czynienia z pułkownikiem Olemem. Kolejnym bohaterem wojennym Adro i, jeśli wierzyć plotkom, stałym kochankiem pani generał. Mężczyzna zapalił papierosa, wydmuchnął dym przez nos, otaksował Michela bez pośpiechu od stóp do głów. Krzemień zignorowała jego obecność.

– Więc... co pan dla mnie ma?

– Aresztowanie. – Michel podał jej akta, które dostał do przekazania rano.

Olem aż zakrztusił się dymem z papierosa.

– Ściągnęli tu całą naszą armię, żeby kogoś aresztować? – Wyjął dokumenty z rąk pani generał, zaczął je gorączkowo kartkować.

Michel przyjrzał się schodzącym na ląd żołnierzom. Musiał dobrze dobrać słowa, nim odpowie pułkownikowi. Był tu, żeby przekazać rozkazy. Nie oznaczało to, że rozkazy musiały mu się podobać.

– Palo byli kiedyś niezorganizowani, ot, plemiona i miasta-państwka, rozrzucone po całej Fatraście. Walczyli ze sobą zażarciej niż z Kresjanami. Koloniom zagrażali w minimalnym stopniu.

– Na pograniczu w dalszym ciągu tak to wygląda – zauważyła generał.

– Ale w Landfall już nie. Tu są zorganizowani. Potrafią być skuteczni. Bojownicy o wyzwolenie, tacy jak Czerwona Ręka, wysyłają tutaj swoich agentów. Ich misją jest inicjowanie i podtrzymywanie protestów. Uderzają planowo i nie wycofują się od razu. Palo z Landfall zbuntowali się przeciw lady kanclerz.

– Nie podoba mi się, do czego to prowadzi – oznajmiła generał Krzemień.

Michel uniósł dłoń w uspokajającym geście.

– Nie prosimy was, żebyście zabijali ludzi na ulicach. Lady kanclerz nie ma żadnego interesu w prowokowaniu wojny z własnym ludem. Macie aresztować miejscowego przywódcę.

– Jedną osobę? – spytała Krzemień głosem bez wyrazu. – Sądzę, że coś takiego nie przekracza kompetencji Czarnych Kapeluszy.

Michel spojrzał jej w oczy.

– Osobiście bardzo żałuję, że nie jest to takie proste. Nikt nie wie, gdzie kryje się Mama Palo ani jak wygląda. Jest duchem. Wszystkie próby zatrzymania jej kończyły się niczym. Fiaskiem, mniej lub bardziej kosztownym. Wiemy tylko, że to stara kobieta i że udało się jej zjednoczyć podwładnych Palo.

– Chcecie dostać od nas jakąś babcię, żebyście mogli ją powiesić?

– Odciąć łeb węża – wyjaśnił Michel. – Eliminacja Mamy Palo spowoduje, że krajowcy znów będą walczyć między sobą, a wówczas Czarne Kapelusze uspokoją miasto.

Przynajmniej taka jest teoria, pomyślał.

Generał zastanawiała się kilka chwil nad jego słowami. Bravis zrozumiał, że sam pomysł nie przypadł jej do gustu. Popatrzyła na Olema, Olem odpowiedział jej spojrzeniem, widać było, że porozumiewają się bez słów.

– Jest jakiś powód, dla którego ściągnęliście tu całą brygadę – powiedział pułkownik.

– Owszem – przyznał Michel bez wahania. – Wiecie coś o Ognistej Jamie?

– Tyle co nic – przyznała Krzemień.

– To taka dziura w ziemi. Wielki starożytny kamieniołom po zachodniej stronie płaskowyżu. Ma niemal milę średnicy. W środku stoją stare budynki, po brzegi wypełnione Palo. Palo mają tam domy, kościoły, prowadzą interesy. Żaden myślący Kresjanin nie odwiedzi Ognistej Jamy po ciemku, a Czarne Kapelusze wchodzą tam tylko w grupie. Mama Palo ukrywa się gdzieś tam, w tym gnieździe szczurów. Potrzeba armii, żeby ją znaleźć i wyciągnąć na światło dzienne.

Michelowi wydawało się jednak dziwne, że Fidelis Jes ściągnął do miasta tylu żołnierzy, i to dla aresztowania jednej osoby. Ale Palo sprawiali naprawdę poważne problemy, a poza tym mogło się wydawać, że Jesowi chodziło właśnie o to, by Krzemień rozpoczęła rzeź na ulicach. No, ale o tym nie miał zamiaru mówić głośno.

– Brzmi to tak, jakbyś kazał mi dokonać inwazji na własne miasto – zauważyła generał.

– Lady kanclerz pozostawia szczegóły operacji wam. – Michel uśmiechnął się sztucznie. Cały ten plan raczej mu się nie podobał, mógł się tylko cieszyć, że nie on go realizuje. – W Jamie możecie robić, co się wam podoba, byleście nie spalili dzielnicy do fundamentów.

– Prawdziwy pech, że to najlepszy sposób na znalezienie igły w stogu siana – burknęła Krzemień. – Założywszy, że się zgodzimy... jakiego wsparcia możemy się po was spodziewać?

– Dostaniecie pełny dostęp do posiadanych przez nas informacji. Oraz wsparcie logistyczne: żywność, kwaterunek, amunicję, wszystko, czego potrzebujecie. Zgadzamy się także zapłacić wam za cały rok.

– Brzmi nieźle – zauważył Olem.

Najwyraźniej jego zdanie przeważało.

– W porządku – powiedziała pani generał. – Ile mamy czasu?

– Miesiąc. Chociaż lady kanclerz byłaby zachwycona, gdybyście znaleźli Mamę Palo przed upływem miesiąca.

– Potrzebujemy wszystkiego, co wiecie o tej Jamie. Mapy, informacje o frakcjach, o prowadzonych tam interesach. Powtarzam: wszystkiego, co możecie nam dać.

– Załatwione – obiecał Michel. – Mamy tam kilku agentów, poznacie ich. – Wyjął z kieszeni kwadratową wizytówkę, wręczył ją generałowi. – Tu zawsze mnie znajdziecie. Będę sprawdzał, co u was, tak często, jak tylko dam radę. Mogę zrobić coś jeszcze?

General Krzemień przesunęła palcem po tłoczonych krawędziach kartonika. Zmarszczyła brwi.

– Mam jedno pytanie. Może słyszałeś kiedyś o Palo ubranych w skórę smoka bagiennego, uzbrojonych w kościane topory?

– Nie – przyznał Michel po chwili zastanowienia. Pytanie generała obudziło jakieś wspomnienia, może o bajce, którą mu opowiadano w dzieciństwie, ale o takim Palo nie mógł powiedzieć nic konkretnego. – Nie, nic nie wiem. Skąd to pytanie?

– Starliśmy się z jednym z nich, tłumiąc powstanie w Fort Samnan. Walczył jak szalony, zabił i poranił prawie czterdziestu moich ludzi. Nie widziałam, by jeden człowiek dokonał czegoś podobnego, chyba że mag prochowy albo Uprzywilejowany.

Agent tylko wzruszył ramionami. Brzmiało to jak jakiś nonsens. Opowieści z frontu ubarwiali wszyscy, choćby byli nie wiedzieć jak rozsądni. Niech sobie będą barwne, nie zamierzał tego sprawdzać. Zresztą nawet gdyby odpowiadały prawdzie, to już nie jego sprawa. Jego sprawą było Landfall i obywatele miasta, a nie coś, kto wie jak obrzydliwego, żyjącego gdzieś na bagnach.

– Muszę wracać do pracy – oznajmił. Wskazał wizytówkę, którą generał Krzemień nadal trzymała w palcach. – Jeśli będziecie czegoś potrzebować, zgłóście się do mnie.

Pożegnał się i znikł wśród żołnierzy, kręcących się tu i tam po brzegu i ciągle wysiadających z łodzi. Przechodząc przez rynek, przestawił się w myślach z jednego zadania na inne. Wyszedł na ulicę, nie myśląc już o najemnikach. Uznał, że generał Krzemień może sama zająć się sobą i przydzielonym obowiązkiem. Znalezienie Żelaznych Róż tak szybko, by ucieszyło to Fidelisa Jesa, zajmie

Michelowi cały posiadany czas. I przy okazji z pewnością będzie musiał wkurzyć parę osób.



Vlora odprowadziła wzrokiem agenta Czarnych Kapeluszy, a potem spojrzała na Olema.

– Co o tym myślisz?

Pułkownik palił papierosa, przeglądając wycinki, które Czarny Kapelusz dał Vlorze.

– Nie najgorszy facet... jak na szpiega.

General zmarszczyła brwi. Patrzyła na Michela, znikającego w targowym tłumie.

– Mnie wydał się bardziej biurokratą. Myślisz, że marnowaliby na nas prawdziwego szpiega?

– Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Zwróciłaś uwagę na jego twarz? Gładko ogolona, przeciętna, zwykła. Myślisz, że mogłabyś mi go opisać? Spróbuj, przecież odszedł przed chwilą.

– Nie – przyznała Vlora po chwili zastanowienia. – Rzeczywiście, nie potrafię go opisać.

– Nikt o takiej zwykłej gębie nie pracuje dla Czarnych Kapeluszy przy biurku. A Srebrna Róża? To mniej więcej pośrodku ich hierarchii. Ktoś w jego wieku mógł ją dostać, ale pod warunkiem, że wykazał się czymś wyjątkowym.

– Nie wiedziałam, że oni mają jakieś stopnie – przyznała general.

– Są Róże Żelazna, Brązowa, Mosięzna, Srebrna i Złota. Ale z tego, co wiem, ich system jest dziwny. Złote Róże sprawują władzę, rządzą pozostałymi. Zupełnie jak w Najemnym Oddziale Strzelców Wyborowych. – Pułkownik uśmiechnął się szeroko. – Rządzi lady Krzemień, a my wykonujemy jej rozkazy... niezależnie od rangi.

Vlora zabrała mu papierosa. Zaciągnęła się głęboko, wydmuchnęła dym w stronę morza. Miała wreszcie okazję obejrzeć, gdzie wylądowali: na skrawku lądu wciśniętego między płaskowyż Landfall i zatokę. Za ich plecami płynęła rzeka Hadshaw, której

kręte koryto dzieliło Landfall na dwie części. Przed nimi Hadshaw wpadała do obszernej, spokojnej zatoki, odgradzonej od oceanu naturalnymi i sztucznymi falochronami. Powietrze przesycił zapach soli, nad głowami krzyczały mewy. Dalej, za wąską zatoczką, w której wylądowały łodzie, z głębokiej wody wyrastały masywne nabrzeża, przy których cumowały statki oceaniczne, a naprzeciw stał Fort Nied, antyczna forteca częściowo zniszczona w rewolucji fatrastańskiej.

– Dowiedz się o nim czegoś więcej – poleciła Vlora. – I zdobądź wszystkie możliwe do zdobycia informacje o tej Ognistej Jamie i o Mamie Palo. Czarnym Kapeluszm możemy ufać tylko na tyle, na ile mają w naszych sprawach własny interes, a we własnym interesie mogą na przykład cenzurować dostarczane nam informacje. Chcę wiedzieć, jak to naprawdę wygląda.

– Zajmę się tym – obiecał jej Olem.

– A gdzie nasza kawaleria?

– Nie mam wiadomości od majora Gustara, ale jakoś wątpię, by Landfall utrzymywało w stałej gotowości stajnie dla tysiąca koni. Wyślę im wiadomość, żeby rozbili obóz na północ od miasta. Tam będziemy dostarczać im zapasy. Pozostaną w pobliżu.

Vlora chciała mieć wszystkich swoich ludzi pod ręką, a będzie musiała poradzić sobie wyłącznie z piechotą. Nagle ogarnęło ją zdenerwowanie. Powieka w kąciku oka zaczęła jej drgać, jak przed bitwą, której wynik był niepewny.

– Nie chcę żadnych niespodzianek – oznajmiła, przyciskając powiekę palcem. – Poszukaj też paruset ludzi, musimy uzupełnić stan po ostatnich stratach w Dorzeczu Tristan. Wolałabym Adrańczyków.

– Da się zrobić.

– Dziękuję ci. – Nie maskowała niepokoju, był wyraźnie wypisany na jej twarzy. – Powiedz mi – poprosiła pułkownika – że nie posadziłam nas na beczce prochu i nie podpaliłam lontu.

– Nie posadziłaś nas na beczce prochu i nie podpaliłaś lotu.

– Kłamiesz?

Olem wydawał się zamyślony. Odwrócił się tyłem do wiejącego od morza wiatru, zapalił papierosa.

– Mniej więcej – powiedział.

– Też mi dodałeś odwagi!





## 7 ROZDZIAŁ

**S**tyke odwrócił się tyłem do ulicy. Udał zaciekawienie drobiazgami wyłożonymi na jarmarcznym kramie, by nawet przypadkiem nie zainteresować przechodzącego obok Czarnego Kapelusza. Pozostał zgarbiony, z czapką nasuniętą głęboko na oczy długo po tym, gdy agent znikł w tłumie. A potem powrócił do obserwacji adrańskich najemników, rozładowujących łodzie.

Przed zaledwie godziną udało mu się znaleźć w starej gazecie artykuł o Strzelcach Wyborowych, z którego dowiedział się więcej, niż mógł mu powiedzieć Tampo. Formacja narodziła się jako osobista straż marszałka polnego Tamasa w wojnie Adro z Kezem, by ostatecznie osiągnąć liczebność brygady, w której służyli najlepsi z najlepszych. Gdy adrański rząd postanowił o zmniejszeniu armii, generał Krzemień zaoferowała swym ludziom możliwość zostania najemnikami. Zgodzili się prawie wszyscy i wraz z nią opuścili kraj.

Styke uważnie obserwował twarze strzelców, studiował ich język ciała, badał umundurowanie i broń. Nie dało się ukryć, że mu imponowali. Byli zabójcami. Byli prawdziwym wojskiem. Takim,

które potrafiło napluć w twarz królowi Kezu i dziesięć lat temu przegnać z Adro jego wielką armię.

Teraz musiał znaleźć sposób, by do nich dołączyć.

Pamiętał, jak to jest, pracować z prawdziwymi żołnierzami. Pamiętał, jak to jest mieć za sobą lansjerów, czuć zapach prochu po oddanej na komendę salwie, pamiętał Deshnera zrywającego się do galopu i trzystu pancernych kawalerzystów, uderzających z flanki. Pamiętał, jak rozsypywały się szyki wroga – zawsze się rozsypywały – i jak Szaleni Lansjerzy polowali na jego oficerów niczym na łowną zwierzynę.

Zwrócił uwagę na tych dwoje, z którymi rozmawiał Czarny Kapelusz. Domyślał się w nich generał Krzemień i pułkownika Olema. Stał w pewnej odległości, ale i tak nos mu drgnął. Styke miał dar, pomniejszą magiczną Zdolność: wyczuwał obecność magii. W obozie na nic mu się ona nie przydawała, żaden człowiek obdarzony jakąś użyteczną magią nie trafiał choćby w pobliże obozu pracy. Otulający postać pani generał zapach siarki zdradzał obecność maga prochowego tak pewnie, jak smród gówna zdradza obecność wychodka.

Olem także wydzielał woń magii, choć w znacznie mniejszym natężeniu. Był to zapach żyznej, świeżo obróconej ziemi. Pułkownik, jak Styke, miał swoją Zdolność. Trzeba było się dowiedzieć jaką.

– Hej – odezwał się jakiś głos. – Długo masz zamiar tak tu stać? Blokujesz dojście. Kupujesz czy nie?

Styke odwrócił się. Czerwony na twarzy mężczyzna z długą brodą, w fartuchu, gapił się na niego zza jednego z rozkładanych na targu stołów. Na jego blacie leżały wyłożone zioła, korzenie, grzyby i trufle, a nad nim wisiał szyld: APTEKA OPPENHEIMA.

– Celine! – Styke przypomniał sobie o dziewczynce, obejrzał się przez ramię. Dostrzegł ją dwa kramy dalej, wpatrzoną w skrzynię jabłek, chodzącą tam i z powrotem pod czujnym spojrzeniem handlarza owocami. Miała nowe ubranie: spodnie, koszulę oraz czapeczkę. Stara kobieta z pobliskiej łaźni domyła z brudu jej twarz

i ręce. Celine wyglądała prawie jak normalne dziecko, a nie dzikie stworzenie, które adoptował w obozie.

Handlarz owocami nie spuszczał z niej oka. Próbował odpędzić dziewczynkę, machał rękami, najwyraźniej był pewien, że będzie chciała go okraść. Celine podeszła do skrzyni, pokazała kramarzowi język i zgarnęła szmacianą lalkę z sąsiedniego stołu. Tak go tym zdumiała, że zaniemówił. Głos odzyskał dopiero, gdy dziewczynka znikła w tłumie.

– Hej, ty, duży! Słyszysz, co do ciebie mówię?

Aptekarz przywołał go do rzeczywistości. Styke przyjrzał się korzeniom. Wskazał jeden z nich.

– Czy to guma rogową?

– Oczywiście. – W jednej chwili aptekarz przemienił się z rozzłoszczonego handlarza w sprytnego człowieka interesów. Jednym spojrzeniem ocenił wartość blizn na twarzy klienta i to, że Styke wyraźnie kulał. – Najlepszy na całym świecie środek przeciwbólowy. Pomaga na wszystko.

– Jest świeża?

– Ależ oczywiście! – oburzył się aptekarz.

Podobnie jak Celine, Styke też doprowadził się do porządku. Zgolił brodę, przyciął włosy, wykąpał się, doczyścił i nawet wziął masaż. Nowe ubranie było na niego trochę za ciasne, ale krawiec nie miał niczego gotowego we właściwym rozmiarze. Trzy komplety były w tej chwili szyte, miał je odebrać jeszcze w tym tygodniu. Czuł się jak nowo narodzony, ale też niepewnie, bezdomny kundel na wolności, lecz taki, którego każdy policjant w każdej chwili mógł z powrotem zapakować do obozu.

Wyjął z kieszeni zwitek krana, które dostał od Tamy. Targował się chwilę, po czym wziął od aptekarza cały korzeń.

– Teraz powinienes zaparzyć mały kawałek jak herbatę...

Styke odgryzł kawałek korzenia długości kciuka. Guma rogową była przeraźliwie kwaśna, jakby wsadził sobie w usta kilka cytryn naraz. Poczuł, jak drży mu policzek, niemal natychmiast stracił czucie w prawej połowie twarzy. Powoli po jego ciele rozlało się miłe

mrowienie, a kiedy wydał nogom polecenie: „idziemy”, usłuchały go niemal natychmiast.

– Świeża. Święta prawda – upewnił aptekarza, który gapił się na niego, zdumiony.

Celine znalazł przy następnym kramie. Przyglądała się wyłożonej na nim sukience. Wziął dziewczynkę za rękę, poczuł kształt skradzionej lalki w kieszeni spodni. Odciągnął Celine od stołu szwaczek.

– Możesz kraść – powiedział cicho – ale jeśli cię złapią, wrócisz do obozu pracy. A ja nie poproszę już Tamy, żeby ci pomógł.

Celine wyzywająco uniosła główkę.

– Nie złapią mnie. Tata był najlepszym złodziejem w Landfall.

– I co się z nim stało?

Spojrzała na niego ponuro kątem oka.

– Bagno go wciągnęło. W obozie pracy.

– No właśnie. Zapamiętaj to sobie.

Załoczył jej na głowę swoją czapkę, zdrową ręką chwycił za koszulę na karku i bez wysiłku posadził dziewczynkę na barana. Zastanowił się przelotnie, jak też wyglądali, mała dziewczynka w chłopięcym stroju siedząca na ramionach wielkoluda, chudą rączką obejmująca go za szyję, pod pokrytą bliznami głową.

– Pamiętasz miasto? – spytał.

– Tak – przytaknęła rzeczowo. – Tata był w obozie tylko sześć miesięcy, nim się utopił. Wszędzie chodziliśmy razem, więc dobrze pamiętam wszystkie dzielnice.

– To dobrze, bo mnie bardzo długo tu nie było. Miasto wydaje mi się inne... Jak stare siodło, które sprzedałem dawno temu, a teraz odkupiłem. Chociaż rynek – uczynił szeroki gest ręką – został taki, jak był. – Wskazał wschodnią, nachyloną część płaskowyżu. – Ale ta droga jest nowa, tamta też. A starą, do odlewni, poszerzono. Wszystko jest... nie tak.

– Tata mówił, że to się nazywa postęp. Lady kanclerz burzy stare budynki i buduje nowe. Całe kwartały naraz.

– Nie wymawiaj przy mnie tego słowa!

– Jakiego słowa?

– „Postęp”. „Gówno” możesz mówić, i „niech będzie przeklęty”, i „na otchłań”, ale dla mnie „postęp” to przekleństwo. Głupie słowo ociekające krwią. – Styke pokręcił głową, czując, jak Celine zaciska ramię na jego szyi. – Lindet chce odbudować miasto na swoje podobieństwo, ale to na pokaz. Ściana frontowa. Wybudowała jakieś nowe domy w Ognistej Jamie?

– Nie – odparła Celine.

– Tak myślałem. – Styke przywołał przed oczy zapamiętany plan miasta. Początkiem Landfall był fort, postawiony na podzielonym na dwie części skalnym płaskowyzu, wyniesionym blisko dwieście stóp nad obszar zalewowy wschodniego wybrzeża Fatrasty. Podczas rządów Kezu miasto wypełniło płaskowyz i wylało się na równiny od Ramienia Novi na południu po obozy pracy, pobudowane na bagnach północy. Na „frontową ścianę”, jak lubił ją nazywać, składały się zatoka, port, centrum przemysłowe, rezydencje bogaczy i gmachy rządowe, stojące na płaskowyzu. „Ścianę tylną” stanowiły ciągnące się milami w kierunku zachodnim dzielnice biedoty, w tym stare dynizyjskie kamieniołomy, znane dziś pod nazwą Ognistej Jamy. W czasie wojny nikt się nimi nie zajmował.. i tak zostało. Pewne rzeczy się nie zmieniają.

Raptem Styke dostrzegł stojący na rogu placu targowego mały budynek. Z kilku kominów bił w górę dym, szyld zaś głosił: FLES I FLES PŁATNERZE – NAJLEPSZE MIECZE.

– Pamiętasz, czym się najczęściej zajmowałaś w obozie? – spytał dziewczynki.

– Stałam na czujce.

– Tak. Teraz też będziesz to robić, tylko że będzie ci trudniej. Nie jesteśmy już w obozie, nie wszyscy tu są wrogami.

– Więc powinno być łatwiej.

– Masz prawo tak myśleć, tylko że nie będziesz wiedziała z góry, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Każdy, kogo zobaczysz, może być tym albo tym, będziesz sama musiała to ocenić.

– Tata powtarzał, że nikomu nie można ufać.

– Niektórym trzeba zaufać... raz na jakiś czas. Bo inaczej po co żyć?

– Skąd mam wiedzieć, czy ktoś jest moim przyjacielem? – spytała dziewczynka.

Byli już blisko kuźni. Styke ściągnął Celine z ramion i postawił na ziemi.

– Na razie ja ci będę mówił, co i jak, ale świat jest wielki, więc w końcu będziesz musiała decydować sama. Nauczysz się ufać instyktom.

– To potrafię. – Celine dumnie uniosła głowę.

Styke poklepał ją po głowie.

– Wiem. No chodź. Tam idziemy, muszę się z kimś zobaczyć.

– Czy to przyjaciel, czy wróg?

Nad tym Styke musiał się chwilę zastanowić.

– Przyjaciel – zdecydował. – Mam nadzieję.

Handlarz bronią dysponował długim, wąskim stoiskiem obróconym frontem do ulicy. Kilku młodych chłopców sprzedawało z niego wszelkiego rodzaju broń białą. Przy ladzie było tłoczno. Styke przepchnął się do pierwszego rzędu. Poszukał wzrokiem czegoś, co pasowałoby mu przy jego rozmiarach. Niczego takiego nie znalazł.

– Od kiedy to Fles i Fles przyjmują terminatorów? – spytał głośno.

Dwaj chłopcy wymienili zdziwione spojrzenia.

– Od siedmiu, ośmiu lat – odpowiedział starszy.

Niektóre rzeczy jednak bardzo się zmieniają, pomyślał Styke.

– Szukam Ibany ja Fles – powiedział.

– Ibany nie ma. Od paru tygodni. Pojechała do Redstone odebrać ładunek rudy.

Styke jęknął głośno z rozczarowania, a może było to westchnienie ulgi? Sam nie miał pewności.

– A stary? Żyje i pracuje?

– Pan Fles jest na zapleczu.

– W porządku. – Styke obszedł ladę i znikł z tyłu stoiska, ignorując protesty uczniów. Celine szła za nim krok w krok.

Kuźnia była dobrze oświetlona, miała duże okna i strategicznie rozmieszczone dziury w dachu. Cztery miechy pracowały jednocześnie przy czterech piecach, z których każdy obsługiwało trzech terminatorów. Huk młotów kujących stal ogłuszał. Styke odsunął zasłonę z tyłu kuźni. Zajrzał do warsztatu.

W fotelu spoczywał stary mężczyzna wzrostu najwyżej pięciu stóp, o zapadłych policzkach, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Jego długie wąsy drżały, mężczyzna kołysał się w przód i w tył, chrapiąc tak głośno, że mógł konkurować z hałasem dobiegającym z kuźni. Styke przyglądał mu się w milczeniu. Uśmiechnął się nieznacznie.

Były chwile, kiedy wątpił, czy kiedyś zobaczy jeszcze tego starca. Przyłożył palec do ust. Skinął na Celine, by weszła do warsztatu i zasunęła za sobą zasłonę. Wyciągnął ręce, sięgając ucha śpiącego, a gdy znalazły się blisko niego, klasnął ze wszystkich sił tak mocno, że prawa, ranna, bardzo go zabolęła.

Stary Fles omal nie wyskoczył z fotela. Machał ramionami i byłby fiknął kozła do tyłu, gdyby Styke nie złapał go w ostatniej chwili.

– Na Kresimira! Kto to... Co to... Co ty tu robisz? Nie widzisz, że jestem zajęty? To poważne sprawy. Wezwę... Już wzywam... – Fles przytomniał powoli, wreszcie zdołał skupić wzrok na gościu. Pomacał fartuch, sięgnął do kieszeni, wyjął z niej okulary i nasadził je na grzbiet nosa. – Benjamin? – spytał z niedowierzaniem. – Benjamin Styke?

– Zgadłeś.

Fles siedział i przez długą chwilę tylko mrugał. Otworzył usta, zamknął je, wyraz zdumienia powoli zniknął z jego twarzy, ustępując miejsca irytacji. Zupełnie jakby patrzył na z trudem tolerowanego kundla, który nie uciekł jednak na zawsze.

– Myślałem, że cię zabili.

– Próbowali. Dwukrotnie.

– Na Kresimira. Gdzieś ty się podziewał?

– W obozie pracy.

– Ostatni raz słyszałem o tobie, kiedy stawiali cię przed plutonem egzekucyjnym. Nawet nie napisałeś. Ibana cię zabije. – Te trzy zdania wypowiedział szybko, jednym tchem.

– Stawiali. Nie pozwolili mi pisać.

– Dla niej nie będzie to miało znaczenia, wiesz?

– Wiem. – Styke westchnął ciężko.

Fles spojrział na dziewczynkę.

– A to kto? – zainteresował się.

– Moja towarzyszka, Celine. Celine, to Stary Fles. Robi najlepszą broń białą w Fatraście.

– Nie doceniasz mnie, chłopcze. Jestem najlepszy na świecie.

Celine przyjęła jego słowa więcej niż sceptycznie.

– Jesteś kowalem? – upewniła się.

– Kowalem? – Fles aż prychnął z obrzydzeniem. – Czy wyglądam, jakbym kuł podkowy i wyrabiał zabawki? Ja tu handluję śmiercią, panienko! Najbardziej wyrafinowaną śmiercią w całym naszym świecie. – Fles sięgnął nad stołem warsztatowym po wiszące na ścianie ostrze. Był to krótki miecz, prosty i elegancki, ze srebrną gardą i srebrnymi nitami na głowicy. Podstawił mieczyk pod nos dziewczynki. – Moje najnowsze dzieło – pochwalił się. – Praca przy nim zajęła mi osiem miesięcy.

– Naprawdę? Nie wygląda.

– Miecz nie ma wyglądać! Bez znaczenia, czy jesteś dzieckiem, czy masz siedem stóp wzrostu, wyważenie jest idealne. Waży tyle co nic, a mimo to można bić nim mocno. W tej broni jest magia!

– A stać na nią wyłącznie książęta – westchnął Styke. – Trzech królów Dziewięciu nosi miecze Flesa.

– Dwóch – poprawił stary. – Marszałek polny Tamas stracił głowę Manhoucha do koszyka, mówię na wypadek, gdybyś nie wiedział.

– Dziesięć lat temu. Od czasu do czasu dostawałem gazety.

– Tylko dwóch królów – westchnął Fles, odwieszając mieczyk.

Styke przyglądał mu się przez kilka chwil, nie zwracając najmniejszej uwagi na dobiegające z kuźni hałasy. Wiele lat spędził w tym małym warsztacie, przyzwyczał się do huku młotów, przestał



go słyszeć. Wiązały go z nim wspomnienia, zarówno dobre, jak i złe. Opanował się, wygnał je z pamięci.

– A więc siedziałeś w obozie pracy i wyszedłeś z niego żywy? No to co ty tutaj robisz? Ibana pojechała do Redstone, jeśli to jej szukasz.

– Potrzebuję broni. Czegoś tańszego niż to.

– Gdybym dał ci coś mojego – prychnął Fles – dla ciebie to by była wykałaczką. – Postukał się w skroń z namysłem, syknął przez zaciśnięte zęby. – Ach, chyba coś mi się przypomniało... – Pochylił się, sięgnął pod stół, chwilę szukał czegoś w znajdujących się tam skrzyniach, aż wyciągnął długi pakunek. Rozwinął, z dumą podał Styke'owi ostrze. – Nie mam pojęcia, dlaczego go zatrzymała. Zrobiła wiele lepszych.

Nazywano to „nożem boz”, od wynalazcy, ale większość ludzi określenie „nóż” bardzo by zdumiało. Miecz miał stałe ostrze. Liczył sobie trzydzieści dwa cale od lekko zakrzywionego, obusiecznego czubka po jelec z twardego drewna. Garda wykuta została ze stali, w miejscu styku z głownią widać było rudą plamkę zaschniętej krwi, prawdopodobnie kezańskiej. U spodu rękojeści znajdowała się punca ze znakiem twórcy i nazwiskiem „Fles”. Styke wysunął broń z pochwy, sprawdził klingę. Poszukał wzrokiem plam rdzy, śladów zaniedbania, ale nie, miecz był świeżo naostrzony i naoliwiony. Pocałował punce, przypasał pochwę. Przełknął, gardło miał suche ze wzruszenia. To była jego broń.

Nie skomentował uwagi Flesa. Zaciekawilo go, w co owinięty był miecz. Okazało się, że to spłowiała żółta kurta kawaleryjska, z gwiazdą pułkownika nadal w klapie. Jedna z kieszeni wydała mu się cięższa. Wywrócił ją, na dłoń wypadł srebrny łańcuszek z przyczepionym do niego dużym ciężkim pierścieniem, z oczkiem przedstawiającym czaszkę rozmiaru kciuka, przebitą lancą na tle powiewającej flagi. Symbol Szalonych Lansjerów. Oblizał wargi. Z wielkim szacunkiem odczepił pierścień z łańcuszka i wsunął go na serdeczny palec prawej ręki. W milczeniu zwinął kurtkę, wsadził ją sobie pod pachę.

– Zabierz to – powiedział Fles. – Mam tu za wiele śmieci. Ale Ibaną posika się z wściekłości, kiedy zobaczy, że go nie ma. – Uśmiechnął się złośliwie, zaraz jednak spoważniał.

– Dziękuję ci – powiedział Styke.

– Zabije cię – ostrzegł go płatnerz.

Styke zlekceważył ostrzeżenie.

– Nadal potrafisz słuchać jak niegdyś? – spytał.

– A o co chodzi?

– Potrzebuję informacji.

– Ba! Nie handlowałem informacjami od wojny. – Stary przyjrzał się gościowi uważnie, przede wszystkim jego bliznom. – Ale głuchy też nie jestem. Czego potrzebujesz?

Styke zastanowił się, co powinien zrobić. Patrzył na wiszące na ścianie miecze. Słowa, które miał wypowiedzieć teraz, mogły mieć bardzo poważne konsekwencje. Wciągnięciem Starego Flesa w prywatną zemstę mógł wydać na niego wyrok śmierci, a Ibaną z pewnością by go za to zabiła. Ale potrzebował pomocy.

– Czarne Kapelusze – powiedział. – Są tak potężni, jak byli podczas wojny?

– Jeśli nie bardziej – prychnął Fles. – To przez nich przestałem handlować informacjami. Jeśli handlujesz tym towarem w Landfall, handlujesz dla nich albo wcale, a mnie to nie interesowało. W czasie wojny byli oprychami i szpiegami, ale teraz... – Fles przerwał, po czym dokończył: – Lepiej trzymaj się od nich z daleka.

– Sprawiają ci jakieś kłopoty?

– Co parę miesięcy płacę im odrzutami. Ich średni szczebel, biurokraci mają się czym chwalić, ostrze Flesa, ho, ho, ho, a mnie to nie psuje wizerunku.

Styke nie mógł się nie uśmiechnąć. Płatnerz starzał się, owszem, lecz nadal był ostry jak jego dzieła. Zaraz jednak spoważniał.

– A... a Fidelis Jes?

Fles skrzywił się, jakby rozgryzł cytrynę.

– Nadal rządzi Czarnymi Kapeluszymi. I nadal jest tak samo okrutny. Co kilka miesięcy pojawia się w gazetach, na plotkarskich

kolumnach, bo regularnie zabija kogoś ważnego. Zdaje się, że to go zachwyca.

– Lindet pozwala mu zabijać bez konsekwencji? – Styke’a bardzo to zdziwiło.

– Nie całkiem – przyznał Fles. – Jes zostawia sobie czas w kalendarzu spotkań. Na pojedynki, co najmniej jeden dziennie. Każdy może go wyzwać, byle nie używał broni palnej i magii. Jest tak znienawidzony, że pojedynki ma umówione na wiele tygodni naprzód. Nigdy nie przegrywa.

Styke zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

– Chcesz powiedzieć, że mogę tak po prostu pójść i wyzwać go na walkę na śmierć i życie? – To wydawało się nazbyt łatwe.

– Nie bądź głupcem – prychnął Fles. – Nigdy nie wyzywaj nikogo do walki na jego terenie. Poza tym wyglądasz, jakbyś wpadł pod armijny wóz transportowy, a Jes jest bardziej niebezpieczny niż kiedykolwiek. – Stary pomachał Styke’owi palcem przed nosem. – Nie poddaj się pokusie albo powiem Ibanie, a ona nasika na twój trup.

– Nie jestem głupcem. – Mimo to czuł pokusę. – Ucieszyłoby mnie raczej zaskoczenie na twarzy Jesa, gdyby obudził się w środku nocy i poczuł, jak moje palce zaciskają się na jego gardle.

– Teraz dobrze myślisz – pochwalił go Fles. – Choć tej szansy możesz nigdy nie dostać. Czarne Kapelusze reagują na zagrożenie z brutalną skutecznością. Powinieneś trzymać się od nich z daleka i trzymać się z daleka od Fidelisa Jesa.

Styke przypomniał sobie zadanie zleczone przez Tampe.

– Dobrze. Na razie będę trzymał się z daleka. Ale nie jestem w stanie o nich zapomnieć.

– Jedyna nadzieja, że masz bardzo dobry powód.

– Jes ingerował w przesłuchanie, po którym miałem dostać zwolnienie warunkowe. Próbował mnie go pozbawić. Nie wiem dlaczego, ale jeśli wiedział, że jestem w obozie, to być może właśnie on mnie tam wpakował. A nawet jeśli nie, to wie kto. Jestem mu za

to coś winien. Za to – podniósł niesprawną dłoń do rany po kuli na policzku – też.

– Czego potrzebujesz? – spytał cicho Fles.

– Chcę wszystko o nim wiedzieć. Poznać jego zwyczaje, jego przyjaciół. Chcę wiedzieć, gdzie je i gdzie sra. I oczywiście chcę wiedzieć, jak blisko przy nodze prowadzi go Lindet.

Stary poważniał z każdym słowem. Popatrzył na Celine.

– Zobaczą, co da się zrobić – powiedział.

– Dzięki.

– Ma coś do ciebie?

– Nie wiem – przyznał Styke. Sam o tym nie pomyślał, a teraz zaklął w duchu. Skoro Fidelis Jes chciał mieć go w obozie, to na wieść o zwolnieniu dostanie szau. – Nie wykluczam.

– Nastawię uszu, obiecuję. Ale będę musiał bardzo uważać.

Styke znów rozejrzał się po warsztacie i nagle wydał mu się on całkiem obcy. Upłynęło wiele czasu, być może za wiele.

– Dzięki za pomoc. Kiedy Ibana wróci...

– Powiem jej, żeby cię znalazła.

– Dziękuję raz jeszcze. – Wziął Celine za rękę. Opuścili warsztat i przeszli przez kuźnię do wyjścia. Był tak zamyślony, że nie zauważył, jak terminatorzy się na niego gapią.

– Ben! – zawołał Fles.

– Tak? – Styke przystanął, odwrócił się.

Stary płatnerz, kuśtykając, wyszedł za nimi na rynek. Popatrzył na Styke'a uważnie, twarz miał skupioną.

– Dobrze było znów cię zobaczyć. Powiedz mi, czy Szalony Ben Styke wrócił, żeby pokazać im wszystkim drogę do otchłani?

Styke wyprostował ramię, obejrzał swoją starą kurtkę z wygodnej odległości. Usunął z klap dystynkcje. Schował je do kieszeni spodni, wsunął w rękaw najpierw jedną rękę, potem drugą. Kurtka nadal dobrze na niego pasowała, no, może była odrobinę za luźna. Poruszył barkami. Miał wrażenie, że spadł mu z serca ciężar, z którego istnienia nawet nie zdawał sobie sprawy. Zacisnął pięść, poczuł, jak oczko pierścienia lansjerów wbija mu się w skórę.

– Tak, wrócił.



## 8 ROZDZIAŁ

Vlora siedziała w plecionym fotelu w ogródku Willema Marsha, jednej z najpopularniejszych kawiarni Landfall. Słońce już zaszło, ale dobrze oświetlony główny deptak miasta nadal był hałaśliwy i zatłoczony. Nabrzeża jęczały pod uderzeniami morskich fal, marynarze kłócili się i bili o rzuty kością i o prostytutki. Popijając kawę, Vlora wpatrywała się w tłum. Czekwała na nieuchronną walkę na noże.

Na otchłań, jak dobrze było znaleźć się znów w prawdziwym mieście!

Jakaś dłoń dotknęła jej ramienia, ścisnęła lekko, to przy stoliku pojawił się Olem. Skręcił sobie papierosa, nim zdążył usiąść.

– I co? – spytała.

Olem uśmiechnął się do Vlory przez chmurę dymu, serdecznie i swobodnie. Od wielu miesięcy nie widziała u niego takiego uśmiechu, serce zabiło jej szybciej.

– Znalazłem nam pokój. W Gniewnej Kurzajce, w Górnym Landfall. Bieżąca gorąca woda, pieczona wołowina na kolację

i łóżko, na którym można spać w poprzek.

– Bardzo mało sypiam.

Olem pochylił się ku niej, uniósł brwi.

– Nie mam zamiaru spać.

Vlora przewróciła oczami. Olem pośpieszył z niepotrzebnym wyjaśnieniem.

– Nie potrzebuję snu. Taka moja Zdolność.

– Przecież wiem. – Vlora zabrała mu papierosa, zaciągnęła się i oddała. Na chwilę zatrzymała dym w płucach, a potem wypuściła przez nos. – A ty doskonale wiesz, co mam na myśli.

Olem uśmiechnął się krzywo. Oczywiście, że wiedział, co ma na myśli, skromnisia.

– Pokój kosztuje fortunę, ale moim zdaniem będzie wart swej ceny...

Vlora uderzyła go w ramię.

– Raportuj, żołnierzu – rozkazała.

– Tak jest. – Pułkownik pomasaował obolałe miejsce. – Michel dotrzymał słowa. Dał nam stare koszary na granicy Ognistej Jamy. Przysłał akta, kilkaset pudeł. Podobno wszystko, co Czarne Kapelusze wiedzą o tej dzielnicy i o aktywności Palo w mieście. Posadziłem do nich najsprytniejszych chłopaków, ale zajmie im to ładnych parę dni. A i tak nigdy nie dowiemy się, czego nam nie dali.

Vlora skinęła głową, bardzo zadowolona z tego, jak szybko potoczyły się sprawy i że teraz czeka ją gorąca kąpiel i wygodne łóżko. Potrzebowali kilku chwil sam na sam, a w obozie najemników gdzieś pośrodku bagien o takie chwile było bardzo trudno.

– A jak ci poszło z tymi twoimi kontaktami?

– Sformowanie siatki zajmie wiele tygodni. – Olem nadął policzki i westchnął. – Doprawdy nie wiem, czy Czarne Kapelusze będą mi w tym pomagać, czy przeszkadzać. W tym mieście wszyscy handlują informacjami, ale większość trafia bezpośrednio do nich.

– Zrób, co w twojej mocy. – Vlora ujęła jego dłoń i ścisnęła mocno.

– Zacząłeś już pytać o Mamę Palo?

Olem prychnął.

– Jasne. I nie dostałem dwóch takich samych odpowiedzi. Jest albo wrogiem publicznym numer jeden, albo bojowniczką o wolność, albo boginią Palo, która przyjęła ludzką postać. Wszystko zależy od tego, kto udziela odpowiedzi.

Vlora dostała gęziej skórki.

– W tym życiu aż za często miałam do czynienia z bogami. Nie mam ochoty na więcej. – Przez głowę przemknęły jej wspomnienia z wojny Adro z Kezem. Gęsia skórka nie chciała ustąpić. – Cała moja rodzina zginęła, kiedy próbowaliśmy rozprawić się z ostatnim z nich.

– No cóż... – Olem niepewnie poruszył się w fotelu. Miał swoje wspomnienia z wojny, swoje duchy przeszłości, wiele z nich zapewne dzielili. – Nie sądzę, by Mama Palo była duchem. Choć z pewnością jest sprytna. Sprawia kłopoty, poważne kłopoty, ale udaje się jej uniknąć bezpośredniego starcia z Czarnymi Kapeluszymi. Palo ją ubóstwiają. Czarne Kapelusze nienawidzą, a mieszkańcy Fatrasty chcą być najdalej jak to możliwe, kiedy wreszcie pobije się z Lindet.

Vlora udała rozbawioną, zdołała nawet zachichotać.

– Lindet jest wkurzona, bo ktoś konkuruje z nią o miano królowej Fatrasty?

– A ty byś nie była?

– Nie pociąga mnie bycie królową. – Vlora niedbale machnęła ręką. – Mama Palo... W końcu jest poważnym zagrożeniem czy nie?

– Nie będę wiedział na pewno, póki nie zorganizuję siatki. – Olem zatrzymał przechodzącego kelnera, zamówił kawę. Spojrzał w ciemne nocne niebo, zmarszczył brwi. – Nikt nie wypowie Lindet otwartej wojny, bo tej wojny nie da się wygrać. Wygląda na to, że ta Mama Palo wcale nie chce z nią walczyć. Drażni ją i irytuje, żeby w końcu kanclerz machnęła ręką.

– Machnęła ręką, co? A czego właściwie chce ta osobistość?

– Praw dla Palo? Ich niezależności? Ziemi, pieniędzy? Czego chcą ludzie?

Vlora wymierzyła palcem w pierś Olema.



– Dowiedz się – rozkazała. – Wygląda na to, że Czarne Kapelusze chcą, żebyśmy przeszli przez Ognistą Jamę, wykopując drzwi, póki nie trafimy na właściwe, ale więcej much złapiesz na miód niż na ocet. Jeśli dowiemy się, o co chodzi Mamie Palo, to prawie tak, jakbyśmy już ją mieli. – Przez głowę przelatowały Vlorze zarysy planów. Oceniała je, niektóre odrzucała od razu, inne zapamiętywała do przyszłego wykorzystania.

– Widzisz mężczyznę, który tak się nam przygląda? – Olem wskazał go ruchem głowy. Vlora wzięła jego kawę od kelnera, postawiła na stoliku i dopiero potem podążyła oczami za jego wzrokiem. Szybko zorientowała się, o kogo Olemowi chodziło.

Mężczyzna stał po drugiej stronie kawiarni, tuż przy niskim płotku, oddzielającym ogródek od deptaku. Był wielki... nie, był ogromny, szeroki w ramionach, przygarbiony, siwy, z mocną, wydatną szczęką, a głowę kulił i wysuwał do przodu jak człowiek pragnący ukryć wzrost. A i tak wyglądał na ponad sześć stóp i pięć cali. Na lewym policzku miał głęboką, nierówną starą bliznę. Ubrany był w koszulę i spodnie, nieco na niego za małe, i starą kurtkę mundurową kawalerii Fatrasty, odrobinę na niego za dużą. Widoczną broń nosił przy pasie, nóż boz dłuższy niż ramię Vlory. Przyglądał się im obojgu, wcale tego nie kryjąc, obserwację przerwał zaledwie na chwilę, odbierając od kelnera kawę i gazetę. Potem ruszył w ich kierunku.

Vlora zeszywniała. Nie wiedziała, czego ma się spodziewać. Jako mag prochowy była szybsza i silniejsza od dowolnych czterech klientów kawiarni, ale w tym człowieku wszystko, co widoczne na pierwszy rzut oka: blizny, to, że kulał, i jak ludzie ustępowali mu z drogi, choć w zatłoczonym ogródku nie było to łatwe, mówiło o zagrożeniu. Zdziwiła się, stwierdzając, że serce bije jej nieco szybciej.

Olem poprawił się w fotelu i rozstawił nogi, dzięki czemu mógł łatwiej sięgnąć po pistolet.

– Już go dziś widziałem, wcześniej, na nabrzeżu. Pomyślałem wtedy, że nas obserwuje, ale nie byłem pewien. Teraz jestem.

– Na Adoma! – westchnęła Vlora. – Popatrz tylko na ten jego nóż.  
– Przesunęła palcami po rękojeści swojego miecza.

Podchodząc do nich, mężczyzna stopniowo zwalniał kroku. Zmarszczył brwi, zatrzymał się, rozejrzał, zdjął z sąsiedniego, zajętego stolika filiżankę po kawie, wręczył ją zaskoczonemu klientowi.

– Bardzo przepraszam – powiedział spokojnym, niskim głosem. Przystawił stolik do ich stolika. Podniósł głowę, rozejrzał się, jakby o czymś zapomniał, i krzyknął przez ramię: – Celine!

Z tłumu przed kawiarnią wyszła mała dziewczynka. Przebiegła między gośćmi, a mężczyzna bez słowa podniósł ją i posadził sobie na kolanach. Podrzucał ją ruchem nogi machinalnie, jakby często to robił, a mała położyła mu głowę na piersi. Dziwny to był obrazek, baranek spoczywający obok niedźwiedzia. Vlorę dziewczynka zainteresowała może nawet bardziej niż mężczyzna. Ubrana była jak chłopak i miała bystre, a jednocześnie czujne spojrzenie, takie, jak ona sama widziała w każdym lustrze... kiedy była mała.

Sierota. Dziecko ulicy.

Vlora zdjęła dłoń z rękojeści miecza, lecz pozostała czujna.

– Możemy w czymś pomóc? – spytała.

– Dobry wieczór – powiedział mężczyzna. – Nazywam się Styke. Szukam pracy.

Zerknęła na Olema. Wydawał się zakłopotany zaistniałą sytuacją.

– Nie jestem pewna, czy trafiłeś właściwie.

– Pani to generał Vlora Krzemień. – Styke skinął głową najpierw jej, później Olemowi. – A pan jest pułkownikiem, nazywa się Olem. Wspólnie dowodzicie Najemnym Oddziałem Strzelców Wyborowych. Chcę zostać najemnikiem. To chyba właściwe miejsce.

Vlora najpierw się zirytowała. Pierwsze od długiego czasu spokojne pięć minut z Olemem, a tu pojawił się jakiś wielki tępak i zrujnował nastrój. A potem zrobiła się podejrzliwa. Jeśli ten człowiek naprawdę szukał pracy, dlaczego nie podszedł do nich wtedy, na brzegu?

– Powiedziałeś: Styke? – upewniła się.

– Tak.

– Jeśli chcesz, Styke, mogę skierować cię do mojego kwatermistrza. Jutro sprawdzi, czy się nadasz. Rzeczywiście, szukamy ludzi, ale uprzedzam, najemnik to nie zajęcie dla kaleki.

Z twarzy wielkiego mężczyzny można było odczytać, co poczuł: zdziwienie, krzywdę, rozdrażnienie, gniew, wściekłość, a wszystko to w ciągu zaledwie kilku sekund. Vlorze pewnie nawet by to zaimponowało, ale nie zauważyła tej gry uczuć, bo próbowała sobie przypomnieć, czy ma nabity pistolet. Tymczasem Styke przesunął się w krzesło – zatrzeszczało niebezpiecznie pod jego ciężarem – i mocniej przytulił dziewczynkę. Bardzo szybko odzyskał kontrolę nad sobą.

– Jeśli pani pozwoli... Nazywam się Benjamin Styke i szukam pracy.

Vlora uniosła głowę, wysunęła szczękę. Jeśli była to jakaś intryga Palo albo Czarnych Kapeluszy, to strasznie głupia.

– Czy to ma mi coś powiedzieć? – spytała wyzywająco.

Styke przeszył ją przenikliwym, gniewnym spojrzeniem, jakby w ten sposób chciał przywrócić jej pamięć, a potem jego masywne ciało nagle zwiotczało.

– Może i nie? – powiedział cicho. – Za wiele minęło lat.

Celine bawiła się klapami jego kurtki. Spojrzała na Vlorę krzywo.

– Ben jest mordercą – oznajmiła głośno. Styke uciszył ją z wielką łagodnością.

– Jestem o tym przekonana... Posłuchaj, Styke. Nie sądzę, by moi Strzelcy Wyborowi byli dla ciebie właściwi. Wyglądasz, jakbyś potrafił poradzić sobie w każdej sytuacji, ale my jesteśmy prawdziwymi żołnierzami i...

Nie dokończyła, bo w głowie zapaliło się jej małe ostrzegawcze światełko. W tym samym momencie Olem położył Vlorze dłoń na ramieniu.

– Ben Styke... Skąd ja znam to nazwisko? – Wielkolud ożywił się, ale nim zdążył otworzyć usta, Olem dokończył: – Listy Taniela.

Pułkownik przechylił się przez stół i spojrzał na mężczyznę z uwagą, wykazując zainteresowanie, które w sytuacjach codziennych rezerwował dla nierozpieczętowanej paczki tytoniu.

– Jesteś Szalony Ben Styke – powiedział po prostu.

– Tak.

– Myślałem, że nie żyjesz.

– Prawie wszyscy byli o mnie tego zdania.

Vlora zauważyła, że jej pułkownik nie był po prostu zaintrygowany, ale bardzo, niezwykle wręcz zainteresowany. Zupełnie jakby dostrzegł w tłumie armijny wóz zaopatrzenia wystawiany na sprzedaż za pół ceny.

– Obserwowałeś nas podczas lądowania. Dlaczego?

Styke wydawał się zdziwiony tym pytaniem.

– Poszedłem na rynek. Widziałem, jak podpływaliście. Wcześniej słyszałem już, że jesteście najlepszym oddziałem najemników na kontynencie. Jestem akurat... bezrobotny. Pomyślałem, że to sprzyjający zbieg okoliczności.

Rozmawiali tak, a Vlora wyęczała pamięć, bo jednak to nazwisko nie było jej całkiem obce. Taniel wspominał w listach bardzo wielu ludzi, których poznał, walcząc w fatrastańskiej rewolucji. No tak, opisywał przecież bitwę, w której spotkał wielkoluda, lansjera w magicznej zbroi, wjeżdżającego w ogień kartaczy, muszkietów i magii, jakimś cudem rozdzierającego szereg przeciwnika, przeważającego losy bitwy. Podziw Taniela wydawał się jej dziecienny, przesadzony. Pora zmienić zdanie.

– Znałeś Taniela Dwa Strzały?

Styke uniósł brew. Pytanie sprawiło mu przyjemność.

– Walczyłem u jego boku. Raz. Dobry był, na otchłań. Wspominał mnie?

– Raczej się tobą zachwycał. – Vlora usiadła wygodniej. Musiała odrzucić wszystko, co przeleciało jej przez głowę przez te kilka ostatnich minut. Nie przyszedł do nich wielki kaleka, szukający okazji do gwałtów i rabunku, lecz Szalony Ben Styke, bohater rewolucji. Celine miała rację. Zabójca. – Nadal jesteś lansjerem?

Twarz Styke'a znieruchomiała.

– Nie. Po wojnie zabili mi konia. Odebrali zbroję. A i to nie wszystko... – Spojrzał w bok.

Była w tym jakaś niebłaha historia. Vlorą miała wielką ochotę o nią zapytać, ale były takie rany, o które można zapytać starego żołnierza, i takie, o które się nie pyta – albo sam o nich opowie, albo nie. Chętnie dałaby mu pracę tu i teraz, ale nie miała pojęcia, co mogłaby z nim zrobić. Nie będzie w stanie utrzymać szyku. Pytanie, czy da radę dosiąść konia.

Spojrzała na Olema. Miała nadzieję, że pułkownik doradzi jej coś, zawsze myślał tak trzeźwo. Ale nie, Olem wpatrywał się w olbrzyma jak chłopak stojący twarzą w twarz ze swym idolem.

– Naprawdę w bitwie o Landfall rozjechałeś Uprzywilejowanego?

– Przebiłem mu lancą oko. – Styke zilustrował te słowa gestem: wymierzył palec w twarz. – Nie ma nic lepszego od patrzenia, jak umiera Uprzywilejowany. Wszyscy mają ten najgłupszy w świecie wyraz twarzy: jak śmiałeś zabić mnie, nim ja zabiłem ciebie?

Olem uderzył dłonią w kolano, zarechotał, wyjął z kieszeni zrolowanego, gotowego do zapalenia papierosa, podał Styke'owi. To tyle, jeśli chodzi o trzeźwe rady.

– Wiesz, że pisali o tobie książki?

Styke prychnął lekceważąco.

– Kupa gówna, nic więcej.

– Jesteśmy żołnierzami. Dla nas to zawsze kupa gówna. – Olem odwrócił głowę, spojrzał na Vlorę, rozpromieniony jak dzieciak pytający, czy może zatrzymać wychodzącego akurat z zaułka bezańskiego szczeniaczka. – Ja dam mu pracę, jeśli ty tego nie zrobisz – oznajmił.

– Dowodzimy tą samą przekłętą kompanią!

– Och, na otchłań, płaciłbym mu choćby za to, żeby móc siedzieć z nim przy ognisku i słuchać, jak opowiada o wojnie. Chłopcy się w nim zakochają!

Vlorą spojrzała na Styke'a spod oka. Widziała, jak robi niezadowoloną minę, a kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiał ton

skargi.

– Wolałbym być bardziej użyteczny.

Vlora gestem głowy zaprosiła Olema do rozmowy w cztery oczy. Oboje odeszli na chwilę od stolika.

– Co, na otchłań, zrobimy z tym wielkim kaleką? Nawet jeśli umie walczyć, nasi ludzie to piechota, a on tylko by rozrabiał. Nie ma sensu ustawiać go w szyku.

– Przyda się – odparł Olem spokojnie. – Nie wspomniałaś przypadkiem, że potrzebujemy kogoś miejscowego do odwalania brudnej roboty?

– Nie przypominam sobie, żebym powiedziała coś takiego.

– A ja jestem przekonany, że powiedziałaś.

Vlora westchnęła ciężko. Miała złe przeczucia czy nie chciała się zgodzić tylko dlatego, że Olem tak bardzo nalegał?

– Jeśli masz dla niego jakieś zajęcie, to rzeczywiście... – Umilkła, podniosła palec, spojrzała na wielkoluda. – Kręciłeś się tu i tam, nie?

Styke tylko skinął głową.

– Wiesz coś o Palo?

– Prawdopodobnie nieco więcej niż przeciętny weteran. Wielu z nich było naszymi sojusznikami w czasie wojny. Zanim to się zaczęło. – Towarzyszący tym słowom gest świadczył, że ma na myśli miasto.

– Mówisz ich językiem?

– Trochę mi zardzewiał, ale owszem, mówię. I potrafię w nim pisać, gdyby to było do czegoś potrzebne.

– Przydatna umiejętność – wtrącił Olem, nieco przesadnie entuzjastycznie. Vlora uciszyła go spojrzeniem.

– W porządku, Benie Styke. Mam dla ciebie zadanie. Może wyda ci się głupie, ale jeśli czegoś się dla mnie dowiesz, masz pracę.

– Tak jest, pani generał. – Styke nie zdołał ukryć ulgi, którą poczuł w tym momencie.

– Wiesz coś o wojowniku Palo noszącym zbroję ze skóry bagiennego smoka, walczącym kościanym toporkiem?

Wielkolud usiadł wygodniej, spojrział na kawę po raz pierwszy od chwili, gdy się do nich przysiadł, wypił ją jednym łykiem, pstryknął palcami, zamówił drugą i przyprawianą gorącą czekoladę dla małej. Zapatrzył się w jakiś punkt między parą najemników.

– Legendy – powiedział głośno.

– Jakiego rodzaju legendy?

– O ludziach-smokach. Wojownikach Palo, potomkach cesarza Dynizyjczyków, którzy kiedyś rządili tymi ziemiami. Kezanie eksterminowali ich z sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat temu, bo nie było sposobu, żeby dojść z nimi do jakiegoś porozumienia. Byli legendą, kiedy ja byłem dzieckiem. „Zjedz zupkę albo ludzie-smoki porwą cię na bagna”, tego rodzaju rzeczy.

Vlora poczuła, jak jeżą się jej włoski na karku. Wiedziała wszystko o historiach sprzed lat, o legendach i wiedziała, jak bardzo mogą okazać się prawdziwe.

– W Fort Samnan jeden z nich zabił niemal czterdziestu moich ludzi. W końcu go unieszkodliwiliśmy, ale nigdy nie widziałam czegoś takiego. Jakbyśmy mieli do czynienia z magiem prochowym albo Uprzywilejowanym.

Styke przesunął dłonią po siwych, krótko przystrzyżonych włosach.

– Na otchłań – zaklął cicho. – Nie myślałem, że nadal żyją.

– No więc wygląda na to, że tak – warknęła Vlora. Ostatnią rzeczą, o której by marzyła, było powstanie z martwych legendy... zanim zdąży wypełnić kontrakt i wynieść się z tego przekłętego kraju. – Chcę wiedzieć, czy jacyś nie kręcą się po mieście. Wygląda na to, że zajdziemy za skórę wszystkich mieszkających w Landfall Palo, a kiedy do tego dojdzie, wolałabym nie mieć przeciw sobie jakichś ludzi-smoków.

– Mogę się rozejrzeć. – Styke wziął od kelnera swoją kawę, a czekoladę chciał podać Celine. Dziewczynka tymczasem zasnęła. Vlora miała ochotę pokręcić głową z niesmakiem, ale się powstrzymała. Baranek i lew.

Wyciągnęła rękę ponad stolikiem.

– Witaj w Strzelcach Wyborowych, Benie Styke. Chętnie dowiem się, co potrafisz. To będzie dla mnie prawdziwa przyjemność.





## 9 ROZDZIAŁ

**M**ichel czekał przed pokojem kapitan Blasdell, oficer odpowiadającej za jawną część jego dochodzenia. Kieszonkowy zegarek odliczał sekundy, a Bravis myślał o tym, że potrzebuje fachowca do załatwienia dachu w domu mamy i do naprawienia jej fotela. Cieszył się, że na poszukiwania Żelaznych Róż dostał nielimitowany budżet, ale też zastanawiał się, czy ktoś będzie rozliczał go z wydatków i jakie mogłyby być konsekwencje odkrycia, że pomagał matce za służbowe pieniądze.

– Jes powiedział, że łatwo mnie zastąpić. Śledztwa nie powinien prowadzić agent, którego łatwo zastąpić – powiedział do siebie cicho, wpatrzony w drzwi pokoju pani kapitan.

– Zagroził, że jeśli nawalisz, to cię zabije. – Teraz w jego głosie brzmiał cynizm.

– Wcale nie.

– Ten człowiek morduje ludzi każdego ranka. Traktuje to jako zaprawę. To, co mi powiedział, brzmi groźnie.

– Czarne Kapelusze nie marnują środków, a Srebrne Róże jak ja to cenny środek. Siedzimy po uszy w gównie wszyscy razem, solidarnie.

– Może jesteś łatwy do zastąpienia, bo uznał, że to niebezpieczne zadanie? – Tym razem Michel nie odpowiedział sobie, za to rozważył znaczenie swych słów. Śledztwa bywają niebezpieczne. Każdy gotów udawać Czarny Kapelusze musiał znać związane z tym ryzyko. Gdyby go złapano, zostałby poddany torturom, potem zamordowany, a rodzinę i przyjaciół zesłano by do obozów pracy. Jeśli ci ludzie byli na to gotowi, to z całą pewnością nie zawahają się przed użyciem przemocy.

– Łatwy do zastąpienia – powtórzył głośno – może także oznaczać, że jeśli cokolwiek pójdzie źle z jakiegokolwiek powodu, to może złamać mi karierę. – Nie potrafił wprawdzie wyobrazić sobie, co mogłoby pójść źle, ale chętnie przyznawał, że Fidelis jest od niego mądrzejszy. Nikt nie zdołałby rządzić tajną policją Landfall bez umiejętności przewidywania wszelkich możliwych konsekwencji każdej podjętej decyzji.

Michel odetchnął głęboko. Uznał, że nie warto marnować energii na martwienie się. Powinien skupić się na zadaniu, a żeby to zrobić, musiał porozmawiać z panią kapitan.

Doszedł do tego wniosku niemal dokładnie w chwili, kiedy otworzyły się drzwi. Blasdell była chudą, czterdziestoparoletnią kobietą o szczupłej, inteligentnej twarzy. Na nosie miała okulary pince-nez. Kiedyś była zwykłą policjantką, przeszła do tajniaków z zadaniem uporządkowania prowadzonych przez nich spraw. Należała do Srebrnych Róż, ale i tak wszyscy traktowali ją, jakby była Złotą. O takich jak ona mówiono, że są opoką Czarnych Kapeluszy: nieprzekupni, całkowicie pozbawieni własnych ambicji i kompetentni. Nie miała już awansować, ale z drugiej strony nikt też jej nie zdegradował. Mówiąc wprost, służbowo zmierzała donikąd.

– Ty jesteś Michel Bravis? – spytała, zapraszając Michela do pokoju.

– Tak, to ja, pani kapitan. Dziękuję, że zgodziłaś się mnie przyjąć. – Spotykał się już z Blasdell przy kilku okazjach, ale nie dziwił się, że go nie zapamiętała. Czarnych Kapeluszy było w końcu bardzo wielu,

a Bravis potrafił być niewidzialny w tłumie. Nieżyjącemu już ojcu zawdzięczał twarz, którą zapominało się natychmiast.

– Nie dali mi wyboru. – Kapitan usiadła za biurkiem, a jemu wskazała kilka rzuconych na podłogę w kącie skrzynek. – Rozkazy przysły z samej góry, z biura wielkiego mistrza. Jak rozumiem, masz otrzymać pełny dostęp do informacji dotyczących mojego dochodzenia?

– Na to wygląda, pani kapitan.

Zabębniła palcami po blacie biurka. Jej spojrzenie mówiło wyraźnie: jeśli rozstanę się z moim informacjami, to bardzo niechętnie.

– Dlaczego?

– Moim zdaniem to tajne. – Michel nie miał pojęcia, co powiedziano pani kapitan, i szczerze mówiąc, wcale nie spieszyło mu się do wyjaśnień.

– Myślisz?

– Można powiedzieć, że jestem pewny. Ale liczą się tylko informacje, które udało się zdobyć przez ostatnie kilka dni, pani kapitan.

Odchyliła się w krześle, położyła nogi na biurku. Nie kryła niechęci, dawała się łatwo odczytać z wyrazu jej twarzy.

– Ta sprawa to jakaś farsa – oznajmiła. – Mogłam przydzielić do niej zaledwie paru ludzi, za kilka dni znajdzie się jakiś kozioł ofiarny i sprawa przyschnie. Po co ci nasze informacje?

Związki Blasdell z Czarnymi Kapeluszami mogły się wydawać dziwne. Była jedną z nich, bardzo cenioną w Kapelusznictwie, ale chyba nigdy nie nauczyła się naprawdę wierzyć ludziom, z którymi przyszło jej pracować. Plotki głosiły, że Fidelis Jes uważał to za nawet zabawne, ale także, że była trudna we współpracy, a on nie miał czasu na zabawę w zdobywanie zaufania.

– Ponieważ, pani kapitan, Fidelis Jes pozwala pracować ci uczciwie, póki nie przyjdzie czas na wskazanie winnego. Wiem, jaką cieszysz się reputacją, domyślam się więc, że „kilku ludzi” pracuje

dzień i noc, by zyskać choćby nadzieję zakończenia sprawy, nim Jes zdecyduje, że sprawy już nie ma. Dobrze mówię?

Kapitan zdjęła nogi z biurka. Spojrzała na Michela podejrzliwie, zwężonymi oczami.

– Bardzo dobrze – przyznała.

– Doskonale. Więc czego dowiedziałaś się, pani, w osiemdziesiąt godzin?

Blasdell wyprostowała się na krześle i bardzo profesjonalnie brzmiącym głosem odparła:

– Fakty są takie: dziewięć dni temu piętnaście osób złożyło w piętnastu różnych drukarniach piętnaście zamówień na po dziesięć tysięcy egzemplarzy „Grzechów Imperium”. Każdy z nich zmusił drukarzy do milczenia, okazując Żelazną Różę. Zamówienia zostały wykonane w terminie. Przed osiemdziesięcioma godzinami pierwsze broszury trafiły na ulice. Stan dochodzenia na dzień dzisiejszy nie pozwala mówić o winie drukarzy. Szukamy podejrzanych, korzystając z rysopisów zamawiających, ale na razie bez sukcesu.

– Co z Żelaznymi Różami?

Blasdell lekko przechyliła głowę.

– Polecono nam nie prowadzić śledztwa w tym kierunku.

Pani kapitan cieszyła się pewną reputacją.

– Ale mimo to było ono prowadzone, prawda?

– Zawsze wykonuję jasno wyrażone rozkazy.

Michel wyrzucił ręce w powietrze.

– Mnie naprawdę nic nie obchodzą jakieś rozkazy! Potrzebuję informacji! Cokolwiek możesz mi, pani, powiedzieć o tych Żelaznych Różach, uczyni moje życie tysiąc razy łatwiejszym!

– A co ja będę z tego miała?

Michel przewrócił oczami. Nieufność, z której słynęła Blasdell, irytowałaby go jeszcze bardziej, gdyby nie była w pełni uzasadniona. W Kapelusznictwie albo wypełniało się rozkazy i pracowało według regulaminu, albo należało się przygotować na nieprzyjemne niespodzianki. Tylko co mógł zaoferować jej

w zamian? Ciężko pracującej typowej funkcjonariuszce policji, robiącej wszystko, by trzymać się jak najdalej od polityki Landfall? Czego mogła chcieć?

– Mógłbym zawnioskować o jakąś premię...

– Nie jestem zainteresowana.

– Ludzie pani kapitan też nie są zainteresowani? Ta szkieletowa ekipa, co harowała dzień i noc? A gdybym tak załatwił półtorej stawki za te noce?

– Możesz to załatwić? – Blasdell nie kryła powątpiewania.

Michel pomyślał o swoim nieograniczonym budżecie. Ryzykował, oczywiście. Dając pani kapitan więcej swobody, a jej ludziom motywację, ryzykował, że zdobędzie ona przewagę, odkryje prawdziwych winnych, nim znajdzie się właściwego kozła ofiarnego. Nie był to najgorszy możliwy scenariusz, koniec końców chodziło o wykrycie sprawcy. Nie zrujnuje mu to kariery, ale i nie zbliży go do Złotej Róży. Z drugiej strony mieć do dyspozycji paru gości odwalających brudną robotę... To może okazać się bardzo przydatne.

– Mogę – odpowiedział.

Blasdell zastanawiała się przez chwilę.

– W porządku, agencie Bravis – zdecydowała. – Zróbmy interes. Moi ludzie dowiedzieli się tego i owego. Po pierwsze, wiemy, że Żelazne Róże nie zostały podrobione. Sprawdziliśmy wszystkich jubilerów i złotników w mieście. Nikt nie przyjął takiego zlecenia.

– Można było zrobić je poza miastem.

– To całkiem możliwe.

Jeśli tak się stało, Michel był bezradny. Nie zamierzał wędrować po kontynencie w poszukiwaniu igły w stogu siana, musiał więc przyjąć założenie, że Żelazne Róże wyprodukowane zostały tutaj. Spróbował myśleć jak śledczy. Był szpiegiem, ale wydawało mu się, że dobry szpieg to materiał na niezłego śledczego: oczy ma zawsze szeroko otwarte, tropi źródła plotek, demaskuje zdrajców.

– Może kradzież? – spytał.

– Badamy tę możliwość. W Landfall nie brakuje żadnej Żelaznej Róży. Wysłaliśmy zapytania do wszystkich posterunków na kontynencie.

Pozostało więc tylko czekać.

– Istnieje możliwość, że to były oryginały, prawda?

– Tak – przyznała Blasdell.

– A co o tym myślisz, pani?

Znów zabębniła palcami w blat biurka.

– Moim zdaniem to były jednak podróbki. Wiedzieli, że będziemy je tropić do źródła, więc robotę wykonali tam, gdzie nie sięgają nasze wpływy.

– Dziewięć?

– W każdym razie ja bym tak zrobiła. Zrobiłabym coś, co maksymalnie utrudni skojarzenie mnie z twórcą falsyfikatów. Bardzo prawdopodobne, że nigdy nie poznamy ich twórcy. Dwa dni temu poinformowałam o tym wielkiego mistrza. Rezultaty śledztwa w pełni potwierdzają moją tezę.

W tym momencie Michelowi coś przeskoczyło w głowie. Fidelis Jes już podejrzewał, że pochodzenia użytych Róż nie da się wytropić. I dlatego potrzebował jego, kogoś, kogo łatwo zastąpić. Jeśli śledztwo zabłądzi w ślepią uliczkę, zanim nadejdzie właściwy czas na jego pogrzebanie, być może trzeba będzie zrobić to, czego właśnie Michel próbował uniknąć, czyli szukać wiatru w polu. Być może okoliczności zmuszą go nawet do pożeglowania do Dziewięciu.

Był łatwy do zastąpienia w tym sensie, że Czarne Kapelusze bez problemu zniosą jego nieobecność nawet przez długi czas. Sama myśl o tym wywołała atak paniki, Michel poczuł, jak ściska mu się żołądek. Nie może przecież kręcić się w kółko przez kilka najbliższych lat! Oznaczałoby to koniec obiecującej kariery, matka zostałaby w Landfall zdana na własne siły, żegnaj, Złota Różo. Coś z tym trzeba zrobić i trzeba zrobić szybko.

– Czy ludzie pani kapitan mogliby napisać raporty i przesłać je mnie? Bardzo proszę. I niech pracują dalej. Załatwię im dodatkową gratyfikację. Dużą.

– Mają szukać czegoś szczególnego?

Michel zmierzył kobietę ostrym spojrzeniem, ale nie, nie wyczuł w tym pytaniu niczego podejrzanego. Była po prostu zadowolona, że może przydzielić podwładnym prawdziwą robotę.

– Sprawdźcie jeszcze raz miejscowych fałszerzy. I sprawdzajcie, pytajcie, może ktoś zgubił Żelazną Różę albo mu ją ukradziono?

– Informacje mam przysyłać tobie?

– Jeśli mogę o to prosić, tak. Dziękuję za pomoc, pani kapitan.

Wyszedł z biura Blasdell. Przeszedł korytarzem na drugą stronę Kapelusznictwa, gdzie miał swój pokój rozmiarów szafy. Odpoczął w nim przez kilka chwil, rozważył skutki przeprowadzonej przed chwilą rozmowy. Nie zamierzał włączać pani kapitan do swojego śledztwa. Więcej, był przekonany, że gdyby Fidelis Jes się o tym dowiedział, dostałby ataku wściekłości. Lepiej więc robi, siedząc cicho, z nadzieją, że Blasdell nie będzie miała okazji się wygadać, zanim znajdzie Różę.

Kapitan uważała, że fałszerstwa dokonano za granicą. Nie było sposobu na sprawdzenie jej hipotezy, a więc lepiej podejść do problemu z drugiej strony.

– A jeśli to jednak oryginały? – spytał sam siebie.

– Ukradzione?

– Albo zgubione?

Przez głowę przeleciała mu pewna myśl. Zacisnął zęby.

– A jeśli ich nie ukradziono? A jeśli użyli ich prawowici właściciele?

– Sugerujesz istnienie piętnastu zdrajców wśród Żelaznych Róż?

– To możliwe.

– Ale mało prawdopodobne.

Michel wpatrywał się w ścianę swego pokoiku. Przeczesał włosy palcami.

– Myślę – powiedział głośno – że to jest dobry moment, żeby sprawdzić kilka kont bankowych.



## IO ROZDZIAŁ

**N**astępnego dnia po przypłynięciu do Landfall Vlora udała się na spotkanie z Michele Bravise, mające odbyć się na granicy Ognistej Jamy. Słońce przypiekało bezlitośnie. Vlora jechała na czele kolumny krętymi uliczkami płaskowyzu, wachlowała się bikornem, na łąku siodła zawieszony miała skórzany bukłak z ciepłym piwem. Olem jechał obok niej w milczeniu, tylko od czasu do czasu skarżył się na upał.

Okolo czwartej po południu zarządziła postój przy dużym budynku, niebezpiecznie przypominającym fort. Długą ścianę przegniłych drewnianych bali, wysoką na dwie kondygnacje, wieńczyły gęsto rozstawione wieżyczki. Niemal każdy cal ściany zdobiły napisy w kilkunastu językach i plakaty reklamujące sprośne komedie. Spojrzała w górę i w dół ulicy, ignorując ludzi zatrzymujących się i gapiących na oddział wojska.

– Przecież to nie może być tu!

Olem spojrzał na mapę, którą miał rozłożoną przed sobą na siodle, a potem podjechał do końca ściany, na skrzyżowanie ulic.



– Zgadza się – powiedział spokojnie. – Jest tabliczka „Fort Loel”.  
– Ten sukinsyn Bravis obiecał mi koszary!  
– Dla mnie wygląda to jak koszary.  
– Absolutnie nie! To wygląda zupełnie jak pograniczny fort, i to taki stary, że pewnie wybudowano go tu właśnie jako przygraniczną strażnicę!

– Nie jest aż tak źle. – Olem uśmiechnął się niepewnie.  
– Podobno jesteście w nowoczesnym mieście!  
– Adopest nadal otoczony jest kamiennym murem. Przeszłość nie odchodzi tak po prostu.

Vlora odchrząknęła.

– Dlaczego nie dali nam tego wielkiego fortu w zatoce? Jak się nazywa? Fort Nied?

– Jest obsadzony. – Olem przejechał konno jakieś pół przecznicy, zawrócił i stwierdził: – Wygląda bardzo przytulnie. – Nie zabrzmiało to przekonująco.

– Zapalisz papierosa i to wszystko pójdzie z dymem... łącznie z nami.

Ten argument do niego przemówił. Olem spoważniał.

– To nie może być tu – powtórzyła Vlora.

– A jednak.

– Skąd ta pewność?

Olem wykonał charakterystyczny gest głową, jakby coś wskazywał.

– Bo nasz kontakt już tu jest.

I rzeczywiście tuż obok, skryty w podcieniu, gdzie nie docierały oślepiające promienie słońca, stał Michel Bravis. Wyglądało na to, że dobrze znosi upał mimo czarnej, zapiętej pod szyję koszuli i nonsensownego melonika, niezbędnego elementu umundurowania Czarnego Kapelusza. Marynarkę miał rozpiętą, a na jej kołnierzyku widać było plamy potu. Pomachał na powitanie, Vlora powstrzymała w ostatniej chwili znacznie ordynarniejszy gest.

– Dzień dobry, pani generał. – Agent przeszedł przez ulicę i przywitał się bardzo elegancko. Podniósł głowę, zmrużył oczy,

zerknął w niebo, jakby nie zauważył jeszcze słońca. – Ładną mamy pogodę, prawda?

– Idź w otchłań – prychnęła Vlora. – Obiecałeś nam koszary.

– Przecież to są koszary.

– To jakaś żałosna ruina! – nie wytrzymała. – Jeśli mam przeczesywać dla ciebie niebezpieczną okolicę, być może wywołując zamieszki, to chcę miejsca, do którego moi ludzie mogliby się cofnąć. A te ściany przewrócą się od kamieni rzuconych przez dzieciaki!

Michel podszedł i kopnął jeden z bali. Odpadła z niego drzazga grubości nogi. Przyjrzał się jej w zadumie, odwrócił i uśmiechnął promiennie, niczym profesjonalny agent nieruchomości.

– Odrobina farby i może gipsu, i będziecie mieli koszary jak nowe.

– Daj mi coś innego.

– Nie ma niczego innego.

Olem odchrząknął znacząco.

– Wystarczy nam, co mamy, agencie Bravis – powiedział. – Ale będziemy potrzebowali materiałów, żeby doprowadzić to miejsce do porządku. Nawet gdybyśmy musieli wymienić wszystkie bale.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Vlora obrzuciła Olega złym spojrzeniem. Dlaczego ostatnio nie pozwalał jej przyzwocie ludziom nagadać?

– Jakim cudem to coś w ogóle stoi? – prychnęła.

– Spełnił swoją rolę podczas wojny. – Michel ruszył wzdłuż drewnianej ściany. Vlora zeskoczyła z konia, rzuciła wodze Olemowi i poszła za nim. Szybko go dogoniła. – Byłem jeszcze dzieckiem. Miałem szczęście, zdążyliśmy uciec, nim pojawił się Kez, więc to, co wiem, znam z opowiadań. Fort Loel był ostatnią linią oporu w bitwie o Landfall. To tu odwróciliśmy losy wojny, zepchnęliśmy Kez do morza. Mówię o największej bitwie całej wojny, straty po obu stronach szły w dziesiątki tysięcy. Gdyby Szaleni Lansjerzy nie przybyli z odsieczą dosłownie w ostatniej chwili, teraz mówiłbym po kezańsku.

Vlora i Olem wymienili znaczące spojrzenia. Generał po raz pierwszy usłyszała nazwę tej formacji, jeśli nie liczyć spotkania ze Stykiem i listów Taniela.

– Kim są Szaleni Lansjerzy? – spytała z nadzieją, że jej głos nie brzmi zbyt obojętnie.

– Byli – poprawił ją Michel. – To była banda sukinsynów spod ciemnej gwiazdy, walcząca z nami przeciw Kezowi. Proszę rzucić imię Szalonego Bena Styke’a w dowolnym pubie w mieście, a jestem pewien, że usłyszycie setki wojennych opowieści. A w tych dzielnicach to już z pewnością, bo tu mieszka wielu weteranów.

– Ben Styke? – Olem udał zdziwionego.

– W Fatraście każdy zna to imię i nazwisko. Ten człowiek jest tu legendą. – Michel wzruszył ramionami. – Został rozstrzelany pod koniec wojny za niewykonanie rozkazów. Zhańbił imię i w ogóle, ale wszyscy przecież wiemy, jak to jest z legendami.

– Legendy nie umierają – powiedziała cicho Vlora.

– Tak jest, pani generał.

Doszli do głównej bramy fortu. Agent pchnął jej skrzydło. Zobaczyli zarośnięty plac apelowy, a przy nim baraki i kilka praktycznie zrujnowanych budynków. Vlora zaklęła pod nosem, a Michel aż przestał się uśmiechać, ale tylko na chwilę.

– Potrzeba będzie dużo farby.

Szybko obesza teren. To, co zobaczyła, w żaden sposób nie zmieniło jej pierwszego wrażenia. Fort był prawdziwą ruiną. Z pewnością wyrzucono z niego setki dzikich lokatorów, żeby zrobić miejsce dla jej strzelców. Ale już nikomu nie przyszło do głowy, by posprzątać.

– Nie ma tu miejsca na pięciuset żołnierzy – powiedziała.

– Są tu jeszcze dwa mniejsze forty w odległości kilku przecznic – wyjaśnił Michel. – Wysunięty Północny i Wysunięty Południowy. W każdym z nich są w pełni funkcjonalne koszary. To powinno wystarczyć. Dostarczymy materiałów niezbędnych do załatania dachów i wstawienia okien. A na razie, cóż... Zakładam, że macie namioty?

Vlora zabębniła palcami po udzie. Złowiła wzrok Olema, złożyła dłonie tak, że zetknęły się czubkami palców, i gestem wskazała szyję Czarnego Kapelusza. Olem energicznie potrząsnął głową. Bezgłośnie, samym ruchem warg, powiedziała: „Proszę”. Pułkownik przewrócił oczami. Michel, przyglądający się otoczeniu dość rozpaczliwie, chyba nic nie zauważył.

– Widzieliście już Jamę? – spytał.

– Nie – odparł Olem. – Jeszcze nie.

Bravis przeszedł przez plac apelowy, po czym ostrożnie wspiął się na zachodni mur fortu.

– Stąd... Tak! – zawołał z góry. – Stąd doskonale ją widać. – Przywołał ich gestem.

– Nie jestem w stanie go wyczuć – powiedziała Vlora cicho.

– Bravisa? – upewnił się pułkownik.

– Jest taki... nijaki. Uprzejmy, ale nieprzesadnie. Chętnie się uśmiecha. Słucha uważnie, ale jakby nie przywiązywał wagi do tego, co się do niego mówi.

– Nadal jestem pewien, że to szpieg. Sama pomyśl. Ta jego uprzejmość jest udawana. Oboje znamy wystarczająco wielu polityków, żeby to rozpoznać, on jednak nie jest politykiem. Przyjrzałem mu się parę razy dokładniej, kiedy nie mógł tego widzieć. Bardzo uważnie nas obserwuje.

– Dlaczego mieliby przydzielić nam szpiega?

– Bo może Czarne Kapelusze już takie są? Naprawdę sądzisz, że Lindet zaufa najemnikom na tyle, by pozostawić w mieście ich duży oddział bez opieki?

– No chyba jednak nie.

Vlora odetchnęła kilka razy głęboko, wypchnęła z myśli Czarne Kapelusze i rozejrzała się. Nie tak chciała zacząć najnowsze zadanie, ale wiedziała też, że musi opanować nerwy. Jeśli Olem ma rację, to wszystko, co powie, niemal natychmiast usłyszą ludzie, którzy jej płacą, a ostatnią rzeczą, o której marzyła, było wkurzyć tych, którzy ją wynajęli.

– Obiecaj mi, że poradzisz sobie jakoś z tym chlewem – poprosiła.

– Zabierze to trochę czasu, ale od razu zagonię ludzi do roboty. Za parę tygodni będziemy mieli koszary, których da się bronić.

– I mniej więcej w tym samym czasie będziemy też mieli własną siatkę informatorów?

– Owszem, to się powinno udać.

– Tylko pamiętaj, że na znalezienie Mamy Palo dostaliśmy zaledwie miesiąc. Musimy działać szybko.

Olem puścił do Vlory oczko, dodając jej w ten sposób odwagi. Zostawiła go na dole, a kiedy zajął się rozlokowywaniem żołnierzy, dołączyła do Czarnego Kapelusza czekającego na nią na blankach fortu.

– Co chciał mi pan pokazać... – przerwała. To, co zobaczyła, zaparło jej dech w piersi.

Słyszała opowieści, coś tam dostrzegła nawet, kiedy przepływali kanionem, ale to... to było coś zupełnie innego. Jakby bóg wyciągnął rękę i wcisnął kciuk w płaskowyż Landfall, tworząc w nim milowej średnicy dziurę o głębokości dwustu stóp. Ognista Jama nie była tylko opuszczonym kamieniołomem, wyglądała raczej jak krater, w całości wypełniony budowlami, na których stropach pobudowano szalasy i stworzono ogródki. Przy tych konstrukcjach Fort Loel wydawał się tak solidny, że nie do ruszenia. Najwyższe dachy niemal sięgały krawędzi, dno zaś... nie, wzrok tam nie sięgał. Całkowicie zasłaniały je chaotycznie rozrzucone, przyciśnięte do siebie domy.

Michel patrzył na nią, uśmiechając się dziwnie. Vlora zamknęła usta, poprawiła pas.

– Niezwykłe – stwierdziła sucho.

– Prawda? – W głosie agenta brzmiało coś dziwnie przypominającego szacunek. – Lubię przyglądać się twarzom ludzi oglądających Jamę po raz pierwszy. Do tej pory nikt nigdy nie był gotów na to, jaka jest wielka. Nigdy nie byłem w górach, ale wyobrażam sobie, że to jak spojrzeć na ukrytą wśród szczytów dolinę, o której istnieniu nie miało się nawet pojęcia.

– W życiu nie widziałam doliny tak zapchanej śmieciami. Mówił pan, że ilu ludzi tam mieszka?

– Tego nikt nie wie na pewno. – Michel odchrząknął. Krótki okres niekontrolowanego zdumienia znikł, zastąpiony przez chłodny profesjonalizm. – Podejrzewamy, że około dwustu tysięcy.

– Dwieście tysięcy wciśnięte w tę dziurę w ziemi?

– Tak, pani generał. Mieszkańcy mają cały system dróg pomiędzy piętrami, linki, na których wieszają hamaki, tereny wspólne. Plotki głoszą, że wkopali się nawet w podłoże i włączyli stare pompy kamieniołomów, celem zdobycia dodatkowej przestrzeni do życia. Zagospodarowują każdy cal w poziomie i w pionie. Nie mają wyboru.

– I to wszystko Palo?

– Głównie. Spotyka się też kresjańskich imigrantów, takich nie bardzo zorientowanych. I weteranów, być może parę tysięcy, Palo zostawiają ich w spokoju. Ale tak, ich jest najwięcej,

Vlora nie potrafiła wyobrazić sobie takiego życia. W Adopeście owszem, istniały dzielnice biedoty, ale miały wielkość najwyżej kilku przecznic i rozrzucone były po całym mieście. Tu, w Landfall, wszystkie zebrane zostały w jedno i wciśnięte w wielką zapadlinę. Dziura ta była jak otwarta, ropiejąca rana. A lady kanclerz oczekiwała od niej, że wraz ze swymi ludźmi przeczesze Jamę w poszukiwaniu jednego szczególnego Palo!

No cóż, nie było sensu marnować czasu.

– Mam zamiar się tam rozejrzeć – oznajmiła i zeszła z blanek, nie oglądając się za siebie. Po forcie kręciło się już kilkuset mężczyzn, rozbierając baraki i inwentaryzując towary, przez bramę wmaszerowywali żołnierze. Minęła Olema, podeszła do swojego konia, przepięła miecz i pistolet z olstrów do pasa.

– Zrobię sobie spacer – oznajmiła.

Pułkownik zmarszczył brwi.

– Powinnaś mieć eskortę.

– Nie ma potrzeby – odpowiedziała stanowczo. Ten temat należał do drażliwych, a ona nie miała akurat ochoty na kłótnię. – Nie

jestem Tamasem i wolałabym nie zwracać na siebie uwagi.

Michel dogonił ją tuż za bramą.

– General Krzemień! – zawołał.

– Ach, agent Bravis. Zamierzasz towarzyszyć mi podczas przechadzki?

Czarny Kapelusz przyglądał się jej z mieszaniną niepokoju i przerażenia.

– Michel, bardzo proszę. Ale nie zamierzasz, pani, schodzić do Ognistej Jamy?

– Owszem. Chcę się rozejrzeć.

– Sama?!

– Tak.

– To zejdiesz tam i już nie wrócisz na górę.

Vlora przyjrzała się agentowi dokładniej. Był autentycznie przerażony, całkowicie, absolutnie pewny, że Ognista Jama to śmiertelna pułapka. Gdyby była tylko samotną kobietą, pewnie mogłaby się z nim zgodzić, ale...

– Wiesz, że jestem magiem prochowym?

– Nawet mag prochowy może tu zabłądzić. Można napaść go zniemacka i zaatakować w kilku albo kilkunastu.

Vlora wiedziała o tym lepiej niż większość ludzi. Pamiętała kampanię na północy Kezu, pamiętała, jak polowano na nich z nagonką i jak przedzierała się przez nieprzyjacielski kraj z tymi ludźmi, z których sformowała potem własny oddział najemników. Jeśli przeżyła to, da radę także w dzielnicach Palo.

– Sądzę, że jestem w stanie poradzić sobie z tym zagrożeniem, agencie Bravis.

– Ależ ja w to nie wątpię, pani general. Pozwolę sobie jednak stwierdzić to z największym szacunkiem: Ognista Jama jest labiryntem. Samemu się z niego nie wyjdzie.

– A ty?

– Ja sobie oczywiście poradzę, bo całe życie przeżyłem w Landfall i pamiętam czasy, kiedy Jama nie była jeszcze dzielnicą Palo.

– A więc – stwierdziła z niemalą ulgą – powinieneś posłużyć mi za przewodnika. – I dodała w myślach: a także załatwić przyzwoite koszary.

Michel zamarł. Vlora przyglądała mu się uważnie. Widziała, z jakim wysiłkiem panuje nad emocjami.

– Pani generał – powiedział, gdy odzyskał kontrolę nad sobą – czy pamiętasz, co powiedziałem wczoraj? Że Czarne Kapelusze wchodzą tam tylko w grupie? To dlatego, że gdyby złapali któregoś z nas samego, żywcem obdarliby go ze skóry.

Vlora zastanowiła się, czy on naprawdę w to wierzy. Słyszała, że w dzielnicach biedoty Adro policja wołała pracować zespołowo, ale to dlatego, że funkcjonariusze bali się, że zostaną obrabowani, może pobici. Nikt nie spodziewał się zachowań tak zwierzęcych jak okrutne tortury. Wzruszyła ramionami.

– Jak sobie życzysz – powiedziała i ruszyła przed siebie.

Słyszała, jak za jej plecami sypią się klątwy, a potem Michel powiedział już spokojnie: „Jedną chwileczkę, pani generał” i znikł we wnętrzu najbliższego budynku. Po chwili pojawił się znowu, ale już bez czarnej marynarki i melonika. Czarny Kapelusze przedzierzgnął się w robotnika w brązowej kurtce, wielokrotnie łątanej na łokciach, i pasującej do niej czapce. Znikł gdzieś nawet medalion w kształcie róży, a te Czarne Kapelusze nosili jak odznaki. Być może Bravis naprawdę bał się, że obedną go żywcem ze skóry.

– Urządziłem tam sobie przebieralnię – wyjaśnił. – Dobrze jest mieć się w co przebrać, gdy jest się Czarnym Kapeluszem blisko Ognistej Jamy.

Poprowadził Vlorę bocznymi zaułkami, którymi doszli do głównej ulicy. Prowadziła w dół krateru, wijąc się po fragmencie jego zbocza. Po dwóch skrętach znaleźli się na równi z dachami większości domów, a po sześciu, żeby zobaczyć niebo, Vlora musiała patrzeć pionowo w górę.

Potem droga pobięła wreszcie poziomo. Pod stopami obojga zachlupotała jakaś ohydna gęsta maź.

– Witamy w Jamie – powiedział Michel.



Było tu wilgotno, duszno i mrocznie. Nieboskłon ukazywał się już tylko od czasu do czasu, małymi kawałkami, a światła dostarczały rozmieszczone strategicznie zwierciadła, odbijające promienie słońca i kierujące je z miejsca na miejsce, począwszy od dachów, które niedawno minęli. Michel dostrzegł, że lustra specjalnie zainteresowały Vlorę.

– Dar lady kanclerz – oznajmił. – Z czasów, kiedy jeszcze nie było tu Palo. To najtańszy i najprostszy sposób dostarczenia tu oświetlenia w ciągu dnia.

– Rzeczywiście ciemno tu – przyznała.

Michel nasunął czapkę niżej na oczy.

– Lepiej już chodźmy – powiedział.

Vlora oderwała się od obserwacji tandetnej konstrukcji budynków, połączonych wiszącymi przejściami osłoniętymi kotarami, podpartymi metalowymi prętami i belkami. Dopiero teraz zauważyła, że niemal wszyscy mieszkańcy w zasięgu wzroku gapią się na nich otwarcie. Nie, nie na nich – na nią. W odróżnieniu od Michela pojawiła się tu w pełnym umundurowaniu. Zadała sobie pytanie, czy wiedzą, kim jest i że ostatni rok spędziła na pograniczu, walcząc z ich współplemieńcami.

Być może agent miał rację. Być może ta wycieczka rzeczywiście nie była najlepszym pomysłem.

Poczucie, że znajdują się na trakcie komunikacyjnym z prawdziwego zdarzenia, znikło po kolejnej setce kroków. Nieba nie dało się już dojrzeć, chyba że przypadkiem, a po kolejnej setce Vlora musiała przyznać, że beznadziejnie się zagubiła. W tym miejscu nie miało się poczucia kierunku, nie było tu charakterystycznych punktów, według których można się było orientować.

Równie dobrze mogłaby znaleźć się w podziemiach.

Zauważyła także, że zapanowała dziwna cisza. Przed zaledwie chwilą na ulicach bawiły się dzieci, ludzie chodzili korytarzami. Teraz wokół widziało się zaledwie kilka osób, a i one wszystkie się oddalały, za to na plecach Vlora czuła ciężar wielu spojrzeń. Cisza sprawiała, że smród wydawał się dokuczliwszy, ciężka woń niczym

zgniętego jedzenia i padliny. Zauważyła też szczury, biegające we wszystkich kierunkach.

Szli dalej. Po kolejnych kilku zakrętach Vlora powiedziała:

– Mam wrażenie, że jesteśmy śledzeni.

– Z całą pewnością jesteśmy śledzeni – przytaknął agent. Mocno zaciśnięte wargi przecinały mu twarz cienką linią. Znów skręcili kilka razy, szybko, raz za razem. – Tak tu już jest. Mówiłem przecież, że Palo są zorganizowani. Obserwują obcych, czyli każdego, kto ma kresjańskie rysy, a go nie znają. Nie dziwiłbym się, gdybyśmy w tej chwili byli na celowniku szpicli samej Mamy Palo.

Vlora czuła się niepokojąco bezradna, choć to mało powiedziane. Utrata orientacji coraz bardziej wyprowadzała ją z równowagi. Biegała wzrokiem od okien do drzwi i z powrotem, ale zbyt wiele było wokół przeróżnych zakamarków, żeby kontrolować wszystkie. Zasadzka przygotowana tu przez kompetentnego dowódcę mogła oznaczać zagładę całej brygady.

Jej brygady.

– Chyba powinniśmy już wracać.

– A co innego robimy? – Głos Bravisa brzmiał inaczej, był wyższy niż zwykle, napięty. Ledwie zadał pytanie, wychynęli zza kolejnego zakrętu i tuż przed sobą zobaczyli drogę prowadzącą zakosami do wyjścia z Jamy. Vlorze wydało się, że usłyszała pełne ulgi westchnienie Michela. Westchnienie to usłyszała po raz drugi, gdy znaleźli się już na górze. Zatrzymała się na chwilę, by wyrównać oddech. Obejrzała się za siebie. Dzielnice Jamy wyglądały doprawdy surrealistycznie!

– To miejsce... – szukała odpowiednich słów. Nadal czuła przeraźliwy smród. – Nie należy do najprzyjemniejszych.

Agent uśmiechnął się do niej niewyraźnie, jakby chciał powiedzieć „a nie mówiłem”, ale zaraz potem ze zrozumieniem skinął głową.

– Łagodnie powiedziane. Kiedyś był to po prostu labirynt. Człowiek się w nim gubił, pytał o drogę i wracał do świata nad

ranem, tyle że bez trzosa. Ale teraz, kiedy rządy przejęli Palo, w Jamie giną całe grupy Czarnych Kapeluszy. Znikają bez śladu.

– Oni was aż tak nienawidzą?

– Nas? – zdziwił się. – Pani generał, mam wrażenie, że cenisz sobie szczerłość ponad wszystko, więc powiem szczerze: nienawidzą nie tylko nas. Może jeszcze nie wiedzą, kim jesteście i dla kogo pracujecie, ale kiedy wieść się rozniesie, twoi żołnierze zaczną znikać.

Słowa te były dla Vlory jak cios w żołądek. W co się, na otchłań, wpakowała? Sprowadziła swych ludzi tu, gdzie samo chodzenie po ulicach już jest ryzykowne. Jasne, to środowisko powinno być im znane, bagna Dorzecza Tristan były nieprzebyte i były niebezpieczne, ale wydawało się czymś w rodzaju zdrady napotkać podobne zagrożenia w nowoczesnym przecież mieście. Uznała jednak, że skoro poradzili sobie tam, to dadzą radę i tutaj.

– Jest jakaś nauka, której mogłabym udzielić moim ludziom, gdyby tam zbłądzili? – spytała i pomyślała: jeśli powiesz „niech się modlą”, dostaniesz po pysku.

Czarny Kapelusz zmarszczył nos, spojrzał w dół, za Krawędź Jamy, a potem zerknął na zegarek i zaklął cicho.

– Rada? No tak. Niech szukają ściany kamieniołomu i idą wzdłuż niej, póki nie znajdą drogi w górę. Lepiej nie wchodzić do budynków, bo wówczas dwuwymiarowy labirynt stanie się trójwymiarowy. – Jeszcze raz sprawdził czas. – Przykro mi, pani generał, ale mam dziś jeszcze kilka spraw do załatwienia. Czy mogę być przydatny w czymś jeszcze?

Zawsze uciekasz w decydującym momencie, pomyślała Vlora, a potem spojrzała w stronę Fort Loel. Podnoszono nad nim właśnie sztandar kompanii, ale gdy dotarł do szczytu masztu, sam maszt złamał się i przewrócił, wznosząc chmurę kurzu. Zła wróżba.

– Tak – powiedziała głośno. – Drugi raz nie wejść tam bez informacji wywiadowczych. Mówiłeś, że macie tam agentów?

– Tak. Mamy. No, powiedzmy, coś w rodzaju agentów. Proszę. – Michel zapisał coś na odwrocie jednej ze swoich wizytówek i podał

Vlorze.

– Lodowy Baron? – zdziwiła się.

– To businessmen.

– Można mu ufać?

Agent zawahał się dostrzegalnie.

– Nie ma nic do ukrycia, więc tak, pod tym względem można mu ufać. Sugeruję jednak zachowanie dyskrecji, jeśli chodzi o wasze zadanie.

– A jaki jest oficjalny powód rozlokowania naszego oddziału tak blisko Jamy? – spytała. – Ludzie zaczną zadawać pytania, to nieuniknione. Nasz oddział to jak jakaś przeklęta armia.

– Tego jeszcze nie wiemy. Nasi propagandyści właśnie nad tym pracują.

Vlora prychnęła z pogardą.

Propaganda była oczywiście częścią działania każdego rządu, ale wspomnienie o niej w ten sposób wydało się jej przesadnie cyniczne, nawet jak na Czarne Kapelusze.

– To może zrobimy tak – zaproponowała. – Moi ludzie czekają na kolejne zadanie. Wezwano nas tu w związku z zamieszkami. Mamy zaprowadzić porządek, dopilnować, żeby się nie powtórzyły. A tymczasem moi inżynierowie, nie mając nic do roboty, zaoferowali pomoc w pracach budowlanych wokół Jamy.

Michel uniósł brew z niedowierzaniem.

– Są wśród was inżynierowie?

– I to bardzo dobrzy. Lubię, żeby moi ludzie mieli jakieś zajęcie, kiedy nie walczą. Zauważyłam, że lady kanclerz lubuje się w przedsięwzięciach budowlanych, więc pozwólcie nam zwalić kilka kamienic. Niech to wygląda tak, jakbyśmy poprawiali jakość naszego otoczenia. Być może nadarzy się okazja, aby powęszyć tu i tam.

Michel chwilę się zastanawiał.

– To może się udać – przyznał. – Przekażę pomysł wyżej.

– Proszę poinformować mnie o jego losach jutro po południu. Chcę wiedzieć, jak odpowiadać na pytania, a te z pewnością się pojawią.

– Oczywiście, pani generał. – Michel ukłonił się czapką i odszedł do budynku, w którym zostawił swój uniform Czarnego Kapelusza.

Vlora stała w bramie Fort Loel, obserwując kontrolowany chaos oddziału wojskowego, rozłokowującego się w nowym miejscu. Olem zauważył ją i natychmiast do niej podszedł.

– I jak poszło? Tak tam strasznie, jak mówią?

– Nie. Chętnie postawiłabym tam letni domek. I przeniosła się do niego na emeryturze. Moje wnuki bawiłyby się na ulicach...

– Najpierw musimy mieć dzieci...

Tej rozmowy nie miała zamiaru prowadzić. Nie tu i nie teraz.

– Wiesz, co to sarkazm? Tam wchodzi się jak do przeklętego labiryntu. Skóra cierpnie i bynajmniej nie tylko dlatego, że łązi się tam po jakiejś obrzydliwej mazi. Niesympatyczne miejsce. Aha, być może znalazłam zajęcie dla inżynierów. Przy projektach budowlanych. Oczywiście najpierw muszą odbudować fort.

Pułkownik nie wydawał się zachwycony tą informacją.

– Powiem Whitehallowi. Jestem pewien, że ucieszy się do szaleństwa. Mamy jakiś plan ataku, dzięki któremu moglibyśmy dostać tę Mamę Palo?

– Nie jestem pewna, czy Czarne Kapelusze wierzyły, że zdołają skłonić nas podstępem do użycia siły. Ja w każdym razie nie zamierzam walczyć, nie tam. Tym razem stawiamy na finezję. Agent Bravis dał mi adres kogoś nazywanego Lodowym Baronem. Wiesz, o kogo chodzi?

– To biznesmen.

– Zdaje się, że tak. Wygląda na to, że ma być naszym informatorem. Umów nam spotkanie. Dobrze, a teraz zastanówmy się, jak wejść do tej przeklętej Jamy.



## II ROZDZIAŁ

Uganiałem się przez nią za jakąś bajeczką. – Styke obracał pierścień lansjera kciukiem i palcem wskazującym. Było wczesnie, zaledwie minęła siódma rano, a on stał w najbardziej na północ wysuniętym punkcie nabrzeża, obserwując wychodzące w morze statki, mijające główki falochronów z poranną falą odpływu. Noga bolała go po długim spacerze, ale w kąciku ust miał kostkę gumy rogowej i tak dobrze nie czuł się od wielu lat. Pomyśleć, że serce radował mu widok tak zwykły, jak wypływające z portu statki.

Pierwszą i drugą noc na wolności spędził w marynarskim hoteliku w dokach. Pokój dla dwóch osób, niewiele szerszy od zwykłej szafy, wydał mu się królewskim pałacem, piętrowa prymitywna prycza zaś łóżem z baldachimem. Celine zajęła górne łóżko, przespała ranek, pochrapując cicho, a on leżał przy otwartych drzwiach, słuchając, jak we wspólnej izbie na dole marynarze jedzą śniadanie.

– Bajeczka – powtórzył do siebie. W ciągu ostatniego kwadransa doliczył się aż ośmiu statków wychodzących z portu, a pamiętał, jak

dwa dniennie już były wydarzeniem, poruszającym całe Landfall. Na otchłań, pamiętał przecież, jak ten port płonął, podpalony przez marynarke Kezu, i jak zastanawiał się, czy kiedykolwiek zostanie odbudowany. O Lindet dało się powiedzieć wiele złego, nawet straszego, ale dotrzymała słowa. W ciągu zaledwie dziesięciu lat Fatrasta stała się potęgą gospodarczą.

Spojrzał na Celine. Siedziała na kamieniach u jego stóp, z głową sennie opuszczoną na kolana. Mogła zostać w hoteliku, dobrze się wyspać, ale sama nalegała, żeby mu towarzyszyć, i dotrzymywała opiekunowi kroku dzielnie, bez słowa skargi.

– Słyszałaś kiedyś jakieś opowieści o ludziach-smokach?

Drgnęła i wyprostowała się. Wyrwał ją z drzemki.

– Nie. Tata nigdy mi niczego nie opowiadał. Uczyłam się, jak otwierać zamki i jak wyciągać portfele z kieszeni, ale nie słyszałam opowieści. Mówił, że są dla cieci i głupców.

– Twój tata był fiutem – westchnął Styke.

– Bardzo go kochałam. – Celine pociągnęła nosem. – I on też kochał mnie.

– Co nie zmienia faktu, że był fiutem. Posłuchaj... Przed tysiącem lat, kiedy tym światem rządzą Dynizyjczycy, z najdzikszych bagien wyszli ludzi-smoki. Byli najlepszymi wojownikami ludu, który żył wojną, w każdej bitwie wartymi stukrotnie więcej od przeciwnika. – Styke wyciągnął nóż, obejrzał ostrze w świetle porannego słońca, a potem wymierzył je w dziewczynkę. – Ludzi-smoki ćwiczą od dzieciństwa, by byli okrutni, pewni siebie i nigdy się nie poddawali. Zostawali mężczyznami, dopiero kiedy zabili największego bagienego smoka, jakiego udało się im znaleźć. Z jego skóry sporządzali zbroję, a z kości toporek. Dostawali błogosławieństwo od Kościanych Oczu, czarowników krwi. Czyniło ich to niemal niewidzialnymi.

Celine wpatrywała się w niego, zachwycona.

– I co? – spytała.

– Nic więcej o nich nie wiadomo, ta wiedza zagubiła się w czasie. Kez zabił ostatnich ludzi-smoków przed wieloma dziesiątkami lat,

a o Imperium Dynizyjskim nie słyszano nic poza Dynizem od stu lat.

– Lady Krzemień mówiła, że jej ludzie zabili człowieka-smoka.

– Może?

Ale Styke miał co do tego pewne wątpliwości. Być może jakiś doskonały wojownik Palo zabił kilku jej ludzi. Być może wojownik ten nosił tradycyjną zbroję ze skóry smoka. Ale ludzie-smoki wyginęli dawno temu. Spojrzał na wschodzące słońce. Właściwie szkoda ich, pomyślał. Na świecie nie było już prawie prawdziwych wojowników. Nadeszły czasy skrytobójców i żołnierzy, tych, co mordują z ukrycia, i tych, co zabijają w szyku. Jego zdaniem ostatnimi prawdziwymi wojownikami byli magowie prochowi, a i oni woleli stosować swą sztukę z bezpiecznej odległości. Wyobraził sobie Vlorę walczącą z człowiekiem-smokiem i ten obraz wywołał uśmiech na jego ustach. Byłoby na co popatrzeć!

– Lady Krzemień i ten Olem chyba wiedzą, kim byłeś.

Styke pieszczotliwie zmierzwił włosy dziewczynki.

– Przez chwilę wydawało mi się, że nie wiedzą.

– A jednak. Naprawdę byłeś tak wielkim bohaterem, jak mówili? W obozie ludzie nazywali cię zabójcą, ale nie wiedzieli, że byłeś bohaterem.

– Na wojnie to zabijanie czyni cię bohaterem, więc... – Wzruszył ramionami. – Więc chyba nim byłem.

– Zabiłeś wielu ludzi?

– Setki.

Celine milczała przez chwilę. Chyba próbowała wyobrazić sobie tę liczbę.

– Żałujesz, że ich zabiłeś? – spytała w końcu.

– Czasami.

– Mój tata zadusił kiedyś starą kobietę. Obudziła się, kiedy kradł rodzinne srebra. Ale to nie było na wojnie, więc nie zrobiło z niego bohatera.

– Co to za człowiek, ten twój tata! – Styke przesunął językiem kawałek gumy rogowej, który trzymał w ustach. – Dlaczego go za to nie powiesili?



– Bo nie złapali. Do obozu trafił później, za kradzieże. A dlaczego ciebie nie ukarali za tych wszystkich zabitych ludzi?

Opuścił wzrok na Celine. Przyszło mu do głowy, że te jej pytania powinny go rozdrażnić, a jednak sprawiły tylko, że tym bardziej polubił dziewczynkę. Przypominała mu jego małą siostrzyczkę, zadającą pytanie za pytaniem, zawsze szukającą odpowiedzi, jak i dlaczego. Ale te czasy minęły przed kilkoma dziesiątkami lat. Wszystko się zmieniło.

– Bo byłem Szalonym Benem Stykiem – wyjaśnił. – Zabijałem dla mojego kraju, więc przypinali mi do piersi medale, aż przestałem być potrzebny. I wtedy posłali mnie do obozu.

– Potrafiłbyś zwyciężyć człowieka-smoka?

– Nigdy nie walczyłem z przeciwnikiem, którego nie potrafiłbym pokonać. – Styke sprawdził na kciuku, czy jego nóż jest wystarczająco ostry. Zlizał kropelkę krwi. – Ale wtedy byłem młodszy. Silniejszy. Zawsze umiałem wybrać sobie właściwych przeciwników, byłem w tym naprawdę dobry. Nie chciałbym walczyć z człowiekiem-smokiem. Nie z którymś z tych opowieści. – Westchnął, schował nóż. Pomógł Celine wstać. – Oni nie istnieją. Już nie. Nie mam się czego bać.

– Jeśli już ich nie ma, to co zamierzasz zrobić?

– Popytam tu i tam, przez parę dni poudaję, że coś robię, pouganiam się za cieniami przeszłości, a potem powiem lady Krzemień, że nie ma się czym przejmować, i może dostanę jakąś prawdziwą robotę?

Styke zmarszczył brwi. Pamiętał zachwyconą minę Olema i sceptyczną Krzemień, gdy zgodzili się jednak przyjąć go w swoje szeregi. Bardzo poważnie podejrzewał, że zrobili to z litości. Na tę myśl aż go zemdliło. Chociaż nawet nie wiedział, dlaczego aż tak się przejmuje. Tak naprawdę zatrudniał go przecież Tampo, a jego jedynym prawdziwym zadaniem było zbliżyć się do lady Krzemień, i z tym, jak do tej pory, nieźle dawał sobie radę.

– Chcę się znów do czegoś nadawać – mruknął do siebie.

– Co mówisz? – zainteresowała się Celine.

– Nic. – Styke wziął ją za rękę. – Idziemy na spotkanie ze Starym Flesem. Może on znajdzie coś dla nas.



Staruszek siedział przed FLES I FLES PŁATNERZE – NAJLEPSZE MIECZE, trzymając na kolanach kubek mleka i pudding chlebowy. Przyglądał się pierwszym klientom, mijającym jego warsztat w drodze do straganów z jedzeniem, które znajdowały się bliżej środka targu.

– Handel kiepsko idzie? – przywitał go Styke i usiadł obok.

Fles trącił czapkę palcem na powitanie.

– Nikt nie kupuje mieczy i noży o tej porze dnia. Największy ruch mamy koło południa, kiedy na zakupy ruszają żony dandysów i zamożnych kupców.

– Kiedyś więcej tu się działo, nawet o tej porze.

– Poranne pojedynki wyszły z mody.

Styke pamiętał to, czego dowiedział się o zwyczajach Fidelisa Jesa.

– Nasz Fidelis jakoś tego nie zauważył – odparł. – Dowiedziałeś się może o nim czegoś nowego?

– No nie! – Płatnerz nie krył złości. – Minęło... ile? Czterdzieści godzin? Odrobinę cierpliwości, chłopcze. Jeśli myślisz, że pobiegłem pędem do moich kontaktów i zacząłem ich wypytywać na temat wielkiego mistrza Czarnych Kapeluszy, to w życiu się tak nie pomyliłeś.

– Fakt, liczyłem, że przyspieszysz tempa. Przez pamięć dawnych czasów.

Srogie spojrzenie, którym zmierzył go stary, tym razem było dwakroć sroższe.

– Zawsze cię lubiłem, Ben, i cieszę się, że cię widzę żywego, chociaż wyglądasz gorzej niż kot obdarty ze skóry, ale proszę, nie nadużywaj mojej cierpliwości. Nadal jestem pewien, że moja córka

wyfiletuje cię zaraz po powrocie do miasta, więc czemu miałbym się spieszyć?

– Mam u niego dług do spłacenia – powiedział cicho Styke.

– Och, uspokój się, szepnąłem już temu i owemu, że szukam informacji, a Fidelis Jes ci nie ucieknie. A w ogóle po coś tu przyszedł? Jeśli za tobą przyjdą Czarne Kapelusze, będę, wyobraź sobie, mocno wkurzony.

– A co, mają mnie na celowniku?

– Jeszcze nie – przyznał Fles – ale lepiej by dla ciebie było, gdybyś trzymał się z dala od targowiska. Ja i Ibana potrafimy trzymać język za zębami, ale mam teraz uczniów i w ogóle za wiele tu oczu. Chcesz pogadać, przyjdź do domu.

– Nadal mieszkasz w tym starym, w Ognistej Jamie?

– Oczywiście.

– Myślałem, że Jama należy teraz do Palo.

– Palo zostawiają nas w spokoju. – Stary wzruszył ramionami. – Nasze nazwisko znaczy wystarczająco wiele, żeby trzymali się z dala od nas. Myślisz, że ostrzę im noże za darmo tak po prostu, z dobroci serca? Poza tym nigdy nie spotkałem Palo, który chciałby czegoś od Ibany.

– Z pewnością nie tego, co byłaby skłonna mu dać. – Styke uśmiechnął się złośliwie, ale Fles tylko przewrócił oczami.

– Niech ci będzie. W każdym razie nie powinienes się tu pokazywać.

– Dobrze, dobrze, już idę. – Styke obejrzał się przez ramię, szukając wzrokiem Celine. – Jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Wiem, głupio zabrzmiało, ale czy słyszałeś coś o tym, żeby znów pojawili się ludzie-smoki?

Spodziewał się pełnego politowania skrzywienia warg, a może nawet śmiechu tak głośnego, że Styke'a po prostu wywiałoby z targowiska, ale płatnerz tylko zdjął czapkę i podrapał się po głowie. Patrzył przy tym na swego gościa bardzo uważnie.

– Zabawne, że właśnie o to pytasz. Chodzą plotki, że w Ognistej Jamie pojawili się ludzie w strojach ze smoczej skóry. To tylko

pogłoski, oczywiście, uważa się, że to Mama Palo gra w jakieś swoje gierki z Czarnymi Kapeluszymi, ale nie ty pierwszy pytasz mnie o ludzi-smoki w tym tygodniu. A od kiedy byłem dzieckiem, mówiło się o nich wyłącznie szeptem.

– Ludzie-smoki w Landfall? – Styke nie zdołał ukryć brzmiącej w głosie kpiny. – To niedorzeczne!

Fles wyrzucił ręce w powietrze.

– Mówię ci tylko to, co sam słyszałem! Mnie też wydaje się to śmieszne, ale przez tę rewolucję wszystko się pomieszało. Dziewięć zeszło na psy. Władca Adro zginął, ludzie twierdzą, że podczas wojny Kezu z Adro na ziemię zstąpił Kresimir, że bogowie walczyli ze sobą i też poumierali, a Kez pogrążył się w wojnie domowej. Świat zwariował, Ben. Powrót ludzi-smoków? Dlaczego nie? Wszystko może się zdarzyć, ale jeśli chcesz dowiedzieć się o nich czegoś więcej, musisz pytać Palo.

– Może nawet skorzystam z twojej rady? – powiedział Styke i odszedł, zostawiając Starego Flesa pod jego warsztatem, mruczącego coś ponuro pod nosem. Znalazł Celine, spacerującą wzdłuż kramów. Opuścili plac targowy razem, przeszli przez teren portu, po czym zatrzymali powozik i przejechali nim przez dzielnice przemysłowe do Górnego Landfall, żeby Styke mógł obejrzeć sobie miasto, którego nie widział od tak dawna.

Przynajmniej tak to sobie zaplanował.

Wszystko, co słyszał do tej pory, wydawało się świadczyć, że Palo to beczka prochu. Nie miał najmniejszej ochoty wtykać nosa w ich sprawy. Ale Stary Fles miał rację. Jeśli ludzie-smoki powrócili, to nawet Czarne Kapelusze niczego mu o nich nie powiedzą. Tylko Palo mogli udzielić mu jakichś informacji.

Ciekawe, czy generał Krzemień wie, jak niebezpieczne jest dla niego, Styke'a, szukanie informacji o ludziach-smokach. Zapewne nie wie. Zanim dowiedziała się, kim jest – czy raczej kim był – miała go przecież za bezwartościowego kalekę. Do głowy jej pewnie nie przyszło, że będzie szukał najbardziej niebezpiecznych wojowników Palo w dzielnicy przez nich zamieszkaney. Że go na to stać. Ale... jeśli

dostarczy jej wartościowych informacji, jeśli zdobędzie przekonujące dowody świadczące, że ludzie-smoki naprawdę istnieją, i może nawet dowie się, co planują, być może zdobędzie miejsce w kręgu jej najbliższych doradców.

A Tampo tego właśnie chciał.

Styke kazał się wieźć z powrotem, wzdłuż zachodniej granicy płaskowyżu i przez północne Landfall, aż objechali w ten sposób miasto dookoła. Południe dawno minęło, gdy znów stanął przed warsztatem Flesa. Stary zajęty był polerowaniem ostrza swojej najnowszej zabawki.

– Czyżbym zapomniał powiedzieć ci, że nie chcę cię tu więcej widzieć? – spytał.

– I więcej mnie nie zobaczysz, ale teraz muszę cię poprosić o przysługę.

– Jaką?

– Zorganizuj mi spotkanie.

– Z kim?

– Z człowiekiem-smokiem.

– To najgłupsze, co słyszałem...

– Po prostu rozpuść wieści – przerwał mu Styke – że syn wpływowego adrańskiego kupca chce się spotkać z człowiekiem-smokiem. Przekaż gdzie trzeba, że dobrze zapłaci za zaledwie kilka minut rozmowy. Powiedz im, że jestem historykiem. – Styke znalazł kawałek papieru, zapisał na nim adres. – Ustaw spotkanie w tym barze. Daj mi znać, kiedy mam tam być.

– Zwrócisz na siebie uwagę wszystkich niewłaściwych ludzi – zauważył Fles, bawiąc się karteczką.

– I o to chodzi.

– Jesteś szalony.

Styke trzymał Celine za rękę. Odchodzili już, ale zdążył odwrócić się i uśmiechnąć krzywo.

– Tak o mnie mówią.



## I2 ROZDZIAŁ

**K**iedy Vlorą zapukała do drzwi okazałego domu, stojącego jakieś pół mili na wschód od Ognistej Jamy, ostatnią rzeczą, jaką spodziewała się zobaczyć, był otwierający je wysoki, mocno zbudowany mężczyzna z ciemną cerą Rosvelczyka i z narzuconą na ramiona skórą czarnego niedźwiedzia. Mężczyzna miał czerwoną twarz, pot strumieniami ściekał mu z czoła, a w takim stroju wyglądał bardziej na żołnierza adrańskiej Straży Górskiej niż mieszkańca Landfall. Spojrzał najpierw na nią, potem na Olema, a potem znów na Vlorę. Otworzyła usta, by się przedstawić, ale ją uprzedził.

– Lady Krzemień? – spytał z ciężkim rosvelskim akcentem.

– Taaak... Szukam barona Habba... Habber...

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

– Jestem baron Vallencian Habbabberden – powiedział z dumą. – Proszę wejść, proszę. Agent Bravis uprzedzał, że mam was oczekiwać.

Vlora i Olem wymienili spojrzenia i ruszyli za gospodarzem przez korytarz, do pokoju dziennego po lewej. Ku ich zdumieniu przedpokój, szeroki korytarz i pokój dzienny okazały się całkowicie pozbawione umeblowania. Ściany były nagie, bez jakichkolwiek dekoracji, brakowało nawet lamp z wyjątkiem kilku gazowych latarenek. I służby chyba też nie było, choć sam dom, przy swoich rozmiarach, wymagałby jej opieki.

Potężny mężczyzna podszedł do kominka, oparł się o niego, zapalił fajkę.

– Lady Vlora Krzemień gościem w moim domu! Cóż za zaszczyt! – Przerwał, rozejrzał się. – Chyba muszę usprawiedliwić ten ascetyczny styl. Urodziłem się w namiocie mniejszym od tego pokoju, a teraz jestem właścicielem czterech takich przeklętych domów i nie mam pojęcia, co powinno się w nich znaleźć.

Olem odchrząknął. Odwrócił głowę, zakaszłał, wyraźnie próbując powstrzymać wybuch śmiechu.

– Pan jest Lodowym Baronem? – spytała Vlora bardziej niż trochę sceptycznie.

– Tak, to ja. Nie próbujcie mówić mi po nazwisku, nikomu to się jeszcze nie udało. Wystarczy „baronie”, dla przyjaciół Vallencian. A ty, lady Vloro, jesteś moją przyjaciółką. Czytałem twoją biografię. Była bardzo dobra.

Na otchłań, o czym on gada?!

– Przecież nikt nie napisał mojej biografii.

– A jednak napisał – upewnił ją baron. – Najemnik z Rosvel, służył w wojnie domowej w Kezie. Znakomita książka. Dopilnuję, by ją przetłumaczono, i przyślę ci egzemplarz.

– Dziękuję... Chyba będzie za co?

– Nie ma o czym mówić. A ty jesteś pułkownik Olem. – Vallencian nagle zrobił krok do przodu, zaczął ciepło ścisnąć im dłonie. – Lubisz papierosy, nie? To spróbuj tego. – Wyjął pudełko z kieszeni spodni, otworzył je zręcznie jedną ręką. W środku były zwinięte papierosy, tylko zapalić.

Olem natychmiast się rozpromienił.

– Nie musisz mi dwa razy powtarzać!

Zapalił. Vlora odmówiła niecierpliwym gestem. W myśli próbowała jakoś ocenić tego całego Lodowego Barona. Cudzoziemiec, to oczywiste, dumny ze swego pochodzenia, czego dowodem ten absurdalny w upale strój.

– Proszę o wybaczenie, jeśli popełniam nietakt, ale czy ty naprawdę jesteś baronem?

– A czy lady Krzemień jest lady? – odciął się Vallencian i natychmiast uniósł ręce w przeproszającym geście. – To żart, oczywiście, tylko żart. Urodziłem się w wiosce w północnym Rosvel, wysoko w górach. W zeszłym roku kupiłem baronię, ale jeszcze jej na oczy nie widziałem. Kuzyn na niej gospodaruje, podobno fatalnie. Ale nazywano mnie Lodowym Baronem znacznie wcześniej, tak jak ciebie nazywali lady Krzemień, nim zostałaś lady.

Vlora spojrzała na Olema.

– Ale mnie nie nadano żadnego tytułu. Ktoś kiedyś powiedział o mnie „lady Krzemień” i tak już zostało.

Gospodarz zmarszczył brwi. Musiał zastanowić się nad tymi słowami.

– Ta biografia... Nie, nie przyślę ci jej. Jest gównem warta.

Tym razem pułkownik po prostu musiał się roześmiać. Baron mu zawtórował.

– Ach! – Podrapał się po karku. – Jeszcze raz przepraszam za braki mojego mieszkania. Chętnie powiedziałbym, że dom jest nowy, ale tak naprawdę ma już trzy lata. Lokajowi dopiero niedawno udało się mnie przekonać, żebym kupił łóżko. – Vallencian poklepał niedźwiedzie futro na ramionach. – Mnie wystarczy ta tu rangga pod głową i święci usypiają mnie kołysankami jak dziecko. A krzesła? Ostentacja, tylko ostentacja.

– Nie przyjmujesz gości? – zdziwił się Olem. – Chodzi mi o to, że słyszałem twoje nazwisko na mieście, ludzie je znają, powtarzają, poruszasz się w bardzo prestiżowych kręgach.

– Bardzo lubię gości. – Baron uśmiechnął się w sposób świadczący o tym, że doskonale wie, o co chodzi. – Chodzić w gości,



a nie ich przyjmować. Wydaje mi się to znacznie właściwsze. Mam okazję rozdawać drogie prezenty gospodarzom, zamiast dawać im tylko jeść i pić. No i jeśli ich nie przyjmuję, nie muszę zatrudniać bandy jakichś dupków. A skoro już o tym mowa, gdzie mój przeklęty lokaj? – Baron bezradnie spojrział w sufit. – Nie mam z niego żadnego pożytku, żadnego! Miał przynieść homary. Widzieliście tu jakieś homary? Ja tam nigdy nie widziałem niczego tak obrzydliwego, a kiedy je zobaczyłem, powiedziałem sobie, że muszę zabić je i zjeść. A teraz – cmoknął smakowicie – teraz po prostu je kocham.

Vlora potrafiła rozpoznać gadułę, zwłaszcza takiego, który jak raz zacznie, to sam nie skończy. Vallencian z pewnością należał do tej kategorii, musiała go jakoś uciszyć. Przykryła usta dłonią, zakaszła.

– Baronie, ale... czy powiedziałaś, że agent Bravis uprzedził cię, że przyjdziemy?

– A tak, tak, oczywiście. Powiedział, że chcecie dowiedzieć się czegoś o Palo.

– O Ognistej Jamie, tak.

– Ach, Jama. – Baron zapatrzył się w sufit, jakby wspominał spacer w wyjątkowo pięknym parku. – Widzieliście kiedyś coś podobnego?

– To gniazdo szczurów. – Vlora nie bawiła się w subtelności.

Gospodarz pomachał jej palcem przed nosem.

– Gniazda szczurów są piękne, dają ciepło, bezpieczeństwo, poczucie wspólnoty. W Ognistej Jamie jest to wszystko i wiele więcej. Próbuję wytłumaczyć Czarnym Kapeluszm, o co chodzi, ale kto by tam słuchał Vallenciana. Nikt.

Popatrzyła mu w oczy. W kręgach, w których obracała się w Adro, barona uznano by zapewne za prostytutkę, ale żaden prostaczek, biedak bez grosza przy duszy, urodzony w namiocie, nie zgromadziłby majątku umożliwiającego mu kupienie baronii.

– Jak dobrze znasz Jamę? – spytał Olem. – I musisz mi powiedzieć, skąd masz te papierosy. Są świetne!

– Wyślę ci nazwisko mojego dostawcy tytoniu. Znam całkiem dobrze. Co tydzień spotykam się tam z moimi partnerami biznesowymi. To bardzo miłe miejsce, tylko trzeba się do niego przyzwyczaić.

Vlora zadrżała. Przypomniała sobie obrzydzenie i strach, towarzyszące jej krótkiej przecież wycieczce z agentem Czarnych Kapeluszy.

– Wierzę ci na słowo – powiedziała. – Chcesz mi powiedzieć, że pracujesz dla Czarnych Kapeluszy, a jednocześnie robisz interesy w Jamie? Jawnie i otwarcie?

– „Pracujesz” to za dużo powiedziane. Nie po to się wzbogaciłem, żeby pracować. Czarne Kapelusze przychodzą do mnie raz na kilka tygodni, pytają, co widziałem i co słyszałem. Więc mówię. Daję im też sute łapówki, dzięki czemu moje statki mają spokój. Palo o tym wiedzą, więc w mojej obecności mówią tylko to, co mogę powtórzyć. Taka współpraca układa się doskonale. Próbuję prowadzić interesy... Jak wy mówicie...? Czysto?

– I możesz swobodnie poruszać się po Ognistej Jamie?

– Unikam niebezpiecznych zaułków.

– Tam nie ma nic oprócz niebezpiecznych zaułków – wtrącił się do rozmowy Olem.

Vallencian spojrzał na niego spod oka.

– Pozwólcie, że coś wam o niej powiem. Jest samodzielnym... Jak to nazywają przyrodnicy...? Aha, „ekosystem”, no więc jest samodzielnym ekosystemem. To osobny świat z własną ekonomią, klasami społecznymi, armiami. Nawet pogodę ma własną. Dla wszystkich sławnych i bogatych z Górnego Landfall to ściek, ale ten ściek ma własne biedne dzielnice, najgorsze z najgorszych, i własne pałace, miejsca, na których widok oddech uwiązłby wam w piersiach. Jama jest tak różnorodna jak miasto, w którego granicach leży.

Vlora przygryzła wargę, zakołysała się na nogach w przód i w tył.

– Brzmi to dość skomplikowanie – powiedziała.

– To jest skomplikowane. Rozgryzałem te układy przez lata.

- A co sprzedajesz tam, na dole? – spytał Olem.
- W ogóle sprzedaję tylko jedno – odparł Vallencian. – Lód.
- Lód? – zdziwiła się Vlor.

– Kiedy byłem młody, sporo zarobiłem w Rosvel na wołowinie. Przypłynąłem do Fatrasty, no i pierwsze, co zauważyłem, to ten przeklęty upał. W Rosvel przewozi się lód z wysokich gór, żeby w lecie trzymać w nim jedzenie i picie.

- W Adro też – potwierdziła Vlor.

– Owszem, moja rodzina zajmowała się tym od pokoleń. W każdym razie wydałem wszystko, co miałem, na kupienie statku i transport lodu do Fatrasty.

- Ludzie go kupili?
- Cały lód stopniał.
- Och! – westchnęła.

– Więc opakowałem go w trociny. Wykonałem drugi rejs. – Vallencian podrapał się po brodzie. – Lód dotarł na miejsce, ale wiesz, czego się dowiedziałem? Że nikt go nie chce. Tu nigdzie nie jest zimno, nawet w górach, a kto nie zna zimna, nie robi z niego użytku. Straciłem wszystko, co miałem. Potem przyszła wojna. Szmuglowałem broń dla Lindet w jedyny sposób, na jaki było mnie stać, w łodzi wiosłowej. Przerzuciłem nieco kontrabandy i kupiłem żaglówkę, którą przemyciłem parę armat, aż wojna się skończyła. Miałem trochę pieniędzy, kupiłem statek, przewiozłem trochę lodu. Stopniał prawie cały, ale zdarzyło się coś dziwnego.

- Co takiego?

– Palo odkryli, że lubią mrożoną kawę. Moda chwyciła, Fatrastanie i kresjańscy imigranci zaczęli mrozić herbatę, no i teraz, osiem lat później, macie mnie takiego, jakim jestem.

- Uparty z ciebie przedsiębiorca – zauważył Olem.

– Uporowi zawdzięczam posiadanie dziewięćdziesięciu ośmiu statków handlowych i niemal trzystu magazynów w Fatraście i Rosvel. Oraz – Vallencian rozejrzał się teatralnie – tych przeklętych wielkich pustych domów, z którymi nie wiem, co zrobić. – Podparł

głowę pięścią. – Może powinienem sprowadzić jeszcze kilku kuzynów?

Vlora zagwizdała cicho. Taki stan posiadania czynił z ich gospodarza jednego z najbogatszych obywateli Fatrasty, a być może wszystkich Dziewięciu. I ten człowiek nie miał kamerdynera, nie miał nawet jednego mebla! Dziwne.

– No więc widzicie – baron rozłożył ręce szeroko – taki jestem i tak wyglądamy moje związki z Palo. Pomogę wam w każdy dostępny mi sposób.

Vlora przemyślała sobie jak najdokładniej, jakimi informacjami powinna podzielić się z tym człowiekiem, a jakie zatrzymać dla siebie. Uznała, że dla jego bezpieczeństwa powie tylko to, co niezbędne.

– Mojej kompanii przydzielono koszary na samej Krawędzi Jamy. Mamy przeprowadzić pewne prace inżynieryjne, a także pełnić służbę garnizonową.

Baron wymierzył w nią palcem.

– Palo to się nie spodoba. Już wiedzą, kim jesteście.

– I dlatego potrzebna nam pomoc. Chcę dowiedzieć się o nich więcej, nauczyć się jakoś żyć obok nich. Nie chcę, żeby moi ludzie wychodzili na patrole i znikali, wolę coś w rodzaju zawieszenia broni.

– I myślisz, że mogę wam to załatwić? Ha! Agent Bravis przesadził z opisem mojego znaczenia wśród Palo. Jestem zwykłym partnerem handlowym. Człowiekiem z zewnątrz.

– Prawdę mówiąc, Bravis nic mi nie powiedział, ale wydaje się jasne, że żyjesz z Palo na dobrej stopie i że dopuszczają cię do swoich sekretów. O to mi chodzi. Żeby zachować spokój w interesie wszystkich. – Vlora zastanowiła się nad wypowiedzianymi właśnie słowami. Miała nadzieję, że nie brzmią przesadnie nieszczerze. Bo przecież chodziło właściwie o to, żeby zachować spokój. Nie wspomniała jednak ani słowem, że jej zadaniem jest schwytanie Mamy Palo. Wywołało to u niej poczucie winy, bo polubiła już

Vallenciana. Kłamstwo, a nawet częściowa prawda budziły niesmak.  
– Czy jest ktoś, z kim mogłabym zawrzeć tego typu układ?

Baron zastanawiał się krótko.

– Być może zdołam przedstawić cię paru osobom – przyznał.

– A co z tą ich matroną, o której już coś słyszałam? Mamą Palo?  
Czy to nie ona podejmuje tego rodzaju decyzje?

– Nikt z zewnątrz nie rozmawia z Mamą Palo – prychnął baron.

– Spotkałeś ją kiedyś?

– Nawet jej nie widziałem. Rozmawiałem z paroma osobami,  
z którymi jest podobno blisko, ale nie z nią samą.

– Może jej osoba to mit?

– Jeśli tak, to ktoś splątał najlepszy na świecie żart nam  
wszystkim, włączając samych Palo. Nie, Mama to rzeczywista osoba.  
Palo w to wierzą. Kresjanie w to wierzą. Czarne Kapelusze próbują  
ją złapać od lat. – Vallencian przyglądał się Vlorze, mrużąc oczy, ale  
najwyraźniej nie miał nic więcej do powiedzenia na ten temat. – Jeśli  
chcesz zawrzeć z Palo coś w rodzaju rozejmu, musisz spotkać się  
z właściwymi ludźmi. W przyszłym tygodniu w Ognistej Jamie  
odbędzie się wielka gala. Zobaczę, może uda mi się zdobyć dla was  
zaproszenia?

– Gala? – Goście wymienili znaczące spojrzenia. Trudno im było  
powstrzymać uśmiechy.

– Przecież mówiłem: dzielnice biedoty i pałace. Osobny  
ekosystem. Gdzie się rozlokowaliście?

– W Fort Loel.

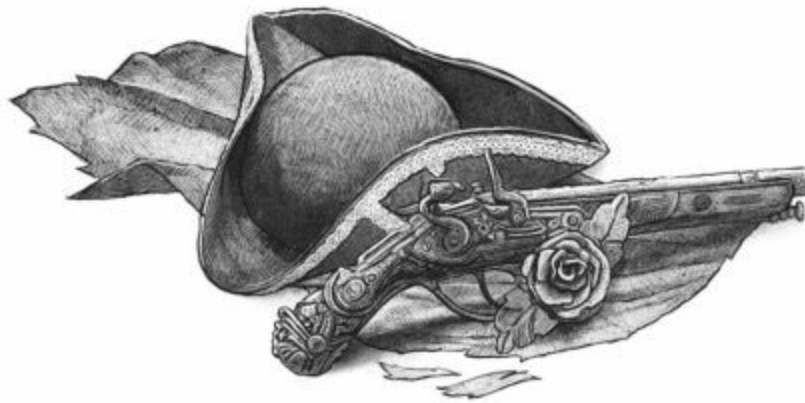
– Doskonale. Zdobędę jakoś te zaproszenia i wyślę je wam do  
fortu. W takim razie do zobaczenia na gali. Miejmy nadzieję.

Baron elegancko odprowadził gości do drzwi. Vlora i Olem  
zasiedli w czekającym na nich wynajętym powoziku. W milczeniu  
dziwili się temu, co zaszło.

– Wiedziałaś, że w Rosvel powstała moja biografia? – przerwała  
milczenie Vlora.

– Nie miałem pojęcia. – Pułkownik zdusił niedopałek na ściance. –  
Te jego papierosy są doskonałe.

- Wcale mi nie pomagasz.
- To dziwny człowiek – odpowiedział Olem na niezadane pytanie
- ale chyba mu ufam. Ma uczciwą twarz.
- Jak wielu handlarzy końmi.
- Jeśli ty mu nie ufasz, nie skorzystamy z jego pomocy. Tylko że przed wizytą popytałem tu i tam. Baron uchodzi za uczciwego kupca. Szczerego. Ludzie trochę się dziwią jego sukcesom, bo nawet kiedy może oszukiwać, rzadko wykorzystuje okazję.
- Vlora przygryzła policzek. Myślała.
- No dobrze, zobaczymy, czy załatwi nam zaproszenia. Byłam tam, na dole, nie znalazłam żadnego piękna, nie mam zamiaru szukać tej Mamy Palo bojem. Załatwimy to... – Sparodiowała Vallenciana: – Jak wy to mówicie... Czysto.
- Przesiadła się na ławeczkę obok Olema, położyła mu głowę na ramieniu.
- W porządku. – Pułkownik objął ją, przytulił. – Ale nie pozwolę ci już zejść na dół bez całej kompanii jako eskorty.



## I3 ROZDZIAŁ

**M**ichel wiedział, że największe szanse na wytropienie Żelaznych Róż dadzą mu gońcy, którzy dostarczyli drukarzom „Grzechy Imperium”. Ich uda się znaleźć, prędzej czy później. Piętnastu ludzi to o czternastu za dużo, by zachować tajemnicę, a sam fakt, że z piętnaściorga spiskowców po niemal dwóch tygodniach nie zidentyfikowano ani jednego, już robił wielkie wrażenie. Michel nie miał jednak czasu na czekanie, aż któregoś z nich po prostu zdejmie się z ulicy. Potrzebował odpowiedzi natychmiast, co oznaczało, że musiał poprowadzić dochodzenie w kierunku, w którym niewielu Czarnych Kapeluszy byłoby skłonnych pójść.

Dwa cenne dni strawił, kierując się przeczuciem. Odwiedził banki, przetrząsnął domy i mieszkania, i w ogóle ciężko pracował, aż zgromadził potrzebną mu wiedzę, po czym zwrócił swoją uwagę na ostatnie miejsce, w którym powinno się szukać winnych spisku przeciw lady kanclerz.

Na Kapelusznictwo.

„Lekka” korupcja była wśród Czarnych Kapeluszy powszechna. Agenci, on sam także, uważali uzyskiwane w ten sposób dochody za dodatek do pensji. Jedli i pili za darmo, i zawsze stali na początku

kolejki w urzędach. Sąsiedzi składali się na ich czynsz, bo bandyci woleli trzymać się od nich z daleka. Michel miał własne upodobania i chętnie z nich korzystał, choć normalnie nie byłoby go na to stać: zatrzymywał się w dobrych hotelach, korzystał z usług dobrych banków i dobrych krawców, chodził do najlepszych burdeli.

Tego rodzaju korupcję tolerowano, ale obowiązywała też niepisana zasada, że chciwość nie może przysłonić właściwego oglądu rzeczywistości. Gdzieś istniała granica, choć nikt jej dokładnie nie wyznaczył. Przekroczyło się ją i lądowało tyłkiem na ulicy, można było nawet trafić do obozu pracy.

To dlatego, kiedy wyszedł z za rogu piwnicy w Kapelusznictwie i znalazł się w korytarzu zamkniętym ladą, Michel poczuł nagły przypływ smutku. Lada obudowana była klatką, taką, jakie spotyka się w kasynach w co gorszych zakątkach miasta, a drzwi po prawej, wzmocnione stalą, otwierały się wyłącznie od środka. Starszy mężczyzna, szczupły, łysiejący, siedział w środku z nogami opartymi na blacie. W jednej ręce trzymał groszową książkę, w jakich zaczytywała się matka Bravisa, a w drugiej jabłko.

– Agent Bravis! – krzyknął, nim Michel zdążył się do niego zbliżyć. – Co cię dziś sprowadza do naszego skarbcza?

– Witaj, Bobbin. – Bravis oparł się o klatkę. Wyciągnął szyję, żeby móc odczytać tytuł książki. Poklepał się po kieszeniach, pożałował, że nie nosi ze sobą flaszeczki. – Nowe straszne powieści, co?

Skarbnik uśmiechnął się wstydliwie. Schował książkę pod ladę.

– Ano tak. Wiesz, jak jest. Tu, na dole czas się strasznie wlecze.

– Jasne. – Michel rozważył sens poplotkowania. Bobbin, choć zamknięty w klatce, wiedział wszystko. Uznał jednak, że będzie to tylko odwlekanie nieuniknionego. – Słuchaj, dostałeś już Złotą Różę?

– Ja? – Skarbnik prychnął kpiąco. – Do końca życia zostanę Srebrną. Na dole nie można się wykazać. A co z tobą, masz tę swoją Złotą? Wiem, że ciężko na nią harujesz.

– Nie. – Bravis dłużył pod paznokciami. – Jeszcze nie.

– Słyszałem, że masz teraz niańczyć tych adrańskich najemników. Ta lady Krzemień naprawdę jest taka piękna, jak to



głoszą w kolumnach plotkarskich?

– Piękna jak znoszony but – skłamał Michel. – Kilka lat temu straciła oko. Zęby jej wypadają. To nie jest przyjemny widok.

Skarbnik spojrzał na niego koso.

– Próbujesz mnie wykantować?

– Całkiem możliwe. – Agent podrapał się po brodzie. Na otchłań, to będzie bolało. – Bobbin, słyszałeś o tej sprawie z „Grzechami Imperium”?

– Mówisz o tej ulotce, takiej popularnej? Słyszałem, że kapitan Blasdell pracuje dzień i noc. Próbuje ustalić, kto zlecił tak niebezpieczny atak propagandowy.

Bobbin nie wspomniał o Różach, co znaczyło, że tę informację Fidelis Jes zdołał utrzymać poza zasięgiem gazet i że nie stała się ona przedmiotem plotek wśród samych Czarnych Kapeluszy. Czarnym Kapeluszym nie wolno było plotkować z ludźmi, mogli się tym zajmować tylko między sobą... I zajmowali z zapalem.

– Słyszałeś o Różach? – spytał.

– A co miałem słyszeć?

– Niewielu o tym wie, ale broszura wydrukowana została tylko dlatego, że ci, którzy ją zamówili, wszyscy mieli Żelazne Róże.

– To jakieś szaleństwo. – Bobbin poruszył się niespokojnie na krześle. – Nikt nie posunąłby się tak daleko w udawaniu Czarnego Kapelusza.

– Ktoś jednak spróbował. Ale w jednym masz rację, to jest szaleństwo. Propaganda to jedno, kapitan Blasdell zajmuje się tą częścią śledztwa z właściwym jej zapalem, a Żelazne Róże to coś zupełnie innego. Próbujemy ustalić, skąd się wzięły. – Skarbnik przestał się uśmiechać, za to zbladł, jakby zrobiło mu się niedobrze. Tymczasem Michel mówił dalej: – No więc kapitan sądzi, że Róże podrobiono gdzieś za granicą, i to ma oczywiście sens, ale gdybyś spytał, co ja o tym sądzę, powiedziałbym, że posłużono się oryginałami. Oryginały tu, w Landfall, zostały zweryfikowane. Zdaje się, że to ty przygotowałeś raport przed paroma dniami. Mam rację?

– Masz. – Skarbnik oblizał wargi. – Wszystkie rozliczyłem. Jeśli chcesz, możesz wejść i sam wszystko sprawdzić.

– Oczywiście, oczywiście, przecież ci wierzę. Po prostu myślę głośno. Jeśli tamte Żelazne Róże to oryginały i jeśli nie skradziono ich ze skarbcza, to znaczy, że należały do naszych ludzi. Ale to się nie trzyma kupy. Bardzo rzadko zdarza się, żeby zgłaszano zgubienie któregoś z Róż, a dzięki reputacji naszego wielkiego mistrza nikt nie miałby śmiałości ich kraść. Spytasz, co ja na to? Myślę, że pomysł, by piętnaście naszych Żelaznych Róż było wplątanych w antyrządowy spisek, wydaje mi się bardzo mało prawdopodobny.

– Michel... – Głos Bobbina drżał. – Michel, mam tu trochę roboty do zrobienia i...

Bravis go zignorował.

– Więc zadałem sobie pytanie: skąd można wziąć piętnaście Żelaznych Róż? I odpowiedziałem sobie: oczywiście ze skarbcza! A kto nim rządzi? Oczywiście mój stary przyjaciel Bobbin.

Stary poczerwieniał. Poruszył wargami, ale natychmiast zacisnął szczęki i wyprostował się na krześle.

– Nie wiem, co próbujesz dać mi do zrozumienia, ale byłoby lepiej, gdybyś ostrożniej dobierał słowa, agencie Bravis. Wiesz, jakie są konsekwencje fałszywych oskarżeń.

– Wiem – przyznał Michel. – I dlatego najpierw wszystko sprawdziłem. Dziś rano przeszukałem twój dom, a wczoraj wieczorem mieszkanie, o którym nie ma słowa w aktach. Znalazłem kwity z banku w Starland. Pół miliona kрана to nie są małe pieniądze. W dodatku głupio je wydawałeś: stroje, wódka, kobiety. Sprawdziłem, gdzie bywasz, nie jesteś ani w połowie taki ostrożny, za jakiego się masz. Aha, nim zaczniesz wymyślać jakieś historyjki, że fabrykuję dowody czy coś, wiedz, że pracuję na prywatne zlecenie wielkiego mistrza. Sam czyta moje raporty. Znajdzie nawet to, czego ja nie zauważyłem.

Twarcz Bobbina w kilka chwil z czerwonej zrobiła się śmiertelnie blada. Skarbnik Czarnych Kapeluszy oddychał szybko, z czoła ściekał mu pot. Michelowi widok ten nie sprawiał bynajmniej

przyjemności. Ten człowiek był zaufanym funkcjonariuszem, Srebrną Różą, powierzono mu jedyne klucze do skarbca oprócz tych, którymi dysponował sam Fidelis Jes. Powinien być bez skazy jak same Róże, a poza tym Michel autentycznie lubił tego człowieka. Wszyscy go lubili.

– Nie wiedziałem – szepnął Bobbin.

– Czego nie wiedziałeś? – I to była ta chwila, kiedy ludzie zaczęli błagać, usprawiedliwiać się, próbować przekupstwa, przysięgać. Michel o tym wiedział, ale wiedział o tym także Bobbin i nawet nie próbował.

– Fidelis Jes obedrze mnie żywcem ze skóry – powiedział.

Bardzo prawdopodobne, pomyślał Michel.

– Czego nie wiedziałeś? – powtórzył pytanie.

– Nie wiedziałem, co planują.

– Powiedz mi, co zaszło – poprosił agent łagodniejszym głosem. Oparł się o ladę.

– Zwrócił się do mnie pewien prawnik. Chodziliśmy do tego samego burdelu, no wiesz, tego na Wake. Powiedział, że dobrze zapłaci za wypożyczenie piętnastu Żelaznych Róż. Najpierw pomyślałem, że to jakiś żart, przecież nikt poza organizacją nie wie, że jestem skarbnikiem, ale naciskał mnie coraz mocniej. Miałem na niego donieść, ale nim podjąłem decyzję, zdążył wykupić wszystkie moje długi. Wszystkie, rozumiesz? Kasyna, burdele, wykupił nawet weksle w księgarniach! Powiedział, że je zniszczy i dostanę jeszcze pół miliona kрана, jeśli udostępnię mu Róże na jeden dzień. Twierdził, że wróca, zanim ktokolwiek zdoła zorientować się, że znikły.

Michel przechylił głowę z namysłem. No tak, klasyczna pułapka, Czarne Kapelusze też używały tego sposobu, gdy chciały kogoś szantażować. Żaden z nich nie powinien się na to złapać.

– I oddał je?

– Tak. O dziewiątej wieczorem pojawił się dokładnie tu, gdzie stoisz, zabrał je i zwrócił następnego dnia o szóstej rano. Potem usłyszałem o broszurach i oczywiście skojarzyłem jedno z drugim,

ale oficjalnie nikt słowa nie powiedział, że Żelazne Róże zostały użyte do tego celu, więc miałem nadzieję, że to tylko przypadek.

Prawnik. Jeden człowiek, jeden sprawca. Mniejsza o tych piętnastu posłańców z Żelaznymi Różami. Na celowniku Michela pojawił się wreszcie prawdziwy winny. Gość wszedł do Kapelusznictwa jak do siebie! Ma jaja!

– I nie mogłeś nikogo o nic spytać, bo wtedy ujawniłbyś swoją rolę?

Bobbin tylko skinął głową.

Oczywiście, na otchłań. Zadziałał prosty instynkt samozachowawczy. Ktoś wystarczająco głupi, by przyznać się do współudziału w nieautoryzowanym użyciu Żelaznych Róż, choćby nie miał złych intencji, w pełni zasługiwał na wszelkie wyobrażalne tortury, zadane mu przez oprawców spośród Czarnych Kapeluszy. Michel przyjrzał się skarbnikowi, drżącemu teraz i wyglądającemu tak, jakby miał lada chwila zemdleć. Ale nie błagał. Przyjemna niespodzianka, bo Bravis osobiście nienawidził błagania.

– I teraz jestem ludzkim wrakiem – przyznał stary. – Wiedziałem, że ktoś mnie w końcu złapie, ale nie mogłem przecież dopuścić do ujawnienia, jakie mam długi. To by mnie zniszczyło.

– Z deszczu pod rynnę. – Bravis czuł się wspaniale, dokonał przecież przełomu w tak ważnej sprawie w bardzo krótkim czasie. Rozwiązał zagadkę Żelaznych Róż. Nie sądził, by ujawnienie Bobbina dało mu Złotą Różę, ale ujęcie manipulującego nim, szantażującego go człowieka z pewnością już tak. Jeszcze raz spojrzął na skarbnika i podjął decyzję, mimo iż wiedział, że jej pożałuje.

– Powiedz mi wszystko o tym, dla kogo pracowałeś.

– Niczego nie będę przed tobą ukrywać. To był tylko jeden człowiek, zawsze ten sam. Wysoki i szczupły, ale muskularny. Zbudowany jak żołnierz. Ubierał się naprawdę elegancko, miał laseczkę. Powiedział, że jest prawnikiem.

– Przedstawił się jakoś?

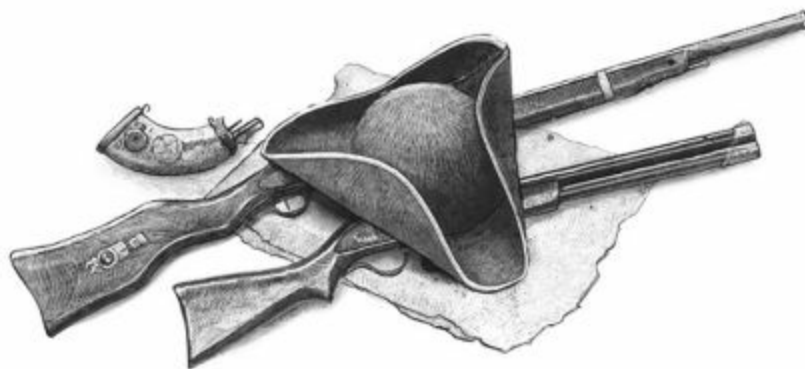
– Nie. Uwierz mi, gdybym wiedział, kto to, tobym ci powiedział. Na otchłań, pomógłbym ci go znaleźć, zaczynając od zaraz, gdybym sądził, że mi to pomoże. Ale on był zawsze jak duch.

Michel pochylił się, spojrział skarbnikowi w oczy i skinął głową.

– Dobrze. Wierzę ci. To będzie tak. – Sprawdził godzinę na zegarku. – Nie sil się na nic pomysłowego, bo poinstruowałem Warsima, żeby za jakieś dwie, trzy minuty tu się pojawił i sprawdził, co ze mną, a dowody na działalność twojej niewielkiej, ale zyskowej wypożyczalni Róż powierzyłem zaufanemu przyjacielowi.

– O czym mówisz? – Bobbin zmarszczył brwi.

– Chcę, żebyś otworzył klatkę, uderzył mnie mocno w twarz, a potem nie chcę cię więcej widzieć. – Bravis podszedł do wejścia. Stał spokojnie, z rękami swobodnie opuszczonymi wzdłuż ciała. – Aha, Bobbin, jeśli cię złapią, zrób mi przysługę i palnij sobie w łeb.



## I4 ROZDZIAŁ

Późnym rankiem Vlorę wywołano z jej obskurnej, przeciekającej klitki dowódcy w na wpół zrujnowanym baraku administracyjnym Fort Loel. Wyszła na plac apelowy, spodziewając się posłańca z biura lady kanclerz lub może któregoś z wysłanych na miasto zwiadowców, ale nie, oparty o swoją riksę czekał na nią drobny Palo z kapeluszem w ręku. Skórę obsypaną miał piegami szarymi jak płatki popiołu i oczywiście wściekle rude włosy, a także kurze łapki od mrużenia oczu na słońcu i sieć zmarszczek wokół ust, świadczących o tym, że często się uśmiechał.

Uklonił się podchodzącej Vlorze.

– Lady Krzemień? – upewnił się w nienagannym adrańskim.

– Tak, to ja.

– Dobry wieczór. Nazywam się Devin-Tallis. Przysłał mnie Lodowy Baron.

Vlora już chciała zlekceważyć Palo, jej myśli zaprzętały raporty kwatermistrza skarżącego się na dostawy, ale wzmianka o tym szczególnym baronie natychmiast przywołała ją do porządku.

– Vallencian? Czego on... Ach, oczywiście! Przysyła zaproszenie na galę w Jamie? Na kiedy? Dzisiaj?

– Tak, przysłała zaproszenie. – Devin-Tallis uśmiechnął się przyjaźnie. Stał, patrząc na Vlorę i mrugając szybko.

– Czy mogę o nie poprosić?

– Ach, pani, to się nie odbywa w ten sposób. Ja jestem zaproszeniem.

Vlora uznała, że dobrze go rozumie. Dla przybyszów z zewnątrz Jama była zamknięta. To oczywiste, że aby dotrzeć do któregoś z miejscowych „pałaców”, tego, w którym miała odbyć się gala, potrzebowała przewodnika. Zawołała Olema, który, jak ona przed chwilą, siedział w baraku administracyjnym, a potem zwróciła się do Palo.

– Na kiedy przewidziano... uroczystość? Vallencian nie podał żadnych szczegółów.

– Baron rzadko podaje szczegóły niemające nic wspólnego z którąś z jego opowieści. – Devin-Tallis mówił nie jak jakiś wsiowy Palo, raczej tak, jakby był bliskim przyjacielem jednego z najbogatszych ludzi na tym kontynencie. – Święto odbędzie się dziś o dziewiątej w Żółtym Pałacu. Zabiorę cię tam, pani, a potem odwiozę.

Vlora obejrzała się przez ramię. Gdzie też podziewał się Olem?

– Oczywiście. O której ruszamy?

– Ósma trzydzieści? Nie jesteśmy aż tak daleko od miejsca spotkania.

– To dlaczego przyjechałeś tak wcześnie?

– Pracuję po drugiej stronie miasta, ale miałem zamówienie tutaj, więc pomyślałem, że tak będzie dobrze. Jeśli wyrazisz zgodę, jaśnie pani, poczekam tu do chwili wyjazdu. Umie nie wchodzić w drogę.

– Nie mów do mnie tak uroczyście. Wystarczy „Krzemień”. Albo „pani generał”. Przygotuję oddział na czas. Czy konie zdołają manewrować w Jamie, czy też mam wziąć piechotę?

– Ach. – Devin-Tallis odchrząknął. – Obawiam się, że konie to bardzo zły pomysł. Poza tym zaproszenie jest dla jednej osoby.

Vlora milczała. Jedna osoba? Ma pojechać sama, nawet bez Olema?

– Nie muszą wchodzić do środka – spróbowała. – Mają służyć wyłącznie jako ochrona. Słyszałam... Słyszało się różne rzeczy o bezpieczeństwie gości w Jamie.

Oczekiwała, że Palo roześmieje się na jej słowa, ale nie, odwrotnie, spowaźniał.

– Jedna osoba. – Uniósł palec. – Do Żółtego Pałacu wolno mi zabrać tylko jedną osobę, lady Krzemień lub kogoś przez nią wyznaczonego. Nikogo więcej. Jak długo pani generał jest ze mną, ma gwarancję bezpieczeństwa pod warunkiem, że nie rozpocznie walki.

– Nawet gdybym została sprowokowana?

– Pojedynki są zabronione. Możesz, pani, mieć ze sobą broń, bo jesteś żołnierzem, lecz jeśli użyjesz jej w gniewie, gwarancja bezpieczeństwa zostanie cofnięta.

– A kto dokładnie daje mi tę gwarancję? – spytała Vlora. Nie podobał się jej taki układ, na odległość czuć w nim było pułapkę. Czyżby Vallencian ją wystawił?

– Wszyscy uczestniczący w uroczystości są gośćmi Mamy Palo. – Twarz Devin-Tallisa spochmurniała nieznacznie, lecz wyraźnie. – Nikt nie ośmielił się sprzeciwić Mamie Palo. Mam czekać, lady Krzemień? Czy też rozważasz odrzucenie zaproszenia? – Palo umilkł na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym dodał, zniżając głos: – Tego rodzaju zaproszenia są czymś wyjątkowym. Lodowy Baron zaręczył za panią i to pozwala wmieszać się w społeczność Palo... tym razem. Odmowa oznacza, że drugiej okazji nie będzie.

Vlorze stawiano już takie warunki. Zawsze prowadziły nie gdzie indziej niż w pułapkę. Vallencian wydawał się szczery, rykszarz Palo także, ale żadnej pewności nie miała. Z tego, co usłyszała, należało wnioskować, że zaproszenie potwierdziła swym autorytetem sama Mama Palo, co mogło oznaczać wszystko. Dopiero teraz w pełni Vlora uświadomiła sobie, jak mało wiedziała o tej Mamie Palo. Czy była siłą aż tak złowrogą? Lindet i Czarne Kapelusze najwyraźniej uważali, że owszem. Czy spiskowała poza terenem Ognistej Jamy i poza społecznością Palo, którą zjednoczyła, czy działała wyłącznie



w skali lokalnej? Czy była człowiekiem, który nie zawaha się przed ściągnięciem sobie na głowę wściekłości kompanii najemników przez zabójstwo jej generała?

Cała ta sytuacja budziła nieufność, Vlora uznała jednak, że nie może nie skorzystać z okazji. Czarne Kapelusze nie ośmielały się zejść w głąb Jamy, a ona, proszę, ma zaproszenie, dzięki któremu dotrze na sam próg domu Mamy Palo. Może nawet Mama Palo będzie obecna na gali? We własnej osobie? Jedna Vlora jej nie porwie, nie na jej gruncie, ale gdyby udało się umówić kolejne, nie tak publiczne spotkanie...

– Oczywiście – powiedziała głośno. – Wpół do dziewiątej. Spotkamy się tutaj.

– Doskonale, lady Krzemień. Zaczekam.

– A ja przyślę ci wodę.

Vlora wróciła do baraku administracyjnego. Znalazła Olema po drugiej stronie kwatery dowództwa. Pomagał kilku żołnierzom wyłamać gigantyczny, przegniły bal w ścianie od środka. Na zmianę wszyscy to napierali na długi łom, to wiercili nim, aż wreszcie udało się im wyważyć drewno; runęło z hukiem, syjąc naokoło przegniłymi włóknami. Gdy tylko Olem zobaczył Vlorę, natychmiast podszedł do niej, wycierając ręce.

– Nie masz nic lepszego do roboty? – spytała.

– No... mam – przyznał niechętnie Olem. – Ale potrzebowali pomocy, więc pomogłem. Lubię popracować fizycznie... od czasu do czasu.

– I dlatego cię lubię. – Vlora z uśmiechem patrzyła na jego podwinięte rękawy i krople potu na czole. Też miała ochotę popracować fizycznie, ale najpierw interesy, potem przyjemność. Zawsze te interesy.

– Właśnie przyszło zaproszenie na galę – powiedziała.

Twarz Olema rozjaśniła się. Puścił do niej oczko.

– Doskonale! Idę przygotować mundur galowy i skompletować eskortę honorową.

– Taaa... – Vlora przeciągnęła słowo. – Tyle że jest problem.

– Jaki problem? – Pułkownik natychmiast nabrał podejrzeń.

– Zaproszenie jest tylko dla mnie. Jeśli zechcę zabrać kogoś ze sobą, zostanie wycofane.

To zdecydowanie nie spodobało się Olemowi.

– Więc będziemy musieli wymyślić inny sposób. – Z wyrazu twarzy Vlory domyślił się jej zamiarów. – Och, na otchłań, chcesz jechać sama, prawda? Nie ma mowy. Zabraniam.

– Co? – spytała Vlora ze zwodniczym spokojem. Zacisnęła zęby. Klótnia wisiała w powietrzu.

– Zabraniam – powtórzył Olem, choć już z mniejszym przekonaniem. Wiedział, że popełnił błąd.

– Bardzo cię kocham, ale niczego nie będziesz mi zakazywał. – Vlora zniżyła głos. – To szansa jedna na milion. Mam zaproszenie wprost do legowiska zwierzyny, na którą polujemy. Nie musimy jej tropić. Nie musimy walczyć, a przede wszystkim nie ryzykujemy życia naszych ludzi.

– Zaproszenie do gniazda jadowitego węża – wyrzucił z siebie Olem gwałtownie.

– Widziałeś, żebym bała się węży?

Vlora opanowała wybuch złości. Olem nie próbował udawać niańki. Sama wiedziała, jak wielkie podejmuje wyzwanie, być może przez głupotę. Miał prawo kwestionować jej decyzję. Ale to ona dowodziła oddziałem.

– Nie – przyznał jej pułkownik. – Nie widziałem, byś bała się czegokolwiek.

– Będę miała broń. Będę miała proch. Powstrzymam się od jedzenia i picia, nie zdejmę dłoni z kolby pistoletu. Cokolwiek się zdarzy, jakoś się wydostanę.

– Jesteś uparta jak osioł – zakpił Olem.

– Być może. Znam ryzyko i jestem skłonna je ponieść.

– Pozwól przynajmniej, żebym posłał z tobą Norrine albo Davda.

Generał uniosła wyprostowany palec tak, jak to przedtem zrobił Devin-Tallis.

– Zaproszenie dla jednej osoby. Jednej.

– A niech to! – Olem chodził od Vlory do ściany fortu i z powrotem. – Żałuję, że nie ma z nami Styke’a, podobno coś tam wie o Jamie. Gdyby był, mógłby przynajmniej cię tropić.

– Ale go nie ma. Miałeś od niego wieści?

– Odwiedził nas wcześniej. Twierdzi, że dowiedział się czegoś o tych ludziach-smokach i że więcej będzie wiedział dziś wieczorem.

Vlora stała wyprostowana, z rękami wspartymi na biodrach. Bębniła palcami po kolbie pistoletu. Zastanawiała się, czy ten wielki sukinsyn tylko tak gadał, czy też rzeczywiście udało mu się do czegoś dojść.

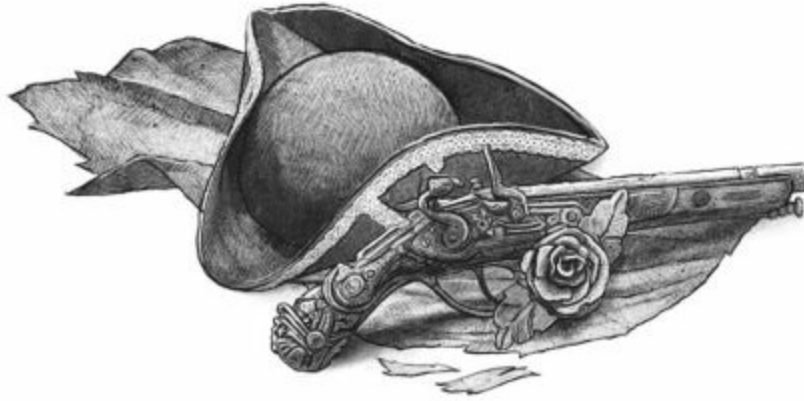
– No dobrze – postanowiła. – Spotkam się z nim po powrocie. Być może dopiero jutro rano. W końcu to przyjęcie.

Olem zacisnął zęby w sposób, który wydał się Vlorze absolutnie uroczy.

– Niech będzie – przyznał niechętnie. – Miej broń w pogotowiu i nikomu nie ufaj.

– Oczywiście.

– I – dodał jeszcze Olem – jeśli cokolwiek ci się stanie, spalę Ognistą Jamę do fundamentów, a Lindet i Mama Palo mogą sobie iść w otchłań.



## I5 ROZDZIAŁ

**M**ichel obmacywał palcami pokaźnego guza. Fidelis Jes stał obok niego, pogrążony w lekturze raportu o zdradzie Bobbina. Burczał coś od czasu do czasu i chrząkał „hmmm”, ale nie wygłaszał podczas lektury żadnych innych komentarzy. Michale czuł jego narastający gniew tak dobitnie, jak czuł nasilający się ból pod lewym okiem.

– Jesteś pewien tego, co napisałeś? – spytał Jes, kiedy już skończył lekturę.

Agent wyprostował się na krześle w poczekalni przed biurem wielkiego mistrza. Spojrzał na Dellinę. Odpowiedziała mu uśmiechem pełnym sympatii, ale nieoferującym żadnej pomocy.

– Tak jest. – Skinął głową.

– Zdradzony przez własnego skarbnika – warknął Jes. Cisnął papierami przez pokój, aż rozsypały się po podłodze. – I jeszcze udało mu się uciec. Dellina, zanotuj, że nasi ludzie w portowych miastach Fatrasty mają zwracać uwagę na mężczyzn odpowiadających rysopisowi Bobbina. Brak nam czasu i środków, żeby zacząć tropić go już teraz, ale w końcu i tak go dostaniemy. – Spojrzał na Michela i oczy mu się zwęziły. – Agencie Bravis, wygląda

na to, że przewyższyłeś moje największe oczekiwania, rozwiązując zagadkę Róż w zaledwie kilka dni... A potem zawiodłeś mnie strasznie, pozwalając uciec zdrajcy. Jedno i drugie niemal naraz. Jestem pod głębokim wrażeniem.

Niedokładnie takie wrażenie usiłowałeś wyrzucić, powiedział kpiący głos w głowie Michela.

– Moim zdaniem Bobbin nic już nie znaczy, panie – ośmielił się wtrącić. – Musimy go ująć, to oczywiste. – Pospieszył naprawić pierwsze wrażenie. – Ale najważniejsze to dopaść człowieka, który go wynajął. Tego prawnika. To on jest naszym prawdziwym wrogiem. Proszę o danie mi szansy, bym go dopadł. – A kiedy dopadnę, zapomnisz o Bobbinie, a mnie dasz Złotą Różę.

Fidelis Jes wpatrywał się w Michela nieruchomym spojrzeniem i był wyraźnie zirytowany.

– Zanim oberwałem, udało mi się dowiedzieć tego i owego. Bobbin nie znał nazwiska prawnika, który go wynajął, ale mamy jego opis. Potrafię znaleźć człowieka, nie robiąc przy tym zbędnego hałasu. Teraz, gdy nasz skarbnik znikł, ten ktoś nie dostanie się już do Kapelusznictwa.

– Owszem. Jeśli nie miał wspólników.

Michel przeklął się w myślach. Bobbin był samotnikiem, zamkniętym w jaskini skarbcza, zawsze gotowym poplotkować na tematy służbowe, ale z nikim bliżej się nieprzyjaźniącym. W głowie Bravisa nie powstało, że mógłby nie pracować sam.

– A jednak sądzę, że nie miał wspólników, panie. – Specjalnie postarał się, by zabrzmiało to bardzo pewnie. – Potrafię trafnie oceniać ludzkie charaktery, a Bobbin dosłownie wypowiedział mi się, zanim uciekł. W mojej opinii, gdyby znał nazwiska, toby je wówczas wyjawiał. Śmiertelnie przeraziła go sama myśl o tym, że wplątał się w taki skandal.

– Tak, wspomniałeś o tym w raporcie – przerwał mu Jes kwaśno. Spojrzał na rozrzucone na podłodze kartki. – Traktujesz go zbyt łagodnie, agencie Bravis. Zdrajca to zdrajca.

– Rozumiem, panie. Następnym razem nie dam się tak zaskoczyć.  
– Mówiąc to, Michel wskazał siniaka. – Zostawił mi to jako przypomnienie, jak mam go potraktować, kiedy znów się zobaczymy.

Jes prychnął i zniknął w biurze, po chwili wyszedł uzbrojony w miecz. Michelowi serce natychmiast podeszło do gardła. Mistrz zaczął ćwiczyć, jakby walczył z cieniem, pchnięcie, parada, pchnięcie, parada, a czubek miecza kilkakrotnie zatrzymywał się cał od twarzy agenta. Michelowi trzęsły się ręce, ale nie śmiał choćby drgnąć.

– Robi to zawsze, kiedy jest zły – przekazała mu Dellina samym ruchem warg.

Owszem, pomyślał Michel. A także morduje ludzi co rano, tylko po to, żeby się rozruszać.

Minęła pełna minuta, nim Jes odłożył broń na biurko Delliny. Odwrócił się twarzą do Michela, wykonując poprawne wojskowe „w tył zwrot”, a jego twarz wreszcie miała zwykły obojętny wyraz.

– Masz rację, agencie – powiedział. – Miałeś za zadanie odkryć, skąd pochodziły Róże, i to zadanie wypełniłeś, ale jeśli uważasz, że zasłużyłeś tym na moją wdzięczność, to w życiu się tak nie pomyliłeś. Ale dostaniesz szansę poprawy. Masz znaleźć tego prawnika. I przyprowadzić go tu żywego.

– Tak jest, panie!

Ktoś zapukał do drzwi, uchylił je, w szczelinie pojawiła się świeża twarz jednego z młodych adiutantów wielkiego mistrza. Widząc samego Jesa w poczekalni, chłopak szeroko otworzył oczy. Dellina podbiegła do niego, rozmawiali chwilę ściszonymi głosami, po czym wróciła i przekazała jakąś wiadomość Fidelisowi Jesowi. Michel widział, jak nagle zwięzają się oczy wielkiego mistrza.

– No, no... – Jes odchrząknął. – To twój szczęśliwy dzień, agencie Bravis.

– Panie...?

– Rutynowe czyszczenie ulicy zakończyło się zatrzymaniem dziewczyny, zwykłej bandytki. Dziewczyna przyznała się, że była

jednym z posłańców, używających Żelaznej Róży. Opisała zleceniodawcę, prawnika. Jej opis i opis Bobbina są niemal identyczne.

Michel pozwolił sobie na lekkie westchnienie ulgi. To była naprawdę fantastyczna wiadomość. Raport potwierdzający jego ustalenia czynił go w oczach Jesa znacznie bardziej wiarygodnym. No i było kogo przesłuchać.

– Podała nazwisko? – spytał głosem pełnym nadziei.

– Nie – odparła Dellina. – Ale mamy adres.

Jes wziął z biurka miecz. Wymierzył go najpierw w twarz Michela, a potem w drzwi.

– Przeprowadź tego przekłętą sukina, żebym mógł go własnoręcznie obedrzeć ze skóry.



Gabinet prawnika znajdował się w przemysłowej dzielnicy Landfall, w południowej części płaskowyzu, gdzie fabryki, młyny i odlewnie pracowały dzień i noc, zaopatrywane w konieczne do funkcjonowania materiały przez łodzie towarowe, korzystające z nurtu rzeki Hadshaw. Produkowano tu cygara dla Dziewięciu, wełnę dla kolonistów Brudanii, puszkowane owoce dla Gurli i dziesiątki innych produktów, które statkami rozprowadzano na cały świat. Jeden z bardziej pomysłowych właścicieli gruntów postawił na swojej działce budynek biurowy. Pośrodku przemysłowego chaosu księgowi i podobni im urzędnicy mieli gdzie prowadzić działalność, dzięki której fabryki w ogóle mogły produkować. Adres, który Michel dostał od adiutanta doradcy Jesa, skierował go do biura na piętrze, na samym końcu korytarza. Zarządzający budynkiem opisał prawnika – a opis ten zgadzał się z oboma wcześniejszymi – i zeznał, że jakoś nigdy nie słyszał jego nazwiska. Opłaty za wynajem wnoszone były regularnie co dwa tygodnie gotówką.

Michel zostawił dwie Żelazne Róże przed głównym wejściem do biur i jeszcze dwie za budynkiem. Nie zamierzał pozwolić, by ktoś znów mu się wyrwał i uciekł, nawet jeśli do pierwszej ucieczki dopuścił z własnej woli. Na piętro wszedł sam. Ubrany był w zwykłą marynarkę, pasującą do niej spodnie i koszulę z zaprasowanym kołnierzykiem, w rękę trzymał czapkę. Przeszedł korytarzem piętra trzykrotnie, za każdym razem zerkał przez szybki w drzwiach mijanych pomieszczeń, bardzo dokładnie przyjrzał się także drzwiom tego biura, które ten korytarz zamykało. Wszystko tu wyglądało dokładnie jak w opisie, a także bardzo zwyczajnie. Włożył dłoń do kieszeni, nasunął na palce schowany w niej na wszelki wypadek kastet, po czym wolną ręką zapukał.

Nie doczekał się odpowiedzi. Zapukał drugi raz, przyłożył ucho do drzwi. Nie usłyszał nic oprócz dwóch męskich głosów, dyskutujących wpisy w księgach parę biur za jego plecami.

Poruszył klamką. Drzwi okazały się otwarte. Przybrał wyćwiczony wyraz twarzy bezradnego głupka, wszedł do środka i zamarł na widok siedzącej przy biurku sekretarki. Kobieta – młoda, sprawiająca wrażenie bardzo surowej – patrzyła na niego spod zmarszczonych brwi. Włosy związane miała z tyłu głowy w ciasny kok, w ręce trzymała ołówek. Na rogu jej biurka piętrzyła się góra papierów.

– Dzień dobry – powitał ją Michel radośnie afektowanym, piskliwym głosem, dobrze wytrenowanym, już gdy drugi raz przyszło mu wykonywać pracę informatora. – Dzień dobry, pani. Bardzo przepraszam... bardzo przepraszam, że tak wtargnąłem... niezapowiedziany... ale drzwi były otwarte.

Sekretarka uniosła dumnie głowę, a zmarszczki na jej czole jeszcze się pogłębiły.

– W czym mogę ci pomóc, panie?

Michel wyjął z kieszeni karteczkę z adresem.

– Czy to Canal numer dwieście czternaście?

– Tak – odparła ostro.



– Och, jak to dobrze! Powiedziano mi, że tu przyjmuje prawnik. Nie... nie pamiętam, jak się nazywa, ale mówiono mi, że jest bardzo dobry i że mógłby mi pomóc.

– Chyba trafił pan pod niewłaściwy adres.

– Och nie... nie sędzę. Sprawdziłem adres kilkakrotnie, z pewnością go nie pomyliłem. Zawsze sprawdzam. Trafiłem do biura prawnego, prawda? Zarządca powiedział, że tak.

Sekretarka wyglądała, jakby ktoś ją zmusił do ssania cytryny.

– To prawda – przyznała. – Ale ono nie obsługuje klientów prywatnych.

– Jest pani... tego pewna? Pani jest prawniczką?

– Nie. Jestem sekretarką. – Kobieta wstrzymała się z podaniem swojego nazwiska.

Michel rozejrzał się. Pomieszczenie nie było duże, ot, poczekalnia dla klientów, z drzwiami po prawej i po lewej, co oznaczało, że jedna sekretarka obsługuje dwa biura.

– Właściciel... Czy właściciel jest? Muszę, po prostu muszę z nim mówić. To ważna, pilna sprawa. Powiedziano mi, że może pomóc.

– Właściciela nie ma.

Mówiła prawdę czy nie? Jej oczywiste zniecierpliwienie mogło oznaczać wszystko. Bravis przechylił się do tyłu, jakby chciał cofnąć się do korytarza, a potem chwycił klamkę drzwi po prawej i otworzył je szybko. Biuro, wypełnione pudłami. Nie dostrzegł w nim nikogo.

– Ależ, panie! – Sekretarka poderwała się na równe nogi.

Michel zrobił kilka szybkich kroków i otworzył drugie pomieszczenie. Zobaczył biurko, puste z wyjątkiem olejnej lampki, i jeszcze kilka pudeł, ustawionych w kącie jedno na drugim. Nie dostrzegł żadnych innych drzwi, żadnego wyjścia. Obejrzał wszystko, co było do obejrzenia. Nie okłamano go. Z trudem stłumił westchnienie irytacji.

Sekretarka dopadła go i chwyciła za ramię.

– Cóż za niestosowne zachowanie! Nie wolno wpadać tak gwałtownie i...

Michel przerwał jej okrzykiem.

– Ależ przepraszam, bardzo przepraszam! Ale naprawdę, muszę porozmawiać z panem... z prawnikiem. Chcę z nim tylko porozmawiać, my oboje, żona i ja, nie mamy do kogo zwrócić się o pomoc...

Kobieta wywlokła go siłą na korytarz.

– Drogi panie – powiedziała stanowczo, poprawiając spódnicę. – Jestem gotowa przejść do porządku dziennego nad twoim wysoce niewłaściwym zachowaniem, ponieważ jesteś, panie, najwyraźniej niespełna rozumu. Nie mam pojęcia, kogo potrzebujesz i kogo szukasz, ale trafiłeś w niewłaściwe miejsce. Pana Tampo nie ma i...

– Tampo! Tak! Podano mi właśnie to nazwisko. Muszę się z nim spotkać! Muszę z nim porozmawiać! – Michel pogratulował sobie w duchu. Miał nazwisko! A to znaczyło, że miał trop! – A kiedy go zastanę?

– Ale przecież... przecież ja... no tak... Być może pan Tampo zajrzy do biura dziś wieczorem. Nie pracuje za biurkiem w określonych godzinach. Proszę przyjść o zachodzie słońca, on chętnie porządkuje swoje sprawy, gdy nikogo tu nie ma. Nie wiem, czego chcesz, panie, najlepiej by było spotkać się z nim osobiście. A teraz proszę zabrać rękę i do widzenia panu.

Zatrzasnęła drzwi, Michel cofnął dłoń dosłownie w ostatniej chwili. Stał zapatrzony przed siebie, walcząc z ogarniającym go uniesieniem. Miał nazwisko, miał adres, miał godzinę. Do jutra rana rozwiąże zagadkę „Grzechów Imperium”, wyprzedzi nawet propagandystów Czarnych Kapeluszy. Nie zdążą znaleźć kozła ofiarnego. Już czuł na piersi ciężar Złotej Róży.



## I6 ROZDZIAŁ

**S**tary Fles potrzebował trzech dni na załatwienie spotkania. Informacja dotarła do Styke'a w formie liściku na niechlujnym karteluszkę, że ktoś spotka się z nim w sprawie ludzi-smoków u Sender. Liścik nie informował, kto to będzie. Musiał się z tym pogodzić.

U Sender był starym pubem na Krawędzi, z którego widać już było Ognistą Jamę. Mieścił się w piwnicy pod prawdziwym klubem dżentelmenów i za czasów Styke'a obsługiwał wyłącznie żołnierzy. Mogli tu pić, by zapomnieć o przerażeniu i o okropieństwach wojny, podczas gdy wprost nad ich głowami oficerowie palili i grali w karty w eleganckich, obitych aksamitem łóżach. Gośćmi opiekowała się troskliwa babcia Sender, nieznosząca ani bójek, ani żołnierskiego drylu. Dla weteranów z Landfall była to prawdziwa instytucja.

Nie było to tego rodzaju miejsce, w którym ktoś chciałby się bić.

Tego dnia około siódmej wieczorem Styke siedział na progu domu po przeciwnej stronie ulicy, nie spuszczać wzroku z wejścia do pubu. Garbił się, czapkę nasunął głęboko na oczy, by nikt nie mógł rozpoznać jego twarzy, ręce trzymał w kieszeniach. To, co

widział, wydawało się świadczyć, że starą babcię Sender dopadły złe czasy. Okna klubu dżentelmenów zabite były deskami, farba odłaziła ze ścian płatami, a na schodkach siedział żebrak w towarzystwie kundla.

– Kiedyś często tu przychodziłam – oznajmiła Celine.

– Naprawdę?

– Tak. Tata upłynniał tu towar.

– Babci Sender?

– Nie. Mężczyźnie, z którym spotykał się w pokoiku od tyłu. Babcia była zawsze bardzo miła. Dawała mi słodycze.

– Ja też ją lubiłem – przyznał Styke. Kiedy zobaczył, w jakim stanie jest lokal, zrobiło mu bardzo przykro. Podejrzewał, że nie jest to już święte miejsce, nie takie, jak kiedyś. Och, na otchłań, może to nie był najlepszy pomysł zorganizować spotkanie właśnie tutaj. – No dobrze, zostań tu. Jeśli zobaczysz kogoś podejrzanego podchodzącego do wejścia, rzuć kamieniem w to okno. Jeśli będzie ich więcej, rzuć więcej kamyków. Rozumiesz?

– Jasne.

Styke przeszedł przez ulicę. Położył dłoń na klamce drzwi prowadzących do piwnicy.

– Ben! – zawołała Celine.

Odwrócił się szybko.

– Uważaj na siebie.

Skinął głową. Zszedł schodami w chłodną ciemność. Pub był dokładnie taki, jakim go pamiętał: mroczny, przesycony słabym zapachem mała, z pijakami przesypiającymi popołudniowego kaca na ławach w kątach i babcią Sender we własnej osobie, nic niezmienioną przez te dziesięć lat, jak zwykle polerującą kufle za barem. Brakowało tylko tłoku, ciągłego ścisku ciepłych ciał i hałasu dosadnych pijackich piosenek.

Styke odczekał, aż wzrok przyzwyczai mu się do ciemności. W lokalu było kilkunastu gości, albo już pijanych, albo upijających się na szybko. Tylko przed kilkoma stało coś do jedzenia. Żaden nie był Palo.

Wargi Bena same rozciągnęły się w lekkim uśmiechu. Atmosfera tego miejsca przywoływała wspomnienia. Tu poznał Ibanę przed przeszło piętnastu laty. Złamała mu nos, babcia Sender wyrzuciła ich na zewnątrz, a oni wprosilili się na karty do klubu i wyczyścili dwoje kezańskich oficerów do ostatniego kрана.

– Będziesz tak stał i się gapił czy masz ochotę coś wypić? – spytała go babcia Sender, nie odrywając wzroku od polerowanego kufła. – Nie myśl o rabunku, nie zostało nam nic cennego.

Styke podszedł do baru.

– Ciężkie czasy, co? – powiedział, kładąc na ladę kilka banknotów. – Whisky i fajka.

Babcia spojrzała na niego.

– Czy ja cię znam? – spytała.

Była to szorstka kobieta już około siedemdziesiątki. Skórę miała pomarszczoną, suchą i bladą. I tylko jedno oko, którym patrzyła na świat wyłącznie podejrzliwie.

– Bardzo wątpię – odparł Styke.

Babcia Sender pokręciła głową.

– Ciężkie czasy, owszem – przyznała. Pieniądze znikły pod ladą. – Kiedyś był to bar dla weteranów. Ale teraz weterani albo pracują w fabrykach, albo siedzą w obozach pracy.

– W Ognistej Jamie nie ma już weteranów?

– Trochę ich zostało, ale nie tak wielu, jak kiedyś. Jama należy teraz do Palo, a oni są dla mnie bezużyteczni. Jako klienci. Nie wypiją ani kropli w lokalu, którego właściciel nie jest Palo. Mnie zostają takie resztki. – Postawiła przed Stykiem pełną szklanę, podała mu fajkę, nabitą tytoniem o aromacie wiśni. – Jesteś weteranem? Wyglądasz znajomo.

– Tylko jednym więcej chodzącym trupem, babciu. – Położył przed nią jeszcze kрана, a potem wskazał gestem kąt baru, najdalszy od drzwi. – Światło proszę, tam.

Babcia Sender zapaliła jedną z wielu latarenek gazowych nad stołem i zostawiła gościa sam na sam z jego whisky i fajką. Styke wyjął poranną gazetę. Rozsiadł się wygodnie, nogi oparł na krześle.

Na pierwszej stronie gazeta wydrukowała informację o Najemnym Oddziale Strzelców Wyborowych, o zajęciu przez niego na kwatery starego fortu i o tym, że najemnicy mają pomóc w pracach budowlanych przy kilku kamienicach. Miał to być projekt realizowany tuż powyżej Ognistej Jamy, w części miasta zaniedbanej od wielu lat, i jako taki budził zainteresowanie oraz mobilizował do współpracy mieszkających tu ludzi. Styke zadał sobie pytanie, czy rzeczywiście do tego zaangażowano oddział generał Krzemień, na razie nie dotarł wystarczająco blisko niej, by mu to sama powiedziała. Uznał, że to zwykła podpucha. W Landfall budowanie dobrego wizerunku w prasie było normalną praktyką.

Kolejny duży materiał poświęcono wykopaliskom po południowej stronie miasta. Tysiące przydzielonych do nich robotników pracowało nad odkopaniem starożytnego obelisku. Na ich teren nie wpuszczano nikogo innego, ale plotki głosiły, że sprowadzono ekspertów z Dziewięciu. Chyba nikt nie wiedział, po co dokładnie. Ciekawe, że tyle wysiłku poświęcono kawałkowi starego kamienia.

Styke przeglądał następne artykuły, bardzo zadowolony z przywileju czytania gazety w dniu wydania, a nie po tygodniach i miesiącach oczekiwania, aż ktoś przemyci ją do obozu. Dostawał bełkot, rzecz jasna, ale był to przecież bełkot o jego mieście.

Od lektury oderwał go stukot kamyka, uderzającego w okno po przeciwnej stronie sali, a po pierwszym także drugiego, trzeciego i czwartego. Wyjął nóż, położył go na stole, nieznacznym ruchem przykrył gazetą, po czym rozsiadł się, szeroko rozkładając ręce i opierając je na oparciu ławy.

Drzwi się otworzyły. Mimo mroku Styke wystarczająco wyraźnie dostrzegł bladą, piegowatą skórę, by wiedzieć, że do środka wszedł Palo, młody chłopak, w towarzystwie przyjaciół. W sumie było ich czterech, ubranych w wełniane marynarki, jakie nosili zwykli, przeciętni mieszkańcy miasta. Niewątpliwie próbowali wtopić się w tłum. Już w czasie wojny ci Palo, którzy wybierali się do Landfall,

rezygnowali z tradycyjnych skór, a przynajmniej większość z nich. Za wiele było złej krwi między nimi a resztą świata.

Natychmiast po przekroczeniu progu Palo rozstawili się strategicznie. Jeden z nich zaprezentował dumnie pistolet w kaburze na biodrze, dwaj mieli noże boz, takie jak nóż Styke'a, czwarty zdążył już wsunąć na dłoń żelazny kastet. Chyba nie przyszli tu rozmawiać, pomyślał Styke. Nadał im w duchu imiona: Pызaty, Piegus, Brudas i Bużka. Bużka to był ten z pistoletem, szeroko uśmiechnięty, rozglądający się po pubie z taką miną, jakby miał go przejąć przed wschodem słońca.

– Czego chcecie, cała czwórka? – spytała ostro babcia Sender. – Nie mam czasu dla takich jak wy, chyba że chcecie się napić.

Bużka zareagował na jej słowa ordynarnym gestem.

– Zamknij się, babciu. Masz siedzieć cicho, chyba że cię o coś spytam. Albo dostaniesz po gębie.

– Spróbuj, kurduplu. – Kufel uderzył w bar z głośnym stukiem. – Uważaj, bo...

– Babciu – przerwał jej Styke łagodnie – oni przyszli spotkać się ze mną. Nie musisz się nimi przejmować. – Nogą odsunął krzesło od stolika. Odezwał się w języku Palo: – Zostaw starszą panią w spokoju i siadaj. Pogadamy.

– Tylko żadnych bójek – ostrzegła babcia.

Bużka spojrział na Styke'a groźnie. Podszedł do niego, nie kryjąc nonszalancji, reszta towarzystwa osłaniała mu boki i plecy. Zignorował podsunięte krzesło, zatrzymał się, założył ręce na piersi i tylko się gapił. Był całkiem wysoki, jak na standardy swego ludu, szczupły, muskularny i groźny. Jak większość Palo miał płonące jasnozielone oczy, zawsze lekko zmrużone – dziedzictwo życia przez pokolenia pod upalnym fatrastańskim słońcem. Od takiej urody i zachowania kobiety od razu kładły się na wznak. Gdyby jeszcze miał odrobinę wdzięku... – pomyślał Styke.

– Ty chciałeś spotkać człowieka-smoka? – spytał Palo.

– Tak.

– Nie wyglądasz na historyka.

– Zabawne, bo ty nie wyglądasz na kogoś, kogo chciałem spotkać.  
Buźka splunął na podłogę.

– Jakby ludzie-smoki chcieli mieć coś wspólnego z takimi jak ty. Przyszliśmy ci powiedzieć, żebyś zajął się własnymi sprawami. Ci wszyscy naukowcy, historycy, czy kim tam, na otchłań, są, lepiej niech trzymają się z dala od ludzi-smoków, chyba że chcą zobaczyć swoje głowy nadziane na kije.

– Kto to mówi?

Buźka wypiął pierś.

– Ja to mówię – oznajmił.

Styke przyjrzał się jego trzem towarzyszom. Nie byli zawodowcami, ale durniami też nie. Jeden z nich już niespiesznie obejrzał salę, by upewnić się, że Styke jest sam, dwaj pozostali nie spuszczały z niego wzroku, a ręce trzymali tak, by móc szybko sięgnąć po broń. Spodziewali się spotkać chuderławego okularnika, ale byli gotowi na każdą ewentualność.

– To w Landfall są ludzie-smoki? – spytał Styke, udając niemal całkowity brak zainteresowania.

– Nie twój interes, obleśny suczy synu!

– Spokojnie, po co mamy zaraz wymieniać komplementy? Przecież grzecznie pytam. Pytanie jeszcze w niczym nikomu nie zaszkodziło.

– Zaraz ja ci zaszkodzę. – Buźka wyszarpnął pistolet z kabury. – Mieliśmy przekazać ci wiadomość tak po prostu, po przyjaźni, ale skoroś taki ciekawy, to przekazemy ci ją tak, żebyś do końca życia pamiętał!

Styke westchnął. Głupie dzieciaki. Jakby się zachłysnęli poczuciem... no właśnie, czego? Przecież w zwykłym małym barze nie było nikogo, komu mogliby zaimponować. Bar był terenem neutralnym, tu każdy z każdym mógł spokojnie pogadać. Do głowy durniom nie przyszło zadać sobie oczywistego pytania: dlaczego samotny stary kaleka swobodnie rozmawiał z czterema napalonymi dzieciakami, udającymi dzielnych wojowników. Powoli, by nie budzić podejrzeń, sięgnął do kieszeni, a kiedy wyjął z niej rękę,



trzymał gruby zwitek kрана. Odliczył kilka banknotów, położył je na stole.

– Ja tylko jestem ciekawy – wyjaśnił. – Powiedz mi coś o tych ludziach-smokach, to wyjdziecie stąd wszyscy z kieszeniami wypchanymi gotówką, a ja pójdę swoją drogą i tyle się będziemy widzieli.

Bużka obejrzał się na Brudasa, udając niebotyczne zdumienie, potem spojrział na pustą ławę w najbardziej odległym kącie, aż wreszcie znów wbił wzrok w Styke'a.

– Za kogo ty się, na otchłań, masz, człowieku?

– Szukam informacji, nic więcej. Kto to taki, człowiek-smok? Co tacy jak on mają do roboty w Landfall? Przecież nie słyszało się o nich od dziesięcioleci. – Styke zadawał pytania szybko, jedno po drugim, żeby wytrącić Bużkę z równowagi. Przed pięciu minutami nie uwierzyłby, gdyby ktoś mu powiedział, że w mieście są ludzie-smoki, ale tych czterech ktoś tu przecież przysłał.

Bużka pochylił się, oparł wolną ręką o blat stołu. Zaledwie cale dzieliły lufę pistoletu od policzka Styke'a.

– Nie ty jesteś od zadawania pytań, frajerze. To ja pytam, a ty odpowiadasz. Słuchaj uważnie. Pytam, dlaczego chcesz wiedzieć? Co cię obchodzą ludzie-smoki? Odpowiadaj i odpowiadaj szybko, bo zaczynam tracić cierpliwość.

– Słyszeliście, co powiedziałam? – rozległ się donośny głos babci Sender. – Wystarczająco rozumiem wasz gówniany język, żeby wiedzieć, że się podpalacie. Tu się nie bijemy! Nie toleruję bójek! Macie problem, cała piątka? To zabierajcie go na ulicę.

– Zamknij się! – wrzasnął Bużka. Głos mu się łamał. Właśnie zaczynał rozumieć, że coś tu jest nie tak. Przeciwnika nie przerażało ani czterech otaczających go twardych chłopaków, ani przyłożony do twarzy pistolet. To się Bużce nie spodobało. To się sprzeciwiało wszystkim jego doświadczeniom.

– Zachowuj się! – warknął Styke. – Odpowiedz na pytania, a wyjdiesz stąd bogatszy o dwieście kрана... i nietknięty.

Palec Bużki przesunął się niebezpiecznie blisko spustu.

– Wezmę forszę, a lufę mojego pistoletu wsadzę ci w...

Styke chwycił ukryty pod gazetą nóż i jednym błyskawicznym ruchem przyszpilił nadgarstek dłoni Buźki do stołu.

– Nie sięgasz po moją forszę, póki ci jej nie dam – wycedził i wyrwał mu pistolet.

Buźka gapił się na przebijający jego rękę nóż przez kilka długich sekund, a wraz z Buźką gapiała się na niego jego obstawa. Potem rozległ się straszliwy, przeciągły wrzask, dziko wymachujące ręce próbowały wyciągnąć ostrze, a nad tym chaosem górowały krzyki babci Sender: „Żadnych bójek! Żadnych bójek!”.

Styke rzucił w Brudasa stołem wraz przybitym do niego Buźką. Obaj splekli się na podłodze w niechlujną kupkę. Dwaj stojący jeszcze Palo zaatakowali. Styke ześlizgnął się z ławy, odchylił w uniku przed pchnięciem Pызatego i jego też obalił uderzeniem pięści w skroń. Piegus zdążył zadać mu kastetem cios w szczękę. Styke nie dał się sparaliżować przeszywającemu bólowi, zarobił drugie uderzenie, w żołądek, stęknął, zdołał uchwycić rękę Piegusa, wykręcił ją i usłyszał trzask złamanej kości, a potem drugi przeciągły wrzask.

Tymczasem Pызaty odzyskał przytomność, przynajmniej częściowo. Zaatakował, trzymając nóż przed sobą. Styke odchylił się dokładnie tak, jak poprzednio, złapał chłopaka wpół, przytulił jak kobietę w tańcu i uderzył go czołem w nos. To załatwiło sprawę. Kolejny Palo padł jak podcięty.

Styke podszedł do Brudasa i Buźki, przyciśniętych do ziemi ciężarem barowego stołu. Bez wysiłku postawił mebel na nogach, po czym wyrwał nóż z ręki Buźki. Brudas spróbował podpełznąć do swojego, więc Styke przydepnął mu dłoń, a potem pochylił się, schwycił chłopaka za gardło i zaciskał palce coraz mocniej, póki nie poczuł krwi. Ciałem jego ofiary wstrząsnęły drgawki, a Styke musiał wytrzeć rękę, bał się, że pierścień zsunie mu się z palca.

Całe to zdarzenie trwało może dwadzieścia sekund. Buźka pełzł teraz rozpaczliwie, umazany własną krwią, ściskając przebity nadgarstek. Próbował odzyskać odebrany mu pistolet. Babcia Sender przeklinała ich wszystkich z za baru najgorszymi słowami.

Styke wziął pistolet, spojrzął na panewkę.

– Nawet nie jest nabity, durniu – powiedział i uniósł nóż.

Bużka obrócił się na wznak.

– Na Kresimira, nie, błagam! – zawył. – To nie ja, nie mnie chcesz mieć! To on! – Wymierzył palec w najdalszy kąt sali. Styke zawahał się, wyglądało mu to na próbę odwrócenia uwagi. Przecież tamten kąt był pusty.

I nagle poczuł, jak zjeżyły mu się włosy na karku, miał wrażenie, że poruszyły się cienie. Zza stołu wstał mężczyzna, którego tam przedtem nie było. Poprawił rękawy eleganckiej czarnej marynarki. Był niewysoki, muskularny, miał krótkie, czerwone jak ogień włosy i kępkę włosów na brodzie. Na nadgarstkach i szyi dało się zauważyć czarne tatuaże, ale poza tym łatwo byłoby wziąć go za biznesmena Palo, który wpadł do baru na kieliszek alkoholu.

Babcia Sender, która ze wzniesionymi rękami przeklinała leżące na podłodze zakrwawione ciała, przerwała w pół słowa.

– A ty skąd się tu wzięłeś, na otchłań?

Tajemniczy mężczyzna nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

– Po co potrzebny ci człowiek-smok? – spytał. Mówił dziwnie niewyraźnie, jakby usta miał pełne syropu. Styke dopiero po dłuższej chwili zorientował się, skąd to wrażenie.

Ten człowiek nie mówił w języku Palo, lecz w jakimś podobnym, zrozumiałym, a jednak innym.

Mówił po dynizyjsku.

W tym momencie Styke zapomniał o leżącym pod nim, wykrwawiającym się Buźce. Zabójca na pierwszy rzut oka rozpoznał innego zabójcę, a ten Palo miał ręce unurzane we krwi. Promieniował wręcz pewnością siebie, stał w swobodnej pozie, z lekko przechyloną na bok głową, ale nawet to sugerowało bliską, groźną przemoc. Styke obrócił się przodem do człowieka-smoka. Nóż trzymał przy ciele.

– Szukam odpowiedzi na kilka pytań.

– Nie znajdziesz ich. Nie tutaj.

Styke zawsze potrafił ocenić zagrożenie, był w tym naprawdę dobry. Wiedział, kiedy kontynuować szarżę, a kiedy trąbić na odwrót, i właśnie to czyniło z niego niezrównanego dowódcę konnicy. Ale człowieka-smoka nie potrafił przejrzeć i samo to już było niepokojące.

– A może? – powiedział. – Może jednak znajdę? Tylko musiałbym wyrwać ci je z gardła. – Wskazał ciała młodych Palo, chłopców, z którymi miał przed chwilą do czynienia. – To twoi ludzie, prawda? A nie zrobiłeś nic, żeby im pomóc.

Brwi człowieka-smoka uniosły się odrobinę, nadało to jego twarzy wyraz arogancji. Jakby chciał powiedzieć: przecież to nic nie znaczy. Styke poczuł, jak zaczyna dławić się gniewem. Ci młodzi Palo byli pewnie kimś w rodzaju uczniów, akolitów, co – przynajmniej dla Bena – oznaczało, że człowiek-smok wziął za nich odpowiedzialność. W każdym razie pułkownik Styke odpowiadał za każdego lansjera swojego oddziału.

– Nie lubię cię – powiedział. – I podejrzewam, że cię zabiję i że sprawi mi to prawdziwą radość.

Człowiek-smok zrobił krok w kierunku Styke'a, ale tylko jeden. Zatrzymał się nagle. Jego twarz, nieprzenikniona, przypominała koci pysk, poruszały się tylko oczy, szacujące siłę przeciwnika i jego słabości. Wydawał się wahać przez bardzo krótki moment, a potem, równie nagle jak stanął, ruszył w stronę drzwi, tak swobodnie i tak błyskawicznie jak pantera uznająca, że dziś nie będzie walczyć z niedźwiedziem. Znikł w jednej chwili, jakby nigdy nie było go w tym barze. Styke zaklął, próbował iść za nim, ale noga odmówiła mu posłuszeństwa. Zanim, kulejąc i klnąc, wydostał się na ulicę, człowiek-smok znikł już w gęstniejącym popołudniowym tłumie.

– Celine! – Styke włożył do ust kostkę gumy rogowej. Żuł ją gwałtownie, by jak najszybciej stłumić ból nogi.

Dziewczynka podbiegła do niego natychmiast. Wskazał jej palcem kierunek.

– Widziałaś Palo, wychodzącego przez te drzwi? Tego w czarnej marynarce?

– Tak.

– Idź za nim. Pilnuj się, żeby cię nie zauważył, ale nie spuszczaaj z niego oka. Będę się trzymał blisko za twoimi plecami.

Celine natychmiast wtopiła się w tłum. Szedł za nią niespiesznie, swobodnym krokiem. Wytarł krew z twarzy i rękawa, burcząc pod nosem. Nie lubił, kiedy robiono z niego durnia i tak swobodnie mu się wymykano. Nie lubił też dostawać takich odpowiedzi, z których rodziło się tylko więcej pytań. Na przykład o to, co – na otchłań! – robi dynizyjski człowiek-smok nie tylko jak najbardziej żywy, ale jeszcze spacerujący sobie po Landfall jak gdyby nigdy nic.



## I7 ROZDZIAŁ

**V**lora w mundurze galowym, z mieczem i pistoletem przy pasie, podeszła do czekającego na nią Devin-Tallisa dokładnie o umówionej godzinie ósmej trzydzieści. Ciemność miała zapaść lada chwila, siadając w małej rykszy, Vlora nie czuła się więc zbyt pewnie.

Ruszyli natychmiast drogą mającą ich zaprowadzić do krętego zjazdu w głąb Jamy, z którego korzystała wcześniej, kiedy schodziła z Michelem. Gdy znaleźli się na samym dole, resztki promieni słonecznych znikły całkowicie. Zdziwił ją widok latarni gazowych, słabym blaskiem oświetlających wąskie uliczki. Nie zauważyła ich wcześniej.

Już po chwili od wjazdu na dno Jamy Vlorze zakręciło się w głowie. Devin-Tallis parł przed siebie, jego nogi niemal bez wysiłku wybijały równy rytm w pokrywającej podłoże wszechobecnej gęstej mazi. Skręcał przy tym to tu, to tam, pozornie zupełnie bez sensu. Serce jego pasażerki z każdą mijającą minutą biło coraz szybciej, nie miała wątpliwości, że gdyby Palo opuścił ją

teraz i znikł, przenigdy nie wy dostałaby się na górę o własnych siłach.

Rozwinęła ładunek prochu. Nasypała go trochę na język, rozkoszowała się krótko jego siarkowym posmakiem, po czym niuchnęła więcej. Trans rozświetlił jej zmysły jaskrawym wybuchem. Dzięki prochowi mogła bardziej się skupić, a wyostrozony wzrok dostrzegał czarne przestrzenie między latarniami tak wyraźnie, jakby oświetlały je słoneczne promienie. Ale to, co zobaczyła: ostre kąty chwiejnych konstrukcji ustawionych przypadkowo jedno na drugim mieszkań, wcale jej nie uspokoiło.

– Powiedziałeś, że to święto – zwróciła się do Devin-Tallisa – a Vallencian użył określenia „gala”. To co to właściwie jest?

– Chyba jedno i drugie – odparł rykszarz, nie odwracając głowy. – Dla Palo to święto, Dzień Dwóch Księżyców.

Vlora spróbowała dopasować coś do dzisiejszej daty, jakies zjawisko astronomiczne czy rolnicze. Nic nie przyszło jej do głowy.

– Co to właściwie znaczy? – spytała.

– Nie mam pojęcia. To samo pytanie zadałem ojcu, kiedy byłem mały. On też nie wiedział. Jest święto, więc świętujemy.

– Na ogół w święto coś się jednak świętuje.

– Kiedyś, być może, coś świętowano.

Niewiele udało się jej dowiedzieć. Spojrzała do góry, spróbowała zorientować się po niebie, ale najbledsze pasma zachodu, które poprzednio widziała przez poskładane jakby przypadkowo poziomy mieszkalne, zgasły, osłonięte murami, deskami i wszechobecnym, suszącym się na sznurach praniem, które wydawało się splatać i wiązać poziomy Jamy. Użyła jeszcze trochę prochu dla uspokojenia nerwów.

– Co to za imię, Devin-Tallis? – spytała.

– Imię Palo – usłyszała w odpowiedzi.

– Niewielu z tych, których spotkałam, nosiło podwójne.

– To nie jest tak naprawdę podwójne imię. Devin to tytuł.

– Nie masz nazwiska?

– Tylko niektórzy z nas mają. To kwestia plemienna. Moje plemię, Wanninowie, używa systemu imion datującego się z czasów, kiedy tymi ziemiami rządził lud zwany przez was Dynizyjczykami. Jest bardzo stary. Najpierw podajemy tytuł, potem imię.

Vlora zastanowiła się nad kresjańskim systemem nazwisk. Przedstawiciele niższych klas często mieli tylko jedno imię. Nazwisko można było sobie kupić albo na nie zasłużyć i często był to przydomek, jak w jej przypadku, lady Krzemień. Kiedy się tak nad tym zastanowiła, musiała przyznać, że istnieją pewne podobieństwa.

– A co to znaczy „Devin”?

– Ten, który służy.

– Czy to przydomek klasowy...?

– Ach nie – zaprotestował Devin-Tallis. – Pracuję jako rykszarz od czasu, kiedy nabrałem wystarczająco wiele siły. Dobrze na tym zarabiam, mogę utrzymać rodzinę. Ten, który służy, to dumne nazwisko. Możesz uznać mnie, pani, za przedstawiciela klasy średniej.

Vlora zachichotała, nie mogła się powstrzymać. Jak łatwo było uznać Palo za dzikusów. Większość Kresjan ich za takich uważała, a ona musiała sobie w tej chwili uświadomić, że Palo lepiej rozumieli tradycje najeźdźców niż najeźdźcy ich tradycje. Zastanowiła się przelotnie, co by się stało, gdyby Palo nie byli tak podzieleni – czy w ogóle mieliby jakiegokolwiek kłopoty z zepchnięciem kolonistów do morza.

Bardzo prawdopodobne, że taka możliwość prześladowała lady kanclerz w nocnych koszmarach.

Vlora przypomniała sobie kogoś, kogo kiedyś znała, zielonooką dziewczynę, którą Taniel przywiózł z pola walki w Fatraście, przed tak wielu laty. Wywołał skandal, po którym już zawsze czuła smutek i żal.

– Co oznacza „Ka”? – spytała.

Devin-Tallis zwolnił, obejrzał się przez ramię.

– Nigdy tego nie słyszałem – przyznał. – Musiałbym zapytać. Ach! Jesteśmy na miejscu.



Wyjechali z za zakrętu, zatrzymali się gwałtownie. Vlora rozejrzała się. Wszystko tu wydawało się bardzo zwyczajne. Nie było tłumów, nie było kolejki nadjeżdżających ryksz. Stanęli w zwykłej alejce pokrytej mocno wydeptanym kamieniem i nieodłączną mazią. Na jej końcu znajdowały się jasno oświetlone trzcinowe drzwi.

– Jesteśmy na miejscu? – powtórzyła zdziwiona.

– Tak.

– Jesteś pewien?

– Tak, jestem pewien. Uliczki tu są wąskie, więc każdy dom, większy i mniejszy, ma kilka wejść. Palo nie przywiązuje wagi do wspaniałości fasad. Przecież liczy się tylko to, co w środku.

Vlora wysiadła z rykszy. Devin-Tallis odstawił pojazd w kąt przy ścianie, a potem podprowadził Vlorę do drzwi w końcu alei i głośno wypowiedział swoje imię. Ktoś odsunął od wewnątrz czerwoną zasłonę, za którą znajdował się wąski korytarz oraz dwóch uzbrojonych Palo. Poczuli zapach ich ciał, zapach prochu, niemal natychmiast potem dostrzegła pistolety. Palo patrzyli na nią obojętnie, a Vlora sięgnęła głębiej zmysłami i aż westchnęła ze zdumienia. W promieniu pięćdziesięciu jardów wyczuwała setki niewielkich koncentracji prochu, czyli oczywiście kolejnych uzbrojonych strażników.

Zapewnienie bezpieczeństwa uroczystości najwyraźniej nie stanowiło dla Palo problemu.

Devin-Tallis zaprosił ją do środka eleganckim gestem.

– Przedstawię cię, pani – powiedział. Poprowadził Vlorę krętymi korytarzami. – A potem muszę wrócić do mojej rykszy.

– Nie będziesz mi towarzyszył?

Rykszarz uśmiechnął się.

– Należę do klasy średniej. Społeczność Palo ma swoją hierarchię. Tylko stojący najwyżej mają prawo wstępu do Żółtego Pałacu. Ach, to już tutaj. Za kilka godzin wrócę sprawdzić, jak się bawisz, pani. Jeśli zechcesz wrócić do domu wcześniej, wystarczy, byś kogoś po mnie wysłała.

Vlora była coraz bardziej świadoma cichego, nieprzerwanego szmeru rozmów, dobiegającego do niej z za najdalszych granic jej prochowego transu, ale nagle głosy wybuchły wręcz, jakby wkroczyła do sali bankietowej. W oświetlonym gazowymi lampami korytarzu minęli jeszcze dwóch strażników, a potem Devin-Tallis otworzył przed Vlorą masywne drewniane drzwi.

To, co zobaczyła, odebrało jej dech.

Stali na szczycie trzech stopni, schodzących do ogromnej sali długości co najmniej stu kroków, pełnej przytulnych zakamarków. Z sufitu zwisały żyrandole, a balkony na ich wysokości sugerowały, że budynek był znacznie większy, niż to konieczne, by pomieścić jedną salę. Światła dostarczały latarnie gazowe, jedzenie i picie, w tym wina oraz mrożoną kawę i mrożoną herbatę, roznosili eleganccy służący. Ściany i podłogę zrobiono z ciemnożółtego wapienia, takiego samego, z jakiego wybudowano budynki rządowe Landfall, choć architektura tutaj była niewątpliwie znacznie starsza.

Goście wypełniali całą gigantyczną salę balową: tańczyli, rozmawiali, rozpierali się na stojących przy ścianach kanapach. Vlora spodziewała się mrowia piegowatych twarzy i jaskrawoczerwonych włosów, a tymczasem nie więcej niż połowa gości była Palo. Drugą połowę stanowili Kresjanie różnego pochodzenia, od białych Adrańczyków i Kezan, przez ciemnych Rosvelczyków, po czarnoskórych Delivijczyków, a wszyscy razem zdawali czuć doskonale w tak mieszanym towarzystwie.

– Witamy w Żółtym Pałacu – powiedział Devin-Tallis.



Michel spędził cały dzień na zastawianiu pułapki. Biuro wielkiego mistrza przydzieliło mu Żelazne Róże do obsadzenia wejścia do budynku, tylnego wejścia, obserwacji okien, a także ulicy. Zarządził śledzenie sekretarki w drodze do domu – okazało się, że mieszka dwa kroki od biura, na samej granicy dzielnicy przemysłowej – a potem zostawił ludzi przed jej drzwiami. Miał

szansę zakończyć śledztwo sukcesem po zaledwie kilku dniach, a to dałoby mu Złotą Różę.

Nie zamierzał przegrać.

Dochodziła dziewiąta, kiedy do Michela dołączył agent Warsim, z którym czasami pracował. Przeszedł przez ulicę i obaj przywarowali w cieniu przy ścianie jednej z fabryk. Warsim nosił Brązową Różę. Miał broń, pistolet i pałkę.

– Chłopcy twierdzą, że zauważyli tego Tampę – powiedział szeptem.

Michel nerwowo obgryzał paznokcie. Po informacji partnera szybko sprawdził, co działo się na oświetlonej słabnącym blaskiem zachodzącego słońca ulicy, a potem poszedł w kierunku biur. Był pół przecznicy od budynku, kiedy zobaczył mężczyznę w eleganckim czarnym surducie i cylindrze, pod jedną pachą trzymającego laseczkę ze srebrną główką, a pod drugą teczkę. Mężczyzna właśnie wchodził do środka.

Michel zacisnął dłonie w pięści, by ukryć ich drzenie. Spojrzał w górę i w dół ulicy. Na otchłań, a więc nadeszła wreszcie ta chwila! Tampo nie miał szansy na ucieczkę. Bravis wślizgnął się do środka, zaczął powoli wspinać się po schodach na piętro, a za nim szedł Warsim i trzy Żelazne Róże. W budynku panowała cisza, większość biur była pusta, na piętrze nie paliła się ani jedna latarnia, pasemko światła padało tylko spod drzwi na końcu korytarza.

– Daj mi pistolet – polecił Warsimowi.

W pięciu przeszli korytarzem jak najciszej, uważając, by nie zaskrzypiały deski podłogi. Podeszli pod drzwi biura Tampy. Michel nasłuchiwał przez chwilę.

– Otwórzcie mi te drzwi – rozkazał najpotężniejszym Żelaznym Różom.



Przez niemal dwie godziny Styke szedł przez miasto za człowiekiem-smokiem. Trzymał się od niego jak najdalej, żeby

pozostać niewidocznym, garbił się, a czapkę nasunął nisko na oczy. Mężczyzna jego rozmiarów miał naturalne kłopoty ze śledzeniem, ale Celine służyła mu za zabezpieczenie. Ona pilnowała człowieka-smoka, Styke pilnował jej.

Ich cel szedł to tu, to tam. Na początku wydawało się, że wybierał drogę na chybił trafił, i Styke już zaczął się martwić, że tamten wie o nich obojgu, ale szybko okazało się, że spotykał się z ludźmi. Zatrzymał się w burdelu w dzielnicy przemysłowej, spędził godzinę w budynku Skarbu w Górnym Landfall, a potem poszedł do portu, gdzie odwiedził trzy różne statki w ciągu piętnastu minut.

Styke'owi wystarczył jeden rzut oka w pełnym świetle dnia, by zdobyć absolutne przekonanie, że człowiek-smok to Dynizyjczyk. Niewiele różnili się oni od współczesnych Palo, ale pewne różnice jednak były i komuś o bystrym oku oraz odrobinie historycznej wiedzy łatwo było je dostrzec. Dynizyjczyk miał oczy nieco bardziej owalne, policzki wklęsnięte, a uszy przekłute na górze, a nie na dole. Zagadką, przynajmniej dla Styke'a, było nie to, że człowiek-smok jest Dynizyjczykiem, ale raczej dlaczego jest Dynizyjczykiem. Zanim Styke trafił do obozu pracy, Dynizyjczycy byli ludem izolacjonistów. Zamknęli granice swego kraju dla wszystkich, od handlarzy po misjonarzy. Od ponad stu lat nie widziano Dynizyjczyka za granicą jego kraju, choć Fatrasta była dla niego rodzajem przedsionka. Co się tam teraz działo?

Styke nie wiedział nawet, że Dynizyjczycy mają ludzi-smoków. Opowieści głosiły, że Palo stworzyli swych wojowników po tym, jak Dynizyjczycy wycofali się z Fatrasty. Po tatuażach można się było jednak domyślić, że adaptowali ludzi-smoków wprost ze społeczności Dynizyjczyków. Co oznaczało, że Dynizyjczycy mogli mieć cały naród tych wojowników. Nawet gdyby jeden przypadał na ich dziesięć tysięcy, perspektywa istnienia armii mitycznych wojowniczych nadludzi co najmniej... niepokoiła.

Ale zakładać można było wszystko. Styke uznał, że nie warto wybiegać myślami zbyt daleko. Miał za zadanie dowiedzieć się wszystkiego, co tylko możliwe, o tym szczególnym człowieku-smoku.

Oczywiście najlepiej byłoby ująć go żywcem, ale gdyby rzucił martwe ciało do stóp generał Krzemień, i ono dostarczyłoby użytecznych informacji. Z pewnością Styke zyskałby dzięki temu jej zaufanie. Napomniął sobie, że przecież na tym najbardziej mu zależy.

Wrócił do rzeczywistości, rozejrzał się za Celine. Kilkakrotnie tracił ją z oczu, ale to go nie martwiło, nietrudno było ją dostrzec, małą dziewczynkę w żółtej koszuli i chłopięcych spodniach. Pozwalał Celine oddalić się znacznie, więc dopiero kiedy przeszedł całą przecnicę i ciągle jej nie widział, zaczął się niepokoić.

Nadal znajdowali się w dokach, wśród gęstej zabudowy magazynów i silosów zbożowych, z których połowa stała na drewnianych, krzyżujących się wielokrotnie nabrzeżach, aż powstał z tego prawdziwy labirynt wąskich alejek. Nie było to miejsce idealne do śledzenia kogokolwiek.

Za to doskonale nadawało się do zastawienia pułapki.

Styke poczuł, jak serce mu przyspiesza. Gdyby Celine wpadła w kłopoty, z pewnością by zawołała, prawda? Przecież mądra z niej dziewczynka i tak szybka, że dorośli nie mieli z nią szans. Ale ten człowiek był też smokiem, mordercą, okrutnym i nieubłaganym jak sam Styke.

Nagle zorientował się, że idzie znacznie szybciej niż jeszcze przed chwilą. Parł przed siebie wąskimi, krętymi przejściami, rozglądając się za podopieczną. Wyciągniętą ręką odpychał dokerów i marynarzy, drugą trzymał na rękojeści noża. Celine gdzieś tu była, wiedział to z całą pewnością i wiedział, że ją znajdzie...

– Ben!

Wystarczył mu ten jeden okrzyk. Styke zrobił w tył zwrot, zaczął przepychać się przez wieczorny tłum drogą, którą przyszedł. W pewnym momencie całym ciałem zepchnął z trasy dźwigającego ładunek muła. Myśli przelatowały mu przez głowę z szybkością błyskawicy, dziewczynka wykrzyknęła jego imię z rozpaczą.

Zajrzał w jedną z alejek i zatrzymał się jak wrośnięty w ziemię.

Człowiek-smok stał w odległości zaledwie dwudziestu kroków, pochylony, z wyrazem rozdrażnienia na twarzy. Jedną ręką trzymał za kark wijącą się w uścisku dziewczynkę, w drugiej ścisnął kościany nóż o wygiętym ostrzu, niewątpliwie groźny, choć sprawiający wrażenie ceremonialnego.

– A więc Ben, tak? – powiedział Dynizyjczyk spokojnie, tonem towarzyskiej rozmowy. – Odpowiedz mi teraz na kilka pytań, Ben.

Styke wyciągnął swój nóż. Ścisnął rękojeść tak mocno, aż pobielały mu palce.

– A niedoczekanie! – warknął.



Żelazna Róża wykopał drzwi, w jednej ręce trzymał pałkę, w drugiej pistolet. Za nim wpadło dwóch kolejnych agentów, wdarli się przemocą do dwóch biur połączonych sekretariatem, z jednego dobiegł Michela najpierw głośny krzyk zaskoczenia, a potem lawina protestów. Przeciągnął dłonią po twarzy, próbował zetrzeć z niej szeroki tryumfalny uśmiech. Nie powinien zapominać, że jest zawodowcem.

Odliczył do dziesięciu, a potem wszedł do biura numer 214. Rozejrzał się. Tamto zajmował pokój po lewej; siedział za biurkiem, a za nim stał agent Warsim. Ściągnął prawnikowi marynarkę z pleców do połowy, krępując mu w ten sposób ruchy. Zatrzymany musiał być w tej chwili bardziej niż trochę przerażony i Michelowi naprawdę się to podobało. Nie zamierzał się spieszyć. Poszedł do przeciwległego pokoju. Otworzył nożem jedno z wielu pudeł, porozrzucanych chaotycznie tu i tam. Spojrzał na ich zawartość, zamrugał szybko, spojrział drugi raz, zmarszczył czoło i już nie walczył z uśmiechem.

– Przynieście lampę – polecił.

Jedna z Żelaznych Róż przyniosła mu lampę z biurka Tamy. Michel oświetlił nią zawartość skrzynki: stosy broszur „Grzechy Imperium”. Nagromadzenie pudeł w obu pomieszczeniach pozwalało szacować liczbę egzemplarzy na tysiące. Oto właśnie

rozwiały się ostatnie wątpliwości: zatrzymany mężczyzna był odpowiedzialny za druk antypaństwowych oszczerstw.

Mężczyzna trzymany na muszce w sąsiednim pokoju.

Michel opanował ochotę wtargnięcia do biura, w którym czekał prawnik, w tanecznych podskokach. Wszedł powoli, równym, spokojnym krokiem. Postawił lampkę na biurku, spojrzał zatrzymanemu wprost w oczy. Widział, że prawnik znieruchomiał z panicznego strachu, że poruszał wargami, chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie wydobyć głosu z gardła, że eleganckie spodnie miał przemoczone w kroku. Podburzanie do buntu przeciw lady kanclerz z pewnością nie wydawało mu się już dobrym pomysłem. Nagle Michel zorientował się, że nie bardzo wie, co teraz. Miał przesłuchać tego człowieka na miejscu? A może odtransportować go do Kapelusznictwa?

– Wygląda na to, że obaj mamy przed sobą długą noc – powiedział, przysiadając na blacie biurka. – Powiedz mi, naprawdę nazywasz się Tampo? Nie znalazłem tego nazwiska w dokumentach publicznie dostępnych, a moi ludzie poświęcili poszukiwaniom całe popołudnie.

Prawnik nadal milczał, choć poruszał wargami. Michel nieco się zdziwił. Oczekiwał spotkania z człowiekiem przestraszonym – rewolucjonistów łatwo był przestraszyć, wystarczyło przekłuć balonik ich retoryki – ale przecież nie z kimś przerażonym do szaleństwa, niezdolnym wydać z siebie dźwięku. Cóż, z pewnością uświadomił sobie, jak bliski jest kres jego nędznego życia. Michel nie rozkoszował się myślą o tym, co czeka Tampę. Nie lubił tortur, choć oczywiście bywały użyteczne, lecz mimo tej antypatii był szczęśliwy, że właśnie jemu udało się dopaść tego człowieka. Dostanie za to Złotą Różę!

Pochylił się, lekko uderzył Tampę w twarz.

– I co? – spytał. – Masz mi coś do powiedzenia?

Tampo uczynił wielki wysiłek i mimo że głośno szczekał zębami, zdołał jednak coś wyartykułować. Michel nie zrozumiał co. Pochylił się bliżej.

– No mów, mów!

– Nie wiem, za kogo mnie bierzecie, ale ja tu jestem dozorcą.

Cała nieopanowana radość Bravisa ulotniła się, nie pozostawiając śladu. Ale... przecież nie mógł popełnić pomyłki! Dozorcy nie noszą surdutów za pięć tysięcy kрана. Nie używają laseczek!

– Przepraszam, ale cię nie zrozumiałem.

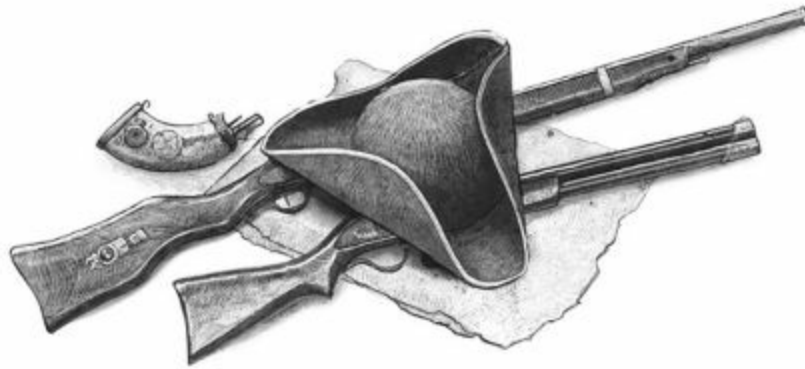
– Prawnik, który tu pracuje, powiedział, że da mi sto kрана, jeśli przyjdę tu wieczorem w jego ubraniu.

Michel oblizał wargi. Chwycił prawą rękę zatrzymanego, podniósł ją do oczu. Nie, ta dłoń, ze stwardniałymi palcami, pokryta odciskami i bliznami, oznaczającymi lata ciężkiej fizycznej pracy, ze śladami po farbie i brudem za paznokciami, to nie była dłoń prawnika.

Ujął kogoś, ale to nie był Tampo.

– Och, na otchłań! – krzyknął. Kopnął pudło. Spojrzał na Żelazną Różę. – Sprowadźcie mi tu tę sekretarkę. Natychmiast!





## I8 ROZDZIAŁ

**L**ady Vlorę Krzemień – oznajmił Devin-Tallis donośnie, niczym herold na królewskim balu, skłonił się lekko i cofnął, pozostawiając Vlorę na szczycie stopni, patrzącą w zwrócony w jej stronę ocean twarzy i wgapionych w nią oczu. Rozmowy umilkły, ich miejsce zajęły szepty, oceny, plotki. Mogłaby usłyszeć i zrozumieć, co kto o niej mówi, znajdowała się przecież w prochowym transie, ale uznała, że wcale nie chce tego wiedzieć. Niektóre oblicza wydawały się jej przyjazne, inne były otwarcie wrogie, ale większość bawiących się w Żółtym Pałacu gości jej pojawienie po prostu zdumiało. Vlorę powstrzymała odruch obciągnięcia mankietów mundurowej kurtki, przetarcia rękawem mosiężnej odznaki Najemnego Oddziału Strzelców Wyborowych.

– Ach! – rozległ się nagle donośny głos. – Lady Krzemień, moja przyjaciółko!

Vallencian przebił się przez tłum jak byk przez stado owiec. Ofiarował Vlorze ramię, asystował jej na stopniach, razem wstąpili w tłum. Ku jej wielkiej uldze donośny szmer rozmów powrócił i już nikt nie wpatrywał się w nią z przesadnym zainteresowaniem.

– Jakże się cieszę, że przyjęłaś moje zaproszenie! Znam was, żołnierzy, nie lubicie miejsc, z których nie można się natychmiast wycofać. Ale tym razem warto było zaryzykować. Daję na to moje słowo.

– Jeszcze raz bardzo dziękuję za zaproszenie. – Vlora zignorowała ironię.

Rzeczywiście, wyteżyła zmysły w poszukiwaniu dróg wyjścia, a także zapamiętywała pozycje strażników. Widziała znajome twarze, choć nie potrafiła dopasować do nich imion, a niejeden Palo oglądał się za nią, gdy go mijała.

– Zastanawiam się – przyznała – czy to rzeczywiście był taki dobry pomysł.

– Ależ wszystko jest w największym porządku – zapewnił Lodowy Baron. – Lady Krzemień nie potrzebuje gwardii honorowej. Sama jesteś gwardią honorową.

– Nie bardzo wiem, co to ma znaczyć, ale coraz bardziej przekonuję się, że ta biografia, którą czytałeś, mocno przesadziła w ocenie moich osiągnięć. Jestem tylko żołnierzem.

Akurat w tej chwili zabrzmiało to doprawdy przesadnie skromnie. Vlora nie lubiła takiego tłoku i takiego towarzystwa. Politycy zawsze budzili w niej uczucie niechęci – dlatego między innymi opuściła Adro, choć była odznaczanym generałem – a przy okazjach takich jak ta kwitło złośliwe, obrzydliwe politykierstwo. Przyjęcie zaproszenia okazywało się właśnie bardzo kiepskim pomysłem.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – spytała.

– Żółty Pałac. Zbudował go zarządzający kamieniołomem w czasach, gdy wydobywanie kamienia było jedynym źródłem bogactwa w Landfall.

– Wygląda dość staro.

– Ma sto piętnaście lat, jak mi się zdaje. Jest w doskonałym stanie, jeśli wziąć pod uwagę, że obrósł dziesiątkami konstrukcji mieszkalnych. Żółty wapień to nie dekoracja, lecz solidne głazy. –

Vallencian podprowadził Vlorę do ściany. Uderzył w nią dłonią, ilustrując gestem swoje słowa.

Kompletna rezydencja mieszkalna pogrzebana na samym dnie Jamy, zapomniana od dziesięcioleci... Czarne Kapelusze musiały coś o niej wiedzieć.

– Myślałam, że będzie tu więcej Palo.

Vallencian przeprowadził Vlorę przez tłum do zastawionych stołów. Wcisnął jej w rękę szklanekę mrożonej kawy, a potem odprowadził do spokojnego kącika.

– Tak, tak, zazwyczaj jest więcej Palo, ale to publiczna okazja, a przynajmniej publiczna w ich skali, więc zaprosili wszystkich prowadzących jakieś interesy tu, na dole. – Wskazał młodą kobietę w niemal przezroczystej kreacji. – Lady Enna jest właścicielką największego kamieniołomu w Ognistej Jamie, wspólnie z towarzyszącym jej Palo imieniem Meln-Dun. Starszy mężczyzna w okularach to Rider Hofflast. Ma dziesięć tysięcy akrów trzciny cukrowej na jednej z wysp, niedaleko naszego wybrzeża, zatrudnia głównie Palo.

Vlora zastanowiła się, jak wielu było tu Kresjan robiących zwyczajne interesy, podczas gdy Czarne Kapelusze bały się choćby kiwnąć paluszką. Według niej nie miało to śladu sensu i nawet chciała spytać, jak to możliwe, ale wolałaby, żeby tego pytania nikt nie podsłuchał.

– Myślałam, że to Lindet rządzi interesami w Landfall – powiedziała głośno.

– Lubi tak myśleć – prychnął Lodowy Baron. Wzruszył ramionami. – Owszem, jest współwłaścicielką wszystkim firm w Fatraście. Takie są koszty robienia tu interesów. Nie zrozum mnie źle, ja ją naprawdę szanuję. To sprytna kobieta i wie, czego chce, choć jest dzika jak górski niedźwiedź. Ale łapie za wiele srok za ogon. W końcu to tylko jedna kobieta.

– Naprawdę ją szanujesz? – Vlora rozejrzała się dyskretnie, z obawą, że ktoś może ich podsłuchiwać. Znaleźli się w towarzystwie, które mogło źle zareagować na te wyrazy sympatii.

– Oczywiście. Nigdy nie powiedziałem, że ją lubię. Ale, jak wspomniałem, to silna kobieta i wie, czego chce. Jest za co ją podziwiać.

Vlora spojrzała na Lodowego Barona z uśmiechem. Lubiała tego człowieka z każdą chwilą bardziej.

– Mimo tego, jak traktuje twoich... partnerów w interesach? – zaryzykowała pytanie.

– Widzę w ludziach dobro – odparł Vallencian rzeczowo. – Nawet jeśli trudno je zobaczyć.

– Widzisz w ludziach za wiele dobra – powiedział donośny, przenikliwy głos. Vlora odwróciła się szybko. Głos należał do stojącej tuż za nią kobiety w przezroczystej kreacji, lady Enny. Z bliska wydawała się nieco młodsza od Vlory, szczerze obdarzona przez naturę, miała długie kasztanowe włosy i pełne usta, za które kurtyzany chętnie by zabiły. Nieproszona, ujęła Vlorę za ramię. Pochyliła się ku niej konspiracyjnie.

– Lady Krzemień, jestem lady Enna. To dla mnie wielki zaszczyt poznać cię, pani.

– Dziękuję. – Vlora uśmiechnęła się z przymusem. Oczy Enny wydały się jej odrobinę za wielkie, a wyraz twarzy trochę zbyt szczerzy, kobieta nie zachowywała się naturalnie. Vlora otworzyła usta, by zadać Vallencianowi kolejne pytanie, ale Lodowy Baron nagle przeprosił ją i oddalił się, zostawiając panie same.

Drań!

Zanim Vlora zdążyła powiedzieć choć słowo, Enna przysunęła się jeszcze bliżej.

– Nie myśl, że traktuję Vallenciana niesprawiedliwie. Kochamy go tu wszyscy nad życie, ale to wielki, pluszowy, głupiutki niedźwiedź. Jest za łagodny dla Lindet i tych jej przeklętych Czarnych Kapeluszy. To ona sieje przerażenie. Trzeba z nią skończyć.

Vlora uniosła brwi. To stwierdzenie ją zaskoczyło. Cóż to za przyjęcie, pełne dogmatycznych liberałów? A może lady Enna wypila za dużo wina? Z pewnością czuć je było w jej oddechu. Miała

ochotę powiedzieć: „Wiesz, że pracuję dla niej, prawda?”. ale udało się jej powstrzymać cisnące się na usta słowa.

– Ja... hmmm... Wielu ludzi czuje tak samo?

– Są nas tysiące! Słyszałaś może o ruchu Nowa Fatrasta?

– Coś tam słyszałam – upewniła ją Vlora, choć nie słyszała nic.

– No to pozwól, pani, mi wyjaśnić, że nasz ruch powstał właśnie po to, żeby odsunąć Lindet od władzy. I żeby rozpuścić tę jej bandę zinstytucjonalizowanych łotrów. – Głowa dziewczyny praktycznie spoczywała już na ramieniu Vlory. – Widziałaś, pani, tę broszurkę z zeszłego tygodnia? „Grzechy Imperium”? No więc wiem z dobrego źródła, że to dzieło wysokiego rangą działacza Nowej Fatrasty. Słyszysz się nawet pogłoski, że chodzi o samą Czerwoną Rękę. Ach, jakież to podniecające!

Vlora miała już do czynienia z agentami Czerwonej Ręki. Na pograniczu. Było to, owszem, podniecające, ale ona sama wybrałaby nieco inne słowo. W końcu rozmawiały o jednym z najbardziej skutecznych buntowników Palo, operujących z niecywilizowanych jeszcze głębi Fatrasty, a plotki głosiły, że jego mała partyzancka armia przysparzała Lindet nieprzespanych nocy.

– Ta Nowa Fatrasta jest jakoś zorganizowana? – spytała.

– Och nie! Nie jesteśmy zorganizowani.

No tak, oczywiście. Bez wątpienia.

– Jestem pewna, że masz egzemplarz, ale proszę, z pewnością przyda ci się jeszcze jeden. – Po dłuższej chwili poszukiwań Enna wygrzebała z torebki broszurkę, niemal przemocą wcisnęła ją w rękę Vlory. Było to małe wydawnictwo, miało może dziesięć, najwyżej dwanaście stron. Vlora obróciła je, zobaczyła duży tytuł: „Grzechy Imperium”. – Jeśli jeszcze nie czytałaś, przeczytaj natychmiast! Opisuje wszystkie krzywdy, jakie Lindet wyrządziła temu biednemu, nieszczęśliwemu krajowi. Dowiesz się, z jak okropną zachłannością ukradliśmy kraj prawowitym mieszkańcom, jak zniszczyliśmy dziedzictwo kulturowe Palo. Rewolucje w Fatraście i w Adro, a także zmiany spowodowane wojną domową

w Kezie to nowy punkt wyjścia, teraz możemy stworzyć nowy świat, rządony przez lud i dla ludu.

W trakcie tej tyrady Vlora kilka razy otwierała usta, ale ani razu nie udało się jej wtrącić choćby pojedynczego słowa. Słyszała o „Grzechach Imperium”, oczywiście, egzemplarze rozdawano w całym Landfall, choć Czarne Kapelusze robiły wszystko, by je ocenzurować. Tekst czytało się doskonale, był radykalny i jednocześnie naiwny, ale sedno problemu przedstawiał zdaniem Vlory prawdziwie. Zgadzała się z autorem, lecz z konieczności nie wdawała się w politykę, wręcz przeciwnie, trzymała się od niej z daleka. Polityka była specjalnością marszałka polnego Tamasa, jej mentora, ale i on nie zdołał zaszczepić w niej zainteresowania tymi sprawami. Poza tym dowódcy najemników nie zawsze mogą wybierać, dla kogo pracują, a utrzymanie oddziału wymaga niebagatelnych pieniędzy.

Mówiąc krótko, Vlora z zasady nie wdawała się w polityczne dyskusje. Zwłaszcza z pijanymi, choć entuzjastycznymi akolitami.

– Brzmi... interesująco – powiedziała i spróbowała oddać broszurkę lady Ennie.

– Ależ nie, proszę ją zachować. Poszerzy ci horyzonty w sposób... w sposób, którego nie jesteś nawet w stanie sobie wyobrazić! Powiedz tylko słowo, a zdobędę ci więcej takiej literatury. Jak mówiłam, są nas tysiące i choć Lindet jest taka pewna, że nad wszystkim panuje, pisarze w tym znękanym mieście pracują ile sił, co dzień tworzą nowe manifesty, aż dziwię się, że świat nie powstał jeszcze, by zrzucić krępujące go łańcuchy.

Musi być bardzo pijana, zdecydowała Vlora. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zdradza tak jawnie swych przekonań w mieście, w którym mogą one zaprowadzić człowieka na szubienicę... albo gorzej.

– Wiesz – powiedziała głośno – takich rzeczy już próbowano.

Oczy Enny zrobiły się jeszcze większe, choć wydawało się to niemożliwością.

– Naprawdę? – zdziwiła się niebotycznie.

– Tak. Mówię o rewolucji w Adro. Brałam w niej udział. Zabiliśmy króla, przetrzebiliśmy kilkaset szlacheckich rodów, wybuchła wojna. Życie straciło przeszło milion ludzi.

I więcej niż jeden bóg, dodała w myśli.

– No właśnie! To musiało być coś wspaniałego! – westchnęła Enna z zachwytem.

– Adrański przewrót był najlepiej zorganizowaną rewolucją w historii, a i tak cała ta organizacja okazała się głównie warta – nie wytrzymała Vlora i natychmiast pożałowała, że nie udało się jej ukryć irytacji. Jej udział w adrańskim przewrocie i w wojnie domowej w Kezie uczynił z Vlory coś w rodzaju celebrytki radykalnej lewicy, co jej zupełnie nie pasowało. – Nie chcesz żyć w czasach rewolucji – dodała. – Jeśli nawet sama dożyjesz końca, większość tych, których kochasz, nie dożyje.

– Ale – Ennie to się zdecydowanie nie podobało – nie można przecież stłuc omletu, nie robiąc jajek.

– Co? – zdumiała się Vlora.

– Zdaje mi się – przy boku lady Enny pojawił się jakiś mężczyzna – że nasza przyjaciółka miała raczej na myśli tłuczenie jajek celem zrobienia omletu.

– Tak! Właśnie!

– Lady Enno, jestem głęboko przekonany, że powinnaś usiąść i odpocząć – powiedział nieznajomy. – Proszę oprzeć się na moim ramieniu, odprowadzę panią do Vallenciana. Bardzo się za panią stęsknił.

Odeszli oboje, mężczyzna wrócił po chwili, uśmiechając się bez wesołości. Był wysoki, mniej więcej wzrostu Vallenciana, ale miał smukłe ciało szermierza. Ubrany był w drogi czarny garnitur, pod pachą trzymał laskę ze srebrną główką, a jego niebieskie oczy zdradzały, że myślał o czymś niedostępnym dla innych. Mówił bez śladu akcentu, co zapewne oznaczało, że pochodził z Adro. Wyciągnął rękę.

– Jestem Gregious Tampo – przedstawił się. – Prawnik. Bardzo miło mi cię poznać, lady Krzemień.

Vlora natychmiast poczuła, że jest w tym człowieku coś fałszywego. To odczucie, odebrane szóstym zmysłem, sprawiło, że zjeżyły się jej włoski na karku. Na pół spodziewała się, że ma zimne, lekkie dłonie. A jednak uścisnęła wyciągniętą na powitanie rękę.

– Wyglądasz, panie, znajomo – powiedziała.

– Nigdy się nie spotkaliśmy – upewnił ją Tampo – lecz mówiono mi już, że mam twarz żołnierza.

– Jesteś adwokatem? – spytała. Widziała tę twarz, była tego absolutnie pewna i w pierwszym odruchu miała ochotę przypomnieć sobie wszystkie portrety przestępców, które zdarzyło się jej widzieć na posterunkach policji. Sięgnęła ku niemu magicznym zmysłem, swoim trzecim okiem, szukała śladów magii, ale nic nie znalazła.

– Szczerze mówiąc, byłem żołnierzem. Służyłem w dragonach podczas rewolucji fatrastańskiej. A teraz jestem adwokatem.

Vlora spróbowała zignorować uprzedzenia. Tampo okazał się bardzo uprzejmy, no i kiedyś był żołnierzem.

– Vallencian powiedział mi, że wszyscy obecni tu Kresjanie prowadzą w Jamie jakieś interesy. Zakładam, że pańskim interesem jest prawo?

– Od czasu do czasu bawię się w politykę. Wspomagam miejscowych Palo, gdy leży to w mojej mocy. Jestem także właścicielem małej gazetki, wydawanej w ich języku. Jedynej takiej w Landfall. – Podał Vlorze wizytówkę. Po jednej stronie wydrukowany miała tytuł „Wieści Palo”, po drugiej pozostawała czysta, żadnego nazwiska, żadnego adresu. – To nic wielkiego i moje „Wieści” nie są bardzo aktywne. Ot, taka próba dostarczania czytelnikom wiadomości, dzięki którym będą mieli lepsze rozeznanie w sprawach dotyczących ich bezpośrednio.

Vlora znieruchomiała nagle, zrozumiawszy, że wpada w pułapkę. Tampo wydawał się nieco zbyt pewny siebie, zbyt z siebie zadowolony.

– Jakich wiadomości? – spytała.



– Wszystkich, oczywiście, do których uda się dotrzeć. Polityka międzyplemienna, polityka rządu, tego rodzaju rzeczy. – Z niesionej przez służącego tacy wziął szklanekę mrożonej herbaty, jednym łykiem wypił połowę. – Czasami drukujemy nawet materiały o oddziałach najemników, tłumiących bunt Palo.

Vlora zastanowiła się, co i jak powinna odpowiedzieć, zdobyła się tylko na piskliwe „hmmm...”, po czym wypła łyk kawy ze swojej filiżanki. Odchrząknęła.

– Jesteś także dziennikarzem swojej gazety, panie Tampo? – spytała.

– Och nie. – Prawnik uśmiechnął się do niej z wyższością. – Ale prawda jest taka, że moi dziennikarze napisali kilka bardzo dobrze udokumentowanych artykułów o tobie, pani.

– Dlaczego jesteś łaskaw ze mną rozmawiać?

– Dlatego, że ich artykuły okazały się doprawdy fascynujące. Jest w tobie coś, co przykuło uwagę moich ludzi. Stworzyli prawdziwe studium twojej postaci.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, skąd możecie wiedzieć o mnie wystarczająco wiele, by stworzyć studium postaci. – Vlora rozejrzała się w poszukiwaniu Vallenciana z nadzieją, że dzięki baronowi zyska szansę przerwania tej rozmowy, ale jak na złość nie było go nigdzie w pobliżu.

– Zdziwiłabyś się, pani. Dziennikarze potrafią dokopać się bardzo głęboko. I bardzo lubią kolorować teksty tym, co głęboko ukryte. Proszę mi powiedzieć, czy to prawda, że byłaś, pani, zaręczona z Tanielem Dwa Strzały?

Vlora poczuła, jak zaciska się jej żołądek. Ta stara historia sprzed dziesięciu lat działa się daleko stąd, po drugiej stronie oceanu. A ktoś ciągle przywoływał potwora do życia.

– Byłam – odparła krótko, zimno.

– Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale to on zerwał zaręczyny, prawda? Ponieważ znalazł cię, pani generał, w łóżku z innym mężczyzną?

Palce Vlory zacisnęły się na rękojeści miecza, choć głowa z pewnością nie wydała im takiego polecenia. Musiała stoczyć ze sobą ciężką walkę, by nie przebić Tamy na wylot bez ostrzeżenia. Spodziewała się, że tej nocy dojdzie do jakiegoś konfliktu, być może z Palo wiedzącym, że jej ludzie zabili kogoś mu bliskiego, ale nie spodziewała się starcia z Adrańczykiem jak ona.

– Ta jedna dziecinna decyzja zrujnowała mi życie – powiedziała cicho. – Od dziesięciu lat próbuję jakoś je odbudować. Jeśli zechcesz, panie, wyjść na ulicę, zabiję cię z przyjemnością.

– Obawiam się, że zakaz pojedynkowania się obejmuje nas oboje.  
– Prawnik uśmiechnął się promiennie. – Mama Palo krzywo patrzy na pojedynki, a jesteśmy gośćmi w jej rezydencji. Ale proszę nie przypisywać mi złych intencji. Nie chcę obracać nożem w ranie. Próbuję pomóc ci, pani, w zrozumieniu czegoś istotnego.

– A czego, jeśli wolno spytać?

Prawnik wymierzył w nią palec.

– Taniel Dwa Strzały został bohaterem Fatrasty na długo przedtem, zanim został bohaterem swojego rodzinnego Adro. Pomógł nam zwyciężyć w naszej wojnie o niepodległość, był przyjacielem Palo. A teraz kobieta, która zdradziła go niespełna rok przed jego bohaterską śmiercią, jest tu, w Fatraście, tłumiąc bunty Palo dokładnie tam, gdzie on pomagał i Fatrastanom, i Palo zrzucić jarzmo Kezu. I właśnie to, lady Krzemień, czyni cię osobą doskonale złą... w oczach moich dziennikarzy.

– Sądysz, panie, że jestem zła? – spytała Vlora głosem bez wyrazu. Wielokrotnie obrzucano ją gorszymi epitetami, ale z jakiegoś powodu ten szczególnie zabolął. Czyżby akurat ona, doświadczony żołnierz, według wszelkich rozsądnych kryteriów prawdziwa rewolucjonistka, miała być... wrogiem? Sam ten pomysł wywoływał mdłości.

– Ja nie piszę artykułów – zauważył Tampo. – Ja je tylko drukuję. Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć, jakie miejsce zajmujesz w świadomości ludu Palo.

– Więc co robię tutaj? – Vlorę podniosła głos, niejedną głową odwróciła się w ich stronę. – Skąd zaproszenie na to przyjęcie, skoro jestem tylko symbolem wszystkiego, co gospodarze uważają za zło? – Nie wypła kropli alkoholu, a jednak czuła zawroty głowy, a świat pływał jej przed oczami.

– Nie wiem – powiedział Tampo cicho. Wydawał się zadowolony z jej reakcji, co jeszcze bardziej rozżłościło Vlorę. – Być może nie wszyscy tutaj mają cię za wcielenie zła, ale co ja na ten temat wiem? W każdym razie, lady Krzemień, niezwykle miło było mi cię poznać. Życzę jak najmilej wieczoru i jeśli wolno mi ostrzec, proszę unikać Ognistej Jamy. Jama nie jest łaskawa dla obcych.

Z tymi słowy prawnik znikł w tłumie, nim Vlorę zdobyła się na odpowiednio ostrą odpowiedź, pozostawiając ją gotującą się ze złości. W tej chwili niczego nie pragnęła bardziej, niż kogoś zabić. Usłyszała w głowie cichy głos, podejrzenie podobny do głosu Olema, nakazujący jej wyjście z sali pełnej cywilów, zanim ktoś inny powie jej coś głupiego.

Vlorę udało się znaleźć wygodny zakątek, mroczny i na szczęście pusty. Nie wyczuwała obecności strażników. Uderzyła pięścią w wapienną ścianę, jęknęła ochryple, gniewnie. Przeklęty Taniel Dwa Strzały! Przed jedenastu laty zerwał ich zaręczyny, do czego miał zresztą pełne prawo, rujnując jej przy tym opinię osobistą oraz zawodową. Życie Vlorę mogło się wtedy skończyć, gdyby nie wybuch wojny kezańsko-adrańskiej. Jej umiejętności nagle zyskały poważanie, a przynajmniej niektórzy przyjaciele z powrotem stali się przyjaciółmi.

Taniel wybaczył byłej narzeczonej – a przynajmniej tak twierdził – lecz upiory przeszłości prześladowały Vlorę do dziś. Duchy podjętych złych decyzji przywiodły ją do łóżka Olema, człowieka, który nigdy jej nie osądzał, choć nie chciała wyjść za niego za mąż i urodzić mu dzieci. Była pewna, że potrafiła opanować wstręt do samej siebie, spowodowany tamtą złą decyzją, że przeszłość była bezpiecznie zamknięta na cztery spusty i ukryta w głowie tak głęboko, że tylko ona zdawała sobie ciągle sprawę z jej istnienia.

Myliła się, bo powróciła i znów wywierała wpływ na pracę Vlory, na zawód, który uprawiała.

Była zła.

Miała wielką ochotę wrócić do sali balowej, wyciągnąć Tampę na uliczkę i niech otchłań weźmie zasady Mamy Palo. Biła pięścią w szorstką wapienną skałę ściany, aż rozboleła ją ramię, a z dłoni popłynęła krew. Miała tu robotę do wykonania! Miała oczarować ludzi! Przecież nie będzie w stanie skupić się na czymkolwiek! Cóż za wielka strata.

– Lady Krzemień?

Vlora szybko przeczesła palcami włosy, przybrała spokojny wyraz twarzy, a okrwawioną dłoń schowała za plecami. Odwróciła się. Przed nią stał mężczyzna, Palo około pięćdziesiątki, zaledwie odrobinę wyższy od niej. Miał siwiejące czerwone włosy i tyle piegów, że jego skóra wydawała się mieć barwę popiołu. Elegancka ciemna marynarka tego Palo doskonale służyłaby mu wśród najwyższych sfer Adro, wraz z koszulą ze stójką. Vlora rozpoznała mężczyznę, Vallencian wspomniał o nim, gdy zeszli do sali balowej.

– Pan Meln-Dun? – spytała.

– To ja – przytaknął Palo w akcentowanym kezańskim. – Nie mówię po adrańsku. Czy kezański może być?

– Tak, oczywiście.

– Czy już się kiedyś spotkaliśmy?

– Przykro mi, ale nie. Lodowy Baron pokazał mi ciebie, panie, i powiedział parę słów.

– A mnie wskazał panią dosłownie przed chwilą. Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziłem?

Vlora ciągle czuła okruchy wapienia na dłoni śliskiej od krwi.

– Ależ nie, skądże. Mogę w czymś pomóc?

– Vallencian wspomniał, że moglibyśmy pomóc sobie wzajemnie. Zdaje się, że obawiasz się o bezpieczeństwo swoich ludzi?

Vallencian ma paskudnie wielką gębę, pomyślała Vlora.

– To prawda. – Vlora bardzo ostrożnie dobierała słowa. – Ale nie chcę, byś nabrał, panie, błędnych przekonań. Najemny Oddział

Strzelców Wyborowych jest w Landfall czynnikiem obcym. Przeniesiono nas tu nagle do pełnienia służby garnizonowej. Powiedziano mi, że Ognista Jama i mieszkający tu Palo żywią uzasadnioną niechęć do każdego, kto pracuje dla lady kanclerz. Miałam nadzieję, że uda się nam obejść jakoś te uprzedzenia. Dlatego przyjąłm zaproszenie, ale niestety, nie zrobiłam najlepszego wrażenia. – Spojrzała na zakrwawioną dłoń. Była pewna, że Meln-Dun niczego nie dostrzeże w tym mroku. – Jesteś, panie, pierwszym Palo, z którym udało mi się dziś porozmawiać.

– Nie sądzę, bym miał okazać się ostatnim.

– Doprawdy?

Meln-Dun podszedł bliżej. Spojrzał zaintrygowany na jej zranione kłykcie, więc znów ukryła rękę za plecami.

– Wszyscy byliśmy ciekawi, dlaczego dostałaś zaproszenie, lady Krzemień. Mama Palo nie informuje nas, dlaczego robi to albo tamto, ale podejrzewamy, że chce tego samego, co ty... Rozejmu.

Vlora omal nie westchnęła głośno z ulgi. Poczwała, jak rozluźniają się jej napięte mięśnie.

– Czy to możliwe? – spytała.

– Tu, na dole, twoja reputacja działa przeciwko tobie. Niektórzy nazywają cię „rzeźniczką”. Ale działa też na korzyść, ponieważ dla większości z nas jesteś, pani, osobą honorową pracującą dla niehonorowej. Vallencian powtarzał wszystkim, którzy chcieli go słuchać, że przybyłaś z misją pokojową i że chcesz pracować z nami, nie przeciw nam.

Interesująca interpretacja.

– Wolałabym tak, oczywiście.

– Czytałem w gazetach, że twoi ludzie będą prowadzić prace budowlane na zamówienie miasta. Vallencian też tak twierdzi. Czy to prawda?

– Co? A tak, owszem. To prawda. Mamy rozebrać kilka domów mieszkalnych na samej Krawędzi i odbudować je zgodnie z nowymi przepisami, przy użyciu bezpieczniejszych materiałów

i z zachowaniem standardów budowlanych. Mieszkańców dwóch z nich już przeniesiono do lokali tymczasowych.

– Przecież to cudowne – powiedział Meln-Dun ciepło. – I w tym, jak mi się zdaje, możemy wspomóc się nawzajem. Lady kanclerz prowadzi roboty publiczne w całym Landfall, tylko nie w Jamie. Moim zdaniem przeszkadza w tym napięcie między Palo i Czarnymi Kapeluszymi. Możesz, pani, posłużyć za łączący nas most. Jeśli to ci się uda, jeśli zdołasz zmienić założenia projektu tak, by twoi ludzie przybyli tutaj i rozpoczęli monumentalne dzieło oczyszczania chaotycznej zabudowy Jamy... Cóż, jestem praktycznie pewien, że dałoby się załatwić taki układ, by twoi ludzie dostali gwarancję bezpieczeństwa.

Vlora oblizwała wargi. To było to. Chciała dostępu do Jamy i właśnie go dostała. Podany na srebrnej tacy. Musiał być w tym jakiś haczyk – zawsze był jakiś haczyk – ale układ wyglądał bardzo prosto. Pragnęła skupić się na Krawędzi, gdzie żołnierze byliby w miarę bezpieczni, ale jeśli udałoby się załatwić z Czarnymi Kapeluszymi materiały na rozpoczęcie prac rozbiórkowych w którejś części Ognistej Jamy, mogłaby zdobyć konieczną wiedzę o jej mieszkańcach, spotkać się z ich przywódcami, a kto wie czy nie z samą Mamą Palo.

– To byłoby wręcz fantastyczne – powiedziała, starając się, by w jej głosie nie zabrzmiał przesadny entuzjizm. – Ale nie jestem pewna, czy zdołam przekonać Czarne Kapelusze do zmiany planów.

– Rozumiem cię, lady Krzemień – przyznał Meln-Dun. – Czarne Kapelusze z całą tą ich biurokracją są wrogami nawet dla swych sojuszników. Ale już samo podjęcie takiej próby zrobiłoby wiele, by załagodzić różnice między naszymi ludami.

Na otchłań, pomyślała Vlora, gdyby to się udało, być może nie musiałyby nawet polować na Mamę Palo. Konflikt można byłoby rozwiązać pokojową drogą, nie musiałyby zawodzić zaufania Vallenciana, nikt by nie zginął. Zapaliło się zaledwie małe światełko w tunelu, to prawda, ale warto było ku niemu biec ile sił.

– Spróbuję – obiecała.

– Dziękuję, lady Krzemień. A teraz, jeśli mi pozwolisz towarzyszyć sobie z powrotem na salę balową, przedstawię ci kilka osób niewątpliwie zdolnych uprościć drogę prowadzącą do tego celu.

Vlora wyjęła chusteczkę, oczyściła nią rękę, po czym ujęła Meln-Duna pod ramię. Już się nie bała, już się nie czuła małą głupiotką dziewczynką, którą czuła się jeszcze przed chwilą. Była lady Krzemień, była odznaczanym generałem, nie stać jej na to, by współczuć samej sobie.

Miała zadanie do wykonania.



## I9 ROZDZIAŁ

**S**tyke i człowiek-smok stali naprzeciw siebie nieprawdopodobnie długą chwilę, a świat wokół nich zdawał się zwalniać biegu, niemal zatrzymywać. Dla Styke'a było w tym momencie w Landfall zaledwie troje ludzi: człowiek-smok, Celine i on. Celine już nawet nie próbowała krzyczeć, tylko wiała się bezradnie w uścisku człowieka-smoka. On sam czuł w dłoni rękojeść noża, śliską od potu. Znalazł się w nie najlepszej sytuacji. Człowiek-smok miał nad nim przewagę, a Styke zawsze robił wszystko, co w jego mocy, by walczyć tylko wtedy, kiedy był pewny zwycięstwa. Powinien się teraz wycofać, pozwolić przeciwnikowi zniknąć i dopaść go znowu, ale kiedy indziej, w lepszej sytuacji. Pułkownik Ben Styke z pewnością właśnie tak by postąpił, choć cieszył się opinią niezwykle zuchwałego żołnierza. Ale teraz? Człowiek-smok miał Celine... I wcale nie wyglądał jak ktoś, kto zamierza tak po prostu zniknąć.

– Dlaczego mnie śledzisz?

Styke milczał, człowiek-smok zacisnął palce, Celine krzyknęła głośniej. Styke zrobił pół kroku w ich stronę, lecz tamten wzmocnił chwyt i w oczach dziewczynki pojawiły się łzy.



– Rozkazy – odpowiedział.

– Od kogo?

– Twojej matki.

– Śmieszne. Kto ci wydaje rozkazy, wielkoludzie? Kto pyta o ludzi-smoków?

– Myślisz, że ta mała mnie obchodzi?

– Oczywiście, że cię obchodzi. Poznają po twoich oczach.

– Wiesz, co się stanie, jeśli zrobisz jej krzywdę?

Człowiek-smok rzucił okiem na nóż Styke'a i prychnął, jakby tak wielką broń uważał za absurdalną. Stał naprzeciw człowieka o co najmniej półtorej stopy wyższego, ale najwyraźniej nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Niepokojące.

– Jesteś kaleką – powiedział. – Jesteś szybki. I silny. Ale tam, w barze, widziałem wszystkie twoje sztuczki. Poderżnę gardło małej, a potem zabiję cię. To nie będzie trudne.

– Tego was uczą w dynizyjskiej armii? Zabijać dzieci?

Spojrzenie człowieka-smoka stało się jeszcze zimniejsze.

– Dzieci krwawią jak wszyscy, prawda? Dlaczego miałyby się je oszczędzać? Przecież to przyszli wrogowie.

– Co Dynizyjczyk robi w Landfall? Co mieliście do roboty w Dorzeczu Tristan? Co macie przeciw Fatraście? – Styke tracił panowanie nad sobą, a to nie pomogłoby mu w walce.

Dynizyjczyk ledwie widocznie zmarszczył czoło.

– Zachowujesz się, jakbyś ty tu rządził. Czy to zwykle dla was, Kresjan? Stawiać żądania ze słabszej pozycji negocjacyjnej? Przecież to głupota! Tylko silni dostają odpowiedzi. – Jakby chcąc podkreślić wagę pozycji, zacisnął palce. Celine jęknęła.

– Ben...

Styke zignorował dziewczynkę. Nie była częścią gry. Nie mogła być częścią gry. Przeżyje lub nie, w tej chwili nie to było najistotniejsze. Musiał skupić całą swoją uwagę na zbliżającej się wielkimi krokami walce albo ją przegra. W człowieku-smoku drażniło go wszystko, od niewzruszonego spokoju poczynając, na tym, że nawet nie pocił się w upale, kończąc. Skupił się na

rozdrażnieniu, nie gniewie. Rozdrażnienie mogło dać mu przewagę w walce.

Styke wyrzucił z głowy myśli o dziewczynce. Spojrzał Dynizyjczykowi prosto w oczy.

– Lady Krzemień. Jej ludzie zabili jednego z was, tam, w Dorzeczcu Tristan. To była twarda walka, więc chcę wiedzieć, czy gdzieś tu blisko jest więcej takich wojowników.

Poczuł nagły przypływ satysfakcji, bo człowiek-smok lekko rozchylił wargi, a w jego oczach pojawił się wyraz prawdziwego zaskoczenia.

– Sebbith nie żyje?

– I owszem, Sebbith nie żyje. Umarł, kwiląc jak bezradna mała dziewczynka. Wołał mamusi jak zielony rekrut, wykrwawiał się i srał pod siebie jednocześnie.

Jego przeciwnik znieruchomiał.

– To kłamstwo!

Gdy tylko człowiek-smok stracił panowanie nad sobą, Styke błyskawicznie wymienił spojrzenia z Celine i poruszył szczęką, jakby coś gryzł. Dziewczynka natychmiast skrzyła się w uścisku i ugryzła Dynizyjczyka w nadgarstek, a jej zęby zaledwie zaczęły się zwierać, gdy Styke już biegł z nożem uniesionym nad głową.

Dwie rzeczy zdarzyły się jednocześnie. Człowiek-smok odrzucił Celine od siebie jak szmacianą lalkę, a jednocześnie odstąpił w bok, przechwytyjąc cios Styke'a z największą łatwością. W następnej chwili Styke uderzył w niego całym swym ciężarem, bez najmniejszej troski o styl walki.

Oba noże wyleciały wysoko w powietrze. Walczący upadli na ziemię, Styke poczuł dotkliwe ukłucia jak ugryzienia węża – to przeciwnik bił go otwartą dłonią poniżej żeber. Zignorował uderzenia, chwycił człowieka-smoka za gardło niesprawną ręką, a zdrową zacisnął w pięść. Ciężki pierścień lansjera trafił wprost w nos, łamiąc go i zalewając obu krwią.

Tarzali się w śmieciach, okładali pięściami, kopali. Styke zarobił dwa szybkie ciosy w głowę, od których zobaczył gwiazdy, trzeci

trafił w szczękę. Starał się unieruchomić przeciwnika, ale za każdym razem gdy już, już mogło mu się udać, przeklęty sukinsyn potrafił się uwolnić. Chwycił Styke'a nawet za rękę i ku zdumieniu olbrzyma zdołał odsunąć ją od gardła, po czym zadał dwa ciosy nisko pod ramieniem. Styke poczuł krew w ustach. Splunął nią w twarz Dynizyjczyka. Niewiele to dało, bo on nie tylko zdołał się uwolnić, ale również wstać. Styke, zbyt wolny, gramolił się dopiero na czworakach, gdy otrzymał kopnięcie w twarz. Spodziewał się kolejnego ataku, nadal klęcząc, uniósł głowę, widział, jak Dynizyjczyk, który już się do niego zbliżał, nagle odwrócił się i uciekł. Przez chwilę biegł alejką, po czym znikł w najbliższym magazynie.

Styke nie miał siły wstać. Krew z rozbitego nosa ciekła mu strumieniem na chodnik. Oprzytomniał dopiero, słysząc ludzkie głosy. Wokół niego zebrał się spory tłumek, ze dwadzieścia osób. Ktoś krzychał, że trzeba wezwać policję. Człowiek-smok najwyraźniej wolał nie rzucać się w oczy. To było coś wartego zapamiętania.

Zdołał wreszcie chwiejnie wstać.

Celine schowała się za najbliższą skrzynią. Pociągając nosem, podtrzymywała ręką urażone ramię. Styke podniósł swój nóż, zobaczył leżący obok nóż Dynizyjczyka, więc zabrał go także. Potem posadził sobie dziewczynkę na ramieniu. Zaczął przepychać się przez tłum. Ludzie im towarzyszyli, niektórzy aż do następnej przecznicy, ale w końcu stracili zainteresowanie.

Szli co bardziej uczęszczanymi ulicami. Styke po prostu ignorował przechodniów, przyglądających się jego zakrwawionemu ubraniu. Trwało to, dopóki nie upewnił się, że człowiek-smok nie zawrócił, żeby ich śledzić, a potem znalazł cichy bar u podstawy płaskowyzu. Zamówił piwo i miednicę wody. Sprawdził, co z Celine. Miała sińce na karku, a kiedy dotknął jej ramienia, nie krzyknęła.

– Złamane? – spytała.

– Nie – zapewnił ją Styke. – Możesz nim swobodnie poruszać?

Okazało się, że tak. A więc była tylko posiniaczona. Dynizyjczyk rzucił nią z dużą siłą, ale zdołała miękko wylądować. Spojrzał na jej stopy.

– Boli cię coś jeszcze? – spytał.

– Nie. Tylko szyja.

– To przejdzie.

– Wiem.

– Dobrze się spisałaś. Przepraszam, znalazłem cię za późno.

Celine pociągnęła nosem, a potem wytarła go w rękaw.

– Jestem strasznie zła, że mnie złapał. Nie powinnam na to pozwolić. Tata byłby wściekły.

– Zdarza się. – Styke odprężył się wreszcie i usiadł. Odetchnął głęboko. Kelnerka przyniosła piwo, a także miskę pełną wody. Piwo wypił duszkiem, potem umył ręce i twarz. Poczul się znacznie lepiej. Delikatnie podłożył palec pod brodę dziewczynki. Spojrzał jej wprost w oczy i patrzył tak przez długą chwilę. Cóż za dziwne dziecko! Jeden drobny ruch ostrza noża i Celine pożegnałaby się z życiem, a złościła się na siebie, że w ogóle dała się złapać. Zapewne nie zdawała sobie sprawy, że tak łatwo mogła zginąć.

Nie miał zamiaru jej tego mówić.

– Dobrze się spisałaś – powtórzył tylko. Objął ją i mocno przytulił do piersi. Ciekawe, pomyślał, że kiedy coś jej zagroziło, poczułem gniew tak straszny, że omal nie pozbawił mnie przytomności umysłu. Czy tak zawsze jest, kiedy ma się własne dziecko, krew z krwi? Wpada się w furję? Myśli tylko o tym, żeby je ochronić? Pamiętał, że czuł coś podobnego w stosunku do ludzi, którymi dowodził na wojnie, tylko teraz to było takie... intensywne.

– Nie sprawdziłam się. Zgubiliśmy go. – Celine skrzywiła się żałośnie.

Styke poklepał ją po policzku. Wyjął z kieszeni kościany nóż. Przyjrzał mu się w świetle naftowych lampek. Jeśli stare legendy nie kłamały, była to kość smoka bagiennego. Wyglądało na to, że mają ją także w Dynizie. Tak czy inaczej, nóż był niezwykle ostry.

– Och – powiedział lekko – nie powiedziałbym, że go zgubiliśmy, a w każdym razie nie na długo. Mam przeczucie, że zechce po to wrócić.



Michelowi wystarczyło jedno spojrzenie, by pojąć, że nie będzie miał z sekretarki wielkiego pożytku. Zaledwie weszła do budynku, dostała ataku hysterii, prawdopodobnie wtedy, gdy zorientowała się, że jest pod opieką Czarnych Kapeluszy. Nerwy dosłownie rozszarpywały ją na strzępy, a przecież nikt nie dotknął jej nawet paluszkami.

Siedział na biurku Tamy. Ponurym wzrokiem gapił się na pudła pełne „Grzechów Imperium”. Żałował, że nie potrafi ulżyć sobie, bijąc kogoś słabego i bezradnego. Pobicie kogoś bardzo by mu pomogło.

Wstał. Przeszedł się po pokoju. Wreszcie już zdążył sprawdzić u zarządcy: fałszywy Tampo rzeczywiście był dozorcą, ustalono także, że obaj byli podobnej budowy i mieli włosy niemal identycznego koloru. Kazał Żelaznej Róży wyciągnąć z roztrzęsionego człowieka wszystkie możliwe informacje i odesłać go do domu. Sekretarkę zatrzymali, siedziała teraz za własnym biurkiem. Próbowwała jakoś się opanować, zapewne sądziła, że to jej ostatnie chwile na wolności i że czekają ją lata obozu pracy.

Michel podszedł do niej.

– Jak masz na imię? – spytał.

– Glenna.

– Glenna i...?

– Tylko Glenna. Nie mam nazwiska.

– Dobrze. Glenno, opowiedz mi dokładnie, czym się tu zajmujesz?

Kobieta patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Drżała na całym ciele.

– Ja bardzo przepraszam, ale nie wiedziałam przecież, że jesteś, panie, Czarnym Kapeluszem. Nie chciałam... To znaczy...

– Prosiłem – przerwał jej Michel – żebyś wyjaśniła mi, czym się zajmujesz.

– Jestem sekretarką pana Tamy. Tak naprawdę nie mam wiele pracy, ale on zatrudnia mnie na sześćdziesiąt godzin tygodniowo i całkiem dobrze płaci. Pilnuję, żeby w biurze panował porządek, segreguję pocztę, przyjmuję interesantów, jeśli jacyś akurat są.

– Ma wielu klientów?

– Ach nie! Czasami pojawia się jakiś robotnik, czasami inny prawnik. Polecono mi nie pytać o nazwiska, nigdy, tylko anonsować gościa panu Tamie, jeśli jest obecny, albo przekazywać mu krótką informację, jeśli jest nieobecny.

– Skąd Tamto wiedział, od kogo jest informacja?

– Dołączałam opis. Wysoki, blondyn, pali fajkę. Takie tam. Panu Tamie to wystarczało. Powiedział mi kiedyś, że tego adresu nie pozna nikt, kto nie zna jego metod komunikacji. Dlatego byłam taka podejrzliwa, kiedy nagle zjawiłeś się, panie.

– Poczta? – Michel czuł się coraz gorzej. Ten Tamto był ostrożny. Bardzo ostrożny.

– Poczta zawsze wychodziła. Czasami do Adro albo Novi. Czasami do Brudanii, Redstone, Małego Starland. Nigdy nie widziałam samych listów, tylko w kopertach. Ja tylko nadawałam je na pocztę.

– Jak ci płaci?

– Gotówką. Co dwa tygodnie. Czasami poleca mi opłacić czynsz.

– Kiedy widziałas go po raz ostatni? Dzisiaj?

– Nie. Cztery dni temu. Pracował do późna. Powiedział, że może przyjdzie dziś wieczorem.

– Ale nie widziałas go przez cały dzień? – warknął Michel. To przesłuchanie do niczego go nie prowadziło. A przecież ten Tamto musiał gdzieś zostawić jakiś ślad. Nikt nie jest tak dokładny.

– Po twojej wizycie posłałam wiadomość zwykłą drogą. On ma skrytkę w banku w Lindshire, sprawdza ją codziennie po południu, żebym mogła powiadomić, jeśli zdarzy się coś niezwykłego. Napisałam mu, że pojawił się jakiś dziwny człowiek i że chce się z nim koniecznie zobaczyć. Odpowiedź dostałam przez kuriera,

miałam wcześniej iść do domu, a do pracy wrócić jutro późnym rankiem.

– Tampo zawsze jest taki ostrożny?

– Nigdy tak nie myślałam, ale teraz, kiedy o tym wspomniałeś, panie... tak.

– I jego zachowanie nie wydało ci się podejrzanе?

– Miałam go za ekscentryka.

– Oczywiście, oczywiście.

Pytania padały jedno za drugim jeszcze przez dobre pół godziny, a Warsim pracowicie zapisywał odpowiedzi. Frustracja Michela rosła, bo stawało się jasne, że Tampo nie popełniał błędów, jakie popełniłby każdy normalny człowiek, nie popełniał nawet błędów niezwykłych. Wszystko zaplanowane miał po prostu perfekcyjnie.

– Co z tymi pudłami? – Michel wyjął egzemplarz „Grzechów Imperium” z jednego, tego, które wcześniej kopnął i rozbił. Pomachał broszurką przed nosem sekretarki. – Nie wiesz, co to jest? Co tam powypisywano?

Glenna cofnęła się odruchowo.

– Dostarczono je za ledwie wczoraj! Nie jestem rewolucjonistką, tylko sekretarką i dobrą Fatrastanką! Gdybym wiedziała, co jest w tych pudłach, natychmiast zawiadomiłabym policję!

– Nie byłaś ciekawa?

Glenna uniosła głowę.

– Oczywiście, że byłam ciekawa – przyznała. – Ale pan Tampo zostawił mi instrukcję, że mam się nie interesować zawartością skrzyń, więc się nią nie interesowałam. Nie ryzykowałabym tak dobrej pracy, nie w obecnej sytuacji ekonomicznej.

Michel westchnął. Przyglądał się kobiecie przez długą chwilę, uderzając zwiniętą broszurką we wnętrze dłoni.

– No dobrze – zdecydował. – Możesz wracać do domu.

– Cooo...?

Machnął ręką: „a sio!”.

– Możesz wyjść. Wynoś się stąd, nim zmienię zdanie. Jeśli Tampo się z tobą skontaktuje, masz natychmiast nas o tym zawiadomić.

Glenna dosłownie wybiegła z pokoju, na twarzy wymalowaną miała wielką ulgę. Michel czekał, aż ucichną jej szybkie kroki na korytarzu, a potem skinął głową na Warsima.

– Niech ktoś za nią idzie. Obserwuje ją. Czterech ludzi, stała inwigilacja. – Warsim skinął głową, wyszedł, a Michel zwrócił się do dwóch pozostałych Żelaznych Róż. – Wyjdźcie. Muszę spokojnie pomyśleć.

Został w pokoju sam na sam z pudłami broszurek. Ścisnął palcami grzbiet nosa, wpatrywał się w podłogę i wściekał na siebie.

– Byłeś niedbały, to twoja wina – powiedział sobie.

– Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy! – zaprotestował.

– Byłeś niedbały i straciłeś szansę na Złotą Różę.

– Jestem szpiegiem, nie śledczym. W ogóle nie powinienem prowadzić tej sprawy.

– Jesteś kimś, kto zobowiązał się prowadzić ją dalej. Poniosłeś dwie porażki z rzędu. Jak się z nich wytłumaczysz Fidelisowi Jesowi?

Chodził po pokoju. Myślał: ten Tampo to nie jest jakiś tam ostrożny uczonek. Wie, jak się kryć, wie, jak uniknąć wykrycia. Ma doświadczenie kontrwywiadowcze. Być może wyniósł je z wojny. Albo z działalności w Dziewięciu. Na otchłań, wydarzenia pozwalają nawet zaryzykować twierdzenie, że jest zbuntowanym lub emerytowanym szpiegiem którejś z kamaryli Dziewięciu! To akurat doskonale do nich pasuje.

Rozległo się pukanie do drzwi. Warsim otworzył je i wsadził głowę do pokoju, nie czekając na zaproszenie.

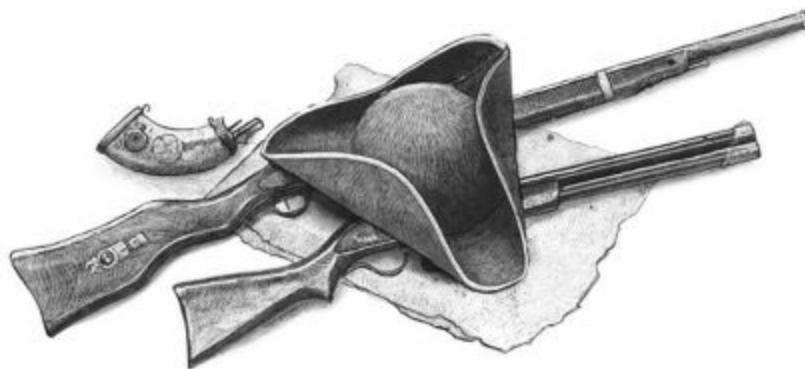
– O co chodzi? – spytał Michel niecierpliwie.

– Pomyślałem, że może zechcesz wiedzieć. Wielki mistrz tu do nas jedzie.

Michel poczuł, jak zaciska mu się żołądek.

Och, na otchłań!





## 20 ROZDZIAŁ

**N**tyke wrócił do Fort Loel tuż przed drugą w nocy. Niósł na ramieniu mocno śpiącą Celine, biodra i kolana bolały go od marszu piechotą przez pół miasta, zebra od walki z człowiekiem-smokiem, a na brzuchu i piersi, w miejscach, które ćmiły przy każdym kroku, jutro miały pojawić się piękne siniaki.

Nie zamierzał zatrzymać się w forcie. Nie czuł się jeszcze prawdziwym strzelcem wyborowym, a poza tym nędzne koszary dopiero zaczęto doprowadzać do porządku. Wynajął tani pokój przecznicę dalej. Miał zamiar paść na łóżko i spać do późnego ranka, ale uznał za wskazane najpierw zostawić wiadomość dla lady Krzemień. Z niekłamanym zdziwieniem przyjął fakt, że w budynku administracyjnym nadal pali się latarnia. Zapukał do drzwi i usłyszał natychmiastowe „wejść!”.

Przy stojącym pośrodku biura okrągłym stole siedział Olem wraz z czterema oficerami. Na stole leżały rozrzucone karty i monety. Pułkownik podniósł wzrok na Styke’a, a potem spojrział na siedzącą naprzeciw bardzo ładną kapitan w średnim wieku.

– Dobierasz – powiedział. – A tobie co się stało?

– Małe towarzyskie nieporozumienie. – Styke położył Celine na kanapie w rogu, pochylił się, dotknął nosków butów czubkami palców rąk. Kręgosłup strzelił mu donośnie w kilku miejscach, a uszkodzone kolano zdecydowanie zaprotestowało przeciw naciągnięciu mięśni, więc wyjął z kieszeni kawałek gumy rogowej i włożył ją do ust.

– Jakież kłopoty? – zainteresował się Olem.

– Nic takiego, z czym sam bym sobie nie poradził. – Styke zastanowił się przelotnie, kiedy to ostatnio grał w karty. W obozie pracy zdobycie kompletnej talii było praktycznie niemożliwe, strażnicy uważali za doskonały dowcip usuwanie tych samych trzech kart z każdej sprzedawanej w kantynie. Było to denerwujące, ale więźniowie tworzyli własne gry, do których nie potrzebowali tych brakujących.

– Słyszałem, że dziś wieczorem ktoś zdemolował U Sender – powiedział Olem. – Jakiś wielki wkurzony facet zabił trzech Palo, a czwartego tylko okaleczył. A potem ruszył w pościg za piątym. Babcia przysięga, że wyglądał dokładnie jak jakiś Ben Styke.

Styke podrapał się za uchem.

– No, coś w tym stylu. Chyba powinienem wysłać jej parę setek krana.

Olem rzucił kartę na stół.

– Tą sprawą już się zajęto – oznajmił. – A w tym mieście nikt nie przejmuje się kilkoma zabitymi Palo. Następnym razem spróbuj załatwić to... czyściej. Udało ci się może złapać dojście do człowieka-smoka?

Styke przyglądał się Olemowi uważnie przez kilka długich chwil. Nie, w tym, co usłyszał, nie było nic z wyrzutu. Czysty profesjonalizm. Bardzo mu się to podobało. A jednak pułkownik nie wkładał chyba serca w grę, jakby nie mógł się skupić, poza tym, choć wszyscy sprawiali wrażenie zmęczonych i potrzebujących rozrywki, przy grze panowała dziwna cisza. No i w ogóle dlaczego nikt nie spał o tej porze? Jasne, Olem miał swoją Zdolność, nie musiał spać, ale inni? Ich rano czekały normalne garnizonowe obowiązki.

– Udało – powiedział głośno. – Miałem zamiar zostawić wiadomość dla lady Krzemień i iść do łóżka. Już śpi, prawda?

Olem sięgnął do popielniczki, po opartego o nią papierosa, spróbował się zaciągnąć i skrzywił przeraźliwie, bo papieros zgasł.

– Lady Krzemień jest na dole. W Ognistej Jamie.

Styke, który właśnie znów się rozciągał, zamarł w pół ruchu.

– Sama? – spytał z niedowierzaniem.

– Owszem. Dostała zaproszenie na jakiś bal w czymś, co się nazywa Żółty Pałac. Nie pozwolili jej zabrać nikogo do towarzystwa, nawet straży honorowej, a to wydało się najlepszym sposobem, żeby jakoś dotrzeć do Palo.

– Pozwoliłeś jej zejść do Jamy samej?

W oczach Olema błysnął gniew.

– Na nic jej nie pozwalałem. Potrafi sama zadbać o siebie lepiej niż ktokolwiek w tym pokoju. – Jego wzrok mówił wyraźnie: „Wliczając ciebie”.

Styke nie miał zamiaru polemizować z tą opinią, ale sytuacja wcale mu się nie spodobała. On szukał mitycznych wojowników, podczas gdy powód, dla którego przebywał na wolności: lady Krzemień, zrobiła sobie wycieczkę do najniebezpieczniejszej dzielnicy Landfall. Bez żadnej ochrony. Jeśli ją teraz zabiją, Tampo może równie dobrze sprzedać Styke’a Czarnym Kapelusom.

Postarał się gestem uspokoić atmosferę.

– Dobrze, dobrze, ale... Ognista Jama?! Mam dreszcze od samej tej nazwy.

Bardzo mu się to nie podobało. Samotny człowiek w Jamie – to nie było zaproszenie do nieszczęścia, raczej śmiertelna pułapka.

– Co możemy zrobić? – spytał Olem. – Nikt z nas nie zna tej Jamy. Bez przewodnika nie znalazłaby nawet tego Żółtego Pałacu.

Styke przetarł oczy. Kiepsko się tu działo, nie pora teraz na sen.

– Ja go znajdę. – Wymierzył palec w Olema. – Ale generał Krzemień zaproszono pod warunkiem, że przybędzie sama, więc nie bierzemy armii. Idziemy sami.

Spodziewał się sprzeciwu, może dyskusji albo gniewnego komentarza o wykonywaniu rozkazów, Olem jednak rzucił karty, zebrał ze stołu pieniądze i bez słowa dopiął pas.

– Ktoś z was wie, gdzie jest Davd? Albo może Norrine?

Siedzący przy stole tylko kręcili głowami. Olem prychnął, zawiedziony i zirytowany. Styke pochylił się nad śpiącą Celine, obudził ją łagodnie.

– Mówiłaś mi, że znasz Ognistą Jamę. Potrafisz znaleźć Żółty Pałac? – Dziewczynka otworzyła oczy, od razu przytomne. – Długo mnie tu nie było – dodał Styke. – Jama się zmieniła, a ja... zardzewiałem.

– Potrafię. Znajdę – upewniła go mała.

Styke skinął głową na Olema.

– Idziemy. Znajdziemy lady Krzemień... Oby tylko nie było za późno.



Vlora spędziła kolejne godziny, rozmawiając z elitą Palo oraz jej kresjańskimi partnerami biznesowymi. Rozluźniła się wreszcie – po raz pierwszy od czasu, gdy stanęła na schodach sali balowej – śmiała się z żartów, uśmiechała do innych gości i w ogóle robiła wszystko, by zaprzeczyć swemu poważnemu przydomkowi. Ze zdziwieniem stwierdziła, że elita ta jest doskonale wykształcona, a niektórzy jej członkowie to absolwenci uniwersytetów w Dziewięciu. Pod koniec wieczoru mogłaby już przysiąc, że rozmawiała z przedstawicielami innej klasy niż członkowie zbuntowanych plemion, z którymi walczyła na bagnach.

Goście zegnali się jeden po drugim, wychodzili przez główne drzwi i wyjścia w bocznych salach, aż w końcu pozostała ich zaledwie garstka. Vlora powiedziała dobranoc Vallencianowi i Meln-Dunowi, zauważyła z zadowoleniem, że nigdzie w pobliżu nie było Tamy, wyszła i znalazła Devin-Tallisa śpiącego w rykszy. Przez dziurawe konstrukcje nad jej głową ciekła woda, słyszała stuk kropel na dachach gdzieś wysoko.

Obudziła rykszarza. Ruszyli przed siebie wąską uliczką.

– Uroczystość odpowiadała twoim standardom, pani?

Vlora poprawiła się na siedzeniu. Czuła się komfortowo, bardzo przyjemnie, choć w głowie kręciło się jej od być może zbyt wielu drinków. Opuściła gardę, lecz teraz cieszyło ją, że sobie na to pozwoliła.

– Mam wrażenie, że zdobyłam dziś paru przyjaciół – odparła.

– Doskonale, lady Krzemień. Ach, dowiedziałem się czegoś dla ciebie, pani. Wiem, co to znaczy „Ka”.

– Ach! Co?

– Ten, który ochrania. Słowo pochodzi z dynizyjskiego, dotyczy tylko Kościanych Oczu z rodziny królewskiej. Żadne plemię go nie używa.

Vlora lekko przechyliła głowę.

– Dynizyjczyków nie ma wśród nas już od bardzo dawna, jak więc ktoś mógł to wiedzieć?

– Nasze języki są podobne. A w ogóle, pytałem starców. My, Palo, posiadamy tak mało dóbr, że w spadku przekazujemy sobie wiedzę.

– Wygląda na to, że to się wam oplaca.

– To prawda, lady Krzemień. – Devin-Tallis uśmiechnął się do niej przez ramię. – W Ognistej Jamie jest nie tylko strach, jest także wiedza i przyjaźń. Sądzę, pani... – Głos rykszarza cichł, a ryksza nagle zwolniła.

– Czy coś się... – Vlora wychyliła się w siedzeniu. Przyjemny zawrót głowy znikł tak szybko, jak znika poranna mgła.

Devin-Tallis obejrzał się w jedną stronę, w drugą, a potem spojrzał na nią. Otworzył usta, ale nic nie powiedział, tylko cicho jęknął. Nie od razu zobaczyła krew płynącą mu spomiędzy warg.

Vlora wyskoczyła z rykszy. Spróbowała podtrzymać Palo, nie dopuścić, by zwałił się na ziemię. Jedną ręką złożyła jego bezwładne ciało w pojeździe, drugą podniosła do ust ładunek prochowy. Proch zapłonął w żyłach Vlory, noc przed jej oczami stała się jasna jak dzień.

Zobaczyła dwie rzeczy niemal jednocześnie.

Po pierwsze, z szyi Devin-Tallisa sterczała długa, cienka strzałka. Po drugie, nie byli sami. Przy ścianach korytarza, którym się posuwali, roilo się od cieni. Co najmniej kilkunastu Palo, kobiet i mężczyzn, czekało na nich z pałkami, nożami i mieczami. Wydawali się pewni swej niewidzialności. Byli gotowi do ataku, a jeden z nich właśnie przybliżał do ust dmuchawkę. Nie zdążył. Vlora uniosła pistolet i wpakowała mu kulę między szeroko otwarte, zdumione oczy.

Huk strzału i błysk ognia miały ten skutek, że wszyscy napastnicy zamarli w pół ruchu. Vlora zerknęła na Devin-Tallisa. Dostrzegła, że jeszcze żyje, ale były to jego ostatnie chwile. Czuła smak prochu na języku, roztała ziarenka na podniebieniu, z rozkoszą przyjęła moc, którą jej dawał.

– Popelniliście straszny błąd – powiedziała, wyjmując miecz.

Jej słowa zadziały jak sygnał, skamieniałe chwilę wcześniej postaci ogarnęła gorączkowa ruchliwość. Palo wręcz wylali się spod ścian, wymachując bronią i wznosząc wojenne okrzyki. Pierwszemu pozwoliła dosłownie wbiec na ostrze, po czym z siłą maga prochowego rozpruła mu brzuch. Krew trysnęła w oczy drugiemu napastnikowi, który znajdował się najbliżej. Zginął, gdy zatrzymał się na moment, by wytrzeć z niej twarz. Przerzuciła pistolet do lewej ręki, zignorowała ból, jakim gorąca lufa uraziła jej już ranną dłoń, kolbą zdzieliła trzeciego Palo w skroń. Jednocześnie mieczem, trzymanym w prawej ręce, przecięła gardło czwartemu.

Unieszkodliwiła tych czterech, zanim zdążyli ją dopaść. Skoczyła na bok, poruszała się niezbyt pewnie w pokrywającej ziemię wszechobecnej mazi. Sparowała wymierzone w twarz cięcie. Odparła dwa kolejne ataki, pchnęła nisko, przebiła żołądek mężczyzny, który ją zaatakował, pchnęła mocniej, sięgając także stojącej za nim kobiety.

Nawet bez pomocy transu prochowego Vlora zaliczała się do najlepszych szermierzy w każdym towarzystwie, o czym sama wiedziała doskonale. Natychmiast stało się dla niej jasne, że napastnicy, choć nie aż tak głupi, by mieć przy sobie proch, nie

przygotowali się w żaden sposób do walki z magiem prochowym. Całe życie była żołnierzem, całe życie ćwiczyła szermierkę. Biła się na zimno, z profesjonalną precyzją, każdy ruch ostrza miał zabić lub przynajmniej zranić dotkliwie wroga, a jej siłę wzmacniał jeszcze gniew na myśl o tym, że za jej plecami w rykszy umiera niewinny człowiek, ojciec rodziny, który nic nikomu nie zawinił.

Vlorze udało się wyeliminować jeszcze dwóch przeciwników, a potem dobrze zgrany wspólny manewr czterech następnych zdołał ją zatrzymać. Postawili w wąskim przejściu, wprost na jej drodze, prawdziwy mur mieczy. Musiała się cofnąć, bo gdyby nadal parła przed siebie, nadziałyby się na ich ostrza. Wycofywała się więc powoli, krok po kroku, sprawdzając przy tym, czy nikt nie próbuje podejść od tyłu. Usiłowała zyskać na czasie, czekała, aż popełnią jakiś błąd. Dostrzegła także, że piąty czołga się po dmuchawkę, którą jeden z nich upuścił w starciu, i przeklęła siebie za wzięcie tylko jednego pistoletu. Poczowała przypływ paniki. Wiedziała, że musi albo przedrzeć się przez wrogów, wybić ich, albo przed nimi uciec. Tylko że zawsze istniała przecież możliwość, że kiedy rozprawi się z tymi, pojawią się następni.

Usłyszała odgłos kroków po mazi. Zaklęła. A jednak udało się im zająć ją od tyłu. Wtuliła się plecami w ścianę, z pistoletem w jednej, a mieczem w drugiej ręce. Próbowwała patrzeć w dwóch kierunkach naraz.

Za Palo, któremu udało się podnieść dmuchawkę, pojawił się jakiś cień. Urósł tak błyskawicznie, że Vlorze nie miała pewności, czy oczy płatają jej figła, ale wygięty sztych, wychodzący z piersi ofiary, przekonał ją, że nie cierpi na przywidzenia. Palo kaszlnął, krzyknął, po czym nagle uniósł się w powietrze, przeleciał kawałek i uderzył ciałem w resztę towarzyszy.

Cień nabral kształtu Bena Styke'a w jego starej żółtej kurcie kawaleryjskiej. Bena o potwornej w świetle latarni, groźnej twarzy. Znów dobiegł Vlorę dźwięk kroków, tym razem głośniejszych, to Olem wybiegł z za rogu, trzymając pistolet w uniesionej dłoni. Kula w pierś położyła kolejnego napastnika. To wystarczyło Vlorze:

ruszyła do ataku i ostatni trzech Palo padli, nim zdążyła odetchnąć trzy razy.

Zatrzymała się, dysząc ciężko, z mocno, szybko bijącym sercem, lecz były to bardziej skutki odpływającego po walce napięcia niż zwykłego zmęczenia. Skinęła głową Styke'owi, lekko dotknęła ramienia Olema i natychmiast cofnęła rękę. Podeszła do rykszy. Devin-Tallis nie żył. Wyrwała mu strzałkę z szyi, złamała ją w palcach, odrzuciła na bok.

– Zatruta – powiedziała, nie kryjąc pogardy.

– O, na otchłań! – Styke przesunął wzrokiem po trupach zaścielających alejkę. – Nie przesadziłaś, twierdząc, że potrafisz o siebie zadbać.

Olem podszedł, objął Vlorę w pasie, przyciągnął lekko do siebie. Lady Krzemień oparła się chęci złożenia mu głowy na ramieniu. Pułkownik poczuł, jak drży.

– Wszystko w porządku? – spytał ją cicho.

– Nic mi nie jest.

Styke podszedł i przyjrzał się generałowi dokładnie.

– Żaden z nich nawet cię nie drasnął. Przypomnij mi o tym, gdybym kiedyś chciał wejść ci w drogę.

– Gdyby zaatakowali najpierw mnie, a potem rykszarza, już bym nie żyła – syknęła Vlora przez zaciśnięte zęby.

– Rozumiem, że bal nieprzesadnie się udał – zauważył Olem.

– Wręcz przeciwnie, udał się doskonale. Było fantastycznie. Lepiej, niż mogłam przypuszczać. Nie mam pojęcia, co spowodowało ten atak. – Prychnęła gniewnie i kopnęła najbliższego trupa.

Styke pochylił się, wytarł ostrze noża. Skinął na kogoś niewidocznego w mroku, a wówczas z cienia wyszła Celine. Szeroko otwartymi oczami przyglądała się martwym Palo.

– Tak się dzieje – wyjaśnił jej łagodnie Styke – kiedy chłopcy chcą się zabawić z kobietą pokroju naszej lady Krzemień. – Wyprostował się. – Już nas tu nie ma – powiedział. – Jeśli tych tutaj przysłał ktoś z odrobiną oleju we łbie, to pewnie ma drugą grupę przyczajoną



gdzieś na trasie, na wypadek gdyby pierwsza zawiodła i twój rykszarz spróbował ucieczki.

Vlora dotknęła czoła Devin-Tallisa. Skinęła głową. W myśli powiedziała sobie, że ktoś, kto wydał rozkaz ataku, nie pożyje długo. Już ona tego dopilnuje.



## 2I ROZDZIAŁ

**M**ichel czekał na Fidelisa Jesa przed budynkiem. Żelazne Róże Bravisa trzymały się w pełnej szacunku odległości, nie szukało się kontaktu ze Srebrną Różą w fatalnym humorze. Warsim znikł, miał inne sprawy do załatwienia. Stojąc z zamkniętymi oczami, Michel próbował znaleźć jakiś, jakikolwiek, sposób na wytłumaczenie Fidelisowi Jesowi, że dochodzenie nie zakończyło się absolutną klęską. Miał wyjątkową okazję do złapania Tamy na gorącym uczynku i ją zmarnował. Jasne, zrobił wszystko, co konieczne, całą podstawową robotę. Powinno mu się udać.

Tylko że Fidelis Jes nie będzie tego widział w ten sposób.

Czy popełnił błąd? Czy gdzieś się pomylił? Czy zrobił wszystko, co możliwe? Czy może po prostu nie nadawał się do tej roboty? Tampo z całą pewnością był zawodowcem. Ale czy Michel nim był?

– Jestem szpiegiem – mruknął do siebie – a nie jakimś przeklętym śledczym. Nigdy nie będę dobrym śledczym.

– Ale potrafisz wejść komuś do głowy – zaprotestował przeciw własnemu twierdzeniu. – Potrafisz przewidzieć, co ludzie będą myśleli, kiedy i dlaczego. Czyli posiadasz umiejętności śledczego,

przynajmniej te podstawowe, prawda? – Odchrząknął, był zły na siebie, sfrustrowany.

– Ale nie jestem śledczym. Wiem, co ludzie pomyślą sobie o mnie, kiedy i dlaczego. Nie wypadam z roli, tylko to się liczy. Ale nie w tej sprawie. A właściwie... Co to za sprawa? Muszę wiedzieć, kiedy i dlaczego w związku z tym, co robią. Nie w związku z tym, co ja robię.

Przeczesał włosy dłonią, a potem postukał się palcem w skroń. Być może właśnie znalazł klucz. Tak bardzo skupił się na schwytaniu człowieka, że w ogóle nie myślał o jego motywach. Dlaczego Tampo postępował właśnie tak? Wydawał się doskonale zorganizowany, jak na rewolucjonistę. Rewolucjoniści są przecież natchnieni, entuzjastyczni, za to nie umieją krytycznie myśleć. W tym wypadku było wręcz odwrotnie.

A więc... Czy to możliwe, że Tampo nie jest rewolucjonistą? Że co innego motywuje go do destabilizacji kraju? Michel nadal miał w kieszeni „Grzechy Imperium”. Zastanawiał się teraz, czy ta broszura nie jest przypadkiem dobrze skalkulowanym sposobem na wzbudzenie buntu, a nie, jak zakładał, dziełem czystych emocji. Wydało mu się to ciekawym pomysłem. Spojrzeniem na sprawę pod zupełnie innym kątem.

Stukot końskich kopyt po bruku przywołał go do rzeczywistości. Michel znieruchomiał. Patrzył, jak tuż przed nim zatrzymuje się powóz ze znakiem białej róży na czarnych zasłonach. Drzwi się otworzyły, Fidelis Jes zeskoczył na ulicę, zaledwie dorożka zwolniła. Humor z całą pewnością mu nie dopisywał, bo zaciskał zęby, oczy miał nieruchome, a kołnierzyk nienagannie wyprasowanej koszuli rozpięty. Michel wiedział, że Jes żyje według ścisłego, ustalonego rozkładu. Musiał się zastanowić, choćby przelotnie, czy ta sprawa rzeczywiście była taka ważna, by oderwać wielkiego mistrza od tego, co zwykle robił tak późno.

Fidelis Jes stanął przed Michelelem. Rozejrzał się, jakby szukał sprawcy.

No cóż, nie było sensu odwlekać nieuniknionego.

– Wymknął się nam, panie.

– Wyjaśnij.

To jedno słowo sprawiło, że Michelowi zimny pot pociekł wzdłuż kręgosłupa.

– Jest zawodowcem, panie. Doskonale zna zasady pracy kontrwywiadowczej. Zabezpieczył się perfekcyjnie, nie byliśmy w stanie go namierzyć i złapać, a dzisiejszą akcją odkryliśmy nasze karty. Obawiam się, że zejdzie jeszcze głębiej do podziemia.

Fidelis Jes otworzył usta, chciał coś powiedzieć, ale Michel nie dał mu dojść do głosu. Nagle zrobił się bardzo pewny siebie.

– Panie, moim zdaniem podeszliśmy do tej sprawy od niewłaściwej strony. To, co się stało, rzuciło na nią nowe światło. W moim przekonaniu nie walczymy z rewolucjonistami, lecz z kimś, kto spokojnie i planowo usiłuje obalić rząd. Instynkt podpowiada mi przede wszystkim, że ktoś przeciw nam gra. Gra przeciw naszej gospodarce. Proszę o pozwolenie przeprowadzenia dokładnego śledztwa wśród zamożnych cudzoziemców celem znalezienia tych, którzy swoją aktywnością gospodarczą podkopują nasze rynki. Nie powinno mi to zająć więcej niż kilka tygodni, a wystarczy, że zobaczę Tampę gdzieś, gdzie załatwia się wielkie interesy... Wówczas łatwo będzie namierzyć go i złapać w odpowiedniej chwili.

Mogło się wydawać, że Fidelis Jes wpatruje się w Michela w milczeniu przez kilka długich chwil, ale wzrok miał mętny, jakby gdzieś błędził myślami. Nagle energicznie skinął głową.

– Ciekawe, agencie Bravis. Naprawdę ciekawe. Oczekuję, że podejmiesz to swoje śledztwo bez zwłoki.

Michel miał wrażenie, jakby przez jego ciało powiał odświeżający wiatr. Mięśnie, które napiął, nawet nie zdając sobie sprawy, rozluźniły się. I to wszystko? Nikt nie groził mu śmiercią? Nikt się nie wściekał? Kiwnięcie głową: „do roboty!”?

Wielki mistrz gestem przywołał do siebie Żelazne Róże. Było ich ośmiu, może dziewięciu, ale zwrócił się do nich, jakby przemawiał do oddziału wojska. Ręce założył za plecy, wypiął pierś. Miecz kołysał mu się przy pasie.

– Macie natychmiast zgłosić się do Kapelusznictwa. Każda Róża przez tydzień pełni służbę w podwójnym wymiarze godzin.

Nikt nie jęknął głośno, choć chyba wszyscy zrobili to w duchu. Ale niektórzy wyrazili niezadowolenie, przestępując z nogi na nogę.

– W jednym z miejscowych obozów pracy doszło do ucieczki – mówił dalej Jes. – Zbiegiem jest niebezpieczny zbrodniarz wojenny nazwiskiem Benjamin Styke. Wszystkie Żelazne i Brązowe Róże pozostają w gotowości aż do momentu jego schwytania. Na miejscu, w Kapelusznictwie, dostaniecie rysopis oraz kompletną listę osób, z którymi może zechcieć się skontaktować. Znajdziecie go i schwytacie. Ma pozostać przy życiu. Rozejść się.

Żelazne Róże rozbiegły się posłusznie i Michel znów został sam na sam z wielkim mistrzem. Stali w milczeniu przez kilka minut. Jes rozglądał się, penetrował wzrokiem ulicę, popatrywał na dachy, jakby próbował oceniać, skąd też mógł zaatakować groźny wróg.

Nazwisko „Styke” nie było Michelowi obce. Och, na otchłań, nie było obce nikomu! Pułkownik Styke jednym krokiem przestąpił próg statusu „bohatera wojennego” i stał się czymś znacznie większym, bohaterem ludowym.

– Panie... – odważył się przerwać milczenie – przecież Ben Styke...

– Ben Styke żyje. Zapomnij wszystko, co o nim słyszałaś. – Fidelis Jes nie przestawał uważnie przyglądać się budynkom. – Benjamin Styke jest szalonym mordercą, gotowym zabić każdego bez powodu, a w dodatku nienawidzącym lady kanclerz. Mam powody obawiać się o bezpieczeństwo jej osoby.

– Przecież to tylko jeden człowiek.

Jes odwrócił się błyskawicznie, zmuszając Michela do zrobienia kroku wstecz.

– Styke to jednoosobowa armia. Nie wolno go nie doceniać. Jest dziś starszy, niż był, i kaleki, ale z pewnością nie pójdzie z nim gładko. – Fidelis Jes odetchnął głęboko, by odzyskać spokój. – Ma zagwarantowaną lojalność mieszkających w mieście weteranów. Tylko tego brakuje, żeby zaczął sprawiać kłopoty.

– Tak jest, panie. A więc... nadal prowadzę to śledztwo?

– Oczywiście. Dlaczego nie miałbyś go prowadzić?

– No cóż... Ten Styke wydaje się istotny...

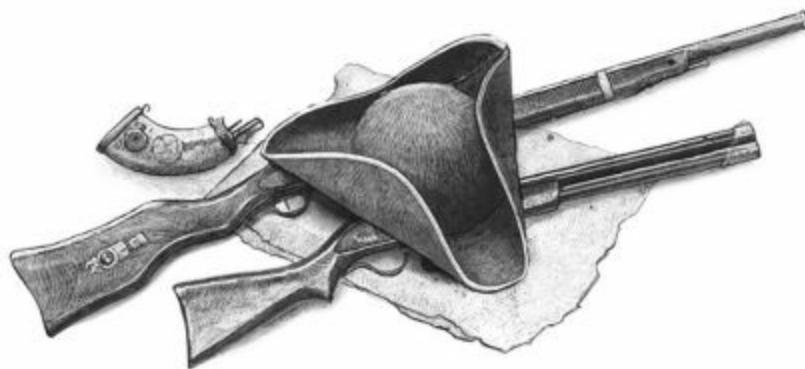
– Och, będziesz rozglądał się i za nim. – Wielki mistrz uśmiechnął się złośliwie. – Tampo zdołał ci się wyślizgnąć, czym szalenie utrudnił ci życie, agencie Bravis. Przesłuchałem zdrajców spośród załogi obozu pracy. Tych, którzy dali się przekupić, czym umożliwili ucieczkę Styke'owi. Okazało się, że zapłacił im nikt inny jak pan Tampo, adwokat. Ich opisy tej osoby okazały się zdumiewająco zgodne z opisem twojego podejrzanego.

Wielka ulga, którą przyniosła Michelowi świadomość, że nie wzbudził nieopanowanego gniewu wielkiego mistrza, znikła w jednej chwili, jakby nigdy jej nie odczuł. Michel zgarbił się i jakby zapadł w sobie. Nie tylko nie udało mu się złapać Tamy, ale musiał też przyjąć do wiadomości, że staje do walki z niebezpiecznym zbrodniarzem wojennym. A przecież nigdy nie był śledczym i z całą pewnością nie był wojownikiem. Jeśli udałoby mu się dopaść Tamę w towarzystwie Styke'a, to po nim. Nie miał zamiaru się oszukiwać i, sądząc z wyrazu oczu Jesa, wielki mistrz też doskonale wiedział, jak stoją sprawy.

Perspektywa gwałtownej śmierci o wysokim prawdopodobieństwie była karą za to, że zawiódł.

– Dokonałeś wielkich postępów w bardzo krótkim czasie, agencie Bravis – powiedział Fidelis Jes niemal łagodnie. – Spodziewam się, że szybko zakończysz tę sprawę. Daj mi Tamę, a ja dam ci Złotą Różę. Daj mi Styke'a, a będę twoim dłużnikiem.

Michel odprowadził wzrokiem wielkiego mistrza, patrzył za odjeżdżającym powozem. Prawdopodobieństwo sukcesu znacząco zmalało, ale nagroda... Miał wrażenie, że bardzo niewielu ludzi cieszyło się wdzięcznością Fidelisa Jesa. Ale jeśli ma złapać Styke'a, zanim złapie go ktoś inny, musi się pospieszyć.



## 22 ROZDZIAŁ

Celine wyprowadziła z Jamy Styke'a wraz z ich małą grupką. W Fort Loel panowała błoga cisza, spali wszyscy oprócz niewielu wartowników z oddziału Strzelców Wyborowych. Styke poszedł za lady Krzemień aż do starego baraku administracyjnego, w którym urządziła sobie punkt dowodzenia. Stał na progu, nie bardzo wiedząc, co ma robić dalej. Vlora tymczasem wyjęła notes, napisała w nim kilka słów, wyrwała kartkę i wręczyła ją Olemowi.

– Wyślij wiadomość do Vallenciana. Niech dowie się jak najszybciej, że zostałam zaatakowana i że mój przewodnik zginął.

Olem skinął głową, wziął kartkę i wyszedł, mijając Styke'a bez jednego słowa. Ben położył dłoń na ramieniu Celine.

– Lady Krzemień – powiedział – cieszę się, że udało ci się wydostać z Jamy. Lepiej już pójdę.

– Zostań. – Vlora wyciągnęła butelkę wina spod stołu pośrodku pokoju, podważyła korek nożem. – Coś mi się wydaje, że zasłużyłeś na szklaneczkę.

Styke się zawahał. Nie bardzo potrafił zorientować się w sytuacji, a było to dla niego nowe doświadczenie. Miał za zadanie chronić Krzemień, dopóki nie dostanie rozkazu od Tamy, a teraz wcale nie

był pewien, czy potrafiłby ją zabić. Stawiła czoła kilkunastu napastnikom i wyszła z walki bez jednego zadrapania. Jaką on, kaleka, miał szansę ją pokonać?

Przekroczę ten most, kiedy do niego dotrę, postanowił. Teraz jego zadaniem było znaleźć się obok pani generał i pozostać blisko. Przyciągnął krzesło, usiadł przy stole, posadził sobie Celine na kolanach. Vlora nalala mu wina. Pili w milczeniu aż do powrotu Olema. Pułkownik wszedł, skinął im głową, dosiadł się do nich, wziął szklanekę wina, uniósł w toaście ku nim obojgu.

– Nerwy mam w strzępach – oznajmiła lady Krzemień, zwracając się do swego zastępcy.

– Zasadzka? – spytał Olem łagodnym głosem.

Vlora dopiła wino ze szklaneczki. Wyjęła spod stołu drugą butelkę.

– Zasadzka, trans prochowy, wzięłam jeden cały ładunek na raz, potem walka. Nie przeżyłam czegoś tak groźnego od czasu wojny domowej w Kezie. – Wpatrywała się w podłogę, mówiła cicho, powoli, po raz pierwszy sprawiała wrażenie bezbronnej. Trwało to tylko chwilę, bo kiedy spojrzała na Styke’a, wzrok miała twardy jak stal.

– Wyglądało na to, że doskonale sobie radzisz – powiedział Styke.

Nie umiał pozbyć się z pamięci widoku martwych ciał. Zabijał, nie raz i nie dwa, ale nawet w czasie wojny rzadko zdarzało mu się oglądać coś takiego. Na otchłań, lady Krzemień wręcz mu zaimponowała! Przypomniawszy sobie Taniela Dwa Strzały, walczącego na bagnach, rozwalającego kezańskich Uprzywilejowanych jak butelki ustawione na murku.

– Ach, magowie prochowi! – Zabrzmiało to jak ciche przekleństwo.

Generał Krzemień dolala mu wina do szklanki.

– Magowie prochowi nie są niezwyciężeni – powiedziała. Twarz miała poważną, czoło zmarszczone. Styke zauważył, że trzęsą się jej ręce. Przypomniawszy sobie, że ta kobieta ma zaledwie trzydzieści lat. Żołnierze w tym wieku byli dla niego wciąż dziećmi. Nawet on



sam był w tym wieku dzieciakiem. – Można nas zabić z ukrycia albo z zaskoczenia, ulegniemy przewadze liczebnej. Gdybyście się nie pojawili, ty i Olem, już bym nie żyła. Zaatakowali z ukrycia, mieli przewagę zaskoczenia.

– Dopisało nam szczęście – powiedział Olem. – Usłyszeliśmy strzał, a byliśmy blisko, przy sąsiedniej uliczce.

– Chociaż ja bym raczej oczekiwał, że wobec tylu przeciwników spróbujesz, pani, ucieczki – dodał Styke.

Mars na czole Vlory jeszcze się pogłębił.

– Zabili go. Zabili mojego przewodnika. To był dobry człowiek, wesoły, mądry, interesujący. Kiedy zdarzy się coś takiego, górę bierze instynkt. Z trudem zachowałam samokontrolę. Mgnienie oka i na ziemi leżały te wszystkie trupy. Ciebie nazywają Szalonym Benem Stykiem. – Spojrzała mu wprost w oczy. – Czy z tobą kiedyś tak było? Też czułeś ten gniew?

Styke spojrział w głąb swojej szklaneczki. No tak, na otchłań, już zaczęło się żołnierskie gadanie! Będzie potrzebował dużo wina. Dał szklaneczkę Celine.

– Jeden mały łyk – powiedział, dopił resztę, przysunął szklanekę do butelki. Olem napełnił ją bez pytania.

Ben wypił, odchrząknął.

– Mówią, że niektórzy na polu bitwy wpadają w szał. Oczy im się szklą, czas wydaje się zwalniać, zabijają wszystkich w zasięgu wzroku. Słyszałem ludzi twierdzących, że marszałek polny Tamas – w tym miejscu skłonił się lady Krzemień – miał ten dar i że tylko wyszkolenie powstrzymywało go i sprawiało, że nie wpadał w prawdziwy szał. – Obrócił kciukiem pierścień lansjera na palcu, poprawił się w krześle. Usłyszał, jak zatrzeszczało pod jego ciężarem. – Nazywali mnie Szalonym Pułkownikiem Stykiem, bo myśleli, że w walce dostaję obłądu. Bo prowadziłem szaleńcze szarże przeciw znacznie silniejszemu wrogowi. Nigdy nie widziałem przed oczami czerwonej mgły. Jasne, bywa, że tracę głowę jak wszyscy, ale kiedy zabijam, to z rozmysłem. Nigdy nie podejmuję... – Przerwał,

zastanowił się i poprawił: – Bardzo rzadko podejmuję walkę, nie mając pewności, że zwyciężę.

– Te szarże... dwie szarże podczas bitwy o Landfall... Naprawdę byłeś pewny zwycięstwa?

Przed oczami Styke'a pojawiły się dawno niewidziane obrazy. Poczł żar bijący od płonących budynków, czuł smród potu i bitwy, słyszał nieprzerwany ryk artylerii.

– Wiem, że powiedziane głośno zabrzmiało to arogancko, ale tak. Wiedziałem, że zwyciężę. Moim lansjerom nikt nie mógł się oprzeć. Mieliśmy zaczarowane zbroje, relikty, które dni swej świetności osiągnęły przed czterystu laty, odporne na kule i magię jak parasol odporny jest na deszcz.

– I co się stało z tymi zbrojami? – spytał Olem.

Styke słyszał swój głos, odbijający się echem wewnątrz hełmu, czuł uspokajający, dodający odwagi ciężar magicznego pancerza na barkach. Zacisnął, a potem rozprostował palce, mógłby przysiąc, że w dłoni trzyma lancę, czuł pierścień opierający się o twarde drewno.

– Lindet skonfiskowała je po wojnie. Co dalej, nie wiem.

– Szkoda. – To wszystko, co Olem miał do powiedzenia.

Lady Krzemień siedziała na krześle niedbale, a szklanekę trzymała obiema rękami. Styke słyszał, że upić maga prochowego to sztuka. Wypiła całą butelkę, a wzrok miała niemal tak czujny jak zawsze.

– Chcę się czegoś dowiedzieć – oznajmiła.

– Tak?

– Taniel Dwa Strzały. Czy rzeczywiście był tu takim bohaterem? – Nie czekała na odpowiedź, mówiła dalej szybko. – Chodzi mi o to, że słyszałam niektóre historie, a jego imię często wymienia się w związku z tą wojną. Ale wtedy, gdy to wszystko się działo, naprawdę był takim bohaterem wojennym, jak w opowieściach?

Styke starał się uczciwie przywołać wspomnienia związane z Tanielem. Wszystkie. A minęło przecież bardzo wiele lat.

– Ludzie go lubili – powiedział z namysłem. – To było bardzo romantyczne, młody mag prochowy mszczący się na kezańskiej

kamaryli za śmierć matki w niemal dwadzieścia lat po fakcie. O to chodziło, i o to, że dawał z siebie wszystko w walce o niezależność Fatrasty. Gazety kochały o nim pisać.

– Palo go lubili? Słyszałam plotki, że tak, ale nikogo jeszcze o to nie pytałam.

– Chyba tak. Jak mówiłem, spotkałem go tylko raz. Walczyliśmy razem w bitwie o Planth, uratował mi wtedy życie, wsadził Stróżowi dwie kulki w łeb. – Próbował przypomnieć sobie pewien artykuł, który czytał w gazecie już po uwięzieniu w obozie pracy. – Tak – powiedział znacznie pewniej. – Palo bardzo go polubili. Pewna Palo została jego przewodniczką. Zabrał ją ze sobą do Adro i... – Przerwał, bo przypomniał sobie także, z kim rozmawia. Odchrząknął. – Mówiło się, że wziął z nią ślub. Tuż przed śmiercią w wojnie Adro z Kezem.

Vlora zachowała się doskonale obojętnie.

– Nigdy nie wzięli ślubu – powiedziała tylko.

– Aha. – Styke nie zamierzał kontynuować tematu.

– I ona nie była Palo. – Vlora odwróciła od Bena spojrzenie. – Tylko Dynizyjka. Nazywała się Ka-poel, była czarodziejką Kościane Oko i miała tyle mocy... nooo... w każdym razie była bardzo potężna.

Styke pamiętał dziewczynę. Gdyby ktoś go spytał, musiałby przyznać uczciwie, że pamiętał ją lepiej niż Taniela Dwa Strzały. Czuł bijącą od niej przekłętą woń magii i ciągle widział to spojrzenie, w którym kpiący humor szedł w parze z niezachwianą pewnością siebie. Młodzi Palo nie patrzyli na świat w ten sposób.

– Dynizyjka? – powtórzył. – Nie wiedziałem, że oni byli tam, na bagnach.

– Uciekinierka czy coś – wyjaśniła lady Krzemień. – Palo zaadoptowali ją, gdy była małym dzieckiem. Taniel opowiadał o niej w swoich listach, a potem nawet ją spotkałam, kiedy oboje opuścili Fatrastę i gdy sprawy między nami... uległy zakończeniu. Nienawidziłam jej. Myślałam, że odebrała mi Taniela. Dopiero później zrozumiałam, że kiedy wrócił, nadal był mój i dopiero po tym, co zrobiłam, wzięła go dla siebie.

Styke zerknął na Olema, milczącego podczas całej tej rozmowy. Ci dwoje byli kochankami od dawna, to się po prostu czuło, a niełatwo chyba żyć w cieniu kogoś takiego jak Taniel Dwa Strzały. Ale pułkownik tylko uśmiechnął się do Styke'a krótko i kpiąco, a potem skręcił sobie papierosa jak gdyby nigdy nic.

– Za chwilę się upijesz – powiedział cicho do lady Krzemień.

– Oczywiście. A to mi się nieczęsto zdarza. Dziwnie dobrze się czuję, rozmawiając na ten temat. – Skupiła wzrok na Styke'u. – Lubię cię. Nie mam pojęcia dlaczego, ale lubię.

– Bo oboje jesteśmy zabójcami – powiedział Styke, nim zdołał się opamiętać. Wstrzymał oddech, jednak lady Krzemień tylko uśmiechnęła się do niego smutno.

– Za zabójców. – Uniosła szklaneczkę z winem.

Stuknęli się, Styke wyczuł, że najwyższy czas opuścić towarzystwo. Dopiero wstając, uświadomił sobie, że Celine mocno śpi. Przerzucił ją sobie przez ramię.

– Widziałem człowiek-smoka – oznajmił. – Dziś wieczorem.

Nieruchoma twarz lady Krzemień jakby się nieco ożywiła.

– Naprawdę?

– Nie jest Palo. Jest Dynizyjczykiem.

Lady Krzemień wytrzeźwiała, przynajmniej częściowo.

– Co, na otchłań, dynizyjcki człowiek-smok ma do roboty w Landfall? – spytała bardziej siebie niż Styke'a.

– Wiedział coś o tym drugim. Tym, którego zabiliście. Powiedział jego imię. Sebbith czy jakoś tak. Skoro się znali, to zakładam, że obaj są Dynizyjczykami. Ale to nie wyjaśnia, co mają do roboty w Landfall.

– Dowiedz się.

Styke westchnął. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu stwierdził, że nie tylko lubi generał Krzemień, lecz więcej, szanuje ją, z każdą chwilą bardziej. Jeśli będzie musiał ją zabić, stanie przed nie lada wyzwaniem. Niejednym wyzwaniem. Ale na razie byli po tej samej stronie.

– Wyciągnę go z ukrycia – obiecał.



Vlora odprowadziła wzrokiem Styke'a i niesione przez niego dziecko. Przez okno widziała, jak przechodził przez plac apelowy. Znow uderzył ją kontrast między mężczyzną tak troskliwie opiekującym się nie swoim dzieckiem i bezlitosnym zabójcą, jakim był w Jamie.

– Widziałeś, jak walczy? – spytała Olema.

– Nie widziałem – przyznał Olem. – Byłem zbyt zajęty mierzeniem do polujących na ciebie dupków.

Powiedział to chyba z wyrzutem, a Vlora wcale nie była pewna, czy sobie na to zasłużyła. Choć nadal uważała, że dobrze zrobiła, idąc na galę nawet samotnie.

– Pojawił się za jednym z tych Palo, cichy jak duch. Ugodził go nożem pod mostek, a ciało odrzucił jak szmacianą lalkę.

– Te wszystkie opowieści w jednym się zgadzają: że był najsilniejszym człowiekiem w Fatraście.

– Nie byłam pewna, czy to prawdziwy Ben Styke, ale teraz już jestem. Niech to... – Wypiła swoje wino. Może to przez nie mówiła za dużo, ale przynajmniej serce biło jej już w mniej więcej zwykłym rytmie. Spojrzała na Olema, poczuła się winna. Był żołnierzem, miał czas oswoić się z myślą, że przyjaciele giną w walce, ale dobrze wiedziała, że mimo to trochę się o nią martwi. Nagle zaciążyły jej wszystkie błędne decyzje i błędne osądy z minionych wielu lat. To nie było z jej strony w porządku, podjąć się misji o nieokreślonym marginesie bezpieczeństwa. Nie w porządku było korzystać z przywilejów, jakie dawał wyższy stopień wojskowy. Nie w porządku było odpowiedzieć Olemowi „nie”, kiedy się jej oświadczył, bo przecież nie zamierzała zakończyć ich znajomości. Nie w porządku było odmawiać mu dziecka, bo przecież oboje chcieli mieć dzieci.

Nie w porządku było kłamać.

– Olem?

– Tak?

– Pamiętasz, jak to było po wojnie? Pamiętasz krew, chaos i trupy w Pałacu Wschodzącego Słońca?

– Całkiem dobrze pamiętam, owszem.

Olem wypowiedział te słowa spokojnie, kontrolowanym głosem. Papieros trwał nieporuszony w jego zaciśniętych wargach. Vlorę wiedziała, jak wielki ból zadawały mu te wspomnienia. Nie chciała go powiększać. Przez ostatnie kilka miesięcy jego życia nikt nie był bliższy marszałkowi polnemu Tamasowi niż Olem.

W ustach czuła kwaśny smak. Oblizwała wargi. Myślała o tajemnicy, którą udało się jej utrzymać przez wszystkie te lata. Zawsze czuła, że nie jej rzeczą jest ujawniać fakty, ale teraz wiedziała, że postąpiła głupio, milcząc.

– Przez dziesięć lat wmawiałam wszystkim, także sobie, że Taniel i Ka-poel zginęli w tej bitwie. Nie. Nie zginęli. Przeżyli eksplozję i znikli, korzystając z chaosu, który nastąpił po niej.

Olem zaciągnął się papierosem. Spojrzał na Vlorę przez chmurę dymu.

– Ja o tym wiem – oznajmił.

– Wiesz? Skąd?

– Nigdy po nim nie płakałaś.

Vlorę zakaszłała. Wierny, godny zaufania Olem. Sukinsyn wiedział od samego początku. Na Adoma, był prawdziwym darem losu, najlepszym, jaki dowódca mógł dostać.

– Kocham cię – powiedziała po prostu.

– To też wiem. – Podał Vlorze swojego papierosa. – Dlaczego zdecydowałaś się na tę rozmowę akurat teraz?

– Powiedzieli mi wtedy, że udadzą się do Fatrasty. Minęło dziesięć lat, ale boję się, że ciągle tu są. Boję się, że są wplątani w całe to gówno. Gdyby Taniel był w mieście, wyczułabym jego magię. Mimo wszystko... boję się. Jeśli są w to wplątani, to nie wierzę, żeby byli po stronie Lindet. I wiesz co? Nie mogę walczyć z Tanielem ani z Ka-poel. Kiedy wyjeżdżali, nie byli już zwykłymi ludźmi. Gramy w innych ligach.

A najważniejsze, pomyślała, jest to, że nie chcę z nimi walczyć.  
Olem zapalił kolejnego papierosa.

– W takim razie pozostaje nam tylko mieć nadzieję – powiedział –  
że żadnego z nich nie ma tu gdzieś blisko.



## 23 ROZDZIAŁ

**T**ego ranka Michel strasznie się męczył. Nie mógł spać. Nie mógł pracować. Próbował wymyślić jakiś plan schwywania dwóch niebezpiecznych zdrajców stanu, których Fidelis Jes tak rozpaczliwie chciał dostać w swe łapy.

Pierwszą poważną decyzją Michela była rezygnacja z poszukiwań Styke'a. Tym zajmowała się już połowa Kapelusznictwa, jego pomoc na nic nikomu by się nie przydała. Nie, powinien się skupić na tym, czym już się zajmował, czyli na schwyтaniu Tamy. Jeśli zdołałby dopaść sukinsyna, po jego tropie z pewnością trafi do Styke'a. A jeśli ludzie znajdą szybko uciekiniera z obozu, to jego z kolei użyje się do znalezienia prawnika.

Brzmiało to nawet logicznie, ale nie ułatwiało zaśnięcia. W swoim małym mieszkanku na strychu budynku w południowej części płaskowyzu Michel rzucał się bezsennie w pościeli, aż wreszcie wypełzł z łóżka, ubrał się i nieogolony wyszedł na ulicę, oświetloną pierwszymi promieniami wschodzącego słońca. Wziął płatną dorożkę, pojechał milę dalej na targ w Proctor, tam załadował do kosza chleb i owoce, po czym ruszył spacerem przez ciągle senne ulice.



O przedmieściu Proctor myślał, czasami i raczej rzadko, że chętnie zamieszkałby tu z rodziną, gdyby kiedykolwiek założył rodzinę: nie za czystym i nie za brudnym, nie za bogatym i nie za biednym, pod każdym względem idealnie przeciętnym. Bardzo podobało mu się, że tu mógłby być przyjacielski, gdyby chciał, a gdyby chciał, mógłby być doskonale anonimowy. Na swój sposób żyłby jak matka: dni, w których nie dzieje się absolutnie nic, lektura tanich powieści, plotkowanie z sąsiadami, unikanie słońca.

Ta myśl sprawiła, że zatrzymał się przed księgarnią. Przyglądał się przez okno wystawowe sprzedawcom, wynoszącym pudła groszowych powieści na chodnik, ku wygodzie przechodniów. Przygryzał przy tym wargi i bardzo starał się nie myśleć o tym wszystkim, co powinien robić w tej chwili.

– Nie zachęcaj jej – powiedział do siebie. – To tylko pogarsza sytuację.

– Och, daj spokój – odpowiedział sobie. – Chyba wolno mi być dobrym synem od czasu do czasu.

– Możesz być dobrym synem i opiekować się matką albo być złym synem, podsycającym złe nawyki. Nie możesz raz być jednym, raz drugim.

Michel przewrócił oczami.

– A niby dlaczego nie mogę?

– Bo nie możesz być wszystkim. Musisz wybierać.

Michel zignorował zdziwione spojrzenie jednego ze sprzedawców i powiedział sobie stanowczo, że ma, na otchłań, zamknąć gębę. Wszedł do księgarni. Zaczął rozglądać się za trzymanymi na półkach przy tylnej ścianie droższymi powieściami, oprawionymi w skórę. Znalazł je, przewrócił kartki kilku na chybił trafił. Pamiętał czasy, kiedy czytał niemal tyle co matka. Wybrał trzy książki o odpowiednio intrygujących tytułach, po czym gestem wezwał sprzedawcę.

– W czym mogę pomóc? – spytał ten grzecznie.

– Biorę te.

– Bardzo dziękuję, panie. Książki na koszt firmy.

Michel patrzył na księgarza, mrugając oczami ze zdziwienia. Dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że ma na sobie uniform Czarnego Kapelusza. Ukrył wprawdzie Srebrną Różę pod ubraniem, ale i bez niej nietrudno było zorientować się, że jest nie byle kim.

– Ale ja chętnie zapłacę...

– Wszystko w porządku, panie – uspokoił go sprzedawca. – Dziękujemy, że zechciałeś kupić książki u nas.

Michela na ogół nie krępowało przyjmowanie prezentów. To była ta dobra strona jego pracy, więc chętnie korzystał z okazji. Ale książki dla matki jako opłata za życzliwość Czarnego Kapelusza...? Nie, to mu się wcale nie podobało.

– O wilku mowa – mruknął do siebie.

Patrzył przez okno na pudła z powieściami za grosz, wystawione na chodniku. Znajoma postać już w nich grzebała, choć księgarnia otwarta była od zaledwie kilku minut. Westchnął, opanował odruch kazący mu szukać tylnego wyjścia i zwrócił się do księgarza:

– Proszę je dla mnie spakować. I jeszcze jedno: chcę zapłacić za wszystko, co kupi ta kobieta. – Wcisnął mężczyźnie do ręki banknot dziesięciokranowy i wyszedł szybko, nie dopuszczając do protestów.

Matka już przeglądała czytała, poważnie, z namysłem, nucąc coś cicho pod nosem i przestępując z nogi na nogę, jakby tańczyła do tej melodii.

– Dzień dobry, mamó – przywitał ją.

Aż podskoczyła z wrażenia, obróciła się, spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Michel! Co ty tu robisz?

Syn uśmiechnął się do niej najbardziej uroczym ze swych uśmiechów.

– Wpadłem, żeby kupić prezent. Zamierzałem przed pracą podrzucić ci jeszcze do domu coś do jedzenia.

Matka słuchała go, a z jej twarzy łatwo było odczytać, jakie miotały nią emocje: najpierw zaskoczenie, potem radość, potem zmieszanie i gniew, nastrój zmieniał się jej co kilka chwil. Kiedy

wymawiał słowo „praca”, była już w stanie furii. Chwyliła go za ramię, odciągnęła od księgarni za róg, do najbliższej alejki, a potem odwróciła tak, by stanąć z nim twarzą w twarz, i podsunęła mu pod nos wyprostowany palec.

– Co ty sobie wyobrażasz, Michelu? – spytała groźnie.

Michel był gotów na najgorsze. Serce w nim zamarło.

– I po co mi to było? – szepnął do siebie.

– O czym ty mówisz? Odpowiedz, dziecko! – Matka spojrzała na jego służbowy strój z takim obrzydzeniem, z jakim większość matek przyglądałaby się pewnie własnemu dziecku spacerującemu nago po ulicy. – Nosisz ten mundur! I w tym mundurze kręcisz się wśród moich sąsiadów! Co oni sobie pomyślą? Co pomyśli sobie właściciel księgarni? Ludzie szanują mnie tu i lubią!

– Wyszedłem z domu, nawet nie zastanawiając się, co mam na sobie. – Michel próbował uspokoić matkę słowami i gestem z nadzieją, że jej krzyk nie wzbudzi nadmiernej ciekawości. Nie było mu to do niczego potrzebne. Nie dziś.

– Hmm... – Matka odwróciła się. Stała twarzą do muru, spoglądając na syna z ukosa.

– Mamo. Posłuchaj. Przepraszam. Wiem, że nie lubisz pracy, którą zarabiam na życie. Próbuję nie komplikować ci nią życia. Chciałem zrobić coś dobrego.

– Nie lubię twojej... pracy? – Z ust matki tryskała ślina. – Przecież nie o to chodzi, że ja jej nie lubię, Michelu. Chodzi o to, że jesteś Czarnym Kapeluszem! Mój tata, twój dziadziuś! był czystej krwi Palo! Twój ojciec zginął za naszą wolność w wojnie z Kezem. Co by sobie pomyśleli, widząc cię w tym dziwnym przebraniu? Nie widzisz, kim się stałeś? Jesteś bandytą! Każdy dzień twojej pracy dla Lindet to kolejny dzień, w którym wdeptujesz w błoto wszystko, co cenne.

– Zaraz, chwileczkę! – Michel poczuł, że powoli traci panowanie nad sobą. – Doprawdy, mamo, posuwasz się za daleko. Nie jestem żadnym bandytą. Nie biję ludzi. Uczę, pracuję też jako doradca. Jestem szanowany za to, że dobrze wykonuję swoją pracę.

– To nie jest szanowana praca, jeśli opiera się na strachu!

– Mówię o ludziach, z którymi pracuję.

– A ja mówię o tych wszystkich ludziach, którym wy, Czarne Kapelusze, rujnujecie życie. Nie jestem głupia. Czytam gazety, słucham plotek. Nawet sama Lindet nie jest w stanie utajnić wszystkich krążących po mieście informacji. Czy wiesz, że zaledwie dwie ulice od mojego domu Czarne Kapelusze zamordowały młodą dziewczynę? Wiesz, za co? Za to, że rozdawała ulotki! Ulotki, synu!

Michel obejrzał się przez ramię.

– Mogłabyś mówić ciszej, mamu? – poprosił.

– Albo co? Co zrobisz, jeśli nie będę mówiła ciszej? Zaciągniesz mnie do lochów w Kapelusznictwie? Mnie, twoją matkę? Uważam Lindet za wstrętą sukę i nic mnie nie obchodzi, kto pozna moje zdanie! Jest tyranem, a wy, Czarne Kapelusze, wspomagacie jej tyranię. Brutale! To wystarczy, by mnie uwięzić? – Matka krzyczała już tak głośno, że Michel był pewny, że jej głos słyhać aż na ulicy.

– Nie zamierzam... Nie jestem... To nie tak... Mamu, to bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje.

Widział, jak matka oddycha gwałtownie, jak drżą jej wargi. Od wielu lat nie widział jej tak zdenerwowanej. Może to wina śmierci dziewczyny, o której wspomniała? Tego rodzaju śmierć w jego świecie była czymś zwyczajnym, ale matką mogła rzeczywiście wstrząsnąć.

– Jesteś dobrym chłopcem. Ten twój strój zawsze przypomina mi, w jakie bagno się wpakowałeś.

– Tak mi przykro, ale...

Matka poruszyła się nagle. Podniosła torbę, grzebała w niej przez chwilę, wyciągnęła coś i posunęła synowi przed oczy. Wziął to coś, nie myśląc, chciał tylko dokończyć zdanie, ale gdy skupił wzrok, zorientował się ze zdumieniem, że trzyma w ręku broszurkę. Omal nie pękło mu serce, bo były to „Grzechy Imperium”.

– Skąd to masz?!

– Rozdawał je wczoraj taki miły młody człowiek. Musisz to przeczytać, Michelu. Musisz poznać prawdę z tej książeczki.

– Kto? Jaki młody człowiek?

Matka cofnęła się o pół kroku, spojrzała na syna, wstrząśnięta, a potem uniosła głowę wyzywająco.

– Nie myśl, że ci powiem. Staram się ci pomóc, rozumiesz? Staram ci się pomóc teraz! Posłuchaj mnie choć raz. Ta broszura...

– Wiem wszystko o tej broszurze. – Michel schował „Grzechy Imperium” do kieszeni, a matkę wepchnął głębiej w zaułek. – Mamo, nikt nie może widzieć cię z tym w ręku – wyszeptał z wielkim naciskiem. – W tej chwili przeciw autorom toczy się śledztwo, ważne śledztwo. Jeśli znajdą ją przy tobie, mogą...

– Co mogą? Wtrącić starą kobietę do więzienia?

– Tak.

– Więc niech mnie wtrąca. Nie jestem żalostną starą, głupią babą, za którą mnie masz. Twój ojciec wraz ze mną stanął przeciw Kezowi w Małym Starland. Podczas wojny ładowałam muszkiety dla Trzynastki. Zniosę i więzienie.

– Nie tylko o nie chodzi, także...

Matka znów mu przerwała.

– Boisz się o swoją karierę? Boisz się, że przez starą matkę ominie cię awans?

– Tak – syknął Michel.

– Doskonale! Nie chcę, żebyś awansował w tym waszym gnieździe węży.

Michel westchnął z rozpaczą, przeszedł do wylotu alejki, zawrócił. Kłócili się już o to niejednym razem i zawsze tak się kończyło. On próbował uciszyć matkę, matka groziła, że zrujnuje mu karierę, unikał jej potem przez kilka miesięcy, a matka czytała jak zwykle.

– Majster był? – spytał łagodnie.

– Ha! Był! Nie chcę, żeby mój dom reperowano za pieniądze Czarnych Kapeluszy.

Michel stanął jak wrośnięty w ziemię.

– Przecież... dach przeciekał – wykrztusił.

– I co? Przeżyłabym.

– Wilgoć niszczyła książki.

- Zawsze mogę kupić nowe.
- Jesteś strasznie uparta.
- Twoje opinie nic mnie nie obchodzą. Pieniądze Czarnych Kapeluszy przesiąknięte są krwią mego ludu. Naszego ludu.
- Jesteś zaledwie półkrwi Palo.
- Dla mnie to właśnie powód do dumy!

Michel chodzi po alejce tam i z powrotem. Szukał słów, miał je gotowe i tłumił w sobie, by nie powiedzieć niczego obraźliwego.

Wyjął z kieszeni „Grzechy Imperium”.

– Mamo, proszę, zrób mi przysługę i przynajmniej od tego trzymaj się jak najdalej. Nic nikomu nie przyjdzie z tego, że złapią cię przy jakiejś okazji.

Matka chrząknęła groźnie. Tylko taką dostał od niej odpowiedź, i innej się nie spodziewał. Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, kiedy zobaczył, że sprzedawca z księgarni patrzy w alejkę z ulicy.

- O co chodzi? – spytał niecierpliwie.
- Panie, książki są gotowe do odbioru.

Wręczył mu elegancko zawiniętą paczuszkę. Michel spojrzał na nią, a potem wyciągnął rękę do matki.

– To dla ciebie – powiedział cicho.

Matka wzięła od niego pakunek. Z jej twarzy łatwo było odczytać, że od razu zorientowała się, z czym ma do czynienia. Michel zastanowił się przelotnie, jak dawno temu po raz ostatni mogła sobie pozwolić na książki oprawione w skórę. A jednak mu je oddała.

– Nie wezmę – oznajmiła. – Nie wezmę książek kupionych za pieniądze Czarnego Kapelusza!

Syn miał ochotę mocno nią potrząsnąć, ale tylko poprosił:

- Weź je, mamo.
- Nie!

Sprzedawca odkaszlnął dyskretnie. Wydawał się zażenowany. Michel nie mógł wyżyć się na matce, więc wyżył się na biedaku.

– Ty! Masz dopilnować, by ta kobieta już nigdy nie zapłaciła u was za książki. Zrozumiano? Będę sprawdzał i jeśli dowiem się, że

wzięliście od niej choćby setną część kрана za powieścidło, osobiście spalę was do fundamentów!

Księgarczyk gapił się na niego szeroko otwartymi oczami. Już wychodząc z alejki, Michel usłyszał głośne westchnienie matki. Rzucił paczkę z oprawionymi w skórę książkami na stolik, po czym poszedł ulicą szybko, rozglądając się za wolną dorożką. Znalazł ją dwie przecznice dalej. Pojechał do Kapelusznictwa w wymarzonej ciszy.

- Ona nie rozumie – powiedział do siebie gniewnie.
- Przecież wiedziałeś, że nie zrozumie – odpowiedział sobie.
- Zawsze miałem nadzieję, że któregoś dnia...
- Robi cię to głupcem czy optymistą?
- Chyba i jednym, i drugim.

Dopiero w połowie drogi Michel uspokoił się wystarczająco, by przypomnieć sobie, że na stole przed księgarnią zostawił także kupione dla matki jedzenie. Biorąc pod uwagę, ile wydawała na książki, było bardzo prawdopodobne, że oprócz tego nie ma w domu nic. Zaklął pod nosem i omal nie kazał dorożkarzowi zawrócić.

Powstrzymała go jedna myśl.

Ktoś dał matce egzemplarz „Grzechów Imperium”. Nie tydzień temu, lecz wczoraj. A podobno Żelaznym Różom udało się odzyskać większość nakładu. Nawet jeśli młody rewolucjonista ocalił kilka egzemplarzy, fakt, że broszura ciągle była dystrybuowana, mógł coś oznaczać. Mógł oznaczać na przykład, że nadal była drukowana.

Jeśli tak, to przez kogo? I gdzie?

Michel wysiadł przy Kapelusznictwie. Dał dorożkarzowi duży napiwek w zamian za dostarczenie kosza z chlebem pod adres matki. Wszedł do środka, trącił w ramię siedzącego przy biurku Warsima.

- Zajęty? – spytał.
- Nie.
- To dobrze. Zrobisz mi listę wszystkich drukarni w mieście. Dokładną listę.
- Tak jest. Mogę spytać, o co chodzi?

– O to, że mam pewien pomysł. Mam zamiar przeszukać wszystkie drukarnie stąd do Redstone i z powrotem. Będę szukał, póki nie wymyślę czegoś lepszego.





## 24 ROZDZIAŁ

Zaledwie kilka godzin po nocnej rozmowie z Vlorą i Olemem Styke pił na śniadanie mrożoną kawę, zagryzając ją kawałkiem gumy rogowej wielkości kciuka. Siedział w kawiarni należącej do Palo, znajdującej się po północno-zachodniej stronie płaskowyżu, oferującej wspaniały widok na rzekę Hadshaw. Zaledwie dwa kroki i barierka dzieliły jego oraz Celine od pionowej ściany wysokości stu pięćdziesięciu jardów, wyrastającej z łagodnie nachylonej równiny, po kolejnych pięćdziesięciu jardach przechodzącej w płaski teren zalewowy.

Otoczającą płaskowyż żyzną ziemię uprawiali niegdyś kresjańscy rolnicy. Dziś, jak okiem sięgnąć, o milę w każdą stronę, zabudowano go wbitymi głęboko w ziemię konstrukcjami na palach. Dla Styke'a przedziwny był to widok: nowa dzielnica, nieistniejąca, gdy zamykano go w obozie pracy odległym o zaledwie kilka mil. Czuł się przez to obcy w swoim mieście.

Celine stała przy barierce. Spoglądała w dół, na ludzi rojących się jak mrówki, biegających każdy w swojej sprawie. Gdyby ustąpił

fragment barierki, gdyby powiał wiatr, mogłaby spaść, ale Styke nie przywoływał jej do siebie. Siedział tak blisko, by móc ją złapać bez wstawania.

Po walce z człowiekiem-smokiem bolało go całe ciało. Doskonale czuł je pod palcami w miejscach, w których siniaki dopiero miały się pojawić. W nocy nie mógł zasnąć, słuchał pochrapywania Celine, a materac wypchany pierzem, niesłychany luksus niedostępny przez lata, wydawał mu się twardy i nierówny. Bardzo chciał siedzieć cicho, nie podnosić głowy, robić, co kazano, ale nie mógł nie zadawać sobie pytań o to, kto chciał zabić lady Krzemień i o co właściwie chodziło Tampie.

Styke nigdy nie był dobry w ślepych wykonywaniu rozkazów. Nawet podczas wojny zlekceważył z połowę tych, które wydawali mu wyżsi stopniem. Granie według narzuconych zasad służyło mu nie lepiej niż niewygodne siodło.

– Jak się nazywa? – spytała Celine.

Spojrzał w dół tam, gdzie dziewczynka wskazała coś palcem. Właściciel prowadził ulicą srokiego konia.

– Gorącokrwisty Palo – powiedział.

– Wygląda tak samo jak każdy inny. – Celine patrzyła na Styke'a podejrzliwie.

– Jest inaczej umaszczony. Kresjańskie konie nie bywają takie. Spójrz na jego mocno osadzony łeb, na łuk szyi i na zad. To szybkie konie i zręczne. Mają pewny chód na bagnach, dobrze poruszają się w gęstym lesie. Tego przywieziono zapewne na aukcję. Drogi na terenie zalewowym są miękkie, więc człowiek idzie pierwszy. Nie chce ryzykować, że jego koń złamie nogę.

Celine wskazała innego, ciągnącego lekki, otwarty powozik z rodzaju bardzo popularnego tam, na dole.

– A ten?

– Starlandzki trunsin. Typowy kresjański koń pociągowy. Obcina się im ogony, żeby nie wplątały się w koła powozu. W Starland z tego włosia robi się peruki dla bogaczy. Pewnie głowa pod nimi

swędzi jak pod zapchlonym kapeluszem, ale bogaci zawsze mieli dziwne gusta.

Celine wskazała mu jeszcze kilka koni. Styke pił drugą filiżankę mrożonej kawy i oczywiście zabawiał dziewczynkę, nazywając rasę, czy też, znacznie częściej, mieszankę ras oraz dodając do tego krótką charakterystykę. Okazało się, że zabawa ta uspokajała go, sprawiała nie lada przyjemność. Dużo pamiętał nawet po dziesięciu latach w obozie, gdzie nie było koni innych niż stare kobyły, które zaharowywali na śmierć na mokradłach.

Uśmiechnął się. Ból złagodniał, przeżucie gumy wywołało pożądany efekt.

– Dużo wiesz o koniach, Styke – powiedział jakiś głos za jego plecami.

Styke odwrócił się. Zaledwie kilka stóp od ich stolika stał, podpierając się laseczką, Gregious Tampo w cylindrze na głowie. Patrząc na niego, miało się wrażenie, że stoi tak dłużej niż kilka chwil. Irytujące, tak się dać podejść.

– Miałem ich kilka... w swoim czasie.

– Byłeś lansjerem. Taka praca, prawda?

– Owszem, mniej więcej. Trudno znaleźć konia wystarczająco silnego, żeby wytrzymał szarżę w pełnym opancerzeniu. Rozglądałem się za nimi cały czas.

Tampo spojrział na równinę zalewową, mrużąc oczy, wzrokiem, który wydawał się sięgać aż do Dorzecza Tristan.

– Pamiętam tego, na którym jeździłeś w czasie wojny. Nigdy przedtem ani potem nie widziałem tak wielkiego ogiera.

Styke pamiętał doskonale swojego bojowego wierzchowca. Minęły lata, a jednak poczuł ukłucie bólu.

– Deshner. Delivijski koń pociągowy. Złośliwy był z niego sukinsyn, ale dobrze nam było razem.

A jakiś oficerek wsadził mu kulę w łeb tuż przed tym, nim postawiono mnie pod ścianą. Z czystej złości, żeby mi dopiec. Styke stłumił atak wściekłego gniewu. Zacisnął palce na filiżance, zmusił się do uśmiechu.

– Witam, panie Tampo. Co mogę dla pana zrobić?

– Witam, panie Tampo – powtórzyła Celine, zapatrzona w dół, nawet się nie odwracając.

– Mogę usiąść?

Styke wskazał gestem wolne krzesło dziewczynki. Tampo usiadł. Milczał przez kilka długich chwil, wpatrzony w twarz Bena z niepokojącą intensywnością. Styke odpowiedział mu takim samym spojrzeniem. Próbował odgadnąć, o co właściwie chodziło. W co Tampo grał? Co miał do lady Krzemień? Czuł, że powinien bronić najemniczki. Musiał napominać sam siebie, że przecież zna ją od zaledwie kilku dni, a za kilka kolejnych najprawdopodobniej będzie musiał ją zabić. Owszem, lady Krzemień była dobrym żołnierzem, ale Tampo kupił sobie lojalność Styke'a, wyciągając go z obozu pracy.

– Co się zdarzyło w nocy? – spytał Tampo. W jego głosie pobrzmiwał oskarżycielski ton, zapewne wiedział już, że lady Krzemień została zaatakowana.

A skąd wiedział? To już zupełnie inna sprawa.

– Ktoś próbował zabić Krzemień.

– Wiem. Ufam, że byłeś na miejscu, żeby ją chronić?

– Nie byłem. – Styke uznał, że nie warto ryzykować kłamstwa. I w armii, i potem w obozie, kłamstwo ani razu nie ułatwiło mu życia. – Pojawiłem się na zakończenie.

– Dlaczegoż to? – Pytanie zabrzmiało niewątpliwie oskarżycielsko. – Powiedziałem ci przecież, że potrzebuję jej żywej.

Styke wzruszył ramionami.

– Powiedziałaś, panie, że mam się do niej zbliżyć. Dała mi zadanie. Powiedziała, że jeśli wykonam je zadowolająco, zaczniesz mi ufać. Kim jestem, żeby domagać się, by uczyniła ze mnie swego ochroniarza? Gdybym spróbował, stałbym się podejrzany i tyle. Poza tym, z tego, co widziałem, lady Krzemień doskonale potrafi zadbać sama o siebie. – Tampo milczał, machinalnie bawił się główką leżącej na jego kolanach laski. – Szczerze mówiąc, byłem właściwie przekonany, że to ty stoisz za tą próbą zabójstwa, panie.

Ku wielkiemu zdumieniu Styke'a Tampo uśmiechnął się na te słowa.

– Doceniam przenikliwość, ale moim planem dla lady Krzemień jesteś ty. Ma w Landfall potężnych wrogów, o których nic nie wie, tymczasem mnie może okazać się potrzebna... za jakiś, być może długi czas. Chcę utrzymać ją przy życiu.

To już było naprawdę interesujące. Styke zastanowił się przelotnie, jacy to ludzie mogą mieć coś do pani generał oddziału najemników.

– A jeśli okaże się, że nie jest użyteczna? – spytał.

– Powstanie problem, którym będę musiał się zająć. – Tampo zawahał się. – Styke, powiedz mi, czy potrafiłbyś zabić maga prochowego?

Na te słowa Celine oderwała się od barierki, podeszła, wspięła na kolano wielkoluda i zmierzyła Tampę wzrokiem bez wyrazu.

– Ben może zabić każdego – powiedziała bardzo rzeczowo. – Wczoraj zabił trzech Palo i nawet się nie spocił.

– Doprawdy? – Tampo zdziwił się uprzejmie, przechylając głowę. Znaczącym spojrzeniem obrzucił najpierw dziewczynkę, a potem jej opiekuna.

– Paru smarkatych Palo weszło mi w drogę, kiedy miałem coś do zrobienia. A Celine będzie od tej pory trzymała buzię na kłódkę, zwłaszcza w towarzystwie. Prawda?

– Lubię lady Krzemień. – Dziewczynka założyła ręce na piersi. – Ale jeśli Ben będzie musiał ją zabić... – Machnęła rączką, jakby uśmiercenie kogoś nie miało dla niej znaczenia.

– Cóż za para idealnych najemników – skwitował jej słowa Tampo. – Styke, pytam raz jeszcze: zdołałbyś zabić maga prochowego?

Styke musiał zastanowić się kilka chwil nad odpowiedzią.

– W obecnym stanie? W otwartej walce nie ma mowy. Ale ja nie mam zastrzeżeń co do brudnych chwytów. Bardziej mnie chyba niepokoi kwestia ucieczki po zabiciu Krzemień. Musiałbym zabić

także pułkownika Olema, bo inaczej ścigałby mnie do końca życia, no i żołnierze też są jej oddani. Łatwo nie będzie.

– Cieszę się, że planujesz na taką ewentualność. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

W głosie Tampy zabrzmiała nuta żalu. Styke zastanowił się przelotnie, czy rzeczywiście ten człowiek był zimnokrwistym mordercą, za jakiego go miał.

– A ja? – spytał. – Mam jakieś miejsce w twych planach, panie?

– Jesteś zabójcą – odparł Tampo rzeczowo. – Zabójcy zawsze będą mi potrzebni. Skąd to pytanie?

– Tak się tylko zastanawiałem. – Styke skrzywił wargi w uśmiechu. – Snuję różne plany.

Tampo z sykiem wciągnął powietrze przez zęby. Patrzył na rozmówcę w milczeniu, oczy miał zwężone. To jego spojrzenie wydawało się bardzo niepokojące.

– Jesteś za sprytny, Styke – powiedział w końcu. – Moim zdaniem właśnie dlatego trafiłeś do obozu pracy. Wyglądasz jak tępy młot, zabijasz jak młot, ale mówisz i myślisz jak oficer. Zawracasz ludziom w głowach, wygląd i reputacja budzą jasne skojarzenia, ale nie, okazuje się, że z ciebie wykształcony człowiek.

– Czy to ma znaczyć, że żałujesz teraz, panie, wyciągnięcia mnie z obozu pracy?

Styke siedział sztywno, oczekując odpowiedzi. Nie to, żeby lubił prawnika, ale Tampo zapłacił mu wolnością za lojalność. Nie miał zamiaru narażać znajomości, lecz jeśli ten człowiek obróci się przeciw niemu, zarżnie go jak świnie.

Jednak nie. Tampo uśmiechnął się do Styke'a ciepło.

– Ależ wręcz przeciwnie – zapewnił. – Dostałem dokładnie to, czego chciałem.

– Zdaje mi się, że słyszałem coś o tępym instrumencie?

– Widziałeś kiedyś staroświecki młot bojowy? Ma z jednej strony szpic... i nie bez powodu.

Tampo nagle zwrócił uwagę na Celine. Spoważniał, zmarszczył czoło, uniósł jej włosy na karku. Ukazały się czerwone ślady

odcisków. Spojrzał ostro na jej opiekuna.

– Wpadliśmy w kłopoty – przyznał Styke.

– Jakie kłopoty?

– Człowiek-smok! – Celine zsunęła się z kolana Styke’a, podeszła do barierki. – Złapał mnie za szyję, ale Ben uderzył go w twarz i odebrał mu nóż.

Prawnik obrócił się błyskawicznie. Patrzył na Styke’a, zapadła między nimi groźna cisza, cała życzliwość Tamy znikła, jakby nigdy jej nie było.

– Czy dobrze słyszałem? Człowiek-smok? – spytał zwodniczo łagodnie.

– Tak powiedziała – przyznał Styke.

– Widziałeś... Walczyłeś z człowiekiem-smokiem?

– Powiedziałbym, że bardziej się z nim starłem, niż walczyłem. – Styke nie odrywał wzroku od małej. To nie był temat, który chciałby dyskutować z Tamy. Nie teraz. – Usiłowałem wywabić go z kryjówki, pojawił się z paroma akolitami, wyczuł mnie, a potem próbował zniknąć. Poszliśmy za nim, Celine i ja. Doszło do... konfrontacji.

Tamto przechylił się przez stół. Styke cofnął się wraz z krzesłem. Nie był pewien, jakiej reakcji powinien się spodziewać.

– Wróć do samego początku i opowiedz mi wszystko.

Styke posłusznie opowiedział o pierwszym spotkaniu najemników z człowiekiem-smokiem, jeszcze na bagnach Dorzecza Tristan, o przydzielonym mu zadaniu i o pomysłach na zmuszenie człowieka-smoka do ukazania twarzy. Mówił, jak szedł przez miasto za tym, którego udało mu się wywabić z ukrycia. Tamto kazał Benowi wymienić dokładnie, dokąd wstępował śledzony, co też uczynił. O walce miał do powiedzenia niewiele.

– Uciekłem, kiedy zobaczyłem, że zbiera się tłum. Podejrzewam, że woli nie zwracać na siebie uwagi niewłaściwych osób.

– Jesteś pewien, że to był człowiek-smok?

– Miał czarne tatuaże, takie, o jakich czytało się kiedyś w książkach. I twardy był z niego sukinsyn. Z jedną różnicą...

W starych historiach to są wojownicy gdzieś tam z dzikich bagien, prawda?

– A on nie?

– No więc nie. Wydawał się zbyt... cywilizowany. Marynarka prosto od krawca, swoboda w poruszaniu się ulicami, dla mnie to drugi po akcencie argument, że jest Dynizyjczykiem. Był tak miejski, jak to tylko możliwe, a jedyne miasta, w których i dziś ludzie-smoki chodzą ulicami, to te dynizyjskie.

– Zgoda. Ludzie-smoki Palo nie istnieją. Wiedziałem, że Dynizyjczycy płaczą się po Landfall, ale żeby ci ludzie-smoki...?

Celine przechyliła się za barierkę trochę za głęboko, poślizgnęła na wilgotnej trawie. Styke chwycił ją i przyciągnął, wciąż patrząc na Tampe.

– Momencik... Wiedziałeś, panie, że w Landfall są Dynizyjczycy? Czy lady Krzemień też o tym wie? Czy wiedzą o tym Czarne Kapelusze?

– Gdyby lady Krzemień wiedziała, to nie widzę powodu, by nie miała podzielić się tą wiedzą. – Tampo cmoknął z niezadowoloną miną, jakby powiedział więcej, niż zamierzał. – Co do Czarnych Kapeluszy to doprawdy nie jestem pewien. Mogą mieć jakieś swoje podejrzenia, ale... no cóż, to nie jest coś, co musisz wiedzieć. – Prawnik podniósł rękę, tłumiąc protesty w zarodku. – Nie wątpię, że potrafisz dotrzymać sekretu, tylko że im więcej ludzi będzie wiedzieć o Dynizyjczykach, tym większa szansa, że znikną. Twój człowiek-smok nie jest pierwszym demonstrującym niechęć do bycia w centrum uwagi.

A więc Tampo wiedział o Dynizyjczykach i to przypomniało Styke'owi zadane wcześniej pytanie: czego właściwie chciał ten człowiek? Wyglądało na to, że lady Krzemień była tylko elementem większej układanki, a nie szczególnym obiektem jego zainteresowania. Ten człowiek miał jakieś swoje interesy, choć czy był rewolucjonistą, czy może kiedyś uzurpatorem, a może tylko szarą eminencją, tego nie sposób było stwierdzić. W każdym razie miał imponujące powiązania i zapewne równie imponujący



majątek, skoro wiedział, co dzieje się w Ognistej Jamie, i potrafił wyciągnąć więźnia z obozu pracy.

Robiło wrażenie.

Tampo wykonał niejasny gest, zapewne wtórujący jego myślom.

– No dobrze, na razie zostawiamy to wszystko na boku. Chcę, żebyś skupił się na lady Krzemień. Wytrop tego człowieka-smoka, znajdź odpowiedzi na pytania Krzemień. Przy okazji, ja także chcę je poznać... Ale też trzymaj się tak blisko niej, jak to tylko możliwe. Musi przeżyć co najmniej kilka najbliższych miesięcy.

– A potem?

– Potem będzie wtedy, kiedy zorientuję się, czy jest przeszkodą, czy pomocą.

– I nie wiesz przypadkiem, panie Tampo, gdzie ten człowiek-smok może się ukrywać? Bo gdybyś wiedział, bardzo ułatwiłoby mi to życie.

– Niestety, nie wiem. Na razie zdany jesteś na własne siły, Styke, ale zadbam o to, by przekazać ci wszystko, czego się dowiem.

Tampo wstał. Jeszcze raz delikatnie odgarnął włosy z karku Celine, przyjrzał się śladom duszenia.

– Trzymaj się blisko pana Styke'a – poradził dziewczynce. – Człowiek, który ci to zrobił, nie zawaha się zrobić gorszych rzeczy, jeśli będzie miał okazję.

– Dobrze, panie Tampo.

Ciekawe, pomyślał Styke, czy temu człowiekowi rzeczywiście zależy na dziewczynce, czy może chodzi tylko o to, że jeśli coś się jej stanie, nie dam rady skupić się na robocie. Tampo miał prawo do obaw, niemniej pytanie wydawało się co najmniej intrygujące.

Tymczasem prawnik zbierał się już do odejścia, ale miał jeszcze jedną rzecz do powiedzenia.

– Aha, żebym nie zapomniał... Fidelis Jes wie już, że zostałeś zwolniony z obozu.

Styke obrócił kciukiem pierścień na palcu. Ułożył dłoń tak, jakby trzymał w niej lancę. Fidelis Jes komplikował sytuację, to na pewno.

– Jak się dowiedział?

– Wygląda na to, że jeden z przekupionych przeze mnie strażników miał instrukcję, by powiadomić go, kiedy stanie się z tobą cokolwiek niezwykłego. Dla nas byłoby lepiej, gdyby nie wiedział, ale teraz nic się już na to nie poradzi. Niestety.

Nie sposób było nie zgodzić się z tą opinią. Styke już oglądał się przez ramię, pewny, że człowiek-smok poszuka drugiej szansy, to teraz na dodatek musiał nauczyć się chodzić po ulicach tak, by nie zwrócić na siebie uwagi Czarnych Kapeluszy. Najprościej będzie jeździć wszędzie zamówioną dorożką. Niepokoilo go co innego.

– Masz swoich ludzi wśród Czarnych Kapeluszy, panie Tampo?

– Właściwie to w lokalnej policji. – Tampo uśmiechnął się lekko. – Wygląda to tak, jakby Fidelis Jes powiadomił władze, że jesteś masowym mordercą, zbrodniarzem wojennym i że trzeba cię koniecznie zatrzymać.

Styke nagle się zezłościł. Oskarżenia o morderstwa, w porządku, to go nie ruszało, ale zbrodniarz wojenny? To już przekraczało granice przyzwoitości!

– I to cię bawi?

– Trochę – przyznał Tampo. – Spodziewam się, że będziesz nadal robił to, co do ciebie należy. Ja cię tylko ostrzegam, że Fidelis Jes jest tobą zainteresowany, więc lepiej się nie wychylaj.

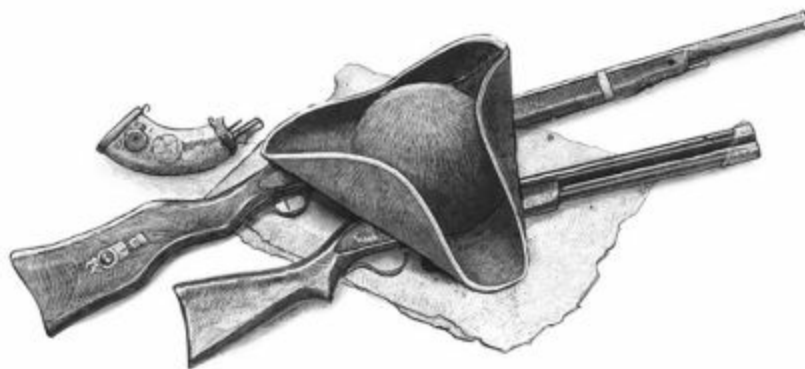
– Kiedy zechce wykonać ruch, będę na niego gotowy. – Styke zacisnął pięść. Wyobraził sobie, że trzyma nią Jesa za szyję. – Ale kiedy lady Krzemień się o tym dowie, wyda mu mnie bez wahania.

Tampo uśmiechnął się nieco szerzej.

– Garnizonu o niczym nie poinformowano, więc można przypuścić, że nie dowie się... jeszcze przez jakiś czas. Masz tydzień, może nawet dwa, na udowodnienie, że jesteś nie do zastąpienia, a kiedy już uda ci się tego dokonać, kiedy staniesz się jednym z jej ludzi, już cię nikomu nie odda.

Tampo skinął głową, jakby chciał podkreślić, że spotkanie było bardzo udane, po czym odwrócił się i odszedł tak nagle, jak nagle się pojawił.

Styke zajrzał do trzeciej filiżanki kawy, w której lód dawno się rozpuścił, a potem popatrzył na Celine. Odprowadzała wzrokiem odchodzącego Tampę, a spojrzenie miała czujne, uważne. Pomyślał, że ta dziewczynka widzi i słyszy więcej niż normalnie dzieci w jej wieku. I dobrze, bo dzięki temu miała większe szanse na to, że dorośnie. Wstał, zapłacił rachunek. Wziął Celine za rękę. Fidelis Jes wiedział, że Styke jest na wolności, a więc przed niczym się nie cofnie, a to oznacza, że trzeba poszukać starych przyjaciół. Niewielu ich zostało, zatem tym bardziej trzeba ostrzec ich jak najszybciej.



## 25 ROZDZIAŁ

**V**lorę obudziło jakieś straszne zamieszanie. Coś działo się pod drzwiami jej pokoiku w baraku administracyjnym. Usiadła gwałtownie, zamrugła, by spędzić sen z powiek, sięgnęła po pistolet. W tym momencie wpadły do środka wybite drzwi. Usiłowała chwycić leżący pod łóżkiem miecz, ale silne dłonie najpierw porwały ją w powietrze, a potem ustawiły tak, by padało na nią światło z jedyne go okna.

– Co, na otchłań... – wrzasnęła, ale zanim udało się jej wyrwać, ręce rozluźniły uścisk. Vlora z trudem zachowała równowagę, nie upadła, oprzytomniała za to wystarczająco, by rozpoznać brodatą twarz. – Vallencian? Skąd się tu wziąłeś? Po co? Vallencian, nie zdążyłam się ubrać!

Lodowy Baron uciszył ją donośnym „ciiii...”, obrócił i przyjrzał się jej w sposób, który mógłby budzić strach, gdyby nie był aż tak pozbawiony emocji. Vlora ciągle nie pojmowała, co się dzieje – miała kaca, spała zbyt krótko, więc myślała powoli. Ale jedno wiedziała z pewnością: jeśli Vallencian nie miał dobrego wytłumaczenia tego, co właśnie zrobił, za chwilę zginie z jej ręki.

– Ach! – Vallencian chwycił ubranie Vlory z krzesła, na które cisnęła je przed snem, i dosłownie wrzucił jej w ręce. Vlora zobaczyła, że odwraca się powoli, strasznie zawstydzony, a na jego twarzy pojawiają się ogniste rumieńce. Chodził niecierpliwie z kąta w kąt, dając lady Krzemień czas na okrycie wdzięków. – Bardzo mi przykro z powodu tego wtargnięcia, ale musiałem, po prostu musiałem zobaczyć na własne oczy, że nie zostałam nawet draśnięta. Gdyby choć włos spadł ci z głowy... – Nie dokończył, tylko krzyknął coś przeraźliwie zduszonym głosem.

Vlora opanowała się szybko, dokładnie w tej chwili, gdy udało się jej spędzić sen z oczu. Zobaczyła wówczas, że Vallencian drży na całym ciele, zaciska dłonie w pięści, a po policzkach płyną mu łzy.

– Hej, wszystko w porządku? – spytała.

– Ten kretyn, mój kamerdyner, przekazał mi informację od ciebie dopiero, kiedy się obudziłem. I dopiero teraz dowiedziałem się, że nocą, podczas powrotu z balu zostałam zaatakowana.

– Vallencian, uspokój się proszę, bo dostaniesz apopleksji.

– Mogłaś zginąć!

Vlora podeszła do stołu chwiejnie, na niepewnych nogach. Policzyła butelki po winie. Osiem. Kto pił? Ona, Olem, Styke...? Biorąc pod uwagę, jak trudno magowi prochowemu dorobić się autentycznego kaca, musiała założyć, że grubą większość zawartości tych ośmiu butelek wypila właśnie ona. O, na otchłań, czekał ją naprawdę ciężki dzień.

– Nie zginęłam przecież. Nic mi się nie stało.

– Nieprawdopodobne. To dowód twych wielkich talentów i łaski bogów, jakichkolwiek sobie wybierzesz. Ale, lady Krzemień, byłaś pod moją opieką. Jesteś moją przyjaciółką. Czuję się zawstydzony, strasznie zawstydzony. Mam nadzieję, że przyjmiesz ode mnie każdy dar, który jest w mojej mocy ci dać.

Poważna twarz Vallenciana i zapewne resztki alkoholu we krwi sprawiły, że Vlora... zachichotała. I natychmiast przykryła usta dłonią, zawstydzona. W tych okolicznościach nie powinna pozwalać

sobie na tak niegeneralskie zachowania. Vallencian zdołał się nawet skrzywić.

– Przepraszam. Naprawdę bardzo przepraszam. Chodzi o to, że... tylu ludzi próbowało mnie już zabić. Baronie, nie masz za co przepraszać. Nie winię cię za to, co zaszło.

– Nic mnie to nie obchodzi! Ja winię sam siebie! – Vallencian spojrział w bok, otarł łzy z policzków tą swoją niedźwiedzią skórą. – Mogli cię skrzywdzić, a ja tej nocy straciłem już jednego przyjaciela.

Vlora natychmiast spochmurniała.

– Devin-Tallis... Jego rodzina...

– Jego rodzinie niczego nie zabraknie! – zakrzyknął Lodowy Baron. – Wdowa zostanie księżniczką! Dzieci pójdą do najlepszych szkół! Nie jestem... – Vallencian zadławił się własnymi słowami.

Vlora zarumieniała się z zażenowania. Nigdy nie widziała człowieka owładniętego tak silnymi uczuciami. Dopiero teraz zauważyła, że w drzwiach stoi kilku jej żołnierzy. Ciekawe, co widzieli. No nic, teraz nie miało to żadnego znaczenia.

Wystawiła głowę na korytarz.

– Olem! Olem! Niech ktoś tu ściągnie pułkownika, dobrze?

– Już jestem! – Olem biegł korytarzem, z dłonią na rękojeści miecza. – Nic ci nie jest?

Vlora wskazała mu ruchem głowy Vallenciana, obróconego twarzą do ściany, niekryjącego łez.

– Mnie nic, ale jemu? – szepnęła.

– Ach! – Olem też zniżył głos do szeptu. – A to dopiero! Co tu się dzieje?

– Baron twierdzi, że czuje się odpowiedzialny za ten atak na mnie i za śmierć przewodnika. Na otchłań, przecież... – Przerwał jej potężny huk, tak przerażający, że Vlora aż podskoczyła. Wyjrzała przez okno. Ponad mury fortu wznosiła się gęsta biała chmura. – Co się dzieje?

– Chłopczy rozwalają pierwszy budynek – wyjaśnił Olem.

– To miało być dziś rano? Na otchłań, przypomnij mi od czasu do czasu, że nie powinnam tyle pić.

Olem uniósł brew.

– Czy mam ci przypomnieć, co się dzieje, kiedy ci przypominam, o co prosiłaś, żeby ci przypomnieć?

– Przecież dałam ci w twarz tylko raz!

– Tak naprawdę to dwa razy.

– Ale potem przeprosiłam! – Vlora obejrzała się przez ramię na Vallenciana. Chyba powoli opanowywał emocje. – Mógłbyś może... – zwróciła się do Olema.

Pułkownik wyjął z kieszeni chusteczkę. Podał ją baronowi.

– Vallencianie – powiedział grzecznie – chciałbym spytać, czy zostało ci może kilka tych twoich wspaniałych papierosów?

Vallencian głośno wydmuchał nos i już po chwili obaj palili namiętnie w kącie pokoju. Vlora wyszła za próg zaczerpnąć świeżego powietrza, zakrztusiła się kurzem z rozbiórki budynku zaledwie przecznicę dalej i wróciła do środka.

Panowie zdusili papierosy. Vallencian odzyskał panowanie nad sobą. Klepnął Olema w plecy, a do Vlory uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Bardzo przepraszam – usprawiedliwił się – ale znają mnie z tego, że bywam... nadopiekuńczy w stosunku do przyjaciół.

– Proszę nie przeproszać – odparła Vlora. Zdawała sobie sprawę z ironii sytuacji: to ją zaatakowano w nocy, jednak to on zalewał się łzami. – Ale posłuchaj, Vallencianie, ja rzeczywiście czegoś od ciebie chcę. Ci zabójcy nie próbowali zamachu, bo tak im się akurat spodobało. Postawię na to swoją reputację. Musimy dowiedzieć się, kto zaplanował zasadzkę i dlaczego ją zaplanował. Tylko że my, Strzelcy Wyborowi, nie mamy kontaktów w mieście. I z całą pewnością nie mamy żadnych kontaktów w Ognistej Jamie.

Vallencian wyrzucił niedopałek, wyjął fajkę i zapalił ją pospiesznie.

– Nie wiem, czy okażę się pomocny w sprawie Jamy. Ale zawsze mogę spróbować. I udostępnię ci wszystkie środki w mojej dyspozycji celem znalezienia winnego.

– Prosimy tylko o pomoc.

– Nonsens. Może i jestem człowiekiem prostolinijnym, ale mam pieniądze i wiem, jak zmusić je, by dla mnie pracowały. Dowiem się, kto próbował cię zabić, lady Krzemień. Przysięgam. To najmniejsze, co mogę zrobić, byś zapomniała o bałaganie, jaki zrobiłem swoim wtargnięciem tu, i o tym, co widziałem... – Baron przerwał, odchrząknął.

– Zapomnijmy o tym, co zaszło – zaproponowała Vlor, a do Olema powiedziała szeptem: – Musisz mi przypominać, żebym ubierała się po tym, jak...

– Mowy nie ma – odparł pułkownik i zachichotał.

– Przycisnę ludzi, z którymi robię interesy. Poszukają odpowiedzi na moje pytania – obiecał baron. – Nie znajdą odpowiedzi, nie dostaną lodu. A Palo kochają mrożoną kawę.

– Lepiej nie narażaj swych przedsięwzięć handlowych, nie ma takiej potrzeby – zaniepokoiła się Vlor. – I jest jeszcze jedna sprawa. Co możesz powiedzieć mi o Meln-Dunie? Spędziłam z nim na gali sporo czasu. Wydawał się chętny do pomocy w nawiązywaniu przyjaźni w Jamie. Cieszy się dobrą reputacją?

Vallencian nie odpowiedział od razu.

– Tyle o ile – przyznał w końcu. – Jest właścicielem jednego z zaledwie kilku nadal czynnych kamieniołomów i ma kilkaset domów.

– Jest właścicielem ziemskim?

– Jest. Kupuje co się da od Palo, którzy popadli w długi. Ale jest uczciwy, pomaga nawet dłużnikom znów stanąć na nogi.

– Dziwi mnie, że tam na dole ktokolwiek jest właścicielem czegokolwiek – wtrącił Olem.

Baron pogroził mu fajką.

– Prawo własności traktowane jest w Jamie bardzo poważnie. Większość Palo ma na własność lokale, w których mieszkają. To dla nich powód do dumy! Przecież mówiłem, że jeśli o nich chodzi, to przede wszystkim zapomnijcie o wszystkich uprzedzeniach! A jeśli o Meln-Dunie mowa... – Wzruszył ramionami. – Można powiedzieć, że jest lubiany.



A więc właściciel nieruchomości, chętny do powiększania swoich inwestycji. To wyjaśniało, dlaczego zależy mu, żeby Vlora wspomogła przebudowę części Jamy. Nowe lokale mieszkalne będą bardzo wartościowe, a on już zadba, żeby należały do niego, nim zakończą się prace budowlane. Ciekawe, pomyślała Vlora, jak też plany ekspansji Meln-Duna mieszczą się w grze, którą Mama Palo prowadzi przeciw Lindet. Bo mogą przecież wcale się nie mieścić. W każdym razie jest okazja, by dodatkowo zinfiltrować Jamę.

– Ta jego partnerka...

– Lady Enna?

– O niej mówię. Przekaż jej, proszę, przyjacielskie ostrzeżenie. Polityka nieprzesadnie mnie interesuje, ale to chyba niezbyt bezpieczne, głosić wolnościowe poglądy akurat w Landfall.

Lodowy Baron skrzywił się przeraźliwie.

– Wiem, wiem, i proszę mi uwierzyć na słowo, że próbowałem. Lady Enna jest inteligentną kobietą, ale nalać jej kielich wina i od razu jej serduszko zaczyna krwawić... publicznie. Meln-Dun robi wszystko, co w jego mocy, by pojawiała się wyłącznie na tych przyjęciach, na których większość gości albo się z nią zgadza, albo nie ma zdecydowanych poglądów. Przepraszam, że pozostawiłem cię sam na sam z lady Enną, choć odniosłem wrażenie, że miło się wam rozmawiało.

– Taaaak. – Chyba tak. Vlora zwalczała kaca, a to oznaczało między innymi, że wracały jej wspomnienia z nocnej zabawy. – Ostatnie pytanie. Znasz, baronie, niejakiego Gregiousa Tampę? Prawnika?

Twarz Vallenciana rozjaśniła się.

– Znam! Gregious ma małą fabryczkę po drugiej stronie mokradeł. Sympatyczny człowiek, bardzo przyjazny.

– Fabryczkę? – Vlora znalazła w kieszeni wizytówkę Tampy. Pokazała ją baronowi. – Mnie powiedział, że jest właścicielem drukarni.

– Pierwsze słyszę. Pojawił się w Landfall przed zaledwie kilkoma miesiącami. Cieszy się chyba sympatią Mamy Palo. Jak rozumiem,

zamierza otworzyć kancelarię prawniczą, gdy tylko zbierze odpowiedni kapitał. Mam nadzieję, że mu się uda.

Vlora uznała, że lepiej nie wtajemniczać barona w szczegóły jej kontaktu z Tampą. Nie miała ochoty na kolejne natchnione kazanie i nie chciała, by ruszył do akcji przedwcześnie, wyposażony wyłącznie w niepewne informacje. Najważniejsze, by teraz zaczął szukać kogoś, kto wynajął zabójców. To jej coś przypomniało – ostrzeżenie, które Tampo przekazał Vlorze na chwilę przedtem, nim się pożegnali. „Strzeż się Jamy”. Nawet wtedy zabrzmiało to groźnie, ciekawe, czy miało coś wspólnego z atakiem, który przecież nastąpił jeszcze tej samej nocy.

Rozległ się huk, a potem długi, przeraźliwy trzask. Ręka Vlory sama skoczyła do miecza, ale nie miała go przy pasie.

– To drugi budynek – uspokoił ją Olem. – Inżynierowie postanowili zburzyć od razu oba.

– Mogliście mnie ostrzec. Vallencianie, bardzo ci dziękuję, że zechciałeś sprawdzić osobiście, czy nic mi się nie stało. No, muszę brać się do pracy, a ciebie, baronie, proszę, nie narażaj dla mnie swoich interesów.

Vallencian machnął ręką, jakby odpędzał od siebie jej zastrzeżenia. Podeszedł do drzwi.

– Dowiem się, kto stoi za zamachem na ciebie, lady Krzemień. Spróbuję także odszukać ciało Devin-Tallisa. To Ognista Jama, więc wszystkie ślady po napadzie znikły zapewne już dawno, ale mimo to spróbuję. – Ukłonił się z wyszukaną elegancją. – A teraz żegnam, życząc miłego popołudnia.

Z tymi słowy odszedł. Vlora westchnęła z ulgą.

– Naprawdę jest już po południu? – spytała. Przygładziła włosy palcami.

– Kwadrans po pierwszej – poinformował ją Olem.

Najwyższy czas, by sporządzić w myślach listę zadań na dziś, z tym, co najważniejsze, na początku. Vlora wiedziała, że powinna się cieszyć, miała z czego, na gali zrobiła furorę, lecz zamach po uroczystości kazał jej się zastanowić, czy to wszystko razem nie było

bardzo złym pomysłem. Wmieszała się w polityczne afery w dzielnicach biedoty, czyli zrobiła dokładnie to, czego obiecała sobie nie robić.

– Poinformuj agenta Bravisa, że czynię postępy – powiedziała do Olema. – I powiedz mu jeszcze, że będę potrzebowała środków oraz pozwolenia na budowę czegoś w samej Jamie, nie tylko na jej obrzeżu. A potem umów spotkanie z Meln-Dunem. I ostatnia sprawa. – Podała mu wizytówkę Tamy. – Przyjrzyj mu się bardzo dokładnie. Na samą myśl o tym człowieku mam dreszcze.



## 26 ROZDZIAŁ

**D**om rodzinny Flesów w Ognistej Jamie nie zmienił się od ostatniej wizyty Styke'a. Stał na samym dnie kamieniołomu, blisko wąskiej Ognistej Odnogi, którą Przełom Hadshaw ocierał się z Jamą, umożliwiając transport wielkich bloków wapienia barkami w górę i dół rzeki. Rezydencja, jedna z niewielu pozostałych tu osobnych kamiennych budowli, wychodziła na odnogę w ten sposób, że codziennie padały na nią słoneczne promienie, lecz teraz, gdy się do niej zbliżali, chwila ta dawno minęła, a dom tonął w głębokim cieniu.

Styke spodziewał się, że rodzinna rezydencja Flesów będzie już ruiną, Jama cieszyła się przecież określoną reputacją, okazało się jednak, że ulice w pobliżu oczyszczone są ze wszechobecnej mazi, a kamienna fasada budynku lśni czystością. Wiszący niegdyś nad drzwiami duży drewniany szyld z napisem: NAJLEPSZE MIECZE FLESA zastąpiła mała plakietka z brązu głosząca: DOM RODZINY FLESÓW. BRONI BIAŁEJ SZUKAJ U „FLES I FLES”, NA RYNKU HADSHAW.

Styke przez kilka minut przyglądał się domowi, podczas gdy Celine obchodziła najbliższą okolicę, by sprawdzić, czy Czarnym Kapeluszą nie udało się przypadkiem dotrzeć tu przed nimi. Obserwował także pracujących przy odnodze rzecznej Palo, ładujących odłamki wapienia na barki. Przy uliczce, jak daleko sięgał wzrok w obie strony, w regularnych odstępach stali uzbrojeni w pałki Palo w bladozielonych mundurach. Mieli swoją policję. Styke parsknął. Oni naprawdę przejęli kontrolę nad Jamą.

Celine wróciła, już z daleka kręcąc głową. Czarne Kapelusze nie miały nikogo pod domem Flesów, w każdym razie nikogo rzucającego się w oczy. Styke uznał to za dobry znak. Podszedł do bocznych drzwi, znalazł zapasowy klucz ukryty pod fałszywym sękiem mniej więcej w połowie framugi. Oboje z Celine weszli do starego warsztatu.

Większą część rezydencji już dawno przerobiono na kuźnię, służącą rodzinie jako źródło utrzymania. Teraz, gdy przeniesiono ją na rynek Hadshaw, tylko zbierała kurz. Było tu ciemno i cicho. Styke, prowadzący Celine, szedł przed siebie na pamięć, ale bez problemu dotarł do ciężkich dębowych drzwi, oddzielających warsztat od części mieszkalnej. Drzwi zacinały się, ustąpiły dopiero, kiedy naparł na nie całym ciałem.

Na część mieszkalną rezydencji składało się kilka wielkich pokoi w amfiladzie, od holu wejściowego poczynając, przez wielki salon, po kuchnię ze spiżarnią. Pierwsze, co Styke odczuł, to zapachy: dymny ubrań po całym dniu spędzonym w kuchni, oleju roślinnego i wapna, którymi po zmieszaniu nacierano ostrza. Styke doznał przedziwnego wrażenia, jakby cofnął się o dwadzieścia lat, do czasów, kiedy był młody i głupi, nie wiedział, co ze sobą począć, więc kręcił się po kuźni i flirtował z Ibaną, podczas gdy Stary Fles tworzył swe cudeńka za ścianą w warsztacie. Przy frontowych drzwiach stary fotel z twardego drewna nadal stał na skórze bagiennego kota, mocno już wytartej.

Styke z wysiłkiem zdusił w sobie wspomnienia. Poszedł do kuchni, skąd dochodził zapach płonącego w piecu drewna i gwizd

czajnika, w którym właśnie zagotowała się woda na herbatę.

Starego Flesa zastał przy piecu, z głową złożoną na kuchennej ladzie, śpiącego na stojąco z cichym pochrapywaniem. Celine trąciła go delikatnie. Drgnął, machnął ręką na nieistniejącą muchę, ale się nie obudził.

– Dlaczego starzy ludzie tyle śpią? – spytała dziewczynka.

– Zawsze był z niego straszny śpioch – odparł Styke. Zdjął czajnik z pieca. – Fles! Hej, Fles!

Brutalnie wyrwany ze snu stary wyprostował się i omal nie przewrócił.

– Nie śpię przecież, nie...! – Zamrugął. Musiał chyba najpierw przypomnieć sobie, gdzie jest, dopiero potem spojrzał na gości nieco przytomniej. – A wy co tu robicie?

– Powiedziałeś, że nie chcesz, żebym zachodził do ciebie na rynek – wyjaśnił Styke.

Fles przetarł oczy, przeciągnął się, wyrwał mu czajnik i zalał sobie herbatę w filiżance. Gościom jej nie zaproponował.

– No tak, oczywiście... Dziwne, że żyjecie. Myślałem, że to nowe miasto zdążyło was już pożreć.

– Jestem kaleką, ale nie inwalidą – warknął Styke. Paskudny staruch, zawsze udawało mu się go rozdrażnić.

– Słyszałem, że rozniosłeś bar pełen młodych Palo. Gdzieś tam, na Krawędzi.

Najpierw Olem, teraz Stary Fles.

– Dobre wieści szybko się rozchodzą, co?

– No przecież. – Stary mocno szturchnął Styke'a w brzuch kościstym palcem.

– Auuu...!

– Co to za jęki? Musisz być twardy, chłopcze. Czarne Kapelusze cię szukają.

– Wiem.

Brwi Flesa podjechały wysoko na czoło.

– Wiesz? No popatrz, popatrz, ten człowiek zdobywa informacje szybciej niż ja. Ja dowiedziałem się o tym pół godziny temu.

– Byli u ciebie? Na rynku? – Styke’owi nie udało się ukryć obawy. Fles uciszył go gestem.

– Nie.

– A tutaj?

– Jeszcze nie. W tym tygodniu uruchomiłem kilka starych kontaktów. Wychodzi na to, że Czarne Kapelusze rozpytują o ciebie. Nie nachalnie, nazwisko nie wypływa. Mówią ludziom, żeby rozglądali się za wielkim facetem z bliznami.

Styke skinął głową. Ulżyło mu, nawet bardzo. Być może Czarnym Kapeluszym umknęły jego związki z rodziną Flesów. Niezbyt prawdopodobne, ale nadzieja umiera ostatnia. Przynajmniej nie prześladowają jego starych przyjaciół. Jeszcze nie.

– Nie dotykaj! – Fles odtrącił dłoń Celine, wyciągającą się ku leżącemu na ladzie nożowi. – Obetniesz sobie palec!

Dziewczyna wysunęła dumnie żuchwę.

– Wiem, jak obchodzić się z nożami! – zaprotestowała.

– Moje są tak ostre, że można się nimi golić – ostrzegł ją stary i wrócił do rozmowy ze Stykiem. – Powiedz mi, o co chodziło tam, u Sender? To tam miałem zaaranżować ci spotkanie, prawda? Musiałeś ich pozabijać?

– Wcale nie chciałem. – Styke spojrział na starego przyjaciela, nie kryjąc złości. Cieszył się, że znów jest u niego w domu, jak za dawnych lat, ale radość ta już przygasała. Dlaczego wszyscy, nawet najlepsi przyjaciele, zawsze sądzili, że zabijanie go cieszy? Fakt, czasami cieszyło. Ale oni zakładali z góry tę radość, a to już bolało.

– Dzieci przyszły się bić – powiedział tylko.

– Zdobyłeś przynajmniej potrzebne ci informacje? Znalazłeś człowieka-smoka?

– A wiesz, że tak.

– Żartujesz? I jak wyglądał?

– Jak Palo, ale z czarnymi tatuażami na szyi i ramionach. – Styke sięgnął do pochwy za pasem na plecach, wyjął z niej kościany nóż. – Co o tym sądzisz?

Fles zagwizdał cicho. Odstawił filiżankę, wziął nóż człowieka-smoka. Trzymał go z wielką ostrożnością, obrócił w palcach, zanim ujął za rękojeść. Pchnął nim kilkakrotnie na próbę.

– Ostatni raz widziałem coś takiego, kiedy byłem dzieckiem. Cóż za wspaniała robota! – Podniósł nóż do zmrużonych oczu, podziwiał przez kilka długich chwil. – Ostry jak stal. Jest w nim magia... i krew. Dużo krwi.

Styke nie sądził, by w orężu człowieka-smoka była jakaś magia, jego Zdolność by ją wyczuła, ale nie miał zamiaru klócić się ze starym. Nie o noże.

Fles oddał mu kościane ostrze z wyraźną niechęcią.

– O takiej broni dużo się mówi. Stoi za nią kawał historii.

– Na przykład?

– No, na przykład broń człowieka-smoka wykonywana była wyłącznie z kości smoków bagiennych przez niego zabitych. Powiedziałbym, że ten nóż sporządzono z tylnej łapy, za to ich topory... Och, to prawdziwe dzieła sztuki. Rzeźbiono je ze szczęk, jeden z górnej, drugi z dolnej. Mówi się też, że każdą sztukę błogosławiło Kościane Oko, magii dodawał jej Uprzywilejowany, a hartowano ją w niewinnej krwi. Pewnie to wszystko bzdury, Palo są znacznie bardziej cywilizowani, niż jesteśmy to skłonni przyznać, nawet sami przed sobą, no i od setek lat nie mają własnych Uprzywilejowanych. Nawet Kościane Oko to u nich rzadkość.

Styke schował nóż do pochwy.

– To był Dynizyjczyk, nie Palo – powiedział spokojnie.

– Toż to śmiechu warte! Mieszkańców Imperium nie widziano tu od kilkuset lat!

– A jednak. Ktoś, komu ufam, powiedział mi też, że Dynizyjczyków widywano w Landfall już wcześniej.

Styke umilkł i zastanowił się, czy rzeczywiście ufa Tampie. Uznał, że tak czy inaczej, nie ma wyboru.

Fles krzywił się. Pocierał brodę.

– Gdyby tu byli, coś bym o tym słyszał – zaprotestował.

– Czyli nie słyszałeś?



– Nic a nic.

– Moje źródło twierdzi, że infiltrują Ognistą Jamę. Ukrywają się wśród Palo.

– Nie, nie, niemożliwe! – Stary wypił łyk herbaty, dopełnił filiżankę i wrzucił do niej kostkę cukru. – Ale jeśli nawet, w co bardzo wątpię, Palo będą o tym coś wiedzieć. Tylko musisz spytać któregoś w cztery oczy.

– Od tego mam ciebie.

Fles uniósł dłonie.

– Ja ci załatwiłem spotkanie z człowiekiem-smokiem. Przez moje kontakty. Zmarnowałeś okazję, a ja muszę tu żyć. Przysługi Palo kupuje się złotem, nie dam ci więcej mojego złota. A poza tym pytanie o Dynizyjczyka może oznaczać bardzo poważne kłopoty.

Ciekawe, skąd te opory starego, pomyślał Styke. Zgodził się zdobyć informacje o wielkim mistrzu Czarnych Kapeluszy, a nie zamierzał sprawdzić plotek wśród Palo? Dziwne.

– W porządku. W takim razie ja będę pytał. Kogo mam pytać?

– Chyba... Nie, nie jego. I jej też nie. – Fles rozważał w myśli kolejne kandydatury. – A ona to już na pewno nie. O, mam! Skontaktuję cię z Henrickiem Szakalem. Przecież to twój stary przyjaciel.

Styke nie słuchał uważnie, właśnie myślał, jak dotrzeć bezpośrednio do Palo. Zawsze załatwiał swoje interesy z nimi uczciwie, pamiętał, że zachowywali się tak, jakby go za to szanowali, ale minęło tak wiele lat. Młodzi Palo i ich szef człowiek-smok byli dobitnym dowodem na to, jak wiele. Jednak wymienione imię natychmiast przywołało Styke'a do rzeczywistości.

– Zaraz, chwileczkę... Powiedziałeś: Henrick Szakal?

– Dokładnie to powiedziałem. Wiem, że jesteś kaleką, ale nie sądziłem, że jesteś też głuchy.

Styke uniósł dłoń do oczu.

– Mniej więcej tak wysoki? Nie ma ucha i małego palca u ręki?

– Aha. To on. Jest teraz wśród Palo jakimś szamanem czy coś.

– Nieee... – parsknął Styke niedowierzająco. – Chyba nie Wściekły Szakal!

– A jednak to on.

Celine pociągnęła Bena za rękaw.

– Kto to taki ten Wściekły Szakal?

– Był jednym z moich kapitanów – odparł Styke powoli, z namysłem. – Formował ze mną Szalonych Lansjerów, ale zawsze miał źle w głowie. Wypruł flaki pewnemu majorowi z Małego Starland, bo major napluł mu na buty.

Oczy Celine robiły się coraz większe. Styke spojrział na starego, marszcząc czoło.

– Jesteś pewien, że Henrick Szakal jest teraz szamanem? Może po prostu kantuje?

Fles wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – przyznał. – Ale słyszałem, że jednak nie kantuje. Uczy uciekinierów, jak rozmawiać z duchem rzeki, i takie tam. Sami Palo uważają, że jest popaprany, ale tylko on troszczy się o młodocianych wyrzutków, co znaczy, że trzyma ucho przy ziemi. Wie więcej niż większość.

– No niech mnie... – Styke wyjął z kieszeni kawałek gumy rogowej, wsadził go sobie pod policzek. – Nigdy bym nie przypuścił, że Szakal robi się religijny.

Po raz ostatni widział Szakala gdy wraz z Ibaną, bezbronni, próbowali przedrzeć się przez szereg żandarmerii, podczas gdy Styke'a prowadzono przed pluton egzekucyjny. Był pewny, że Ibanie udało się wyjść cało z awantury, w końcu nosiła znane nazwisko, ale Szakal był tylko nieopanowanym Palo. Nie powinien żyć i cieszyć się wolnością. Dziwne.

Stary Fles zapisał mu adres, czy też opisał drogę, bo to w Jamie pełniło funkcję adresu. Styke schował kartkę do kieszeni. Gestem wskazał Celine, że wychodzą.

– Kiedy wraca Ibana? – spytał jeszcze.

– Za tydzień, może dwa? A może szybciej? Niech cię otchłań, skoro myślisz, że jestem w stanie przewidzieć, co przyjdzie do głowy

tej dziewczynie. W domu nie usiedzi, tylko załatwia interesy, przywozi nowych uczniów. Ma głowę do tych rzeczy, odziedziczyła ją po matce, ale zupełnie sobie z nią nie radzę. Dlaczego pytasz? Mam cię ostrzec przed jej powrotem, żeby cię nie nabiła na szpileczkę jak owada?

– Może? – Styke sam nie bardzo wiedział, dlaczego go to zainteresowało. Bardzo chciał zobaczyć się z Ibaną, ale też dobrze wiedział, że będzie to spotkanie bolesne i emocjonalnie, i fizycznie.

– Jasne, jasne. Uważaj, żeby drzwi nie odbiły i nie walnęły cię w tyłek i tak dalej. – Stary Fles machnął ręką w kierunku głównego wyjścia. – Wyjdźcie tamtędy – powiedział. – Te przeklęte drzwi warsztatu ciągle się zacinają, a mnie nie chce się z nimi walczyć. Nie dziś.

– Do widzenia, panie Fles – powiedziała grzecznie dziewczynka.

– Pa!

Przeszli oboje do korytarza. Styke zatrzymał się jeszcze na chwilę, obejrzał na wielki pokój, wypełniony meblami i drobiazgami, pamiątkami pozostawionymi przez pokolenia. Jego pokryta bliznami twarz skrzywiła się w uśmiechu. Złapał za klamkę, stojąc wciąż tyłem, obrócił się...

...i na progu stanął twarzą w twarz z mężczyzną w czarnym mundurze, koszuli zapinanej pod szyję z guzikami po lewej stronie, z pałąką, pistoletem za pasem i uniesioną ręką, jakby właśnie zamierzał zapukać. Za nim stała jeszcze piątka identycznie umundurowanych funkcjonariuszy. Zdążył wykrztusić „na otchł...”, kiedy nóż Styke’a pogrążył się w jego piersi aż po rękajeść.

Styke jedną ręką wepchnął Celine do domu Flesa, drugą przekręcił tkwiące w ciele ostrze. Podniósł ciało. Rzucił się do ataku, używając go jako tarczy. Funkcjonariusze wyciągnęli pistolety, rozległ się huk strzałów, trupem wstrząsało od uderzających w niego pocisków. Szalony Styke wyrwał nóż z rany, po czym cisnął martwym funkcjonariuszem w atakujących go agentów, ręką uzbrojoną w nóż wykonał szerokie cięcie, otwierając gardło stojącej po lewej stronie kobiety.

Pałka uderzyła go w ramię raz, a potem drugi. Zlekceważył ostry ból, pięścią uderzył próbującego zrobić mu krzywdę Czarnego Kapelusza tak mocno, że stopy mężczyzny oderwały się od chodnika. Chwycił opadającą pałkę innego agenta i nim zdążyła go trafić, chlasnął jego rękę z taką siłą, że odciął ją w nadgarstku. Podrzucił pałkę z wciąż ściskającą ją zakrwawioną dłonią, złapał za drugi koniec, zdzielił nią po twarzy poprzedniego właściciela, upuścił ją, sięgnął po kościany nóż człowieka-smoka i pchnął nim ostatniego Czarnego Kapelusza w oko.

Cała walka trwała nie dłużej niż dwadzieścia sekund. Styke oddychał ciężko z wysiłku. Po chwili pochylił się i dorznął dwóch agentów, zanim zaczęli krzyczeć. Podniósł wzrok. Policjant Palo przyglądający się pracy w kamieniołomie popatrzył tylko na Styke'a krótko, wzrokiem bez wyrazu. Na ulicy panowała cisza.

– Na Kresimira, a to narobiłeś bałaganu. – Fles stał w otwartych drzwiach, popijając herbatę. W wolnej ręce trzymał kuchenny nóż. Celine wyglądała zza jego pleców.

Styke spojrział na trupy i na kałużę krwi, rosnącą na skale kamieniołomu. Kilku Palo gapiło się na niego, inni odwrócili się i odeszli spokojnie. Rozpoznali czarne mundury ofiar i uznali, że to, co zaszło, ich nie dotyczy.

– Przestań marudzić i pomóż mi z ciałami – wydyszał Styke. – Celine, przynieś wiadro wody, trzeba zmyć tę krew. Ług powinien być nad piecem w kuchni.

Fles dopił herbatę. Westchnął.

– Przyjaciel ma świńską fermę i jest mi winien przysługę. Ale lepiej się pospieszmy.

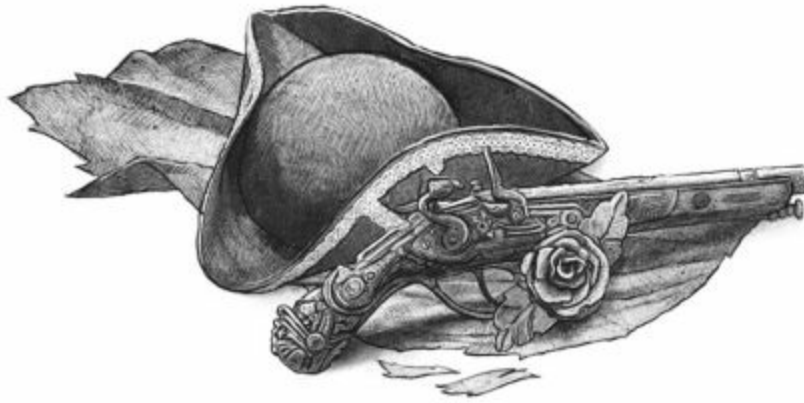


Dwie godziny później trupy były już uprzątnięte, a Styke w czystym ubraniu wszedł na pocztę, jedyną w całej Jamie. Stał grzecznie w kolejce, poczekał, aż znajdzie się przy okienku. Kobieta

mieszanej krwi, pół Palo, pół Rosvelka, o brązowej piegowatej skórze, przywitała go uprzejmie.

– List czy przesyłka? – spytała.

– Przesyłka. – Styke otworzył pięść, na ladę przed kobietą wysypało się sześć Żelaznych Róż. – Czy mogę dostać adres biura wielkiego mistrza tajnej policji?



## 27 ROZDZIAŁ

**M**ichel stał przed drukarnią znajdującą się we Wzgórzu Śródmiejskim: dużej, zamożnej dzielnicy zajmującej sam środek płaskowyżu Landfall. Przebiegł wzrokiem po trzymanej w ręku liście, na której wypisane miał wszystkie drukarnie z całego miasta, zarówno prywatne, jak i będące własnością państwa.

– Huffin i Synowie, Huffin i Synowie – mruczał pod nosem. Przesuwał palcem po marginesie kartek, bardzo się starał, by litery nie rozmazywały się przed zmęczonymi oczami. – A tak, mam, Huffin i Synowie. – Postawił znaczek przez środek nazwy. Opuścił rękę, popatrzył na słońce, błyszczące na porannym niebie.

Sprawdził godzinę. Było dobrze po dziewiątej. Kiedy to spał po raz ostatni? Zastanowił się głęboko.

– Tak – powiedział do siebie. – To szczerą prawdą. Nie spałem od co najmniej czterdziestu ośmiu godzin.

– Ale przedzemałeś trochę w dorożce – zaripostował natychmiast.

– No dobrze – zgodził się niechętnie.

– I poprzedniego dnia wieczorem, też w dorożce.

– W porządku – powiedział. – Niech ci będzie. W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin złapałeś dwie i pół godziny snu. Fantastycznie! To cię z pewnością utrzyma na nogach aż do końca tygodnia.

Przeczesał włosy palcami. Zauważył, że właściciel sklepu po sąsiedzku gapi się na niego ze zdumieniem.

– Prawdopodobnie lepiej byś jednak zrobił, gdybyś nie mówił do siebie głośno na ulicy – powiedział.

– Och, zamknij się – odpowiedział rozzłoszczony.

Pomachał sklepikarzowi, wyszedł na bulwar, złapał dorożkę i już wkrótce jechał nią z powrotem do Kapelusznictwa. Po drodze jeszcze raz sprawdził swoją listę. Dwieście osiemnaście drukarni w Landfall z przedmieściami – sprawdził połowę z nich w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin. On sam uważał to za imponujące osiągnięcie, ale miał nadzieję, że Fidelis Jes nie wezwie go do siebie jeszcze długo, nie zainteresuje się, jak jego agent wykorzystuje dany mu czas, ponieważ jego agent nie miał w ręku niczego konkretnego.

Ten Tampo jest dobry, bardzo dobry, myślał Michel, przyglądając się przez okno twarzom ludzi, zajętych zwykłymi codziennymi sprawami. Wydrukował te swoje broszury i natychmiast zszedł do podziemia. Nie wylezie z kryjówki, bo przecież wie, że go szukamy. Nie jest tak głupi, żeby ciągle drukować „Grzechy Imperium”. Nie ma mowy.

– Ale – wymamrotał już na głos – każdy może przecież popełnić jakiś błąd. Albo może mu się wydawać, że jesteśmy tak zajęci pilnowaniem, żeby nie wykopiało z garnka na ogniu, jakim jest dziś miasto, że zabraknie nam ludzi do sprawdzenia wszystkich drukarni.

I fakt, pomyślał, ludzi nam brakuje. Jes wysłał kogo mógł do polowania na Bena Styke’a, to nazwisko Michel pamiętał z dzieciństwa. Szalony Ben Styke, bohater rewolucji! No, no, no! Twardy staruch, że jeszcze żyje, minęło przecież tyle lat.

Zasypiał. Nie odpływaj! – nakazał sobie stanowczo. Wrócił do studiowania listy. Jeszcze sto parę drukarni do sprawdzenia. To da się załatwić w następne dwadzieścia cztery godziny, no, może w czterdzieści osiem, jeśli uzna za stosowne zwolnić. Niektóre z nich mieściły się daleko, na krańcach miasta. A kiedy już je sprawdzi, będzie mógł wrócić do swej prawdziwej roboty, cokolwiek to znaczyło, i może nawet przespać noc.

– Myślałem, że to przekłete zadanie pozwoli mi zrobić karierę, a teraz wygląda na to, że wręcz przeciwnie, nie pozwoli.

Dorożka zatrzymała się przed Kapelusznictwem. Michel zastanowił się przelotnie, czy nie powinien przypadkiem wrócić do domu. Chwiał się na nogach, bardzo potrzebował snu. Może złoży głowę na biurku na kilka godzin, potem wypije kawę, wyjdzie i zacznie od nowa?

Zapłacił dorożkarzowi. Wysiadł. Zobaczył wyjeżdżające na ulicę trzy karetki więzienne, eskortowane przez co najmniej dwa tuziny agentów, wszystkich uzbrojonych po zęby. Zamrugał pewny, że dwoi mu się w oczach, a potem podszedł do starego odźwiernego, siedzącego na stołku tuż przy podwójnych drzwiach prowadzących do wnętrza Kapelusznictwa.

– Hej, Keln, co tu się dzieje? – rzucił niespokojnie.

Stary przeżuwał chwilę w milczeniu, po czym odwrócił się i wypluł na chodnik spory kawałek tytoniu.

– Sześć medalionów Żelaznych Róż właśnie wylądowało na biurku wielkiego mistrza – powiedział.

Michel wysoko uniósł brwi. A to już była ważna wiadomość.

– O, na otchłań. Skąd się wzięły?

– Z Ognistej Jamy. Staramy się nie nagłaśniać sprawy. – Keln pochylił się ku Michelowi konspiracyjnie. – Mówi się, że przysłał je ten Ben Styke, którego Fidelis Jes kazał wszystkim szukać. Ale tego nie dowiedziałaś się ode mnie, słyszysz?

– Nie ma mowy.

– Jasne. Chłopcy jadą do Ognistej Jamy po ciała. Jeśli uda się je znaleźć.



– Jakież szanse?

– Posłali wiadomość do naszych kontaktów wśród Palo. Jeśli ciała są jeszcze w Jamie, Palo je nam wydadzą. Nie chcą kłopotów.

A my, pomyślał Michel, zrobimy pokaz siły, a po cichu zapłacimy im po kilka tysięcy krana za trupa.

– No to powodzenia – powiedział głośno.

– Jasne, przyda się. Jama sprawia nam ostatnio mnóstwo kłopotów, nie?

Michel mógł mieć tylko nadzieję, że jego twarz nie zdradza zdziwienia. W myślach poszukał tych problemów, ale oprócz zwyczajnych rozruchów i protestów, nie znalazł ani jednego.

– Co? – wybąkał.

– A lady Krzemień? – przypomniał mu Keln.

O, na otchłań! Zupełnie zapomniał o lady Krzemień. Nie kontaktował się z nią od kilku długich dni. Jeśli wziąć pod uwagę, jak ostatnio sprzyjało mu szczęście, to lady Krzemień pewnie leży twarzą w dół w jakimś rynsztoku.

– Jasne – powiedział głośno. – Lady Krzemień. – Zamilkł, szukał jakiegoś sprytnego sposobu na pociągnięcie za język starego odźwiernego, ale nic mu nie przyszło do głowy. – Co z lady Krzemień? – spytał wprost.

Brwi Kelna uniosły się wysoko.

– Nie ty przypadkiem jesteś jej kontaktem z Czarnymi Kapeluszymi?

– Co z lady Krzemień? – powtórzył Michel znacznie bardziej stanowczo.

– Banda gówniarzy Palo usiłowała ją zabić.

Michel stał nieruchomo, wpatrując się w Kelna, podczas gdy jego zmęczony mózg usiłował jakoś uporać się z tą rewelacją.

– O, na otchłań! – wykrztusił wreszcie, odwrócił się i pobiegł znaleźć dorożkę.



Na tyle wystarczyło mu przytomności umysłu, by wrócić i przed wizytą w Fort Loel zebrać wszystkie potrzebne informacje. Nie było ich wiele. Dotarł do fortu godzinę później. Zdziwił się niesłychanie, gdy zobaczył lady Krzemień stojącą na ulicy kilka przecznic dalej, przyglądającą się terenowi budowy, podczas gdy kilka setek jej żołnierzy wybierało gruz po zawalonej przez saperów kamienicy.

Michel wyskoczył z dorożki. Podszedł do generała, mając tylko nadzieję, że nie wygląda na zbyt przerażonego. Jego podopieczną zaatakowali zabójcy, a on przez dwa dni nawet się nie zorientował? Już Michel miałby do powiedzenia to i owo podwładnym, gdyby to im przydarzyła się taka wpadka.

Najpierw pomyślał, że Keln postanowił sobie z niego zażartować. Krzemień nie wyglądała na kogoś, kogo napadnięto i próbowano pozbawić życia. Na jej ciele nie było śladów walki, na mundurze także. Rozmawiała cicho z jakimś również umundurowanym najemnikiem, wydawała się być w doskonałym humorze. Najemnik, zapewne inżynier, odszedł. Zaczął wydawać rozkazy mozołącym się z uprzątnięciem gruzów ludziom.

Michel obserwował ją przez kilka minut. Zauważył, że czujne oczy lady Krzemień nieustannie penetrują otoczenie i że jej dłoń spoczywa na rękojeści miecza. Nie powiedziała, że jest zaniepokojona, wręcz przeciwnie, wydawała się nawet rozluźniona, ale z pewnością nie pozwalała sobie na chwilę nieuwagi.

Odchrząknął.

– Tak, agencie Bravis? – Krzemień nawet się ku niemu nie odwróciła. – Właśnie się zastanawiałam, jak długo zamierzasz tak stać.

– Przyglądałem się pracy pani ludzi – powiedział Michel z uśmiechem. – Wygląda na to, że czynicie szybkie postępy.

– A owszem, dziękuję za komplement. Roboty przy nowych domach zaczniemy jutro, najpóźniej pojutrze. Moi inżynierowie spodziewają się zakończenia budowy pierwszego pod koniec miesiąca.

– Och, imponujące. – Michel nie miał pojęcia, ile trwa budowa domu, ale wydawało mu się, że ci ludzie budują niezwykle szybko.

– Doprawdy zdumiewające, co można zrobić, kiedy ma się pięć tysięcy chętnych do pracy rąk i kilkudziesięciu kompetentnych inżynierów. Kiedy przechodzimy przez teren pod kontrolą nieprzyjaciela, co noc ogradzamy obóz. To daje sporo doświadczenia, no i utrzymuje ludzi w formie.

Michelowi wydawało się, że pamięta z jakiejś książki, że deliwjscy legionści postępowali tak samo.

– Doskonale, pani. Czy równie dobrze... – Michel przerwał, rozejrzał się, sprawdził, czy ktoś ich przypadkiem nie podsłuchuje – idą także inne sprawy?

– Nie tak szybko, jak bym chciała. Ale dokonałam znaczących postępów, jak sądzę.

Lady Krzemień wciąż na niego nie spoglądała. Michel miał wrażenie, że nie otrzyma od niej materiału do raportu, który mógłby przedstawić Fidelisowi Jesowi. Na otchłań, nie ma czasu i energii na takie gierki.

– Słyszałem, że zostałaś, pani, zaatakowana?

– Zostałam.

– Co się stało?

Krzemień wreszcie na niego spojrzała, trochę z góry, ale bardziej z gniewem.

– Myślałam, że wy, Czarne Kapelusze, wiecie o wszystkim, co się dzieje w mieście.

– Mamy pewne... ograniczenia. Prawdę mówiąc, w Kapelusznictwie wiemy tylko tyle, że napadła na ciebie, pani, grupa Palo. Nie wiemy natomiast, kim byli, dlaczego zaatakowali, nie znamy nawet źródła informacji. Wszyscy o tym mówią, ale nikt nie zna szczegółów. Miałem nadzieję, że usłyszę od ciebie, pani, jak to wyglądało z twojej strony. I oczywiście zapewniam, że udzielimy wszelkiej możliwej pomocy w wytropieniu napastników.

– Napastnicy nie żyją.

– Ach. – A ona nie miała nawet zadrapania. Sama się broniła czy miała ochronę?

– Zaatakowali z zasadzki, niedaleko Żółtego Pałacu, do którego zostałam zaproszona na galę. Nie wiem jeszcze, kto wydawał rozkazy i dlaczego. Właśnie nad tym pracujemy. Czy to cię zadowala, agencie Bravis?

Michel skrzywił się przeraźliwie.

Lady Krzemień była wściekła i oczywiście miała do tego prawo. Była przecież generałem, a jej rządowy kontakt czekał dwa dni ze sprawdzeniem, czy w zamachu nie odniosła szkody. Uznał, że nad tą sprawą najlepiej jak najszybciej przejść do porządku dziennego.

– Od bardzo dawna nie słyszałem, żeby ktoś wymieniał tę nazwę, Żółty Pałac. Jak rozumiem, to centrum władzy Mamy Palo, a ty, pani, dostałaś tam zaproszenie? Tak po prostu?

– Załatwił mi je Vallencian.

Michel nic nie mógł na to poradzić, musiał się uśmiechnąć. W mieście pełnym ludzi podłych, spiskowców i złodziei Lodowy Baron był jednym z tych niewielu, których uważał za naprawdę miłych.

– Zapamiętam to i bardzo dziękuję. Czy udało ci się, pani, spotkać z Mamą Palo?

– Nie. Wygląda na to, że nie spotyka się z nikim niewtajemniczonym. Ale udawanie, że chodzi tylko o budowę tych nowych domów, otworzyło mi drogę do górnych warstw społeczności Palo. Rozmawiałam z niejakim Meln-Dunem o możliwości rozpoczęcia prac takich jak tu – gestem wskazała rumowisko – także w samej Jamie. Komunalny program pomocy skierowany bezpośrednio do Palo, tak można by to nazwać. Wysłałam ci notkę na ten temat tuż po ataku. Nie dotarła?

Michel miał w pamięci stos nieprzeczytanych raportów, piętrzący się na jego biurku w Kapelusznictwie.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny, lady Krzemień, zajmuję się jednocześnie bardzo wieloma sprawami. Czy mogłabyś, pani, odświeżyć mi pamięć?

Musiał bardziej przyłożyć się do tego zadania, o wiele bardziej. Być może udałoby się mu na stałe przydzielić Warsima do lady Krzemień, choć Brązowa Róża i generał...? Nie, nie bardzo pasuje jedno do drugiego.

Pani generał prychnęła cicho. Michel postanowił udąć, że tego nie słyszał.

– Używa pani projektu budowlanego jako sposobu na zbliżenie się do Palo? – Ten pomysł wydał mu się wręcz fascynujący. Czarne Kapelusze miały ciężką rękę, podchodziły bez finezji do każdego interesującego ich aspektu życia społecznego Fatrasty. Wątpił, czy którejś ze Złotych Róż przyszło w ogóle do głowy, że wyciągnięcie do Palo pomocnej dłoni, a nie wdeptywanie ich w ziemię, zapewniłoby ich współpracę, której wszyscy pragnęli tak bardzo.

– W każdym razie taki mam pomysł – przyznała lady Krzemień. – Moim zdaniem to się uda, ale potrzebuję waszej zgody. I wszystkich posiadanych przez was informacji o Meln-Dunie. Zdaje się, że Vallencian mu ufa, ale Vallencian ufa, mam wrażenie, każdemu.

Michel poszukał nazwiska w pamięci.

– Meln-Dun jest współwłaścicielem jednego z niewielu kamieniołomów, które nadal funkcjonują tam, w Jamie. W przeszłości, o ile się nie mylę, był chętny do współpracy. Uchodzi za jednego z „tych dobrych”, w każdym razie tak by go pewnie nazwali moi koledzy z Kapelusznictwa.

– Więc mogę mu ufać?

– Wśród Czarnych Kapeluszy panuje powszechne przekonanie, że nie można ufać nikomu.

– Po tonie głosu poznaję, że nie zgadzasz się z powszechnym przekonaniem.

Za tę nieostrożność Michel przeklął w myśli sam siebie. Naprawdę bardzo potrzebował snu. To nie była jakaś wielka wpadka, ale gdyby zdarzyło mu się skrytykować Czarne Kapelusze wobec kogoś, kogo opinia Michela naprawdę obchodziła, czekałaby go długa rozmowa z którymś z co bardziej nieprzyjemnych funkcjonariuszy Kapelusznictwa.

– Chodziło mi raczej o to, że Meln-Dunowi można ufać w tym zakresie, w jakim w ogóle ufa się Palo. Moim prywatnym zdaniem Palo to ludzie jak wszyscy inni, więc...

– To twój okrężny sposób na powiedzenie mi, żebym wierzyła, w co chcę wierzyć?

Michel uśmiechnął się, miał nadzieję, że rozbrajająco. Chyba rzeczywiście powinien już pójść do domu. Parę godzin we własnym łóżku dokona cudu, którego nie dokona pochrapywanie w nieprzeczytane, zakurzone akta na biurku.

– W każdym razie Meln-Dun jest szanowanym biznesmenem. Pracując z nim, możesz, pani, czuć się bezpiecznie. Stoi także wysoko w hierarchii społecznej Palo. Nie mamy pojęcia, jak bliski jest Mamie Palo.

– Zbyt bliski. – Vlora skinęła głową. – Ryzykuję, że może wyczuć coś z naszego spisku przeciw Mamie. Jeśli posuniemy się zbyt daleko, stanie się dla mnie bezużyteczny.

– Dokładnie. – Michel pożałował w tym momencie, że w Landfall nie ma więcej ludzi pokroju lady Krzemień. O, na otchłań, więcej ludzi takich jak ona w szeregach Czarnych Kapeluszy! Ludzi rozumiejących niuanse, gotowych zastosować improwizowaną taktykę do likwidacji przeciwnika, na płaskowyżu było zdecydowanie za mało, a tych, którzy byli, relegowano do pracy za biurkiem, jak kapitan Blasdell. Jeśli dostanie Złotą Różę, to może spróbuje to zmienić?

Jeśli.

– Załatwię ci, pani, dostęp do Ognistej Jamy – powiedział głośno. – A także dostawę materiałów i pieniądze konieczne do rozpoczęcia prac w samej Jamie. Ale być może będziesz musiała przekonać Fidelisa Jesa, że robisz postępy w tamtej istotnej sprawie.

Generał Krzemień machnęła ręką z lekceważeniem, jakby uznała to za niemające żadnego znaczenia.

– Jeśli Jes ma jakieś wątpliwości, to nie powinien mnie zatrudniać. A jeśli ma zastrzeżenia do stosowanej przeze mnie taktyki, niech przyjdzie tu i powie mi to w twarz.

Michel z wysiłkiem powstrzymał wybuch śmiechu. Dlaczego ludzie tacy jak Krzemień nigdy nie awansowali na najwyższe stanowiska w mieście? Jeśli chcesz zostać Złotą Różą, jeśli chcesz trafić do wewnętrznego kręgu doradców lady kanclerz, musisz być kompetentny... i posłuszny. Uśmiechać się, potakiwać, lizać tyłki.

Ciekawe, czy lady Krzemień potrafiła cokolwiek z wyżej wymienionych.

Spojrzał na dłoń najemniczki spoczywającą na rękojeści miecza. Ciekawe, czy pokonałaby w pojedynku Fidelisa Jesa. Mówiło się o nim, że jest najniebezpieczniejszym człowiekiem w Landfall, ale Jes nigdy, przenigdy, nie walczył z kimś obdarzonym magicznymi zdolnościami. To, że pani generał udało się wyjść bez zadraśnięcia z pułapki zastawionej w Ognistej Jamie, powiedziało Michelowi, że dobrze potrafi walczyć, ale była przecież magiem prochowym. Potrafiła być dobra i bez prochu?

– Mam jeszcze jedno pytanie. – Głos lady Krzemień przerwał tok myśli Michela. – Czy znasz kogoś, kto nazywa się Gregious Tampo?

Z Michela zmęczenie opadło w jednej chwili, jakby utopił je w zatoce.

– Gdzie słyszałaś, pani, to nazwisko? – Starał się, by jego głos zabrzmiał jak najbardziej naturalnie, ale Krzemień musiała wyczuć ukrywane podniecenie. Odwróciła się, zmarszczyła czoło, zmierzyła agenta spojrzeniem od stóp do głów.

– Wydajesz się dzisiaj jakiś nieswój – zauważyła.

– To bez znaczenia. Tampo. Gdzie słyszałaś to nazwisko, pani?

Gregious. Miał pierwsze imię Tampy. To mogło bardzo ułatwić mu życie.

– Spotkałam go.

– Gdzie?

– W Żółtym Pałacu.

– Jesteś pewna, pani? Proszę mi go opisać.

Lady Krzemień zawahała się.

– Wysoki. Chudy. Ciemny brunet. Twarz jakby jastrzębia. Wydawał mi się dziwny, sprawiał wrażenie kogoś, kogo nie

chciałoby się spotkać w ciemnej uliczce, ale właściwie nie potrafię powiedzieć dlaczego. Na gali był dla mnie bardzo, ale to bardzo nieuprzejmy, aż zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam się go strzec.

Michel oblizał wargi. Pokusa, żeby powiedzieć pani generał o tej drugiej misji, była trudna do zwalczenia. Ale nie. Nie powinien zdradzać wszystkich swych kart.

– Mówił coś? – spytał tylko. – Powiedział może, kim jest, gdzie mieszka?

– Niewiele mówił. – Lady Krzemień sięgnęła do kieszeni. Podała Michelowi wizytówkę, na której napisane było tylko „Wieści Palo” i niżej, mniejszymi literami, „Gregious Tampo”. Adresu po drugiej stronie nie było.

– Powiedział, kim właściwie jest?

– Nawet jeśli coś powiedział, to sobie nie przypominam. Tyle, że prowadzi małą gazetę dla Palo, ale kiedy zapytałam o nią Vallenciana, baron powiedział, że nic nie wie.

– Mogę zatrzymać wizytówkę? – Nie czekając na odpowiedź, schował ją do kieszeni. Machnął ręką na przejeżdżającą właśnie dorożkę.

Trafiła mu się duża rzecz. Naprawdę duża rzecz. Nawet mała gazeta wymaga drukarni, a drukarnię można znaleźć. Po tym, jak Tampo uciekł z zasadzki w biurze, agent miał jakiś trop.

– Dziękuję, lady Krzemień. Zdobędę wymagane pozwolenie.

– Chwileczkę... Co z Tampą?

– Tampo – wyjaśnił Michel, patrząc na zbliżającą się dorożkę – jest zdrajcą stanu. Jeśli zdarzy ci się spotkać go znowu, pani, proszę go aresztować i wysłać do mnie. Do nikogo innego, tylko do mnie. Natychmiast. A teraz żegnam. Do Kapelusznictwa – polecił dorożkarzowi. Wskoczył na stopień.

Odnajdzie „Wieści Palo”. I tym razem Tampo mu się nie wyślizgnie.





## 28 ROZDZIAŁ

**K**ierując się wskazówkami Starego Flesa, Styke bez problemu odnalazł pasujący do opisu mały kościół Kresimira, wzniesiony pod zachodnią Krawędzią Ognistej Jamy. Był to grozący w każdej chwili zawaleniem, przegniły na wylot od panującej na dnie kamieniołomu wilgoci, zaniedbany drewniany budyneczek. Przyklejony do ściany, składał się z trzech pomieszczeń i wieżyczki, z której sznur Kresimira odpadł kiedyś, w dalekiej przeszłości. Wnętrze, choć dobrze oświetlone lampami gazowymi, także prezentowało obraz nędzy i rozpacz, na podłodze leżały śmieci, ławki dawno temu skradziono co do jednej.

Wzdłuż ściany kościółka stała porządnie spokojna kolejka ludzi. W środku ołtarz zastąpiony został wielkim garem zupy, otoczonym stosami sčerstwiałego chleba. Młodzi Palo w wieku Celine i starsi, nawet ponad dwudziestoletni, albo czekali w kolejce, albo już cieszyli się śniadaniem, przykucnięci przy ścianach lub siedzący ze skrzyżowanymi nogami na brudnej podłodze pustej kaplicy.

Styke'a więcej niż zdumiał widok człowieka rozdającego pełne miski podchodzącym do niego chłopakom. Przyglądał mu się przez

długą chwilę nierozpoznany, a potem wraz z Celine przykucnął przy ścianie wśród młodych Palo, którzy zrobili im miejsce bez słowa komentarza.

– Henrick Szakal – powiedział do dziewczynki. – Był sierotą, jak ty, a teraz... Tylko na niego popatrz. Opiekuje się dziećmi z ulic, na których kiedyś się bił, mordował i kradł. Zabawne, jak czasem układa się życie.

Jego słowa wywarły na Celine wielkie wrażenie.

– Wygląda na mordercę – powiedziała.

Styke włożył sobie do ust kawałek gumy rogowej. Przez chwilę żuł ją w milczeniu. Mała dziewczynka, z całą powagą oceniająca widzianego po raz pierwszy mężczyznę jako „mordercę”, mogła się wydawać zabawna, lecz to nie znaczy, że się myliła. Szakal nie miał ucha, brakowało mu małego palca u lewej ręki, ale nawet odliczając rany wojenne, i tak robił wielkie, onieśmielające wrażenie. Choć szczupły, był doskonale zbudowany, a przy tym zachowywał się z tą pewnością siebie, którą ludzie skłonni byli uważać za sygnał zagrożenia. Miał na sobie skórzane spodnie i założony na gołe ciało fartuch, rozpięty od góry tak, że ukazywał brzuch wystarczająco twardy, by znieść kopnięcie muła. Długie czerwone włosy nosił splecione i szesane na bok. Na zapadniętych policzkach widać było mnóstwo szarych piegów, jak to u Palo.

Fles powiedział o nim „szaman”.

– Henrick to nie jest imię Palo – zauważyła Celine.

– Szakal też. Ale sierota może przybrać imię, jakie się mu podoba.

Czekali pół godziny, ale kolejka wcale się nie przerzedziła: każdą wychodzącą z kaplicy grupkę najedzonych młodych Palo natychmiast zastępowała grupka głodnych młodych Palo. W pewnej chwili kocioł wymieniono na nowy, a wnoszący go chłopcy oznajmili, że wprawdzie chleb im się skończył, lecz ciągle mają czym nakarmić oczekujących.

Wydawało się już, że zajmie to cały dzień, kiedy do Styke’a i Celine podszedł chłopiec Palo. Podał im dwie miski zupy i dwie ostatnie kromki chleba. Styke szybko wypił zupę, okropną w smaku,

ale Celine nie grymasiła. Chłopiec nie odchodził. Zaczekał, aż skończą jeść, a potem powiedział w łamanym adrańskim:

– Szakal chce was widzieć. – Dostał za tę informację kilka drobnych monet.

Styke wstał, wyprostował nogi. Poszukał gumy w kieszeni, nie znalazł już ani kawałka, więc zapisał sobie w pamięci, by w powrotnej drodze koniecznie zajrzeć do apteki.

Poszedł do zakrystii, omijając po drodze kocioł, przy którym stanęli dwaj chłopcy. Znalazł się w ciemnym pomieszczeniu rozmiarów szafy. Mieścił się w nim, a i to z trudem, leżący na podłodze śpiwór i ołtarzyk z ludzką czaszką. Szakal klęczał przed nim twarzą do wejścia, z zamkniętymi oczami. Jego wargi poruszały się w milczeniu.

– Jakoś nigdy nie kojarzyłeś mi się z modłami.

– Nie modłę się. Rozmawiam – odparł Szakal.

– Z kim?

– Z duchem.

Styke przypomniał sobie wszystko, co wiedział o religii Palo. Wierzenia wielu plemion, zamieszkujących cały obszar Fatrasty, bardzo różniły się między sobą.

– Nie spotkałem jeszcze Palo wierzącego, że może rozmawiać z duchami.

– Bo większość Palo nie może.

Szakal robił przerwy pomiędzy zdaniami, a wówczas poruszał wargami i wyglądało to tak, jakby prowadził dwie różne rozmowy naraz. W końcu skłonił lekko głowę, otworzył oczy i przemówił ciepło:

– Pułkownik Styke. Kiedy duchy powiedziały mi, że jednak żyjesz, myślałem, że sobie ze mnie żartują. Życie po śmierci jest bardzo nudne, duchom nie wolno ufać.

Styke prychnął. Ciekawe, pomyślał, czy Szakal stracił wreszcie resztę klepek z tych, z którymi kiedyś się urodził.

– Dobrze cię widzieć – powiedział. – Myślałem, że kiedy żandarmeria skończy ze mną, weźmie się za ciebie.

– Próbowali. – Twarz Szakala pozostała nieruchoma. – Ibana zajęła ich i kupiła mi czas. Ja znikłem, a jej ojciec pociągnął za sznurki i wyciągnął dziewczynę na wolność.

– Sprytne. Jestem ci winien wdzięczność za to, że się za mną ująłeś.

– A co to dało?

Szakał wstał, sprężył się i z wdziękiem. Zbliżył się do Styke'a. Przed wojną wolał zachowywać dystans, rzadko podchodził do kogoś na odległość mniejszą niż wyciągniętej ręki, chyba że chciał go zabić. A teraz po prostu bez wahania przesunął palcem po grubej bliźnie przecinającej twarz Styke'a.

– Tak bardzo mi przykro.

Styke wcale nie był pewien, czy lubi tego nowego Szakala. Już wydawał mu się zbyt łagodny, by być tym samym człowiekiem, z którym walczył na wojnie ramię w ramię.

– Niczemu nie zawiniłeś – powiedział – i w ogóle zapomnijmy o tym, co było. Nie chciałem przerywać twojej... służby. Przyszedłem, bo miałem nadzieję, że może będziesz w stanie mi pomóc.

– Chodzi ci o dynizyjskiego człowieka-smoka, prawda?

– Skąd... skąd wiesz?

– Wiem, bo rozmawiam z duchami – stwierdził Szakał rzeczowo. – Od nich wiem też, że twoja dziewczynka ma na imię Celine, że jej ojciec był złodziejem i że zginął w obozie pracy. Od nich wiem, że zabiłeś dziś sześciu Czarnych Kapeluszy i że zamierzasz dowiedzieć się wszystkiego o zwyczajach Fidelisa Jesa, by móc zaatakować go i zamordować, gdy będzie się tego najmniej spodziewał.

– Och, na otchłań! – zaklął Styke. Szakał w żaden sposób nie mógł dowiedzieć się tego wszystkiego z własnych, prywatnych źródeł, choćby wśród Palo miał najlepsze możliwe układy. Pochylił się do niego, dyskretnie pociągnął nosem. Nie wyczuł magii. Duchy? Czyżby?

Szakał uśmiechnął się do Styke'a nieco protekcjonalnie.

– Jak chcesz, możesz mieć mnie za szaleńca, wszyscy mają. Ale mimo to przyjmiesz ode mnie informacje, tak jak ci chłopcy zupe,

prawda?

Styke syknął przez zęby. Zdecydowanie to nie ten Szakał, którego znał. Czy to oznaczało, że nie mógł mu już wierzyć? Czy Szakał został agentem Czarnych Kapeluszy, a może tylko miał swoje sprawy do załatwienia?

– Owszem, przyjmę – przyznał.

– Zastanawiasz się, czy możesz mi zaufać. A ja się zastanawiam, czy mogę zaufać tobie. W tej chwili służysz dwóm panom: lady Krzemień i... – Wargi Szakala znów zaczęły się poruszać. Przekrzywił głowę, jakby wsłuchiwał się w czyjś niesłyszalny głos. – I komuś, o kogo duchy nie chcą się nawet otrzeć. Dziwne. – Potrząsnął głową, wyraźnie czegoś nie rozumiał. – Widzę przed sobą Bena Styke’a – podjął. – Bena odmienionego. Kalekę. Nie jesteśmy już tacy, jakimi byliśmy, ale pamiętam, że nazywaliśmy się przyjaciółmi. Chciałbym, żeby to wróciło. I na dowód, że jestem przyjacielem, powiem ci wszystko, co wiem o Dynizyjczykach. Podejdz. Usiądz.

Usiedli obaj ze skrzyżowanymi nogami na śpiworze, po jego przeciwnych stronach. Celine przytuliła się do Styke’a. Słuchała słów Szakala jak zaczarowana.

– Tę informację zdobyłem w sposób tradycyjny – rozpoczął Szakał. Zza czaszki z ołtarza wyciągnął flaszkę, podał Styke’owi. – Duchy nie zbliżą się ani do Uprzywilejowanego, ani do Kościanego Oka. Nie przepadają za magami prochowymi i za ludźmi mającymi Zdolność, ale w tym wypadku na ogół potrafię je skłonić, żeby przyjrzały się im bliżej.

– Chcesz powiedzieć, że ludzie-smoki to Kościane Oczy?

Nie, to się wydawało niemożliwe, że swoją Zdolnością wyczułby ich magię.

– Nie, ale część z opowiadanych o nich historii jest prawdziwa. Kościane Oczy namaszczają ludzi-smoki, przez co mają pewną ochronę przed magią.

– Namaszczają?

– Nie wiem, co to znaczy, ale biorąc pod uwagę, że Kościane Oczy używają magii krwi, z pewnością nic dobrego.

- I to mówi człowiek, który rozmawia z umarłymi.
  - Rozmowa z umarłymi i używanie czyjejś siły życiowej dla potrzeb magii to dwie bardzo różne sprawy. Tak czy inaczej, w Landfall jest w tej chwili co najmniej czterech ludzi-smoków.
  - Czterech! A to sukinsyny!
  - Co najmniej czterech. Dynizyjczycy przebywają tu co najmniej od roku. Infiltrują różne frakcje w Ognistej Jamie. Dysponują dziesiątkami szpiegów, do służby swojej sprawie rekrutują młodych rozczarowanych Palo.
  - Jak tych czterech z U Sender?
  - No właśnie.
  - A ta ich sprawa?
- Szakał się skrzywił.
- To jest już nieco trudniejsze. Opowiadają dzieciakom o chwale Imperium, o bogactwie i rozwiąłości ich cywilizacji, i obiecują złote góry, jeśli będą miały oczy i uszy otwarte.
  - Na co?
  - Na wszystko. Szpiedzy Dynizyjczyków gromadzą informacje dokładnie tak, jak Czarne Kapelusze.
  - Czyżby przygotowywali coś w rodzaju inwazji? – zdziwił się Styke. – Przez ponad sto lat Imperium kryło się za zamkniętymi granicami. Po co miałyby raptem ujawnić się w Landfall?
  - Posuwamy się chyba jednak zbyt daleko – zaprotestował Szakał.
  - Mogą po prostu chcieć otworzyć granice. Zgodnie z naszą wiedzą możemy przypuścić, że rozesłali szpiegów po całym świecie, żeby sprawdzić, jak rozwinęła się cywilizacja od czasu, gdy przestali liczyć się jako jego potęga.
  - Duchy powiedziały ci tylko tyle? Nic więcej?
  - Jeśli to kpina, nasza rozmowa właśnie się skończyła.
- Styke pohamował się, sarkazm w niczym mu nie pomógł.
- Przepraszam. To wszystko razem jest dość trudne do przełknięcia.
  - Duchy miały wielkie kłopoty z przeniknięciem do Dynizyjczyków – powiedział Szakał po chwili zastanowienia. – Ich

Uprzywilejowani strzegą granicy, próby przekroczenia jej magią są z góry skazane na niepowodzenie. Ich ochrona funkcjonuje całkiem skutecznie także przeciw umarłym. Mniej więcej tak samo trudno szpiegować Dynizyjczyków jak lady kanclerz Lindet, kiedy pozostaje pod osłoną Uprzywilejowanych.

– Naprawdę myślisz, że Dynizyjczycy mogą po prostu nas wyczuć?

– Całkiem możliwe.

– Co mają z tym wspólnego dynizyjscy ludzie-smoki?

– Pojawili się... – Szakał przymknął oczy. – Pojawili się przed paroma miesiącami i od razu zaczęli nawiązywać kontakty z tymi swoimi szpiegami tu, w mieście.

– Coraz bardziej wygląda mi to na przygotowania do inwazji – skrzywił się Styke. – Zrobiłbym dokładnie to samo. – Oczami wyobraźni widział armię ludzi-smoków, maszerujących wzdłuż wybrzeża na Landfall. Po przeprawie z tym, z którym walczył przed dwoma dniami, Styke mógł powiedzieć z całą pewnością, że przeszliby po garnizonie Landfall z taką łatwością, z jaką nóż przecina miękkie masło.

– Oni czegoś szukają – przywołał go do rzeczywistości przyjaciel.

– Czego?

– Boskich kamieni.

Szczególna nazwa. Styke zmarszczył brwi.

– Co to takiego te kamienie?

– Nie jestem pewien – przyznał Szakał. – Po raz pierwszy usłyszałem o nich dwa dni temu, z ust chłopca, którego zabiłem u babci Sender.

Styke poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku.

– I co powiedział? – spytał.

– Z ducha najłatwiej wycisnąć informacje, gdy ktoś umiera. Albo rodzi się, to zależy, z której strony patrzeć. A mnie zdarzyło się być na miejscu, kiedy akolita człowieka-smoka właśnie przechodził z jednego świata do drugiego.

– Och. – Styke poczuł, że ma dość.

Magia nigdy go specjalnie nie martwiła, wyczuwał ją na miłę, a zbroja, którą nosił w czasie wojny, broniła przed ciosami Uprzywilejowanych równie dobrze jak przed kartaczami, ale od tej gadki o rozmowach z duchami skóra mu cierpła. Martwi są martwi, a jako człowiekowi, który wielu doprowadził do tego stanu, Styke'owi bardzo zależało, żeby śmierć nie okazała się odwracalna. Tylko że musiał wiedzieć, a dowiedzieć mógł się tylko tutaj. Spróbował stłumić niepokój.

– Wyciągnąłeś z niego jeszcze coś?

– Nic użytecznego. Ten człowiek-smok nazywa się Kushel. Jest w średnim wieku, pochodzi z miasta Podpory Niebios w Dynizie. Jak rozumiem, szukał boskich kamieni przez niemal całe swoje dorosłe życie. Jest przekonany, że znajdzie je tutaj, w Landfall.

Styke poprawił się na podłodze. Patrzył na czerwone plamy na karku Celine. Bledły już, jak pamiątki z walki u niego, na brzuchu i klatce piersiowej. Siniaki w końcu znikną, ale na myśl o człowieku-smoku, który nie wahał się tak brutalnie potraktować dziecka – jego dziecka! – krew zawrzała Styke'owi w żyłach. Zabiłem wielu ludzi, powiedział sobie, ale dziecka nigdy nie skrzywdziłem! Nigdy! Pamiętał, co myślał o wojownikach i o tym, jak niewielu ich pozostało na świecie. Może to i staroświeckie, ale dla Bena wojownikiem był ten, kto młodych i kalekich zostawiał w spokoju, a także strzegł tych, których powierzono mu w opiekę.

– Potrzebuję więcej informacji – powiedział głośno.

– Mogę spróbować...

– Nie. Potrzebuję informacji wprost od człowieka-smoka. Muszę znów wywabić go z ukrycia.

Szakał zawahał się. Znaczącym spojrzeniem obrzucił najpierw bliźnię na twarzy przyjaciela, a potem jego niesprawną dłoń.

– Obaj się zmieniliśmy – powiedział łagodnie. – Tamten Styke zapewne mógłby walczyć z człowiekiem-smokiem jak równy z równym, ale w tym stanie...

– Jasne. – Słowo zabrzmiało gorzko nawet w jego uszach. – Przecież wiem, że jestem kaleką. Ale nadal jestem też Szalonym



Benem Stykiem... i nadal nie jestem głupcem. Możesz dotrzeć do niego, prawda? Te twoje duchy powiedzą ci, gdzie jest, a twoi mali Palo zaniósł wiadomość?

– To nie jest dobry pomysł.

– Nawet jeszcze nie wiesz, co to za pomysł. Chcę, żebyś powiedział temu Kushelowi, że mam jego nóż. Może go odebrać na placu apelowym Fort Loel.

– Przecież to oczywista pułapka. – Szakal zacisnął wargi.

– Jasne. Oczywista pułapka. Nie mam zamiaru sam stawać przeciw temu człowiekowi. Jeśli jest legendarnym wojownikiem, może walczyć ze starym kaleką o to, co dla niego ważne, na warunkach starego kaleki. Jeśli przegram, przynajmniej będę wiedział, że lady Krzemień wsadzi mu kulę w łeb. Bardzo pocieszające.

– Nie da się na to nabrać!

Styke wyjął kościany nóż człowieka-smoka oraz własny. Pokazał oba przyjacielowi, jeden obok drugiego.

– W opowieściach słyszy się, że broń jest częścią tożsamości ludzi-smoków. Gdyby ktoś, kogo nienawidzę, miał mój nóż, przebiłbym się przez brygadę piechoty, żeby go odzyskać. – Schował noże, jeszcze raz spojrzął na ślady na karku Celine. – Ty tylko przekaż mu wiadomość.



## 29 ROZDZIAŁ

**V**lora patrzyła na ślad krwi w kleistej mazi, pokrywającej podłoże Ognistej Jamy, walcząc z ogarniającą ją wściekłością. Czuła tę wściekłość niczym żywą istotę, zamkniętą w stworzonej dla niej klatce umysłu. Vlora obawiała się jednak, że klatka ustąpi przed siłą tego obezwładniającego uczucia. Usiłowała utrzymać obojętny wyraz twarzy, zachowywać się profesjonalnie, lecz jednocześnie magicznymi zmysłami sięgała dookoła, wyczuwała czarny proch u otaczających ją żołnierzy. Jak człowiek stojący nad przepaścią walczy z nienaturalną ochotą, by się w nią rzucić, odczuwała pokusę detonowania każdego ziarnka prochu w zasięgu kontrolowanym przez jej magię. Zabiłoby to ją, jej ludzi i setki bez wątpienia niewinnych Palo.

Lecz być może także tych winnych.

– Powiedz mi, proszę, że coś jednak wiemy – powiedziała cichym, spokojnym głosem.

Zdolność Olema pozwalała mu obchodzić się bez snu, lecz jego przekrwione oczy powiedziały Vlorze aż nadto wyraźnie, że

w poszukiwaniu informacji pułkownik przekroczył granice zmęczenia. W tej chwili kopcił jak komin, a błysk w jego źrenicach wydawał się świadczyć, że doskonale wiedział, jaka to autodestrukcyjna bestia panoszy się w głowie jego kochanki.

– Wiemy tylko tyle, że tu widziano ich po raz ostatni – odpowiedział.

Stali w Ognistej Jamie, nie więcej niż pięćdziesiąt jardów od jej granicy, Krawędzi. Jedyne światło pochodziło od umieszczonych w strategicznych miejscach zwierciadeł. Brudne uliczki – bardziej korytarze niż uliczki – były puste, żadnego Palo w zasięgu wzroku, i dziwnie, groźnie ciche. Vlora miała ze sobą dwudziestu żołnierzy, patrzących wprost przed siebie i zachowujących doskonale milczenie.

Byli z nią wystarczająco długo, by bezbłędnie rozpoznawać nastroje pani generał.

Zaczęło się od jednego inżyniera, który w towarzystwie oddziału najemników, mających być jego ochroną, zszedł rano do Jamy celem zbadania, jak zawalić przecznice wypełnioną pajęczą siecią mieszkań. Inżynier wraz z żołnierzami zaginął. W trzy godziny po tym, gdy miał się zameldować z powrotem, Vlora postanowiła osobiście poprowadzić oddział ratunkowy. Po kolejnych trzech godzinach mieli tylko tę plamę krwi i trop, który zdążył całkowicie wystygnąć.

– Tu widziano ich po raz ostatni? – spytała Vlora. – A co wtedy robili? Była jakaś strzelanina? Jeśli tak, czy ktoś słyszał strzały? Może chociaż okrzyki? Olem, na otchłań, potrzebuję odpowiedzi!

Pułkownik spojrzał na nią lekko zwięzonymi oczami. Natychmiast pożałowała, że podniosła głos.

– Odwiedziliśmy wszystkie mieszkania w promieniu stu jardów. Nikt nie doniósł nam o niczym, co odbiegałoby od normy. Samo to, że ktoś tam wspomniał, jakoby widział ich przechodzących obok, już zakrawa na cud.

Nie chcą nas tutaj, zdawał się mówić.

Tym gorzej dla nich, prawda?

Vlora odpowiedziała hardym spojrzeniem.

– Milczenie Palo, co? – Przypomniała sobie rozmowę z Gregiousem Tampą i jego brzmiącą niczym ostrzeżenie uwagę, jakie miejsce zajmuje w hierarchii tubylców. Była dla nich złem, a choćby myśl, że można to zmienić przez uściśnięcie kilku dłoni i szeroko już rozpowszechnione zapowiedzi podjęcia prac nad przebudowaniem kilku kwartałów, zakrawała na głupotę.

– Milczenie Palo – przytaknął Olem.

– Rozszerzyć zasięg poszukiwań do dwustu jardów. Wezwijcie posiłki z góry. Musimy znaleźć naszych ludzi.

Vlora wydała te rozkazy niemal szeptem. Od razu zorientowała się, że Olemowi wcale się nie spodobały.

– Nie powinniśmy ryzykować dodatkowych ofiar – powiedział. Zabrzmiało to bardzo rozsądnie.

– Nie zostawię naszych.

– Każda spędzona tu minuta oznacza, że nasi wrogowie mają dodatkową minutę na zaplanowanie kolejnego ataku.

Olem spojrzał znacząco na plamę krwi.

– Wykopywanie ludziom drzwi mieszkań będzie działało wyłącznie przeciwko nam. Powinniśmy wrócić do fortu i przegrupować się.

Vlora przymknęła oczy. Wiedziała, że pułkownik ma rację. Jej odpowiedzialność rozciągała się na więcej niż dziewięciu zaginionych. Inżynier, Petaer, był wyjątkowo utalentowanym młodym człowiekiem i jego życie miało szczególną wartość, ale towarzyszyli mu zwykli żołnierze piechoty. Jej żołnierze, mimo to szeregowi piechocińcy. Miała pod komendą brygadę, w porównaniu z nią pluton nie był ważny. Jednak jeśli poświęci pluton, to czy żołnierze nie zaczną zastanawiać się, kiedy taki los spotka także ich?

– To rozkaz – powiedziała. Uniosła powieki, spojrzała wprost w oczy Olema. Widziała, że skrzywił się lekko, że miał ochotę zaprotestować, ale nie. Popatrzył w bok, rzucił papierosa w maż, przydepnął niedopałek.

– W porządku – powiedział cicho.

– Dwieście jardów. Jeśli czegoś się dowiedzą, niech natychmiast mi to przekażą. Zabraniam stosowania siły. Nasi ludzie mają poruszać się wyłącznie w grupach nie mniej niż dwudziestoosobowych. Przekaż polecenie, by rozpoczęli sporządzanie mapy tej części Jamy. W trzech wymiarach. Chcę wiedzieć, jak wygląda ten labirynt. Kończymy o ósmej.

Olem ożywił się natychmiast.

– Mapa to dobra rzecz.

– I dlatego tak dobrze mi płacą. – Vlora klepnęła go po ramieniu z entuzjazmem, którego wcale nie czuła. Obróciła się w stronę wejścia do Jamy, widocznego w słabym świetle, mającym źródło za ich plecami. – Sprowadźcie Meln-Duna. Jeśli mam się bawić w tę ich politykę, chcę, żeby chronił moich ludzi.



Meln-Dun wszedł do pomieszczenia pełniącego funkcję biura Vlory, trzymając kapelusz w ręku, z sympatycznym, lecz dobrze kontrolowanym uśmiechem na wargach. Generał uściśnęła jego dłoń, wskazała mu krzesło, a Palo, gdy tylko usiadł, zaczął mówić, nie dopuszczając jej do głosu.

– Z wielką przykrością przyjąłem wiadomość, że doświadczyłaś, pani, strat w ludziach – zaczął.

Vlora świadomie, z wysiłkiem, zachowała obojętny wyraz twarzy, jej oczy nawet się nie zwięziły. Jak ten Palo dowiedział się o ataku?

– Więc wiesz, panie?

– Wiadomości szybko rozchodzą się w naszej Jamie, a poszukiwania trwają od wielu godzin.

Oczywiście. Kilkuset żołnierzy pukających do drzwi w jednym z kątów Jamy musiało przyciągnąć uwagę całej Jamy. Przez to, co się stało, Vlora szukała dziury w całym i była skłonna podejrzewać każdego o wszystko, a przecież Meln-Dun nie zrobił nic takiego, przez co musiałaby przestać mu ufać.

– Bez wątpienia. I dlatego miałam nadzieję na twoją, panie, pomoc w odszukaniu zaginionych.

Palo najwyraźniej spodziewał się usłyszeć właśnie to, bo skinął głową, nim skończyła mówić.

– Lady Krzemień, przekazałem już moim kontaktom polecenie rozpoczęcia poszukiwań. Uważam za zaszczyt, że zwróciłaś się do mnie z tą prośbą, pani. – Zawahał się. – Cieszysz się reputacją osoby szanującej szczerść, mam rację?

– To prawda. – Vlorze niezbyt spodobało się to pytanie.

– W takim razie muszę powiedzieć szczerze, że nie spodziewam się odnalezienia twoich, pani, żołnierzy żywych. Jeśli w Jamie ginie dziewięciu żołnierzy, trudno założyć, że się po prostu zgubili.

– Nie jestem głupia. – Vlora mogła mieć tylko nadzieję, że jej słowa nie zabrzmiały zbyt ostro. – Rozumiem przecież, że mogą nie żyć, i to od dawna. Ale zawsze jest jakaś, choćby minimalna szansa i trzeba się spieszyć. Nawet ciała chciałabym odzyskać jak najszybciej.

– Doskonale to rozumiem.

Meln-Dun wpatrywał się w jej oczy, a Vlora znów zastanowiła się nad jego motywami. Zdążyła się już przyzwyczaić, że zawsze operowała w strefach wpływu: gubernatorzy, generałowie, Uprzywilejowani, nawet królowie – i że musiała adaptować sposób myślenia do kategorii machinacji panów w dzielnicach biedoty. Być może ten Palo chciał poprawić swoją pozycję w hierarchii Jamy? A może zależało mu, żeby prace budowlane zaczęły się tam jak najszybciej? Zadała sobie pytanie, czy ma to w ogóle jakieś praktyczne znaczenie. Gdy tylko znajdzie Mamę Palo, jej zadanie zostanie wykonane. Będzie mogła zapomnieć o lokalnej polityce.

Vlora jednocześnie snuła takie rozważania i ganiła się w myślach za arogancję. Czyżby rzeczywiście los mieszkańców Landfall aż tak jej nie obchodził? Czy będzie w stanie tak po prostu zarzucić plany nowych mieszkań w Jamie i odmaszerować, bo dostała kolejną misję? Prace, które wykonywała teraz, mogły przecież stać się natchnieniem dla nowych pokoleń – może polityka, który dziś był

dzieckiem, albo generała. Byłoby krótkowzrocznością tak po prostu zostawić to, co teraz robiła, niezakończone.

Co lubił powtarzać Tamas? Drobne sprawy zwykłych ludzi to smar, dzięki któremu funkcjonuje wielka maszyna cywilizacji.

Ona sama nie była wystarczająco dobrą aktorką, by grać rolę zainteresowanego obcokrajowca. Musiała się troszczyć i owszem, troszczyła się. Być może właśnie to Meln-Dun wyczuł w niej podczas pierwszego spotkania.

Przywołała się do rzeczywistości, uśmiechnęła do gościa. Odpowiedział jej uśmiechem.

– Troska o podkomendnych bardzo dobrze o tobie świadczy, pani. Czarne Kapelusze spisują swoich martwych na straty. Żegnają ich machnięciem ręki, zależy im wyłącznie na odzyskaniu Róż, które nosili na szyjach.

– Czy to się często zdarza? – Vlorę poruszyła się na krześle. – Że ludzie znikają?

Meln-Dun wahał się chwilę, nim udzielił odpowiedzi.

– Coraz częściej... od czasu, gdy do władzy doszła Mama Palo. Rzeczywiście, w Jamie giną ludzie, czasami cywile, ale głównie Czarne Kapelusze. Taka jest rzeczywistość, a ludziom jak ja ta rzeczywistość bardzo przeszkadza w prowadzeniu interesów.

Vlorę zaskoczyła uczciwość tej odpowiedzi. Uważała za oczywiste, że wszystkich Palo łączy nienawiść do rządu. Tymczasem w głosie Meln-Duna brzmiał żal. Było w tym coś dziwnego. Coś, co powinno dać się wykorzystać.

– Nie nienawidzisz, panie, Czarnych Kapeluszy?

– Ach, lady Krzemień, nie łap mnie za słówka, bo nie dam się tak łatwo złapać – odparł Palo natychmiast i tylko w części żartobliwie. Nie zamierzał mówić źle ani o lady kanclerz, ani o jej sługach.

Przemówił jak prawdziwy polityk, pomyślała Vlorę. Taka odpowiedź, niebędąca w istocie odpowiedzią, często mówiła więcej niż po prostu odpowiedź. Meln-Dun nie ufał Czarnym Kapeluszą, ale też trudno było spodziewać się, że im ufa.

– A polityka Mamy Palo? Z nią też się nie zgadzasz, panie?

– Tak bym tego nie ujął. – Palo ostrożnie dobierał słowa. – Zauważyłem tylko, że aktów gwałtu i zniknięć jest w Jamie więcej od czasu objęcia rządów przez Mamę Palo. Wspiera rewolucjonistów uciekających się do przemocy, jak Czerwona Ręka, wspiera ich agentów. Interesy na tym cierpią.

Vlorze powoli kształtował się w wyobraźni obraz mężczyzny, tkwiącego między młotem Czarnych Kapeluszy, rządzących Landfall, i kowadłem opryszków Mamy Palo, rządzących Jamą. Zastanawiała się, jakie może mieć motywy, poza finansowymi, i właśnie dostała odpowiedź: Meln-Dun chciał znaleźć trzecie wyjście, by mogli obdarzyć coś prawdziwą lojalnością. Trzeba być twardym człowiekiem i mieć charakter, by w takim towarzystwie uprawiać tak niebezpieczną grę.

Warto spróbować sięgnąć głębiej.

– Proszę wybaczyć, jeśli zabrzmiało to niezbyt uprzejmie, ale czy uważasz się, panie, bardziej za biznesmena niż za Palo?

Meln-Dun uniósł podbródek.

– Jestem jednym i drugim, lady Krzemień. I to dla mnie powód do dumy.

– Oczywiście, oczywiście.

– To jak spytać ciebie, pani, czy jesteś bardziej Adranką, czy generałem. Śmieszne!

Vlora zauważyła, jak jego spojrzenie staje się czujne i jak garbi się lekko niczym kot, niepewny, czy już zagoniony został do kąta. A więc grał na dwa fronty. Mogła postawić na to swój miecz.

Uspokoiła gościa gestem dłoni.

– Bardzo przepraszam. To rzeczywiście było śmieszne.

Meln-Dun rozluźnił się powoli. Usiadł wygodniej.

– Mam wielką nadzieję – powiedział – że współpraca pomiędzy nami przy budowie mieszkań w Ognistej Jamie będzie pierwszym krokiem do czegoś znacznie ważniejszego. Na tyle, na ile to możliwe, na swój skromny sposób, chciałbym doprowadzić do zelżenia napięcia między Palo a Fatrastanami.



– Może tego dokonać wzniesienie nowych budynków mieszkalnych? – zdziwiła się Vlorą. Wpatrywała się przy tym w oczy Palo, szukała jakichś możliwości odkrycia, co naprawdę sobie myśli. Nowa dla niej wiedza o tym, że jednak pożąda on jakiejś władzy, mogła w przyszłości okazać się bardzo użyteczna. Tylko musiała postępować bardzo ostrożnie.

– Wzniesienie nowych domów jest dobrym początkiem.

– A koniec?

– Koniec może być tylko jeden, oczywisty. Palo i Fatrastanie pracują wspólnie dla powszechnego dobra.

– Zaiste, godne pochwały. Jakie kroki chcesz, panie, podejmować po drodze do tego celu?

Meln-Dun pochylił się w krześle gwałtownie, jakby zdziwiło go, że lady Krzemień w ogóle się tym interesuje.

– Początek to rozciągnięcie planów modernizacyjnych Lindet także na Jamę. Następnie należałoby ożywić handel między Jamą a resztą miasta. Być może po jakimś czasie dałoby się przekonać lady kanclerz do udzielenia Palo pozwolenia na mieszkanie w innych, przyjemniejszych dzielnicach. Im bardziej się zbliżymy, Fatrastanie do nas, a my do Fatrastan, tym mniejszy będzie nasz wzajemny strach.

– Nie nazwałabym cię idealistą, panie – powiedziała Vlorą.

– Nie jestem idealistą, lecz pragmatykiem i nawet nie udaję, że jest inaczej. Poprawne stosunki między stronami sprzyjają robieniu interesów.

Vlorą nie mogła się nie roześmiać.

– Bardzo przypomina mi to mojego dobrego przyjaciela, Ricarda Tumblara.

– Słyszałem to nazwisko. Jest znanym Adrańczykiem, prawda?

– Bardzo znanym. To biznesmen i pierwszy pierwszy minister wybrany przez lud.

– Ach, oczywiście. Wyboru dokonano po tym, gdy wasz marszałek polny posłał króla na dilo... gilo...

Meln-Dun miał problem z zapamiętaniem słowa „gilotyna” i Vlora może nawet by się w tym momencie roześmiała, gdyby nie wróciły do niej wspomnienia przewrotu i wywołanej nim wojny z Kezem. Bardziej niż cokolwiek to tamte lata i tamte wydarzenia uczyniły ją taką, jaką się stała. Wracała do nich pamięcią bez niechęci, lecz z żalem. Tyle niepotrzebnych śmierci, tyle zrad, wielkich i małych.

– Tak, właśnie tak – powiedziała głośno. – I to temat na zupełnie inną rozmowę. Cieszę się, panie, że potrafisz zrobić dobry użytek ze swego pragmatyzmu. Za często oznacza on po prostu cynizm.

– Sądzę – powiedział Meln-Dun z namysłem – że jest to słowo dobrze opisujące Mamę Palo. Cynizm. Idealistyczny cynizm, ale... – Zawahał się, obejrzał, jakby oczekiwał, że Mama Palo czai się za jego plecami. Vlora wskazała mu gestem, że oprócz nich nie było w pomieszczeniu nikogo.

– Możesz mówić swobodnie, panie. Jeśli wiesz o mnie cokolwiek, to z pewnością wiesz, że nie plotkuję.

– Ale nie powinienem. – Meln-Dun zachowywał daleko idącą ostrożność.

Wręcz przeciwnie, powinien. Vlora poczuła, jak jej serce przyspiesza biegu.

– Nie musisz mówić niczego, czego nie chcesz powiedzieć, ale wiedz, panie, że jesteś wśród przyjaciół.

Nie otrzymała odpowiedzi. Odczekała długą chwilę niezręcznej ciszy, po czym spróbowała inaczej.

– Podejrzewasz, panie, że za zaginięciem moich ludzi stoi Mama Palo?

– Tego nie powiedziałem!

– Ale dałeś do zrozumienia. – Vlora pochyliła się ku gościowi. – To jest coś, co muszę wiedzieć. Nie bawię się w lokalną politykę. Jeśli Mama Palo jest odpowiedzialna za zniknięcie moich ludzi, to muszę wiedzieć dlaczego. I czy stała również za wczorajszym zamachem na moje życie? Czy dostałam zaproszenie na galę tylko po to, by stać się łatwym celem? Jesteś jednym z jej agentów? Czy to wszystko –

wymierzyła palec w Palo – miało tylko sprawić, bym zaniechała ostrożności?

Meln-Dun przełknął z wysiłkiem. Na jego łysiejącej głowie pojawiły się grube krople potu.

– W moim świecie – powiedziała Vlora – wojny się wypowiada.

– W moim nie – odparł Palo. – I nie jestem twoim wrogiem, pani. Nie jestem też agentem Mamy Palo i nie wiem nic o zniknięciu twych ludzi.

Vlora patrzyła mu w oczy. Robiła, co mogła, próbowała wyczuć kłamstwo, ale Meln-Dun odpowiadał jej nieruchomym spojrzeniem i powieka nawet mu nie drgnęła.

– Mama Palo jest sprytna – mówił dalej. – I uderza z cienia. To stara kobieta, zgorzkniała, zawzięta na kresjańskich osadników, którzy zabili jej męża, i na Czarne Kapelusze, bo zabili jej syna.

Vlora aż otworzyła usta ze zdumienia.

– Nic o tym nie wiedziałam.

– W Jamie wszyscy o tym wiedzą. Wszyscy mamy jakieś prywatne powody, by prowadzić prywatne wojny. Mama Palo uczyniła swoją prywatną wojnę publiczną. Jak powiedziałem, jest starą kobietą, a stare kobiety rzadko działają bezpośrednio. Dożywają swego wieku, bo działają nie wprost, a podstępem. Palo, którzy zaatakowali cię, pani, po wyjściu z Żółtego Pałacu, owszem, mogli być jej ludźmi. Nie wykonali zadania, więc teraz próbują zrehabilitować się osłabieniem twoich sił.

– Zaproszenie na przyjęcie pomyślane zostało jako sposób na pozabawienie mnie ochrony tam, na dole?

– Niewykluczone. – Nawet teraz widać było, jak bardzo ten pomysł nie podobał się Meln-Dunowi. – W Jamie są dosłownie tysiące przeróżnych frakcji, splecionych ze sobą interesami, jak u was, w dworskiej polityce. Być może winny jest ktoś całkiem inny, ale przyjmij do wiadomości jedno, pani: niewielu ludzi ośmiela się działać w Jamie bez błogosławieństwa Mamy Palo dla swych działań.

– A ty, panie? – spytała Vlora nagle, bardzo bezpośrednio.

– Nie będę cię okłamywał, pani. Większość moich przedsięwzięć handlowych jest przez Mamę Palo aprobowana... albo nie.

Kolejna interesująca informacja. Mama Palo szkodziła interesom, bo stosowała przemoc i miała tym wpływ na przedsięwzięcia Meln-Duna? Następny powód, dla którego wolałby usunąć ją z drogi.

– A nasze plany? – spytała. – Rozpoczęcie modernizacji domów mieszkalnych w Ognistej Jamie?

– Wie o tym, że zawarliśmy porozumienie.

To akurat wcale nie było dziwne, w końcu ostatnie dwa dni poświęcili jak najszerszemu rozreklamowaniu dobrych intencji najemników. Meln-Dun z pewnością zaangażował się w tej kampanii od strony społeczności Palo. Interesująco natomiast wyglądała aprobata Mamy Palo dla tego przedsięwzięcia. Być może sprytna starsza pani nie zrezygnowała z prób dobrania się do skóry jej, Vlorze? Czekala, aż popełni błąd?

W tej grze nie widziała twarzy przeciwnika i dostrzegala zaledwie fragmenty używanej przez niego broni. Lokalna polityka.

Walczyłam w gorszych wojnach, pomyślała.

Vlora zastanowiła się, w jakim stopniu może zaufać Meln-Dunowi, było nie było Palo. Już rozumiała, że ich reputację budują przede wszystkim oszczerstwa propagandy sterowanej przez Lindet, ale Palo byli też, przez przeszło rok, jej przeciwnikami na bagnach. Nie potrafiła o tym zapomnieć tylko dlatego, że Meln-Dun zachowywał się bardzo przyjaźnie. Z drugiej strony komus musiała zaufać, a on wydawał się godny zaufania. Byle nie narażać na szwank jego interesów.

Rozległo się pukanie. W drzwiach stanął posłaniec z liścikiem do Meln-Duna. Palo przeczytał go szybko, skrzywił się, a potem przytaknął swym myślom skinieniem głowy.

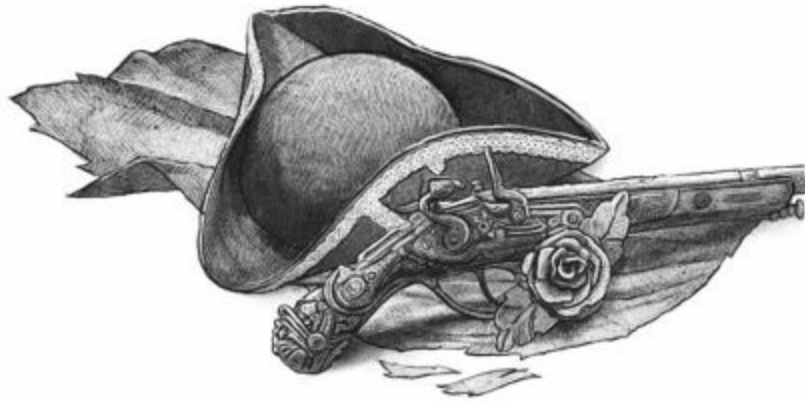
– Muszę już iść, lady Krzemień – oznajmił. – Obiecuję, że zrobię, co w mojej mocy, by twoi ludzie nie ginęli już i by znaleźć tych, którzy zaginęli. Im szybciej zapanuje spokój, tym szybciej rozpoczniemy modyfikację Ognistej Jamy.

Potrzebuje mnie bardziej, niż ja potrzebuję jego, uświadomiła sobie nagle Vlora. A co najmniej jest o tym przekonany. I dobrze, i niech tak zostanie. Potrząsnęła głową, odprowadziła wzrokiem wychodzącego Palo, po czym wezwała Olema. Czekaając na pułkownika, jeszcze raz przemyślała sobie odbytą rozmowę. Pogrążona w zadumie wyjęła z pochwy miecz. Bawiła się nim, sprawdziła jego balans.

Ze wszystkich ludzi, których do tej pory spotkała w Landfall, Meln-Dun wydawał się szczególnie predystynowany do komentowania lokalnej polityki. Póki sama nie sprawdzi, że jest inaczej, jego przypuszczenie potraktuje jak twierdzenie: Mama Palo wypowiedziała wojnę jej osobiście i Strzelcom Wyborowym. Trudno powiedzieć dlaczego, czy przeważały urazy, czy to tylko taki taktyczny manewr, czy też może Mama Palo wie już, jaki jest prawdziwy cel najemników. W takim razie Vlora straciła element zaskoczenia.

Nie może siedzieć i czekać, aż ta stara kobieta sama spadnie jej do koszyka jak dojrzały owoc. Musi działać szybko albo jej ludzie będą znikać.

Atak na przeciwnika, o którym wiedziało się tak mało, niósł w sobie duże ryzyko. Ludzie będą ginąć. Ale Vlora miała w ręku asa, Meln-Duna. I chyba nawet już wiedziała, jak go użyć.



## 30 ROZDZIAŁ

**Z**nalezienie w archiwum Czarnych Kapeluszy zaledwie dwóch wzmianek o „Wieściach Palo” zajęło Michelowi cały dzień i początek następnego. Pierwsza dotyczyła stareńkiej drukarenki Palo, w której być może drukowano wywrotową propagandę, a być może nie, drugą był nabazgrany ołówkiem na strzępku papieru adres. Sądząc po tym bogactwie informacji umieszczonych w aktach przed wieloma miesiącami, należało sądzić, że nikt nie pofatygował się pójść tropem plotek, których pamiątką była zapewne pierwsza notatka.

Wyszedł z Kapelusznictwa tuż po dwunastej w południe. Warsimowi zostawił adres „Wieści Palo” z instrukcją, by podjęto działania, gdyby nie zameldował się z powrotem po dwudziestu czterech godzinach. Zastanowił się przelotnie, czy nie zabrać ze sobą dla ochrony kilku Żelaznych Róż, ale w końcu zadowolili się starym wiernym kastetem. Całe Kapelusznictwo, postawione w stan alarmu, gorączkowo szukało Bena Styke’a, a Michel nie marzył bynajmniej o ściągnięciu na siebie uwagi wielkiego mistrza. Nie teraz, najpierw musi złapać wyraźny trop Tamy.

Adres z kartoteki prowadził do zamieszkałego głównie przez Palo miasteczka o nazwie Landon na Bagnie, położonego jakieś sześć mil na północny zachód od płaskowyżu, jednej z kilku osad wzdłuż rzeki Hadshaw, z chwiejnymi drewnianymi domami stojącymi na palach, co chroniło je na wypadek częstych w tym regionie wiosennych powodzi. Okazało się, że miasteczko było niewielkim wprawdzie, ale kwitnącym centrum handlowym, miało przystań dla łodzi rzecznych, trzy duże sklepy, a nawet scenę.

Michel wysiadł z dorożki w centrum osady. Ruszył przed siebie uliczkami o nawierzchni z udeptanego mułu, mamrocząc pod nosem adres, by go nie zapomnieć. Przyglądał się przy tym tabliczkom z numerami na domach i sklepach. Tylko jeden budynek na mniej więcej cztery miał takową. Melonik i czarną koszulę agent tym razem zostawił w domu. Ubrał się w grube wełniane robocze spodnie i bawełnianą koszulę z podwiniętymi rękawami oraz zsuniętą na tył głowy czapkę. Samotny Czarny Kapelusz w środowisku Palo był celem, ale ubogi kresjański robotnik narażał się najwyżej na okradzenie i mógł mieć rozsądną pewność, że wróci do domu, choć może lekko poturbowany. Mieszkańcy przyglądali mu się wprawdzie, ale nikt nie próbował iść za nim krętymi uliczkami.

Był już prawie pewien, że jego wyprawa skończy się niczym, kiedy zobaczył dwie tabliczki jedna przy drugiej, pierwsze dwie litery odpowiadały tym z archiwaliów. Wszedł na rampę, prowadzącą do skupiska konstrukcji wyglądających jak magazyny lub budynki przemysłowe, wszystkie one również stały na palach. Robotnicy Palo toczyli bele bawełny i tytoniu do i z magazynów, nadzorca wykrzykiwał polecenia, a jego samego ignorowano.

Znalazł właściwy numer przy końcu kompleksu. Wąskie drzwi prowadziły do czegoś w rodzaju szopy, skleconej naprędce przybudówki do jednego ze składów. Na szyldzie przy drzwiach widniały napisane ołówkiem dwa słowa: „Wieści Palo”. Michel najpierw zajrzał przez okno do środka, a potem obejrzał się przez ramię. Nie dostrzegł nikogo.

A poza tym, powiedział do siebie, to coś jest przecież za małe na choćby najprostszą maszynę drukarską.

Otworzył drzwi. Wszedł do środka z ręką, na którą nasunął kastet, w kieszeni. Drugą włożył między zęby tanią fajkę. W głowie przestawił się na wymowę północno-wschodnią.

– Hej? – zawołał. – Jest tu kto?

Siedziba redakcji miała rozmiar mniej więcej wygodki. Michel zobaczył kilka skrzynek, z których wysypywały się egzemplarze gazety, i starego bosego Palo, siedzącego przy ścianie, tej, w której znajdowało się wejście, ubranego w sfatygowaną skórzaną kurtkę założoną na gołe ciało i przycięte nad kolanami robocze spodnie. Palo spojrzał na gościa podejrzliwie.

– Czym mogę służyć, panie? – spytał łamanym adrańskim.

– Ach, dzień dobry, czy to „Wieści Palo”?

Stary wymierzył palec w punkt nad głową Bravisa. Michel cofnął się o krok i jeszcze raz, demonstracyjnie, przeczytał, co napisano na szyldzie. Zwrócił się do Palo jeszcze raz. Miał tylko nadzieję, że umiejętności mu nie zardzewiały i że ciągle potrafi dobrze grać.

– Dzień dobry, przyjacielu. Wygląda, że trafiłem we właściwe miejsce. – Przeszedł nad jedną ze skrzynek, dyskretnie zaglądając do środka. – Nazywam się Fallon Marks. Jestem redaktorem. Dziennikarzem z zawodu. Szukam pracy. Przyjechałem z Małego Starland, no i zatrzymałem się tu, bo usłyszałem o gazecie...

– To gazeta Palo – zwrócił mu uwagę starzec bez wrogości. – Więc chyba nie dla ciebie, panie.

– No więc akurat dla mnie. Pracowałem w gazecie Palo tam, w Małym Starland, „Dziennik Dorzecza”, może o nas słyszałeś? Szczerze mówiąc, przyjacielu, skończyły się nam pieniądze, musieliśmy sprzedać maszyny, aż trudno uwierzyć, nie? Pomyślałem, że Landfall, takie duże miasto, musi mieć gazetę Palo albo że taką można tu założyć. Już nawet myślałem, że koniec ze mną, kiedy dowiedziałem się o was. To tutaj się drukujecie?

– Nie. I chyba nikogo nam nie potrzeba. Jesteśmy małą firmą, ot, kilku chłopaków, przekazujących wiadomości o naszym świecie.



– Rozumiem, rozumiem. Chude lata, ciężkie czasy, przecież wiem, dobrze wiem i powiem ci uczciwie, że będę pracował za dach nad głową i miskę owsianki na śniadanie, rozumiesz, co chcę powiedzieć, prawda? Będę pracował tak długo, aż uzbieram pieniądze na gazetę w Landfall.

Stary przechylił głowę. Minę miał niepewną.

– Nigdy nie słyszałem o...

– „Dzienniku Dorzecza” – odpowiedział mu usłużnie Michel.

– „Dzienniku Dorzecza”. Nie wiedziałem, że w Małym Starland Palo mają własną gazetę.

– Obawiam się, że już nie mają. – Michel westchnął ciężko. – Ale rozumiesz, Landfall, myślałem sobie, że może tam znajdę jakąś pracę. Pewnie mógłbym poszukać etatu w kresjańskiej gazecie, ale Palo, jak by to powiedzieć... Palo to moja pasja. Otwarcie się do tego przyznaję, możesz mi wierzyć. Dziadek ze strony matki był Palo i jestem z tego dumny.

– Ach. – Na twarzy starego pojawił się życzliwy uśmiech. – Zatem ziomek?

– Ziomek, oczywiście. Bardzo cię proszę, słuchaj, zajrzyj w serce, może znajdziesz tam dla mnie jakieś zajęcie. Popracuję za dach nad głową przez kilka tygodni i pokażę, na co mnie stać.

– Nie ja tu rządzę – padła krótka odpowiedź.

– A może mógłbyś porozmawiać z właścicielem, jak sądzisz?

– Nie ma go teraz i w ogóle rzadko się pojawia.

– A może dasz mi adres?

– Nie. – Stary Palo uśmiechnął się do Michela ciepło. – Nikt z nim nie rozmawia. Mogę przekazać mu twoją wizytówkę, jeśli chcesz.

– Ach, wizytówka, wspaniale! – Michel zaczął grzebać w kieszeniach, marszczył czoło, aż wreszcie zawstydzony pokazał puste ręce. – Zdaje się, że jednak nie mam wizytówek przy sobie. Bagaż wysłałem wcześniej, do Landfall, rozumiesz, a razem z nim pojechały i wizytówki. Zostawię adres kuzyna.

Nim stary zdążył zaprotestować. Michał chwycił pióro i kawałek papieru i szybko zapisał adres jednego z bezpiecznych domów

Czarnych Kapeluszy. Przy okazji przyjrzał się bliżej skrzynkom z gazetami. Wydawały się być niczym więcej niż właśnie gazetami, w większości starymi, pożółkłymi, tylko na górze leżało kilka numerów bardziej aktualnych. Najnowszy pochodził sprzed kilku tygodni, nagłówek pierwszej strony głosił wielkimi literami: LADY KRZEMIEN PALI FORT SAMNAN DO FUNDAMENTÓW.

– Proszę bardzo. I bardzo dziękuję, że poświęciłeś mi tyle czasu.

Palo wziął od niego kawałek papieru z adresem, zrolował, jakby skręcał papierosa, i wsadził za ucho.

– Nie rób sobie wielkich nadziei – poradził. – Szef nie za bardzo kocha Kresjan.

– Rozumiem. – Dopiero słysząc te słowa, Michel zastanowił się, czy nie był przypadkiem na fałszywym tropie. Nie znalazł maszyn drukarskich, nie znalazł broszur, tylko stare gazety. Nieobecność właściciela sugerowała, owszem, że może być nim Tampo, ale fakt, że „nie kochał Kresjan”, podpowiadał raczej Palo. Bravisowi nie przychodził jakoś do głowy żaden sprytny sposób, żeby o to zapytać.

– Bardzo przepraszam, ale przez ciekawość... Gdzie piszecie i drukujecie? Może mógłbym tam wpaść, zaproponować, że pomogę...

– Dziś nikogo tam nie ma – odpowiedział stary bez wahania. – Strata czasu. Miło było poznać.

Zabrzmiało to jak bardzo dobitne pożegnanie. Michelowi nie pozostało nic innego, jak uprzejmie skłonić się czapką.

– Dziękuję ci, panie, i życzę szczęśliwego dnia.

Wyszedł z labiryntu magazynów, rozejrzał się, a szczególną uwagę skupił na Palo, pracujących pod gołym niebem na ulicy. Większość drzwi widocznych z miejsca, w którym stał, była pootwierana, dla przewiewu i wygodniejszego transportu towarów z i do łodzi przy nabrzeżu. Ale magazyn, do którego przylegała szopa „Wieści Palo”, miał drzwi zamknięte. Starając się nie rzucać w oczy, Michel sprawdził wrota załadunkowe. Nie dawały się odemknąć. Obszedł skład, lecz małe drzwiczki z tyłu też okazały się zaryglowane na głucho, a przeszklenie pomalowano czarną farbą.

Poradziłby sobie z zamkiem, jednak włamywanie się do magazynu Palo za dnia nie wydawało mu się szczególnie mądrym posunięciem. Zawrócił na pięcie, wyszedł na ulicę, upewnił się jeszcze raz, że nikt go nie obserwuje, po czym zanurkował pod labirynt stojących na palach budynków.

Dawno temu nauczył się, że w podłogach wyniesionych ponad grunt konstrukcji prawie zawsze znajdują się klapy, najczęściej niezamykane, by zaskoczony przez powódź nieszczęśnik miał jakąś drogę ucieczki. W upalne lato zapewniały także lepszą cyrkulację powietrza. Rozsądek wskazywał, że skład powinien mieć ich co najmniej kilka. Zgięty wpół Michel brodził w stosach odpadków, aż uznał, że znalazł się bezpośrednio pod siedzibą „Wieści Palo”. Po kolejnych piętnastu stopach znalazł właz. Pchnął go lekko, ale ten nie dawał się otworzyć. Nacisnął mocniej. Kłapa uniosła się wprawdzie zaledwie odrobinę, lecz przez powstałą szczelinę Michel zdołał dostrzec, że zamknięta jest na zwykłą drewnianą zasuwkę. Bez wysiłku przesunął ją ostrzem noża. Kolejne pchnięcie i mógł już zajrzeć do wnętrza. Było ciche i mroczne, światło wpadało do środka wyłącznie przez niewielkie okienka, umieszczone wysoko na tylnej ścianie.

Nasłuchiwał chwilę, a potem wślizgnął się do wnętrza. I znalazł się może trzy stopy od maszyny drukarskiej. Zwykłej maszyny, widywał takie wielokrotnie. Przypominała kołowrotek z dwoma pasami transmisyjnymi i bębniem pośrodku. Napędzało się ją pedałem, dzięki czemu pracowała względnie cicho, nie budząc zainteresowania, które z pewnością wzbudziłaby prasa parowa.

A jednak, mimo wszystko, Michel nie był całkiem pewien, czy trafił we właściwe miejsce. Skulony, gotów w każdej chwili do ucieczki, przeszedł wzdłuż pomieszczenia. Znalazł wąskie schodki prowadzące na górę, do małego przeszklonego biura, niewiele większego od szopy, którą przed chwilą opuścił. Znalazł drugą maszynę drukarską. Była nieco innej konstrukcji, z przystawką składająco-szyjącą. Broszurę można tu było od razu wydrukować i oprawić.

Obejrzawszy urządzenia, obrócił swoją uwagę na najbliższe stojące skrzynki. Posunął się tak daleko, że kilka z nich otworzył przy użyciu noża. Uczynił przy tym więcej hałasu, niż to się wydawało bezpieczne.

Otwierał czwartą skrzynię niemal całkiem pewien, że trafił jednak w złe miejsce. Ale nie: ta pełna była „Grzechów Imperium”.

– Niech cię, chłopie, jeszcze chwila, a będzie z ciebie prawdziwy śledczy – powiedział do siebie.

– Ostrożnie – szepnął w odpowiedzi. – To przecież nie koniec. Musisz wymyślić coś, co pomoże ci złapać Tampę. A jeśli nieczęsto tu przychodzi, to pewnie długo będziesz musiał na niego czekać.

– Ale mamy budynek, budynek ma właściciela, a właściciela budynku nietrudno wytropić. Znalazłeś ludzi mogących wiedzieć, gdzie mieszka. Zrobiłeś dobry początek, bardzo dobry początek. Tylko go nie zmarnuj.

Pozamykał skrzynki. Gwoździe wciskał rękojeścią noża. Może nikt nie zauważy, że nie zostały wbite młotkiem? Taką przynajmniej Michel miał nadzieję. Dokończył robotę i bardzo ostrożnie popęzł w stronę wjazdu. Nie miał jeszcze pojęcia, jak przesunie zasuwkę, żeby ją zamknąć.

Usłyszał trzask, zorientował się, że to otwierają się wrota załadunkowe magazynu, i serce w jednej chwili podeszło mu do gardła. Dość tej ostrożności. Puścił się pędem, dopadł klapy, zeskoczył na ziemię i zamknął ją za sobą. Zdążył jeszcze usłyszeć jakiś hałas i głos starego, z którym wcześniej rozmawiał. Odetchnął z ulgą. No to wszystko w porządku. Pora wracać do dorożki i...

– Nie lubimy wścibstwa – rozległy się słowa w języku Palo.

Michel odwrócił się niezręcznie. Zobaczył kobietę Palo, wyższą od niego o głowę, z barami jak u wołu. Poślizgnął się na zalegającej pod magazynem mazi, chciał krzyknąć, otworzył usta, ale zamknęła mu je uderzająca z wielką siłą pięść. Głowa odskoczyła mu do tyłu, zdołał oprzeć się o jeden ze słupów, spróbował nasunąć kastet na palce, a tymczasem pięść uniosła się i uderzyła go po raz drugi.

Upadł. Tracił przytomność, z tępym zdumieniem przyjął fakt, że napastniczka po prostu chwyciła go za nogę i pociągnęła w stronę wjazdu.

– Mam go! – krzyknęła. – Chodź, trzeba go stąd zabrać. Nigdy nie wiadomo, kto patrzy.

Michel zobaczył twarze pięciu Palo, w tym starego. Poczł dłonie pod pachami, jego ciało oderwało się od ziemi, powędrowało w górę.

– No nie... – powiedział. Świat rozmazywał mu się przed oczami. – Co za gównno...



## 3I ROZDZIAŁ

**N**ie – powiedział Styke.

Siedział w kącie mesy Fort Loel. Przyglądał się przeszło tysiącowi żołnierzy, którzy właśnie skończyli posiłek i uprzątnęli stoły, a teraz w grupach zaczynali partyjkę kości, strzałek albo po prostu pili piwo. Zaimponował mu panujący tu wszechwładny porządek i to, że oglądał coś przeciwnego normalnej wojskowej procedurze, czyli udzieleniu przepustek na miasto i poszukiwaniu rozrywek na własną rękę. Ci żołnierze całkiem dobrze bawili się we własnym towarzystwie. W każdym innym oddziale regularnego wojska coś takiego prędzej czy później wywołałoby nieuchronną awanturę, tu wydawało się po prostu wzmacniać poczucie braterstwa.

Spojrzał na stojącą przed nim młodą najemniczkę. No tak, pomyślał o niej jak o młodej kobiecie, a przecież była już chyba po trzydziestce, chuda jak szczapa, ale wyglądająca bardzo profesjonalnie w szkarłatnym mundurze z niebieskimi wypustkami, z przypiętą na piersi odznaką Strzelców Wyborowych: skrzyżowanymi muszkietami na tle czako. Gwiazdki na klapach

kurtki mundurowej czyniły z niej sierżanta. Kapelusz trzymała w dłoni, co sprawiało takie wrażenie, jakby zamierzała o coś prosić, ale uśmiechała się niemal uwodzicielsko.

– Jesteś pewien? – spytała. – Dużo się o tobie mówi, Styke... pułkowniku... No i chłopcy chcieliby dowiedzieć się, jak to było, walczyć u boku Taniela Dwa Strzały. Bo większość z nas służyła pod nim w wojnie Adro z Kezem. Niewiele wiemy o tym, co robił tu, w Fatraście.

Styke przesunął językiem po zębach. Zastanawiał się, co powinien zrobić. Były czasy, kiedy lubił snuć opowieści, być ośrodkiem zainteresowania sali pełnej bohaterów. To już minęło. Odszukał spojrzeniem lady Krzemień, siedzącą po przeciwnej stronie mesy w towarzystwie pułkownika Olema, otoczoną żołnierzami różnych stopni. Co sobie pomyśli, słysząc o bohaterskich wyczynach byłego narzeczonego?

– Myślę, że...

Ktoś pociągnął go za rękaw. Celine, siedząca obok, machająca nóżkami niesięgającymi podłogi, miała buzię umazaną czerwonym sosem, którym polano baraninę na ostro.

– Chcę posłuchać, Ben – powiedziała.

Styke wahał się wystarczająco długo, by pani sierżant nabrała śmiałości.

– Chodzą plotki, że zabiłeś Stróża gołymi rękami, pułkowniku. – Czyżby uśmiechem rzucała mu wyzwanie? Czy podejrzewała, że to tylko takie żołnierskie gadanie, bujda rozdęta do niemożliwych rozmiarów? – Taniel Dwa Strzały Tanielem, ale o tym też bardzo chcielibyśmy usłyszeć.

– Proooszę – zawtórowała jej błagalnie Celine.

Co mógł zrobić? Westchnął. Miał nieodparte wrażenie, że ktoś go w coś wrabia. Ciekawe, pomyślał, czy potrafię z tego wybrnąć, nie robiąc z siebie głupca. Uświadomił sobie, że obserwują go dziesiątki par oczu. Pani podoficer nie działała sama. Plotki naprawdę się rozeszły.

Pochylił się ku podopiecznej.

– Przyniosłaś gumę rogową, po którą posłałem cię przed obiadem?

Wręczyła mu paczuszkę w opakowaniu lokalnej apteki. Rozpakował ją, z wdzięcznością odciął kawałek, wsunął pod policzek. Dziewczynka uśmiechnęła się do niego, odpowiedział uśmiechem. Wytrzeł rękawem czerwone plamy w kącikach jej ust.

– Niech będzie – zgodził się niechętnie.

Pani sierżant aż się rozpromieniła. Zrobiła szybkie w tył zwrot, włożyła dwa palce w usta, gwizdnęła przesywająco.

– Chłopcy! – krzyknęła. – Szykować się na opowieści!

Na widok wpatrzonych w niego żołnierzy Styke poczuł lekkie mdłości.

– I masz – wymamrotał do siebie. – Ale gorsze rzeczy robiłeś w swoim czasie. Mów tak, jak było.

Wyszedł na środek mesy. Wskoczył na największy stół. Przed sobą miał morze mundurów i poważnych, ogorzałych twarzy. To nie byli zieloni rekruci, wybierający się na wojenkę, tylko weterani. Ich się nie zadowoliłi byle czym. Obrócił na palcu pierścień, jedną z niewielu rzeczy przypominających mu, kim kiedyś był. Spojrzał w oczy pani generał. Wyglądała, jakby strasznie się w tej chwili nudziła, i nagle Styke zapragnął opowiadać.

Wyjął nóż, wymierzył ostrze w sierżant.

– Jeśli ktoś tu mnie nie zna... jestem Ben Styke – zaczął donośnym głosem. – W czasie fatrastańskiej wojny o niepodległość byłem lansjerem.

– Szalonym Lansjerem! – krzyknął ktoś z tylnych szeregów.

– Tak, to prawda! Szalonym Lansjerem. Ale nie będę mówił o lansjerach. Będę mówił o Tanielu Dwa Strzały!

Rozległy się ogłuszające okrzyki zadowolenia, sierżant musiała uciszać żołnierzy.

– Spotkałem go pod koniec pierwszego roku wojny. Słyszałem plotki o nim, waźniaku, magu prochowym, synu marszałka polnego Tamasa, zamieniającym Kezowi życie w piekło. Rozwalającym każdego oficera i Uprzywilejowanego, ośmielającego się postawić



stopę w Dorzeczu Tristan. Jakby to on tam rządził. Bo tak w istocie było.

Reakcją na te słowa były stłumione chichoty dobiegające z tyłu pomieszczenia.

– Ale kiedy go poznałem, był już zimnokrwistym mordercą. Widziałem to w jego oczach, z odległości mili wyczuwałem bijący od niego zapach prochu i krwi. Reputacja ojca ciążyła mu na barkach jak kamień młyński, ale niech sami bogowie będą przekłęci, jeśli jej potrzebował. Nazywali go Dwa Strzały. Nazywali go duchem Dorzecza Tristan. Reputację budowała mu przelana krew nieprzyjaciół. Chciałbym móc powiedzieć, że znałem go dobrze. Żałuję, ale nie. Tak naprawdę spotkaliśmy się niespełna tydzień przed bitwą i rozstaliśmy niespełna tydzień po. Postawiłem mu piwo, bo oferma zgubił portfel na bagnach.

Słuchacze znów się roześmieli, tym razem bardziej entuzjastycznie.

– Niektórzy z was pewnie słyszeli o bitwie o Planth, w końcu długo nie wychylaliście nosa z tej dziczy. Oficjalna wersja mówi o heroicznej bitwie, reducie, niezłomnym oporze i walce do ostatniej kropli krwi, ale nie mówi prawdy o tym, że tymczasowy rząd po prostu zostawił mieszkańców, aby radzili sobie sami, i tylko oddział Taniela Dwa Strzały postanowił osłonić ich, dać im cień szansy. Miał być on z kilkoma setkami partyzantów przeciw pełnej brygadzie kezańskiej piechoty. Szaleństwo. Poprosił, żebym został z moimi... – Styke wzruszył ramionami. – Co miałem powiedzieć? Nie bez powodu nazwali mnie Szalonym Benem Stykiem.

Przerwał. Widział, że ma już słuchaczy w garści. Mógł być kaleką, mógł być stary, ale nie zapomniał przecież, jak bardzo żołnierze lubią dobre historie. Odwrócił się powoli, wymierzył nóż w stronę zgromadzonych.

– Taniel Dwa Strzały przez trzy dni wyrównywał nam szanse. Posyłał kulę w łeb każdego kezańskiego Uprzywilejowanego. Przy okazji dopadł też paru oficerów. I Stróża, jednego z tych magicznych morderców. Przyszedł dzień bitwy. Nasze małe siły ustawiły się

przed miastem, moi lansjerzy pośrodku, garnizon na skrzydłach, a partyzanci sformowali się na brzegu rzeki, żeby zaatakować z flanki.

Styke opuścił wzrok. Pamiętał tę walkę w Dorzeczu Tristan, pamiętał ciężar zbroi na ramionach, nogi podparte w strzemionach, straszną siłę Deshnera galopującego na otwartym terenie. W kącikach jego oczu pojawiły się łzy, odpędził je mruganiem. Powrócił do opowieści, ale mówił ciszej. Widział, że żołnierze wyęzają słuch, podchodzą o krok, pochylając się ku niemu.

– Niczego w życiu nie widzieliście, póki nie zobaczycie trzystu lansjerów w pełnych zbrojach płytowych, o których opowiadają legendy, szarżujących przez ogień szrapneli, jakby to deszczyk padał. Uderzyliśmy ich w środek. Poderwali garnizon, poszedł za nami. Złamałem lancę na kezańskim artylerzyście, a jeden z mieczy zgubiłem w walce z pułkownikiem. Starcie było chyba najkrwawsze ze wszystkich, które pamiętam. Przeszliśmy przez ich szeregi do końca, do stanowiska dowodzenia ich generała. Wtedy znowu zobaczyłem Dwa Strzały. Podprowadził swych ludzi bokiem, aż na tyły Kezu. Zaczęli strzelać, wszczęli zamieszanie. Ten generał nie wytrzymał. Rzucił się do ucieczki. Ruszyłem w pogoń z kilkoma moimi ludźmi, lecz nie wiedzieliśmy, że nas też ścigają. Dopadliśmy generała, ale dwóch Stróżów dopadło nas.

Po mesie poniosło się donośne buczenie.

– Aha! Jednak znacie tych magicznych dupków. Założę się, że jest wśród was paru, którym zabili przyjaciół. No cóż, ja straciłem wówczas dwóch najlepszych i sam bym nie przeżył, gdyby Taniel nie wsadził jednemu z nich kuli prosto w łeb. Ocalił mi życie, zawsze będę mu to pamiętał.

Zapadła cisza i trwała kilka chwil. Przerwał ją czyjś głos.

– Mnie też ocalił życie!

– I mnie! – zawołał ktoś inny.

Mesę wypełniły donośne okrzyki, gwizdy i tupanie. Styke poczuł, jak drga mu kącik ust, omal sam się nie uśmiechnął. Dobrze było znów czuć ten rodzaj braterstwa – szacunek żołnierzy.

Zamierzał zeskoczyć ze stołu, ale powstrzymało go pytanie.

– Co się stało z tym drugim Stróżem?

– Raz widziałem, jak Stróż kładzie trzydziestu grenadierów, nim jego położyli.

– A ja widziałem, jak jeden z nich dostaje bezpośrednio z ośmioletki i idzie dalej, jak gdyby nigdy nic.

– Zamknąć się, wszyscy – krzyknęła pani sierżant. – No więc, Styke, jak to z nim było?

Zapadła cisza. Wzrok żołnierzy skupił się na Styke’u, ale on nie patrzył na nich, tylko na piechociarza, chyba zaniepokojonego, który właśnie wbiegł do mesy i teraz mówił coś do ucha lady Krzemień. Widział, jak pani generał wstaje, gestem przywołuje Olema, a potem ciszę przerwały jej słowa:

– Na placu apelowym jest człowiek-smok. Szuka ciebie.

Dłoń Styke’a opadła ku kościanemu ostrzu przy pasie. Ale go nie wyjął, miał swoje.

– Celine, ty zostajesz tutaj – powiedział.



Styke dołączył do lady Krzemień przed wejściem do mesy. Zaciskała dłoń na rękojeści swego miecza, aż pobielaly jej kostki palców, ale był to jedyny objaw gniewu.

Człowiek-smok siedział na ziemi tuż za bramą fortu, obojętny na wartowników i skierowane w jego stronę bagnety, jak kot obojętny jest na podskoki i ćwierkanie ptaszków, które może przecież zabić, kiedy mu się spodoba. Miał na sobie długi płócienny płaszcz, pod którym Styke wyraźnie widział falistą smoczą łuskę. Obok Dynizyjczyka na ziemi leżały dwa kościane toporki, rzucone obojętnie, jakby do niczego nieprzydatne. Na widok antycznej broni Styke omal nie zadrzał, nagle poczuł chłód. W głowie zaświtała mu myśl, że mógł popełnić straszny błąd.

– A więc – syknęła lady Krzemień przez zaciśnięte zęby – nie powtarzałeś byle plotek, prawda? Sukinsyny naprawdę są

w Landfall.

Styke nie powiedział: „A nie mówiłem?!”, choć miał wielką ochotę, tylko skinął głową.

– Co on robi w moim obozie?

Spojrzał na jej zaciśniętą na mieczu dłoń. Być może błędnie, ale miał silne przekonanie, że była gotowa sama doprowadzić sprawę do końca.

– Ja go zaprosiłem.

– Co?

– Jestem stary. I jestem kaleką. Nie zamierzam uganiać się za sukinsynem po całym mieście. Powiedziałem mu, że jeśli chce odzyskać nóż, musi tu po niego przyjść.

– Jaki nóż? Wybacz, że jestem wściekła, ale ostatni, którego widziałam, pokroił na kawałki czterdziestu moich ludzi. Zamierzam wsadzić mu kulę w łeb.

Styke położył jej rękę na ramieniu. Lekko.

– To... sprawa osobista – przyznał.

– Masz świętą rację. – Postąpiła krok w przód.

– Nie. – Styke lekko zacisnął palce.

– Jeśli spróbujesz...

– Jeśli zechcesz uniemożliwić mi wykonanie zadania, będziesz musiała załatwić najpierw mnie, a dopiero potem jego. Skoro wydałaś rozkaz, to teraz pozwól mi go wykonać.

Nie czekał na odpowiedź. Kulejąc, podszedł do człowieka-smoka. Zatrzymał się pośrodku placu apelowego. Pomasował nogę, miał nadzieję, że dzięki działaniu gumy rogowej zachowa swobodę ruchów i będzie w stanie walczyć.

Człowiek-smok, podparty na łokciu, przyglądał mu się przez chwilę obojętnie i w ogóle wyglądał tak, jakby nudził się na wiejskim pikniku. W końcu wstał, zrzucił płaszcz, podniósł toporki. Jego zbroja ze skóry smoka bagiennego składała się z napierśnika i założonej pod niego koszulki ze skórzanych pasów sięgających kolan. Nagie ramiona i nogi pokryte były skomplikowanym wzorem krzyżujących się tatuaży, które wraz ze zbroją na kimś innym mogły

wyglądać wręcz śmiesznie, ale na nim sprawiały bardzo groźne wrażenie.

Styke wyjął kościany nóż zza pasa. Uniósł go wysoko w wyprostowanej ręce.

– Kushel? Nazywasz się Kushel? – spytał.

– Skąd znasz moje imię? – Oczy człowieka-smoka zwęziły się nieznacznie.

– Możesz odzyskać nóż na dwa sposoby – oznajmił Styke. – Albo powiesz mi, czym są te jakieś boskie kamienie, których szukasz w mieście, i co wy, dynizyjskie fiuty, w ogóle macie tu do roboty, albo będziesz o niego walczył. Ze mną.

Człowiek-smok prychnął głośno z jawną kpina.

– Wiesz dziś o wiele więcej, niż wiedziałeś podczas naszego poprzedniego spotkania. Powiedz mi, co każe ci myśleć, że nie zamierzam zabić was wszystkich w tym forcie?

– Tam, w Dorzeczu, twój przyjaciel zabił czterdziestu żołnierzy. Oszem, przyznaję, osobliwe to osiągnięcie jak dla jednego wojownika, ale jak sądzisz, uda ci się wybić ich wkurzonych przyjaciół? – Styke słyszał żołnierzy wybiegających z mesy, gromadzących się wokół nich i z napięciem obserwujących rozwój wydarzeń. – Powiedz mi, co chcę usłyszeć, a wyjdiesz stąd bez zadrapania na tej pięknej zbroi.

Styke pozwolił sobie na przelotną myśl o młodych Palo z pubu U Sender, zbyt głupich, by cofnąć się przed człowiekiem, który z całą pewnością nie obawiał się ich przewagi. Czyżby popełniał teraz identyczny błąd?

Całkiem prawdopodobne.

Oczy Kushela przesunęły się powolnym, jakby mechanicznym ruchem. Notował obecność wartowników na murach i wieżach strażniczych, pozycję lady Krzemień, aż wreszcie, na końcu, lokalizację głównego przeciwnika. Styke doskonale wiedział, jakie myśli chodzą tamtemu teraz po głowie: czy zdołam wynieść stąd życie? Lekki ruch kącików ust świadczył, że człowiek-smok ma pewność: zdołam.

Co za arogancki fiut!

– Chcesz walczyć? Przecież zawsze możesz wyrwać swoją zabawkę kalece.

Kościany nóż Styke trzymał w okaleczonej dłoni, swój bok w zdrowej. Ciężar ciała oparł na prawej nodze. Atak nastąpił zaledwie chwilę po tym, gdy zdołał przyjąć pozycję.

W swoim czasie Styke'owi przychodziło walczyć z szybkimi przeciwnikami, od fechtistrzów począwszy, na prawdziwych, zawodowych mordercach skończywszy, ale nigdy w swojej karierze nie widział kogoś, kto potrafi pokonać dwadzieścia stóp w jedno mgnienie oka. Oba toporki zadały ciosy w tej samej chwili, lewy z góry na głowę, prawy poziomo, na brzuch.

I sam Styke, i jego przeciwnik zdumieni się, gdy te ataki wyłapano zostały na zasłony nożem, a potem zablokowane drugi raz i trzeci. Po każdym ciosie Kushel błyskawicznie odzyskiwał równowagę. Cofał się i atakował jak kobra, a każdy atak wprowadzał inną technikę, niewiązącą się z poprzednią; było to godne podziwu, gdyby stało czasu na podziw. Styke poświęcał wszystkie siły defensywie. Przez pół minuty tylko się cofał, sam nie przeprowadzając ani jednego ataku. Człowiek-smok kilkakrotnie trafił go w ramiona i pierś, na szczęście niegroźnie, ale głębsze, bardziej niebezpieczne rany były tylko kwestią czasu.

Styke zdawał sobie oczywiście sprawę z tego, że jest powolny i że brak mu kondycji, ale wcale nie miał pewności, czy nawet w pełni formy potrafiłby dorównać Dynizyjczykowi. Tylko waga broni – ciężkie, nieco niezdarne toporki przeciw lekkim nożom – pozwalała mu ciągle skutecznie się bronić. A natarcia nadal następowały jedno po drugim, w tym samym błyskawicznym tempie, a każdy cios jakimś cudem był wyprowadzany z większą siłą niż poprzedni. Kaleka dłoń drętwiała powoli, tracił w niej czucie.

Sytuacja uległa zmianie w momencie, gdy spóźnił się odrobinę i toporek Kushela wbił się w kość palca. Styke krzyknął głośno, bardziej zawiedziony niż przestraszony. Odprowadził wzrokiem

broń lecącą w powietrzu i spadającą na pokrywający plac pył. Ciągnęła za sobą ogon jego krwi.

Następne uderzenie wymierzone zostało w jego pozbawiony osłony lewy bok. Styke chwycił toporek w połowie styliska, a ostrzu w drugiej ręce pozwolił przemknąć poniżej obucha drugiego, znacząc tym długą ranę na ramieniu, która natychmiast nabiegła krwią. Kushel usiłował wykorzystać przewagę, przedłużyć cios na pierś, ale Ben wykonał dwie czynności jednocześnie. Najpierw uderzył Dynizyjczyka czołem w nos, a potem obrócił nóż w dłoni i wreszcie zaatakował.

Klinga ześlizgnęła się po kościanym stylisku. Jeszcze jeden drobny ruch i obcięła cztery palce... i kciuk.

Człowiek-smok cofnął się. Był oszołomiony, ale mimo tak ciężkiej rany zdołał uniknąć następnego natarcia. Obaj przeciwnicy mieli teraz jedną rękę sprawną i posługiwali się tylko jedną bronią. Kushel jak najmocniej przyciskał kikuty palców do boku, usiłując w ten sposób zatamować upływ krwi. Nie krzyknął, nie wydał z siebie żadnego dźwięku, co w samo w sobie było więcej niż denerwujące. Odpowiedział miażdżącym uderzeniem toporka w nóż. Przełamał obronę zarówno obuchem, jak i styliskiem. Styke otrzymał ciosy w brodę i pierś. Znów pojawiła się krew, jego kaleka dłoń nią ociekała, była śliska, nie mógł więc przechwycić nią styliska broni przeciwnika. Udało mu się wreszcie zahaczyć go ostrzem. Pociągnął.

Kushel nie dał się nabrać drugi raz na tę samą sztuczkę. Puścił toporek, żeby ocalić swoje palce. Skulił się nagle, kopnął Styke'a w kolano, czym pozbawił go władzy w nodze i przewrócił na ziemię. Styke upadł w ten sposób, że ręka z nożem znalazła się pod jego ciałem.

Kushel skoczył na niego, wcisnął mu kikuty palców w twarz, od krwi zapiekły Bena oczy. Na ślepo szukał czegoś, czegokolwiek, za co mógłby chwycić i odwrócić losy walki. Udało mu się złapać krawędź napierśnika. Dzięki temu zdołał zrzucić z siebie napastnika, a potem przetoczyć się, uwalniając rękę z ostrzem. Człowiek-smok znalazł się

pod nim. Mógł teraz przycisnąć czubek noża do skórzanej zbroi. Naciskał trzonek z całą pozostałą mu siłą, wspomagając się ciężarem ciała.

Udało mu się. Ostrze przebiło twardą skórę aż do ciała. Kushel zacharczał, ale walczył nadal, nadal zadawał razy pięściami w brzuch i twarz, choć coraz słabsze. Styke puścił nóż, zacisnął zęby, obiema rękami chwycił go za głowę.

– Zaprześć walki.

Człowiek-smok splunął mu w twarz krwią. Styke otarł ją, uniósł się na kolano, przytrzymał głowę Kushela jedną ręką, drugą uniósł do ciosu...

– Stop! – krzyknęła lady Krzemień. – Potrzebujemy go żywego!

Styke spojrział na nóż, tkwiący w brzuchu człowieka-smoka, i na ziemię pod jego ciałem, nasiąkającą krwią. Gdyby Dynizyjczykowi udzielono właściwej pomocy medycznej, zapewne przeżyłby jeszcze dzień lub dwa, cierpiąc straszliwie.

– Dobrze walczyłeś – powiedział głośno – ale wojownik nie grozi małym dziewczynkom.

Uderzył, miażdżąc tym ciosem czaszkę jak skorupkę jajka.

A potem klęczał w krwawej kałuży przez kilka długich chwil. Oddychał ciężko, wolno odzyskiwał przytomność. Z palców ściekała mu krew i tkanka mózgu, wypełniające otwarte usta i ślepe oczy czaszki w pierścieniu lansjera. Po dziesięciu latach wreszcie bał się w walce o swoje życie. Po dziesięciu latach ktoś wreszcie dorównał mu siłą.

Nagle zdał sobie sprawę z wszechobecnej na placu apelowym ciszy. Podniósł głowę. Tysiąc par oczu wpatrywało się w niego, jakby przyciągał spojrzenia z magnetyczną siłą. Ogrodzenie, wieże, plac, dach baraku administracji... żołnierze byli wszędzie. Olem stał z otwartymi ustami, z przyklejonym do dolnej wargi niezapalonym papierosem. Lady Krzemień przyglądała mu się zimnym, uważnym spojrzeniem, usta miała zaciśnięte w cienką linię.

Powoli, bardzo powoli, czując ból każdej z kilkudziesięciu ran, każdego urazu i siniaka, Styke wstał. Podniósł jeden z kościanych



toporków i podał lady Krzemień.

– To dla pani ludzi – powiedział. – Okup za tych, którzy zginęli w walce z ziomkiem tego dupka.

– Dziękuję. – General przyjęła broń, podrzuciła w dłoni, obejrzała obuch. – Ten dupek był naszym łącznikiem z Dynizyjczykami w Landfall.

– Będą inni – upewnił ją Styke.

– A skąd ty to możesz wiedzieć?

– Duchy mi powiedziały.

Lady Krzemień najwyraźniej nie wiedziała, jak ma rozumieć te słowa, czy są żartem... a może nie? Sam Styke nie miał co do tego pewności.

– Powiedz mi – usłyszał jej głos – co się stało z drugim Stróżem? Tym, którego Dwa Strzały nie zabił?

– Wbiłem mu zęby do gardła. – Przypomnił sobie gorący oddech odmienionego magią stwora i potężne mięśnie, poruszające się w jego uścisku jak węże. – A potem złamałem mu kręgosłup.

Poszedł, kulejąc, w stronę wejścia do mesy. Musiał się jakoś doprowadzić do porządku, a potem znaleźć Celine. Miał nadzieję, że nie oglądała tego spektaklu. Adrenalina odpływała, pozostawiając po sobie mdłości i ohydny smród śmierci. Ale mimo to serce w nim śpiewało z radości.

Nadal był Szalonym Benem Stykiem. Szalonym Benem Stykiem, z którym nie ma żartów.

Był już w pół drogi, kiedy usłyszał donośny głos, dobiegający od bramy fortu:

– Szukam Bena Styke'a! Gdzie jest Ben Styke?

– Na otchłań, co tu się dzieje? – Odwrócił się powoli i zatrzymał się w pół kroku na widok chłopca w kowalskim fartuchu z niewielkim, dyskretnym napisem: „Fles i Fles Płatnerze – Najlepsze Miecze”.

– Ty jesteś Ben Styke? – spytał chłopiec.

– A kto pyta?

Młody posłaniec był blady jak upiór. Obliznął wargi.

– Szakal powiedział, że tu cię znajdę, panie. Chodzi o Starego Flesa. Czarne Kapelusze...

Styke ruszył biegiem, ignorując tysiąc źródeł bólu, w jakie zmieniło się jego ciało. Minął chłopca, nie dał mu nawet szansy dokończenia zdania.

– Olem! – krzyknął przez ramię. – Pilnuj bezpieczeństwa Celine!



## 32 ROZDZIAŁ

**V**lora trąciła trupa człowieka-smoka butem. Odprowadziła wzrokiem Styke'a, biegnącego zdumiewająco szybko, jak na kalekę, póki nie znikł za bramą fortu.

– Gdzie on tak pędzi, na otchłań?! – zdumiała się.

– Mam przyprowadzić go z powrotem? – spytał Olem.

– Tak. Nie. Och... – Lady Krzemień gotowała się ze złości na siebie, że nie potrafi podjąć decyzji. Potrzebowała odpowiedzi na pytania obudzone obecnością Dynizyjczyków w mieście, a od truchła pod stopami przecież ich nie dostanie. Z drugiej strony była właśnie świadkiem tego, jak Styke obszedł się z legendarnym wojownikiem, więc nie miała zamiaru wysłać za nim swych podkomendnych, żeby go zawrócili z drogi. Dawno temu nauczyła się, że pewnym ludziom nie wchodzi się w drogę, gdy zaczynają się spieszyć.

– Poślij kogoś, niech go obserwują. I zabierzcie stąd tego dupka.

– Jasne. – Olem obrócił się do żołnierzy. – Rozejść się – rozkazał im. – Nie ma tu już nic do oglądania, chłopcy. Wy trzej, wynieście ciało. Zbroję i broń odnieście pani generał, zwłoki połóżcie na lód.

Vlora, wpatrzona w człowieka-smoka, przeniosła wzrok na Olema i uniosła brew.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać. – Wzruszył ramionami.

Lady Krzemień chodziła nerwowo po placu apelowym, podczas gdy wojskowi porządkowali go po wyniesieniu ciała. Coś w opowieści Styke'a budziło jej czujność, ale nie potrafiła powiedzieć co. Może chodziło o to, że dzięki jego historii uświadomiła sobie, jak wielki wpływ miał Taniel na życie nie tylko jej, lecz wszystkich, z którymi się zetknął? Być może wcale nie chodziło o samo opowiadanie, ale o walkę, która nastąpiła natychmiast po nim? Styke nie był magiem, nie wzmacniały go żadne czarodziejskie moce, a przecież normalny człowiek nie ma prawa być taki silny. Zwykły człowiek nie kruszy czaszki w rękach i nie łamie kręgosłupa Stróżowi.

Nagle przestraszyła się Styke'a. Bała się go jak jeszcze nigdy nikogo. Więc być może nie cieszyła jej świadomość, że na świecie są jeszcze potwory, nad którymi nie ma kontroli?

Kończono już zasypywanie plam krwi na placu apelowym, kiedy przy bramie fortu wszczęło się zamieszanie. Vlora zatrzymała się i odwróciła, marszcząc czoło. Zobaczyła grupę Czarnych Kapeluszy, kłębiących się przy otwartych wrotach. Dwóch jeźdźców miało na szyi Brązowe Róże, sześciu piechurów Żelazne, a w następnej chwili pojawiło się ich znacznie więcej: najpierw było ich dziesięciu, potem dwudziestu, aż w końcu na stosunkowo niewielkiej przestrzeni kłębiła się ich aż trzydziestka. Poczwała, jak serce bije jej szybciej i mocniej. Dotknęła pistoletu, a potem miecza. W porządku.

– Ściągnijcie tu Olema – rozkazała.

Podeszła do bramy. Żołnierze sformowali kordon tuż za nią, a Czarne Kapelusze krążyły tu i tam niepewnie, przyglądając się wartownikom jak stadu dzikich psów, czekających tylko na rozkaz do ataku. W odróżnieniu od nich najemnicy stali nieruchomo, twarze mieli spokojne, a ich sierżant, uparty, pewny siebie weteran z odstrzelonym uchem, rozmawiał pewnie z jedną z Brązowych Róż.

– Rozkaz pani generał – oznajmił sierżant Jamenis z naciskiem. – Nikomu nie wolno wejść na teren Fort Loel bez pozwolenia i eskorty. Zaczekacie, aż lady Krzemień wypowie swoje zdanie, a potem...

– Już w porządku, Jamenis. – Vlora zatrzymała się obok podoficera. – Spocznij.

Ten natychmiast odstąpił na bok i zaszalutował.

Brązowa Róża zrobił szyderczą minę. Pchnął konia naprzód, ale Vlora złapała wodze tuż przy końskim pysku. Zatrzymała go, tarasując wejście.

– Nie powiedziałam, że możecie wejść do środka. W czym mogę być pomocna Czarnym Kapeluszą?

– Pani podkomendni mają szczęście, że tu jesteś, pani. – Brązowa Róża szarpnął wodze, ale Vlora trzymała je mocno. – Następnym razem nie będę wam tak przychylny. Przeprowadzam inspekcję bez zapowiedzi. Mam wszystkie konieczne pełnomocnictwa i rozkaz wielkiego mistrza.

Zacisnęła wargi. Czarne Kapelusze! Umieją tylko rozpychać się łokciami. Tylko tego jej jeszcze brakowało. Czyżby agent Bravis zrobił sobie taki dowcip? Czy też może ktoś inny wymyślił dla niej taki kamuflaż, niech Palo widzą, że agenci władz mogą nią poniewierać jak każdym? I wtedy nabiorą do niej zaufania?

– Tylko ja mogę przeprowadzić kontrolę wśród moich ludzi, nikt inny.

– Rozkaz wielkiego mistrza – powtórzył Brązowa Róża, jakby te słowa były jakimś magicznym zaklęciem. – Inspekcja bez zapowiedzi. Czyżbyście nie wiedzieli, czym są takie inspekcje?

Vlora obrzuciła wzrokiem wartowników. Nie umknęło jej uwadze, że broń trzymają w dłoniach pewnie, gotową do użycia w każdej chwili, a twarze mają gniewne. Zadała sobie pytanie, co może zrobić, by zyskać szacunek miejscowych, i Czarnych Kapeluszy, i Palo. Uznała, że musi żyć bez tej wiedzy, przynajmniej na razie.

Sytuacja mogła lada chwila wymknąć się spod kontroli. Próbowwała wyczytać coś z oblicza Brązowej Róży. Czarny Kapelusz pocił się zbyt obficie, nawet jak na ten upał. Nerwowo przekładał wodze z ręki do ręki.

– O co chodzi, agencie? Nie składam raportów nikomu oprócz samej lady kanclerz. Nie obowiązują mnie rozkazy wydawane przez byle pokojowego pieska. Wytłumacz się szybko, bo za chwilę wyrzucę cię stąd i zamknę bramę. – Czarny Kapelusz otworzył usta, ale Vlorą nie dała sobie przerwać. – Nim zaczniesz miotać groźby i obelgi – mówiła dalej spokojniejszym głosem – spróbuj uświadomić sobie, co to znaczy brygada najlepszych strzelców na świecie tylko czekających, by zrobić użytek ze swych umiejętności. Doradzam ci grzeczne zachowanie.

Brązowa Róża zacisnęła wargi, omal nie odgryzając sobie języka. Zaczerwienił się, jakby zaraz miał dostać apopleksji, ale jakoś się opanował.

– Szukamy zbiegłego skazańca nazwiskiem Ben Styke. Mamy świadków gotowych zeznać, że widzieli go wchodzącego na teren fortu co najmniej dwukrotnie. Jest to groźny zbrodniarz wojenny. Należy go natychmiast oddać w nasze ręce.

– Pieprzysz, agencie. – Te słowa wymknęły się jej, zanim zdążyła pomyśleć. W następnej chwili Vlorą pohamowała język. Kręciło się jej w głowie od chaotycznych myśli: Styke, zbiegły przestępca wojenny? Drobne szczegóły z ich znajomości zaczynały tworzyć spójny obraz i nabierać znaczenia. Znikł nagle z życia publicznego. Te rany, zapomnienie, nierzucanie się w oczy, nieznanostwo współczesnych realiów miasta...

Doznała szoku, ale ten szybko mijał. Vlorą otrząsnęła się ze zdumienia, za to poczuła nagły przypływ gniewu, od którego aż ścisnął się jej żołądek. To musiało odbić się na jej twarzy, bo Brązowa Róża przyglądał się jej teraz z siodła spojrzeniem pełnym wyższości.

– Proszę nam go wydać, a natychmiast odjedziemy i nie będziemy narzucać wam dłużej naszej obecności.

Towarzyszący mu agenci zaciskali dłonie na broni. Vlora uświadomiła sobie, że oczekują trudnej przeprawy, ale co tam, przecież to nie jej problem.

– Zaczekajcie chwilę.

Olem już szedł do niej przez plac apelowy. Chwyciła go za ramię, zawróciła, wepchnęła do baraku administracyjnego, zatrzasnęła drzwi.

– Okłamał nas!

Pułkownik zacisnął wargi.

– Kto?

– Styke. Czarne Kapelusze zapukały do naszych bram. Żądają, żebyśmy go im wydali. Jest pieprzonym zbrodniarzem wojennym! Skazańcem i uciekinierem!

Olem przeszedł w kąt pokoju, wyjął kapciuch z tytoniem, rozprostował bibułkę.

– Słuchaj...

Podniósł dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym.

– Poczekaj chwilę – poprosił. – Myślę.

Vlora to zaciskała dłoń na rękojeści miecza, to luzowała palce. Wszystko ją ostatnio irytowało, zupełnie jakby z chwilą wjazdu do Landfall otoczył ją gęsty ciemny obłok, uniemożliwiający obserwowanie rzeczywistości i wyciąganie właściwych wniosków z tego, co widzi. Musi się po prostu przebić przez tę chmurę. Musi myśleć chłodno i przewidywać. Zaledwie przed dwoma tygodniami tyle wiedziała o Styke’u, co o bagiennych smokach. Nic nie kazało jej wierzyć jego opowieściom... nawet jeśli wypełnił jej rozkazy i wytropił człowieka-smoka. Miała do dyspozycji tylko jego reputację, opinię zachwyconego Olema i listy Taniela.

Ale... dlaczego miałyby wierzyć agentom Kapelusznictwa? Słyszeły przecież z tego, że nigdy nie mówią całej prawdy i że ich metody dalekie są od uczciwości. Przeciwnie, zasadą ich sposobu działania są łgarstwa i manipulacje. Ale czy łąą i w tym wypadku? Styke był przecież niebezpieczny, a to, że uciekł z obozu pracy, też miało sens. Tylko dlaczego w mieście nie ogłoszono jeszcze alarmu? Dlaczego

dopiero teraz się o wszystkim dowiedziała? Gazety powinny przecież coś o tym pisać?

– On nas nie okłamał – odezwał się Olem niespodziewanie.

– Jak to?

– Powiedział tylko, że potrzebuje pracy. Nie mówił nam, skąd się wziął i co tam robił. Więc technicznie nie, nie minął się z prawdą.

– Co ci mówiłam o wyjeżdżaniu do mnie z tym „technicznie”?

Pułkownik skończył zwijanie papierosa. Wpatrywał się w sufit.

– Że wykopiesz mi wszystkie zęby?

– No właśnie – syknęła. – A już zaczynałam go lubić. O, na otchłań, ja już zaczynałam mu ufać!

– Bardziej niż Czarnym Kapeluszom?

– Sama się nad tym zastanawiałam. – Gniew nadal zaciskał jej żołądek, ale już nie tak mocno. Poczowała się zdolna do podjęcia rozmowy na ten temat bez uprzedzeń, z otwartą głową. Odetchnęła głęboko.

– Nic nie możemy dla niego zrobić – powiedziała. – Zatrudnił nas rząd. Mogę stawić opór Czarnym Kapeluszom, ale ten tłum tam, przy bramie, to dowód, że Fidelis Jes traktuje tę akurat sprawę bardzo poważnie. Nad ranem będziemy mieć tu całą armię.

– Więc pytanie brzmi: czy rzucić Styke’a psom na pożarcie? – Olem zapalił papierosa i pokój w jednej chwili zasnuł się dymem. Te duszące opary świadczyły, jak jest przygnębiony. Vlorę wcale go za to nie winiła. Lubił Styke’a, i nie tylko on. Po jego opowieści i po walce z Dynizyjczykiem zwykli żołnierze też zaczęli go lubić.

– Dla jednego człowieka nie poświęcę pozycji, którą sobie powoli wywalczamy.

– Zgoda – przytaknął Olem, ale jego twarz zdradzała, że cierpi.

Wrócili oboje przed bramę. Czarne Kapelusze nie mogły się ich doczekać: konie tańczyły w miejscu, ludzie burczeli coś pod nosem, a Brązowa Róża na ich widok aż zgrzytnął zębami.

– Nie ma go tu – powiedziała Vlorę.

Czyżby w oczach agenta błysnęła ulga?

– A gdzie jest?



– Nie wiem. Opuścił fort jakiś czas temu. Nie powiedział, dokąd się udaje. Macie dziesięć minut na sprawdzenie dziedzińca. Fidelis Jes ma się dowiedzieć, że nie znaleźliśmy zarzutów stawianych Benowi Styke'owi. On nie ma z nami żadnych związków. Publicznie wydam żołnierzom rozkaz zatrzymania go, jeśli zostanie przez nich zauważony. Nie lubię, gdy się mnie okłamuje.

Ta przemowa usatysfakcjonowała chyba Brązową Różę. Na rozkaz Czarne Kapelusze rozpoczęły szybkie przeszukanie fortu. Vlora przyglądała się im, przeklinając samą siebie za wpuszczenie tajnej policji pomiędzy swoje wojsko. Znaleźli się z Olemem sam na sam. Wiedzieli, że nikt nie może ich podsłuchać, więc skorzystali z okazji.

– Gdzie dziewczynka? – spytała.

– Celine? Styke wyszedł sam, więc jest gdzieś tutaj. Zapewne bawi się w mesie.

– Ukryj ją. Nie możemy pozwolić, żeby Czarne Kapelusze dostały sierotę w swoje brudne łapska.

Pułkownik odszedł wydać rozkaz dwóm stojącym najbliżej wartownikom i natychmiast wrócił. Vlora przyglądała się swym ludziom, łypiącym ponuro na myszkujące i wtykające nosy gdzie się dało Czarne Kapelusze, a potem spytała cicho:

– Posłałeś kogoś za nim?

– Jednego z moich chłopców, po cywilnemu.

– Wyślij drugiego. Nie zaryzykuję brygady dla byle kogo, ale Styke był jednak moim żołnierzem, choć przez zaledwie kilka dni. Ostrzeżemy go, to najmniejsze, co możemy dla niego zrobić.



## 33 ROZDZIAŁ

**S**tyke zszedł za uczniem Flesa w Jamę. Krętymi uliczkami, grzęznąc w zalegającej mazi, szybko dotarli do domu rodzinnego Flesów. Na widok Styke'a ludzie zatrzymywali się, gapili, a potem oddalali byle dalej albo z trzaskiem zamykali drzwi mieszkań. Był jak statek, prujący morskie fale, przed nim tworzyła się pustka, a za sobą zostawiał burzliwy kilwater. Pozostawiał też ślad w postaci ściekającej mu z czubków palców krwi, człowieka-smoka i zapewne własnej. Od czasu do czasu odruchowo wycierał dłoń o koszulę.

Prowadzący go chłopak nie odzywał się przez całą drogę, nawet nie odpowiadał na pytania, a kiedy już doszli na miejsce, wskazał palcem budynek, milczący i przerażony. Skrzydło wielkich dębowych drzwi, wepchniętych do środka taranem, wisiało w korytarzu na jednym zawiasie. Wewnątrz panowała ciemność. Styke był niemal pewien, że jego przewodnik odwróci się i ucieknie w panice, zostawiając go samego, zapewne w pułapce. Ale nie, trzymał się blisko, jakby przerażała go perspektywa samotności, jakby wołał od niej towarzystwo zakrwawionego olbrzyma kaleki.

Styke wyjął nóż i ostrożnie wszedł do środka.

Zniszczenia nie kończyły się na drzwiach wejściowych. Wszystko, co znajdowało się w domu Flesów, każdy drobiazg, zgromadzony w ciągu ich długiego życia w służbie królów i prostaczków, obrócono w proch i pył. Bezcenny zegar szafkowy leżał na boku po uderzeniu toporem, kolekcję bruduńskiej porcelany z półki nad kominkiem rozbito w drobny mak, gurlańskie dywany pocięto na kawałki, kezańskie wazy dosłownie unicestwiono.

Spojrzeniem przymrużonych oczu przebijając mrok, Styke inwentaryzował zniszczenia. Od razu rozpoznał, kto był sprawcą: Czarne Kapelusze. I od razu zorientował się też, że byli bardzo dokładni. Nie oszczędzili nawet ścian, setki dziur w gipsie świadczyły w równej mierze o wściekłej furii i o pośpiechu. Szkody mogły być większe tylko, gdyby podpalili dom, przed czym powstrzymała ich chyba wyłącznie obawa, że mogliby przy okazji spalić całą Jamę.

Gdzieś w głębi ktoś płakał i ten szloch złamał Styke'owi serce skuteczniej niż obraz wszechobecnej zagłady. Poczł ucisk w piersi tak silny, że przez chwilę nie był w stanie zaczerpnąć oddechu.

– Gdzie stary? – spytał ochrypłym głosem.

– W warsztacie – odparł chłopak.

Warsztat Flesa potraktowany został najgorzej. Stoły warsztatowe porąbano, miecze i noże pogięto i połamano, wszędzie wały się porozrzucane narzędzia. Pośrodku tego obrazu zniszczenia stała mała grupka: trzech uczniów wpatrzonych w leżącego na podłodze człowieka. Najmłodszy z nich, nie starszy od Celine, płakał otwarcie, nie kryjąc łez, pozostali mieli zaczerwienione oczy i brody się im trzęsły. Styke rozsunał ich delikatnie. Przykląkł przy starym.

Fles był w takim stanie jak jego dom. Krew zalała mu pobitą, posiniaczoną twarz. Przyciśnięte ciałem ramię skręcone było pod przedziwnym kątem, a strój zboczony równie obficie, co ubranie Styke'a. W dłoni staruszek zaciskał rękojeść miecza. Leżał tam, gdzie upadł, chłopcy nie ośmielili się go poruszyć.

Niewidzialna obręcz na piersi Styke'a zacisnęła się jeszcze mocniej. Próbował coś powiedzieć, nie mógł, więc tylko wykonał nieokreślony ruch ręką i wycharczał: „wody”. Następnie położył dwa palce do szyi leżącego, a potem przysunął ucho do jego warg. Poczuł słabe uderzenia pulsu i oddech na policzku. A więc Fles jeszcze żył.

Ulga stłumiła emocje, toczące dotąd walkę w sercu Styke'a. Wysiłkiem woli uciszył je wszystkie. Odchrząknął, chciał coś powiedzieć, odkaszlnął jeszcze raz. Dopiero wtedy zauważył, że stary ma otwarte oczy.

– Wielki przeklęty idiota – szepnął Fles.

– Zamknij się. Oszczędzaj siły.

Stary próbował stoczyć się z ramienia. Krzyknął cienko, przeraźliwie i zaprzestał wysiłków. Obrócił tylko głowę, zobaczył zniszczenia.

– Dorobek całego życia – westchnął cicho.

– To przeze mnie. – Oczywiście, że to Styke był wszystkim winien. Płatnerz dawał łapówki, prowadził biznes według obowiązujących zasad. Czarne Kapelusze nie miały żadnego powodu, by zaatakować tak poważanego rzemieślnika-artystę. No chyba że w ten sposób próbowali dopaść jego, Styke'a. Skądś musieli się dowiedzieć, kto przekazuje mu informacje, może przez kogoś z czeladników, a może mieli dom pod obserwacją? A może staremu zdarzyło się powiedzieć o jedno słowo za wiele?

– Oczywiście, że to przez ciebie – syknął Fles. – Od zawsze wiedziałem, że przynosisz pecha.

Znów próbował uwolnić rękę. Styke delikatnie obrócił go na bok, ignorując okrzyki bólu. Złożył mu ramię na piersi. Z całą pewnością było złamane i najprawdopodobniej będzie wymagało zestawienia. Potrafił składać złamane kości, ale nie miał pojęcia, czy starego nie zabije szok.

– Wezwaliście medyka? – spytał najstarszego z uczniów.

– Nie, sprowadziliśmy tylko ciebie, panie. On powiedział: „żadnych lekarzy”.

– No to jest idiotą. Sprowadźcie tu natychmiast najlepszego medyka w tej części miasta.

– Żadnych lekarzy – wycharczał stary.

– Zamknij się – warknął Styke.

Chłopak wahał się, patrzył to na jednego, to na drugiego. Ben wyszczerzył na niego zęby.

– Jeśli się boisz tego, co ci robi, kiedy wyzdrowieje, pomyśl o tym, co ja mogę ci zrobić teraz. Lekarza! Biegiem!

Czeladnika dosłownie wymiotło. Pozostali na rozkaz zapalili te lampy, które mogli znaleźć, i uporządkowali posłanie na tyle, by można było w nim położyć rannego. Fles przeklinał samego Bena i wszystkich jego przodków, po czym, złożony w łóżku, natychmiast stracił przytomność. Styke usiadł obok niego, na podłodze, oparł się o chłodną ścianę, a uczniowie zaczęli porządkować warsztat. Próbował przypomnieć sobie, kiedy płakał po raz ostatni. Minęło parę dziesiątków lat, bez wątpienia i teraz też łzy nie napływały mu do oczu, choć nie miałyby nic przeciwko temu, żeby tak się stało. Stary Fles był mu najbliższy, pełnił rolę swego rodzaju mentora. Poza tym traktowano go jako coś w rodzaju skarbu narodowego, był rzemieślnikiem-artystą jak rusznikarz Hrusch. Uchodził za nietykalnego. Nikt nie śmiał go skrzywdzić, bo wszyscy pożąдали jego ostrzy.

– No tak – powiedział do siebie, a kąciki jego ust uniosły się w smutnym uśmiechu. – Ostatnim razem szlochałem, kiedy zabiłem tego starego sukinsyna, który nazywał się moim ojcem.

– Co cię tak rozbawiło?

– Oprzytomniałeś? – zdziwił się Styke.

– Nie do końca – jęknął Fles, ale głos miał mocniejszy. – Wszystko przez ciebie i to twoje „miej oczy otwarte”. A było tak dobrze. Od paru lat to Ibana prowadziła interesy, pieniądze płynęły strumieniem, umarłbym bogaty... A oni wszystko zniszczyli.

– Nie wszystko.

– Budę na rynku też. Zdemolowali ją poprzedniej nocy, dziś rano zobaczyłem ruinę, od razu pobiegłem do domu, no i zdążyłem

w sam raz, żeby patrzeć, jak go rozwalają. Było ich ze trzydziestu, a pytali tylko o to, co z tobą. Sukinsyny. Wszyscy jesteście sukinsyny.

– Tylko oni – poprawił go Styke machinalnie, bo już myślał i już kalkulował, kogo poprosić o pomoc w wytropieniu takiej gromady agentów i jak trudno będzie usunąć tyle ciał. No, Szakał pomoże.

– Wszyscy jesteście sukinsyny – powtórzył Fles, patrząc na Styke'a z wściekłością. – Przecież wiedziałem, że powinienem kazać ci się wypchać, już kiedy pierwszy raz przekroczyłeś próg. Zawsze przynosiłeś pecha.

– Gdzie Ibana?

– Nadal w podróży. Wróci za kilka... za kilka dni. – Stary zamknął oczy. Odpływał, a Styke mógł tylko mieć nadzieję, że traci przytomność, nie życie. – Bogowie, jaka ona będzie na ciebie wściekła. Obedrze cię żywcem ze skóry.

– Powtarzasz się.

– Ale teraz wiem, co mówię. Och, na otchłań! Niech jeden z uczniów czeka na granicy miasta, niech ją ostrzeże. Nie chcę, żeby zaczepiała Czarne Kapelusze, żeby chociaż próbowała... – Fles milczał chwilę, a potem powiedział słabo: – Zabrali mi miecz. Ostatni, nad którym pracowałem. Nie mieli tyle godności, żeby go roztrzaskać, więc ukradli, tak po prostu. – Jego bezdźwięczny głos zaniepokoił Bena bardziej, niż gdyby brzmiał bólem i było w nim jakiegokolwiek uczucie, ale stary tylko zamknął oczy, nie dostrzegł jego zaniepokojonego spojrzenia.

– Odpoczywaj. – Styke wstał, wyprostował się.

– Nie rób tego – ostrzegł go płatnerz.

– Czego?

– Tego głupstwa, które zamierzasz zrobić.

– Nie zamierzam zrobić niczego. Muszę się upewnić, że tobie nic nie grozi.

– Masz mnie za głupca?

Prawdę mówiąc, Styke rzeczywiście niczego nie zamierzał. Zastanawiał się tylko, gdzie teraz uderzą Czarne Kapelusze, i miał nadzieję, że Szakał zdoła się przyczaić i przeczekać. Miał ochotę

wysłać któregoś z czeladników do lady Krzemień z prośbą o ukrycie Celine, ale zrezygnował, bo nie chciał jej w to wplątywać. Czymkolwiek „to” rzeczywiście było. A czym było, dokładnie nie wiedział, ale przez głowę przeleciał mu pewien pomysł, właśnie ten, o którym Fles radził mu nie myśleć – i on pozwolił mu podjąć decyzję. Już wiedział, co zrobi.

– Nie – powiedział cicho. – Nigdy nie miałem cię za głupca.

Nie doczekał się odpowiedzi. Stary znów zemdłał. Styke sprawdził, czy jego serce wciąż bije, po czym poszedł do warsztatu, ale po kilku krokach znieruchomiał i położył dłoń na rękojeści noża. W drzwiach ktoś stał, w blasku ulicznych latarni widać było tylko jego sylwetkę.

Tajemnicza postać obróciła się nieco do światła. Był to pułkownik Olem w stroju mieszkańca pogranicza, w płótkim filcowym kapeluszu na głowie. Papierosa zastąpiła przygryzana w zębach gałązka. Przymrużonymi w mroku oczami długo przyglądał się Benowi, a potem cofnął się o krok i odczytał tabliczkę przy drzwiach.

– Przyjaciel? – spytał.

Styke przytaknął gardłowym mruknięciem.

Pułkownik nerwowo przygryzał witkę.

– Czarne Kapelusze?

Styke poczuł, jak jego serce przestaje na moment bić.

– Skąd wiesz?

– Zjawili się w Fort Loel zaraz po twoim odejściu.

– Szukali mnie?

– Szukali ciebie.

No to tyle, jeśli chodzi o niewplątywanie lady Krzemień w „to”. Siostra Styke’a lubiła powtarzać, że jak deszcz, to od razu ulewa. W tym wypadku była to nawałnica gówna.

– A więc ona wie?

– Wie, że jesteś zbrodniarzem wojennym?

Szalony Lansjer zrobił dwa szybkie kroki w kierunku Olema. Sięgał po nóż, kiedy uświadomił sobie, że słowa pułkownika

zamierzone były chyba jako pytanie, a nie twierdzenie. Mimo to najpierw warknął z wściekłości, a dopiero potem zaczął zwyczajnie mówić.

– Nie jestem zbrodniarzem wojennym. Nie uczyni mnie nim żaden sąd. Udowodniono mi niewykonanie rozkazów, tak, to prawda, ale wszystkie zbrodnie, jakich się dopuściłem, popełniłem w służbie tego kraju. Muszę prosić cię, żebyś nie powtarzał tego oskarżenia.

Olem ani drgnął. Milczał, taksując tylko Styke'a od stóp do głów i z powrotem. Styke był pewien, że zna myśli Olema. Ten zastanawiał się pewnie, jak zachowywali się Palo, kiedy szedł do Flesa. Czy uciekali z ulic i zamykali drzwi? Czy go widzieli, olbrzymia zalanego krwią broczącą z kilkunastu rozcięć na ciele i głowie, z rozprutą nożem koszulą? Olem musiał też wiedzieć, że Styke cierpiał, że ból budził się na nowo, tyle że potrafił ignorować go od momentu, kiedy uczeń wykrzyknął jego imię. Na pułkowniku zrobił chyba silne wrażenie, ale Olem z pewnością się go nie bał. Przez głowę Styke'a przeleciała myśl niemająca nic wspólnego z tym, co się teraz działo: sukinsyna, byłego osobistego strażnika legendarnego marszałka polowego Tamasa, musi być niezmiernie trudno ograć w karty.

– W porządku – powiedział Olem. – Dużo o tobie słyszałem, wiesz? I przeczytałem w życiu parę książek. I jeszcze rozmawiałem z przyjacielem. Nie robisz na mnie wrażenia zbrodniarza wojennego.

– Więc po co przyszedłeś?

Pułkownik nie był głupcem. Gdyby przyszedł wyrazić niezadowolenie lady Krzemień albo aresztować go w imieniu lady kanclerz, to co najmniej włożyłby mundur, a najprawdopodobniej przyprowadził ze sobą pułk.

– Dać ci to. – Olem wyciągnął rękę.

Styke wziął plik kрана. Przesunął po banknotach palcami, niechęć brudząc je krwią. Oddał plik pułkownikowi.

– Nie chcę tych pieniędzy – powiedział.



- Pięć tysięcy krana. To twój żołd za dwa tygodnie.
- Nie zarobiłem pięciu tysięcy krana.
- Z niewielką premią – przyznał Olem.

Styke przełknął ślinę z wysiłkiem. Do diabła z jego zadaniem, infiltracją Strzelców Wyborowych. Polubił ich i polubił dowodzących nimi oficerów. Znalazł swoje miejsce, już prawie znów czuł się żołnierzem.

- Pani generał mnie zwalnia?

– Przykro mi. – Pułkownik powiedział to bez wątpienia szczerze. I znów podał mu pieniądze.

– Dajcie je Celine, kiedy już będzie wystarczająco dorosła. – Styke minął pułkownika. – Opiekujcie się nią w moim imieniu. Pilnujcie, żeby nie wpadła w łapy Czarnych Kapeluszy. – Prosił o wielką rzecz, doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Czekał, aż Olem pokręci głową przecząco.

Ale nie, Olem tylko spytał cicho:

- Nie bierzesz jej ze sobą?

– Nie tam, dokąd się wybieram. – Stary Fles miał rację. Będzie idiotą. Ale właśnie taką drogę widział przed sobą i tylko to zagranie dawało szansę, że znanych mu, bliskich ludzi Czarne Kapelusze nie zamęczą i nie zabiją. Zatrzymał się już na zewnątrz. – Nie zviałem z obozu pracy – powiedział. – Spróbowałem ucieczki tylko raz, a i to bez przekonania.

– Dlaczego? Przecież widziałem, co zrobiłeś z człowiekiem-smokiem.

Styke spojrział na swe dłonie, pokryte zaschniętą krwią. Pamiętał, jak strażnicy z obozu bili go, bezkarnie. Pamiętał noce, bezsenne przez ból starych ran, i dni pod palącym słońcem, spędzone na wywożeniu błota z kopanych na bagnach rowów.

– Bo nie chciałem, żeby moje życie skończyło się właśnie tak – powiedział po prostu. – Jestem wilkiem, a nie parszywym psem. Nie zamierzam uciekać aż do śmierci. Lepiej odsiedzieć wyrok i zostać zwolnionym, niż zbiec. Cokolwiek mi zrobili, pozostałem Benem Stykiem. Mam swoją dumę. Więc nie uciekłem. Zostałem zwolniony.

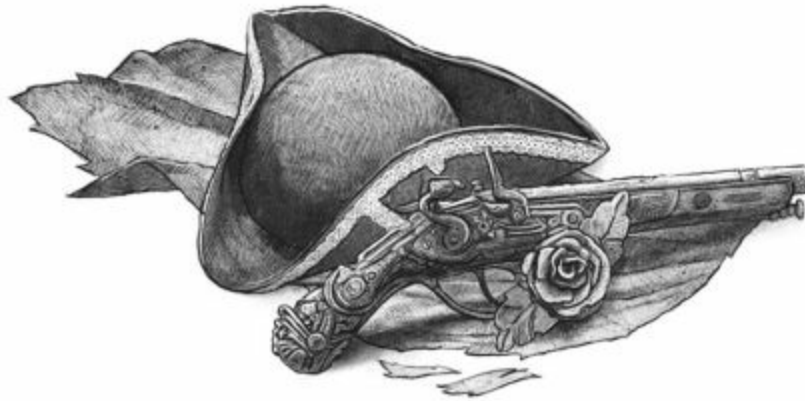
Myślałem, że naprawdę jestem wolny. Że stworzę sobie nowe życie. Ale lady kanclerz boi się wszystkiego, czego nie może kontrolować, więc... – Wzruszył ramionami. Ruszył ulicą. – Lubię lady Krzemień. Kiedy znów ją zobaczysz, powiedz jej, żeby uważała na pewnego mężczyznę, Gregiousa Tampe.

– Znasz go?

– Właściwie nie. – Styke nawet się nie odwrócił. – Ale to on zwolnił mnie z obozu.

– Dokąd idziesz? Co masz zamiar zrobić? – zawołał za nim Olem.

– Idę zawrzeć umowę na zabicie człowieka.



## 34 ROZDZIAŁ

**M**ichela, ze związanymi rękami i nogami, pozostawiono samego w małym pokoiku nad drukarnią „Wieści Palo”. Nóż i kastet zabrała mu wielka kobieta, a drzwi zostały zamknięte od zewnątrz. Szczękę miał naruszoną, głowa pulsowała mu bólem od dwóch uderzeń, poza tym próbował gadaniem zamącić im w głowach, uciec przed tym... czymkolwiek... co go czekało i za swoje starania został dodatkowo pobity i skopany. Usiłowanie wręczenia łapówki też w niczym mu nie pomogło. Pozostawiło po sobie rozcięcie za uchem. Spodziewał się, że zaczną od bicia i że będą go bić tak długo, aż załamie się, powie im, kim jest, dla kogo pracuje i jakie ma zadanie, ale nie. Gdy tylko znaleźli Srebrną Różę, związali go jak szynkę do wędzenia, wrzucili do biura, po czym wyszli. Przez okienko widział Palo, mężczyznę w średnim wieku z głęboką blizną pod okiem. Pilnowali go.

Prawdopodobnie zdołałby jakoś uwolnić się z więzów. Być może udałoby mu się nawet otworzyć zamek w drzwiach przy pomocy jakiegoś prowizorycznego wytrycha zrobionego z czegoś znalezionej w biurze. Ale nie sądził, by był w stanie poradzić sobie

z tym strażnikiem pod oknem. Nie teraz, kiedy kręciło mu się w głowie. Poza tym tam, gdzie był jeden, mogło ich być wielu.

Jeśli przeżyje, rano będzie bardzo obolałym Michelelem.

Godziny mijały powoli, leniwie. W południe wewnątrz rozgrzało się nie do zniesienia, Bravis wręcz kąpał się we własnym pocie, ubranie przesiąkło na nim do cna. Rozważał jeden za drugim plany działania, ale odrzucał wszystkie jako zbyt karkołomne. Zawsze lepiej gadał, niż walczył lub choćby uciekał, więc wierzył, że mimo znalezienia przy nim Srebrnej Róży może uda mu się jakoś wykaraskać z kłopotów. A jeśli ich nie przekona ani nie przekupi, to być może zgodzą się przyjąć okup z Kapelusznictwa?

Tak, ale konieczność wykupu pozbawi go szans na jakąkolwiek dalszą karierę. Oczywiście lepiej nie mieć perspektyw zawodowych, niż skończyć w kilku kawałkach na biurku Fidelisa Jesa...

Dokładnie przemyślał każdą historyjkę, którą mógłby wcisnąć więźącym go Palo. Głowę ciągle rozsadzał mu ból, a język miał wyschnięty na wiór. Był już pewien, że za chwilę zemdleje, gdy na dole wszczął się jakiś hałas. Trwał krótko, po czym ktoś ruszył na górę po schodach niezbyt szybko, lecz pewnie, stopień po stopniu. Michel nie miał pojęcia, ile czasu minęło od chwili, gdy go obezwładniono i uwięziono, ale miał nadzieję, że gdzieś go stąd przeniosą. Następną godziną w tym upale zabiłaby go skuteczniej niż tortury.

Drzwi się otworzyły. Przed Michelelem stanął mężczyzna w eleganckim czarnym surducie, z cylindrem w jednej, a laseczką w drugiej ręce. Był wysoki, szczupły, miał ciemne włosy oraz starannie przycięte wąsy.

Bravis miał wrażenie, że ciężkie serce osuwa mu się aż do żołądka. Tampo! Gregious Tampo. Jego uwadze nie umknęła ironia tej sytuacji. Poświęcił czas i niebagatelne wysiłki na znalezienie człowieka, który znalazł się sam i stał teraz przed nim, tryumfował, gotów był męczyć go długo i dokładnie, aż do nieuniknionej śmierci. Spróbował oblizać wargi. Ciekawe, jak długo wytrzyma

przesłuchanie? Zapewne niezbyt. Zawsze podejrzewał, że w głębi duszy jest tchórzem.

Teraz dowie się na pewno, czy jest nim, czy może nie.

Tampo przyglądał się Michelowi uważnie, marszcząc czoło i mrużąc oczy, bo robiło się już ciemno. Wyciągnął tabakierę, zażył szczyptę tabaki, unosząc palce do nosa wytwornie delikatnym gestem.

– Przynieście mu herbaty – powiedział.

W chwilę potem agent miał już wolne ręce. Przepelniony wdzięcznością pił ze skórzanego bukłaka zbyt spragniony, by przejmować się tym, czy herbata jest zatruta, czy nie. Tampo popatrywał na niego jeszcze chwilę, a potem odwrócił się i wyszedł, zostawiając drzwi otwarte, a więźnia bez straży. Bravis zawahał się, ale uznał rozsądnie, że żadna pułapka nie będzie gorsza niż pozostanie na miejscu, i powoli poszedł za nim w dół, po schodach prowadzących do drukarni.

Tampo skinął głową, Palo znikli, jakby ich tu nigdy nie było, a on podszedł do maszyny drukarskiej stojącej pośrodku pomieszczenia. Oparł się o nią swobodnie. Michel rozglądał się gorączkowo, szukał dróg ucieczki. Ci Palo byli pewnie gdzieś w pobliżu, ale gdyby udało mu się załatwić Tampę, to może zdołałby dobiec do dorożki, czekającej na niego na skraju miasteczka.

Jeśli dorożka jeszcze tam stała.

Myślał niezbyt jasno, wszystko go bolało, a szanse wydawały się nikłe. Tampo tymczasem patrzył na Michela obojętnie, niemal przyjaźnie. Być może istniała jednak jakaś szansa, by wynegocjować uwolnienie?

– Niezręczna sytuacja – powiedział Tampo bez wstępów.

– Mnie też tak się wydaje – zgodził się z nim Michel natychmiast.

– To ty tropiłeś mnie tak wytrwale?

Bravis drgnął. Przyjrzał się prawnikowi uważnie. Pierwszy raz widział go na własne oczy, ale... było w nim coś przedziwnie znajomego. Zupełnie jakby spotkał zapomnianego przyjaciela z dzieciństwa.

– Prowadzę tę sprawę od ośmiu dni – powiedział.

– No nie! – Tampo przygryzł w zębach olśniewająco czysty paznokieć. Uderzył laską w podstawę maszyny. Wydawał się czymś raczej zirytowany niż zły. – Ale na to nic już się nie da poradzić, prawda?

Michel nie pojmował, o co tamtemu chodzi. Po Tampie mógł się spodziewać raczej skatowania laską niż poczęstunku herbatą i roztargnionej irytacji. A tymczasem prawnik potrząsnął głową, ścisnął palcami grzbiet nosa, po czym znieruchomiał na wystarczająco długo, by Bravis zaczął się niepokoić.

A potem jego twarz się zmieniła.

Nie była to żadna wielka przemiana. Oczy jakby nieco się od siebie oddaliły, we włosach pojawiła się przedwczesna siwizna, nos zrobił się orli, kości policzkowe wydatniejsze, wargi cieńsze. W ciągu kilku chwil mężczyzna ten stał się innym mężczyzną, podobnym do poprzedniego, jak mogą być podobni bliscy kuzyni, ale gdyby stanęli ramię w ramię, nikt nie wziąłby ich za bliźniaków.

W mgnieniu oka stało się jasne, co tak frustrowało Tampę. Bravis westchnął ciężko, częściowo z ulgi, a po części z żalu, że tak się to wszystko idiotycznie ułożyło.

– Cześć, Tanielu – powiedział. – Na otchłań, dlaczego nie uprzedziłeś mnie, że zamierzasz drukować jakieś tam broszury?



## 35 ROZDZIAŁ

Styke wszedł do Kapelusznictwa jak gdyby nigdy nic. Wartownikowi opadła szczeka. Gapił się na kulejącego gościa przechodzącego pod łukiem wejścia, a potem krzyknął przez ramię coś niezrozumiałego. Przybysz tymczasem podszedł do mężczyzny siedzącego za ladą, już wewnątrz budynku. Stary Czarny Kapelusz siedział krzywo, oparty o ścianę i pochrapywał błogo. Notes właśnie wyślizgiwał mu się z ręki.

– O ile wiem, z Fidelisem Jesem można umówić się na pojedynek?  
– powiedział Styke.

Śpiący prychnął, pogładził się po nosie, wyprostował w krześle i nawet udało mu się powstrzymać ziewnięcie. Prawie udało.

– Oczywiście, oczywiście. Zapiszę nazwisko. Trzeba czekać. Kilka tygodni. Możesz się wycofać, panie, w każdej chwili. Kiedy się już uspokoisz.

– Będę z nim walczył dzisiaj.

Stary zamrugnął szybko, spojrzął na Styke'a znad notatnika.

– Gazet nie czytasz, człowieku? Mówisz, jakbyś nie wiedział, że wielki mistrz pojedykuje się wyłącznie rano, a wszystkie poranki

ma już zarezerwowane. Nie robimy wyjątków dla nikogo.

– Zrobicie wyjątek dla mnie.

Styke zdrapał grudkę zaschniętej krwi z ramienia. Patrzył, jak spada na ziemię. Zastanawiał się, czy Stary Fles dożyje ranka i czy nie było z jego strony okrucieństwem pozwolić mu umrzeć samotnie. Uspokajał siebie, że stary nie będzie przecież samotny. Przyjaciele otoczą go, leżącego na łożu śmierci. Styke'a nie. On będzie umierał otoczony wrogami. Taki jego los.

– Bardzo śmieszne – przerwał mu rozmyślania weteran za ladą. – Nazwisko i adres. Poinformujemy, kiedy znajdziemy wolną datę.

– Benjamin Styke, pułkownik, Pierwsza Dywizja, Trzeci Pułk Kawalerii, Szaleni Lansjerzy.

– Żołnierz, co? Żołnierze są za mądrzy... – Czarny Kapelusze mówił coraz ciszej, aż w końcu tylko bezgłośnie poruszał wargami. Gdzieś w trzewiach Kapelusznictwa rozległy się krzyki, a emerytowany dyżurny wreszcie podniósł wzrok. – To ty... – sapnął. – Ty...

– To ja – potwierdził Styke spokojnie. – Powiedz Jesowi, że z jego bezwartościowego truchła zrobię sobie pacynkę. Poinformowałem z dziesięć gazet, dokąd idę i co zamierzam, więc jeśli zechce teraz sprawić, żebym zniknął, całe miasto dowie się, jaki z niego tchórz. – Było to kłamstwo, ale całkiem prawdopodobne.

Weteran skoczył na równe nogi i cofnął się w panice, jak najdalej od niespodziewanego gościa.

– Zaraz... już... już przekazuję wiadomość. Proszę... poczekaj kilka chwil, panie.

Odwrócił się i potruchtał w głąb budynku. Wrzaski były coraz głośniejsze, krzyczący wyraźnie się zbliżali. Już słychać było dźwięk ich kroków. Wąskie wejście wypełnili ludzie, tłoczyli się w nim, wymachiwali bronią, od garłaczy po zwykłe pałki. Próbowali wydawać się groźni, ale jakoś żaden nie ośmielił się podejść do Styke'a na odległość wyciągniętej ręki.

Ten oparł się wygodnie o ladę. Czyścił paznokcie i kontemplował własną śmiertelność.



Nie spodziewał się ująć z Kapelusznictwa z życiem. Nie czuł strachu – nigdy nie pożył śmierci, ale to nie znaczyło, że się jej nie obawiał. Przyszedł tu po to, by zginąć, oczekiwał, że z ręki ludzi, którzy się tu zgromadzili. Jeśli zdoła, zabierze kilku ze sobą, ale jedynym jego marzeniem było odejść w koszuli poplamionej mózgiem Fidelisa Jesa.

Wyobraził sobie Jesa takim, jakim go zapamiętał przy ostatniej okazji: chudego, muskularnego, o trochę za grubej szyi i nieco za wąskiej głowie, przez co wyglądał zupełnie jak czubek ołówka nasadzony na ludzkie ciało, zadowolonego z siebie, przyglądającego się swej ofierze stojącej przed plutonem egzekucyjnym. Styke zachował we wspomnieniach ten jego uśmiezek, lubił też wyobrażać sobie, jak czaszka Jesa pęka w uścisku jego dłoni niczym przejrzały arbuz. Czarne Kapelusze zastrzelą go oczywiście, gdy tylko ich mistrz odejdzie z tego świata, ale on umrze w pełni usatysfakcjonowany.

Niczego nie żałował. No, może tego, że musiał oszukiwać lady Krzemień. I tego, że Ibana nie usłyszy jego przeprosin. No i nie dowie się już, co Tampo planował dla Landfall.

I tego, że nie zobaczy, jak Celine rośnie i dorósłaje.

– Pułkownik Styke?

Do rzeczywistości przywołał go głos kobiety około trzydziestki, stojącej między nim a ciżbą rozwścieczonych agentów.

– Kim jesteś? – spytał.

– Nazywam się Dellina. Jestem osobistą sekretarką wielkiego mistrza. Rozumiem, że zgłosiłeś się do nas, panie, w sprawie pojedynku?

– Tak, i nie zamierzam czekać.

– Ależ oczywiście. – Dellina uśmiechała się profesjonalnie. Jeśli niepokoiło ją, jak wygląda przybysz, umazany krwią od stóp do głów, to nie dała tego po sobie poznać. – Nie zamierzamy niczego odwlekać, panie. Wielki mistrz jest obecnie na spotkaniu, ale wydał instrukcję, by wezwać go natychmiast, gdy tylko się pojawi.

Styke poczuł, jak skręca mu się żołądek.

- Oczekiwał mnie?
- Oczywiście, pułkowniku.

Serce uderzyło mu mocniej. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak doskonale nim manipulowano. Przecież to jasne! Zatańczył tak, jak mu Fidelis Jes zagrał. Zamiast zmusić Czarne Kapelusze do biegania za nim przez całe Landfall, sam pojawił się w Kapelusznictwie, oszczędzając im zachodu. Matoł. Idiota.

To przed tym głupstwem ostrzegął go Stary Fles.

No nic. Co się stało, to się nie odstanie.

Styke pluł sobie teraz w brodę, ale nadal się nie bał. Zginie, ale Fidelis Jes umrze wraz z nim. Poczyszające, bardzo pocyszające. Mimo wszystko, idąc za Delliną przez tłum, na wszelki wypadek trzymał dłoń na rękojeści noża. Agenci deptali im po piętach. Znikli co do jednego, gdy znaleźli się na małym, niczym się niewyróżniającym dziedzińcu za budynkami, by po chwili pojawić się na krążankach, skąd przyglądali się im niczym stado sępów.

– Owoce? Może wino, panie pułkowniku? – spytała bardzo uprzejmie Dellina.

– Nie – odparł i wręczył jej swoją starą kawaleryjską kurtę.

Sekretarka przyjęła ją bez komentarza.

– Jaką bronią posłużymy się podczas dzisiejszego pojedynku?

Styke rozejrzał się po dziedzińcu. Bruk wyglądał na często zmywany, ale tylko w niektórych miejscach, co zapewne oznaczało, że często spłukiwano z niego krew. W jednym z korytarzy coś błyszczało metalicznie: stojak z dziesiątkami mieczy, noży, pistoletów i muszkietów, zadbanych, wypielęgnowanych, gotowych do natychmiastowego użytku.

Postukał palcami w rękojeść swojego noża.

– Niech i tak będzie – odpowiedziała Dellina.

A więc to tu Fidelis Jes szafował śmiercią... A wnioskując z tego, co miały do powiedzenia gazety, był w tym bardzo dobry. Styke zastanowił się przelotnie, czy powinien czuć strach, i uznał, że nie ma ku temu żadnych powodów. Nie bał się, szarżując na piętnaście tysięcy piechoty w bitwie o Landfall, nie bał się, atakując brygadę, za

całe wsparcie mając partyzantów Taniela Dwa Strzały i małomiasteczkowy garnizon. Nie bał się podczas wojny, więc nie zamierzał zaczynać teraz.

– Benjamin Styke!

Nareszcie! Styke patrzył na Fidelisa Jesa, schodzącego po kilku stopniach na dziedziniec z jego przeciwległego końca. Miał wrażenie, że spotyka w końcu starego przyjaciela – jeśli jest nim ktoś, kogo zamierzało się przyprawić o śmierć w boleściach. Zanucił coś pod nosem, pieszcząc palcami rękojeść noża.

Nadeszła chwila, o której marzył od dekady.

– Wiele lat minęło – powiedział wielki mistrz, stając w pozycji zasadniczej jakieś dziesięć stóp od niego.

– Za wiele – przytaknął Styke. – A jednocześnie zbyt mało.

Jeśli on był ludzkim wrakiem, cieniem samego siebie sprzed lat, to Jesowi lata te zdecydowanie posłużyły. Był przystojniejszy i wyglądał na silniejszego niż kiedykolwiek. Ramiona miał szersze, niż zapamiętał je Styke, bicepsy i mięśnie nóg lepiej rozwinięte, poza tym był bardzo przyjemnie opalony. Karykaturalnie gruba szyja i mała główka nic się oczywiście nie zmieniły, ale nie rzucały się przesadnie w oczy wobec tak wspaniałego ciała. Nie dopuścił, by wygody życia dostojnika utuczyły go i rozleniwiły. Styke znienawidził go za to, ale była to dodatkowa kropla w całym oceanie nienawiści.

Jes uśmiechnął się jak ktoś, kto zamierzał wykroić sobie właśnie smakowitą porcję indyka.

– Na otchłań, jesteś obrzydliwszy, niż cię zapamiętałem. Kula nie upiększyła ci buźki, oj nie. Nie pomogła na plecy i kolano. – Pokręcił głową. – Lata nie były dla ciebie łaskawe, przyjacielu.

– Byliśmy kiedyś przyjaciółmi? – zdziwił się Styke. Przez głowę przeleciała mu zatrważająca myśl: może byli? I może o tym nie pamięta?

– Sojusznikami.

– To nie to samo.

– Chyba rzeczywiście nie – przyznał wielki mistrz i przyjrzał się Styke’owi uważniej. – A więc uznałeś, że jesteś gotów umrzeć?

Ben postukał palcami w rękojeść noża.

– Wszyscy umierają, wcześniej czy później. – Nie spuszczał wzroku z twarzy Jesa, a szczególnie interesowały go jego oczy. Mieli świadków, kilkudziesięciu Czarnych Kapeluszy, a ich mistrz wyglądał na absolutnie pewnego siebie i jak zawsze lubił się chwalić i tryumfować. Ale w tym pancerzu były pęknięcia: za bardzo wyzywające spojrzenie, nieco za szeroki uśmiech, zbyt niedbala postawa.

Jes denerwował się. I tak właśnie powinno być.

– Noże, tak? – spytał. Głos załamał mu się ledwie dosłyszalnie. Odchrząknął, ponowił pytanie.

– Tak jest, panie – potwierdziła Dellina. Znikła na chwilę w korytarzu, w którym Styke dostrzegł wcześniej stelaż na oręż, po czym powróciła z nożem o stałym ostrzu, równie wielkim jak nóż Styke’a. Podała go Jesowi rękojeścią naprzód, a on wyciągnął ostrze z pochwy jednym szybkim, zdecydowanym ruchem. Powinien prezentować się śmiesznie, normalny człowiek uzbrojony w coś tak groteskowych rozmiarów, ale wcale tak nie wyglądał. Wykonał parę zręcznych fint, a potem zaczął rozciągać mięśnie niczym gimnastyk szykujący się do występu.

– Mam dziwne wrażenie, że tyle jeszcze jest do powiedzenia.

– Ja nie mam. – Styke też obnażył nóż. Trzymał go luźnym uchwytem zdrowej ręki.

– Nie chcesz dowiedzieć się, co osiągnąłem, kiedy ty siedziałeś w obozie? Nie chcesz usłyszeć o bogactwie Fatrasty i o jej chwale? Nie chcesz spytać o Lindet?

– Widzę rozkładające się miasto pomalowane świeżą farbą. – Styke bardzo starał się znaleźć właściwe słowa. – A Lindet zawsze lepsza była w zdobywaniu władzy niż w sensownym jej wykorzystaniu.

– Zabawnie brzmi to akurat w twoich ustach, Benjaminie.

Styke wzruszył ramionami.

– Nigdy nie twierdziłem, że robię cokolwiek prócz zniszczenia. To wy gadaliście, ty i Lindet.

– Może gdybyś dał temu gadaniu szansę, byłbyś teraz kimś wielkim, a nie wypalonym wrakiem człowieka. – Te słowa wypowiedziane zostały bardzo łagodnie, ale Styke doskonale wyczuwał ukryty w nich sztylet. Jes uśmiechał się, ale oczy zaczynały mu płonąć. Nie wiadomo tylko, czy urządził przedstawienie dla obserwujących ich Czarnych Kapeluszy, czy dla samego siebie.

– Chciałeś, żebym zabijał dzieci – powiedział Styke tak głośno, by usłyszeli go widzowie.

– Wszyscy umierają. – W głosie wielkiego mistrza nie było śladu żalu czy refleksji. – To twoje słowa. Przedstawiłeś się jako potwór, którego Fatrasta potrzebuje, dopilnowałeś, by wszyscy się o tym dowiedzieli, ale byłeś potworem, dopóki tobie to pasowało.

– Mordowanie dzieci mi nie pasuje.

– Ale prawdziwemu żołnierzowi owszem. Prawdziwi żołnierze wykonują rozkazy.

– Na przykład ty? Nigdy nie byłeś żołnierzem, tylko cieniem Lindet. Poza tym nie istniejesz. Nie masz substancji. Uderzasz sztyletem w ciemności i co rano zabijasz głupców tylko po to, by przekonać samego siebie, że jesteś taki dobry. No więc nie. Nie jesteś dobry. Nigdy nie byłeś. Pewnego dnia szwy puszczą, rozejdzie się smród i wtedy Lindet rzuci cię na kupę gnoju tak, jak rzuciła mnie.

Jes drgnął niczym uderzony, z uśmiechu zostały tylko wyszczerzone zęby. Ostrze noża zatoczyło w powietrzu ósemkę, a Fidelis zaczął chodzić tam i z powrotem, jego sekretarka rozsądnie wycofała się aż do samej granicy dziedzińca.

– Benjamin Styke – wypowiedział te słowa, jakby nimi spluwał. – Taki silny! Taki sprytny! A nie potrafi nawet ochronić przyjaciół. Powiedz mi, co cię tu sprowadziło? Spalony bar Gracza? Zniszczenie Mieczy Flesa? Stajni Sunin? Śmierć starego sępa Hovensona? Nie byłem pewien, co przyciągnie twoją uwagę, więc zrobiłem to wszystko naraz.

Wielkim wysiłkiem woli Styke zdołał zachować kamienną twarz, ale gardło mu się ścisnęło. Jes podał jeszcze kilkanaście imion, każde z relacją, co jego Czarne Kapelusze zrobiły tym ludziom, zapewne dziś rano. Wszyscy oni byli oficerami, jego starymi druhami, każdy zapewne udzieliłby mu wsparcia w trudnych chwilach. Z żołądkiem zaciśniętym, wręcz splątany w supeł, Styke był w stanie myśleć tylko o tych kilkorgu, których imion wielki mistrz nie wymienił. Nie wymówił imienia Szakala.

Styke nie kontaktował się z nimi, z wyjątkiem Starego Flesa, by jakoś ich chronić, nie narażać na represje, ale to było stanowczo za mało.

Wszyscy lansjerzy cierpieli. Przez niego.

Styke rozluźnił nadgarstek, musiał operować dłonią sprawnie, płynnie.

– Szczerze? – powiedział głośno. – Szczerze, to nic o tym nie wiedziałem. Po prostu dziś rano obudziłem się z myślą, że mogę przecież zrobić sobie kapelusz z twojej klatki piersiowej.

Jes wykonał krótki unik i podskok. To już nie była gra. Skupił wzrok, biegał nim od twarzy przeciwnika, przez jego kaleką rękę, do równie niesprawnej nogi. Planował.

– Czyją krew masz na sobie? – spytał.

Styke wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Chciałbyś wiedzieć, co?

– To bez znaczenia. I tak się dowiem, kiedy zrobię już z tobą porządek.

Wielki mistrz zaatakował bez ostrzeżenia. Skulił się i ciał w twarz przeciwnika. Ostrza zderzyły się ze sobą z donośnym brzękiem, Styke odczuł siłę uderzenia całym ramieniem. Odstąpił w bok, machnął lewą ręką, dostał płytkie cięcie w przedramię.

Rozdzielili się, zwarli i znów rozdzielili. Krążyli wokół siebie, Jes zwięzionymi z koncentracji oczami szukał jakiegokolwiek luki w obronie.

Człowiek-smok był nieprawdopodobnie silny i szybki, ale popełnił błąd. Wdał się w zapasy. Fidelis przeciwnie, trzymał

dystans, pozostając poza zasięgiem. Walczył wyłącznie nożem. Był ostrożny i uważny, jakimś cudem udawało mu się śledzić spojrzeniem równocześnie i pracę nóg przeciwnika, i ruchy ręki trzymającej ostrze, i wyraz oczu Styke'a. Poruszał się z precyzją człowieka uprawiającego zabijanie jak sztukę, a nie broniącego się przed śmiercią. Czytał w przeciwniku jak w otwartej księdze.

Przez kilka długich chwil obaj krążyli po okręgu. Styke rysował nożem ósemki przed twarzą wielkiego mistrza, ten w odpowiedzi robił to samo. Licytacja na finty. Styke niezbyt głęboko rozciął ramię Fidelisa, Jes niezbyt groźnie ciął po kostce środkowego palca Styke'a. Noże zderzały się z brzękiem, w pewnej chwili Styke zauważył rysy i wgłębienia, pozostawione przez jego broń na ostrzu wielkiego mistrza.

Powinien robić zakupy u Starego Flesa, pomyślał. I ta niechciana myśl drogo go kosztowała. Rozproszył uwagę, wypadł z rytmu. Cofnął się o krok, by go odzyskać, zdwoił tempo ruchów ręki, by jakoś się osłonić. Ale Jes poszedł za nim, zdołał zranić go w udo, choć potem zapłacił za ten ruch, bo Styke odzyskał równowagę i odpowiedział głębokim cięciem w ramię.

Ale, ku zdumieniu Bena, zamiast cofnąć się po otrzymaniu ciosu, Fidelis wychylił się do przodu, a potem – zdumiewające! – upuścił nóż. Złapał go w drugą rękę, którą Styke sam sobie zasłonił ramieniem, i zaatakował od dołu, żłobiąc pierś przeciwnika wygiętym czubkiem i tym samym ruchem kontynuując cięcie aż do kiści.

Styke natychmiast stracił czucie w palcach. Upuścił broń. Próbował jeszcze ją złapać, pochylił się i poczuł mocne ukłucie w udo.

Spojrzał w dół. Jes wyciągał właśnie ostrze z rany w jego nodze.

Ściskając palcami przecięty nadgarstek, Styke upadł na kamienie dziedzińca. Na wznak.

Pojedynek zakończył się akcją szybką jak mgnienie oka. Ben poczuł łzy w oczach, a jego oszołomiony mózg usiłował stworzyć

obraz sytuacji. Leżał na plecach. Miał przecięte ścięgna sprawnej dłoni. Prawe udo płonęło bólem jak przypiekane żywym ogniem.

To nie miało przecież tak wyglądać. Miał uchwycić Jesa, choćby kosztem zarobienia pchnięcia w brzuch, i zadusić go w kilka krótkich chwil. Mieli umrzeć obaj, tak konałby z uśmiechem na ustach. A teraz? Jego nóż potoczył się z brzękiem po dziedzińcu. Twarz Fidelisa przysłoniła Styke'owi świat.

Wyciągnął ku niemu kaleką dłoń, Jes odtrącił ją brutalnie ostrzem, niemal odcinając palec, a potem odwrócił chwyt i pchnął leżącego w ramię.

– Krzycz! – rozkazał mu cicho.

Styke tylko chrząknął gardłowo. Nie znajdował słów, nie znajdował ani słowa. Stłumił szloch, marzył, by przeciwnik pochylił głowę niżej, spróbowałby wtedy odgryźć mu nos. Tymczasem wielki mistrz tylko przy nim przykląkł. Obracał ostrze, wbijał je coraz głębiej.

– Powiedziałem: krzycz!

Ben oddychał z trudem, kurczowo łapał powietrze. Każda najdrobniejsza rana sprawiała ból, ręka i noga nie reagowały na komendy, które usiłował im wydać. Przypomniawszy sobie umierającego człowieka-smoka, przegryzł sobie wargę, splunął krwią w twarz Fidelisa. Jes wyrwał nóż z rany i przyłożył Styke'owi do gardła. Ostrze nacięło skórę. Och, oby przycisnął mocniej!

– Kończysz czy nie? – syknął do Jesa.

Nieprawdopodobne, ale klinga cofnęła się dokładnie w tym momencie. Fidelis wstał i zniknął z pola widzenia. Styke przymknął oczy. Przełknął ślinę z wysiłkiem. A więc tak się ma to skończyć? Wykrwawię się na kamieniach i umrę? Walczył z tą myślą, bo bardzo chciał nadać swej śmierci jakiś sens.

Nie tak miało być, nie tak! A jednak, mimo wszystko, umierał śmiercią żołnierza. Bolesnie, powoli wykrwawiał się na polu bitwy.

Źle było odchodzić w ten sposób, ale w jakiś sposób było to także... właściwe.

– Podnieście go! – rozkazał Jes.



Szeroko otworzył oczy. Wielki mistrz znów stał nad nim, ale tym razem towarzyszyli mu jego agenci. To ich ręce zacisnęły się na ramionach Styke'a, uniosły i na pół niosły, na pół ciągnęły, aż wreszcie bezceremonialnie rzuciły do taczki, na twarz. Styke poczuł smród rdzy, starej krwi i gnijącego mięsa.

Zapadła cisza, a potem tuż przy jego uchu rozległ się cichy głos Fidelisa Jesa:

– Przeraziłaś mnie, ale teraz wydaje się to tylko złym snem. Nie mogę cię zabić, ona mi nie pozwala. Nie dopuszcza do siebie myśli o twojej śmierci. Ale mogę sprawić, że twoja legenda szeptem przed tobą.

Chwila ciszy... i ten sam głos powiedział donośnie, tonem rozkazu:

– Zabrać mi tego śmiecia z powrotem do obozu pracy Słodkie Jutro. Ma tam zostać na zawsze, słyszycie?



## 36 ROZDZIAŁ

**V**lora stała na baczność w biurze wielkiego mistrza fatrastańskiej tajnej policji, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio musiała komuś salutować. Lata temu, to na pewno, może nawet podczas wojny Kezu z Adro? To wtedy znalazła się w towarzystwie oficera przewyższającego ją rangą... A dziś Adro nie ma już marszałka polnego.

Nie miała zamiaru okazać aż takiego szacunku szpiegowi, choćby nie wiadomo jak nadętemu i wkurzonemu.

Po czole Jesa spływał pot. Miał na sobie czystą koszulę, ale już widać było przesączającą się przez materiał krew. W więcej niż jednym miejscu. Kręcił się w krześle i co chwila spoglądał na wielki nóż na biurku, jakby oczekiwał, że będzie musiał wyjaśniać, skąd się tam wziął.

Rozpoznała nóż. Ben Styke zabił nim człowieka-smoka.

Jes wrzucił broń do szuflady. Odchrząknął. Vlora zauważyła wówczas wielki pierścień na kciuku jego lewej ręki, nosił go na

rękawicze, inaczej zsunąby mu się z palca. Pierścień Styke'a, ten z czaszką.

– Lady Krzemień, jak rozumiem, zatrudniałaś skazanego prawomocnym wyrokiem zbrodniarza wojennego Benjamina Styke'a. Oczekuję wyjaśnień i chcę otrzymać je teraz.

– Nie sędzę, bym miała obowiązek się tłumaczyć – odpowiedziała zimno. Nie podobał się jej ton, jakim Jes zadał pytanie, ale też nie była w nastroju do walki na słowa. Miała za dużo problemów, by na dodatek do nich ryzykować irytację prawej ręki lady kanclerz. Chociaż wyglądało na to, że już zdążyła go zirytować. Trudno.

Jes uderzył otwartą dłońią w blat. Vlorę usłyszała stuk, to siedząca za jej plecami sekretarka aż podskoczyła przy swoim biurku. To Vlorze coś powiedziało. Fidelis Jes nie słyszał z niekontrolowanych wybuchów gniewu.

– Zatrudniałaś, pani, wroga naszego państwa. Jeśli uważasz, że nie trzeba tego tłumaczyć, to proszę, powiedz, co twoim zdaniem trzeba?

– Przyjęłam do służby starego, kalekiego żołnierza. Poprosił mnie o pracę. Kto nie dałby jej komuś z jego nazwiskiem? – Vlorę skorzystała z okazji, by rozwiać swoje podejrzenia. – Proszę mi powiedzieć, czy w dostępnych publicznie aktach jest jakaś wzmianka o tym, że Styke jest zbrodniarzem wojennym? Bo ja, panie, nie zatrudniam obcych, nie sprawdzim ich historii, a moi ludzie znaleźli wyłącznie informacje, że znikł przed dziesięciu laty.

– Ostrzegam, lepiej ze mną nie zadzierać.

– To proszę nie marnować mojego czasu.

Za plecami Vlory sekretarka westchnęła cicho. Oczy wielkiego mistrza zwęziły się niebezpiecznie. Vlorę zacisnęła zęby. Była na siebie zła. Pozwoliła wyprowadzić się z równowagi, no, ale jeśli czegoś w życiu nie znosiła, to protekcyjnego traktowania.

– Nim raczysz, panie, pouczać mnie, co powinnam, a czego nie powinnam wiedzieć – powiedziała cicho – weź, proszę, pod uwagę sukcesy waszych praktyk cenzorskich i dezinformacyjnych. Tajemnice propagandy nie są mi tak całkiem obce, ale wy

wykorzystujecie jej możliwości w sposób iście artystyczny. Nie powinieneś dziwić się, panie, że ktoś nie wie czegoś, co utajniście tak dobrze, że nikt nie ma do tej wiedzy dostępu. W tej chwili nazwisko Styke'a zostało wymazane z ksiąg mojej kompanii. Żołnierze dostali rozkaz aresztowania go przy pierwszym spotkaniu. To tylko jeden człowiek. Lecz jeśli nie zadowolają cię, panie, działania podjęte przeze mnie celem rozwiązania tego przykrego problemu odwołam się do paragrafu pozwalającego na rozwiązanie umowy i moi ludzie opuszczą miasto do końca tego tygodnia.

Fidelis Jes miał taką minę, jakby połknął coś nieopisanie kwaśnego. To zaciskał spoczywającą na biurku dłoń w pięść, to rozluźniał palce. Nie spuszczał wzroku z pierścienia na kciuku.

– Nie sądzę, by było to konieczne – powiedział w końcu.

– Miło mi to słyszeć. Współpraca z rządem Fatrasty w pełni mnie satysfakcjonuje. Chciałabym ją kontynuować. – Było to bezczelne kłamstwo, ale lady Krzemień dawno nauczyła się, że nic jak ono nie potrafi w cudowny wręcz sposób naprawiać stosunków profesjonalnych. Poza tym udało się jej pokazać, co chciała: nikt nie będzie jej sztorcował jak byle uczennicę.

– Rozumiem więc, pani, że powiesz mi, po co go wynajęłaś, oraz poinformujesz, czego dokonał, gdy był na waszym żołdzie?

Być może nie pokazała jednak wystarczająco mocno, o co jej chodzi. Ciekawe, co też uczyniło Styke'a kimś tak ważnym. Owszem, był bardzo niebezpieczny, widziała to na własne oczy, ale znów... w końcu to tylko jeden człowiek! A skoro Jes ma jego pierścień i nóż, to znaczy, że go dorwał. Czy Styke już nie żył?

– Wynajęliśmy go, by mieć na usługach kogoś znającego miasto, potrafiącego też wykonać za nas brudną robotę. Gdyby zaszła taka konieczność.

– Sprawdził się?

– Wysłałam go na poszukiwanie duchów. Ścigał je jeszcze dziś po południu.

Wielki mistrz przyglądał się Vlorze w milczeniu przez długą chwilę. Widać było, że odzyskał już panowanie nad sobą. Osuszył

czoło chusteczką, złożył ją i schował.

– Szczegóły proszę.

– Dostał rozkaz znalezienia Dynizyjczyków. – To była dobra odpowiedź, nawet bliska prawdy. Nie miała ochoty wyjaśniać Jesowi, co działo się przez dwa tygodnie. Miała sporo pracy, zależało jej na tym, by wrócić do niej jak najszybciej.

– Co? – Jes wyprostował się, przeszył Vlorę spojrzeniem. – Co wiesz o Dynizyjczykach, pani?

Uniosła brwi, zdziwiona. Skąd ta gwałtowna reakcja? Zapewne mniej niż ty, pomyślała.

– Bardzo niewiele. Tylko tyle, że zainstalowali szpiegów w Ognistej Jamie.

– Śmieszne!

Albo jesteś znacznie słabszy w tej swojej robocie, niż mi mówiono, albo próbujesz wystrychnąć mnie na dudka. Tak czy siak, to mi się nie podoba, powiedziała w duchu.

– Nie wiem, skąd się wzięli ani ilu ich jest, ale przeszkadzali mi w realizacji zadania, więc wysłałam Styke'a, żeby coś z tym zrobił. Teraz, kiedy nie mogę już z niego skorzystać, muszę zaprząć do roboty moich ludzi.

– Nie. Proszę ignorować Dynizyjczyków. Czymkolwiek się zajmujecie, pani generał, proszę unikać bezpośrednich kontaktów z nimi.

Trochę na to za późno. I co się stało z tym „śmieszne”?

– Przeszkadzają mi w realizacji zadań dla lady kanclerz – powtórzyła.

– Musisz jakoś sobie z tym poradzić, pani. Należy ich zostawić w spokoju.

Ciekawe, jakie też plany miał ten człowiek wobec Dynizyjczyków. Oczywiście wiedział o ich obecności. Obserwował ich? Zastawiał na nich pułapkę? A może przybyli tu oni na zaproszenie Kapelusznictwa, by sprzątać problemy w Jamie? Jakikolwiek Czarne Kapelusze miały wobec nich plany, pozostawały one tak

tajemnicze, jak to, co planowali sami Dynizyjczycy, a to Vlorę gniewało. Nawet bardzo.

– Mam dać im spokój nawet wtedy, kiedy ludzie-smoki tropią i zabijają moich żołnierzy?

– Ludzie-smoki? – powtórzył Fidelis Jes cicho, jakby do siebie. Był szczerze zdumiony, co sprawiło Vlorze sporą satysfakcję. – Nie – zdecydował. – Jednak proszę trzymać się od nich z daleka.

Pogardliwie wydeła usta. Nie tak miała wyglądać ta rozmowa. Nie będzie służyła za przynętę w grze, toczącej się całkowicie poza jej kontrolą.

– Dlaczego?

– A to już nie jest twoja sprawa, pani generał.

– To jest moja sprawa. Bo giną moi ludzie.

– Są żołnierzami – stwierdził Jes chłodno. – Taką mają pracę. – Vlora otworzyła usta, ale nie zdążyła się odezwać, bo Jes już mówił dalej. – Pani sprawą jest zatrzymanie Mamy Palo. Przydzielony wam łącznik informuje, że wasi ludzie burzą, a potem odbudowują całe kamienice, zamiast zająć się tym, co do nich należy.

– Obok robienia tego, co do nich należy – poprawiła go.

– Bierzesz mnie, pani, za idiotę?

– Nie. Biorę cię, panie, za kogoś, kto docenia zalety planowania na długo naprzód. – Te słowa same wymknęły się jej z ust i Vlora po raz kolejny przeklęła się za nieostrożność. Temperament brał górę nad rozsądkiem.

– Nadużywasz mojej cierpliwości, pani.

– Mam się tym przejmować? Dostałam zadanie do wykonania i termin na jego wykonanie: miesiąc. Pracuję nad nim ledwie dwa tygodnie, a już padają pytania o rezultaty. Nie jestem pewna, czego tak naprawdę chcecie.

– Oczekuję, że ktoś o pani reputacji wykona zadanie przed terminem. I tak, warto przejmować się tym, czy stracę cierpliwość, czy jej nie stracę. Pani generał, zachowujesz się tak, jakbyś nadal przebywała w Adro, w otoczeniu przyjaciół, przepełnionych

podziwem. To nie tak. Tu jesteście, pani, trybikiem w maszynie. Oczekuję, że znacie swoje miejsce i na nim pozostaniecie.

– Próbujesz mnie wystraszyć, Fidelisie?

– Nie straszę ludzi. Przypominam im tylko, kim jestem.

Vlora przygryzła wargi i nie odpowiedziała. Najgorsze, co mogła zrobić, to zacząć teraz konkurs „kto ma większego”. Jes był słynny ze swych porannych pojedynków oraz z wykluczenia z nich magii. Nie miała wątpliwości, że wynik takiej walki nie był bynajmniej z góry przesądzony. Tylko że ona była magiem prochowym – jeden niuch czarnego prochu i zmiażdżyłaby te jego Czarne Kapelusze, jakby byli byle hałastrą. Być może, pomyślała, stałam się zbyt arogancka. Może powinnam zacząć uważać.

Przeniosła spojrzenie na pierścień.

– Styke pozostaje na wolności? – spytała.

– Problem Styke’a został rozwiązany.

No tak. Krople potu na czole, krew plamiąca czystą koszulę. Wielki mistrz ciągle jeszcze miał zaczerwienioną twarz. Wzbudziło to niepokój Vlory. Czyżby dziś z nim walczył? Na własne oczy widziała, jak Styke potraktował człowieka-smoka, więc trudno jej było uwierzyć, że zwykły człowiek mógłby się z nim mierzyć, choć pamiętała też, że odchodził mocno poobijany. Może był to czysty pojedynek, może nie, w każdym razie Jes żył i miał się nieźle... No i miał na palcu pierścień Styke’a, a w szufladzie jego nóż.

Wyglądał na bardzo zadowolonego. Całkiem możliwe, że zabił Styke’a własnoręcznie.

– Przyspieszamy działania – powiedział. A to niespodzianka! – Sytuacja się zmieniła. Mama Palo ma zostać zatrzymana natychmiast.

– Przepraszam... co? – Vlora nawet nie próbowała ukryć szoku. – Przecież mam jeszcze dwa tygodnie!

– Już nie.

– Uruchomiłam działania zaplanowane tak, by obyło się bez przemocy.

– Nic mnie to nie interesuje – poinformował ją Jes. – Proszę doprowadzić do mnie Mamę Palo. W ciągu trzech dni.

– Da się to zrobić jedynie przez wkroczenie do Jamy z armią. Nawet jeśli ją znajdziemy, to będzie krwawa jatka.

– Nie będę się powtarzał. Najemnikom płaci się za to, żeby zabijali i żeby ginęli. Pomysł na pokojowe wykonanie zadania przez dobre uczynki w służbie lokalnej społeczności jest godzien najwyższej pochwały, ale nie udawajcie, proszę, kogoś, kim nie jesteście.

– Chcę omówić tę sprawę z lady kanclerz – wycedziła Vlora przez zaciśnięte zęby.

– Lady kanclerz ma ważniejsze sprawy na głowie niż konferencje z dowódcą najemników. Twoi ludzie, pani generał, zostaną dodatkowo wynagrodzeni za zmianę daty realizacji zadania. Oczekujemy, że wywiązesz się, pani, z umowy.

Vlora czuła się tak, jakby ją spoliczkowano. Gotowała się z gniewu, z trudem powstrzymywała słowa, których pożałowałaby bardziej niż wszystkiego, co wymknęło się jej z ust do tej pory. Jes myślał, że wskazuje Vlorze właściwe miejsce w szeregu, ale tak naprawdę udało mu się ją wyłącznie wkurzyć. Problem w tym, że niewiele mogła zrobić. Gdyby chodziło jedynie o nią, toby go wyzwalała i zapewne pokonała, ale ponosiła odpowiedzialność nie tylko za siebie, musiała dbać też o bezpieczeństwo swoich podkomendnych. W jednym Fidelis miał rację: nie była w Adro. Nie była wśród przyjaciół.

Ale wmaszerowanie w Ognistą Jamę tak po prostu nie było opcją korzystną dla jej ludzi.

Postarała się stłumić gniew i myśleć jasno. Dlaczego Jes przesunął termin wykonania zadania? Czy miało to coś wspólnego z wykryciem obecności Dynizyjczyków w Ognistej Jamie? Wydawał się poruszony, można chyba nawet powiedzieć, że wstrząśnięty. Mogło to spowodować starcie ze Stykiem, jeśli rzeczywiście z nim walczył, ale mogło też chodzić o coś innego.

Coś, czego jej nie mówił.



– Dopilnuję, by zadanie zostało wykonane w terminie. – Vlora z trudem wypowiedziała te słowa.

– Doskonale. – Wielki mistrz znacząco przesunął do siebie jedną z teczek i zabrał się do przeglądania jej zawartości. Bez wątpienia był to sygnał końca ich spotkania. Vlora wahała się jeszcze przez chwilę, potem zrobiła w tył zwrot i wyszła.

Jej straż – Olem nalegał, by miała ochronę, nie ufał Czarnym Kapeluszm prawie tak, jak Palo – czekała na nią tuż przy bramie Kapelusznictwa. Dołączył do niej jeden z kawalerzystów. Na jej widok zasalutował.

– Pani generał, przynoszę wiadomość od pułkownika.

Vlora dosiadła konia. Westchnęła.

– To nie jest dobra wiadomość, prawda?

– Doszło do kolejnego ataku.

Och, na otchłań!

– Gdzie?

– Tuż za granicą Ognistej Jamy. Meln-Dun prowadził pomiary, miał ochronę w sile plutonu.

Lady Krzemień szarpnęła wodze. Skierowała konia do Fort Loel, przeszła w kłus. Niech otchłań będzie przeklęta, Meln-Dun był kluczową postacią w jej strategii penetracji Jamy! Nawet zmuszona uciec się do gwałtu, potrzebowała tam jednak jakiegoś sojusznika.

Dogonił ją kawalerzysta.

– Mamy trzynaście ofiar, ale oddział zdołał się wycofać.

– A Meln-Dun?

– Ledwie ocalił życie. Jeden z naszych ludzi przyjął kulę przeznaczoną dla niego.

Vlora pochyliła się w siodle. Popędziła konia, krzykiem ostrzegała pieszych, by schodzili jej z drogi.



Vlora szybko przejrzała raport z incydentu w Jamie – powstańcy Palo zastawili pułapkę w labiryncie wąskich, krętych uliczek – po

czym pospieszyła do baraku administracyjnego, gdzie ledwie wychodzącemu z szoku walki Meln-Dunowi lekarz kompanii szył ranę twarzy.

Vlora przemówiła do niego, ale zamożny biznesmen Palo siedział tylko nieruchomo i ponad jej ramieniem patrzył gdzieś w przestrzeń. Jednak w końcu zareagował na swoje imię, odsunął doktora i spojrzał jej w oczy. Oblizął wargi, odchrząknął, chciał coś powiedzieć, ale nie znajdował właściwych słów. Była to typowa reakcja, często występująca u rekrutów i cywili, gdy staną się ofiarami – lub choćby świadkami – nieoczekiwanych wybuchów gwałtu. Atak z zaskoczenia potrafi przerazić nawet doświadczonych żołnierzy, a jeśli następuje w miejscu tak odpychająco klaustrofobicznym jak Ognista Jama, o strach jest łatwiej i bywa znacznie większy.

– Już wszystko dobrze. – Vlora położyła mu rękę na ramieniu. – Przeczytałam raport, wiem, co się stało.

– Zaatakowali mnie. – Meln-Dun patrzył na nią nieruchomym spojrzeniem szeroko otwartych oczu. – A ja próbowałem im pomóc. Jestem jednym z nich.

– Zaatakowali moich ludzi. – Starła się go uspokoić.

– Ale ja tam byłem. – Meln-Dun szturchnął się palcem w pierś. – Stałem akurat w takim miejscu, że mogli mnie wyraźnie widzieć. Byli też z nami moi ludzie. Zginęli Seren-Tel i Eleuia.

– Geodeta i jego asystentka – wtrącił cicho lekarz.

– Z Seren-Telem pracowałem dwadzieścia lat. Zarządzał moim kamieniołomem. Zamierzałem... – Meln-Dun zadławił się szlochem, nie był w stanie mówić dalej.

Vlora i lekarz wojskowy wymienili spojrzenia. Doktor niewątpliwie zalecałby pozostawienie pacjenta w samotności, by mógł dojść do siebie we własnym rytmie. Tylko że to nie był właściwy czas na oplakiwanie przyjaciół. Owszem, naciskanie na Palo akurat teraz wiązało się z ryzykiem, ale postawione przez Fidelisa Jesa ultimatum nie zostawiało wyboru, a Vlora ciągle

widziała szansę na osiągnięcie celu bez wprowadzania do Jamy całej armii.

– Jak myślisz, kto to zrobił? – spytała łagodnie.

Meln-Dun unikał spojrzenia jej w oczy, jak dzieciak, który nie chce donosić na przyjaciela. Ale udzielił odpowiedzi.

– Moim zdaniem to byli ludzie Mamy Palo. Nie... Jestem pewien, że to byli jej ludzie. Rozpoznałem wśród nich jednego z przybocznych egzekutorów.

– Jesteś pewien, że cię widzieli? Że nie dostałeś się pod ogień przypadkiem?

– Jestem pewien. – Odwrócił głowę i pozwolił lekarzowi dokończyć dzieła. – Lady Krzemień, moim zdaniem nie wolno mi ukrywać przed tobą...

– Czego?

– Jestem przekonany, że to ja miałem być celem.

– Co cię o tym przekonało?

Palo czekał, aż medyk dokończy szyc i wyjdzie, i gdy znaleźli się już sami, jakby nieco odżył. Namoczył myjkę w czystej wodzie, otarł twarz z krwi. Vlora nie spuszczała z niego wzroku, w głębi ducha poganiała go, by wreszcie zaczął mówić. Musiał mówić. Miała okazję obrócić go przeciw swoim.

– Dziś rano dokonałem pewnego odkrycia – wyznał biznesmen. – Mama Palo współpracuje z Dynizyjczykami.

Vlora obeszała go i usiadła za biurkiem. Siedziała swobodnie, czekała, aż informacja ta zapadnie jej głęboko w pamięć. Nie miałyby nawet nic przeciwko temu, by poczuć się zaskoczona, ale przecież to był tylko ostatni kawałek układanki, o której nie wiedziała nawet, że istnieje. Oczywiście, że Mama Palo współpracowała z Dynizyjczykami – przecież zinfiltrowali Jamę, a ona rządzi Jamą. Jeśli nawet Czarne Kapelusze o nich wiedziały, jak Mama mogłaby nie wiedzieć? To przecież oczywiste, że była z nimi w zмовie.

– Jak blisko z nimi współpracuje? – Vlora nie przejmowała się tym, że zdradza się ze swą wcześniejszą wiedzą o Dynizyjczykach.

Zresztą jej rozmówca chyba nawet tego nie zauważył.

– Nie jestem pewien – przyznał. – Niektórzy z nas podejrzewali to od miesiący, ale ja nie miałem pewności aż do dziś rano. Byłem w Żółtym Pałacu, składałem kurtuazyjną wizytę, dając dowód szacunku, kiedy w jednym z korytarzy skręciłem nie tam, gdzie trzeba. Wnętrze pałacu potrafi zmylić nawet tych, którym wydaje się, że dobrze je znają. W każdym razie wszedłem do pokoju, w którym znajdowało się kilkunastu obcokrajowców.

– Jesteś pewien, że to byli Dynizyjczycy?

– Najzupełniej. Dynizyjczycy i Palo mogą wydawać się tacy sami wam, Kresjanom, ale dla nas są różni jak dzień i noc. Nie byli najszczęśliwsi, że ich zobaczyłem. Uciekłem w obawie o życie. Wróciłem do siebie, a potem natychmiast przybyłem tutaj. Pomyślałem, że najbezpieczniej mi będzie wśród twojego wojska, pani, przynajmniej do momentu, kiedy skontaktuję się z moimi ludźmi, a oni sprawdzą, czy wypadłem z łask Mamy Palo.

Vlora stuknęła palcami w blat. Musiała teraz zdecydować, co ma zrobić. Może zaryzykować i przycisnąć go mocniej?

– Jak możesz być taki pewny, że chodziło właśnie o ciebie? – spytała.

– Są jeszcze inne powody – przyznał. – Zawarliśmy układ... Mówiłem prawdę, ale nie całą. Powiedziałem, że Mama Palo wie o naszych planach, ale nie dodałem, że jest przeciw nim. Gniew wywołany nieposłuszeństwem, odkrycie związków z Dynizyjczykami... Tak, zasadzkę zastawiono na mnie.

A więc ją okłamał. Ale chciał z nią współpracować wbrew opinii Mamy Palo, a to była chyba dobra wieść, prawda? Vlora już otworzyła usta... lecz zamknęła je bez słowa. Jeśli zasugeruje przewrót, on może odmówić, niektórzy ludzie już są tacy lojalni. Jednak gdyby to on zasugerował rebelię...

– Obiecuję ci ochronę na terenie fortu – powiedziała, ostrożnie dobierając słowa. – Ale poza nim niewiele mogę zrobić. Jesteśmy tu, żeby utrzymać spokój i pomagać przy pracach budowlanych. Nie mieszkamy się w politykę Jamy.

– Doceniam propozycję, ale... – Meln-Dun umilkł, bo rozległo się pukanie.

Gościem, co dziwne, był Palo.

– To jeden z moich współpracowników – wyjaśnił biznesmen. – Czy możemy zostać na chwilę sami?

Vlora czekała za drzwiami przez niemal pięć minut. Niecierpliwiła się, chodziła tam i z powrotem, bębniąc palcami w ścianę. Serce biło jej bardzo szybko. Musiała podjąć decyzję, a nie mogła cały czas prowadzić Meln-Duna za rączkę. Miała wybór: albo inwazję pełną siłą jej najemników, albo znalezienie sposobu na zorganizowanie przewrotu z pomocą biznesmena.

Odgłos szlochania przywołał ją do rzeczywistości. Przez chwilę nasłuchiwała, co działo się w środku. Otwarte gwałtownie skrzydło drzwi omal nie uderzyło jej w twarz. Posłaniec Palo odszedł, Meln-Dun pozostał, blady i wstrząśnięty.

– Właśnie otrzymałem informacje z kamieniołomu – powiedział martwym głosem.

– Tak? – spytała jak najłagodniej.

– Mama Palo zajęła wszystkie moje aktywa w Jamie. Zabrała wszystko, co mam: dom, kamieniołom, zatrzymała rodzinę. Pamiętasz moją partnerkę w interesach? Lady Ennę? Znalaziono ją zamordowaną w jej domu, zaledwie kilka przecznic stąd. Cóż za śmiałość! – Meln-Dun opanował się, twarz miał nieruchomą. – Posunęła się za daleko. Trzeba ją powstrzymać. Tylko... nie mam pojęcia, co robić. Nie wiem, co gorsze, czy to, że muszę uciekać przed swoimi ludźmi, czy fakt, że powinienem chyba zgłosić się do Czarnych Kapeluszy.

Vlora tylko na to czekała. Pochyliła się ku mężczyźnie, ale uważała, by nie okazać przesadnego entuzjazmu.

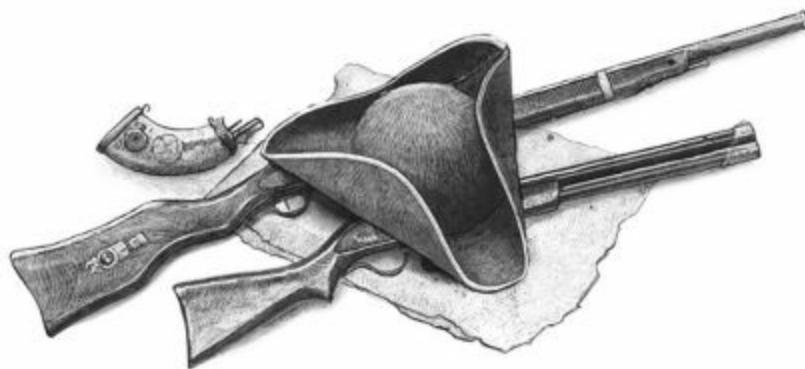
– Dobrze znasz Żółty Pałac?

– Oczywiście!

– I prywatne pomieszczenia Mamy Palo?

– To także.

– W takim razie – Vlora podeszła do drzwi, by przywołać gońca –  
chyba będę mogła ci pomóc.



## 37 ROZDZIAŁ

**M**ichel sięgnął w największe głębie swojej pamięci. Szukał w niej małego skarbu, który złożył tam dawno, przed bardzo wielu laty, a kiedy go znalazł, otworzył szkatułkę tak delikatnie, jakby była krucha niczym skorupka jajka. Uwolnione z niej myśli, marzenia, ambicje i wspomnienia znalazły właściwe miejsce w jego umyśle. Było to tak nagłe i wywierało tak wielkie wrażenie, że choć wiedział, co nadchodzi, opuścił głowę, a z oczu popłynęły mu łzy.

Kontrolę nad sobą odzyskał dopiero po przeszło godzinie. Musiał walczyć, by pogodzić ze sobą dwie osobowości o odmiennych celach, aż wreszcie to mu się udało i wiedział już, kim jest: Michele Bravise, Synem Czerwonej Ręki i – o ile mu wiadomo – jedynym Palo, któremu udało się zinfiltrować Czarne Kapelusze aż do stopnia Srebrnej Róży.

Taniel czekał, aż zakończy się ten proces, stojąc nieruchomo, niczym nie zdradzając zniecierpliwienia, choć zmarszczone czoło mogło świadczyć, że był nieco zaniepokojony. Michel użył jego twarzy niczym liny ratunkowej, dzięki której miał dostęp do swego prawdziwego ja, do kogoś, kim był, zanim wstąpił w szeregi Czarnych Kapeluszy, i teraz patrzył wprost w zimne niebieskie oczy,

czekając, aż będzie mógł już normalnie oddychać, przestanie drżeć na całym ciele, a kiedy to się stało, otarł łzy i nagle zaczął się śmiać. Najpierw chichotał tylko, posykiwał przez zaciśnięte zęby, ale niemal natychmiast roześmiał się radośnie, z całego serca, pochylił i poklepywał po kolanach.

– Co cię tak rozbawiło? – spytał Taniel.

Bravis dość szybko odzyskał kontrolę nad sobą.

– Przez tydzień praktycznie nie spałem, tak bardzo chciałem jak najszybciej znaleźć tego, kto drukował „Grzechy Imperium”. Ganiałem za nim po wszystkich przeklętych ulicach miasta tylko po to, by dowiedzieć się, że robi to człowiek, który mnie zatrudnia!

Taniel skrzywił się lekko, kpiąco.

– Prawie mnie dopadłeś tam, w dzielnicy fabrycznej. Czułbym się o wiele lepiej, gdybym wiedział, że to właśnie ty depczesz mi po piętach. – I wreszcie uśmiechnął się, rozluźnił, usiadł i sięgnął po herbatę.

– Gdybym cię schwytał, prawdopodobnie musiałbym się ujawnić.

– Być może tak. A może nie.

Michel przypomniał sobie wszystkie te szczęśliwe przypadki, te sukcesy, bardzo bliskie, lecz nieuchwytnie. Spróbował spojrzeć oczami Taniela na to wszystko, co zdarzyło się w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Bawili się w kotka i myszkę długo, wytrwale, aż wreszcie okazało się, że myszki po prostu nie ma. Zawstydzające, a jeśli chciało się zachować uczciwość wobec samego siebie, może nawet trochę upokarzające, ale uznał, że jeśli nikt się nie dowie, to on sam potrafi z tym żyć.

– Zmiana twarzy... Magia, prawda? – spytał.

Taniel tylko skinął głową.

– Nie wiedziałem, że to możliwe. Uprzywilejowani jej nie wyczuwają?

– To... – Taniel zawahał się. – To jest bardzo dobrze zrobione – dokończył. – W magię wpleciono magię, która ją ukrywa. Nawet inny mag prochowy jej nie wykryje. Tylko że teraz, kiedy ukazałem,



jak naprawdę wyglądam, powrót do poprzedniej postaci będzie bardzo trudny.

– Przepraszam. – Michel aż się skrzywił.

– A skąd miałeś wiedzieć? – pocieszył go Taniel. – Poza tym to ja zdecydowałem, że powinieneś zobaczyć moje prawdziwe oblicze, że to jest ważne.

Pochylił się nagle, spojrzał Michelowi w oczy. Bravis stukał nerwowo stopą w podłogę. Nie wiedział wszystkiego o Tanielu, w czasie wojny Adro z Kezem i tuż po wojnie w gazetach czytało się różne dziwne rzeczy, nawet, że zabił boga, ale wiedział, że jest on magiem prochowym, z którym trzeba się liczyć.

– Pamiętasz, na czym polega twoja misja?

Michel uważał Taniela za przyjaciela, ale był on nim mniej więcej w takim stopniu, jak jaskiniowy lew jest domowym zwierzątkiem. Powoli skinął głową.

– Zinfiltrować Czarne Kapelusze. Zdobyć ich zaufanie. Stać się niezastąpionym.

– I?

– Czekać – dokończył.

– Doskonale. – Taniel uśmiechnął się, nie kryjąc satysfakcji.

Bravis pomyślał, że najcięższe w zawodzie szpiega jest właśnie to. Oczekiwanie. Dlatego stworzył szkatułkę, dlatego w najdalszym zakątku umysłu ukrył zamkniętego w niej samego siebie. Skoro potrafił stać się kimś zupełnie innym, to problem wyczekiwania przestawał istnieć. Wykonywał swoją pracę wolny i swobodny, i tak aż do chwili, gdy przyjdzie czas na zmianę stron.

Stanie się autentycznym szpiegiem w służbie Kapelusznictwa, podwójnym agentem, było czymś wyjątkowo trudnym, ponieważ Michel nie mógł całkiem się zmienić. Pozostał Michele Bravisem mającym swoje życie, swoją rodzinę, przyjaciół i swoje dziedzictwo. Niczego nie pragnął bardziej, niż dać matce powód do dumy z syna Palo, pracować dla sprawy Palo, lecz musiał ją zranić, stając się kimś, kogo potrafiła tylko nienawidzić: funkcjonariuszem tajnej policji.

Ale miał szczęście. Potrafił opanowywać emocje, przeznaczać każdej z nich właściwe dla niej miejsce.

Mimo wszystko nie był bynajmniej człowiekiem doskonałym.

– Na co ja właściwie czekam?

Taniel zmarszczył brwi.

– Za mądry jesteś, żeby zadawać takie pytania – zganiał go.

Szufladkuj. Jeśli nie znasz właściwego celu działania, nie zdradzisz go, jeśli zawiedzie cię kamuflaż i będziesz torturowany, powiedział sobie Michel.

– No wiem. – Odetchnął głęboko. – Mimo wszystko...

– Chcesz wiedzieć, czy to jest warte takich wyrzeczeń?

Bravis skinął głową.

– Nie będę ci mącił w głowie fałszywymi obietnicami.

– Nigdy niczego nie obiecywałeś.

Taniel złapał Michela za kark, przyciągając jego głowę, taki braterski uścisk. Patrzył mu w oczy, sięgał w nie wzrokiem tak głęboko, jakby rzeczywiście spodziewał się coś znaleźć. Długa chwila milczenia stawała się niezręczna.

Puścił przyjaciela. Odsunął się i patrzył na niego z zastanowieniem.

– Jesteś już Srebrną Różą? – upewnił się. Michel pokazał mu odznakę, którą nosił zawieszoną na szyi. – A masz jakieś szanse, żeby zostać Złotą?

– Mam – potwierdził Michel i natychmiast się poprawił: – To znaczy miałem. Przez tę kradzież Żelaznych Róż Fidelis Jes jest wściekły. Obiecał mi Złotą Różę... jeśli cię złapię.

– A jeśli mnie nie złapiesz?

– Zostanę zdegradowany. – Nikomu nie trzeba było tłumaczyć, co to znaczy: zmarnowanie wielu lat ciężkiej pracy. Już sama myśl o tym była nieznośna, Michel poczuł skurcz żołądka.

Taniel kiwnął głową. Myślami był gdzieś daleko.

– W tej chwili potrzebujemy cię wśród Czarnych Kapeluszy bardziej niż kiedykolwiek – powiedział w końcu.

Michel uniósł brwi. Zastanowił się przelotnie, czy może Taniel jest tak oddany sprawie, że sam wyda się w ręce wroga. Natychmiast odrzucił ten pomysł. To Dwa Strzały był Czerwoną Ręką. Bez niego wymarzone przez nich obu zmiany nigdy nie zajdą.

– Mogę zwodzić go jeszcze przez kilka tygodni, ale wielki mistrz już się niecierpliwi. Coś go drażni, irytuje. Nie mogę zagwarantować, że nie odbierze mi zadania, może to zrobić w każdej chwili.

– Srebrne Róże mają dostęp do archiwów Czarnych Kapeluszy?

Tanielowi najwyraźniej coś chodziło po głowie, Michel musiał postępować ostrożnie. Gdyby powiedział za wiele, sensowność wszystkiego, co osiągnęli do tej pory, mogłaby stanąć pod znakiem zapytania.

– Do niektórych. Owszem.

– Magia?

– Nie. Nie ma mowy. Wiem, że archiwum magiczne istnieje, że Czarne Kapelusze zbierają informacje o wszystkich mających Zdolność, o magach prochowych i Uprzywilejowanych zarówno Fatrasty, jak i Dziewięciu. Ale do tego dostęp mają tylko Złote Róże, Fidelis Jes, no i lady kanclerz wraz ze swą prywatną kamarylą.

– Jasne. – Taniel przeżuł to słowo, jakby miało bardzo nieprzyjemny smak. – Więc Złote Róże mogą dowiedzieć się czegoś o magicznych artefaktach?

– No... Chyba tak...

Taniel zeszywniał, zabębnił palcami po główce laski.

– „Chyba” to jednak trochę za mało – powiedział.

– Jeśli nie...

– Musi wystarczyć. – Najwyraźniej podjął jakąś decyzję, bo zerwał się na równe nogi i zaczął chodzić po pokoju. – Potrzebujemy informacji. Sądźmy, że lady kanclerz szuka czegoś znanego pod nazwą boskich kamieni, a my musimy wiedzieć, jak bliska jest ich odnalezienia.

Michel siedział sztywno, zdumiony. Do tej pory nie wiedział praktycznie nic o tym, czego ma dokonać, i to, co usłyszał, było rewelacją. Przerażającą rewelacją.

– Srebrna Róża nie ma szans na dotarcie do tych danych.

– Więc musimy zrobić z Ciebie Złotą Różę. – Taniel sprawdził czas na kieszonkowym zegarku. – Wróć za osiemnaście godzin. Zabierz ze sobą jak najwięcej przyjaciół.

Bravis wstał. W głowie mu się kręciło... Takie niezwykle zmiany misji... Strasznie dużo zaczęło się dziać...

– Co znajde?

Taniel odpowiedział mu już spod drzwi.

– Znajdziesz dokładnie to, czego chce Fidelis Jes – powiedział i wyszedł.



## 38 ROZDZIAŁ

Jakim cudem jeszcze żyję?

To było pierwsze, najważniejsze pytanie, które zadawał sobie Benjamin Styke. Mocne dłonie wyciągnęły go brutalnie z więziarki Czarnych Kapeluszy i poniosły w ciemność. Kilka par rąk trzymało go za ramiona i nogi. Równie dobrze mógł być trupem – obijano go bezceremonialnie, a każdy większy leżący na ziemi kamień urażał pośladki. Nos wypełnił mu smród bagien, jakby powrócił do niego śniony niegdyś koszmar. Zgrzyt otwieranej bramy, chłodny powiew i ten straszny odór mówiły Styke'owi, że oto wrócił do obozu pracy, w którym spędził ostatnie dziesięć lat swego życia.

To nie miało być tak. Jes miał zginąć, kwicząc jak świnia, a on miał zginąć zaraz po nim. Co poszło źle? Zgrzeszył zbytnią pewnością siebie? Był ciężko ranny i zbyt wyczerpany po walce z człowiekiem-smokiem? Czy był już stary, niedołężny? A może po prostu Fidelis stał się aż tak dobry?

Na te pytania zapewne nigdy nie dostanie odpowiedzi.

Niosący od czasu do czasu upuszczali go na ziemię, bo palce ślizgały się im po zakrwawionym ciele. Każde najmniejsze

drapnięcie, każdy wstrząs sprawiał, że ciało Styke'a przeszywał przejmujący ból. Nie miał czucia w sprawnej przed walką dłoni, za to rany ramienia i nogi przyczyniały mu nieopisanych cierpień. Przygryzał język, aż i w nim stracił czucie. Być może już go odgryzł?

Ale nawet jeśli tak, jakie to miało znaczenie?

Nie otwierał oczu. Wiedział, że znajduje się w absolutnej ciemności, od czasu do czasu rozświetlanej blaskiem latarni, więc po co miałyby to robić? Natomiast słyszał, jak otwierają się i zamykają drzwi, i czuł, jak od czasu do czasu tragarze skręcają to w jedną, to w drugą stronę. Zatrzymali się wreszcie w, jak podejrzewał, obozowym lazarecie.

– Na trzy – odezwał się męski głos nad jego ramieniem. – Raz, dwa... teraz!

Bezwładne ciało na pół podniesiono, na pół ciśnięto na nagą kamienną płytę. Styke odetchnął głęboko, zdołał tylko sapnąć, udało mu się nie krzyknąć. Na otchłań, ależ to bolało! Nie, pomyślał, „ból” to nieodpowiednie słowo. Za słabe. Był poraniony, upokorzony, a jego nadgarstek... już nigdy nie utrzyma noża. Być może już nigdy nie weźmie w dłoń kubka!

– Zostawiamy go tobie – powiedział głos. – Masz go połatać. A reszta niech pamięta, wielki mistrz daje mu kilka miesięcy, żeby wydobrzeć. Potem wolno wam zrobić z nim wszystko, co chcecie... byle pozostał przy życiu.

Styke usłyszał kroki. Spojrzał dopiero, kiedy ucichły. Zobaczył czterech wpatrujących się w niego strażników i obozowego lekarza, drobnego, przypominającego wiewiórkę męczyzną imieniem Set. Lazaret oczyszczono z pacjentów, on sam zaś leżał w kącie kostnicy, na jednym z bloków marmuru.

– Sukinsyn jednak jest przytomny – powiedział jeden ze stojących w półokręgu, gapiących się na niego wartowników.

Styke obrócił głowę, spojrział na mówiącego i rozpoznał w nim Vladiara, Rosvelczyka o wysokim głosie i szyi grubej jak arbuz. To jego kuzyna zaatakował po rozmowie mającej zdecydować o zwolnieniu warunkowym, ileż to tygodni temu? Okazało się

zresztą, że zna ich wszystkich czterech. Jeffron, Landral, Zach... najgorsi sadyści w Słodkim Jutrze.

– Nie wierzę, że jeszcze dycha – powiedział Landral. Miał zniekształcone usta, kiedy mówił, pluł. Teraz wytarł pasemko śliny rękawem.

– Ta cała krew to jego? – zainteresował się Zach.

Vladiar burknął coś pod nosem.

– Tak twierdzi Brązowa Róża.

– Nikt nie da rady przeżyć takiego wykrwawienia – pouczył ich lekarz. Styke skupił wzrok na nici i igle, które ten trzymał w dłoni. Drżącej dłoni. Set nie był dobrym lekarzem, nawet zanim go poraziło. – Nie wiem, jak mogą po nas oczekiwać, że utrzymamy go przy życiu.

– Nas? – zaprotestował Vladiar. – Mówili o tobie! My mamy tylko pilnować, żeby cię nie rozdarł na kawałki gołymi rękami.

Set chodził po całym lazarecie. W jednej ręce, między palcem wskazującym a kciukiem, trzymał igłę, drugą podpierał brodę.

– Widzieliście go? – spytał retorycznie. – On się nigdzie nie wybiera. Ściętno nadgarstka przecięte, to już tak zostanie. A rana od noża na udzie wygląda na głęboką. Możliwe, że nie będzie chodził. – Podszedł do Styke'a, pochylił się i zajrzał mu w oczy. Ben leżał nieruchomo, nie reagował, całą wolę skupioną miał na powstrzymaniu jęków bólu. – Ale lepiej go skrępujemy. Landral, przynieś liny. Te, których używa się do sani transportowych.

Landral westchnął z niedowierzaniem, ale usłuchał rozkazu. Vladiar odepchnął medyka, przykucnął obok kamiennej płyty.

– Jesteś tam, wielkoludzie? – Machnął dłonią przed oczami Styke'a. – No jesteś, jesteś. Na Kresimira, naprawdę trudno cię ukatrupić. Pamiętasz, co ci powiedziałem przy naszym ostatnim spotkaniu? Powiedziałem ci, że jesteś tylko mordercą. Okazało się, że nawet nie takim dobrym, jak myślałem, jeśli w plotkach jest coś z prawdy. – Odchrząknął znacząco. – Muszę być prorokiem, chłopcy, bo powiedziałem mu, że wróci, i patrzcie tylko, wrócił!

Styke zamknął oczy. Wiedział, że jego cierpienia jeszcze się nawet nie zaczęły. Będą go leczyć miesiącami, a kiedy podlecą, strażnicy zaczną bardzo się starać, żeby pożałował, że w ogóle żyje. Będą go katować dzień po dniu, okrutnie, z nienawiścią, i tak aż do śmierci. A on nie ma nawet jednej sprawnej ręki, żeby się obronić.

Obóz pracy go nie złamał, ale to może.

– A co z tą dziewczynką, którą ze sobą zabrałeś? – spytał Vladiar.

Oczy Styke'a otwarły się szeroko bez udziału woli. Vladiar klęczał blisko niego, tak blisko, że mógł wyczuć zapach kapusty w jego oddechu. Uśmiechał się nieznacznie. Postukał Bena palcem w skroń.

– Pamiętam ją. I pamiętam, jak złamałeś nogę mojemu kuzynowi. Znajdę tę małą. Sprowadzę ją i oddam chłopakom, a ty będziesz siedział i na to patrzył. Podetnę ci ścięgna za kolanami i będę się śmiał, widząc, jak próbujesz popełznąć jej na ratunek.

Styke znów przygryzł język. Musiał opanować cierpienie. Odetchnął głębiej, przy każdym ruchu klatki piersiowej ból ran nasilał się niebezpiecznie. Był wyczerpany. Nic mu nie pozostało.

– Życzę szczęścia – szepnął.

– Na otchłań, co to ma znaczyć?

Styke cofnął ramię, nagły ból omal nie pozbawił go przytomności. Nie mógł użyć dłoni, ale mógł przecież się poruszać. Udało mu się otoczyć kark Vladiara ramieniem, ściągnął głowę strażnika w dół, aż uderzyła o kamienny blok. Rozległ się trzask, mężczyzna pisnął cicho i upadł.

– O, na otchłań!

– Trzymajcie go!

Dwaj pozostali ruszyli do akcji. Zach rzucił się na pomoc Vladiarowi, Jeffron uderzył pięścią w ranę na udzie. Styke stęknął z bólu, potoczył się ku wartownikowi i spadł na ziemię z większym impetem, niż oczekiwał. Jeffron złapał go, prawie utrzymał się na nogach, ale dostał czołem w nasadę nosa. Osunął się jak worek ziemniaków.

Styke opadł bezwładnie, uderzył plecami w kamienną płytę tak gwałtownie, że ta aż zadrżała. Każdy kurczowy wdech przynosił



nową falę męczarni. Cały swój ciężar oparł na łokciu. Zdołał podciągnąć nogi, przetoczyć się przez płytę, uderzyć ciałem w Zacha, odwracając się właśnie od Vladiara. Upadli. Styke wcisnął mu brodę najpierw w jedno, potem w drugie oko, nie zwracając uwagi na ciosy obijające mu poranioną pierś. Następnie zacisnął na gardle Zacha oba sprawne palce kalekiej dłoni. Trzymał je zaciśnięte, póki chrypliwe okrzyki nie przeszły w spazmatyczne charczenie.

Spróbował wstać, zajęło mu to trochę, ale świadomość, jak cenna jest każda chwila, pomogła mu zapanować nad cierpieniem. Właściwie nie było już Styke'a, ot, poruszający się kawał mięsa, pozostało w nim jednak napędzające je echo myśli: zabić wszystkich strażników, co do jednego, aż nie pozostanie nikt pamiętający, w którym towarzystwie opuścił obóz.

Każdemu ruchowi towarzyszył jęk bólu. Ta część lazaretu przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Vladiar leżał nieruchomo, z głową zalaną krwią, Jeffron miał drgawki, Zach tylko bulgotał cicho. Set schował się w najdalszym kącie, wlaź pod jedną z prycz. Styke zachwiał się, zatoczył, oparł kaleką dłonią o kamienną płytę.

– Nie ruszaj się – ostrzegł lekarza.

Poruszał się w iście ślimaczym tempie. Niemal dosłownie pełzł, tam, gdzie tylko mógł, opierał się o ścianę, w miejscach, gdzie musiał się od niej oderwać, przenosił środek ciężkości na nogę, która nie otrzymała rany w pojedynku z Jesem. Czasami, na moment, odzyskiwał jasność umysłu i wówczas zapytywał samego siebie, co właściwie robi. Ze Słodkiego Jutra nie było ucieczki. Nie zabije wszystkich strażników, z całą pewnością nie w tym stanie. Za kilka minut zostanie odnaleziony. Wątpliwości te znikwały jednak tak szybko, jak się pojawiały. Nie miały znaczenia. Parł przed siebie, bo tak postanowił, zostawiając szkarłatny ślad krwi. Przeszedł w ten sposób długie korytarze budynku administracji, minął mesę i pokoiki do wywiadów przy zwolnieniu warunkowym, aż dotarł do bocznych drzwi przy żywopłocie.

Tu nie miał się już czego trzymać. Zrobił kilka kroków, upadł, w ostatniej chwili podparł się kaleką ręką. Leżał nieruchomo,

czekając, aż odezwie się alarm, ale noc była cicha, bardzo spokojna, jedynie z bagien dobiegało cykanie świerszczy. W Słodkim Jutrze rygorystycznie przestrzegano rozkładu dnia, więźniowie mieli obowiązek pozostać w barakach od określonej godziny, a wówczas dyscyplina wśród wartowników rozluźniała się i często rejterowali pod dach pograć w karty.

Być może szczęście mu sprzyjało.

Być może jednak uda mu się uciec, kto wie?

Straszny ból wywoływał delirium. Pamiętał, jak w ogniu bitwy zrzucił go koń i jak upadając, uderzył się w głowę. Pamiętał błoto i ten dźwięk: chaos walki, próbuje zachować przytomność, kopyta i nogi są wszędzie, uderzają o ziemię, ktoś wali go od tyłu kolbą muszkietu. Zbroja wchłonęła siłę uderzenia.

Nie pamiętał, co było potem, ale tętent kopyt łomotał mu w głowie tak mocno, jakby znów znalazł się w tamtym miejscu, w tamtym czasie.

Z wielkim wysiłkiem Styke odepchnął wspomnienia, a potem skupił się na jednym: ogrodzeniu otaczającym obóz. Nierówna palisada ze stwardniałego na słońcu drewna miała dwanaście stóp wysokości. Nie przebije się przez nią i nie przelezie górą... Nie w tym stanie.

– Ben, dlaczego mnie zostawiłeś?

Obejrzał się przez ramię. Zobaczył Celine, czy raczej wizję, złudzenie, stojącą na progu budynku administracyjnego na lekko rozstawionych nogach, tak by nie wdepnąć w kałużę krwi.

– Nie zostawiłem cię – wychrypiał, podparł się ręką, popęzł w stronę ogrodzenia.

– Zostawiłeś, Ben.

– Nie zostawiłem – powtórzył. Czołgał się z wysiłkiem. – Odwrotnie, ja cię stąd zabrałem. Niewiele zrobiłem w życiu dobrego, ale to było dobre. Nie odbierzesz mi tego uczynku. Mała niewdzięczna suka. – Coś przeskoczyło mu w barku, musiał jeszcze mocniej przygryźć język, ale udało mu się przesunąć o kolejną stopę.

– Nie chciałem – wybełkotał cicho. – Zawsze byłeś dobrym

dzieckiem. Zostawiłem cię... ale dopiero wśród przyjaciół. Olem o ciebie zadba. Pośle cię do szkoły. To nie jest zły człowiek.

– Nie chcę, żeby on się mną opiekował, tylko ty.

Dopelzł do palisady. Uderzył ręką w drewno, tak twarde, że równie dobrze mogło być żelazem.

– No to – powiedział do upiornej zjawy – masz pecha. Ja zostanę tu na zawsze, a ty jesteś tam.

– Wyciągnę cię stąd.

Styke podniósł głowę, obejrzał się za siebie. Mara znikła, ale jej głos... ten głos brzmiał tak prawdziwie. Poczul, jak do oczu napływają mu łzy. Ciekawe, pomyślał, czy tak właśnie objawia się szaleństwo? Gdzieś pośrodku obozu rozległ się donośny krzyk, a zaraz potem dźwięk alarmu. Uśmiechnął się. Znajdą go, znajdą lada chwila, a wtedy...

Poczul ciepły dotyk na ręku. Było to tak nieoczekiwane, tak niespodziewane, że szarpnął się wstecz i jęknął, bo każdy ruch tylko zwiększał katusze. Spojrzał na palisadę w miejscu, gdzie grube drewniane deski stykały się z ziemią. Tak, była tam szeroka szczelina. I jeszcze wydało mu się, że widzi w niej drobną buzię. Zamrugął, przeklął świadectwo swych oczu, spuścił głowę.

Mózg potrafi płatać człowiekowi okrutne żarty.

– Ben!

Uniósł się nieco. Małeńka dłoń ścisnęła jego okaleczone łapsko, z całej siły wbijała palce w skórę.

– Ben! Oprzytomniej!

– Celine?

– Nie wyglądasz dobrze, Ben.

Nie, na otchłań! Nie! Chory umysł nie podsuwał mu zjaw i zwidów.

– Celine, musisz uciekać stąd jak najszybciej. W tej chwili zaczynają poszukiwania na całym obszarze obozu, a jeśli cię znajdą, to...

– Nie martw się. – Dziewczyna poklepała go przez dziurę w palisadzie. – Przyprowadziłam przyjaciół.

Styke westchnął, było to coś pomiędzy stłumionym jękiem a cichym śmiechem.

– Ja nie mam przyjaciół, Celine. Uciekaj stąd jak najszybciej.

– Masz przyjaciół. Ale oni są teraz trochę źli.

Usłyszał kolejny krzyk, a potem nieco dalej, po zewnętrznej stronie palisady rozległ się donośny trzask. Do jednego głosu dołączyły następne, coraz głośniejsze, huknęły strzały z pistoletu, a zaraz potem z garłaczy i nawet karabinów. Celine znikła. Styke wyciągnął ramię, szukając jej dotyku.

– Jest tutaj! – krzyknęła dziewczynka. – Po drugiej stronie ogrodzenia!

Dzwonienie stali uderzającej o stal, krzyki rannych, Styke nie miał pojęcia, co się dzieje. Zresztą niemal natychmiast powróciła cisza, a w niej rozległ się narastający tętent kopyt. Przewrócił się na wznak, spojrzał przed siebie, na niewyraźne ludzkie sylwetki. Kto mógł przybyć mu na ratunek? Tampo? Lady Krzemień?

Ledwie widoczni w mroku jeźdźcy zeskakiwali z koni. Silne, lecz tym razem delikatne ręce uniosły go z ziemi, oparły plecami o ogrodzenie. Pochodnie oświetliły twarz.

– O, na otchłań! – powiedział męski głos. – Jest blady jak upiór.

– Stracił za dużo krwi – skomentował inny.

– To on? Ledwie go poznałem.

– Takiego okrwawionego? Dopiero teraz jest do siebie podobny – zakpił ktoś.

Styke nie rozpoznawał głosów. Dziwnie brzmiały, były obce, ale też i kojarzyły się z czymś znajomym, jak kołysanka z dzieciństwa, cudem zachowana w pamięci. Światło pochodni go oślepiało, spróbował się cofnąć, ale ktoś przykląkł przy nim i wtedy zobaczył coś, czego z niczym nie można pomylić: dłoń Uprzywilejowanego w zdobnej runami rękawicy.

Za Uprzywilejowanym stał ktoś jeszcze, oświetlony pochodnią na tyle, by widać było, że przyklada lufę do potylicy maga.

– Nie macie pojęcia, z kim zadarliście – syknął Uprzywilejowany.

Osoba za nim odpowiedziała przyjemnie schrypniętym, niewątpliwie kobiecym głosem:

– Ten temat uznaję za wyczerpany. Nie rusza mnie. Uzdrowisz go teraz, a jeśli spróbujesz jakichś igraszek, przeczyszczę ci zatoki łożowiem.

– Tylko na niego popatrz. – Uprzywilejowany był wyraźnie zły. – Będę potrzebował wielu godzin, a sam proces może go zabić.

– Masz tyle czasu, ile ci potrzeba. I miej nadzieję, że przeżyjecie... obaj.

Styke odetchnął głęboko, urywanie. Ten głos rozpoznał, owszem. Jak inne, pochodził z dalekiej przeszłości, ale odzywał się w jego snach niemal co noc przez dziesięć lat. Z oczu Styke'a popłynęły łzy, ręce mu drżały niepowstrzymanie. Wzrok powoli przyzwyczajał się do mroku i do blasku pochodni. Rozpoznawał twarze.

Mały Gracz. Ferlisia. Sunin. Chraston. Szakal.

Ibana ja Fles.

Nie odrywając lufy od potylicy Uprzywilejowanego, cały czas czujna, Ibana lekko przechyliła głowę. Spojrzała na towarzyszy.

– Na otchłań, na co czekacie, wy żalosne dupki? Wypuszczać więźniów. I podpalcie budynek administracji.

– Uwięziliśmy strażników w ich baraku – przypomniała jej Ferlisia.

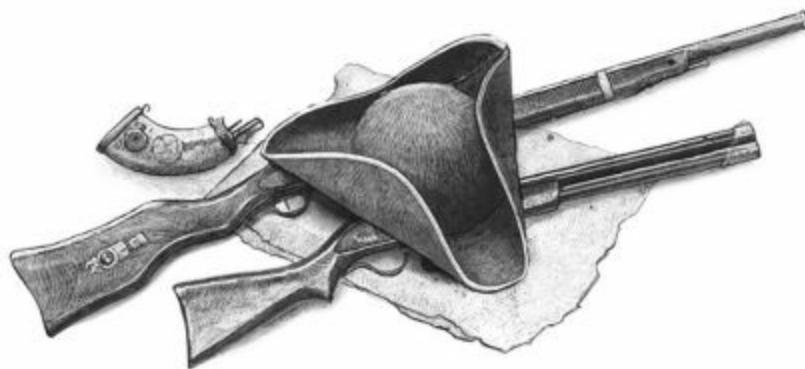
Ibana złapała Ferlisję za kołnierz z przodu i brutalnie przyciągnęła do siebie.

– Nie widzisz, co z nim zrobili? Z naszym pułkownikiem? Barak wartowników spalić, do uciekających strzelać bez ostrzeżenia. Celujcie im w nogi i wrzucajcie tam, skąd wyszli. Przeklęte na otchłań Czarne Kapelusze wypowiedziały wojnę Szalonym Lansjerom. Powinni lepiej się nad tym zastanowić.

Urękawiczniona dłoń dotknęła go delikatnie, ale Styke aż podskoczył. Uprzywilejowany przyglądał mu się w świetle pochodni zimnym, klinicznym spojrzeniem.

– To będzie boleć – powiedział cicho. – Będzie bardzo boleć.

Ostatnią rzeczą, którą zobaczył Styke, była oślepiająca błyskawica białego światła.



## 39 ROZDZIAŁ

**T**o wszyscy? – spytał Meln-Dun.

Vlora przyglądała mu się krytycznie, stojącemu w drzwiach do bocznej sali barowej pubu na granicy Jamy. Uniosła brew. W środku znajdowało się jeszcze kilku wybranych przez nią najemników. Słyszeli stłumione, dobiegające z ulicy hałasy, ale poza tym było tu cicho i spokojnie.

Palo nie wydawał się zachwycony. Stał w milczeniu, nieruchomo, poruszały się tylko jego oczy. Policzył obecnych raz i drugi, a potem spojrział na Vlorę ze zbolałym wyrazem twarzy.

– Za mało – powiedział.

Nikt nie zareagował, tylko Norrine przesunęła osełką po ostrzu swego miecza. Zgrzyt... zgrzyt... Vlora wskazała na mężczyznę siedzącego po jej lewej stronie. Miał dwadzieścia trzy lata, wyglądał uderzająco młodo w tym towarzystwie, ze swoimi gładkimi policzkami dziecka. Jak ona sama, ubrany był w zielony strój podróżnego, brązowe buty, koszulę z wysokim kołnierzem i nieco za duży bikorn, który doskonale zakrywał mu twarz. Uzbrojony w garłacz, szerokim końcem jego lufy postukiwał nerwowo w but.

– To Davd – przedstawiła go. – Był naszym dobozem podczas wojny Adro z Kezem. Jedenaście lat w Strzelcach Wyborowych. – Kciukiem wskazała kobietę po prawej. – A to Norrine. Przez czterdzieści dwa lata służyła w armii Adro. Wojaczki uczył ją sam marszałek polny Tamas.

Weteranka miała brudnoblond włosy i delikatne rysy twarzy. Dobiegała sześćdziesiątki, ale dbałość o kondycję i regularne ćwiczenia sprawiały, że wyglądała o piętnaście lat młodziej. Nie przerywając ostrzenia broni, rzuciła kpiące spojrzenie czwartemu członkowi grupy.

– Buden je Parst jest Kezaninem – powiedziała Vlor. – Nie powie słowa po adrańsku, więc się nie wysilaj. Olema – klepnęła pułkownika po kolanie – już poznałeś.

Buden uśmiechnął się szeroko, ukazując brak ośmiu zębów. Brakowało mu także prawie całego języka, ale tym ubytkiem się nie popisywał. Meln-Dun wyglądał znacznie żałośniej niż przed prezentacją.

– Doskonale rozumiem, że twoi ludzie są bardzo doświadczeni – powiedział powoli, starannie dobierając słowa – ale Żółtego Pałacu bronią najlepsi z najlepszych. A jeśli mieszkają w nim Dynizyjczycy, a podejrzewam, że tak, możemy nawet spotkać człowieka-smoka. Powinniśmy dysponować nie mniej niż dwiema kompaniami.

– Dwie kompanie – odparła rozsądnie Vlor – tylko by nas opóźniały. I przyciągały uwagę wroga. Nie idziemy na wojnę, mamy tylko wywalić drzwi i wyciągnąć przez nie Mamę Palo.

– Mimo wszystko...

Olem przerwał mu.

– Nie daj się jej ogłupić, człowieku. Zdradzę ci brzydki sekret Strzelców Wyborowych. W tej sali siedzą sami magowie prochowi. Oprócz ciebie i mnie.

Meln-Dun jeszcze raz powiódł wzrokiem po obecnych, ale tym razem oczy miał szeroko otwarte ze zdumienia.

– Ach... oczywiście. Nie miałem pojęcia, że w waszych szeregach są inni magowie prochowi.



– To właśnie nasza tajemnica. – Vlorę odetchnęła głęboko. Nastawiała się na nocny wypad. Wymagało to od niej pewnych starań, bo takich rzeczy nie robiła od lat. Ekscytowało ją to, ale też odrobinę przerażało. Pięcioro ludzi przeciw siedlisku twardej, zaprawionych w bojach Palo – niebezpieczne przedsięwzięcie, nawet jeśli czworo z tej piątki było magami prochowymi. Błędy zawsze mogą się zdarzyć... i zapewne teraz też tak będzie. Czekają ich niespodzianki. To, co tak starannie zaplanowali, może pójść źle w dowolnej chwili od momentu, gdy wyjdą z tego pubu.

Tamas lubił powtarzać, że tym bardziej warto ryzykować, im większa jest nagroda. Ryzykowała bardzo, wystawiając na ciosy samo serce Strzelców Wyborowych, ale nagrodą za sukces, jeśli go odniosą, będzie zakończenie zadania w ciągu jednej nocy i zapłata o wartości rocznego kontraktu. Całkiem możliwe, że upadek Mamy Palo przyniesie Ognistej Jamie trwałą stabilizację. Pieniądze to świetna sprawa, ale czyste sumienie gwarantujące spokojny sen jest więcej warte nawet od nich.

Meln-Dun usiłował jeszcze protestować.

– Nawet z magami prochowymi nie widzę możliwości...

Norrine uniosła rękę w uspokajającym geście.

– Damy radę – stwierdziła autorytatywnie.

Palo zrezygnował z oporu, wszedł do salki, zamknął za sobą drzwi i dołączył do reszty oddziału. Wydawał się niezwykle spokojny, jak na kogoś, kto tego samego dnia przeżył zamach na swoje życie. Ciekawe, zastanowiła się Vlorę, czy chlapnął sobie coś, żeby uspokoić nerwy.

– Jesteś pewien, że sobie poradzisz? – spytała głośno.

Meln-Dun skinął głową z przekonaniem.

– Tak. Nie mam wyboru. Zabili moich przyjaciół, a z rodziny i współpracowników zrobili zakładników. Albo załatwimy to dziś w nocy, albo jestem skończony. – Skrzywił się i dodał: – Ale coś jeszcze mnie niepokoi, lady Krzemień.

– Co takiego? – Generał sprawdziła ekwipunek, policzyła ładunki prochowe, upewniła się, że pistolety są naładowane.

– Podczas ostatniej rozmowy Mama Palo powiedziała mi, że kilkakrotnie widziano wychodzącego z waszego obozu dobrze znanego Czarnego Kapelusza.

Vlora i Olem wymienili szybkie spojrzenia.

– Tak, to prawda. Nie robiliśmy tajemnicy z tego, że pracujemy na kontrakcie państwowym. Wręcz przeciwnie, zdaje się, że fakt zatrudnienia nas przez państwo skłonił cię do zainicjowania kontaktów.

– Owszem, ale kwestia odbudowy... Czy to była główna przyczyna, dla której się tu znaleźliście?

– Głównym powodem jest konieczność zachowania spokoju.

Vlora zakłęła w duchu. Czyżby Palo jednak tchórzył? Czy nagle zdał sobie sprawę, że zanurzył się z głową w środowisko tradycyjnie nieprzyjazne jego ludowi? Nieprawdopodobne. To przecież dla niego żadna nowina.

Musiała napomnieć sama siebie. Wiedziała przecież, jak łatwo o złudzenia, jeśli ktoś ma pasję.

Meln-Dun potrzebował pewności.

– Ponawiam pytanie o powód waszego pobytu w mieście. Czy to Czarne Kapelusze zleciły wam ujęcie Mamy Palo?

Vlora i Olem znów spojrzeli na siebie. Być może była to dobra pora na kłamstwo. Tylko że, jak często powtarzała swoim podkomendnym, Vlora nienawidziła kłamców.

– Tak – powiedziała.

Meln-Dun milczał przez parę chwil z oczami wbitymi w podłogę, przygryzając język.

– Niech będzie – zdecydował w końcu. – Możemy tego dokonać. Ja tylko chciałem wiedzieć, jaką zajmujecie pozycję.

– Tę samą, co zawsze – uświadomiła mu Vlora. – I pamiętaj, że cię nie okłamywaliśmy. Jestem zainteresowana pomocą w odbudowie Jamy.

Palo nie skomentował, tylko odwrócił wzrok. Olem wzruszył ramionami. Buden wypluł przezutą prymkę tytoniu na podłogę.

– Już dawno powinniśmy się stąd ruszyć – odezwała się Norrine.

– Racja.

Vlora wstała. Skontrolowała stan przygotowania swoich ludzi, sięgnęła ku nim magicznym zmysłem, by sprawdzić, czy mają dość prochu i broń podsypaną. Chwyliła dodatkowy pistolet, leżący do tej pory na stole, za plecami Davda.

– Walczyłeś kiedyś? – spytała Meln-Duna.

– Dawno temu – przyznał niepewnie.

– Weź go, na wszelki wypadek. – Lady Krzemień zwróciła się do swojego oddziałku: – Pamiętajcie, nie idziemy ani na podbój, ani na wojnę. Działamy szybko, zdecydowanie, dopadamy Mamy Palo i wynosimy się biegiem. Noże i miecze mieć w pogotowiu. Ręce z dala od broni palnej, używamy jej tylko w ostateczności. Założenie jest takie, że znikamy, zanim zorientują się, że byliśmy... Jeśli to w ogóle możliwe. Zabijać, tylko jeśli nie da się obezwładnić.

– Przemoc jest nieunikniona. – Palo zmarszczył brwi. – Nie da się uniknąć ofiar.

– Zrobimy sobie wrogów, ale najmniej jak się da.

– Każdy pozostawiony dziś przy życiu człowiek Mamy Palo jest waszym jutrzejszym wrogiem.

Olem skinął głową w sposób niepozostawiający wątpliwości, że zgadza się z Meln-Dunem. Za to Vlora pokręciła głową.

– Minimalizujemy przelew krwi – rozkazała. – Ale nie popełniajcie błędu: wszyscy tu jesteśmy zabójcami. Jeśli będzie trzeba, zrobimy, co konieczne. A teraz ruszamy... Zanim będzie za późno, żeby zrobić cokolwiek.

Davd poprowadził ich do tylnego wejścia wąskim korytarzem zaplecza. Kilkakrotnie sprawdzał, czy nie zostali zauważeni. Następnie prowadzenie przejął Meln-Dun. Wieczór był cichy, spokojny, obowiązywała wprowadzona przez Lindet w dni robocze godzina policyjna. Oprócz nich chyba nikt nie spacerował ciemnymi uliczkami. Palo odetchnął głęboko, wsadził pistolet za pas pod koszulę, po czym wprowadził oddział w prawdziwy labirynt. Szli alejkami równoległymi do Krawędzi Jamy. Po kilku chwilach ścieżką

biegnącą przez czyjeś podwórko zstąpili w głąb dzielnicy dosłownie wykutej w kamieniu.

Schodzili szybko nieprawdopodobnie wręcz stromym przejściem; tylko dzięki szczyptom prochu wciągniętego w obie dziurki nosa Vlorą widziała mniej więcej, co się dzieje. Usłyszała, że inni przygotowują się do działania w ten sam sposób. Prowadzący ich Meln-Dun szedł pewnie i wyglądało na to, że mimo ciemności wie, dokąd zmierza, zaś Olem trzymał Vlorę za pas. Od czasu do czasu urażał paluch u nogi albo łokieć uderzeniem w kamienną ścianę, a wówczas posykiwał cicho.

Nagle się zatrzymali, Meln-Dun pomajstrował przy jakichś drzwiach i znaleźli się na płaskim gruncie.

Grunt, powiedziała sobie Vlorą, to nie jest właściwa nazwa. Z całą pewnością nie dotarli jeszcze na samo dno Jamy. Maszerowali przez coś, co wydawało się być gipsowymi krużgankami, wzbudzając krokami echo, jakby szli po rusztowaniu wznoszonego budynku. Niebezpiecznie chwiejnym rusztowaniu. W rzeczywistości było to jednak coś w rodzaju ulicy handlowej, szerokiej mimo częstych i ostrych zakrętów. Po obu stronach widzieli małe okna sklepów, od czasu do czasu mijali też całe rodziny Palo, siedzące przy lampach gazowych, jedzące późną kolację albo po prostu plotkujące z sąsiadami. Ich mała grupka była powszechnie ignorowana.

Minęli skrzyżowanie. Zaciekawiona Vlorą zapytała o to Meln-Duna.

– Jesteśmy teraz w części Jamy nazywanej Pajęczyną – usłyszała w odpowiedzi. – Wisi ona pięćdziesiąt stóp nad dnem. Niektóre z tych korytarzy biegną przez całą szerokość kamieniołomu. Jest tu znacznie bezpieczniej niż na dole, ale Kresjan nie dopuszcza się do Pajęczyny pod żadnym pozorem, nigdy.

Położył tak silny akcent na „nigdy”, że Vlorą nasunęła kapelusz głębiej na oczy i obejrzała się przez ramię.

Wydawało się, że przemierzają kolejne mile, jakby ta ich wyprawa miała się nigdy nie skończyć. Nagle Meln-Dun uniósł rękę. Zatrzymali się posłusznie. W tym miejscu Pajęczyna wydawała się

znacznie bardziej czujna, aktywniejsza nawet od ulic na płaskowyzu, a ich oddział coraz częściej obrzucano ciekawymi spojrzeniami. Nawet światło tu było znacznie jaśniejsze.

– Co się dzieje? – spytała Vlora, jednocześnie gestem wydając Olemowi i Norrine rozkaz zajęcia pozycji ariergardy.

Meln-Dun kiwnął w kierunku sklepionego w łuk przejścia prowadzącego do małych drzwi.

– Zbliżamy się do Żółtego Pałacu. Ludzie Mamy Palo patrolują okolicę. Musimy zacząć schodzić, mimo że strażę możemy spotkać tuż za tym wejściem.

Lady Krzemień klepnęła Davda, podniosła palce do oczu, pokazując drzwi. Młody mag prochowy zsunął garłacz z ramienia, szybko podszedł i otworzył je bardzo delikatnie. Vlora policzyła do pięciu. Mogli iść dalej.

Tuż za drzwiami leżał na boku zwinięty w kłębek Palo w bładozielonym mundurze. Davd trącił go palcem w skroń.

– Dycha – oznajmił. – Ale kiedy się obudzi, będzie miał straszny ból głowy.

– Znikniemy, zanim odzyska świadomość – powiedziała.

Dołączyła do nich reszta oddziału. Meln-Dun przyjrzał się nieprzytomnemu, zmarszczył brwi.

– Takie mundury nosi osobista ochrona Mamy Palo. Nie powinno się zostawiać ich przy życiu.

– Tak, mówiłeś. – Vlora ukryła irytację. Ten Palo był biznesmenem, lecz jej doświadczenie podpowiadało, że najbardziej krwiożerczy stają się ludzie, których nikt by o to nie podejrzewał, gdy tylko zyskają władzę nad innymi. – Ale nie było powodu, żeby go zabijać. Ruszajmy.

Zeszli dwa poziomy po wąskiej klatce schodowej, a potem jeszcze niżej po drabinie.

Meln-Dun zatrzymał ich znowu.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił.

– Już? – zdziwiła się generał.

– Szybko poszło – zauważyła Norrine.

Palo odrzucił dywan. Okazało się, że przykrywa on właz.

– Nie będziemy mogli wrócić tą samą drogą – ostrzegł.

Już po chwili Vlora wiedziała dlaczego. Pod klapą było dziesięć stóp pustki kończącej się czymś, co wyglądało jak stare dachówki z wypalanej gliny. Kiedy zorientowała się, na co patrzy, zachichotała cicho.

– Jesteśmy nad pałacem, prawda? To jego oryginalny dach?

– Właśnie tak. Pajęczynę skonstruowano nad i wokół wszystkiego, co istniało w Ognistej Jamie wcześniej. Z wyjątkiem kilku domów najbliższych funkcjonującym kamieniołomom.

– Utrzyma nas? – spytała Norrine.

Vlora wyteńczyła wzrok. Próbowwała przebić nim ciemność.

– Mam nadzieję – westchnęła.

Davd poszedł na pierwszy ogień. Skoczył, poślizgnął się, ale zdołał złapać równowagę i stanąć pewnie na nogach. Vlora rzuciła mu najpierw jego broń, potem swoją, po czym opuściła się, zawisała na rękach i skoczyła. Davd przechwycił ją bez większych problemów, podobnie jak resztę oddziału. Ostatnia zeszła Norrine. Nim dała susa w dół, delikatnie opuściła pokrywę, choć musiała przy tym przygnieść sobie palce.

Roztasowali się na dachu, sprawdzili broń, po czym przeczołgali i zatrzymali tuż przy okapie. Vlora wyczuwała pustkę minimum na trzy piętra, prawdopodobnie więcej. Nie miała pojęcia, jak pokonają ten fragment drogi. Ona, jak i reszta magów, mogli zeskoczyć, nie robiąc sobie krzywdy, ale Olemowi i Meln-Dunowi groziło co najmniej złamanie nogi.

Palo dostarczył im odpowiedzi w chwilę później. Wskazał basztę, wznoszącą się ponad dach.

– Planowałeś to – syknął nagle Davd.

Meln-Dun drgnął. Vlora uciszyła żołnierza, spojrzała na Palo i ze zdziwieniem stwierdziła, że ten nie protestuje i nie odrzuca oskarżenia.

– O czym on mówi? – spytała biznesmena.

Odpowiedział jej Davd:

– Mówię o tym wszystkim. O dachu, klapie, o tej wieżyczce. Musiał zaplanować to wszystko z dużym wyprzedzeniem.

– Nie przejmujcie się mną – szepnął Olem. – Nic nie widzę, bo nie jestem magiem prochowym, więc postoję sobie i poczekam, aż dojdziecie do porozumienia.

– On to wszystko zaplanował – powtórzył Davd z naciskiem.

Vlora spojrzała na Palo pytająco. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że on też jest ślepy w ciemności. We wszystkim, co robił, mógł posługiwać się wyłącznie dotykiem.

– I co ty na to? – spytała.

– Ja... – Zapadła nieprzyjemnie długa cisza, ale kiedy ją przerwał, mówił głosem zdecydowanym, wręcz wyzywająco: – Ja od kilku miesięcy rozważałem potrzebę usunięcia Mamy Palo. Robiło się coraz gorzej, podejmowała nieodpowiedzialne decyzje, coraz trudniej było coś wynegocjować. Nie miałem wątpliwości, że coś z tym trzeba zrobić. Zaplanowałem trasę i przygotowałem ją przed kilkoma tygodniami. Myślałem, że poprowadzę nią Czarne Kapelusze albo najemników Palo. Że dokonamy zamachu.

„Zamach” w ustach biznesmena to szczególnie niebezpieczne słowo. Zaniepokoiło Vlorę, ale odsunęła swoje obawy. Okazało się, że Meln-Dun użył ich dokładnie tak, jak ona zamierzała użyć jego. Ta świadomość łagodziła wyrzuty sumienia. W pewnym stopniu.

– Za późno teraz na przepychanki – zdecydowała. – Zabierz nas na miejsce.

– Baszta jest zabarykadowana od wewnątrz. Musimy się przebić. Davd uderzył w deski.

– Robota, zdaje się, solidna – orzekł.

– Na otchłań, narobimy hałasu! – ostrzegł Olem.

Vlora wahała się przez długą chwilę. Mogła zeskoczyć, znaleźć inne wejście, wspiąć się do wieżyczki i wyważyć rygle od środka, ale... Żółty Pałac to wielkie miejsce. Równie dobrze może zgubić się w środku, wpaść w pułapkę. Być cicho to ważne, ale ważniejsze to być razem.

– Wyjście z wieży doprowadzi nas wprost na pokoje dawnego właściciela – powiedział Meln-Dun. – Teraz mieszka w nich Mama Palo i tam ma salę audiencyjną.

– Jesteśmy teraz nad nią?

– Tak.

– I robimy od otchłani rabanu. Pewnie już wiedzą, że tu, na górze, ktoś jest.

Vlora sięgnęła zmysłami w głąb pałacu. W promieniu stu jardów szukała śladów ludzi, mających przy lub na sobie choćby najmniejszą odrobinę prochu. Poczowała, że pozostali magowie w oddziale poszli za jej przykładem. Bezpośrednio pod basztą wykryła emanację, świadczącą o obecności trzech uzbrojonych mężczyzn. Czwarty i piąty wbiegali właśnie po schodach na drugie piętro, a dalej... dalej zgubiła rachunek przy trzydziestym.

Mama Palo była naprawdę dobrze strzeżona.

– Na nas pora. – Po raz ostatni sprawdziła pistolet. – Davd, do roboty.

Davd cofnął się, zrobił kilka kroków, od razu nabierając szybkości. Całym ciałem uderzył w zabite deskami małe okno wieżyczki. Rozległ się przeraźliwy łoskot, a najemnik zniknął w kłębach kurzu i pyłu. Vlora wskoczyła do środka tuż za nim, pomogła mu wstać, a Norrine, Olem i Buden pobiegli schodami w dół, trzymając broń w pogotowiu. Z równie donośnym trzaskiem wybili drugie drzwi, na dole. Rozległy się przeraźliwe krzyki w adrańskim, kezańskim i w palo.

Lady Krzemień zbiegła niżej. Oślepiło ją na moment, zatrzymała się i zamrugła gwałtownie. Ściany tego pokoju wykonano z tego samego żółtego wapienia co resztę konstrukcji, po czym udekorowano kandelabrami i gobelinami. Światła dostarczały lampy, do których gaz doprowadzała przypadkowa płatanina przewodów.

Patrzyła w lufy trzech pistoletów i na klingi dwóch mieczy. Miała przed sobą pięciu przeciwników, a nie trzech, jak się spodziewała. Oczekiwała, że w ciągu kilku chwil dołączą do nich następni.



Pięciu Palo miało na sobie bladozielone mundury gwardii przybocznej Mamy Palo. Zaskoczeni i wściekli, czerwoni na twarzach, raz za razem ściągali spusty pistoletów, ale te odmówiły posłuszeństwa. Vlora wyczuła, że Norrine zobojętniła proch na panewkach. Nie miały prawa wystrzelić.

– Stójcie! – krzyknęła. – Nie musimy przelewać krwi! – Miała wielką nadzieję, że ci ludzie rozumieją po adrańsku, bo jej palo był straszny. – Przyszliśmy po Mamę Palo! Nikt nie musi zginąć!

Za pięcioma gwardzistami, na sofie pośrodku sali, spoczywała chroniona przez nich kobieta. Wyglądała imponująco z dumnie uniesioną głową, sprawiała iście królewskie wrażenie, choć ubrana była w wytarte skóry, nie nosiła biżuterii i w ogóle wyglądała jak tubylec z głębi bagien Dorzecza Tristan. Miała z pewnością ponad siedemdziesiąt lat, jej zniekształcone reumatyzmem dłonie drżały bezustannie. Vlora poczuła wyrzuty sumienia. To ta staruszka sprawiała władzom tak wielkie kłopoty?! Tę babuleńkę polecono jej pojmać? Czy potrafi ją aresztować, przekazać Czarnym Kapeluszm i patrzeć na jej egzekucję?

Staruszka nie wydawała się przestraszona. Wręcz przeciwnie, wydawała się lekceważyć sytuację.

– Zabić ich – powiedziała w palo.

To Vlora zrozumiała doskonale.

– Nie hałasować – syknęła, a jednocześnie wykonała unik. Pchnięcie strażnika chybiło celu, a czubek krótkiego miecza Vlory rozplątał mu gardło.

Gwardziści Mamy Palo byli nieźli. Naprawdę nieźli. Kilka chwil wystarczyło, by Vlora nie miała wątpliwości: to byli wyszkoleni żołnierze. Sam fakt, że wytrzymali dłużej, niż wymaga zaczerpnięcie oddechu, choć przeciw sobie mieli czworo magów prochowych, zakrawał na cud. Lecz przecież nie mieli szans, a za śmierć zapłacili zaledwie płytką raną na ramieniu Budena.

– Davd, drzwi. – Vlora wskazała kierunek gestem. Davd i Olem dobiegli do nich w sam czas, by móc całym impetem rzucić się na Palo, usiłujących precyzyjnie się do środka. – Buden, doprowadź się

do porządku. Norrine, pilnuj starej. A co... – Lady Krzemień odwróciła się właśnie, spojrzała na sofę i głos zamarł jej w gardle.

Mama Palo klęczała obok sofy z uniesionymi rękami. Mówiła coś gwałtownie do Meln-Duna, przyciskającego jej lufę pistoletu do głowy. Ten ściągnął spust, zanim Vlora zdołała wykrzyknąć rozkaz. Ale instynkty lady Krzemień były szybsze niż jej język. Sięgnęła magią, zneutralizowała proch na panewce tak, że zasyczał cicho, lecz nie wybuchł.

Przeszła pokój w trzech krokach. Wyrwała broń z ręki Meln-Duna. Rzuciła ją Norrine.

– Nie! – powiedziała cicho, lecz z naciskiem. – Wyraziłam się chyba wystarczająco jasno: zabieramy ją ze sobą.

Zdumiała ją czysta, niczym nieskażona nienawiść w oczach biznesmena. Patrzył na swoją branke z ustami wykrzywionymi szyderczym uśmiechem.

– Zasłużyła na śmierć.

– Być może. Ale umrze przez powieszenie i to będzie państwowa sprawiedliwość, nie nasz samosąd.

– Państwowa jest lepsza?

– Musi być – warknęła – albo wszyscy jesteśmy dzikimi bestiami.

– Czarne Kapelusze będą ją torturować. Nasz czyn będzie aktem łaski!

To otrzeźwiło Vlorę, bo rzeczywiście, ten Palo zapewne miał rację. Musiała podjąć decyzję: czy oddaje tę kobietę władzom, czy nie. Zdecydowała, że tak, przekaże ją. Ludzie wykonujący rozkazy Mamy Palo zabijali najemników wykonujących polecenia Vlory. Ale... wydać ją na męki katom Czarnych Kapeluszy?

– Nie jestem tutaj, by okazać miłosierdzie – powiedziała głośno. Weszła pomiędzy dwoje Palo. Pomogła starej wstać. – Mówisz po adrańsku? Po kezańsku?

Mama Palo ją ignorowała.

– Mówi i po adrańsku, i po kezańsku – warknął Meln-Dun.

– Odejdź tam. – Vlora pokazała mu palcem kąt pokoju. – A ty, Mamo Palo, jesteś aresztowana w imieniu lady kanclerz za zdradę

stanu.

– Pragnąć wolności... Czy to przestępstwo? – Pytanie zadane zostało w doskonałym adrańskim.

– W tym kraju? Z całą pewnością.

Vlora przekazała kobietę Norrine, a sama dołączyła do stojących przy drzwiach Davda i Olema. Od zewnątrz walono w nie regularnie, zasuwa już pękła, masywne drewno miało puścić lada chwila.

– Wstrzymajcie się! – krzyknęła. – Mamy Mamę Palo. Jeśli chcecie, żeby dożyła ranka, pozwólcie nam odejść!

Łomot ustał. Mama krzyknęła coś w palo. Walenie powróciło, i to znacznie donioślejsze.

– Powiedziała im, że mają nas zabić, obojętnie, co ją czeka – przetłumaczył Meln-Dun.

– Norrine, ucisz ją!

– Być może – zaczął Olem spokojnie, lecz zaraz zaklął brzydko, bo po szczególnie mocnym uderzeniu omal nie usiadł na podłodze – nie powinnaś informować starszej pani, że zamierzamy przekazać ją Czarnym Kapeluszm.

Davd przeklinał nieprzerwanie i nader barwnie, bo odłupana kolejnym uderzeniem ostra, zębata drzazga wbiła mu się w bark. Vlora zajęła jego miejsce.

– Meln-Dunie, jaki dokładnie miałeś pomysł na wycofanie się stąd po zakończeniu zadania?

– Mój plan zakładał, że zabijamy Mamę Palo i pokazujemy jej odciętą głowę gwardii. Czyli przejmujemy władzę.

– Tu to naprawdę tak działa? – zdziwił się Davd.

– Dość prymitywna metoda, jak na biznesmena – zauważył pułkownik.

– Oni rozumieją tylko siłę. Ta daje tu władzę. – Głos miał tak zimny, tak gniewny, że przez chwilę Palo wydał się zupełnie inną osobą. Vlora zaczynała mieć pewne wątpliwości, czy obstawiła właściwego konia, ale odsunęła je. Na wahania było nieco za późno.

– Chyba nie doceniasz swoich współziomków – zauważyła tylko. –  
W nagrodę dostałbyś raczej powolną śmierć.

– Drzwi zaraz puszczą – syknął Olem.

– W porządku. Bez hałasu się nie obejdzie.

Vlora przymknęła oczy. Skupiła się na prochu, który wczuwała skupiony tuż za drzwiami. Było tam co najmniej siedem osób w niego wyposażonych. Zapaliła go myślą. Użyła magii, by kontrolować jego działanie, ograniczyć je, skupić na możliwie najmniejszej przestrzeni. Minimalizowała szanse pożaru.

Eksplozja wstrząsnęła pałacem, z sufitu odpadł tynk, pył wypełnił salę, osiadał na mundurach. Łomot w drzwi ucichł. Pułkownik otworzył je szarpnięciem, w rękę trzymał gotowy do strzału pistolet.

W korytarzu było znacznie więcej niż siedmiu ludzi. Wybuch zabił co najmniej dziewięciu, a kolejnych ośmiu kręciło się bezładnie, ogłupiałych, z otwartymi ustami i dłońmi na uszach. Najbliższy zdołał wyciągnąć miecz, ale Olem postrzelił go w pierś, generał zastrzeliła drugiego, a Davd przepchnął się do przodu i wywalił z garłacza. I nie było już z kim walczyć. Na podłodze korytarza leżały krwawe trupy i krzyczący, jęczący ranni. Vlora wiedziała, że musi zignorować to piekło.

– Ruszajcie się – ponagliła swoich magów. Prowadziła ich korytarzem, a kiedy wyczuła kolejne skupienie prochu przesuujące się w ich kierunku, także je odpaliła, stosując tę samą technikę minimalizowania zasięgu detonacji. Czowała, jak ubywa jej energii. Z każdym użyciem magia wyczerpywała ją po odrobinie.

Przeszli jeszcze trzema korytarzami, nim znaleźli się na parterze. Meln-Dun przyjrzał się ich dziełu z lekkim, lecz widocznym niesmakiem.

– Lady Krzemień, czy dobrze słyszałem, że zabroniłaś zabijania?

– Powiedziałam, że nie chcę zabijać. Może gdybyś wymyślił lepszą taktykę odwrotu, nie trzeba by było tego robić.

Zakłęła. Była wściekła i na Meln-Duna za jego beznadziejny plan, i na siebie za to, że się tak chętnie zgodziła. Była tak zdesperowana, że nie oszczędziła im walki.

W sali balowej, gdzie niespełna przed tygodniem bawiła się tak doskonale, czekali na Vlorę trzej Palo uzbrojeni w miecze. Rozprawiała się z nimi sama. Niuchnęła prochu, trans powrócił, wykończyła ich błyskawicznie i możliwie bezboleśnie. W odróżnieniu od napotkanych na górze, ci tu nie byli żołnierzami. Zatracali się w walce, brakowało im techniki. Nie mieli szans. Zdecydowanie wolałaby obezwładnić ich i iść dalej, ale przez całe życie ćwiczyła inne techniki radzenia sobie z przeciwnikiem.

Ben Styke powiedział prawdę. Była morderczynią.

Nim wydostali się z pałacu, musieli pokonać jeszcze sześciu strażników. Meln-Dun poprowadził ich bocznymi alejkami Jamy, odnalazł prowadzące w górę schody i zapewnił pozostałych, że Pajęczyna oferuje znacznie większą szansę ucieczki niż pozostanie na dole.

Vlora trzymała się z tyłu. Sprawdziła stan oddziału, a potem zrobiła to powtórnie. Davd i Buden byli ranni, Norrine niosła Mamę Palo, ale żyli i wszyscy byli w nie najgorszej formie. Dotarli do Pajęczyny, Olem rozprawił się z jeszcze jednym gwardzistą, a potem pozostało im już biec do wyjścia tą samą drogą, którą tu dotarli.

Nie napotkali oporu. Lady Krzemień niemal rozkrzyczała się z radości na widok gwiazd na niebie. Osiągnęli Krawędź! Serce waliło jej jak młotem. Pożegnała mroczną Ognistą Jamę spojrzeniem przez ramię.

Dokonali dzieła. Sześcioro weszło, sześcioro wyszło. Porwali Mamę Palo z samego serca jej królestwa. Stara kobieta rzuciła się na ziemię, Norrine musiała podnieść ją i przerzucić sobie przez ramię jak worek ziemniaków. Rozzłościło ją to. Szkoda, że stara nawet nie spróbowała odejść z godnością.

Dla wszystkich byłoby to lepsze.

Vlora nie wiedziała, ilu Palo zabili. Według jej szacunków około czterdziestu. Biedne sukinsyny, pewnie nawet nie wiedzieli, co się właściwie stało. Być może udałoby się tak to wszystko załatwić, by imienia Vlory nie powiązano z całą tą aferą. Ale z drugiej strony:

mag prochowy w Ognistej Jamie? Przecież to jakby ktoś pokazał ją palcem!

Czarne Kapelusze czekały na nich przed bramą Fort Loel. Vlorze osobiście odprowadziła Mamę Palo aż do ich więziennego powozu. Na jej oczach dwie milczące Żelazne Róże zamknęły za staruchą drzwi. Tajna policja wystawiła całą kompanię obstawy, niemal tylu ludzi, ilu przysłali po Bena Styke'a. Szukała wzrokiem, aż znalazła funkcjonariusza z medalionem Brązowej Róży.

– Gdzie Michel Bravis? – spytała go. – Powinien tu być.

– Agent Bravis jest w tej chwili zajęty – usłyszała w odpowiedzi. – Ale z pewnością będzie bardzo zadowolony z przebiegu zdarzeń. Długo pracowaliśmy nad ujęciem tej suki.

Vlorze ugryzła się w język, ale nawet to nie powstrzymało jej przed zadaniem pytania.

– Co ją teraz czeka?

Brązowa Róża uniósł brwi wysoko.

– Da przykład innym.

– Tortury? – Głos Olema, pozornie obojętny, wydawał się jednak groźny. Ten pomysł nie spodobał mu się, tak jak nie podobał się Vlorze. W ciemności wyciągnęła do przyjaciela rękę, ucisnęła mu dłoń. Ostrzegła.

– Nie – powiedział Czarny Kapelusz, nie ukrywając żalu. – Zawiśnie jak najszybciej to możliwe. Wielki mistrz nie chce dawać nikomu okazji do zorganizowania próby jej odbicia albo rozruchów. Chyba rzeczywiście tak będzie najlepiej.

– Chyba rzeczywiście – przytaknęła Vlorze i odetchnęła z ulgą.

Agenci wynieśli się szybko. Vlorze czekała, aż powóz więzienny zniknie, myśląc o tym, jak błyskawicznie potoczyły się wydarzenia. Przed zaledwie godziną Mama Palo rządziła znaczną częścią wielkiego miasta, ośmielała się rzucać wyzwanie Lindet, a teraz, jak jedna z wielu pospolitych przestępczyń, czekała na wykonanie wyroku przez powieszenie. A to wszystko dzięki Vlorze i jej magom. Na tę myśl przewracał się żołądek. Vlorze potrzebowała chwili

odosobnienia gdzieś, gdzie mogłaby splunąć, a potem oczyścić usta solidną porcją alkoholu.

– Lady Krzemień?

Oprzytomniała. Tuż obok niej stał Meln-Dun. Po gniewie – i pogardzie – które tak dobitnie pokazał podczas porwania, nie pozostał ślad, stał się znów znanym jej z balu spokojnym, rzeczowym biznesmenem. Ciekawe, czy ujawnił swą prawdziwą naturę, czy to tylko okoliczności wydobyły na powierzchnię jej ciemną stronę. To drugie wcale nie było takie rzadkie.

– Dobra robota – powiedziała mu.

– I nawzajem. Nie potrafię właściwie podziękować ci, pani, za to, czego dokonałaś. Jeszcze przez tydzień, dwa, w Jamie będzie niespokojnie, ale moi ludzie natychmiast zaczną ją czyścić ze zwolenników Mamy Palo. Sądzę, że dla Landfall nastął czas pokoju i dobrobytu.

– Mam nadzieję. Uda ci się odzyskać rodzinę?

– Sądzę, że tak. Już dziś wieczorem.

Vlora uniosła brwi. Palo odwrócił się, ale zatrzymała go pytaniem.

– Dać ci eskortę?

– Ach! Nie, nie sądzę, by było to potrzebne. W zamieszaniu wywołanym nieoczekiwanym zniknięciem Mamy Palo powinienem zgromadzić moje siły bez większego problemu. Jeszcze raz dziękuję, lady Krzemień. Jestem twym dłużnikiem.

Z tymi słowy Meln-Dun odszedł, pozostawiając ją samą, gdyż jej magowie udali się do lazaretu opatrzyć rany. Nie, nie całkiem samą. Przy jej boku pojawił się Olem. On też odprowadził wzrokiem odchodzącego Palo, łatwo było zauważyć, że się nad czymś zastanawia. Czoło miał zmarszczone, postukiwał o wargę niezapalonym papierosem. Ta noc w forcie stała się nagle niezwykle spokojna, ponad ogrodzeniem dobiegały ich tylko stłumione odgłosy typowe dla miasta o tej porze. Można by pomyśleć, że porwanie Mamy Palo było tylko snem.

– Udało się nam bez większych problemów – powiedziała Vlora cicho. – Więc dlaczego tak gównianie się czuję?

– Zostawiliśmy za sobą sporo trupów. To może być kłopot. – Zapłonęła zapalka, w powietrzu uniosła się woń tytoniowego dymu.

– Przecież jestem najemniczką! Zabiłam setki ludzi, może tysiące. Nie powinnam mieć wyrzutów sumienia.

– Jesteś zabójczynią... ale też porządnym człowiekiem.

Dla niej jedno wykluczało drugie.

– Wspominasz tych, których pozbawiłeś życia?

– To prosta droga do szaleństwa.

Zapadło milczenie.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Olem westchnął.

– Czasami. Ale próbuję o nich nie myśleć.

– To tak jak ja.

Vlora podniosła wzrok na bramę. Miała nadzieję, że Mama Palo doczeka egzekucji w spokoju. Była wrogiem, owszem, ale była też starą kobietą mającą odwagę rzucić wyzwanie najpotężniejszej osobie na kontynencie. Taką odwagę się szanuje.

Splotła palce z palcami Olema.

– Mam dość tego miejsca. Wynośmy się stąd.

– Niech nam najpierw zapłacą.





## 40 ROZDZIAŁ

**N**astępnego dnia rano Michel powrócił do Landon na Bagnie na czele trzech tuzinów Żelaznych i ośmiu Brązowych Róż, z dwoma wozami-więźniarkami. Taniel powiedział mu, że jeszcze dziś zostanie Złotą Różą, ale tak naprawdę nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Uznał rozsądnie, że dzięki temu sprawy potoczą się znacznie bardziej autentycznie.

Całą drogę spędził, próbując wsadzić myśli i wspomnienia z powrotem do szkatułki, ale było to beznadziejne zadanie. Czuł, jak umysł odmawia mu posłuszeństwa. Jadące z nim Żelazne Róże nie były już podwładnymi, lecz wrogami. Obawiał się o Taniela – musiał napominać siebie, że to nie Taniel, tylko Tampo – zamiast zastanawiać się, jak go ująć. W głowie mu się od tego kręciło, złościł się z byle powodu i cały wysiłek woli musiał poświęcić powstrzymaniu się od mamrotania do siebie pod nosem.

Wjechali do miasta, pulsującego codzienną gorączką ożywionego centrum handlowego, ale gdy tylko na ulicy pojawiły się pojazdy ze znakiem białej róży na burtach, otoczone przez oddział Czarnych Kapeluszy, Palo rozprysnęli się na wszystkie strony jak stado

przerażonych gęsi, pozostawiając towary na straganach, zwierzęta, nawet ryksze.

Agenci otoczyli budynek „Wieści Palo”. Wokół panowała cisza i spokój. Michel niepokoił się coraz bardziej. Co go czeka w środku? Ciało? Żywy Palo, kozioł ofiarny? A może to pułapka?

Zeskoczył z wozu. Wskazał dwie najpotężniejsze Żelazne Róże.

– Wy dwaj, do drzwi – rozkazał. – Wy w sześciu wchodźcie od dołu. Czterej do magazynu po sąsiedzku. Gdzie Warsim?

– Tu jestem. – Agent wyskoczył z drugiego wozu.

– Ty dowodzisz.

Michel wycofał się za więźniarkę w miejsce, z którego miał dobry widok na całość operacji. Towarzyszyły mu trzy Brązowe Róże, gotowe do walki, gdyby zaszła taka konieczność. Warsim wraz z grupą Żelaznych Róż podszedł skrycie pod wejście z tabliczką „Wieści Palo”. Na milczący rozkaz drzwi zostały wkopane do środka. Czarne Kapelusze wpadły z impetem do siedziby gazety, reszta oddziału także podjęła wyznaczone zadania.

W kilka chwil później rozległ się łomot kolejnych wykopywanych drzwi, a także krzyki rozkazów z wolnej przestrzeni pod magazynem. Bravis słuchał tupotu kroków, z zapartym tchem wpatrywał się w otwarte wrota szopy.

Cisza trwała długo. Nagle przerwał ją trzask czegoś rozbijającego się na podłodze i pojedynczy okrzyk. Po czym w drzwiach pojawił się Warsim.

– Czysto! – zameldował.

Michel odetchnął głęboko i podbiegł do budynku.

– Co się dzieje? – spytał. – Gdzie jest reszta?

– Nic nie znaleźliśmy – poinformował go służbiście Warsim. – Pusto. – Skrzywił się.

Michel czekał na najgorsze wieści.

– I...? – popędził go.

– Na górze jest ciało.

Michel wbiegł do magazynu. Pędził na pięterko, biorąc dwa stopnie naraz. Wpadł do kantorka, w którym zaledwie wczoraj

rozmawiał z Tanielem. Dziś wydał mu się on mniejszy i mroczniejszy. A obok krzesła pośrodku, skulony, twarzą w dół, w kałuży zasychającej krwi leżał trup.

Michel go okrążył. Machał rękami, żeby odpędzić muchy. Drogi garnitur, zakrwawiony i doszczętnie zniszczony. Obok zwłok leżała równie elegancka laseczka. Podniósł ją, a potem, pomagając sobie też czubkiem buta, wykorzystał do przewrócenia ciała na wznak. Dłoń zaciśnięta na kolbie pistoletu, wielka rana na lewej skroni.

Twarz, choć pokrwawiona, była rozpoznawalna. Gregious Tampo.

– Mamy kogoś ze Zdolnością?

– Sammlen. Jest na dole – pospieszył z odpowiedzią Warsim.

– Natychmiast do mnie.

Warsim wyszedł i po krótkiej chwili wrócił z funkcjonariuszem Sammlenem. Michel wskazał mu palcem ciało.

– Czego używasz do wyczuwania magii? – spytał ostro. – Wewnętrzne oka, tak?

– Tak jest, panie. To trudne, ale potrafię.

– Powiedz mi, czy coś tu czujesz?

– Panie...? – spytał Sammlen niepewny, czego od niego wymagają.

– Po prostu skup się i sprawdź.

Funkcjonariusz wziął głęboki oddech, zamknął oczy, a potem uniósł powieki tylko odrobinę i tak wpatrzył się w trupa. Minęło dobre pół minuty, nim potrząsnął głową i zamrugał. Na policzki spłynęło mu kilka łez.

– Melduję, że nie. Nie wyczuwam żadnych śladów magii.

Michel jeszcze raz okrążył zwłoki. Z całą pewnością nie było to ciało Taniela. Należało do Tamy. Bardzo by chciał wiedzieć, jak dokonano tej mistyfikacji – czy poświęcono jakiegoś biednego głupca, czy Taniel popełnił samobójstwo, by dać mu awans? To ostatnie było tak nieprawdopodobne, że aż nie do przyjęcia.

A poza tym nikt mu nie płacił za myślenie. Ma zostać Żłotą Różą. Nic więcej.

– Znaleźliście coś jeszcze? – spytał.

- Melduję, że nie.
- No to robimy dokładne przeszukanie.

Trwało to przeszło godzinę. Drukarnię zdążono rozebrać na części, zanim spotkał się z Warsimem przy kupie wyniesionych z niej rzeczy przedstawiających jakąkolwiek wartość, w tym osiemnastu pudeł „Grzechów Imperium”, jedenastu muszkietów, pięciu pistoletów, amunicji, rachunków od dystrybutorów prasy w Landfall, całej biblioteki literatury antypaństwowej, wydawanej przez różne grupy rewolucyjne w ciągu ostatnich dziesięciu lat oraz ręcznie spisywanego dziennika, sztuk jeden. Wyglądało na to, że jest to notatnik Gregiousa Tamy.

W oknach, wychodzących na kompleks magazynowy, Michel widział twarze Palo, którzy zerkali ciekawie zza rogów sąsiednich alejek. Pewnie bardzo chcieliby wiedzieć, co tu się właściwie dzieje. Zignorował ich. Kartkował dziennik. A jego podwładni czekali, zachowując milczenie.

– Nie wiem, czy trup Gregiousa Tamy wystarczy na Złotą Różę – szepnął z powątpiewaniem do siebie.

– Więc dorzuc do niego jakąś naprawdę dobrą historyjkę – odpowiedział sobie.

Przeczytał ostatnią stronę dziennika, zamknął go i wsunął do bocznej kieszeni. Spojrzał na Warsima i resztę swojego oddziału.

– Zabrać mi to wszystko do Kapelusznictwa – rozkazał. – Zinventaryzować i sprzedać.

– Propagandę antypaństwową też? – zainteresował się Warsim.

Michel nie odpowiedział. Przez głowę przeleciała mu pewna myśl: jak długo Taniel tworzył Gregiousa Tamy? Czy trudno było stworzyć z niczego konkretną postać z całą jej historią? Tampo napisał, opublikował i rozpowszechnił „Grzechy Imperium”, musiało kosztować go to wiele czasu i wysiłku, a jednak broszurką tą osiągnął w gruncie rzeczy bardzo niewiele. Bez wątplenia był to tylko element gry, ale mimo wszystko... co za strata!

– Nie – powiedział głośno. – Książki i broszurki wywieźcie za miasto do spalania. Gregious Tampo nie żyje, a to oznacza koniec

sprawy. Przyprowadźcie jego byłą sekretarkę i zarządzającego budynkiem, w którym miał biuro. Niech zidentyfikują zwłoki.

– Tak jest! Coś jeszcze?

– Oczywiście. Poinformujcie Fidelisa Jesa, że chcę się z nim zobaczyć.



– Dostarczyłeś mi trupa – powiedział Fidelis Jes głosem bez wyrazu.

Wielki mistrz jadł drugie śniadanie przy biurku. Za kołnierzyk białej koszuli założył serwetkę, a do ust podnosił właśnie kawałek piezzonego bażanta. Sok pomarańczowy ściekł na blat. Jes zauważył to, zaklął, przełknął, wytarł plamę serwetką, po czym, nie kończąc posiłku, odsunął zastawę na bok. Wyglądał po prostu źle: przekrwione oczy, rozczochrane włosy, nawet jego koszula była nieświeża. Od początku swej kariery w Kapelusznictwie Bravis nigdy nie widział Jesa w takim stanie.

Odchrząknął.

– Tak jest, panie. Zgadza się.

– Jaką wartość ma umarłak? – spytał Fidelis Jes cicho, groźnie. – Co mam z nim zrobić? Nie da się go torturować. Nie da się wydobyć jego sekretów na światło dzienne! – Głos wielkiego mistrza wzniósł się do krzyku. A ostatniemu słowu towarzyszyło walnięcie pięścią w biurko, tak mocne, że Michel aż podskoczył. W tym momencie zauważył pierścień na jego kciuku: ciężki, srebrny, z oczkiem przedstawiającym lancę przebijającą czaszkę. Czy wczoraj wielki mistrz też miał go na palcu? Wówczas nie rzucił mu się w oczy, dopiero dziś, bo Fidelis Jes cały czas się nim bawił.

Intensywnie myślał, co powiedzieć.

– To z całą pewnością on, panie – rzekł w końcu.

– Przepraszam, nie zrozumiałem?

– Mówiłem, że...

– Słyszałem – warknął Jes. – Nie zrozumiałem tylko, co to miało znaczyć. Mam się cieszyć, że on to on? A nawet „z całą pewnością on”? Phi! Wolałbym, żeby to był jego sobowtór. Mógłbym wysłać kogoś bardziej kompetentnego od ciebie, żeby mi go przyprowadził żywego.

Michel pilnował, by jego twarz nie wyrażała niczego. Ani coraz mocniejszego przekonania, że Taniel gdzieś tam jest, ani strachu – a już na pewno nie nienawiści – budzonych przez osobę Jesa i wszystko, co ten człowiek sobą reprezentował.

– Panie – powiedział, zachowując pozory olimpijskiego spokoju – fakt ten oznacza koniec sprawy. – Wyjął z kieszeni dziennik Tamy, położył na biurku. – Tamto nie żyje i to jest koniec sprawy. Pamiętasz, panie, jaki był dokładny? Konta bankowe, zasady wynajęcia lokalu, unikanie świadków? No cóż, nie dysponował pamięcią absolutną. Gdzieś musiał zapisywać to, co rzeczywiste i prawdziwe. To właśnie są jego notatki.

Wielki mistrz przyglądał się dziennikowi z ledwie ukrywanym obrzydzeniem, jakby nie był to notatnik, tylko, powiedzmy, martwy świstak.

– Twierdzisz, że dopadliśmy jego organizację?

– Uważam, że zakończyliśmy sprawę... bo nie ma żadnej organizacji! Był tylko on. Tylko Tamto. To on wywołał aferę „Grzechów Imperium”, używając wynajętych asystentów, z których większość nie znała nawet jego prawdziwej tożsamości! Uważał, że reżim lady kanclerz można obalić czymś w rodzaju bezkrwawego przewrotu. Przez nastawienie ludności przeciwko niej i zmuszenie jej do abdykacji.

– Dziwna krótkowzroczność u kogoś tak przewidującego.

– Może? Albo tylko taką się wydaje. Sprawdziłem to u naszych specjalistów od propagandy. Twierdzą, że ta teoria ma sens. Tamto nie miał zamiaru skończyć na „Grzechach Imperium”. Na następne kilka lat planował wydanie jeszcze kilkunastu broszur. Informacje są w tym notesie. Dopiero zaczynał. Udało nam się uciąć łeb węzowi, zanim zaczął się rozrastać.

W trakcie przemowy Michel pochylał się coraz bardziej w stronę wielkiego mistrza i w ogóle udawał coraz większy entuzjazm, którego wcale nie czuł. To Jes miał poczuć smak zwycięstwa, docenić jego wagę. Wielki mistrz musiał nabrać przekonania, że śmierć Tamy to nie był jakiś tam przypadek czy szczęśliwy traf. Chwycił dziennik z biurka, otworzył na ostatnich stronach.

– Panie, proszę, sam przeczytaj, co Tamo miał do powiedzenia. Pisze o tym, że kilkakrotnie ledwie udało mu się uciec przed nami, przed Czarnymi Kapeluszymi. Deptaliśmy mu po piętach, od tygodnia już nie potrafił nas zgubić. Targnął się na siebie ze strachu przed tym, co z nim zrobimy, kiedy już go złapiemy. Nie dostał nam się w ręce żywy, ale to przecież bez znaczenia. To, co szykował, już się nie zrealizuje.

Jes poprawił się w fotelu. Nie wyglądał na przekonanego, ale przynajmniej już się nie wściekał.

– Podejrzewam, że przypisujesz sobie całą zasługę, nie mylę się?

– To ja prowadziłem tę sprawę, panie.

Wielki mistrz przyglądał się Michelowi zwięzonymi oczami przez nie do zniesienia nerwową, długą chwilę. Wstał, okrążył biurko, odebrał z jego rąk notatnik. Przeglądał go, chodząc po pokoju. Przez ten cały czas Michel stał na baczność, a pot spływał mu wzdłuż kręgosłupa. Obawiał się, że Jes znajdzie gdzieś jakiś błąd, którego on nie widzi, kompromitujący pomysł Taniela.

Jednocześnie nie potrafił obronić się przed podziwem dla dalekowzroczości przyjaciela. Bo notes wydawał się arcydziełem. Pisany przez trzy lata, tydzień po tygodniu, był dokładną relacją upadku zrujnowanego adrańskiego arystokraty, który przed laty uciekł przed przewrotem marszałka polnego Tamasa do Fatrasty. Tu na spekulacjach stracił resztki rodowej fortuny. Pozbawiony rodziny, niemający wartych wspomnienia przyjaciół, zaczął powoli popadać w paranoję, nabierać przekonania, że może samodzielnie pozbawić Lindet władzy, za co otrzyma stanowisko w nowym rządzie, wyrastającym z popiołów starego porządku.

Pamiętnika Gregiousa Tamy nie napisano jednej nocy. Nie, było to dzieło przemyślane, powstające latami. Taniel trzymał go zapewne na wypadek zatrzymania przez Czarne Kapelusze, dzięki niemu Tampe zaistniał... i mógł zniknąć.

Czy nie popełnił w tym dziele nawet jednej małej pomyłki?

Minęło pół godziny, nim Fidelis Jes zamknął książeczkę i z namysłem odłożył ją na biurko. Podszedł do kominka. Na półce nad nim leżała mała szkatułka. Wyjął z niej coś i dopiero teraz spojrzał na swego agenta.

– Nie podoba mi się sposób, w jaki sprawa ta została załatwiona, Bravis – powiedział zimno. Michel usiłował oblizać wyschłe wargi. – Ale doceniam, że została jednak zamknięta. Mamy w tej chwili znacznie ważniejsze i pilniejsze problemy. Osobiście uważam, że parłeś przed siebie na oślep i miałeś mnóstwo szczęścia, ale Czarne Kapelusze nie muszą być finezyjne, za to zawsze potrzebują uśmiechu fortuny. Nie zostaniesz więc zdegradowany.

Michel Bravis powstrzymał westchnienie rozczarowania. Zachowałem rangę, myślał, i całkiem możliwe, że to jest łut szczęścia i więcej nie dało się osiągnąć. Ale nie tej rangi potrzebował. Taniel nie po to zabił Tampe, by Michel został tam, gdzie był. Odchrząknął. Pora rzucić kości. Zaczęła się gra o naprawdę wysoką stawkę.

– Panie – powiedział stanowczo – jestem przekonany, że zapracowałem na nagrodę. Nie jestem śledczym, nie posiadam koniecznej wiedzy i praktyki, a jednak nie tylko wytropiłem Tampe, lecz także doprowadziłem do tego, że nie stanowi już zagrożenia dla rządów lady kanclerz. Uważam, że daje mi to prawo do Złotej Róży.

Fidelis Jes znalazł się przy nim tak błyskawicznie, że Michel odskoczył niezdarnie i ledwie utrzymał równowagę. Wielki mistrz złapał go za koszulę przy szyi i przyciągnął do siebie tak, że ich nosy niemal się stykały.

– Więc twierdzisz, że zasłużyłeś sobie na Złotą Różę, co?

– Tak... – zaskrzeczał Michel. Przelyk miał suchy jak piaski pustyni.



– Działanie po omacku i łut szczęścia to za mało, ale lojalność? Ta, agencie Bravis, jest monetą cenniejszą niż srebro.

Puścił Michela, chwycił go za ramię, ścisnął. Bravis poczuł, jak coś boleśnie wbija mu się w skórę. Jes zwolnił uchwyt równie nagle, jak przedtem złapał, i wrócił za biurko. Michel chwycił to coś, nim spadło na podłogę.

Odetchnął cicho, lecz głęboko. W rękach trzymał Złotą Różę.

– Dziękuję, panie.

– Akurat w tej chwili bardzo brakuje mi ludzi – powiedział Fidelis. – Aha, wszystkie moje Złote Róże pracują. Każda nad jedną sprawą. Wczoraj wieczorem udało się nam złapać Benjamina Styke’a. Został odesłany do obozu pracy Słodkie Jutro, z którego natychmiast uciekł. Obóz został całkowicie zniszczony, a Styke jest na wolności. Masz go zatrzymać i doprowadzić do mnie.

– Co z lady Krzemień? – spytał Michel.

– A co ma być? – zdziwił się wielki mistrz.

– Jestem jej łącznikiem.

– Już nie. Wypełniła warunki kontraktu, a jeśli zawrze nowy, przydzielę do niej inną Srebrną Różę. Ty masz swoje zadanie. A teraz zejdź mi z oczu.

Michel zamknął za sobą drzwi gabinetu. W sekretariacie byli tylko on i Dellina. Sekretarka uśmiechnęła się do niego uroczo, jakby nie wiedziała, że szef tajnej policji Fatrasty najpierw wyrwał Michelowi serce z piersi, a potem włożył je na miejsce.

– Moje gratulacje – powiedziała.

– Dzięki. – Bravis nie doszedł jeszcze całkiem do siebie.

– Napij się, panie, masz dobry powód. To cię trochę uspokoi.

– Świetny pomysł. Tylko najpierw muszę zmienić spodnie.



## 4I ROZDZIAŁ

**V**lora samotnie przyglądała się, jak słońce wschodzi nad niewykończone fundamenty kamienicy, którą jeszcze wczoraj jej ludzie planowali wznieść na Krawędzi Ognistej Jamy. Bezsenna noc tylko wzmocniła jej melancholijny nastrój. Nie wiedziała i już się nie dowie, czy ktoś kiedyś dokończy ten budynek. Nie miała tu już nic do roboty.

Zapewne tak – i to ją nieco pocieszało. Budowy może dopilnować Meln-Dun. Albo jakiś inny biznesmen Palo. Nawet Czarne Kapelusze mogą ją dokończyć, w końcu projekt został już sfinansowany. Niemniej nie miała pewności, że tak się stanie. Próbowwała przekonać samą siebie, że nic jej to nie obchodzi.

Nie pierwszy raz współczuła Palo. Próbowwała złamać ducha tego ludu daleko stąd, na pograniczu, ale wydała żołnierzom instrukcje, że mają okazywać jego przedstawicielom zrozumienie i łaskę, by ci, którzy przeżyją, mogli żyć lepiej niż dotychczas. Nie rządziła tam, lecz dławiła wolność i czasami zastanawiała się, czy rządy nie sprawiłyby jej większej satysfakcji od wojaczki.

Gdyby nawet odłożyć współczucie na bok, i tak było w Ognistej Jamie coś, co wywoływało konflikt sumienia znacznie dokuczliwszy niż dowolna liczba stłumionych powstań tam, na bagnach. Nie potrafiła wskazać jakiejś jednej przyczyny. Być może szanowała Mamę Palo za jej nieubłagany sprzeciw, a może gnębiły Vlorę wyrzuty sumienia, bo tamta była starą kobietą?

Odsunęła od siebie te refleksje, które niczemu przecież nie służyły. Zeszła z ulicy i klucząc po ledwie rozpoczętych fundamentach, a potem idąc dwie przecznice dalej, dotarła do granicy Ognistej Jamy. Chciała jeszcze rzucić na nią okiem, choć miała pilniejsze rzeczy do zrobienia niż żałowanie niezrealizowanych planów budowlanych, zakładających zlikwidowanie dzielnic biedoty i zastąpienie ich dzielnicą mieszkalną, a jej podkomendnych nie dotyczyło to przecież nawet w najmniejszym stopniu. O wiele ważniejsze było sprawdzenie, jak Palo zareagowali na wieść, że ich przywódczyni jest w rękach Czarnych Kapeluszy i wkrótce będzie wisieć.

Długo myślała o tym, co zrobić, by jej imię nie pojawiło się w relacji z wydarzeń w Jamie. Rozważała nawet możliwość zwrócenia się w tej sprawie z osobistą prośbą do Fidelisa Jesa, ale wolała nie mieć u niego długu wdzięczności. Zwłaszcza że zostawili po sobie zbyt wielu świadków i zbyt wiele dowodów. Przecież wszyscy wiedzieli, że w całym mieście tylko Strzelcy Wyborowi mieli do dyspozycji magów prochowych, więc Vlorze pozostawało jedynie mieć nadzieję, że opinia publiczna nie usłyszy o obecności trzech innych, oprócz niej. Tej karty atutowej wolała na razie się nie pozbywać.

Tak więc nie ma wątpliwości, Palo będą wiedzieć, kto pochwycił ich przywódczynię. Nawet jeśli nie dojdzie do rozruchów na pełną skalę, ataki na najemników mogą zacząć się jeszcze dziś. Musiała rozważyć kwestie bezpieczeństwa. Być może Meln-Dun zdoła szybko przywrócić spokój, ale równie dobrze może mu się to nie udać. Możliwe, że uczyni ze Strzelców Wyborowych wspólnego wroga, przejmie dowództwo nad ludźmi Mamy Palo i obróci całą Ognistą

Jamę przeciw niej. Po wydarzeniach wczorajszej nocy wcale by jej to nie zaskoczyło.

Być może, myślała, najwyższy czas się stąd wynieść. Co więcej, być może nadeszła pora, by wrócić do Adro, zaleczyć stare rany.

Wróciła na budowę. Tam czekał już na nią Olem w towarzystwie kogoś, kogo nie sposób nie rozpoznać: Fidelisa Jesa. Podała mu rękę; uścisnął ją słabo i w ogóle nie wyglądał najlepiej, co więcej: jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że nosi wczorajszą koszulę, ma podkrążone oczy i włosy w nieładzie.

– Twierdzi, że sprawa jest pilna – powiedział cicho pułkownik, gdy tylko znalazł się u boku Vlory.

– Rozumiem. Nie wiedziałam, że oddalasz się od Kapelusznictwa, panie – powiedziała do Jesa.

– Robię, co w mojej mocy, by się od niego nie oddalać. Powstrzymaj się od przesadnych uprzejmości, lady Krzemień, nie przyszedłem tu, by wyświadczyć ci zaszczyt. Pragnę tylko przekazać, że lady kanclerz jest bardzo zadowolona z wyjątkowo szybkiego ujęcia Mamy Palo. Na mnie też wywarło to wielkie wrażenie. Nie sądziłem, że tego dokonasz, pani.

Vlora pozwoliła sobie na pokaz przyjemnego zdziwienia.

– Och, doprawdy? Więc bardzo ci dziękuję. Nie sądzę, żebym nie miała za co.

Jeśli Jes uznał jej odpowiedź za sarkazm, to nie dał tego po sobie poznać w żaden sposób. Odwrócił się plecami i zapatrzył na fundamenty przyszłej kamienicy. Najwyraźniej coś go niepokoiło.

– Jaki los czeka Mamę Palo? – spytała.

– Och! – Fidelis lekceważąco machnął ręką. – Dziś rano odbyła się już tajna sesja sądu. Osobiście jej przewodniczyłem. Jutro w południe zostanie powieszona na placu przed budynkiem rządowym.

– Oczekiwałam, że nieco to przeciągniesz, panie.

– Bardzo bym chciał. Z Mamy Palo można byłoby zrobić doskonały przykład dla ludności. Z drugiej strony publiczne torturowanie starej kobiety nie przyniosłoby nam żadnych

wymiernych korzyści, poza tym nie jesteśmy potworami, niezależnie, co się o nas mówi.

Prawie udało ci się mnie przekonać, Vlora skrzywiła się w duchu.

– Jutro w południe – mówił dalej Fidelis Jes – to czas wystarczający, by śmieci się zebrały, ale nie, by się zorganizowały.

Vlora patrzyła, jak bawi się rękojeścią miecza. Niemal natychmiast zauważyła, że przy pasie ma nóż Bena Styke'a. Od pierwszego spotkania wiedziała, że Jes należy do ludzi, którzy kolekcjonują trofea. Ale nie sądziła, że należy do tych, którzy nie panują nad dłońmi.

Zasadnicze pytanie zadał za nią Olem.

– To nie jest przyjacielska wizyta, prawda?

– Nie – zgodził się wielki mistrz. Jego głos zabrzmiał piskliwie. Splótł ręce za plecami, unikając ich spojrzeń. – Ta sprawa jest dla mnie osobiście nieco... żenująca. Benjamin Styke uciekł.

Vlora zerknęła na Olema, którego twarz mówiła dobitniej niż słowa: „i bardzo dobrze”. Pokręciła głową z dezaprobatą. Pułkownik posłusznie przybrał niewinną minę, sięgnął do kieszeni po tytoń.

– Byłam pewna, że nie żyje – powiedziała.

– Niestety. Z powodów mi nieznanych lady kanclerz nakazuje utrzymać go przy życiu, został więc ukarany odpowiednio do winy, a następnie odesłany do obozu pracy, w którym przebywał przez wiele lat.

– Czy nie uciekł już stamtąd kiedyś?

– Było to trochę bardziej skomplikowane. Tak czy inaczej, uznano, że to dla niego najodpowiedniejsze miejsce.

Vlora nie zdołała powstrzymać parsknięcia.

– Okazało się, że jednak nie? – spytała niewinnie.

– Dokładnie. – Jes odwrócił się i wreszcie na nią spojrział. – Tej nocy obóz został całkowicie zniszczony, baraki spłonęły do fundamentów, strażników dosłownie wyrżnięto, a więźniowie zostali uwolnieni.

– Chyba nie myślisz, panie, że to my tego dokonaliśmy? – spytała zdumiona.

– Nie. Sądzymy, że to robota byłych towarzyszy broni Styke’a, Szalonych Lansjerów.

Myśl o bandzie wkurzonych posiwiąłych weteranów atakujących obóz pracy omal nie doprowadziła Vlory do śmiechu. Przygryzła dolną wargę, zerknęła na Olema.

– Oddział rozwiązano przecież lata temu – powiedział pułkownik. Jes zignorował jego uwagę.

– Chcę, by Styke został schwytany. Jego towarzyszy należy wytropić i zlikwidować.

– I to ma być nasza nowa misja? – domyśliła się generał. Nim wielki mistrz skończył mówić, już zaczęła planować i ustalać logistykę operacji. Ile pracy wymagać będzie uwięzienie lub likwidacja weteranów? Szaleni Lansjerzy byli legendą, ale od tamtej pory minęło dziesięć lat. Nie wątpiła, że jej oddział sobie z nimi poradzi. Ale nie była pewna, czy to zlecenie jest warte ich wysiłków.

– Kontrakt na znalezienie Mamy Palo został wypełniony. Zapłaciliśmy wam w sztabkach, banknotach, zaopatrzeniu i listach gwarancyjnych, tak jak sobie tego życzyliście.

Vlora aż zagwizdała ze zdumienia.

– Już?

– Owszem – potwierdził Olem.

Tak szybko jeszcze nigdy im nie zapłacono.

– Udało mi się nawet wynegocjować premię – poinformował ich Fidelis Jes. – Płatną natychmiastowo, jeśli zgodzicie się podpisać nowy kontrakt tu i teraz.

– Styke?

– Tak.

Vlora, która już przecież szacowała opłacalność zadania, nagle kazała sobie przestać o tym myśleć. Co też strzeliło jej do głowy? Nienawidziła Jesa, nie obchodził jej los Lindet i jej rządy, a przeciw najemnikom lada chwila obróci się znaczna część populacji miasta, bo są oczywistym obiektem nienawiści. Poza tym lubiła Styke’a. Pokazał jej, kim jest, udowodnił, na co go stać. Nie miała ochoty polować na niego jak na wściekłego psa.

Spojrzała na Olema. Udało mu się utrzymać nieruchomą twarz hazardzisty, ale i tak nie musiała pytać go o opinię. Nie w tej sprawie.

– To propozycja Lindet? – spytała.

– Moja – odparł Jes.

– Nie jestem zainteresowana.

– Lindet mogę mieć po swojej stronie jeszcze dziś po południu.

– Nadal nie jestem zainteresowana.

Twarcz Jesa lekko poczerwieniała. Spodziewał się chyba wszystkiego, oprócz tak bezpośredniej odmowy.

– Czy to przez wasze stosunki ze Stykiem? – Westchnął, uspokoił oddech. – W tej chwili brakuje nam ludzi. Mogę zawrzeć z wami umowę, która uwolni moich agentów, by mogli neutralizować zagrożenie. A wy utrzymacie garnizon w Fort Loel i pokój z Palo.

– Moje stosunki ze Stykiem, jak byłeś to uprzejmy nazwać, panie, były takie, jakie życzliwy pracodawca może mieć ze starym, kalekim weteranem. I nie, nie chcę narażać moich ludzi na niszczące ataki Palo przez następny rok. Nie można walczyć z tym, co dzieje się w Ognistej Jamie. Trzeba albo dokonać zmian tak wielkich, że mieszkańcy sami przejdą na drugą stronę, albo spalić to miejsce do fundamentów.

– Możecie zająć Fort Nied...

Vlora uniosła rękę, przerwała Jesowi w pół słowa. Dziwiło ją, że aż tak na nią napiera. Miała wrażenie, że ani ją lubi, ani ceni.

– Gdybym nie wiedziała, pomyślałabym, że chcecie mnie koniecznie zatrzymać, panie.

– Pani, jesteś... cenna.

Jak zielonooka żmija, ale ja nie dopuszczę żadnej z nich do mojego bagażu.

– Nie. Dziękuję ci, wielki mistrzu. Zamierzam dać moim najemnikom przepustki, a potem odpływamy z Fatrasty. Wracamy do Dziewięciu.

Jes zacisnął zęby.

– I żadne pieniądze nie zmienią twej decyzji, pani?

– Nie przychodzi mi do głowy właściwa suma.

– A więc tak? – Jes nie ukrywał gniewu. Agresywnie wysunął do przodu żuchwę. – Bardzo przykro mi to słyszeć. Zrozumiesz więc, pani, że nie życzymy sobie obecności na naszym terenie wojska, nad którym nie mamy kontroli. Macie dwa dni na zwolnienie Fort Loel, cztery na opuszczenie miasta. Żegnam, lady Krzemień.

Odszedł energicznym krokiem, z zaciśniętymi pięściami. Gdy tylko znalazł się wystarczająco daleko, by nie słyszeć ich rozmowy, Vlora zwróciła się do Olema.

– Nie wydaje ci się to dziwne? – spytała.

– Nawet bardzo – przyznał pułkownik. – Myślałem, że dostanie apopleksji.

– Przejmuje się tak pojedynczym człowiekiem?

– Nie pojedynczym. Przejmuje się oddziałem.

– To musi być coś innego – zaprotestowała, choć za żadne skarby świata nie potrafiła choćby zgadnąć, co to takiego może być. Miał prawo obawiać się rozruchów Palo i wiedział o Dynizyjczykach, choć ich trudno było uznać za realne zagrożenie, skoro nie wystawiali nosa z Jamy. – Nie powiesz mi, że przeraża go grupka rozwścieczonych lansjerów-emerytów.

– Szaleni Lansjerzy byli elitą – przypomniał jej Olem. – W swoim czasie to oni złamali kręgosłup całej kezańskiej armii.

Vlora jeszcze raz się nad tym zastanowiła. Widywała już na własne oczy legendarne jednostki, niektóre dorastały do swej reputacji, większość jednak nie. Ale nawet jeśli w tym przypadku opowiadano wyłącznie samą świętą prawdę, to i tak zachowanie Jesa nie miało żadnego sensu. Nie, chodziło mu po głowie coś innego i to musiało być naprawdę duże.

– Na szczęście to już nie nasz problem – powiedziała głośno. – Wygląda na to, że nie jesteśmy tu już mile widziani ani przez Palo, ani przez naszego byłego pracodawcę. Zacznij szukać nam transportu z powrotem do Dziewięciu.

– Ty tak serio? – zdziwił się pułkownik.



To pytanie zmusiło Vlorę do zastanowienia. Miała mnóstwo złych wspomnień z domu, sprzed pięciu lat i więcej. Być może nadszedł czas, by wrócić i stawić im czoła. A być może nie.

– Skontaktuj się z miejscowym oddziałem Skrzydeł Adoma. Sprawdź, czy nie mają dla nas jakiegoś zajęcia. Na zimę wrócimy do domu, wiosną odtworzymy kompanię. Może przeniesiemy się do Gurli?

Olem dotknął palcem runda kapelusza.

– Tak jest. Jakieś bliższe wskazówki?

– Mam dość uciskania zwykłych ludzi. – Vlora spojrzała w stronę Ognistej Jamy. – Znajdź nam pracodawcę, który sam jest w niedoli. To by była dobra zmiana. Oczywiście musi mieć czym zapłacić.

– I o to chodzi, nie?

– O to zawsze chodzi. – Vlora wyjęła papierosa z ust Olega, zaciągnęła się i oddała kochankowi. Miała przeczucie, tak silne, że aż ściskające żołądek, i to ono kazało jej oglądać się przez ramię. Nagle rozpaczliwie zapragnęła wynieść się z Landfall jak najdalej, a póki tu jeszcze była, schronić się w Fort Loel już, w tej chwili.

– Coś nie tak? – zainteresował się Oleg.

– Mam nadzieję, że to tylko niestrawność. Przygotuj ludzi do dyslokacji.

– A ty gdzie się wybierasz?

– Daję sobie dzień przepustki. Potem obejrzę owoce twojej pracy. Odszukam cię po egzekucji Mamy Palo.



## 42 ROZDZIAŁ

**U** przywilejowany. Zabiliście go? – spytał Styke. Siedział na łóżku w wynajętym pokoju nad pubem, w jednym z dziesiątków miasteczek granicznych otaczających Landfall. Było wczesne popołudnie, słyszał dobiegający z dołu szmer rozmów, a przez okno do środka wpadały typowe hałasy ulicy. Ibana ja Fles, szefowa „Fles i Fles Płatnerze – Najlepsze Miecze” oraz zastępca dowódcy Szalonych Lansjerów, zajmowała krzesło przy jego poślaniu.

Niewielu mężczyzn nazwałoby ją piękną. Twarz miała grubo ciosaną, cerę pełną drobnych blizn od lat pracy w kuźni, szerokie czoło i płaskie, ospowate policzki. Ciemnoblond włosy związała niedbale w kucyk. Uśmiechała się chętnie i często, choć nieco ironicznie, jej uśmiech przywodził same dobre wspomnienia. Była wyższa od większości mężczyzn, zaledwie kilka cali niższa od Styke’a i silna jak wół. Przyjaciół lansjerów bawiła, zgniatając puste baryłki po prochu ściśnięciem ud.

A teraz strzelała stawami palców, wszystkimi po kolei. Styke odzyskał przytomność parę minut temu, a jeszcze nie powiedziała

słowa.

Teraz wreszcie przerwała milczenie.

– Nie. Wrzuciłam go do rowu po drugiej stronie miasta.

– Mięka się robisz.

– Obiecałam mu, że jeśli cię wyleczy, odejdzie bez krzywdy.

Dotrzymuję słowa.

Styke spojrzał na swoje ramię. Przeciągnął palcem po cienkiej różowej bliźnie, tylko ona pozostała mu na pamiątkę walki z Fidelisem Jesem. Miał jeszcze siedemnaście innych, nowych szram na całym ciele, skóra na nich była naciągnięta i nadwrażliwa. Poruszył ramieniem i zdumiał się, bo poczuł tylko drobne ukłucie. Sam sobie wydawał się jak nowy – a przynajmniej nie bardziej zużyty niż przed walką z Jesem. Uprzywilejowany poświęcił nawet uwagę starym ranom po kulach, dzięki czemu Styke lepiej władał wskazującym i środkowym palcem lewej dłoni, choć nadal nie miał nad nimi pełnej kontroli.

– Uprzywilejowany uzdrowiciel to ogromna rzadkość. Jakim cudem znaleźliście go tak szybko?

– Jest członkiem prywatnej kamaryli Lindet. Zamówiłam go do Starego Flesa, ale pojawiła się przerażona Celine, mówiła coś o tym, że idziesz do Kapelusznictwa...

– Celine?

– Bezpieczna – zapewniła go Ibana, nie wdając się w szczegóły.

– A stary? Prze...

Oczy Ibany zwęziły się niebezpiecznie.

– Przeżyje – przerwała mu. – Nie dzięki tobie. Na otchłań, ale wścieka go splądrowanie domu!

– Nie chciałem go w to wplątać.

– Jednak wplątałeś.

Styke przeżuwał w milczeniu słowa przeprosin. Nie, skinienie głowy musi wystarczyć.

– Zaledwie wyszedłem na wolność. Potrzebowałem kogoś, komu mógłbym zaufać.

– Więc włączyłeś mojego starego ojca w swoje prywatne dzieło zemsty.

Styke marszczył brwi. Nie rozumiał. Co to właściwie miało znaczyć?

– Nie – powiedział ostrożnie. – Nie chodziło mi o Jesa. A przynajmniej nie od niego się zaczęło.

– Nie wierzę ci.

– Czy ja cię kiedyś okłamałem?

– Parę razy się zdarzyło.

– W ważnej sprawie?

Ibana znów zaczęła wyginać palce. Tym razem chrupnął tylko jeden.

– Nie chcę słuchać twoich wykrętów, pułkowniku.

Stykowi żołądek zacisnął się boleśnie. Nazywała go pułkownikiem, tylko kiedy się bała albo była wściekła. W tej chwili nie wydawała się szczególnie przestraszona. Ale miała go w garści. Był zdrowy i przynajmniej na razie bezpieczny – po raz pierwszy od wojny. Chciał pocieszyć się tym stanem przynajmniej przez kilka chwil.

– Więc czego ode mnie chcesz? – spytał.

– Chcę usłyszeć, jak się kajasz.

– Za co? Za ruinę warsztatu ojca? Za to, że go pobito? Jeśli myślisz, że nie jest mi z tego powodu strasznie przykro... to nie wiem... jesteś zwyczajnie głupia.

Ibana zacisnęła zęby.

– Nie – wycedziła. – Chcę usłyszeć przeprosiny za to, że zostawiłeś mnie samą na ostatnie dziesięć lat.

– Jasne! Bardzo przepraszam! Wybacz, że zrobiłem sobie wroga z tego psychotycznego kundla, Fidelisa Jesa. Przepraszam za to, że postawił mnie przed plutonem egzekucyjnym. I za to, że mnie pogrzebali żywcem w obozie pracy. Jak również za to, że próbowałem trzymać się od was wszystkich z daleka, żeby nie ściągnąć gówna na wasze głowy.

– Widziałam ten obóz. Mogłeś uciec.

– Nie chciałem.

– Dlaczego?

– Bo wiedziałem, że jeśli to zrobię, to wszystko: twój ojciec, pub Małego Gracza, stajnie Sunin, że wszystko, co zbudowaliście, zawali się z hukiem wprost na was. Udało mi się wyjść bez gwałtu. Byłem na tyle głupi, by uznać się za wolnego. Oczywiście nie byłem wolny.

Ibana przyglądała mu się niepewnie.

– Wiesz o tym? Pubie Gracza? Domach i interesach ludzi?

– Dowiedziałem się dopiero po walce z Jesem. – Styke ściszył głos. – Poszedłem się z nim zmierzyć, bo myślałem, że w ten sposób uda się uniknąć nieszczęścia. Ale on już ich skrzywdził, a potem drażnił się tym ze mną, kiedy leżałem pokonany.

Styke westchnął ciężko. Rozejrzał się po pokoju. Zadawał sobie pytanie, co powinien teraz zrobić. Przed pięcioma minutami czuł się jak nowo narodzony. Kłótnia z Ibaną zwarzyła jego dobry nastrój. Znowu czuł się inwalidą, a kiedy spróbował poruszyć nogą, stara rana od kuli przypomniała mu boleśnie, że Uprzywilejowany nie był w stanie wyleczyć wszystkiego.

– Przepraszam, że zostawiłem cię samą.

Ibana wstała. Przeciągnęła się.

– Jeszcze jedna sprawa – powiedziała i zanim zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, zdzieliła go pięścią w twarz. Głowa Styke'a odskoczyła, uderzając w zagłówek łóżka. Przed oczami zabłyśły mu gwiazdy. Poczul w ustach smak krwi, minęło dobre pół minuty, nim powrócił mu wzrok.

Ibana znikła, nie zamykając za sobą drzwi.

Styke bardziej wytoczył się, niż wstał z posłania. Już miał nadzieję, że pozbył się przeróżnych boleści i podrażnień, ale teraz rzeczywistość go dogoniła. Tylko raz przechodził magiczne leczenie w aż tak wielkim zakresie. Przez ponad tydzień jego ciało czuło się wówczas jak nowa, nieco za mała rękawiczka. Podszedł do toaletki z miską i lusterkiem po drugiej stronie łóżka, obmył twarz. Sprawdził stan nosa i stwierdził, że nie jest złamany. Ibana rzeczywiście z czasem zrobiła się miękka.

Ponownie zainteresował się nowymi, różowymi bliznami. Nie pamiętał, skąd ma większość właśnie gojących się ran, ale ciągle czuł cięcie na lewym nadgarstku – to, które pozbawiło go władzy w palcach. Pot pociekł mu wzdłuż kręgosłupa. Postarał się pogrzebać to wspomnienie jak najszybciej i jak najgłębiej. Przez chwilę ćwiczył, żeby przekonać samego siebie, że dłoń jest już w pełni sprawna.

Ibana znów była u jego boku. Jej obecność jednocześnie przerażała i uspokajała. On od zawsze był dowódcą Szalonych Lansjerów, a ona – ich kręgosłupem. Przypominało to trochę wzajemne stosunki lady Krzemień i Olema, choć jak sądził, w Ibanie drzemała zdolność do takiego okrucieństwa, że na samą myśl o nim pod pułkownikiem ugięłyby się nogi.

Styke musiał przypomnieć sobie, że żadna z tych rzeczy nie miała w tej chwili znaczenia. Szaleni Lansjerzy nie istnieli, chyba że jako idea, wspomnienie, słaby, drżący poblask daleko na horyzoncie. A jego związek z Ibaną? Naraził jej ojca na niebezpieczeństwo. Znikł na dziesięć lat. Nie wiedział, czy miała w tym czasie innych kochanków, na otchłań, mogła nawet wyjść za mąż! Nie chciał jej o nic pytać. Ale nawet jeśli nie była mężatką, dekada to szeroka szczelina do przeskoczenia.

– Na otchłań, postarzałeś się. – Styke aż podskoczył. Ibana stała w drzwiach, przyglądając się krytycznym okiem jego nagiemu ciału.  
– Nie pamiętam, żebyś był taki pomarszczony.

No tak. Oczywiście, miała rację. Nie musiał się nawet upewniać, bo wiedział. Więdący, cały w bliznach, wyglądał jak pomidor, beztrudnie wystawiony na działanie słońca. Nie pamiętał, by kiedykolwiek zawracał sobie głowę swoim wyglądem.

– A ty ciągle wyglądasz bardzo dobrze – powiedział.

– Tylko nie próbuj słodkiej gadki.

– Ja tylko stwierdzam fakt. Wszyscy się starzejemy. Ty znacznie lepiej ode mnie.

– Jasne. Ale ty zaczynałeś jako przystojniak.

– To chyba nam się wyrównało.

– Pod tym względem, pewnie tak. – Ibana odchrząknęła, odpluła flegmę do nocnika po drugiej stronie pokoju. – Ale pod każdym innym musisz sporo nadrobić. Powiedziałaś, że to, co dotknęło mojego starego, nie miało dotyczyć Fidelisa Jesa. I że wydostałaś się z obozu bez uciekania się do gwałtu.

Styke się skrzywił. Miał zamiar wszystko jej powiedzieć. Owszem. Kiedyś.

– Myślałem, że zapomnisz.

– O, na pewno nie. Mów, o co w tym wszystkim chodzi. I niczego nie pomini.

Zaczął opowieść. O przesłuchaniu w sprawie zwolnienia warunkowego, o Tampie, dołączeniu do Strzelców Wyborowych. O ludziach-smokach, Dynizyjczykach i Palo. Mówił tak długo, aż od tego ochrypl. Ibana słuchała go, stojąc, ani drgnęła.

Skończył. Poszukał wzrokiem spodni. Okazało się, że nowiutkie wiszą obok toaletki.

– Ta dziewczynka... jest twoja?

Tym razem to Styke zamarł, na jednej nodze, z drugą zaplątaną w spodnie.

– Celine?

– Tak. O nią pytam.

– Można tak powiedzieć. Nie ma nikogo oprócz mnie.

Nie podobał mu się ton głosu Ibany. Podciągnął spodnie, zapiął pas.

– Ale nie zostałeś jej ojcem. W obozie?

– Nie. Jest córką złodzieja, który zginął w wypadku podczas osuszania bagien. Gdzie ona jest?

– Na dole – odparła znacznie łagodniej. – Gra. Gracz mówi, że byłaby tylko kilka lat młodsza od jego córek... gdyby przeżyły wojnę. Miękki jest.

Styke odetchnął z ulgą. To, że po wszystkim, co zaszło, Celine jest blisko, bezpieczna, było równie pocieszające jak posiadanie sprawnej dłoni. Spojrzał na Ibanę. Uśmiechała się dziwnie, stała swobodnie i już nie krzyżowała ramion na piersi, jakby była

zadowolona, że Celine nie jest krwią z jego krwi. Jak gdyby jej zależało, żeby nie była. Przejmowała się tym i to w jakiś sposób przynosiło Styke'owi satysfakcję.

– Niezła ta twoja historyjka. I co teraz?

– Nie wiem – przyznał szczerze. Nie podobał mu się ten uśmieszek Ibany. Oznaczał, że ona już wie, jak skończy się ta rozmowa. Mało komfortowe. – Mam teraz dwóch panów. Tampę i lady Krzemień.

– Jesteś im coś winien?

– Tak, Tampie jestem winien wolność. A lady Krzemień... – Zawahał się. Nie był pewien, co jej zawdzięcza. Dała mu pracę, jakiś cel, do którego mógł dążyć, a fakt, że miał jednak poczucie winy, bo podszedł ją, do pewnego stopnia oszukał, mówił sam za siebie. – Lubię generał Krzemień. Lubię Olema i w ogóle Strzelców Wyborowych. Ostrzegli mnie, że Czarne Kapelusze złapały mój trop.

– Więc masz zobowiązania.

– Mam. – Styke czuł się rozdarty. Nie mógł wrócić do strzelców, nie miał kontaktu z Tampą, a nawet gdyby miał, na co by mu się przydał teraz, kiedy trafił na czarną listę Czarnych Kapeluszy? Najlepiej zrobiłby, gdyby po prostu znikł. Nic nie broniło im obojgu, jemu i Celine, by ruszyli na północ. Zawsze mogli zaokrętować się na statek do Gurli albo do Dziewięciu. Kilka tygodni i byłby poza zasięgiem Fidelisa Jesa. Zniknąć... To też byłaby swego rodzaju zemsta, dobra zemsta. Wielki mistrz leżałby bezsennie po nocach, czekając, kiedy z ciemności wyłoni się dłoń z nożem, kiedy ostrze przebije mu serce, a on w tym czasie spałby sobie spokojnie pół świata dalej.

– Nie wspomniałeś o innych długach wdzięczności.

Uniósł brwi.

– Innych? – zdziwił się. – Jakich?

– Mam w garści twoją dupę. I nie tylko ja.

– O czym ty mówisz?

Ibana podeszła do niego blisko.



– Zapomniałeś o swoich ludziach, siedzących tam na dole? Czarne Kapelusze zaatakowały cały twój korpus oficerski, wszystkich, którzy jeszcze żyją. Zrujnowali ich, spalili biznesy i domy, skatowali prawie na śmierć.

Styke poczuł, jak serce mu się ściska.

– Nie mam... nie mam im nic do zaoferowania.

– Patrz na mnie! Nie odwracaj oczu! Bo złamię ci nos, a potem zabiorę się za palce! Twoi ludzie chętnie oddaliby za ciebie życie! I nie mów mi, że jedyne, co potrafisz, to wbić wzrok w podłogę i uzalać się nad sobą! Dasz im coś, co dla nich jest ważne, choćby miała to być jedna, ostatnia szarża po chwałę i śmierć! Na otchłań, jesteś przeklętym Szalonym Benem Stykiem!

– Szarża?! A na kogo mielibyśmy szarżować? Tym razem nie ma żadnego wielkiego imperium, próbującego wykopać drzwi do naszych domów.

– Czarne Kapelusze – powiedziała, tak po prostu.

– Czarne Kapelusze. Tak. – Styke skinął głową i nagle uniósł rękę. Dotarło do niego echo jego własnych słów. – Żadne wielkie imperium... – powtórzył i spojrzał Ibanie wprost w oczy. – Dynizyjczycy! Coś się dzieje u Dynizyjczyków! Nie mam pojęcia co, ale z ludźmi-smokami tu, w Landfall, oni muszą planować coś groźnego.

– Ludzie-smoki – powtórzyła. – Więc mamy już dwie armie, na które możemy uderzyć.

Serce Styke'a wyrywało się do walki. Szaleni Lansjerzy znowu razem, gotowi walczyć ze wszystkim, co świat rzuci przeciw nim. Tydzień temu... o, na otchłań!... zaledwie godzinę temu sama ta myśl wydawałaby mu się niedorzeczna. Teraz już się taką nie wydawała.

– To chyba sporo mamy tych wrogów.

– Jakoś nigdy nam to nie przeszkadzało.

– Co z naszymi zbrojami? – zainteresował się Styke. – Ostatnie, co słyszałem, to że Lindet zamierzała je zniszczyć.

– To dokładnie jak ja. – Ibana skrzywiła się kwaśno.

– Magiczne pancerze są bezcenne. Nie zniszczyłyby ich.

– Cała Lindet – rzuciła z przekąsem.

Skinął głową. Słowa Ibany coś mu powiedziały. Sięgnął po nóż, nie znalazł go przy pasie, przypomniał sobie brzęk, z jakim ostrze upadło na bruk dziedzińca na zakończenie przegranej walki z Jesem. Ibana dostrzegła jego gest.

– Odzyskam go – zapewnił ją. Podszedł do drzwi, przystanął, bo wpadł na lepszy pomysł, ruszył do okna, otworzył je i wyjrzał na ulicę. Nie był gotów na spotkanie z dawnymi przyjaciółmi, oficerami Szalonych Lansjerów. Jeszcze nie teraz. Zaczął wyłazić przez okno.

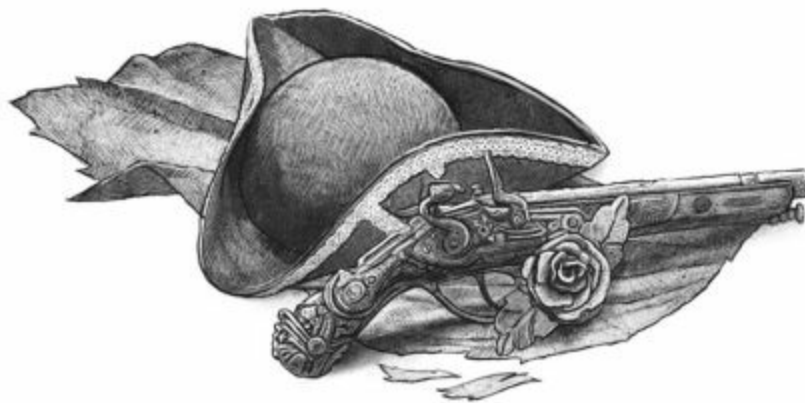
– A ty co? – zdumiała się Ibana.

– Czekać tu na mnie, nie rozchodźcie się – nakazał, zamiast odpowiedzieć. – Jeśli będziecie musieli gdzieś się przenieść, choćby z powodu Czarnych Kapeluszy, zostawcie mi wiadomość u babci Sender.

– Dokąd to, Styke?

Pamiętał, co Jes wyszeptał mu, gdy wywożono go na taczkach. „Nie mogę cię zabić. Ona na to nie pozwala”.

– Już dawno – powiedział – powinienem był pogadać z kimś, kto trzyma Fidelisa Jesa na smyczy.



## 43 ROZDZIAŁ

**M**ichel wbiegł po schodach do Kapelusznictwa. Na łańcuszku u szyi miał Złotą Różę, podskakującą mu na piersi w rytm kroków. Ociecił dłonią twarz przed promieniami zachodzącego słońca, dopiero teraz uświadomił sobie, że zostawił melonik na biurku w swoim nowym gabinecie. Uznał to za kiepski omen. Nie od tego powinien zaczynać urzędowanie na nowym stanowisku dowodzenia.

Słowo „dowodzenie” dziwnie brzmiało mu w uszach, było takie wojskowe i oficjalne, różne od wszystkiego, do czego przywykł, ale po nocy i prawie całym ranku spędzonych na nauce nowego zakresu obowiązków musiał przyznać, że w przypadku Złotych Róż idealnie pasowało do rzeczywistości. Srebrne Róże stały tylko o stopień niżej od Złotych, ale było ich wiele, a on zawsze pozostawał w cieniu, pracował sam, a rangę wykorzystywał, tylko gdy potrzebował ochrony albo gdy z kimś należało obejść się nieco brutalniej.

Parę dni temu sam pomyślał, że ma komenderować kilkudziesięcioma Żelaznymi Różami, był dla niego nowością, i to niezbyt mile widzianą. Teraz miał dowodzić przeszło sześciuset

Różami wszystkich szczebli oraz prowadzić poszukiwania Benjamina Styke'a i oddziału rozwścieczonych weteranów.

– Jak trudno będzie znaleźć tak mniej więcej trzystu zaawansowanych wiekiem kawalerzystów? – spytał siebie.

– Nie wiem – odpowiedział z sarkazmem. – Może po prostu wyjdiesz na ulicę i popytasz przechodniów, czy nie widzieli gdzieś szwadronu lansjerów, od których cała armia Kezu dostawała zbiorowych dreszczy.

– Minęło dziesięć lat. Co oni mogą?

– O to spytaj strażników tego obozu, który podpalili wczoraj.

Michel przetarł zmęczone oczy. Nie będzie prowadził poszukiwań sam, o nie! Ponad dziesięć tysięcy Czarnych Kapeluszy i dwukrotnie więcej funkcjonariuszy policji miejskiej już przeczesywało ulice. Zastanawiał się, dlaczego, na otchłań, dostał takie pierwsze zadanie, ale przypomniał sobie, jak wyglądał i jakim błędnym spojrzeniem patrzył na niego Jes, kiedy mu je zlecał. Wszystkie Złote Róże i wszyscy, którzy pod nimi służyli, otrzymali ten sam rozkaz: znaleźć Benjamina Styke'a.

Zastanowił się przelotnie, jakie zadanie dostanie jako drugie, kiedy sprawa Bena Styke'a odejdzie w przeszłość. Tak naprawdę potrafił przecież tylko jedno: szpiegować. Może Jes pozwoli mu zorganizować Czarne Kapelusze-szpiegów i rozpocząć program ćwiczeń z prawdziwego zdarzenia? Sporo czasu poświęcił na marzenia, na wyobrażanie sobie, jakie to zmiany wprowadzi, gdy będzie miał wystarczająco wiele władzy. Nagle marzenia te stały się o wiele bardziej realne.

Dać mu zarządzać informacją, a mógłby rzucić całą organizację na kolana.

Michel mocno uderzył się w twarz, ból przywołał go do rzeczywistości. Nadal nie udało mu się zamknąć prawdziwego Michela w szkatułce. Czuł, jak od czasu do czasu przesącza się on na powierzchnię. Musi się skupić, musi być Złotą Różą, zachowywać się jak Złota Róża i myśleć, jak tylko Złota Róża potrafi.

Musi dopasować się do otoczenia i robić swoją robotę.

Tylko że w tej chwili nie była to już kwestia pracy i oczekiwania. Taniel dał mu zadanie. Musi znaleźć te tak zwane boskie kamienie.

– Panie? – odezwał się pełen szacunku głos. Michel odwrócił się szybko. Na umocnienia wszedł agent Warsim. Obecny był podczas mniej więcej dwóch trzecich szkolenia, które przeszedł Michel, bo też dostał awans: był oficjalnym zastępcą Bravisa, a na piersi nosił dumnie swoją nową Srebrną Różę. Skinął głową zwierzchnikowi z wielkim szacunkiem. – Nie spodziewałem się ciebie tu znaleźć, panie.

– Ja tylko... hmmm... – Michel patrzył w dół, na dziedziniec i na miotające się po nim Czarne Kapelusze, ładowane i rozsyłane we wszystkich kierunkach wozy więzienne, ludzi spieszących z raportami. Nie mógł przecież powiedzieć, że uciekł tu, żeby pogodzić jakoś różne strony swojej osobowości. – No, pomyślałem, że poprzyglądam się chwilę temu chaosowi. – Przysłonił dłonią oczy. Spytał siebie, czy kiedyś jeszcze będzie mu dane dobrze się wypaść. Dziś spał dwie godziny, zaraz po tym, jak Dellina skończyła wtajemniczać go w obowiązki.

– Zebrałem Różę, jak kazałeś, panie.

– Kazałem? Ach tak. Doskonale. Mamy szukać Styke'a, prawda?

Warsim przestąpił nerwowo z nogi na nogę. Nie wiedział, skąd to pytanie. Dziwił się.

– Tak, oczywiście, panie.

– Świetnie. Gdzie mamy go szukać?

– No... no chyba wszędzie, panie.

– Miałem na myśl nas. Gdzie my mamy go szukać.

Warsim musiał zastanowić się nad sensem tego pytania.

– No... wszędzie, panie.

Michel otworzył usta i zaraz zamknął je bez słowa.

– Hmmm... – Warsim nie był idiotą, co to, to nie, ale nigdy nie wydawał się Michelowi człowiekiem o wybitnej inteligencji. Awans na Srebrną Różę zawdzięczał szczęściu czy też raczej osobistej prośbie Michela. Potrzebny był mu ktoś, kogo znał względnie dobrze, kto nie będzie zadawał pytań ani wykazywał przesadnej

inicjatywy. – Dobrze, spytam cię tak: gdzie szukają inni? Zaczniemy od eliminacji tych miejsc.

– Obawiam się, że te poszukiwania nie są zbyt skoordynowane. – Warsim przyniósł ze sobą grubą teczkę i teraz zaczął ją przeglądać. – Rewident Britt wysłał swoich ludzi na przeszukanie tych wszystkich miejsc, w których Styke zwykł się kiedyś pojawiać. A także na przeszukania u jego znanych towarzyszy i przyjaciół. Poza tym... – Wzruszył ramionami.

– Czyli mamy przekłete „każdy sobie rzepkę skrobie”?

– Tak, panie.

Michel obrócił się i przewrócił oczami tak demonstracyjnie, że aż go zabolęły. Po tej stronie globu nie było organizacji, której ludzie bardziej by się bali, i oto ta organizacja rozpadała się w proch i pył, bo Fidelis Jes poczuł się niedysponowany. Rewident Britt był najstarszą stażem Złotą Różą, miał pod sobą dwa tysiące funkcjonariuszy, więc wziął na siebie najłatwiejsze zadanie. Wszyscy inni kręcili się w kółko, każdy z nadzieją, że to on pierwszy dopadnie Styke’a, czym zapewne zyska sobie wdzięczność wielkiego mistrza i samej Lindet.

Michel zyskał właśnie potwierdzenie podejrzeń, że hierarchia obowiązuje nawet wśród Złotych Róż. Wcale mu się to nie podobało.

– Prawdopodobnie nie będę mógł jednak robić, co mi się podoba – mruknął do siebie.

– Słucham, panie?

– Nie, nic.

Michel poczuł wielką pokusę, by znów zdzielić się w pysk. Musiał się skupić. Mógł być Złotą Różą i osiągnąć ten prawdziwy cel. Jeśli nie mógł, to wszystko, co zrobił do tej pory, było nonsensem i stratą czasu. Znów patrzył na chaos na dziedzińcu, próbował ułożyć coś w rodzaju planu.

– Byłeś żołnierzem, prawda? – spytał Warsima.

– Tak jest, panie. Major w piechocie, zaraz po wojnie.

– Rozumiesz walor musztry, wiesz, co to szyk, manewr, zalety postępowania według wzorca, mam rację?

Warsim znów przestąpił niepewnie z nogi na nogę.

– No... chyba tak, panie.

– Świetnie! Bo ja się na tym za otchłań nie znam. Zabierz naszych ludzi do doków. Tam jest mnóstwo miejsc, w których można się doskonale ukryć. Przeszukajcie każdy cumujący w porcie statek. Chcę dostawać codzienne raporty z poszukiwań.

– Tak jest!

Warsim zabierał się do odejścia, ale Michel go zatrzymał.

– Jeszcze jedna sprawa...

– Tak, panie?

– Jak myślisz, ilu ludzi zostało tu, w Kapelusznictwie?

Michel widział, jak z dziedzińca odjeżdżają ostatnie wozy, a za jednym z nich idzie samotna Żelazna Róża.

– Praktycznie to nikt nie został. Wszyscy szukają Styke'a.

– No tak. To do roboty.

Przygryzając policzek, Michel odprowadził wzrokiem Warsima zbiegającego po schodach na dziedziniec, a potem wypadającego na ulicę. On sam mógł pójść na dół i objąć osobiste dowództwo nad poszukiwaniami. Pozostałe Złote Róże z pewnością to właśnie uczyniły. Mógł skorzystać z okazji, odpocząć, spróbować przetrwać i jakoś poukładać to wszystko, czego dowiedział się w nocy od Delliny, a wśród tych informacji były też sekrety stanu, które z pewnością bardzo spodobałyby się Tanielowi; połowę z nich już zdążył zresztą zapomnieć.

Mógł wreszcie przeczekać aferę z poszukiwaniami Styke'a. Umacniać swą pozycję wśród Złotych Róż. Stać się człowiekiem zaufanym i niezastąpionym w stopniu pozwalającym mu po prostu polecić przekazanie sobie wszystkich sekretów, które będzie miał kaprys poznać.

Kapelusznictwo było praktycznie puste. Panujący w nim chaos dawał mu czas – od tej chwili do pierwszego raportu Warsima – na robienie cokolwiek zechce.

Co tam, na otchłań! Michel miał wielką ochotę zrobić coś naprawdę niebezpiecznego.



Archiwum Kapelusznictwa składało się z dwóch części. Pierwsza była praktycznie prywatną biblioteką Czarnych Kapeluszy. Tu przechowywano akta spraw kryminalnych, zbiory przepisów prawa miejskiego, kopie raportów policyjnych i setki innych tego rodzaju informacji. Dostęp do niej miały wszystkie Brązowe Róże i wyżej, o każdej porze dnia i nocy. Zajmowała ona trzy kondygnacje zachodniego skrzydła Kapelusznictwa i teoretycznie zatrudniała sześciu bibliotekarzy, ale Michel często spędzał tam cały dzień, nie spotykając żywego ducha.

Druga część archiwum znajdowała się na czwartej kondygnacji. Dostęp do niej dawała wyłącznie jedna wąska klatka schodowa, ulokowana w kącie archiwum właściwego. Wstępu na klatkę broniły grube żelazne drzwi.

Michel wszedł do archiwum z parteru. Ruszył na górę. Spotkał dwóch bibliotekarzy i trzy Czarne Kapelusze, ale specjalnie postarał się nie rzucać im w oczy. Dotarł na drugie piętro bez wypadku, ale ręce mu się trzęsły i już zaczynał się zastanawiać, co w niego wstąpiło.

– Jesteś szpiegiem, Michelu – mruknął do siebie. – Pozbieraj się.

– Wolno mi się denerwować, jeśli chcę.

– Oj, zamknij gębę. Trzęsiesz się cały, jak kiedy pierwszy raz odciąłeś kupcowi sakiewkę od pasa. To, co zamierzasz, to drobiazg. Poradzisz sobie.

– Poradzę sobie? Bo jeśli mnie złapią, to nie za kradzież kieszonkową. Będą mnie torturować, a potem zabiją.

– Nie, durniu. Jesteś Złotą Różą. Twoje prawo tu być. To twoje właściwe miejsce.

Podczas nocnej odprawy Dellina wspomniała mu o archiwum zamkniętym. Bardzo krótko, powiedziała tylko tyle, że można było z niego korzystać wyłącznie w razie konieczności i że ktoś go po nim oprowadzi, kiedy skończy się cała ta afera Styke'a.



- A jeśli ktoś zapyta, co masz tu do roboty, co mu powiesz?
- Coś wymyślisz. Do tej pory zawsze ci się udawało.
- To straszny plan.
- I kto to mówi?
- Powinieneś być poczekać – szepnął.
- Tchórz!

Michel podszedł do drzwi klatki schodowej, prowadzącej na wyższe piętro. Po drodze mijał rzędy wysokich regałów, na których leżały skrzynie i kartonowe pudła, mieszczące w sobie wszystkie sekrety Landfall. Przy bramie przykląkł, żeby dokładnie obejrzeć jej zamek.

Nie była to najprostsza z konstrukcji. W półkolistym wgłębieniu widniało siedem falistych linii, każda będąca zapewne wlotem do osobnego mechanizmu. Całość zamka wyglądała tak solidnie, że nawet wybuch prochu mógł nie dać mu rady. Jego osłoną była polerowana stal. Sprawdził zawiasy. Ani drgnęły pod naciskiem.

– Gdybym lubił się zakładać, założyłbym się, że te drzwi są dodatkowo zabezpieczone.

- Nie chcę mieć nic wspólnego z magią – odpowiedział sobie.
- Jasne.

Przykląkł raz jeszcze, chwilę przyglądał się zamkowi, zmarszczył brwi. Te siedem falistych linii wydało mu się nagle jakoś znajome. Lekko dotknął ich palcem. I wtedy uświadomił sobie, że wyglądają jak odciski Róży.

Przyjrzał się swojemu medalionowi. Miał pośrodku wybrzuszenie, którego brakowało Srebrnej. Wziął medalion w dwa palce i Różą naprzód włożył we wgłębienie.

Przekręcił.

Rozległy się trzaski mechanizmu, a potem dźwięk stali uderzającej w stal. Drzwi otworzyły się od lekkiego pchnięcia palcem.

- To – szepnął do siebie Michel – było wręcz idiotycznie łatwe.

Zostawił drzwi uchylone. Wszedł na trzecie piętro. Dopiero już będąc w archiwum, uświadomił sobie najważniejszą niedoskonałość

planu.

Archiwum zamknięte było równie wielkie jak zwykle, na każdym jego poziomie. Była to długa sala o sklepionym suficie i wysokich oknach, wpuszczających promienie południowego słońca; tańczyły w nich drobiny kurzu. Dziesiątki rzędów regałów ciągnęły się na co najmniej sto stóp. Miał do przeszukania tysiące pudeł, książek i teczek. Robota na wiele miesięcy.

Tylko dlatego, że Taniel chciał coś wiedzieć o jakichś boskich kamieniach.

Michel przejrzał zawartość najbliższych regałów. Szukał wskazówek dotyczących systemu katalogowania z nadzieją, że ktokolwiek prowadził te archiwa, stosował wzór znany z archiwum otwartego. Nie znalazł niczego użytecznego.

Przespacerował się między półkami, postukiwał palcami to w jakieś pudło, to w okładkę książki. Ciągle miał nadzieję, że dostrzeże coś przydatnego. Zdejmował przypadkowe pudła, otwierał je, wyciągał z nich oprawne w skórę notesy i pojedyncze kartki wydające się nie mieć żadnego związku z niczym. Zachowywał przy tym wyjątkową ostrożność. Pewien rękopis na welinowym papierze wyglądał jak nowy, ale kartonowa wizytówka rozpadła się w proch pod dotknięciem palca.

Kichnął, rozrzucając ten proch w zasięgu dwóch rzędów.

– Nic z tego nie będzie – powiedział do siebie.

Ruszył sąsiednim rzędem. Był jednocześnie zaniepokojony i przerażony. Słyszał, jak głośno bije mu serce, ani na chwilę nie zapomniał o otwartych drzwiach piętro niżej i niesprecyzowanych konsekwencjach, które miałyby ponieść, gdyby go tu złapano.

– Pamiętaj – powiedział do siebie – jeśli ktoś cię znajdzie, udawaj, że masz wszelkie prawo tu być. Ludzi rzadko interesuje ktoś, kto wygląda, jakby wiedział, co robi.

Wypróbował tę teorię wielokrotnie, ale z jakiegoś powodu to miejsce wydawało mu się tabu i obawiał się, że jego blef może nie zadziałać. Sam fakt, że nie wiedział, czy wolno mu tu przebywać, już nieźno szarpał nerwy.

Odnalazł wreszcie coś w rodzaju katalogu na samym końcu sali. Kwadrans zajęło mu rozszyfrowanie, jak jest uporządkowany, a kolejny znalezienie tego, czego szukał. Każdą następną minutę ogłaszał donośny dźwięk przeskakującej wskazówki zegarka w kieszonce i kolejne szybkie, nerwowe spojrzenia w stronę schodów.

Znalazł jeden wolumin zatytułowany „Boskie kamienie”. Otworzył go, przekartkował i podupadł na duchu.

Cała ta przeklęta księga napisana została w starodelivijskim. Pismo rozpoznawał, ale nie potrafił przeczytać ani słowa.

Zajrzał na stronę tytułową. Zastanawiał się, czy zaryzykować kradzież woluminu – Taniel zapewne szybko znalazłby tłumacza – czy może przekopować kilka pierwszych kart?

– Halo? – Głos przepłynął między regałami, odbił się echem od sklepionego sufitu. – Ktoś tu jest?

Michel odetchnął głęboko kilka razy dla uspokojenia skołatanych nerwów. Już wiedział, czego szukać. Mógł tu wrócić później. Zamykał księgę powoli, ostrożnie, już miał odłożyć ją na miejsce, kiedy nagle jego uwagę przykuł napis ołówkiem na pierwszej karcie. A dokładniej, liczba, i to nie w delivijskim zapisie matematycznym, lecz kresjańskim. Wyglądało to na adres. Obok widniały dwa wyrazy: „Znalazłem to”.

Zapamiętał adres, wsunął księgę na miejsce, wygładził marynarkę.

– Halo? – Głos stał się bardziej nerwowy. – Przed wejściem do górnego archiwum trzeba się wpisać. Muszę donieść wielkiemu mistrzowi.

Michel miał ochotę wyjść z za regału, błysnąć Złotą Różą, ale natychmiast odrzucił ten pomysł. Przeszedł do końca rzędu, ostrożnie się wychylił. Zobaczył starą, skrzywioną kobietę, postukującą laską w podłogę. Odliczył jej kroki, po czym przebiegł między regałami w stronę schodów tak, by nie mogła go widzieć. Zbiegł na dół. Za sobą słyszał wołanie: „Hej! Ty! Stój!”.

W chwilę później był już na dole. Kolejne dwa piętra i archiwa miał za sobą. I tym razem udało mu się nie spotkać ani archiwistów, ani użytkowników. Prędko dotarł do swojego gabinetu, serce mocno waliło mu w piersi. Przede wszystkim chwycił pióro i kartkę. Zapisał adres, zanim zdążył go zapomnieć, a potem siedział, wpatrując się w niego i usiłując myśleć.

Czy jest to miejsce przechowywania boskich kamieni? Może magazyn? Przeznaczony na magiczne przedmioty?

Rozległo się pukanie. Michel podskoczył tak gwałtownie, że aż przewrócił się do tyłu razem z krzesłem. Pozbierał się jakoś, pomasował obolałą potylicę, podszedł do drzwi, uchylił je odrobinę.

Ku swej wielkiej uldze zobaczył Warsima.

– Panie – powiedział jego zastępca – mam pierwszy raport.

– Znaleźliście coś?

– Nie.

– Więc po co dajesz mi tę teczkę?

– To raport, panie.

– Zdaje się, że powiedziałaś, że niczego nie znaleźliście?

– Bo nie znaleźliśmy.

Michel wziął od Warsima teczkę. Otworzył ją, w środku tkwiła pojedyncza kartka z napisem „nic do raportowania”, datą i godziną. Aż przewrócił oczami.

– Na Adoma! – wybuchnął. – Jak ja nienawidzę biurokracji! Może tak raportowałbyś, kiedy coś znajdziecie!

Zatrzasnął drzwi przed nosem agenta, ustawił krzesło przy biurku, usiadł na nim ciężko i czekał. Uspokoił się dopiero po kilku minutach. Jeszcze raz przeczytał adres, mrużąc coś pod nosem.

Nie miał nic lepszego do roboty, niż sprawdzić, co to za adres.



## 44 ROZDZIAŁ

Aż do zmierzchu Styke nie wychylał nosa na ulice małego miasteczka, położonego siedem mil wprost na zachód od Landfall. Nosilo nazwę Szada. Kiedy był mały, Szada, daleka, senna, odizolowana od płaskowyżu, służyła za przystanek na szlaku pocztowym do Redstone. Dziś mieszkało tu trzy razy więcej ludzi, choć ciągle było ich mniej niż tysiąc. Szada pod każdym praktycznym względem stała się przedmieściem Landfall.

Opuścił jej granice po zachodzie słońca. Ruszył na północ bagnami. Świadom niebezpieczeństwa stawiał kroki powoli, ostrożnie, polegając na wyćwiczeniu, pozwalającym uniknąć pułapek rozmięklej ziemi. Prowadziło go doświadczenie i stare wspomnienia. Miał na sobie ciemny, plamisty płaszcz z kapturem nałożonym na głowę, od Ibany pożyczył nóż. Nie zastanawiał się, czy będzie go musiał użyć przed końcem nocy, tylko ile razy.

Kiedy wreszcie dostrzegł dalekie światelka, noc była już czarna jak smoła. Znał ich źródło na długo, zanim dotarł do rozłożystego, ponurego ceglanego dworu, pełniącego straż nad bagnami. Z bliska

światła okazały się być płonącymi świecami, rozmieszczonymi w regularnych odstępach w oknach dworu.

Wierzbowego Dworu.

Pod stopami miał twardą ziemię. Dotarł do miejsca, w którym zaczynały się wypielegnowane trawniki otaczające Wierzbowy Dwór ze wszystkich stron. Styke przekradał się na ugiętych nogach, wykorzystując cień drzew, które dały dworowi jego nazwę, i ukrywające go przed niepowołanymi oczami rzędy żywopłotów. Ruchome światła latarni identyfikowały strażników lady kanclerz. Przez ponad godzinę Styke tylko czekał i obserwował, liczył ich kroki, opanowywał wzór patroli, nim zaryzykował i podkradł się pod mur.

Wierzbowy Dwór był mroczny, złowrogi, nawet światło świec w oknach sprawiało wrażenie odległego i zimnego. Wydawało się, że w środku nie ma nikogo, ani samej lady kanclerz, ani jej służby. Niepokojące. Styke pomyślał, że Lindet mogła akurat tę noc spędzać w mieście. Choć przecież nie miało to żadnego znaczenia.

Postanowił zostawić wiadomość i zostawić wiadomość.

Wszedł do dworu przez boczne drzwi powozowni. Mijał wyściełane słomą boksy koni pociągowych, dłonią przesunął po wilgotnych chrapach; łby wyciągały się ku niemu na powitanie. Minął ostatniego, tupnął, przykucnął i kierując się pamięcią oraz dotykiem, namacał żelazny pierścień.

W chwilę później był już dziesięć stóp pod powierzchnią gruntu. Szedł po omacku niskim, wilgotnym tunelem prowadzącym do części mieszkalnej dworu. Wyszedł z niego przez podobną klapę, ukrytą za beczką soli w spiżarni. Przemknął obok chrapiącego głośno kucharza. Poczuł, jak serce mocniej bije mu w piersi. Wyjął z kieszeni pożyczony nóż.

Niewielu ludzi trzyma kucharza na służbie w środku nocy, ale nocna przekąska była jedną z niewielu życiowych przyjemności, na które pozwalała sobie Lindet.

Więc jednak była w domu.

Wspiął się na piętro, stąpał jak najlżej, omijał co głośniejskrzypiące stopnie. Świece w oknie rzucały słaby, drżący blask jemu pod nogi i na balustradę, ukazując pokryte dziełami sztuki ściany i staroświeckie kolumny z popiersiami dawno zmarłych filozofów i świętych. Dekoracja Wierzbowego Dworu zawsze była taka, nieostentacyjna. Styke poczuł, jak w jego sercu rodzi się nostalgia.

Korytarz doprowadził go do głównej sypialni. Drzwi były uchylone. Odczekał chwilę, zacisnął dłoń na rękojeści noża i pchnął je delikatnie.

Pokój pozostał dokładnie taki, jakim go pamiętał: nieprzyzwoicie wielki, miał ściany wyłożone boazerią płytową z cennego drewna, pośrodku stało gigantyczne łóżko, mające z obu stron nocne szafki, a pod oknem głęboki fotel z zagłówkiem. Lampka obok fotela paliła się niskim płomieniem. W ciemności wisiał czerwony ogienek żarzącej się cygaretki. W fotelu ktoś siedział, Styke widział, jak cień się porusza. Szczupła dłoń podkręciła płomyk lampki.

– Witaj, Ben.

Uderzyło go, że Lindet straciła przede wszystkim cały urok kobiecości i młodości. Wychudła, i choć miała zaledwie trzydzieści trzy lata, czas przekuł jej ciało w twarde żelazo. Nosila okulary, rzucające cień na jej twarz. Karnację miała naturalnie bladą, pasującą do włosów jak złoty jedwab, wargi wąskie i mocny, wysunięty podbródek. Nawet w nocnej koszuli promieniowała spokojem i wyższością, Styke czuł przez chwilę przemożną ochotę, by przeprosić ją za zakłócanie nocnego spokoju i po cichutku wyjść.

Ale wszedł do środka i zamknął drzwi ostrożnie, żeby nie trzasnęły.

– Lindet.

Prywatnie ludzie lubili rozmawiać o jej oczach, błękitnych jak niebo w spokojny dzień, a ci, którzy znali ją lepiej, przysięgali, że w ich głębi płonie prawdziwy ogień. Dla jednych była to magia, dla innych obraz dalekosiężnych ambicji. Odbicie światła lampy w szklach okularów podkreślało ich niezwykłość, jakby tańczył w nich płomyk.

Styke dostrzegł, że przez podłokietnik fotela przewieszona była coś, co dobrze znał.

Jego spłowiła żółta kawaleryjska kurta. Ta kurta, którą oddał sekretarce Jesa przed pojedynkiem. Lindet ścisnęła ją lewą ręką tak kurczowo, że aż pobieleły jej kostki palców, i tylko one zdradzały, że przeżywała jakieś emocje. Styke pragnął teraz skrócić dzielący ich dystans. Jedno cięcie, plama szkarłatu, odpłata za dziesięć lat, spędzonych samotnie w obozie pracy w zamian za wszystkie jego wysiłki i całą pomoc, której udzielił lady kanclerz, by mogła wywalczyć niepodległość Fatrasty. Ale nie, obszedł tylko pomieszczenie dookoła, sprawdził łóżko i szafy, zyskał pewność, że nigdzie nie kryje się zabójca, że jest z Lindet sam na sam.

Lady kanclerz nie spuszczała z niego wzroku. W całej ogromnej sypialni poruszał się tylko płomyk, tańczący za zasłoną jej okularów i – z rzadka – pierś w rytmie oddechu. Walek popiołu na końcu cygaretki stawał się coraz dłuższy.

– Zarządziłaś moją egzekucję – przerwał milczenie Styke.

Lindet odczekała chwilę, nim odpowiedziała pytaniem.

– Kto ci to powiedział?

– A kto inny mógł ją zarządzić?

– Jak ja to rozumiem, odmówiłaś wykonania rozkazu. Nie musiałam niczego zarządzać. Moi oficerowie postępowali zgodnie z regulaminem, według którego zbuntowanych pułkowników stawia się przed plutonem egzekucyjnym.

Styke niezbyt dobrze pamiętał ten dzień: krzyki, błyskawiczne rozbrojenie Szalonych Lansjerów pod jakimś fałszywym pozorem i to, jak go od nich oddzielili i od razu przywiązali do pała. Nie bronił się wtedy, kto potrafi przewidzieć, że będzie walczył z sojusznikami? A kiedy wszystko stało się jasne, było za późno. Na miejscu był Fidelis Jes. Przyprowadził ze sobą bardzo wielu ludzi.

– Nic nie działo się i nie dzieje bez twojego przyzwolenia. A już z pewnością dotyczy to mojej egzekucji.

Lindet zbyła tę konstatację prychnięciem.



– Nie jestem wszechwiedząca. A ty odmówiłeś wykonania bezpośredniego rozkazu.

– Więc nie kazałaś mnie zabić?

– Nie.

Styke bawił się nożem od Ibany.

– Jakoś ci nie wierzę – oznajmił.

– To już nie mój problem.

– A powinien być twój.

Lindet spojrzała na nóż i wreszcie zdusiła cygaretkę w stojącym obok lampy cynowym kubku. Odetchnęła głęboko, jakby był to po prostu nieprzyjemny temat.

– Informację o tym, że odmówiłeś wykonania rozkazu, odebrałam o drugiej czterdzieści siedem. O drugiej pięćdziesiąt sześć wysłałam posłańca z nakazem wstrzymania egzekucji. Posłaniec dotarł na miejsce po drugiej salwie. Zostałeś zabrany z placu apelowego i oddany pod opiekę miejscowego lekarza, który uznał cię za martwego. Trzy dni leżałeś jak trup i gniłeś.

Lady kanclerz wygłosiła tę relację monotonnym głosem, jakby cytowała zapiski z dziennika.

– Ale ja nie umarłem.

– Nie umarłeś. Twoje ciało zobaczyłam najszybciej, jak to było możliwe i...

– Po trzech dniach – przerwał jej Styke.

– Właśnie wygrałam wojnę. Miałam mnóstwo spraw na głowie. No więc twoje ciało zobaczyłam po trzech dniach i bardzo się zdziwiłam, że jednak żyjesz. Trafiłeś pod opiekę lekarza, a potem do Słodkiego Jutra. Twoje nazwisko nie miało wystąpić w aktach, a do wiadomości podano, że nie żyjesz. – Czoło Lindet przekreśliła zmarszczka. – Ale ty żyłeś. Dopilnowałam, żebyś żył dalej. Nigdy nie chciałam, żebyś zginął, Ben.

Styke odwrócił się, obejrzał pokój w chwiejnym świetle lampki. Pamiętał go doskonale. Dziś wyglądał dokładnie tak samo jak niegdyś, nawet zapach był ten sam. Nie miał pojęcia, jakim cudem Lindet to znosi.

– Mam wrażenie graniczące z pewnością – powiedziała lady kanclerz – że nie jestem w stanie dopuścić, byś zginął.

– A ja mam wrażenie, że jesteś w stanie dopuścić, by zginęli bogowie. Jeśli będzie to służyć twym celom. – Styke sam się zdziwił temu, ile kpiny zabrzmiało w jego głosie.

– Bogowie nie mają nic wspólnego ani z tobą, ani ze mną. Ty zawsze sprawiałeś kłopoty. Nie wykonywałeś rozkazów, ignorowałeś wyższych stopniem, chroniłeś moich wrogów i zabijałeś sojuszników. Wszyscy członkowie mojego wewnętrznego kręgu władzy nienawidzili cię jak zarazy, ale żadnemu z nich nie pozwoliłam tknąć cię choćby paluszkami. Chroniłam cię skutecznie, póki Fidelis Jes nie uświadomił sobie tego, co i ja sobie uświadomiłam, że nigdy cię nie zabiję. I przejął inicjatywę.

– Ty mu na to pozwoliłaś. Nie umarłem, ale i tak mnie zabiłaś. Nie, odwołuję, co powiedziałem. Słodkie Jutro było gorsze od śmierci. Zabrałaś mi wszystko, nawet nazwisko. – Palce Styke'a znów zacisnęły się na rękojeści noża.

– Łaska bywa czasami okrutna.

– Podoba ci się takie myślenie, prawda? Lubisz myśleć, że tylko twoja stalowa wola chroni ten kraj przed zagładą i że tylko ty myślisz jasno. To dlatego gnębisz słabych, spychasz na margines biednych, miażdżysz Palo, chcesz więcej władzy.

– Widziałam przyszłość, Ben – powiedziała Lindet cicho. – I tylko dzięki mnie ona może nadejść.

Styke podszedł do lady kanclerz. Oparł rękę na zagłówek fotela, pochylił się, spojrzał jej z bliska w oczy. Odpowiedziała mu zimnym, nieruchomym spojrzeniem. Nie zadrzała i było to znacznie bardziej niepokojące, niż gdyby błagała o życie. Ale taka była Lindet, taka jest i taka zawsze będzie.

Wierzyła we wszystko, co powiedziała.

– Jeden z twoich Uprzywilejowanych mógł mnie przynajmniej wyleczyć.

– Czemu miałoby to służyć? Wojna się skończyła. Szaleni Lansjerzy w jednej chwili stali się kulą u nogi. Mogliśmy pogrzebać

nasze potwory i iść dalej.

– Nie pogrzebałaś Fidelisa Jesa.

– Potrzebowałam go. I teraz też go potrzebuję. Gdybyś pozostał na wolności, zabiłbyś go za to, co ci zrobił.

– Nadal mam zamiar to zrobić.

– Co mi wyjątkowo nie odpowiada. – W jej głosie było tyle irytacji, że Styke omal nie roześmiał się głośno.

– Ale wpuściłaś mnie do domu – powiedział, a Lindet uniosła brwi wysoko. – Wyczuwam zbliżające się straże. Wyczuwam twoich Uprzywilejowanych. To miejsce jest zamknięte szczelniej niż królewska dupa, a jednak mnie wpuściłaś.

– Uznałam, że powinniśmy porozmawiać.

– Zamierzasz zabić mnie, kiedy będę wychodził?

– Przecież mówiłam – zachnęła się Lindet – że nie wierzę, bym była zdolna wydać na ciebie wyrok śmierci.

– Gównu prawda! – nie wytrzymał Styke.

Rozmowę tę odbyli z głowami tak blisko, że ich nosy niemal się stykały, ale teraz Lindet dotknęła piersi Styke'a wskazującym palcem i odepchnęła go delikatnie, lecz stanowczo.

– Pamiętasz tę noc, kiedy zabiłeś naszego ojca? – spytała.

Styke odwrócił się, by ukryć wstrząs. Nie pamiętał już, kiedy po raz ostatni ośmielili głośno przyznać się przed sobą nawzajem, że są spokrewnieni. Przed ćwierć wieku? Może?

– Próbuję nie pamiętać – powiedział zdławionym głosem. – To nie jest szczęśliwe wspomnienie.

– Dla mnie jest – przyznała lady kanclerz. – Miałam trzy i pół roku, a ty ile? Dwanaście lat? Trzyście? Zobaczyłam go stojącego nad ciałem matki i zaczęłam krzyczeć. Miał się zabrać za mnie, w rękę trzymał zakrwawiony nóż. – Mówiła głosem ożywionym, zdyszany, patrzyła gdzieś w dal ponad ramieniem Styke'a, jakby przed jej oczami znów rozgrywała się ta scena z przeszłości. Machnęła ręką w stronę drzwi. – To było tam, na korytarzu. Nie udało mi się sprać z dywanu krwi mamy, nie do końca.

– Powinnaś spalić ten dywan.

– Trzymam go, by mi przypominał, do czego zdolny jest okrutny mężczyzna, jeśli ma władzę. W każdym razie stanąłeś między mną a ojcem. Do dziś pozostaje on najsilniejszym i najbardziej złym człowiekiem, jakiego spotkałam w życiu... A ty go złamałeś. Zwyciężyłeś. Dla mnie. To dlatego nie potrafię cię zabić, bracie.

Styke zacisnął oczy. Przywołał obrazy przeszłości. Po śmierci rodziców porzucili Wierzbowy Dwór. Znikli z ludzkich oczu, zmienili nazwiska, a potem Styke awansował w armii, a Lindet w polityce. Odkupiła to straszne miejsce – nie miał pojęcia, co ją do tego skłoniło – i uczyniła z niego swój dom. Bardzo niewiele osób znało historię domostwa i wiedziało, jakie ma dla Lindet znaczenie.

Szli przez życie różnymi drogami, ale ich losy zawsze jakoś się splatały.

– Nigdy mi nie mówiłaś, że pamiętasz tę noc – szepnął. – Myślałem, że byłaś na to za mała.

– Nigdy mnie o to nie spytałeś.

Styke pamiętał, jak zobaczył upiorną sylwetkę ojca, pochylonego nad ciepłym jeszcze trupem matki, śmierdzącego whisky na dwadzieścia kroków. Lindet stała w drzwiach swojego pokoju, tuliła do piersi pluszowego misia. Krzyczała tak głośno, że obudziłaby służbę, gdyby nie to, że ojciec ją oddalił. Pamiętał, jak ojciec zrobił krok w stronę Lindet, potem drugi, jak wrzeszczał, żeby się uciszyła, żeby milczała, i pamiętał, jak biegł, by go powstrzymać.

Dzieciak naprzeciw wielkoluda. To po ojcu odziedziczył wzrost i siłę. Do dziś miał na ciele blizny po tamtej walce.

Styke schował nóż Ibany do kieszeni.

– Nie wracam do obozu pracy – oznajmił.

– Nie sądziłam, że będziesz chciał wrócić. – Zabrzmiało to dziwnie, jakby taka myśl co najmniej przemknęła jej przez głowę.

– Nie odwołasz swych gończych psów?

Czekał, żeby siostra powiedziała mu, że nie może, że Fidelis Jes i jego Czarne Kapelusze są poza jej kontrolą, że tych psów nie jest w stanie przywołać do nogi, choćby chciała, ale ona tylko pokręciła głową i podała mu kurtę. Dopiero teraz dostrzegł, że oprócz kurty

było jeszcze coś, kawałek białego płótna, nie większy od jego dłoni. Kiedyś na płótnie była lanca z nadzianą na niej czaszką na tle powiewającego sztandaru, dziś tylko tyle zostało z chorągwi, symbolu Szalonych Lansjerów.

– Znalezione to na pogorzeliisku obozu pracy Słodkie Jutro – uświadomiła Styke’a siostra. – Jes nadal próbuje wytropić wszystkich uwolnionych więźniów, w tym oczywiście ciebie. Przez cały dzień przysyłał mi posłańców z jedną prośbą: żebym wyprowadziła armię. Rano próbował nawet zaciągnąć lady Krzemień na państwową służbę, jej najemnicy mieliby cię szukać.

To była informacja niepokojąca. Styke nie miał ochoty na walkę ze Strzelcami Wyborowymi. Z nimi nie miał szans.

– Doprawdy? – spytał pozornie obojętnie.

– Lady Krzemień dopełniła warunków kontraktu. Nie przyjęła propozycji podpisania kolejnego. Ale jeśli ty i ci twoi lansjerzy zaczniecie wszczynać niepokoje, nie zawaham się wyprowadzić armii.

Styke zrobił, co mógł, by nie westchnąć z ulgą. Armii Fatrasty się nie obawiał. Był w stanie z nią wygrać.

– Gdzie moja zbroja? – spytał.

Lindet uniosła głowę, wysunęła żuchwę.

– Zniszczyłam ją – oznajmiła.

– Trzysta kompletów zaczarowanych średniowiecznych zbroi, a ty je zniszczyłaś? To były dzieła sztuki!

– Jeśli się nie mylę, to ty zrabowałeś ją z kezańskiej kolekcji, prawda? Owszem, zniszczyłam je wszystkie. Twoi lansjerzy w tych zbrojach rozjeżdżali całe wrogie armie, co dobitnie dowiodło mi, że są zbyt niebezpieczne, by je zachować.

Tym razem Styke zdecydowanie jej nie uwierzył. Lindet nie miała w zwyczaju niszczyć dzieł sztuki i nie niszczyła czegoś, co mogło być dla niej użyteczne w przyszłości. Przez wiele lat żył w przekonaniu, że on sam jest wyjątkiem od reguły, ale jeśli dziś powiedziała mu prawdę o egzekucji, to nie było wyjątków. Styke przyglądał się

twarży siostry. Zastanawiał się, czy nie warto przycisnąć jej mocniej, ale wiedział, że jest bardziej uparta nawet od niego.

– Mogę odwołać swoje psy – powiedziała nieoczekiwanie. Styke zmrużył oczy. Ta ustępliwość budziła podejrzenia.

– W zamian za...

– Mogę znów sformować lansjerów. Jako mój oddział przyboczny. Żołnierzom zrekompensuję dobra osobiste, zniszczone przez Czarne Kapelusze w tym tygodniu, tobie przywrócony zostanie stopień oficerski. Dostaniecie mundury, konie, gażę.

Styke się skrzywił. Lindet była kobietą zimną, kalkulującą, wyprzedzającą przeciwników nie o krok, lecz o dziesięć, ale od dzieciństwa miała taką przypadłość, że bywała kapryśna i wpadała na najprzedziwniejsze pomysły. Dokładnie tak, jak w tym przypadku. Złożyła ofertę, przyjmując ją, Styke mógł wyłącznie wygrać. Tylko że coś takiego nie mogło się ziścić.

– Życie każdego z nich już zniszczono – powiedział. – To już się stało, nawet ty nie odwrócisz przeszłości. Choćbyś nie wiem jak się starała. No i ja oczywiście zabiję Fidelisa Jesa.

– To był tylko taki pomysł – skapitulowała lady kanclerz. Machnęła lekceważąco ręką. – Niezależnie od tego, co możesz sobie myśleć, od czasu do czasu chcę uczynić wszystkich szczęśliwymi.

– To się nie skończy szczęśliwie dla nikogo – ostrzegł ją Styke.

– Wiem.

Lindet go zaskoczyła. Wstała, podeszła, ujęła jego twarz w dłonie, obróciła w jedną i w drugą stronę. Obejrzała nierówną bliznę, pozostawioną przez kulę plutonu egzekucyjnego, która odbiła się od kości policzkowej.

– Rano – powiedziała – znów będę rządziła mym krajem. Istnieje po to, by zaprowadzić w nim ład i by go bronić... Nawet przed nim samym. Fidelis Jes zwróci się do mnie z prośbą o zgodę na zabicie cie i ja mu tej zgody udzielę. Niechętnie.

– Mam wrażenie, że możesz tego dokonać bez zbędnych ceremonii. Twoi Uprzywilejowani kryją się po krzakach, jeden z nich mógłby bez problemu wykluczyć mnie magią.

- Już o tym rozmawialiśmy. Nie jestem w stanie cię zabić.
- Za to Fidelis Jes...

Lindet wyrwała mu z dłoni strzęp chorągwi lansjerów i cisnęła w twarz Styke'a. Nie miała nic więcej do powiedzenia. Usiadła w fotelu, położyła ramiona na oparciach, wyglądała jak monarchini na tronie.

– Jestem słaba, więc ty i Fidelis Jes zniszczycie się nawzajem. Jestem słaba, więc Czarne Kapelusze i Szaleni Lansjerzy rozpoczną wojnę. Jestem słaba, więc słaby stanie się mój kraj. Powinieneś odejść, nim znajdę w sobie siłę.

Nagle Styke zrozumiał. Była wielka różnica między skazaniem na śmierć człowieka, który nie wiedział, co go spotkało przed dziesięciu laty, a skazaniem go na śmierć, gdy był w stanie bronić się przed wykonaniem wyroku. Nawet jeśli mogło się wydawać, że nie ma szans.

– Jedno z nas powinno zakończyć tę sprawę tu i teraz. Oszczędziłoby to Fatraście kłopotów.

– A któreś z nas jest w stanie?

Styke pamiętał o nożu w kieszeni... I pamiętał małą dziewczynkę, której ocalił życie przed tak wielu laty.

– Nie.

– Czyli się zgadzamy. Mam do ciebie tylko jedną prośbę: rozważaj to, co niewidoczne. – Głos Lindet opadł do szeptu. – Nadchodzi burza, Ben, taka burza, jakiej ten świat jeszcze nie widział. Próbuje go na nią przygotować, ale mimo wszystko... boję się.

Styke spróbował wyobrazić sobie, co może przerazić władczynię, która ośmieliła się stawić czoła Kezowi w szczycie jego potęgi.

– Dynizyjczycy? – spytał.

– Dynizyjczycy. Palo. Wrogowie i sojusznicy. Nasze własne machinacje obróciły się przeciwko nam. Staram się uczynić Fatrastę silną odpowiednio do zagrożenia, ale... przyjdzie nam odpokutować za wszystkie nasze grzechy, a ja... – Lindet umilkła, nie kończąc zdania. Pokręciła głową, a potem uśmiechnęła się jednym ze swych tak rzadkich uśmiechów. Mówiła o strachu, lecz w jej oczach było

oczekiwanie i gotowość podjęcia wyzwania. Cokolwiek widziała w przyszłości, nie mogła się doczekać, by stawić temu czoła. – A ja wiem za mało – przyznała.

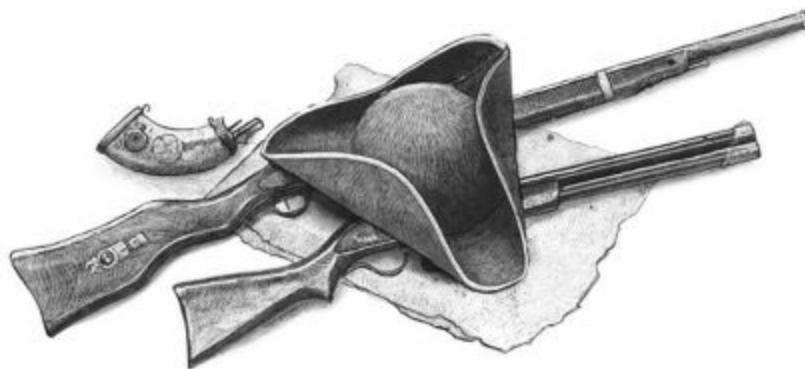
– No cóż... – Styke usłyszał skrzypnięcie podłogi piętro niżej. – Daj mi znać, kiedy się dowiesz.

Ciekawe, pomyślał, czy to strażnik, czy może tylko kucharz? Tak czy inaczej, był tu za długo.

– Żegnaj, Lindet.

– Żegnaj, Ben. Cokolwiek się zdarzy, pamiętaj, wypatruj znaków na horyzoncie.





## 45 ROZDZIAŁ

**P**rzez większość dnia Vlora po prostu spacerowała po mieście. Wieczorem znalazła niedrogi, lecz wygodny hotelik, śniadanie zjadła na słońcu, w kawiarence z widokiem na zbocza klifu, a potem przez wiele godzin wędrowała ulicami, kierując się wyłącznie kaprysem. Dobrze nie być związaną kontraktem, mieć na sobie cywilne ubranie. W forcie Olem przygotowywał oddział do wymarszu i choć nie uważała za całkiem właściwe pozostawienia mu na głowie wszystkich problemów logistycznych, uznała, że zasłużyła na przepustkę.

Musiała poczuć się cywilem choćby tylko przez parę godzin.

Plac komunalny Landfall, obejmujący kilka kwartałów, znajdował się o rzut kamieniem od budynku rządowego. Porastały go duże drzewa liściaste i przycinane krzaki, między którymi prowadziły brukowane ścieżki. Kiedy Vlora pojawiła się tam tuż przed wybiciem południa, plac zapełniali ludzie, było ich co najmniej kilka tysięcy. Tłum stanowiła dziwna mieszanina gniewnych Palo, czujnych Czarnych Kapeluszy i zaciekawionych Kresjan, a wszyscy otaczali ciasnym kręgiem wysoką szubienicę, wyrastającą pośrodku bardzo skądinąd przyjemnego parku.

Vlora poszukała wzrokiem jakiegoś wzniesienia, z którego mogłaby obserwować egzekucję, a potem niuchnęła nieco prochu, wspięła się na wysokie drzewo i dołączyła do grupki zdziwionych jej obecnością dzieciaków, zajmujących grubo, wygodny konar. Chłopiec, może jedenastoletni, grzecznie zrobił jednak Vlorze miejsce, tylko spod oka popatrywał na miecz i pistolet intruza. Stąd miała już doskonały widok i na szubienicę, i na pierwsze rzędy tłumu. I tu, i tam roiło się od Czarnych Kapeluszy, byli dosłownie wszędzie, jeden z nich wypadał na trzech zwykłych gapiów. Niemal od razu Vlora dostrzegła, dlaczego jest ich tak wielu. Za szubienicą, z dwojgiem Uprzywilejowanych w białych rękawicach po bokach, otoczona uzbrojonymi po zęby Czarnymi Kapeluszami, siedziała kanclerz Lindet we własnej osobie.

Vlora nigdy przedtem jej nie widziała, ale czytała o niej wielokrotnie w gazetach. Lady kanclerz okazała się chudą kobietą średniego wzrostu o jasnych włosach. Na nosie miała okulary, które co rusz zdejmowała, by przetrzeć szkła rękawem. W gazetach często opisywano jej oczy. Żeby je zobaczyć, Vlora musiała czekać dość długo, ale w pewnym momencie Lindet obróciła twarz w jej kierunku. Lekki trans prochowy pozwolił się jej przyjrzeć tak dokładnie, jakby stały twarzą w twarz.

Oczy Lindet nie rozczarowywały. Głęboko osadzone, przyciemnione makijażem, nieustannie obiegały tłum, patrząc zza ramion otaczających kobietę Czarnych Kapeluszy. Ich spojrzenie oceniało i kalkulowało, jakby mistrz rzemiosła krytycznie przyglądał się dostępnym mu narzędziom pracy. Vlora pamiętała, co pisał jej Taniel: że Lindet można by wziąć za bibliotekarkę, gdyby nie te oczy, i jak w gardle robiło się mu sucho, ilekroć obracały się w jego kierunku. Jak wiele z jego korespondencyjnych opisów uznała go wówczas za przesadzony, ale kiedy przesunęło się po niej spojrzenie lady kanclerz, poczuła nagle fizyczną, namacalną obecność Lindet, a serce na moment przestało jej bić, choć doprawdy nie wiadomo dlaczego. Nie czuła przecież strachu ani podziwu, ani w ogóle niczego, co można by nazwać i wytłumaczyć. Vlora czuła się po

prostu jak uczennica, bardzo pragnąca schować się przed surową dyrektorką.

– Hej, pani – zwrócił się do Vlory chłopiec, który przedtem zrobił jej miejsce obok siebie.

Vlora potrząsnęła głową, odwróciła wzrok od Lindet, spojrzała na dzieciaka.

– Co? – spytała.

– Kiedy to się ma zacząć?

– W południe.

Chłopak ocenił wzrokiem wysokość słońca. Vlora spojrzała na zegarek. Jeszcze tylko kilka minut. Chłopiec zaczął podskakiwać na gałęzi, aż zatrzęsło się drzewo.

– Wolałabym, żebyś tego nie robił – zwróciła mu uwagę Vlora.

– Boisz się wysokości?

Vlora spojrzała najpierw na resztę dzieciaków, a potem na dwadzieścia stóp, dzielące ich wszystkich od ziemi.

– Nie, raczej nie, ale jeśli ktoś z was spadnie, popsujecie mi taki piękny dzień.

– Aha. Dobrze, niech będzie – zgodził się chłopiec niechętnie. Ciągle interesowały go miecz i pistolet. – Hej, myślisz, że będą się bić? Tato mówi, że ta suka Palo powinna wisieć jak najwyżej, bo przez nią są kłopoty w mieście.

– Nie mów „suka”. – Siedząca po drugiej stronie dziewczynka szturchnęła go w zębra.

– Tato tak powiedział. No dobrze, ale i tak mam nadzieję, że się pobiją. – Chłopiec nie wytrzymał, wychylił się, Vlora już była gotowa go łapać. – Wieszania jest dużo, a tata zamyka nas w domu, kiedy się biją.

– Zapewne dobrze robi – skomentowała Vlora, ale była już zajęta czymś innym. Jej uwagę przyciągnęły Czarne Kapelusze. Ich grupa przeciskała się właśnie przez tłum. Otaczała więźniarkę z białymi różami wymalowanymi na burtach. Wóz zatrzymał się przed szubienicą. Czarne Kapelusze rozstawiły się w szpaler, odpychając przeszkadzających im ludzi. Mama Palo wysiadła pomiędzy nich.

Nie wyglądała dobrze i była wyraźnie wściekła, ale nie wyglądała, jakby ją krzywdzono w areszcie.

Nagle wszczął się przeraźliwy hałas, najbliżsi wozu Palo i Czarne Kapelusze zaczęli się przepychać i wrzeszczeć na siebie. Mamę Palo poprowadzono na szubienicę. Na szubienicę weszła też Lindet, wraz z dwojgiem Uprzywilejowanych. Czekala cierpliwie, podczas gdy skazanej nasuwano pętlę na szyję.

Vlora potrafiła wyczuć otaczającą lady kanclerz magię ochronną. Gdyby otworzyła wewnętrzne oko, dostrzegłaby nim feerię barw, ślady czarodziejskich sił. Najwyraźniej Lindet postanowiła nie ryzykować, nie w tych okolicznościach. Mama Palo zawiśnie, a Palo nic na to nie poradzą, choćby byli nie wiadomo jak bojowo nastawieni.

- To ona, nie? – spytał chłopiec. – Ta stara su... ta starsza pani?
- Tak, to ona – przytaknęła Vlora.
- Nie wygląda imponująco.

Trudno było nie zgodzić się z dzieciakiem. W dziennym świetle Mama Palo wydawała się starsza, drobniejsza i bardziej zniedołężniała niż nocą. Mimo obecności tłumów oraz jawnej beznadziei swojej sytuacji potrafiła stać wyprostowana, z uniesioną głową, a gdy pętla zacisnęła się na jej szyi, nawet uśmiechnęła się lekko. Z jakiegoś powodu Vlorę nagle to zaniepokoiło. Rozejrzała się po tłumie, zadając sobie pytanie, czy będzie tu konieczna jakaś interwencja. Nie miała zamiaru się wtrącać, jej praca w mieście dobiegła końca, ale jeśli Palo czegoś spróbują, muszą ponieść klęskę. Szukała wzrokiem błysków broni wśród tłumy, większych grup mężczyzn, oznak jakiejś choćby podstawowej organizacji. Nic nie rzuciło się jej w oczy.

Znów spojrzała na Mamę Palo. Stara kobieta nadal się uśmiechała i Vlora już nie była jedyną osobą, którą to wyprowadzało z równowagi. Lindet przyglądała się staruszce czujnie, a jej Uprzywilejowani taksowali wzrokiem zgromadzonych tak, jak czyniła to lady Krzemień. Wydawali się usatysfakcjonowani brakiem oznak zagrożenia, ale pozostawali czujni.

Kolejne spojrzenie na tłum i teraz Vlora dostrzegła coś szczególnego, lecz było to coś, czego zupełnie się nie spodziewała. Na samej granicy parku, oparty o drzewo, z zaciśniętymi ustami stał Meln-Dun. Palił papierosa, wpatrując się zachłannie w Mamę Palo; Vlora po prostu musiała zadać sobie pytanie, co ten człowiek ma tutaj do roboty. Powinien siedzieć w Ognistej Jamie, konsolidować władzę, zdobywać poparcie, zajmować się interesami i rodziną, ciągle przecież zagrożonymi. Już sobie z tym poradził? Czyżby to mściwość nakazała mu przyjść, upewnić się, że Mama Palo rzeczywiście zostanie powieszona?

– Ostrożnie, pani, bo spadniesz – ostrzegł ją chłopczyk.

Vlora oprzytomniała. Oparła się dłonią o pień, to pomagało zachować równowagę. Uspokoila się, choć kosztowało ją to sporo wysiłku, i obserwowała egzekucję, mimo że nie mogła oprzeć się pokusie i od czasu do czasu zerknęła na Meln-Duna. Pomyślała, że dobrze byłoby skontaktować się z nim kiedyś, później, dowiedzieć się, czy wszystko u niego w porządku.

Zamierzała zejść z drzewa, gdy dostrzegła coś, od czego gęsia skórka wystąpiła na jej całym ciele. Za ledwie piętnaście kroków za Palo stali dwaj ludzie-smoki. Potężnie zbudowani, w dobrze skrojonych szarych marynarkach i przyciemnianych okularach zakrywających oczy mogliby z łatwością uchodzić za zamożnych biznesmenów Palo, gdyby nie tatuaże na karkach i nadgarstkach.

A za nimi, tak blisko, że gdyby wyciągnął rękę, mógłby ich dotknąć, stał nie kto inny, jak Gregious Tampo we własnej osobie. Bardzo elegancki, bardzo beztroski, bawił się laseczką, jakby świat stworzony został specjalnie dla jego rozrywki. Vlora nie potrafiła zdecydować, czyja obecność bardziej ją niepokoi: Tamy czy ludzi-smoków, a potem nagle, jakby ostatni element układanki znalazł właściwe miejsce, zrozumiała, o co chodziło.

Tampo był na balu. Należał do wewnętrznego kręgu znajomych Mamy Palo. Ludzie-smoki to jego towarzysze, a teraz obaj zaczęli przepychać się przez tłum w stronę Meln-Duna.

Zeskoczyła z drzewa,omal przy tym nie strącając na ziemię i chłopca, i dziewczynki. Wylądowała na ugiętych nogach, ból skoku z tej wysokości ledwie przedarł się przez prochowy.

– Meln-Dun! Meln-Dun! – zawołała ostrzegawczo.

Lindet właśnie zaczęła przemawiać. Uprzywilejowani wzmocnili magicznie jej głos, a okrzyk Vlory utonął w groźnym pomruku tłumu. Przebijała się do Meln-Duna. Rozgryzła ładunek prochowy, przeżuła go wraz z papierem. W jej żyłach popłynęła magia.

Pracowała kolanami i łokciami. Od czasu do czasu, na moment, wśród mnóstwa ludzi pojawiał się jej Meln-Dun. Ludzie-smoki byli tuż obok niego. Zaraz potem w ogóle straciła go z oczu, bo w odpowiedzi na słowa lady kanclerz tłum zaczął się burzyć.

Kiedy ściskając w dłoni pistolet, pojawiła się na obrzeżach parku, Meln-Duna już tam nie było. Zdążyła jednak zobaczyć, że w towarzystwie ludzi-smoków skręca w boczną alejkę. Gregious Tampo gdzieś znikł.

Rozpoczęła pościg, jednocześnie rozpaczliwie próbując zrozumieć, co się tu właściwie dzieje. Czyżby ludzie-smoki nie zamierzali jednak uwolnić Mamy Palo? Czy może jest ich więcej, czekają pod szubienicą, zastawili pułapkę? Zawahała się, może powinna wrócić i uprzedzić Lindet. Porzuciła ten pomysł. Lady kanclerz miała do ochrony dwoje Uprzywilejowanych. Meln-Duna nie chronił nikt.

Przebiegła alejkami. Co kilkanaście kroków podskakiwała, by zobaczyć coś ponad głowami zgromadzonych, od czasu do czasu udawało się jej spostrzec szare marynarki. Pościg trwał przecnicę, po czym Meln-Dun wszedł do małej kawiarni, a ludzie-smoki za nim. Pobiegnęła, trzymając pistolet w dłoni tak, by nie rzucał się w oczy. I cały czas szukała wzrokiem Tamy... albo kolejnych Dynizyjczyków.

Zatrzymała się przed drzwiami kawiarenki. Sprawdziła pistolet, wślizgnęła się do środka. Nie zastanawiała się, nie czekała, o życiu Meln-Duna decydowały jedynie chwile.

Lokal był wąski, długi. Kilku Kresjan piło południową herbatę. Na końcu sali Meln-Dun i ludzie-smoki rozsiedli się wygodnie, a kelner Palo właśnie podawał im mrożoną herbatę.

Vlora znieruchomiała. Nie wyglądało na to, by biznesmenowi groziło jakieś niebezpieczeństwo. Właśnie pochylał się ku jednemu z ludzi-smoków, powiedział coś do niego, a człowiek-smok się roześmiał. Meln-Dun klepnął Dynizyjczyka po ramieniu, spojrzał w stronę wejścia. Z parku dobiegł niedający się pomylić z niczym łoskot otwieranej zapadni i gniewny pomruk tłumu. Mama Palo zawisła za swoje zbrodnie.

Vlora przestała oddychać, jakby wokół niej nagle zabrakło powietrza. Wreszcie zrozumiała... A przynajmniej wydawało się jej, że zrozumiała. Rodzina i biznes Meln-Duna nigdy nie były zagrożone. Atak na jej ludzi przeprowadzono na przynętę, by przeszła na jego stronę. Wpadła w pułapkę, pomogła mu usunąć Mamę Palo i objąć po niej rządy w Ognistej Jamie. Wykorzystał starania Vlory, by jak najpełniej zrealizować plany Lindet.

Ludzie-smoki nie pracowali dla Mamy Palo.

Ludzie-smoki pracowali dla niego.

Myśli te przemknęły Vlorze przez głowę w jednej krótkiej chwili, gdy spotkały się ich spojrzenia. Meln-Dun skoczył na równe nogi. Twarz mu poczerwieniała. Vlora zawahała się, nie potrafiła zdecydować, któremu z tych trzech ludzi wpakować kulę w pierś. Przybiegła tu z pomocą dla przyjaciela, a teraz wcale nie była pewna, czy zdoła zabić człowieka-smoka. Jednego człowieka-smoka, a co tu mówić o dwóch? Nie byłaby to dobra walka.

– Zabić ją – rozkazał Meln-Dun.

Obaj Dynizyjczycy zerwali się z kawiarnianych krzesełek. Właściciel lokalu wrzasnął, Vlora odwróciła się, gotowa do ucieczki. Na ulicy prędko ich zgubi, wróci do fortu, a wtedy...

Wpadła na kogoś, całym impetem uderzyła w czyjeś ciało twarde niczym ceglana ściana. Spojrzała w górę. Przed nią stał Tampo, sięgnęła po miecz. Otworzył usta, ale lady Krzemień nie zamierzała

słuchać, co miał do powiedzenia. Takie przypadki się nie zdarzają, to musi być...

Dalej już nie myślała. Tampo unieruchomił jej dłoń, nim zdołała wyciągnąć broń. Warknęła na niego, szarpnęła się, ale nie była w stanie wykonać najmniejszego ruchu.

– Siadaj, Vloro – powiedział Tampo spokojnie. Odepchnął ją na bok z taką siłą, że padła na krzesło i omal nie przewróciła się wraz z nim na podłogę. Zerwała się błyskawicznie, gotowa do ataku... tylko po to, by stwierdzić, że Tampo zdążył ją już minąć. Laska w jego rękę kliknęła cicho, pojawiło się wyciągnięte z niej jednym sprawnym ruchem cienkie ostrze. Pierwszy z ludzi-smoków poruszał się nieprawdopodobnie szybko, prawie jak mag prochowy. Kościany nóż niemal sięgał już piersi Tamy. Ale on był jednak szybszy, niczym mangusta chwytająca węża poniżej łba. Przeszył Dynizyjczyka pchnięciem w pierś, a ciałem rzucił w jego towarzysza, jakby było niczym więcej jak szmacianą lalką. Drugi człowiek-smok zdołał się uchylić, ale nie zdążył cofnąć ręki. Tampo złapał go za nadgarstek, obrócił, rozległ się głośny trzask łamanych kości. Z siłą końskiego kopnięcia cisnął przeciwnikiem tak, że głowa uderzyła w ceglana ścianę.

Cała ta walka nagle się skończyła. Meln-Dun uciekł tylnym wyjściem, zanim ludzie-smoki zdążyli zaatakować. Vloro chciała go gonić, ale Tampo zatrzymał ją mocnym chwytem za ramię. Prawnik dysponował siłą tak wielką, że wyprowadził na ulicę maga prochowego, a tam uporządkował ubranie i ruszył chodnikiem powoli, niby trzymając ją tylko pod rękę, ale Vloro nawet nie próbowała się wyrwać.

Oddalali się spacerem od miejsca zbrodni. Tampo pogwizdywał cicho do siebie, jakby zabicie dwóch niepokonanych, legendarnych wojowników, które nawet nie przyspieszyło mu oddechu, było tylko jedną z zapisanych na dziś w kalendarzu spraw do załatwienia, obok kupienia bochenka chleba. Vloro przestała się szarpać, skręcili w najbliższą boczną uliczkę. Była oszołomiona, myślała chaotycznie, nie miała pojęcia, jak wytłumaczyć sobie to, co się stało.



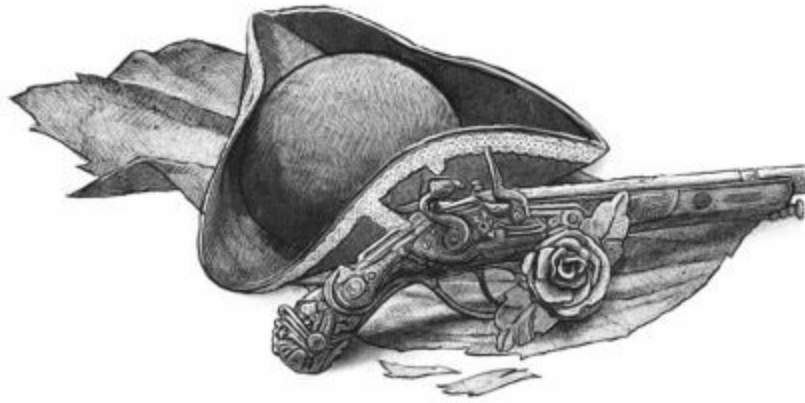
Znała tylko jednego człowieka zdolnego zwyciężyć maga prochowego, jednego zdolnego poruszać się aż tak szybko. Nie widziała go i nie słyszała o nim od dziesięciu lat, a kiedy spotkali się po raz ostatni, nie był już w pełni człowiekiem. Miał dostęp do tajemniczej magii, dającej mu zdolność odmiany rysów twarzy oraz maskowania jego własnej magii.

Poza tym nawet gdyby upłynęło znacznie więcej czasu, poznałaby to przyjemne, melodyjne pogwizdywanie.

– Co ty właściwie tu robisz, Tanielu? – spytała.

Taniel Dwa Strzały z twarzą innego mężczyzny podniósł rękę. Obok nich zatrzymała się dorożka.

– Musimy porozmawiać.



## 46 ROZDZIAŁ

**T**o nie jest adres – powiedziała urzędniczka.

Michel stał na czele kolejki, ciągnącej się przez całe biuro obywatelskie Landfall. Kobieta w średnim wieku przyglądała mu się sponad oprawek okularów. Kartkę trzymała w wyciągniętej na bok ręce i w ogóle dawała do zrozumienia, że strasznie się jej przeszkadza. Michel, ubrany po cywilnemu, oparł się pokusie wyjęcia na wierzch Złotej Róży. Upomniął siebie: ma być tak niewidzialny, jak to tylko możliwe.

– Pani żartuje.

– Nie żartuję. – Oddała mu kartkę. – To nie jest adres.

To nie była dobra wiadomość. Michel schował kartkę do kieszeni.

– Przynajmniej wiem, dlaczego nie byłem w stanie znaleźć tego przeklętego miejsca samodzielnie – powiedział jakby do siebie.

– Mhm. – Urzędniczka demonstracyjnie obejrzała długą kolejkę. – Następny! – krzyknęła, a na Michela machnęła ręką: „idź sobie”. – To nie adres – popisała się wiedzą. – To numer działki. Prawdopodobnie na południu miasta.

– Jak to: numer działki? – Stojąca za Bravisem osoba już tłumaczyła urzędnicze swoją sprawę, ale Michel brutalnie

odepchnął ją na bok. – Numer działki?!

– Działki państwowej, na południu miasta.

– Przecież to to samo co adres!

– Życzę panu miłego dnia. Następna osoba, proszę.



Michel, biorąc dorożkę i każąc zawieźć się dwie mile na południe za miasto, nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Wiedział, że to ziemie rolne, ciągnące się poza horyzont pola, na których uprawiano tytoń, bawełnę i pszenicę. Ale z pewnością nie spodziewał się zobaczyć obozu pracy.

Przynajmniej z dużej odległości wyglądało to jak obóz pracy. Duża powierzchnia ogrodzona została niewysokim drewnianym płotem, za którym stały rzędami brudne namioty. Pośrodku wzniesiono kilka budynków, także drewnianych. Hałdy wykopanej ziemi, wysokie, jak wzniesione ludzką ręką wzgórza, dymiły w upale niczym potężne góry bydlęcego nawozu. A wszystko to zajmowało środek pola bawełny, wszędzie widać było zdeptane ruiny i podeszłe wodą koleiny – dzieła wozów, dojeżdżających tu z głównej drogi jak im się podobało. Z bliska dostrzec się dało coś jeszcze: strażnicy, dziwnie często okrążający obóz, zamiast pałek mieli karabiny Hruscha, co oznaczało, że pilnowaniem obozu zajmowała się armia. W gazetach coś tam kiedyś pisano o jakimś odkryciu archeologicznym mniej więcej w tej okolicy, ale Michel nie pamiętał, jakie to miało być odkrycie, zresztą nie doczytał artykułu do końca. Uniwersytet miejski przekopał pół Landfall w poszukiwaniu pamiątek po Dynizyjczykach, więc kolejne wykopalisko nie budziło wielkiego zainteresowania.

Dorożka zatrzymała się przy jednej z błotnistych drózek, prowadzących do obozu. Michel nie bardzo wiedział, na co powinien się zdecydować. Iść wprost do obozu nie wydawało się najlepszym pomysłem, nie przy takiej obfitości straży. Z drugiej strony jednak był to jego najlepszy trop, prowadzący do boskich

kamieni. Jeśli nim nie pójdzie, to co właściwie ma robić? Jednak obóz nie wyglądał na tymczasowy. Za tydzień czy dwa też tu będzie, a kiedy u Czarnych Kapeluszy skończy się wreszcie ta panika, być może będzie mógł odwiedzić tajne archiwa, mając carte blanche. Spiesząc się teraz zbyt szybko, może zdradzić Fidelisowi Jesowi swe prawdziwe zamiary.

Zastukał w dach.

– Wracamy do miasta – polecił dorożkarzowi.

– Ach... hmm... Panie, jest tu ktoś, kto chce z tobą rozmawiać.

– Rozmawiać?

Zza dorożki wyszedł żołnierz. Otworzył drzwiczki przez okienko jedną ręką, druga spoczywała na rękojeści pistoletu. Ciemnożółty mundur z paskiem i gwiazdą na naramienniku czynił z niego majora regularnej armii Fatrasty, biała róża wyhaftowana na drugim informowała, że współpracuje z Czarnymi Kapeluszymi.

Major nie wyglądał na życzliwie nastawionego do świata. Jego szeroka, nieruchoma twarz pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu, zaciśnięte usta tworzyły cienką poziomą linię, stał sztywno jak deska w płocie.

– Wysiadać – warknął.

– Zdaje się, że doszło do nieporozumienia...

Major złapał Michela za koszulę na piersi i siłą wyciągnął z dorożki, mimo jego protestów. Na szczęście Bravisowi udało się utrzymać na nogach, uniknął poniżającego upadku w błoto. Natychmiast otoczył go pluton żołnierzy z garnizonu w Landfall. Przełknął ślinę, przymknął oczy, pozwolił działać instynktowi.

– Ciekawi cię, panie, co tu robimy? – Major wskazał gestem obóz za plecami. – Nie widziałeś oznaczeń „nie zatrzymywać się”? Gazetom nakazano, by nikt od nich się tu nie pętał.

Michel odchrząknął. Przywołał na twarz wyraz skrajnej irytacji.

– Cierpisz na paranoję, majorze? – warknął.

Major pochylił się ku niemu, nadal sztywny. Kąciki cienkich ust wykrzywił grymas.

– Czy cierpię... na co...?

Powoli, teatralnie, Michel wyjął spod koszuli medalion. Złota Róża zabłysła w promieniach słońca. Któryś ze stojących z tyłu żołnierzy nie wytrzymał.

– No to nasz major ma za swoje – skomentował sytuację nieco zbyt głośno i został natychmiast uciszony.

– Niezapowiedziana inspekcja, majorze – oznajmił Michel, udając, że odnosi wielki tryumf.

Major zeszywniał jeszcze bardziej, choć jeszcze przed chwilą wydawało się to niemożliwe. Patrząc wprost przed siebie, zasalutował jak na paradzie.

– Panie...

Michel nie dał mu szansy zadawania pytań. Wpadł i teraz musiał działać szybko. Tak szybko, żeby wynieść się stąd, zanim ktoś zacznie się zastanawiać, czy przypadkiem nie znalazł się tam, gdzie nie powinien. Przez głowę przeleciały mu dziesiątki pytań. Próbował wybrać spośród nich te, dzięki którym dowiedziałby, co się tu, na otchłań, dzieje, nie zdradzając, że nie ma o tym żadnego pojęcia.

– Nazwisko proszę.

– Major Cole, panie.

– Majorze Cole, czy wasi ludzie mogliby odprowadzić mnie do obozu?

– Tak jest! W szyku, marsz!

Michel ruszył błotnistą dróżką. Był niemal pewien, że wyprawia pogrzeb butom, uważał, żeby nie obejrzeć się tęsknie na dorożkę. Jego wyprawa właśnie okazywała się pomysłem albo bardzo dobrym, albo bardzo, bardzo złym.

Weszli do środka przez strzeżoną przerwę w ogrodzeniu. Więźniowie-robotnicy byli wszędzie. Niektórzy stali przy palisadzie, zajęci posiłkiem, jakąś breją z chlebem, inni szukali ochrony przed palącym słońcem pod namiotami. Gapili się na Michela zapadniętymi, zapuchniętymi oczami. Było ich zdecydowanie za wielu, jak na coś, co z daleka wydawało się średniej wielkości stanowiskiem archeologicznym. No i to wojsko...

Zatrzymali się przed jednym z budynków pośrodku obozu. Major znów zasalutował uroczyście.

– Jeszcze raz bardzo przepraszam za nieporozumienie, panie. Z pewnością rozumiesz, że ja tylko wykonuję rozkazy.

– Czyli? – spytał obojętnie Michel, udając, że i tak doskonale wie, jakie są to rozkazy.

– Mam dopilnować, by nikt nie interesował się nami... przesadnie.

Michel ugryzł się w język, by nie spytać „a dlaczego?”. Godnie skinął głową.

– Dziękuję, majorze. Dopilnuję, by wasza gorliwość na służbie znalazła odbicie w raporcie. – Rozejrzał się raz jeszcze. Ciekawiło go, skąd śpieszą robotnicy pchający wypełnione ziemią taczki. Następnie wszedł do budynku. Major wydawał się spodziewać, że wejdzie, więc nie miał wyboru.

Znalazł się w najwyraźniej pośpiesznie zbudowanym biurze, nie większym od namiotu na pograniczu. Było tu zaskakująco chłodno, w narożniku umieszczono blok lodu, obsypany trocinami. Dwaj więźniowie poruszali wachlarzami, dzięki czemu chłodne powietrze rozchodziło się po całym pokoju, umeblowanym krzesłami i stołami, zasłanymi zapisanymi odręcznie kartkami. Nisko pochylony nad jednym ze stołów mężczyzna był tak zajęty studiowaniem leżących przed nim notatek, że nie zwrócił uwagi na wchodzącego gościa.

Michel chrząknął. Nie wywołało to oczekiwanej reakcji, ruszył więc, lawirując wśród papierzyk, by nie zniszczyć czegoś, co mogło być ważne, i nie deptać papierów ubłoconymi butami. Mężczyzna przy stole wydawał się ślepy i głuchy na świat. Na chwilę przestał pisać, podrapał się po łysiejacej głowie, mruknął coś pod nosem i wrócił do pracy.

Michel spojrzał na notatki porozrzucane na najbliższym stole. Nic mu nie mówiły te wszystkie równania, bełkotliwe akapity, wykresy, była nawet mapa nieba, pogrzebana głęboko pod stosem fiszek. Notatki sporządzono co najmniej czterema różnymi charakterami

pisma. Jeden z nich wydawał się nieodróżnialny od tego w księdze z ukrytym numerem działki.

Michel nigdy wcześniej nie widział czynnego stanowiska archeologicznego, ale jeśli je sobie wyobrażał, to bardziej uporządkowane, nawet surowe, pedantycznie zorganizowane, a to wyglądało jak wybuch prochu pod profesorskim biurkiem. Odchrząknął znowu, tym razem znacznie głośniej, czym wreszcie zwrócił na siebie uwagę gospodarza. Spojrzały na niego szeroko otwarte ze zdumienia oczy człowieka, którego strasznie zdziwiła obecność w pracowni kogoś obcego.

– Dzień dobry.

– A pan kto?

Michel wyjął spod koszuli Złotą Różę, pozwolił jej przez chwilę kołysać się w powietrzu.

– Ach! – Gospodarz uradował się tak, jakby wizyta Złotej Róży na wykopaliskach była czymś tak zwyczajnym, jak wszechobecny upał. Poderwał się, podbiegł, uściśnął dłoń Michela, potrząsnął nią kilka razy. Po tym serdecznym powitaniu pozostały na ręce Michela ciemne smugi atramentu. – Profesor Cressel. Jakże miło mi cię widzieć, panie. Przyszedłeś ocenić nasze postępy? – Szerokim gestem objął chaotyczne stosy zapisanego papieru. – Obawiam się, że bieżące prace nie zostały jeszcze uporządkowane, ale proszę mi wierzyć, to, co robimy, jest takie podniecające!

– Profesorze – przerwał mu Michel z zimnym opanowaniem – nie jestem tu, by oceniać waszą pracę, a tylko zbadać... ehm... samo wykopalisko.

– Oczywiście! Oczywiście! Obawiam się, że niestety, nie jestem Uprzywilejowanym Robsonem, ale jego wezwano do miasta w trybie... nieoczekiwanym. – Profesor zerknął na wysokiego rangą funkcjonariusza tajnej policji dość podejrzliwie, ale zaraz machnął ręką, jakby to odwołanie nie było czymś wartym dyskusji. – Mimo to nasze prace posuwają się rażno do przodu, tak, doskonale. Szaleństwo ogarnia wprawdzie codziennie kilka osób, ale monolit

został już odkopany praktycznie w całości. Szykowaliśmy jego przeniesienie od wielu tygodni, będziemy gotowi za kilka dni.

Michel próbował ogarnąć jakoś informacje, które właśnie otrzymywał. Odznaczał w pamięci kolejne punkty: stanowisko archeologiczne nieznanego przeznaczenia, pilnie strzeżone przed obcymi, coś bardzo ważnego w głębokiej dziurze, wykopanej pośrodku obozu. Zestawił je i w ustach zrobiło mu się nagle nieznośnie sucho.

– Dokąd te przenosiny? – spytał słabo.

Profesora to pytanie widocznie zaskoczyło. Przechylił głowę.

– Do Dalinport, jak sądzę. Potrzebujemy miejsca lepiej nadającego się do eksperymentów niż środek pola bawełny! – Skrzywił się, zanotował coś na kawałku papieru, po czym uśmiechnął szeroko do gościa.

Michel przesunął się powoli w stronę okna w przeciwległej ścianie. Po drodze musiał usunąć pudło papierzysek. Wyrzucił na zewnątrz.

Pięćdziesiąt jardów od drewnianego budynku, dokładnie pośrodku pomiędzy dwoma kopcami ziemi, ziała ogromna dziura. Z jej centrum wystawał na mniej więcej dwadzieścia stóp obelisk, otoczony rusztowaniami. Starsi, elegancko ubrani mężczyźni oraz podobne im kobiety wspinali się i schodzili z nich ze wszystkich stron: robili notatki, odrysowywali fragmenty, a czasami po prostu stali nieruchomo, jakby obezwładniło ich coś niewidzialnego.

Michel doznał wrażenia, że coś szmerze mu w głowie; krótki dźwięk jak odsuwanie zasłony. Spojrzał na Cressela, ale profesor zachowywał się obojętnie, to znaczy ponownie wsadził nos w notatki. Bravis obliznął wargi, znów spojrzał na obelisk. Znów usłyszał szept, ale zdołał go zignorować. Czy to był ten boski kamień, którego szukał Taniel? Z jakiegoś powodu spodziewał się czegoś mniejszego, łatwiejszego w transporcie, wielkości co najwyżej pudełka na pieczywo. No i pamiętał, że Taniel użył liczby mnogiej: boskie kamienie.

– Są inne takie? – spytał.



– Hmm? – Profesor oderwał się od pracy, spojrzął na niego ciekawie.

– Inne takie bos... – Michel ugryzł się w język w ostatniej chwili. – Bo to ciekawe? – dokończył.

– Nie sądzę. – Profesorowi zdecydowanie spodobał się ten pomysł. – Ale proszę sobie wyobrazić... Tyle nauczyliśmy się z tego jednego, więc gdyby były inne... – Zamilkł, chwycił ołówek, wrócił do notatek.

– Wyobrazić sobie... – mruknął Michel pod nosem. Wyjrzał za okno. Szepty w głowie stały się donośniejsze, był już pewien, że ich sobie nie wyobraża. – Wy niczego nie słyszycie, profesorze?

– Och, to tylko artefakt. On mówi. Czasami.

Włoski na karku Michela zjeżyły się wszystkie, co do jednego. Miał ochotę chwycić Cressela za gardło, potrząsnąć nim, wyrzucić pytanie, czy rzeczywiście sądzi, że nieożywiony obiekt może gadać. Przycisnął nos do szyby. Tak, czymkolwiek było to... to coś, nie wydawało się przyjazne. Podrapał się po ramieniu, te ciągle szepty zalazły mu za skórę.

– Szaleństwo? – spytał.

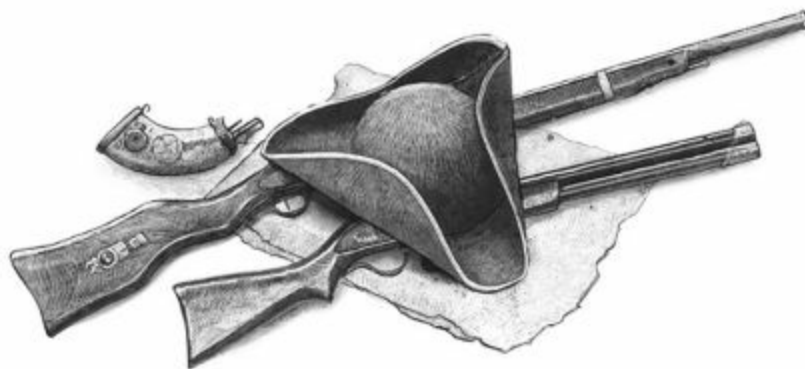
– Och, to dotyczy tylko robotników. – On, profesor, nie miał się czego obawiać. – Naukowców obowiązuje ściśle przestrzegana zasada: nie więcej niż dwie godziny pracy przy monolocie, potem przerwa.

Michel mrugał szybko. To nie było normalne, każde włókno jego ciała kazało mu uciekać, teraz, jak najszybciej. Skupił uwagę na więźniach, kręcących się nieprzerwanie wokół obiektu. Twarze mieli zmęczone, noszące ślady bezsenności, oczy nieprzytomne. Oni też to czuli, ale nie mieli wyboru. Żołnierze również.

– Zechcesz obejrzeć prace, panie? – spytał Cressel z ożywieniem.

– Nie, dziękuję.

Michel podszedł do drzwi. Musiał zdać relację Tanielowi. Ale przede wszystkim musiał jak najszybciej znaleźć się jak najdalej stąd. Jeśli chciał kiedykolwiek przespać noc.



## 47 ROZDZIAŁ

**N**ie wiem, jak ty to robisz – powiedziała Vloro. – I wcale nie chcę wiedzieć. Ale póki nosisz twarz innego mężczyzny, nie będę z tobą rozmawiać.

Siedziała w dorożce naprzeciw Tamy. Nie odrywała od niego wzroku. Wiedziała, że jest Tanielem, co do tego miała całkowitą pewność. Powinna była rozpoznać go już w zeszłym tygodniu, w Żółtym Pałacu, rozmawiali nawet ze sobą, ale twarz była tak inna, tak obca, że dała się nabrać.

Lata dały Vlorze taką znajomość rodzajów magii, o jakiej większość Uprzywilejowanych mogła tylko marzyć, tak potężnej jednak nie poznała. Dostawała od niej gęziej skórki, żołądek wywracał się na drugą stronę. Powinna wyczuć innego maga prochowego. Powinna wyczuć magię, która ukryła jego twarz w Nieświecie.

Nie wyczuła ani jednego, ani drugiego.

– Vloro... – Głos Tamy był łagodny, pouczający, takim słyszała go tysiąc razy, kiedy byli nastoletnimi kochankami.

– Mówię poważnie – warknęła. Miała mdłości.

Tampo prychnął. Odwrócił się do okienka dorożki.

– To nie jest jak założyć maskę – próbował tłumaczyć. – Tę zakłada się kilka godzin.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Na otchłań, Vloro... – Minęło kilka długich chwil, ale w końcu Tampo ukrył oblicze w dłoniach, a potem przeciągnął nimi w dół, jak człowiek myjący twarz o poranku. Odsłonił ją zmienioną w sposób subtelny, lecz wyraźny. Zmienił się kształt oczu, kości policzkowe, nos. Tampo stał się innym mężczyzną, znów był Tanielem Dwa Strzały, bohaterem rewolucji fatrastańskiej i wojny Adro z Kezem. Był Zabójcą Bogów.

Vlora szarpnęła drzwiczki dorożki. Zwymiotowała na chodnik.

Cofnęła głowę, wytarła usta, choć smak wymiotów pozostał na języku. Przeciągnęła dłonią po włosach, przy okazji odkryła, że strasznie się poci. Daj spokój, powiedziała sobie. Widziałaś w życiu mnóstwo dziwnych rzeczy. Dlaczego tak się przejęłaś akurat tą?

Zmusiła się do podniesienia wzroku na Taniela. Bardzo dokładnie obejrzała jego twarz. Nie miała wątpliwości, że to on.

– Nie widać, żebyś się postarzał – powiedziała.

– Efekt uboczny magii Ka-poel.

Taniel wyjął z kieszeni czarne rękawiczki. Nałożył je, czym zwrócił uwagę na swoje dłonie. Lewą także osłaniała jego niesamowita magia, bo teraz była gładka, bezwłosa i miała kolor świeżej krwi. Vlora parsknęła. Nic już jej nie dziwiło.

– Jesteś Czerwoną Ręką?

Taniel uśmiechnął się w odpowiedzi ledwo zauważalnie. Ze wszystkich przedziwnych rzeczy, których doświadczyła, Vlorę najbardziej pociągała ta czerwona skóra.

– Jak to się stało?

Taniel schował dłonie do kieszeni. Minę miał kwaśną.

– To także efekt uboczny magii Ka-poel. Miałem na pieńku z bardzo potężnym Uprzywilejowanym. Omal mnie pokonał. Ka-poel mnie osłoniła, zmienił się w plamę krwi, no i zabarwił mi skórę na czerwono. Nikt nie wie dlaczego. To sięga mniej więcej dotąd. – Dotknął łokcia.

Zdumiona lady Krzemień tylko pokręciła głową. Taniel Dwa Strzały był jednocześnie Gregiousem Tampą i Czerwoną Ręką. Miała tyle pytań, tyle rzeczy pragnęła mu teraz powiedzieć, że aż zakręciło się jej w głowie, a jednak, kiedy już przemówiła, słowa nie miały żadnej wagi.

– Byłeś bardzo zajęty – stwierdziła po prostu.

– Można tak powiedzieć.

– I co? Jesteś nieśmiertelny?

– Wolałbym nie sprawdzać. – Taniel rozpiął koszulę, pokazał świeżą bliznę pod szyją. – Postrzał ciągle boli.

– Miło wiedzieć, że pewne rzeczy się nie zmieniają, choćbyś osiągnął poziom... jakikolwiek tam poziom osiągnąłeś.

Taniel milczał. Siedział ze zmarszczonym czołem, wyglądał przez okno, o czymś myślał jednak i coś czuł. Widać było, jak otwierał usta, żeby coś powiedzieć, i zaraz je zamykał, jakby zmieniał zdanie. I od nowa. Vlora o niczym bardziej nie marzyła, niż żeby wymierzyć mu potężny cios pięścią między oczy.

Zdołała się powstrzymać.

– Straszny z ciebie sukinsyn, wiesz? – powiedziała tylko.

Wyraz zaskoczenia na twarzy Taniela dobitnie świadczył, że nie tego po niej oczekiwał. Vlora nie przejęła się tym. Mówiła dalej.

– To świństwo, które mi zrobiłeś w Żółtym Pałacu. Kłapałeś dziobem o naszej przeszłości, patrząc mi w oczy oczami innego mężczyzny. Powiedziałeś, że Palo mnie nienawidzą, bo tak strasznie kochają ciebie.

– Nie skłamałem ani słowem – zaprotestował Taniel.

– I co z tego? Prawda czy nie, mówić takie rzeczy po dziesięciu latach od rozstania to zwykłe świństwo.

Taniel wypchnął językiem policzek.

– Dobrze, przyznaję, były w tym resztki starego gniewu.

– Z gniewem lepiej daj sobie spokój. Podobno nie żyjesz, a teraz co? Znajduję cię tu, pół świata dalej, tkwiącego po szyję w... w czymkolwiek tkwisz. Tyle że ja pracuję dla Lindet już od ponad

roku, więc doceniłabym słowo dobrej rady. Polowałam na Czerwoną Rękę. Miło byłoby wiedzieć, że poluję na ciebie.

– Dla Lindet zabijałaś ludzi, których ja usiłuję bronić.

– Więc jestem twoim wrogiem!

Taniel zacisnął usta, ale nie zaprotestował.

– A ty co? Jesteś teraz Palo?

– Moja żona jest Palo.

Vlora prychnęła pogardliwie.

– Ka-poel... bo zakładam, że mówisz o niej... jest Dynizyjką. Tyle jeszcze pamiętam. Przechowałam twoje listy. Dzięki nim orientowałam się w tym idiotycznym miejscu i... – Wybuchła śmiechem. Nie mogła się powstrzymać. Co za ironia, używać listów Taniela jako wsparcia przy gromieniu ludzi, dla których walczył! Doprawdy, to już przesada!

Opanowała się w końcu, skupiła uwagę. Miliony pytań, owszem, ale przecież tylko kilka jest naprawdę ważnych.

– Palo się organizują. Lindet ma z nimi nie lada kłopoty. Zaczyna się ich bać. To twoja robota? I Ka-poel?

– Można tak powiedzieć. A Pole uważa się za Palo. Wyrosła wśród nich, pamiętaj o tym.

– Jeśli to wy dwoje, to dlaczego tam, na bagnach, nie napotkałam oporu z prawdziwego zdarzenia? Nawet ty potrafiłbyś lepiej to wszystko zorganizować.

Jeżeli Taniel rozpoznał dwuznaczność tego komplementu, to nie dał tego po sobie poznać.

– Według moich obliczeń istnieje przeszło siedemset plemion Palo, rozsianych po całej Fatraście. I jeszcze więcej takich, o których ciągle nic nie wiemy. Zjednoczyć je to problem nie do rozwiązania. Udaje się nam utrzymać łączność z tymi, które żyją w bezpośrednim sąsiedztwie Dorzecza Tristan, ale te dalsze... szkoda gadać.

– Wystarczy wam, że potraficie ich wkurzyć?

– To akurat nie leży w naszych zamiarach.

No tak, jedna sprawa załatwiona.

– Niech ci będzie, że w Dorzeczu Tristan to nie wy. W takim razie co, na otchłań, robicie tutaj? Twierdzisz, że chronisz Palo. Jednocząc ich? Po co?

– Żeby dać im szansę w walce z kresjańskim najeźdźcą.

– Ty jesteś Kresjaninem. – Słyszała gniew w głosie Taniela i sama też go poczuła.

– Zapomniałaś, że ja nie żyję? A Palo potrzebują pomocy w każdej formie. Nie są głupi. Nie brak im odwagi, tylko wojskowych umiejętności. Z umiejętnościami mogliby stanąć naprzeciw Lindet.

– Więc przygotowujesz rewolucję?

Taniel się skrzywił.

– To trochę bardziej skomplikowane.

– Zrób mi tę przyjemność i wyjaśnij.

– Przede wszystkim Lindet jest niezwykle błyskotliwa, a ja nie wydaję takich sądów z lekkim sercem. Jeśli o planowanie chodzi, dorównuje mojemu ojcu.

– Wszyscy wiemy, jaka jest sprytna – przyznała Vlora.

– Nie sprytna. Błyskotliwa. Talent do planowania ma jak marszałek polny Tamas, ale w odróżnieniu od niego nie wie, czym jest sumienie.

– To Tamas miał sumienie?

– W porównaniu z Lindet? Ależ oczywiście!

– Jesteś Taniel przekłete Dwa Strzały. Dlaczego nie wpakujesz jej kuli w głowę? To by rozwiązało wszystkie problemy.

– To właśnie jest ta komplikacja. Lindet ma plan na każdą ewentualność. Jest przygotowana nawet na magów prochowych. Zawsze, ale to zawsze, towarzyszy jej co najmniej dwoje Uprzywilejowanych. Tak, prawdopodobnie zdołałbym ją zabić z pomocą Ka-poel, choć na magię krwi też ma plan. Ale ten kraj jest jak domek z kart. Zabicie Lindet byłoby wyjęciem z niego karty... I wszystko się wali. Już ona tego dopilnowała.

– Myślałam, że obchodzą cię wyłącznie Palo?

Taniel prychnął, zły.

– Obchodzi mnie Fatrasta, ta Palo i ta Kresjan. Losy nas wszystkich są wzajemnie powiązane. Nie obetnę sobie nosa w interesie twarzy. Razem z Ka-poel spędziliśmy ostatnie pięć lat na rozważaniu, jak odsunąć Lindet od władzy, i najlepsze, co wymyśliliśmy, to po prostu rewolucja.

– No proszę, a ja myślałam, że szukacie pokojowej drogi – zakpiła Vlora gorzko. Nie wiedziała, jak ma zareagować na te wyznania, wszystkie wyznania, ale bardzo jej się to nie podobało. Wydawało się jej niemal śmieszne, że przed dziesięciu laty podpisałyby się pod przewrotem obiema rękami. Była pełna ideałów, pełna nadziei, zdeteminowana, dokładnie jak Taniel, jeśli wierzyć jego słowom. To ona się zmieniła, nie on. Nie, to nie jest zabawne, powiedziała do siebie. To jest przerażające.

– Kiedy mnie zależy właśnie na znalezieniu pokojowej drogi – powiedział Taniel z naciskiem. – Zjednoczenie Palo to pierwszy krok do pokojowej rewolucji. Naszym zadaniem jest zapędzić Lindet do kąta. Przez dwanaście lat analizowałem jej działania i chętnie przyznaję, że jest sprytniejsza ode mnie. Ale i ja nie jestem idiotą. Widzę wzór. Wszystko, co Lindet robi, robi dla Fatrasty, ale nie dla ludzi i nawet nie dla kraju, lecz dla idei Fatrasty. Chce, żeby Fatrasta funkcjonowała, i fakt, funkcjonuje, ale tylko dzięki jej sile woli. Jeśli kraj obróci się przeciwko niej, Lindet abdykuje.

Vlora wcale nie była o tym przekonana. Coś w tej rozmowie ją niepokoiło, ale nie potrafiła powiedzieć co.

– Mama Palo była twoim człowiekiem, nie mylę się?

– Tak – przyznał Taniel. – Była moim człowiekiem.

– Pozwoliłeś jej umrzeć.

Taniel patrzył na nią. Twardo.

– Jeśli spojrzeć na to od strony, powiedzmy, technicznej, ty ją zabiłaś. – Przerwał, sapnął przez nos. – Nie widziałem cię. Nie przewidziałem. Czwooro magów prochowych z przewodnikiem Palo atakujących w samym środku Jamy? To było coś dużego, nawet jak na ciebie. Powstrzymałbym cię, gdybym się zorientował na czas.

– Mogłeś ocalić ją od śmierci na szubienicy.

– I co by to dało?

– Ocaliłbyś życie starej kobiety! Uratowałbyś kogoś, kto jednoczył przecież ludzi przeciw Lindet! Czarne Kapelusze nie odniosłyby kolejnego zwycięstwa! – Vlora niemal krzyczała, nagle rozwścieczona, zła na Taniela, że nic nie zrobił, i zła na siebie, że miała swój udział w tym, co się właśnie skończyło.

Taniel przechylił głowę na bok. Jakby coś nie zostało powiedziane.

– O co ci chodzi?

– Ta stara kobieta to nie Mama Palo.

Vlora otworzyła usta i zamknęła je bez słowa. A kiedy już mogła mówić, wybuchła.

– Ty... ty... ty sukinsynu! Ka-poel jest Mamą Palo, prawda?

– Oczywiście. Na szubienicę poszła Cherin-tes. Od samego początku była tylko figurantką. Doskonale wiedziała, co robi. I jeszcze jedno, zanim nazwiesz mnie potworem, bo pozwoliłem jej umrzeć, wiedz, że nosiła we krwi chorobę, która zabiłaby ją w ciągu roku. Znała ryzyko.

– I co teraz z Mamą Palo?

– Minie pewnie kilka miesięcy, ale Lindet zorientuje się w końcu, że chybiła.

– Że ja chybiłam!

– Nie da się ukryć.

Vlora skrzywiła się z niechęcią. Nie podobał się jej pomysł, że wyjedzie z miasta, pozostawiając po sobie plotkę – która oczywiście będzie rosnać – że dała się oszukać, że nie wykonała zadania. Reputacja Strzelców Wyborowych mogła na tym tylko ucierpieć. Poza tym nadal coś ją niepokoiło. Coś nieokreślonego, dokuczliwego, ale niedającego się nazwać. To coś chciało się wydostać na zewnątrz, ale Vlora nie potrafiła ubrać tego czegoś w słowa.

I nagle słowa się znalazły.

– Dynizyjczycy. Meln-Dun. Ludzie-smoki. Jak to wszystko się ze sobą łączy?



Po raz pierwszy od czasu, kiedy wsiedli do dorożki, twarz Taniela skamieniała, a jego oczy zwęziły się niebezpiecznie.

– A to już coś zupełnie innego.

– Masz z tym problem?

– Dynizyjczycy są mądrzy. Jamę infiltrują bardzo subtelnie. Obserwowaliśmy ich, trzymając się na dystans, ale jeśli właściwie złożyłem klocki, jeśli Meln-Dun podstępem skłonił cię do pomocy w usunięciu Mamy Palo...

– Tak właśnie było.

– ...i jeśli ma jakąś umowę z Dynizyjczykami...

– Co do tego nie ma chyba żadnych wątpliwości – znów przerwała mu Vlora.

– ...to razem z Ka-poel będziemy wkrótce musieli przeciw nim wystąpić.

Vlora już współczuła Dynizyjczykom, którzy staną się obiektem tej czystki. Wiedziała, do czego zdolna jest rozgniewana Ka-poel, a jeśli zamaskowanie Taniela traktować jako oznakę jej możliwości, od dawnych czasów poczyniła wielkie postępy.

– Co tu robią? – spytała.

– Nie wiemy – przyznał Taniel.

– Nie wiesz czy nie chcesz mi powiedzieć?

– Jedno i drugie. Mamy pewne podejrzenia, ale...

Vlora czekała, żeby dokończył zdanie. Nie dokończył.

– Nie ufasz mi. – To było twierdzenie, nie pytanie.

– Pracujesz dla Lindet.

– Opowiedziałeś mi o rzeczach o wiele bardziej kompromitujących niż machinacje kilku dynizyjskich szpiegów.

– W porównaniu z naszymi podejrzeniami to, co ci powiedziałem, nie ma wielkiego znaczenia. Poza tym niczego nie wykorzystasz w walce z nami. Czarne Kapelusze od lat próbują złapać Czerwoną Rękę. Żyję tylko dlatego, że nie ma nikogo do złapania.

– Taniel Czerwona Ręka, co?

– Tylko Czerwona Ręka. Pamiętaj, Taniel nie żyje.

To było niepokojące. O co takiego Taniel podejrzewał Dynizyjczyków, jeśli przy tym nawet wojna z Lindet wydawała mu się drobiazgiem?

– Strzelcy Wyborowi nie pracują już dla rządu – powiedziała.

– Doprawdy? – Taniel uniósł brwi z niedowierzaniem.

– Dostali Mamę Palo. Czyli wypełniliśmy warunki umowy. Dostałam propozycję zawarcia kolejnej i odmówiłam.

– Miło mi to słyszeć – powiedział Taniel tak, jakby rzeczywiście było mu miło. Vlora czekała jeszcze chwilę, ale on milczał.

– Więc co to za podejrzenia?

Taniel uśmiechnął się niewyraźnie.

– Nie rozglądasz się przypadkiem za jakąś pracą? – odpowiedział pytaniem.

Vlora nie powinna dać się zaskoczyć, a jednak dała. W głowie się jej zakręciło, musiała odetchnąć głęboko, opadła na oparcie ławki. Musiała odzyskać kontrolę nad sobą. Postanowiła przecież opuścić Fatrastę, zapewne nawet na zawsze, pod koniec tygodnia zamierzała wsiąść na statek.

– Jaką pracą? – spytała słabo.

– Nie jestem jeszcze pewien. W ciągu najbliższych kilku lat mogę potrzebować armii. Ulokowałbym was gdzieś na północy i płacił za gotowość. Pasuje?

Brzmiało to jak marzenie każdego najemnika: pieniądze za oczekiwanie na rozkazy. Nie będą musieli niczego udawać, utrzymywać garnizonu, nic z tych rzeczy. Ludziom nie spodoba się, że przez następne dwa lata nie zobaczą domu, ale z drugiej strony pokochają okazję do terroryzowania burdeli i barów północnej Fatrasty, i to za cudze pieniądze.

– Planowaliśmy powrót do domu – powiedziała głośno.

– Zapłacę wam tyle, ile płaciła Lindet.

– Masz pieniądze?

– Pamiętasz, jak zgodziliśmy się podzielić spadek po wojnie? Ty dostajesz majątności w kraju, ja dostaję zagraniczne?

– Tak – przyznała Vlora. Gdyby chciała, mogłaby zatrzymać cały spadek. Rodzina rozpadła się w czasie wojny, ale pozostała adoptowaną córką marszałka polnego Tamasa, a Taniel został formalnie uznany za zmarłego. Cały majątek Tamasa sprzed wojny należał do Vlory.

– Nie przyszło ci do głowy sprawdzić, ile tego jest?

– Nie przypominam sobie, żebym sprawdzała.

– Tamas miał majątek jak z bajki. Przez niemal całe życie był królewskim faworytem, a jeśli nie musiał, nie zapłacił nawet za szklanekę alkoholu. Za jego zagraniczny majątek mógłbym kupić sobie sułtanat w Gurli. Gdybym chciał.

– Szkoda, że nie wiedziałam o tym, zanim zostałam dowódcą najemników – mruknęła Vlora. Już zastanawiała się, jak należałoby zorganizować wszystko tak, by ludzie nie zmiękli na czymś w rodzaju długoterminowej przepustki, i jak uniknąć pytań Lindet. Północna Fatrasta może i była innym krajem, ale podlegała przecież jej rządowi.

Jednak coś powstrzymywało Vlorę przed pójściem na służbę Taniela.

– Nie mogę – powiedziała głośno.

Taniel miał czelność zrobić obrażoną minę.

– Dlaczego nie?

– Nie dam się wplątać w nową rewolucję.

– Nie będzie żadnego przewrotu!

– Nic mnie to nie obchodzi – powiedziała Vlora stanowczo. – Rewolucja jest rewolucją, a to mnie nie interesuje. Widziałam, co wynika z dobrych intencji. Nie będę przez to przechodzić jeszcze raz, nie narażę żołnierzy.

Taniel milczał. Głęboko zamyślony, przez jakiś czas wpatrywał się w dłonie w czarnych rękawiczkach.

– Jesteś pewna? – spytał w końcu.

– Tak.

Siedzieli w milczeniu, patrzyli sobie w oczy, oceniali się nawzajem. Vlora zastanawiała się, co Taniel przed nią ukrywa,

czego nie mówi? Co wie o Dynizyjczykach, o Palo i Lindet? Co planuje? Taniel nigdy nie był konwencjonalnie ambitny, poza obroną Adro nigdy nie widziała go służącego sprawie, której poświęciłby się cały, więc... jak daleko może się posunąć? I znacznie ważniejsze: jakie są w tej sprawie interesy Ka-poel i jakie stawia ona cele przed sobą?

Na końcu języka miała dziesiątki takich pytań, a obaw setki. Taniel zachowywał twarz jak przy kartach, ale kiedyś znali się bardzo blisko, więc może udałoby się Vlorze przewidzieć jego intencje? Tak naprawdę groźna była Ka-poel – dlatego, że dysponowała taką potęgą, i dlatego, że była całkowicie nieprzewidywalna.

Co oni tu robili? Po co prowadzić walkę dla ludzi, którzy nie wygrają przecież bitwy, jeśli jej nie chcą? Vlora uznała, że odpowiedź zawarta jest w pytaniu: Taniel i Ka-poel byli jedyną nadzieją Palo. Ale być może było w tym coś jeszcze?

Vlora uświadomiła sobie nagle, że przez ostatnie kilka minut dorożka nie poruszyła się ani o cal. W gardle zaschło jej momentalnie, instynkt podpowiadał, że przede wszystkim musi się strzec zasadzki.

– Chcę wrócić do fortu – powiedziała.

Taniel skinął głową z widocznym smutkiem. Zastukał w dach pojazdu.

– Fort Loel – zakomenderował.

– Nigdzie nie pojedziemy, panie – odpowiedział dorożkarz. – Ulica jest zablokowana.

Vlora wychyliła głowę przez okno. Spojrzała w górę i w dół ulicy, na długą kolejkę dorożek, powozów i wozów z towarami. Woźnice wrzeszczeli na siebie, a niektórzy wspinali się na kozły, żeby zobaczyć, co spowodowało zator. Ulicznicy przemykali pod kołami, wykorzystując okazję do drobnych kradzieży, a potem znikali w bocznych alejkach. Ich miejsce natychmiast zajmowali następni.

– Co się dzieje?

– Nie jestem pewien, pani.

Vlora przygryzła dolną wargę. Powtarzała sobie, że to tylko zbieg okoliczności, że nie ma nic wspólnego z nią ani z Tanielem, że to nie pułapka. Że to tylko nerwy.

– Gdzie jesteśmy?

– Po wschodniej stronie, dokładnie nad zatoką.

Ponad dwie mile na piechotę od Fort Loel, a po południu upał jeszcze się zwiększył.

– Zobaczę, co się dzieje. – Taniel wyskoczył z dorożki. Vlora też wysiadła, zapłaciła woźnicy i pobiegła za nim.

– Wracam do moich ludzi – powiedziała, kiedy się zrównali. – Olemowi przyda się pomoc w organizowaniu naszego powrotu do Dziewięciu. Nikt nie wie, jak trudno jest przemieścić całą brygadę, póki nie obejmie jej dowództwa.

– Tamas kochał takie zabawy. – W głosie Taniela brzmiał smutek. Szedł szybkim krokiem, postukiwał laską o bruk, marszczył czoło, uważnie przyglądał się dachom mijanych budynków. Przeciskali się przez tłum. Od oceanu powiał silny wiatr, omal nie zwiewając Vlorze kapelusza z głowy.

Taniel zatrzymał się nagle, obrócił twarzą do niej.

– Nie jestem twoim wrogiem – powiedział.

– Wzajemnie.

Stali, mierząc się wzrokiem. Nie jesteśmy wrogami, pomyślała Vlora, ale doprawdy trudno nazwać nas przyjaciółmi.

– Miło mi to słyszeć. Czy Olem wie, że żyję?

– Wie.

– Pozdrów go ode mnie. Skonsultuj się z nim, jeśli uważasz to za właściwe. I przemyśl jeszcze raz moją ofertę.

Vlora ugryzła się w język. Wiedziała, że Olem zgodzi się z jej decyzją, jakakolwiek by była. Poza tym, chociaż nienawidził statków i nie tęsknił za długą drogą do domu, wiedziała, że chętnie znów zobaczy Dziewięć.

– Porozmawiam z nim – obiecała.

– Dziękuję. – Taniel uśmiechnął się do swoich myśli. – Wiesz, czasami żałuję, że nie pozostałem wśród żywych. Że nie wycofałem

się z życia publicznego, nie wróciłem do normalnego świata. Żałuję, że nie zostałem sobą, że nie chodzę w gości i nie przyjmuję gości, że nie mogę z Ka-poel odwiedzić ciebie i Olema, pójść z wami na kolację do klubu w porcie Adro. Żałuję, że nie mogę normalnie żyć.

– Obawiam się, że żadne z nas nie poradziłoby sobie z normalnym życiem.

– Nie, zapewne nie. Ale...

Taniel umilkł. Rozmawiali, idąc, i choć szli powoli, znaleźli się już prawie na krawędzi płaskowyżu Landfall. Na ulicach zgromadził się tłum, ludzie przerzucali się głośnymi uwagami, wskazywali palcami coś w leżącym niżej porcie.

Nie, uświadomiła sobie Vlora. Oni nie wskazywali na coś w dokach, tylko dalej, poza zatoką, na granicy otwartego morza. Przepchnęła się do pierwszego rzędu, wyciągnęła szyję.

Mniej więcej pół mili od linii brzegowej na wodzie unosił się statek, ogromny trzypokładowy okręt wojenny, z armatami na wszystkich pokładach i forkasztelem wielkości kamienicy. Szare żagle miał opuszczone, nawet stąd widziała drobne figurki biegające po pokładach.

– Dlaczego nie wchodzą do portu? – zdziwiła się.

– Spójrz na ich banderę. – Taniel stał u jej boku. Powiedział to dziwnie cicho.

– A co jest dziwnego w tej banderze?

Vlora uniosła głowę. Poczekała, aż wiatr rozwinie banderę na szczycie najwyższego masztu. Była czarna, z grupą czerwonych gwiazd przecinających łukiem jej środek.

– Och!

To nie były barwy Adro, Kezu czy Brudanii, ani żadnego innego kraju Dziewięciu. To nie były barwy prowincji gurlańskiej ani żadnej innej potęgi kolonialnej znanego świata.

To były barwy Imperium Dynizyjskiego.

– Użyj prochu – w głosie Taniela brzmiała niecierpliwość.

– Dlaczego?

– Nie pytaj, tylko zrób to.

Vlora wyjęła z kieszeni ładunek prochowy, przecięła jego koniec paznokciem, zażyła w obie dziurki od nosa. Przetarła nos, a resztę ładunku schowała do kieszeni na piersi. Po kilku chwilach jej zmysły wyostrzyły się, a pojedynczych członków załogi widziała tak wyraźnie, jakby dzieliło ich zaledwie parę stóp. Przygotowywali się właśnie do spuszczenia na wodę łodzi. Dziwne było widzieć jednostkę, której cała załoga była ruda i miała piegowatą skórę. Cała załoga Palo... Musiała przypomnieć sobie, kto jest tubylcem Fatrasty, a kto nim nie jest.

– Na co mam patrzeć? – spytała.

– Na horyzont.

Vlora posłusznie spojrzała w dal, a to, co zobaczyła, odebrało jej dech. Daleko, o całe mile za widocznym dla wszystkich okrętem, tak daleko, że nawet przez dobrą lunetę trudno byłoby je zobaczyć, kołysały się na falach kolejne okręty. Było ich kilkadziesiąt, może czterdzieści, może więcej, a nad każdym powiewała maleńka z tej odległości czarna bandera z czerwonymi plamkami. Bandera Dynizyjczyków.

– Od kiedy to Dynizyjczycy przekraczają granicę swego kraju? – rzucił ktoś stojący obok niej.

Vlora oblizwała wargi.

– Od kiedy – spytała Taniela bardzo cicho – Dynizyjczycy mają flotę?

– Nie mają. – Taniel nie ukrywał zdumienia. – Nie powinni mieć. To zmienia wszystko.

Vlora pobiegła. Nie pofatygowała się nawet zatrzymać dorożki, tylko pędziła ulicą w nienaturalnym tempie, możliwym tylko dzięki transowi prochowemu, ignorując okrzyki mijanych ludzi. Musiała dotrzeć do swoich Strzelców Wyborowych i do Olema.

Jak najszybciej.

Taniel miał rację. To zmieniało wszystko.



## 48 ROZDZIAŁ

**S**tyke siedział w kącie pokoiku lady Krzemień w baraku administracyjnym Fort Loel. Na kolanach trzymał pożyczony nóż, huśtał się na tylnych nogach krzesła, głowę miał odchyloną, oczy zamknięte. Czekał na powrót pani generał z egzekucji Mamy Palo. Ibana chodziła tam i z powrotem z kciukami wsuniętymi za pas. Nie zatrzymała się ani na chwilę.

– To bardzo zły pomysł – powtórzyła po raz nie wiadomo który.

– Już to mówiłaś – zwrócił jej uwagę Styke.

– I mówię jeszcze raz. Nie mogłeś posłać jej zwykłego przeklętego listu albo coś?

Otworzył oczy, ale nie opuścił wzroku. Wpatrywał się w spękany gipsowy sufit, słuchał skrzypienia krzesła, protestującego przeciw ciężarowi i takiemu traktowaniu. Zakołysał się znowu.

– Mogłem. Ale nie wysłałem.

– Jakbym nie wiedziała! – warknęła Ibana.

Styke zaczerpnął powietrza i wypuścił je, aż zabrzmiało to jak westchnienie. Ibana miała oczywiście rację. To był bardzo zły



pomysł. Przed walką z Jesem Olem powiedział przecież, że Styke nie jest tu mile widziany i że żołnierze mają rozkaz go aresztować. Ostatnie, czego potrzebował, to sprowokować ich do próby jego wykonania i zakończenia spotkania walką. Powinien zostawić Ibanę z lansjerami.

– Posłuchaj – powiedział – jeśli chcesz, żebym objął dowództwo Szalonych Lansjerów, to dobrze, ale muszę przedtem zakończyć kilka spraw.

Dokładniej rzecz ujmując, musiał zakończyć dwie sprawy. Z pierwszą uporał się niedługo po rozmowie z Lindet – list do Tamy pozostawił pod jedynym adresem, który dał mu prawnik: w skrytce bankowej w zachodniej części płaskowyzu. Teraz zamierzał skończyć tę drugą, którą nie wiedzieć dlaczego uznał za ważniejszą. I którą z jakiegoś głupiego powodu uparł się załatwić osobiście.

Ibana już miała odpowiedź na końcu języka i po wyrazie jej twarzy widać było, jaką ma ochotę się kłócić, kiedy na placu apelowym wszczęło się jakieś zamieszanie. Oboje zamarli, Styke powoli opuścił przednie nogi krzesła na podłogę i wstał z nożem w dłoni.

– Gdzie Olem? – dobiegł ich głos lady Krzemień.

Styke nie zrozumiał ani odpowiedzi, ani serii wydawanych rozkazów, choć wyraźnie słyszał, że pani generał się zbliża. Przygotował się na najgorsze, a Ibanie nakazał gestem odsunąć się od drzwi.

Lady Krzemień stanęła na progu. Przez ramię rzucała ostatnie polecenia.

– Zbiórka na placu! Wysłać posłańców do Fidelisa Jesa i do Lindet z informacją, że muszę z nimi rozmawiać.

– Z kim najpierw? – spytał ktoś.

– Z obojgiem. Obojętne. Wszystko jedno!

Weszła i zamarła na widok Ibany, a moment później dostrzegła także Styke'a. Pistolet sam wskoczył jej w dłoń, w gardle miała już okrzyk o pomoc, ale Styke ją uprzedził.

– Proszę zaczekać! – warknął.

Przez bardzo długie, pełne napięcia chwile wpatrywał się w wylot lufy. Widział, że Ibana gotowa była skoczyć do walki, gdy tylko nadarzy się okazja, choć miał też nadzieję, że nikt nie zrobi niczego nieodwracalnego. A potem, bardzo powoli, lady Krzemień zdjęła palec ze spustu.

– Co tu robicie? – spytała.

– Przyszliśmy porozmawiać. – Styke pokazał Ibanie gestem, że może się już odprężyć.

– Akurat teraz wszyscy chcą ze mną rozmawiać! To zaczyna się robić męczące. Jak się tu dostaliście?

– Olem nas wpuścić.

Generał klęła przez chwilę, niegłośnie, lecz barwnie, a potem opuściła rękę z pistoletem.

– Nadal mogę zastrzelić was oboje – ostrzegła. – Kim ona jest?

Nie był to dobry początek, ale Styke uznał, że i tak lepszy od kuli między oczy.

– Moim zastępcą. To Ibana ja Fles.

– Płatnerz?

– Tak – odpowiedziała Ibana.

– Mam jeden z waszych noży. Dobra robota, bardzo dobra. O, na otchłań, aleś ty wysoka. Niech cię otchłań, Styke, dwoje gigantów naraz to dla mnie trochę za wiele.

Ibana zacisnęła wargi, ale widać było, że się rozluźnia. Styke odetchnął z ulgą. Nie ma jak komplement na schłodzenie rozgrzanej atmosfery.

– Dobrze. Jeśli Olem was wpuścić, to znaczy, że uznał wasze sprawy za ważne. Macie pół minuty. Jestem trochę zajęta.

Styke odetchnął głęboko. Ciekawe, pomyślał, dlaczego niektóre słowa tak łatwo się wypowiada, a inne bardzo trudno. Zerknął na Ibanę. Odpowiedziała mu spojrzeniem tak niecierpliwym, że od razu zrozumiał – z tej strony nie dostanie pomocy. Odchrząknął.

– Chciałem przeprosić.

– Za to, że mnie podszedłeś, że zatrudniłam skazańca i że wysłałam na głupca przed pracodawcami?

– Nie, nie za to.

W oczach lady Krzemień pojawił się wyraz zdumienia. Nie takiego przebiegu rozmowy oczekiwała. Zamknęła drzwi ostrożnie, żeby nie trzasnęły, oparła się o nie plecami, w ręce nadal trzymała pistolet. Była niewysoka, dwie stopy niższa od Ibany i takie blokowanie wyjścia niektórym mogłoby wydać się zabawne, ale Styke dobrze wiedział, na co stać tę kobietę.

– Więc za co? – spytała głosem bez wyrazu.

– Kiedy mnie najęłaś, oszukałem cię, ale nie tak, jak myślisz. Nie uciekłem ze Słodkiego Jutra, chociaż Jes przedstawił ci to w ten sposób. Zostałem zwolniony.

Rozważał przez chwilę, co jeszcze powinien powiedzieć. Zdecydował, że owszem, Tampie zawdzięcza wolność, ale lady Krzemień – dumę. Po dziesięciu latach w obozie mógł się spodziewać, że odzyska wolność, ale nie, że odzyska dumę.

– Nadal cię słucham.

– Z obozu uwolnił mnie prawnik, Gregious Tampo. Dał łapówkę za zwolnienie warunkowe, ale postawił mi warunek: w zamian za wolność miałem zacząć pracować dla ciebie. Chciał, żebym cię pilnował, strzegł na wypadek jakichś kłopotów, a kiedy przestaniesz mu być potrzebna, żebym cię zabił.

Zdumiał go sposób, w jaki lady Krzemień zareagowała na te słowa. Szczeka jej opadła, zmarszczyła brwi, uniosła głowę i westchnęła głośno, gniewnie. Nie takiej reakcji można się było spodziewać. Podrapała się po głowie lufą pistoletu, a potem znów go opuściła.

– Powiedział ci tak po prostu, że chce mnie widzieć martwą?

Przyglądał się jej nieufnie. Była dziwnie spokojna, nie zachowywała jak ktoś, kto właśnie dowiedział się, że zdradzono jego zaufanie.

– Nie – przyznał. – Ale jego cel ostateczny wydawał się oczywisty. Do czegoś mu byłaś potrzebna. Nie dostałem polecenia poderżnięcia ci gardła, co mnie przekonuje, że nadal jesteś. Przeszedłem ostrzec cię, póki czas.

– Przyjmuję wyjaśnienie.

– To chyba wszystko. – Wstał. Wsadził nóż za pas. – Po prostu uznałem, że powinnaś wiedzieć. – Czuł się dziwnie. Przyjemnie, ale dziwnie. Nie był przyzwyczajony ani do przeproszania, ani tłumaczenia motywów swych czynów. W starym życiu nie musiał, a w obozie nikogo to nie obchodziło. – Mówisz, że jesteś zajęta, więc już sobie pójdziemy...

Lufa pistoletu uniosła się, wymierzyła najpierw w niego, potem w Ibanę. Styke zamarł. Widział, jak Ibana zaciska dłoń na rękojeści miecza.

– Nigdzie nie idziecie. Ani ona, ani ty.

– Mówiłam – warknęła Ibana do Styke’a.

– Zamilknij. Nie chcę z tobą walczyć, pani generał. Przyszedłem w dobrej wierze.

– Ja ci nic nie obiecywałam. A jeśli myślisz, że nie jestem wkurzona, bo przyjechałam w swoje szeregi szpiega, to, na otchłań, jakże się mylisz! Ale ja też nie chcę się bić. – Zacisnęła wargi w cienką linię, lecz jednocześnie opuściła lufę. – Szanuję cię za to, że wróciłeś. Powinnaś pociąć cię na paski, ale nie zrobię tego i nawet powiem ci dlaczego: Tampo nie chce widzieć mnie martwej.

Styke i Ibana wymienili błyskawiczne spojrzenia.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Stąd, że Gregious Tampo to nie żaden Gregious Tampo, tylko mag prochowy znany pod imieniem Taniela Dwa Strzały, który wszystkich w tym mieście radośnie wystrychnął na dudka.

Styke zdołał zaledwie chrząknąć z niedowierzaniem. Musiał jakoś przetrwać tę informację. Pamięć miał raczej przeciętną, jednak walczył u boku Taniela na wojnie. Gregious Tampo z całą pewnością nim nie był.

– Dwa Strzały nie żyje. Sama to powiedziałaś.

– Upozorował swoją śmierć pod koniec wojny Adro z Kezem. – Lady Krzemień wsadziła wreszcie pistolet za pas, a potem niuchnęła odrobinę prochu. Głos już jej nie drżał. – On i Kościane Oko, którą poznałeś podczas wojny, są tu, teraz.

Styke oblizał wargi. Przypomniął sobie spotkanie z Tampą.

– Nie – powiedział zdecydowanie. – Wyczułbym to. Mam Zdolność wyczuwania magii.

– Ka-poel jest silniejsza niż ktokolwiek, kogo do tej pory poznałeś.  
– Głos lady Krzemień brzmiał tak, jakby bardzo tego żałowała. – Zmyliła twoją Zdolność, oszukała moje wewnętrzne oko. Nabrała całe mnóstwo ludzi, ale tak czy inaczej, Tampo, a właściwie Taniel nie chce mojej śmierci. Wysyłając cię, żebyś miał na mnie baczenie, uważał zapewne, że mnie chroni.

Doprawdy trudno uwierzyć w coś takiego! Ibana chyba nie uwierzyła, on też miał z tym pewne problemy. Magia Uprzywilejowanych mogła osłaniać przed Nieświatem, ale było to niezwykle trudne. Nosić cudzą twarz przez tak długi czas, żeby nie dało się tego wykryć?! Być może cała kamaryla Uprzywilejowanych byłaby w stanie tego dokonać? A zrobiła to, jeśli lady Krzemień się nie myli, w pojedynkę Kościane Oko!

Styke nie miał pojęcia, jaki interes miałyby pani generał we wprowadzaniu go w błąd.

– Czy ma to oznaczać, że między nami wszystko jest już w porządku? – spytał niepewnie.

– Tak daleko bym się nie posuwała. Ale skryta ochrona jest lepsza od skrytobójcy. – Jej oczy rozszerzyły się nagle. – Na otchłań, nie mam na to czasu! – warknęła, otworzyła drzwi, zawołała Olema i spojrzała na Styke'a. – Walczyłeś z Fidelisem Jesem?

– Walczyłem – przyznał, krzywiąc się.

– I przegrałeś?

– Wysłał mnie do obozu, ciężko poturbowanego.

Obejrzała go sobie dokładnie.

– Nie wyglądasz mi na poranionego.

– Uratowali go Szaleni Lansjerzy – wtrąciła Ibana. – Jak by to powiedzieć... Porwaliśmy Uprzywilejowanego, żeby go podleczył.

– Porwaliście Uprzywilejowanego... Och, przekłęci szaleńcy! No dobrze, wiemy przynajmniej, na czym stoimy. Udało ci się

dowiedzieć czegoś więcej o Dynizyjczykach, nim zaczął się cały ten obłąd?

Styke pokręcił głową. Widział po jej oczach, że przeszła do porządku dziennego nad zdradą i przeprosinami i że teraz chodzi jej o coś zupełnie innego. Potrafiła doskonale dzielić zadania, a kiedy się już czymś zajęła, nie dawała się zbić z tropu. Powinien pamiętać, by ani na chwilę nie uwierzyć, że kiedykolwiek jeszcze w przyszłości mu zaufa.

– A wiesz coś o flocie Dynizyjczyków, czającej się tuż za granicą zatoki?

– Co? – nie wytrzymała zdumiona Ibana.

Styke zdołał zachować kamienną twarz, ale czuł się tak, jakby właśnie otrzymał potężny cios w żołądek.

– To niemożliwe – wykrztusił.

– Równie niemożliwe jak to, że Taniel Dwa Strzały żyje – stwierdziła lady Krzemień sucho. – A jednak żyje. I flotylla istnieje. Co najmniej czterdzieści okrętów wojennych plus nie mam pojęcia ile fregat wsparcia.

– Dynizyjczycy nie wychylili nosa ze swego kraju przez przeszło sto lat!

– Powiedz mi coś, czego nie wiem.

– A skąd w ogóle wzięli okręty? – zdziwiła się Ibana.

– Rzeczywiście, interesujące – skomentowała jej uwagę pani generał – ale na razie ważniejsze to dowiedzieć się, po co ta flota przypłynęła.

Rozległo się pukanie do drzwi. Styke aż podskoczył, dopiero teraz uświadomił sobie, że cały czas ścisnął rękojeść noża.

Do pokoju zajrzał Olem.

– Vloro... – powiedział, zanim dostrzegł Styke'a i Ibanę. – Ach! Ciągłe tu jesteście!

– Owszem, ciągle tu są. – Głos lady Krzemień ociekał jadem. – Na ten temat porozmawiamy później.

– Jasne. – Pułkownika nic nie było w stanie wyprowadzić z równowagi. – Najpierw porozmawiajmy o Fidelisie Jesie. Właśnie

pojawił się na naszym placu apelowym.

Styke był już w połowie drogi do wyjścia, zanim w ogóle zdał sobie sprawę, że się porusza. Vlora zatrzymała go, kładąc mu dłoń na piersi. Zdumiewająco silną dłoń.

– Nie! – warknęła.

Styke zaciskał i rozluźniał pięść. Teraz miał szansę: uzdrowiony, wypoczęty, wściekły i uzbrojony. Nie obchodziło go, ilu Czarnych Kapeluszy Jes przyprowadził ze sobą, wraz z Ibaną poradzą sobie z dowolną ich liczbą... A później osobiście wycisnie oczy z czaszki tego człowieka. Próbował iść dalej, ale Ibana objęła go wpił i odciągnęła siłą, a gdy na nią zawarczał, uderzyła go w twarz. To wystarczyło, by wróciły mu zdrowe zmysły. Odszedł w kąt i tylko spode łba przyglądał się kobietom.

– Czego chce? – spytała lady Krzemień. – Chodzi mu o tę armadę?

– Owszem – przytaknął pułkownik.

Vlora wahała się przez dłuższą chwilę, a potem podjęła decyzję. Wymierzyła palec w Styke'a.

– Zostajesz tutaj. Jeśli choćby wystawisz stopę za drzwi, wsadzę ci kulę w łeb. Olem, wpuść Jesa do baraku.

Znikła. Styke i Ibana znów pozostali sami. Olbrzym oddychał głęboko, odzyskał kontrolę nad sobą, a potem uwolnił się z objęć Ibany.

– Już w porządku – powiedział cicho.

Zamierzał wpaść do fortu, przeprosić i zniknąć, a teraz siedział tu przymusowo, a tuż obok miał swego największego wroga. Powinien opracować lepszą taktykę odwrotu. Powoli podszedł do ścianki i przyłożył do niej ucho.

Usłyszał trzaśnięcie drzwi, a potem chłodne powitanie.

– Co się dzieje? – spytała szeptem Ibana, która nagle znalazła się obok Styke'a.

Słuchał, ale wychwytywał tylko część rozmowy.

– Jes mówi jej o flotyli. Chyba chce ją wynająć.

– Ona już dla niego nie pracuje?

– Nie. Lindet mi powiedziała. Mieli kontrakt tylko na Mameę Palo.

– To masz szczęście – prychnęła. – Gdyby współpracowali, toby nas mu przekazała. Albo przynajmniej próbowała.

– Nie sądzę – odparł i zaraz umilkł, ale nie udało mu się podsłuchać niczego więcej. – To co robimy? – spytał.

– Co robimy z czym? Z Jesem? Zabijemy go, a jego skórę wyprawimy ci na siodło.

Styke przewrócił oczami.

– A ludzie twierdzą, że to ja mam problem z kontrolą agresji. Co robimy z Dynizyjczykami!

– Niech się walą! My walczymy z Czarnymi Kapeluszymi!

Teraz Styke pochwycił Ibanę. Zaciągnął ją w najdalszy kąt pokoju, gdzie nikt nie mógł ich usłyszeć.

– Jeśli to prawda, jeśli rzeczywiście nadpłynęła dynizyjska armada, to, co się dzieje, jest większe od ciebie, ode mnie i od wszystkich Szalonych Lansjerów razem wziętych.

Przypomniał sobie, co mu powiedziała Lindet: żeby obserwował horyzont. Czyżby wiedziała, co nadchodzi?

Ibana odsunęła się, spojrzała na niego z góry.

– A co ty o tym sądzisz?

– Myślę, że powinniśmy przyczaić się na kilka miesięcy. Obserwować, co się dzieje. Może się zdarzyć i tak, że Szaleni Lansjerzy będą mieli ważniejsze rzeczy do zrobienia niż szlachtowanie Czarnych Kapeluszy.

– Pozwolisz, żeby upiekło się im to, co ci zrobili?

– Na otchłań, nie! Bardzo chcę dostać to siodło, które mi właśnie obiecałaś. Ale sformowałem Szalonych Lansjerów do ochrony Fatrasty, a nie osobistej zemsty.

– No, powiedzmy, że i dla tego, i dla tego.

Przygryzł policzek od środka.

– Słusznie – przyznał. – Masz rację. Ale sytuacja się zmienia. – Przerwał, jakby w głowie zaświtała mu nagle jakaś myśl. Powtórzył w pamięci swoją rozmowę z Lindet. – O, na otchłań – szepnął. – Lindet musiała wiedzieć, że nadpływają!

– Jak to? – zdziwiła się Ibana.



– Poleciała mi, żebym obserwował horyzont. I powiedziała, że Fatrasta jest zagrożona, jak nigdy nie była, i że ona osobiście nie sądzi, by była na to przygotowana. Myślałem, że chce mnie zmylić, a ona mówiła o Dynizyjczykach! – Teraz był już tego pewny. Przeklinał lady kanclerz w myślach. – I co jej szkodziło? Przecież mogła powiedzieć wyraźnie!

– Dlaczego tego nie zrobiła?

– Uznała, że nie muszę wiedzieć – w głosie Styke’a brzmiała gorycz. – Zdajesz sobie sprawę, że jestem jedynym człowiekiem na całym świecie znającym datę jej urodzin? Mówi tylko to, co uważa za istotne. Ostrzegła, ale nie wprost. I...

Drzwi otwarły się, Styke umilkł, nie kończąc zdania. Chwycił nóż, ale to tylko lady Krzemień wróciła do pokoju z grymasem na twarzy. Wyglądała na pięć lat starszą, niż kiedy stąd wychodziła.

– Jes odszedł?

– Tak.

– Czego chciał? – spytała Ibana.

Vlora przeszła między nimi, jakby nie istnieli. Opadła na krzesło za biurkiem. Pojawił się Olem, przystanął tuż przy wyjściu. Oboje nie wyglądali na szczęśliwych.

Milczenie przerwała lady Krzemień.

– Potrzebuję was i waszych ludzi – powiedziała po prostu.

– Że co? – Ibana nie była zachwycona.

Vlora mówiła głosem bez wyrazu.

– Dostaniecie konie i wyposażenie. Chcę, żebyście ruszyli na północ w ciągu godziny. W Jedwar mamy ośmiuset kirasjerów i trzystu dragonów. Styke, obejmiesz nad nimi dowództwo i sprowadzisz ich do miasta.

– Dlaczego...? – Styke poczuł nagły ucisk w piersi.

– Dlatego, że właśnie dostałam pod rozkazy armię Fatrasty. Ta flota niepokoi Lindet, nawet bardzo. Jestem jedynym faktycznym dowódcą miejskiego garnizonu, czyli sprawuję komendę nad obroną miasta.

– Dojdzie do walk?

– Tego nie wiemy, ale Lindet nie zamierza ryzykować. Nie ma nikogo lepszego ode mnie.

– A Jes? – spytał Styke.

Głowa pani generał obróciła się powoli, a jej spojrzenie uderzyło Bena z taką siłą, że aż cofnął się pół kroku.

– Ty i Czarne Kapelusze odłóżcie swe spory na bok do czasu ustania zagrożenia.

– Na otchłań, mowy nie ma! – parsknęła Ibana.

– Na otchłań! Odłóżcie! – To było stwierdzenie faktu. Rozkaz został wydany. Ibana skrzywiła się, ale jej głos wyraźnie złagodniał.

– To Jesa powinnaś się obawiać – ostrzegła.

Styke przyglądał się kobietom zdumiony i tylko czekał, kiedy się pobiją. Za jego pamięci nie zdarzyło się, żeby ktoś odezwał się tym tonem do Ibany i przeżył, by o tym opowiedzieć. Tymczasem teraz Ibana stała spokojnie, zamieniona w słuch. To był dobry znak.

– Póki dowodzę, Jes będzie mi schodził z drogi, inaczej postawię go przed plutonem egzekucyjnym, zanim Lindet zdąży kichnąć. A wy dwoje albo wykonujecie moje rozkazy, albo won stąd. Mam poważną robotę do zrobienia.

Styke zerknął na Ibanę, a potem opuścił wzrok na swoje dłonie. A więc jednak! Miał w zasięgu ręki wszystko, o czym mógł zamarzyć: zadanie do wykonania, konie i wyposażenie dla oddziału, prawdziwy cel w życiu. Tylko zacisnąć garść.

Odłożyć na bok dekadę nienawiści.

Od dziesięciu lat nie siedział w siodle. Tej nocy strasznie rozboleła go jaja.

– Ruszamy natychmiast – powiedział głośno.

Lady Krzemień tylko skinęła głową, jakby przyjęcie jej oferty było zwykłą formalnością.

– Doskonale. Major Fles, pułkownik Styke, miło mi powitać was w szeregach Strzelców Wyborowych. A teraz, proszę, obejmijcie wasze dowództwo.



## 49 ROZDZIAŁ

Jak jej na imię?  
Styke stał na brzegu wydeptanej ścieżki pośrodku małego miasteczka położonego na bagnach na południe od Landfall, przesuając powoli kciuk po chrapach wierzchowca. Jego uwagę przyciągał wschód, głowę miał uniesioną, cały czas wypatrywał, czy nie zbliża się do nich ktoś z miasta. Celine dosiadała konia. Delikatnie głaskała jego grzywę.

– To nie ona, to on. – Styke obejrzał się przez ramię. Dziewczynka tylko przytaknęła, jakby wiedziała to od początku. – To wałach i jeszcze go nie nazwałem.

– Jakiej rasy?

Spojrzał na konia, nadał gładząc go po chrapach.

– Jest mieszanej krwi. Zdecydowanie bruduński pociągowy, ale...  
– Zastanawiał się przez chwilę. Przesunął dłonią po grzbiecie wierzchowca. Znów czuł pod palcami szczecinę, cóż za przyjemność! Zdecydowanie za wiele czasu minęło, odkąd po raz ostatni jeździł konno. Ściągał wodze tak mocno, że pozostawiły mu odciski, skóra

na wewnętrznej części ud piekła nieznośnie już po kilku milach, ale to był dobry ból.

Ten ból przypominał mu, że jest wolnym człowiekiem.

– Zad ma nieco węższy niż u chabet pociągowych – mówił dalej. – I zwróć uwagę na umaszczenie. Kary z brązowymi plamami na szyi i białymi na zadzie, to się rzadko spotyka. Przede wszystkim u gurlańskich wyścigowych.

– Tata postawił kiedyś na wyścigach na gurlańskiego konia.

– I co?

– Stracił kilkaset krana. Powiedział, że zakłady są dla głupców. Wrzucił kapelusz do Hadshaw.

Styke parsknął.

– Każdy kiedyś się tego nauczy. – Pogładził wierzchowca po szyi. Nadal zachwycał go ten dotyk. Kwatermistrz lady Krzemień powiedział, że to największe zwierzę, jakim dysponuje, i najwredniejsze, ale po krótkich negocjacjach w stajniach Styke i koń doszli jakoś do porozumienia. Nie był tak wielki jak Dasher i z pewnością nie tak silny, ale miał w sobie to coś. – Chcesz nadać mu imię?

– Może Skarb?

– Nie ma mowy!

– Cudo?

– Co ci chodzi po głowie?

– Tata mówił, że cuda się...

– Aha, tata. Dobrze już, dobrze. Cudo... A jak ci się podoba Amrec?

– Ale to imię dla chłopca!

– On jest chłopcem. A przynajmniej był. – Wyjął z kieszeni marchewkę, w którą zaopatrzył się u handlarza przed wyjazdem z miasta. – Smakuje? – Chwytnąjąc przysmak, wałach omal nie odgryzł mu palców, więc Styke szarpnął wodze, ale niezbyt mocno. – Tego nie będę tolerował, rozumiesz? – pouczył Amreca.

Znów spojrział w stronę Landfall. Byli już kilka mil za miastem, przed oczami mieli wyrastający z błot płaskowyż, drżący w mgiełce popołudniowego upału. Amrec oganiał się ogonem od

wszechobecnych much. Styke znalazł jeden z niewielu na równinie pagórków, miał z niego dobry widok na drogę. Czekał, patrzył i myślał.

Ibana miała poinformować Szalonych Lansjerów, że znów są wojskiem i że nie będą gnębić Czarnych Kapeluszy, przynajmniej na razie. Cichy głos w głowie powtarzał Styke'owi, że nic z tego nie będzie. Że lansjerzy, zagniewani, rozjadą się do domów. Że nie będą chcieli już służyć pod jego dowództwem, że dla nich liczył się dziś tylko rozlew krwi.

Nawet gdyby tak się stało, nie miałyby do nich pretensji. Czarne Kapelusze nie tylko ich pokonały, zniszczyły także ich domy i biznesy, a niemal wszystkim połamały kości. Jego ciało połatał Uprzywilejowany, reszta po prostu cierpiała. Przez dziesięć lat ci ludzie próbowali do czegoś dojść, a stracili wszystko, bo ich dowódca ośmielił się wymknąć z obozu pracy.

Styke zastanowił się przelotnie, czy gdyby wiedział, że ich zrujnuje, przyjąłby ofertę Tamy. Uznał, że tak, zdecydowanie tak. Przyjąłby.

– Najdotkliwsze cierpienie to zawsze twoje własne – burknął pod nosem.

– Co? – zainteresowała się Celine.

– Nic. Masz. – Sięgnął do kieszeni po ostatnią marchewkę. – Daj ją Amrecowi. Mów do niego.

– Zostaniemy przyjaciółmi?

– Z mojego doświadczenia wynika, że nic tak nie cementuje przyjaźni, jak coś dobrego do przegryzienia.

Mała grupa konnych wyjechała za przedmieścia Landfall. Kierowali się na północ, w ich stronę. Odczekał, aż rozpoznał w nich Czarne Kapelusze, a potem pociągnął wodze Amreca. Zaprowadził go za wioskę. Miał nadzieję, że patrol minie ich bez zatrzymywania.

Jeśli reszta lansjerów się wycofa, czy Ibana pójdzie za nim? Nie wyglądało na to, by czas ją zmienił, ale dziesięć lat ma swój ciężar, a w dodatku, kiedy rozstali się z lady Krzemień, aż gotowała się z wściekłości. Klęła i wrzeszczała, potem wyszła, trzaskając

drzwiami, i tylko krzyknęła mu na odchodne, gdzie ma oczekiwać na spotkanie.

Więc czekał. Miał przy sobie dziecko, miał konia i miał nadzieję, że banda podstarzałych weteranów uzna go za wystarczająco dobrego, by znów oddać się pod jego komendę.

Słońce powiedziało mu, że jest już po siódmej wieczorem. Jego ludzie powinni zjawić się tu przed godziną. Wygląda na to, że będą musieli jechać do późnej nocy, by dotrzeć do Jedwar i przejąć kawalerię Strzelców Wyborowych.

Styke kopnął kupkę ziemi. Położył dłoń na boku Amreca, bardziej, żeby uspokoić siebie niż konia. Ale zwierzę nagle poruszyło się niecierpliwie i parsknęło, więc Ben instynktownie sięgnął po nóż, a potem spojrział tam, gdzie chwilę wcześniej kątem oka zarejestrował ruch.

Zobaczył samotną kobietę Palo i odetchnął z ulgą.

Kobieta miała niespełna pięć stóp wzrostu, była drobna, ognistoruda, o skórze pokrytej piegami koloru popiołu, charakterystycznymi dla jej rasy. Włosy przycięte miała krótko, tuż za uszami, twarz ocieniał jej kapelusz podróżny z opuszczonym rondem. Ubrana była w długi płaszcz, narzucony na skórzany strój podobny do tego, jaki noszą Palo z bagien.

Styke odetchnął głęboko. Postanowił ignorować kobietę, póki sama nie odejdzie, ale coś nagle podrażniło mu zmysły. Poczł zapach gnijącego mięsa i miedziany posmak na języku. Od razu zorientował się, że te wrażenia nie pochodzą z tego świata. To jego Zdolność ostrzegła go, że w pobliżu jest źródło magii. Potężnej magii Kościanego Oka.

Staął pewniej na nogach. Nie spuszczał oka ze zbliżającej się Palo. Ocena wieku tubylczych kobiet zawsze sprawiała mu kłopot, ta wyglądała na dwadzieścia kilka, może trzydzieści lat. Podchodziła do niego spokojnie, powoli, oczy miała jakby senne i delikatny uśmiech na wargach.

– Kto to jest? – spytała Celine.

Pokręcił głową.

– Mogę ci w czymś pomóc? – spytał Palo.

Dziewczyna zatrzymała się mniej więcej sześć stóp od niego. Zacisnęła wargi, przyglądała mu się, przekrzywiając głowę. Styke poczuł nagle lekkie ukłucia na skórze, a zapach zgnilizny stał się znacznie intensywniejszy.

Wyjęła ręce z kieszeni. Pokazała puste dłonie.

Palo Kościane Oko. No proszę, proszę. Czego może od niego chcieć? Obrzucił ją swoim najlepszym złym spojrzeniem.

– Nic tu po tobie – warknął. – Ruszaj swoją drogą.

Palo podwinęła rękawy płaszcza, po czym wykonała serię skomplikowanych ruchów, Styke nie był w stanie prześledzić ich wzrokiem. Pokręcił głową, gestem pokazał jej, że powinna się oddalić, a wtedy prychnęła, wskazała na siebie i na niego. Odetchnął głęboko, niemal zachłysnął się oddechem, bo przypomniał sobie dziewczynę spotkaną podczas wojny. Była drobna, czuć było od niej krew i magię... i nie potrafiła mówić. Towarzyszyła wtedy Tanielowi Dwa Strzały, a jeśli lady Krzemień mówiła prawdę, towarzyszy mu także teraz.

Cofnął się o krok. Wyciągnął rękę, instynktownie szukając kontaktu z Amrekiem. Wielki koń skubnął go w ucho, trącił łbem.

– To ty, prawda? – spytał. – Dziewczyna Taniela. Pamiętam cię z Planth. Ka-poel.

Palo uśmiechnęła się szerzej.

Styke znów wziął głęboki oddech. Magia raczej go nie przerażała, ale i w Planth, i teraz wyprowadzała go z równowagi pewność siebie Ka-poel. Zachowywała się, jakby miała siedem stóp wzrostu: zawsze wyprostowana, z wysoko uniesioną głową, rzucająca światu wyzwanie, jakby nic nie było w stanie jej pokonać.

– Czego chcesz? – spytał.

Ka-poel w milczeniu przyjrzała najpierw jemu, potem Celine, a na końcu Amrecowi.

– Czy Taniel odebrał mój list? Wprawdzie zostawiłem go dla Tamy, ale oni obaj to jedna osoba, prawda?

Dziewczyna wysunęła dolną wargę, skinęła głową, jakby jej zaimponował, wyciągnęła do niego ręce. Doskonale. Udała, że pisze, potem, że czyta, wskazała Styke'a palcem i skinęła głową.

– Więc odebrał czy nie?

Potwierdzenie.

– Więc wie, że rezygnuję? Doceniam, co dla mnie zrobił, ale teraz mam inne obowiązki. Kiedy nasze drogi znów się skrzyżują, postaram się mu odwdziżyć, ale teraz...

Ka-poel parsknęła. Założyła ramiona na piersi. Stała inaczej, dziwnie, z ciężarem ciała przeniesionym na zakroczną nogę. Na ten widok Styke pewnie nawet by się roześmiał, gdyby nie to, że ciągle czuł ten zapach, gnijące mięso jej magii.

– Pewnie myślisz, że to za mało? – spytał.

Spojrzenie Ka-poel dobitnie świadczyło, że nie zrobił na niej dobrego wrażenia. Uczyniła obróconą w górę dłońią gest, którego nie zrozumiał, a potem z kieszeni płaszcza wyjęła kopertę. Podeszła powoli, żeby mu ją podać. Styke przyglądał się dziewczynie z uwagą. Złamał pieczęć paznokciem, przeczytał dwa napisane po adrańsku zdania:

Nadal jesteś mi winien przysługę. Spłacisz dług na życzenie. T.

– Włóż do torby przy siodle – polecił Celine, podając jej list przez ramię. Taniel nadal czegoś od niego chciał, lecz odraczał termin odbioru długu. – W co on gra? – spytał Ka-poel. – Ma dalekosiężne cele, nie? Mniejsza z tym. W co ty grasz?

Palo uśmiechnęła się do niego szelmowsko. Jej pierś unosiła się i opadała w cichym serdecznym śmiechu. Wskazała na niego, potem na swoją otwartą dłoń, potem na siebie. Poruszyła wargami, jakby coś mówiła. Styke potarł nos, woń magii go drażniła i nie podobały mu się możliwe znaczenia tej pantomimy.

– Co to, na otchłań, ma znaczyć?

Wskazała za plecy, nie od razu zorientował się, że chodzi jej o list, który przed chwilą oddał Celine.

– Chcesz powiedzieć, że jestem winien przysługę tobie?

Ka-poel złożyła palce, jakby strzelała do niego z pistoletu.



Miał ochotę skrócić jej kark, a ciało wdeptać w ziemię. Ale trzeźwa część jego osobowości, dobrze wyposażona w instynkt samozachowawczy, zaprotestowała. Zdecydowanie. Spróbować tego byłoby bardzo złym pomysłem.

– Dziwna z ciebie mała istotka, wiesz? – spytał tylko. W odpowiedzi dziewczyna odpowiedziała samym ruchem warg: „Wiem”. Wyjęła dłoń z kieszeni. Szybkim ruchem rozcięła nożem opuszkę lewego kciuka. Styke próbował się cofnąć, ale była szybsza, niż uważał to za możliwe. W jednej chwili znalazła się tuż przy nim, wspięła się na palce i roztarła krew na jego czole. Złapał Ka-poel za ramię, odepchnął jedną ręką, a drugą przesunął po czole, by je oczyścić. Palo cofnęła się zręcznie, tanecznym ruchem, jemu zaś pozostały po niej krwawe ślady i na twarzy, i na dłoni.

– A to, na otchłań, po co? – warknął. – Nie lubię magii, dziewczyno, i nie pozwolę...

Nie dokończył, przerwał mu stukot kopyt. Ujął Amreca mocniej za ogłowie. Z przechyloną głową łowił dźwięki świadczące o zbliżaniu się jeźdźców. Jakich? Czarnych Kapeluszy? Czy może Szalonych Lansjerów?

Ka-poel pożegnała go uśmiechem, po czym znikła za rogiem najbliższego budynku. Mógł spróbować ją dogonić, ale nie miał ochoty wpaść sam jeden na oddział Czarnych Kapeluszy. Zaczaił się więc w cieniu. Tarł czoło, by pozbyć się resztek krwi.

Jeźdźcy zbliżali się. Miał nadzieję, że miną go i pojedą dalej.

Nie minęli.

Styke zapomniał o śladach na ręce i twarzy. Konni objeżdżali wioskę, a jeśli słuch go nie mylił, było ich wielu. Wyciągnął nóż. Był gotów zaatakować pierwszego, który go zauważy.

Na ich widok z trudem stłumił okrzyk.

Ibana jechała na siwym ogierze niemal tak wielkim jak jego Amrec. Do siodła przytroczoną miała broń: karabiny, pistolety, kawaleryjskie szable. Za nią ciągnął się szereg jeźdźców: byli Gracz, Sunin i Szakał, byli wszyscy jego żyjący oficerowie oraz wielu żołnierzy. Ibana wstrzymała konia w ostatniej chwili, omal nie

najeżdżając na Styke'a, oddział sprawnie formował się za nią. Szybko stracił rachubę, ale lansjerów było ponad dwustu. Każdy siedział na mocnym koniu bojowym, każdy miał na sobie znoszoną żółtą kawaleryjską kurtę i czarne spodnie, wyfasowane na samym początku wojny o niepodległość Fatrasty. Na Sunin mundur był za duży, na Gracza za mały, ale mieli je wszyscy. Wszyscy mieli też lance przytroczone do siodeł, powiewające na wietrze żółtymi wstęgami. Oszłomił go ten widok, do oczu napłynęły łzy. Wsunął nóż do pochwy. Oddychał z trudem, z ustami rozwartymi jak u zdumionego dzieciaka.

Ibana zeskoczyła z konia. Odtoczyła i cisnęła mu broń w objęcia.

– Przybyliście. – Na nic więcej się nie zdobył.

Ibana przewróciła oczami.

– Oczywiście, że tak, ty głupcze. Wszyscy. To ty jesteś Szalony Ben Styke. Bez ciebie nie ma Szalonych Lansjerów.

Ponad jej ramieniem spojrzął na znajome twarze swych dawnych kompanów. Niektórych już widział, w obozie pracy, ale wspomnienia z tamtej nocy miał mgliste, trudno mu było zresztą uwierzyć, że na ratunek pospieszyli wszyscy. A przybyli w komplecie.

On wpatrywał się w swych żołnierzy, oni wpatrywali się w niego. Z oczekiwaniem. Nie od razu zorientował się, że czekają, by im coś powiedział, a gdy to zrozumiał, spojrzął na Ibanę pytająco. Nie miał pojęcia, czego dowiedzieli się od niej o zadaniu, jakie mają do wykonania.

– Nie będziemy walczyli z Czarnymi Kapeluszami – zaczął donośnym, pewnym głosem.

Odpowiedziała mu cisza. Nikt nie protestował, nikt się nawet nie skrzywił. Czekali na rozkazy.

– Nigdy nie podobał mi się pomysł, żebyśmy zostali najemnikami. Ale Szaleni Lansjerzy zawsze bronili Fatrasty, a Fatrasta, przypomnę, bo może nie wszyscy wiedzą, sądzi, że nas nie potrzebuje.

Niektórzy wymienili między sobą spojrzenia – niewątpliwie ci, którzy w ostatnim czasie ponieśli z rąk Czarnych Kapeluszy bardzo poważne straty.

– Ale potrzebuje nas lady Krzemień! Dostała kontrakt na ochronę Landfall przed dynizyjską flotą, czekającą nie wiadomo na co za granicą zatoki. Być może nic się nie zdarzy, a może jednak zdarzy. Tak czy inaczej, będzie nam płacić, da wyposażenie, ale nie znieś, żebyśmy skakali sobie z Czarnymi Kapeluszymi do gardeł. Zgodziłem się, a jeśli ktoś ma z tym problem, może ze mną porozmawiać albo od razu zawrócić do Landfall. To będzie jego decyzja.

– Nie potrzebujemy ochrony przed Czarnymi Kapeluszymi! – krzyknął ktoś z tylnych szeregów. Styke poszukał wzrokiem tego kogoś, lecz nie udało mu się go rozpoznać.

– Pewnie, że nie, na otchłań! – potwierdził. – Ale nie mam nic przeciw temu, żeby nam ich zdjęto z karków, przynajmniej póki znów nie staniemy się Szalonymi Lansjerami. Bo jesteśmy starzy. Zdążyliśmy zardzewieć. Na otchłań, mnie przecież podleczone, a jednak nadal jestem kaleką! Wolę służyć jako wolny żołnierz i część garnizonu Landfall, niż kryć się w cieniach, czekając, aż pułapka się zatrzaśnie. Więc pozwalam sobie powtórzyć: kto ma problem z Czarnymi Kapeluszymi, może wracać do miasta, nikt nie będzie miał o to do niego pretensji. Zrozumieliście?

Zebrani odpowiedzieli mu na to pytanie stoickim milczeniem. Skrzypiała skóra, konie parskwały, uderzały kopytami o ziemię. Sunin, wyglądająca na dobrą dziewięćdziesiątkę z rzadkimi siwymi włosami i skórą pomarszczoną jak suszona śliwka, wychyliła się w strzemionach, wypluła przeżutą prymkę na ziemię.

– Nie walczymy dla lady Krzemień czy innej Fatrasty – powiedziała swym charakterystycznym nosowym północnym akcentem. – Jesteśmy na rozkazy Bena Styke’a. – Otaczający ją żołnierze pokiwali głowami ze zrozumieniem, rozległ się pomruk aprobaty. – Jeśli chcesz, żebyśmy pracowali dla tej Krzemień,

będziemy. Tylko nie wyobrażaj sobie, że zapomnimy, w jakim stanie znaleźliśmy cię tamtej nocy.

– Wszyscy tak uważacie? – Potwierdził to chór „tak” i „no jasne”.

– W takim razie jesteście bandą głupców. Zawsze byliście.

– Są głupcami, ale to twoi głupcy – zripostowała kwaśno Ibana.

– Pewnie tak. To chyba kończy sprawę. – Styke dopiero teraz przypomniał sobie o Ka-poel. Potarł czoło. – Mam krew na twarzy? – spytał.

– Nie – zdziwiła się Ibana.

Spojrzał na dłoń. Na niej też nie było żadnego śladu. Czyżby wyobraził sobie to wszystko: Ka-poel, list Taniela... Czyżby mózg odmawiał mu posłuszeństwa?

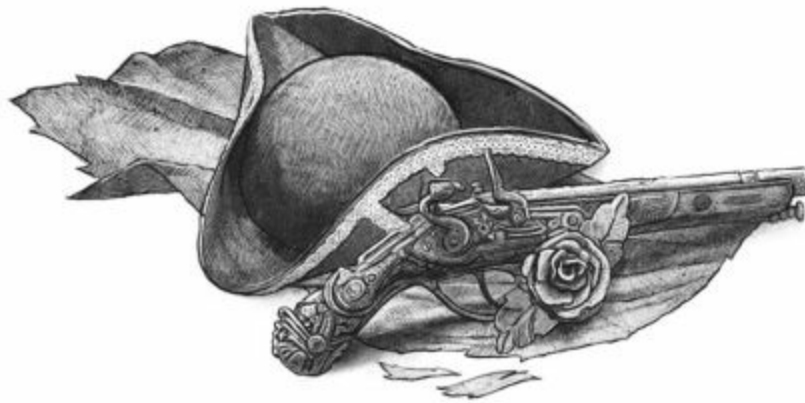
– Gdzie sztandar? – spytał Ibanę.

Podeszła do siodła, odtoczyła długą tubę z dobrze naoliwionej skóry. Wyjęła kłęb materiału. Trzymała go za róg, pozwalając mu rozwinąć się na wietrze. Czarna i żółta chorągiew ze szkarłatem po brzegach. Pośrodku widniała uśmiechnięta ludzka czaszka nadziana na lancę. Styke ujął chorągiew, między palcami poczuł szorstkie płótno.

– Szakał, lanca!

Przymocował do niej płótno i oddał sztandar Szakalowi.

– Chorąży – rozkazał – prowadź na Jedwar. Mamy tam oddziały czekające na dowódców!



## 50 ROZDZIAŁ

**R**ano, zaraz po przebudzeniu, Michel wyszedł z małego mieszkanka w Zapomnianym Zaułku i udał się do odległego o kilka przecznic banku. Był na skraju wyczerpania nerwowego, nie potrafił zapomnieć o monolicie, udało mu się przespać zaledwie kilka godzin, a i tak był to niespokojny, przerywany sen. Przez całą noc słyszał szepty, a żaden z nich nie był kojący. Dziwiło go tylko, jak naukowcy znoszą bliskość boskiego kamienia. Dziwne, że tak niewielu dostaje napadów szaleństwa.

Bank był mały, senny: dwóch urzędników, skarbiec i rząd skrytek na tylnej ścianie. Michel nie był tu od czterech lat. Miał nadzieję, że pamięta właściwy numer skrytki. Wziął papier firmowy banku, zapisał dane działki, na której prowadzono prace archeologiczne przy monolicie, wraz z informacją, że znajduje się ona dwie mile na południe od Landfall, i dołożył jedno słowo: „ostrożnie”.

– Skrytka sto trzydzieści dwa – powiedział, wręczając kasjerowi kartkę wraz z jednokranówką. Przyłożył palec do ronda melonika i wyszedł.

Na biurku czekały na niego niewątpliwie liczne raporty z informacjami o tym, jak bardzo jego podwładni nie odnaleźli

Benamina Styke'a. W którymś momencie będzie musiał się nimi zająć. Powinien zrobić to wczoraj wieczorem, ale monolit wyprowadził go z równowagi do tego stopnia, że pojechał wprost do domu, wziął gorącą kąpiel i poszedł do łóżka. A że nie spał dobrze, to już zupełnie inna sprawa.

Nie mógł zasnąć, więc porządkował sobie w głowie swoje szkatułki. On sam, prawdziwy on – tę odstawił na bok. Była bezpieczna. Po przekazaniu informacji Tanielowi mógł powrócić do odgrywania roli wzorowego Czarnego Kapelusza, oddanego służbie duszą i ciałem. Zostanie wzorową Złotą Różą, ze swojej nowej wysokiej pozycji rzuci się do walki z wrogami Fatrasty, będzie wspinał się po szczeblach drabiny służbowej i kto wie, może za kilka lat stanie się zausznikiem samego wielkiego mistrza?

Im wyżej się wespnie, tym łatwiej mu będzie pomóc Tanielowi w zawaleniu całej tej konstrukcji.

– Nie – powiedział do siebie stanowczo. Szedł spacerem po ulicach Landfall, ręce trzymał z kieszeniach. – Teraz jesteś agentem Bravisem. Nawet szeptem, nawet w myślach, nie wolno ci wspomnieć człowieka, którym byłeś.

– Taniel – odparł sobie, potwierdzając swoje przekonanie – pozostanie sam z tym... czymś.

– A ja zapomnę, że coś takiego w ogóle istnieje.

– No właśnie.

Skreślił na targ. Kupił kilka płóciennych toreb jedzenia, a na przecenie także parę groszowych powieścideł, wybranych na chybił trafił. W pewnym momencie ze zdziwieniem stwierdził, że idzie spacerem i wesoło pogwizduje, choć powinien przecież pospiesznie wracać do Kapelusznictwa, by pomóc złapać Styke'a. Po raz pierwszy od bardzo dawna nabrał ochoty, by wpaść do matki już po jej powrocie ze zwyczajowej penetracji ulubionych księgarni.

Przeszedł do Proctor piechotą, zrobiwszy czterdziestominutowy spacer. Zatrzymał się na chwilę w alejce z tyłu domu matki, a potem, nadal pogwizdując, podszedł do drzwi frontowych, zastukał i nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka. Przynajmniej ten jeden

raz wysłucha pouczeń rodzicielki z uśmiechem. Przynajmniej ten jeden raz pomarzy przez chwilę, że oto zdradza jej, kim naprawdę jest. Miało to, oczywiście, pozostać wyłącznie w sferze jego fantazji.

Podszedł do małego stołu, odsunął książki i stare siatki, postawił na nim nowe, z jedzeniem. Spojrzał na ulubiony matczyzny fotel i jego radosne pogwizdywanie urwało się gwałtownie, bo w fotelu pod oknem siedziała nie matka, lecz Fidelis Jes.

Michel wyprostował się. Założył ręce na plecy, by ukryć drżenie dłoni. Udawał, że nic się nie stało, kiedy zrzucił pudło książek ze stołu na podłogę.

– Panie?

Wielki mistrz kołysał się powoli. Był znowu dawnym sobą: szesane do tyłu włosy, wyprasowana koszula, spokojna, nieruchoma twarz. Wyglądał przez okno na ulicę, zachowując stoicki spokój. W poprzek jego kolan leżał miecz, odpasany, lecz nadal w pochwie, dłoń trzymał zaciśniętą na jego rękojęści. Co, na otchłań, on tu robił?! Przez głowę Bravisa przemknęło tysiąc możliwych odpowiedzi na to pytanie, ale żadna z nich nie była wystarczająco dobra. Niespodziewany gość trwał w milczeniu.

– Panie? – powtórzył Michel z nadzieją, że nie zacznie się jąkać. – To dla mnie nieoczekiwany zaszczyt. Czy stało się coś złego? Coś dotyczącego sprawy tego uciekiniera? – Skrzywił się i kazał samemu sobie się zamknąć. Fidelis Jes wzywał ludzi do siebie, a nie zachodził do nich. Zaszła więc sytuacja bez precedensu.

A to, że do spotkania doszło w domu matki, czyniło je przerażającym.

Cofnął się o krok. Podniósł wzrok, wyciągnął szyję. Nie, na stryszku matki nie było. Czyżby ją zabrano? A może wyszła, bo miała coś do załatwienia?

Nerwy Michela napięte były do granic wytrzymałości, ale w tym momencie wielki mistrz na szczęście przemówił.

– Polowanie na Styke’a zostało odwołane. Przynajmniej na razie. Cała nasza uwaga skupia się aktualnie na Dynizyjczykach.

Dopiero teraz spojrział na Michela, wzrok miał kamienny, niezgłębiony. W jego oczach nie było ani gniewu, ani radości. Niczego nie dało się z nich wyczytać.

– Powiedz mi, agencie Bravis, jak tam twoje poszukiwania?

– Och, obawiam się, że nie najlepiej. – Michel uświadomił sobie, że mówi za głośno. – Rozumiesz, panie, mam na biurku stosy raportów wymagających przeczytania, ale Warsim zawiadomi mnie, kiedy wpadniemy na jakiś trop, a ja chcę jeszcze raz wyrazić swą wdzięczność za honory...

Umilkł. Oblizął wargi. Fidelis Jes pozostał niewzruszony.

– Nie mówię o tych poszukiwaniach, tylko o tych drugich. Powadzonych przez ciebie poszukiwaniach tak ważnych, że wymagających znajomości zasobów tajnego archiwum po zaledwie kilku godzinach od awansu na Złotą Różę.

Nie! Na otchłań!

– Nie jestem pewien, czy wiem, o czym mówisz, panie. Dellina nie przekazała mi żadnych instrukcji dotyczących tego archiwum.

– Rzeczywiście. Nie przekazała instrukcji. Ale ktoś wystarczająco sprytny, by awansować na Złotą Różę, i to w sytuacji kryzysowej, potrafi bez problemu sam znaleźć sposób dotarcia do niego. To nietrudne... i dlatego to miejsce jest tak pilnie strzeżone. Odnotowujemy każde wejście, a jeden z kwerendarzy zauważył odpowiadającego twojemu opisowi człowieka wybiegającego w godzinę po tym, jak tam wszedł.

Michel przełknął. W porządku, nie było aż tak źle. Poradzi sobie. Potrzebuje tylko przekonującego wyjaśnienia... Szukał pilnie informacji, ciekawość ściągająca na głowę ciekawskiego kłopoty, ale nie aż tak poważne... Myślał szybko, konstruował historyjkę, podczas gdy jego mina pozostawała bez wyrazu.

– Powiedz mi, agencie Bravis, co robiłeś w górnym archiwum, skoro tak wówczas potrzebowaliśmy wszystkich funkcjonariuszy do ścigania Benjamina Styke'a?

– Nooo... Sądziłem, że...



– Sądziłeś, że znajdziesz tam coś, co mogłoby dopomóc w jego schwytaniu? – Zadając to pytanie, Jes uśmiechnął się lekko.

– No... tak, panie.

– Całkiem prawdopodobne wytłumaczenie. A teraz powiedz mi, dlaczego wczoraj po południu odwiedziłeś wykopaliska profesora Cressela? Dorożkarz zablądził? Źle oceniłeś sytuację? A może spodziewałeś się znaleźć tam zbiega?

Głos wielkiego mistrza zmienił się, pulsował kpiną. Nagle poderwał się na równe nogi, uniósł miecz, nadal w pochwie, jak pałkę i błyskawicznie obszedł Michela dokładnie tak, jak wtedy, gdy pierwszy raz wezwał go do swojego biura. Co przypomniało Michelowi, kim w jego oczach jest: nie więcej niż kawałkiem mięsa.

– Myśl szybko, agencie Bravis – syknął mu Jes do ucha. – Jestem bardzo ciekaw twoich wyjaśnień.

Michel przekrzywił głowę, ten szept, jak zgrzyt pazurów przejeżdżających po kamieniu, sprawił, że włos zjeżył mu się na głowie. Przesłanie było jasne: żadnych wykrętów. Nie ma szans na wyplątanie się z tej sytuacji. Spróbował skupić się na czymś, czymkolwiek, byle nie rozważać tego, co właśnie się działo. Jakoś się od tego odgrodzić.

– Gdzie moja matka? – wychrypiał.

– Hmm... – Jes wykonał kolejne okrążenie. Zatrzymał się przy jego lewym ramieniu. Michel, choć postanowił trwać dzielnie, omal się nie skulił. Spodziewał się ciosu ostrzem, pięścią, oczekiwał gwałtu.

– Powiedz mi, dlaczego szukasz boskich kamieni?

Michel odchrząknął z wysiłkiem.

– Gdzie moja matka? – powtórzył pytanie.

– Nieważne. Dla kogo pracujesz, Bravis? Brudanii? Królewskiej kamaryli Delivu? Adro? Odpowiadaj!

Jes wykrzyknął ostatnie słowo. Michel nie wytrzymał, drgnął. Wielki mistrz ruszył do kolejnego okrążenia. Tym razem zatrzymał się naprzeciw Michela. Czubkiem miecza dotknął jego ramienia,

potem łokcia, a potem nogi z boku, przy kolanie. Tak rzeźnik wyszukuje najlepsze kawałki mięsa.

– Wiesz, że sprawy nie toczą się po twojej myśli, agencie Bravis. Jeśli powiesz nam wszystko, będziesz cierpiał, bardzo cierpiał.. ale znacznie krócej, i to mogę ci obiecać. – Jes roześmiał się do siebie, jakby uważał to, co się dzieje, za całkiem dobry żart. – Naprawdę mi zaimponowałaś. Dochrapałeś się Złotej Róży tylko po to, żeby zdemaskować się już pierwszego dnia. Nie potrafię sobie wyobrazić takiej niecierpliwości, która zdradza natychmiast po osiągnięciu sukcesu. Takiej kombinacji przebiegłości i głupoty nie widziałem od bardzo, bardzo dawna.

Michel poczuł, że po policzku ścieka mu łza. Zaciskał dłonie w pięści tak mocno, że paznokcie przecięły skórę, wytoczyły krew. Odetchnął głęboko kilka razy. Usiłował zaakceptować jakoś ten prosty fakt, że jego życie właśnie się skończyło, ale nie mógł myśleć o niczym innym niż książki na stoliku za jego plecami i o Jesie, czekającym w bujanym fotelu jego matki. Ta niewypowiedziana słowami groźba przeraziła go znacznie bardziej niż wszystko, co mówił Jes, żołądek skręcał mu się ze strachu.

– Gdzie – powtórzył pytanie stanowczo po raz trzeci – jest moja matka?

Jes podszedł do drzwi. Nie odwracając się, powiedział:

– Powinieneś martwić się o jej zdrowie, zanim zdecydowałaś się zrobić to, co zrobiłaś, agencie Bravis. I pomyśleć, że wydawałaś się taki obiecujący...

Michel wsadził dłoń do kieszeni, pod palcami poczuł znajomy chłód mosiężnego kastetu. Zrobił szybki krok, uniósł rękę i opuścił z całą posiadaną siłą. Myślał tylko o jednym, by zginąć szybko, w miarę możliwości bez bólu, a kiedy to się stanie, może Jes straci zainteresowanie jego matką?

Ale wielki mistrz nie zszedł z linii ciosu, nie wyciągnął miecza, nie przebił nim napastnika. Po uderzeniu kastetem w nasadę czaszki padł na podłogę niczym worek ziemniaków. Bravis, ze zdumienia niezdolny zaczerpnąć oddechu, stał nad nieruchomą, bezwładną

postacią i gapił się z otwartymi ustami, nie pojmując, co się stało i jak do tego doszło.

A potem zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy.

Uciekł.

Zaledwie przecnicę dalej, gdy skręcał za róg, w pełnym biegu wpadł na matkę. Starsza pani wrzasnęła rozdzierająco, upuściła książki, oboje przewrócili się na chodnik. Michel szybko poderwał się na nogi, ale rodzicielka, przeklinając wniebogłosy, pełzała na czworakach, usiłując zebrać ukochane groszowe powieścidla. Syn chwycił ją za ramię, pomógł jej się podnieść.

– Ty tumanie! – Wyrwała się z jego uścisku. – Patrz, gdzie leziesz!

– Na otchłań, mammo, nie mam na to czasu! – Poderwał kobietę siłą, nim zdołała sama wstać, postawił na równe nogi. Spojrzała na niego dziwnie.

– Michel?! – zdziwiła się. – Co tu robisz?

– Ratuje ci życie. – Pociągnął ją za sobą.

– Czeka! Książki!

– Kupię ci więcej!

Szarpnął ją za rękę i pobiegli ulicą. Przebiegli mniej niż przecnicę, kiedy kobieta zatrzymała się, zdyszana.

– Co się dzieje? – spytała. – I co to jest?

Michel podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Kiedy biegli, Złota Róża wysunęła mu się spod koszuli. Schował ją na piersi. Pokręcił głową.

– Nie, to nic takiego... Ja... – przerwał. – Och, na otchłań! – wybuchnął. – Powinienem się upewnić, że on nie żyje! – Zrobił dwa kroki z powrotem w stronę domu, zatrzymał się, machnął na przejeżdżającą dorożkę. – No nie, już za późno. Otchłań, otchłań, otchłań...!

Matka uderzyła go w ramię.

– Dlaczego przeklinasz? I co to wszystko znaczy? Chciałam sobie poczytać po południu.

– Ty nie robisz nic innego, tylko czytasz!

Matka patrzyła na Michela szeroko otwartymi oczami. Dopiero teraz dotarła do niej treść jego słów.

– Co to znaczy, że powinieneś sprawdzić, czy nie żyje? Kto nie żyje?

Michel wskoczył do dorożki, wciągając kobietę za sobą. Krzyknął na woźnicę, że ma jechać do Ognistej Jamy. Rozsiadł się na ławce. Żałował, że nie ma się czego napić. Wyglądał przez okno w oczekiwaniu, że lada chwila ktoś zacznie ich gonić albo oddział Czarnych Kapeluszy wypadnie nagle z bocznej alejki. Ale nikt ich nie ścigał i nie napadał. Wielki mistrz, arogancki sukinsyn, przyszedł po niego sam!

Byli bezpieczni. Na razie.

– Fidelis Jes – odpowiedział na pytanie matki. – Zostawiłem go leżącego na podłodze u ciebie w domu. Być może go zabiłem.



W porze śniadania do obozu kawalerii Strzelców Wyborowych pod Jedwar wjechali Styke, Ibana i Szakał. Pomiedzy namiotami i zagrodami dla wierzchowców prowadził ich jeden z żołnierzy.

Styke'owi szybko wróciły dawne zwyczaje. Jadąc, badał wzrokiem stan obozowiska, wyposażenie żołnierzy, konie. Skórę siodła naoliwiono, broń biała wydawała się zadbane i naostrzona, a palna gotowa do użytku w każdej chwili. Żołnierze siedzieli przy ogniskach, mieszali w garnkach, grali w karty. Mundury mieli znoszone, lecz czyste.

Obserwacja pomogła mu zapomnieć o bólu tyłka.

– Dobrze to wygląda – powiedziała Ibana z uznaniem.

– Jasne – odparł mężczyzna, podchodząc do wałacha Styke'a. Był wysoki, chudy, miał szerokie ramiona i krzywe nogi człowieka spędzającego większość życia w siodle, jasnobrązowe włosy oraz bokobrody, poza tym był gładko ogolony. Zdjął kurtę ze słupka namiotu, narzucił na ramiona. – Jesteśmy adrańską kawalerią. Nie bawimy się w półśrodki. – Przyjrzał się mundurom i chorągwi,

niesionej przez Szakala. – A wy jesteście z armii Fatrasty? – upewnił się.

– Kto tu dowodzi? – odpowiedział pytaniem Styke.

Kawalerzysta zastanawiał się przez chwilę.

– Pułkownik Olem – powiedział. – Jeśli chcecie z nim rozmawiać, musicie pojechać do Landfall.

– Jedziemy stamtąd – odezwała się Ibana. Pochyliła się w strzemionach, podając żołnierzowi zalakowaną kopertę. – Jego zastępca?

– Major Gustar. To pewnie o mnie chodzi. – Mężczyzna zmrużył oczy. Przyjrzał się pieczęci, skrzyżowanym karabinom i czako Strzelców Wyborowych. – Co znajdę w środku? – spytał.

– Nowe rozkazy – powiedział Styke. – Jestem pułkownik Benjamin Styke. Polecono mi przejąć komendę nad waszym oddziałem. – Przygryzł policzek, oczekiwał sprzeciwu. Nikt nie lubi, kiedy odbiera mu się dowództwo.

Major Gustar przyglądał mu się długo i chłodno. Kilku jego ludzi szykowało się już do awantury, ale on odpowiedział spokojnie:

– Przykro mi, pułkowniku, jesteśmy Strzelcami Wyborowymi. Nie wykonujemy poleceń cudzoziemców. Chyba że tak nam każe sama lady Krzemień.

– Proponuję jednak przeczytać rozkaz – podpowiedziała mu Ibana.

Major złamał pieczęć. Czytał, coraz szerzej otwierając oczy, a kiedy uniósł głowę, zobaczyli, że usta też ma szeroko otwarte.

– Benjamin Styke? Ten Benjamin Styke? – spytał z niedowierzaniem.

– Jedyne prawdziwy. – Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu ta odrobina podziwu w głosie wymawiającym jego nazwisko nie była niczym policzek. Miłe uczucie.

– Zostałeś strzelcem wyborowym?

– Wszyscy nimi jesteśmy. Nie mamy jeszcze mundurów, więc te stare, fatrastańskie, muszą na razie wystarczyć. To major Ibana ja Fles. Sprawuje bezpośrednie dowództwo nad Szalonymi Lansjerami.

Pan, majorze, zachowuje dowodzenie dragonami i kirasjerami strzelców. Oboje wykonujecie moje rozkazy.

Gustar zasalutował.

– Tak jest! To zaszczyt i przyjemność służyć pod panem!

– Ciekawe, co powiesz, kiedy wydam polecenie szarży na szeregi pikinierów. Potrzebują nas w Landfall. Major Fles przyprowadzi lansjerów, spotkamy ich po drodze, wy macie być gotowi do wyruszenia w ciągu pół godziny.

– Wystarczy kwadrans. Chłopaki, koniec odpoczynku. Dostaliśmy robotę.

Styke zaciągnął się głęboko zapachem dymu z ogniska, koni, słodkawą wonią nawozu i kwaśnym zapachem niedomytych żołnierskich ciał. Oddychał nim z przyjemnością i pragnął więcej. Chciał czuć trupy przeciwnika pozostałe na polu bitwy, świeżo zgniecioną trawę i spalony proch.

Z wysokości siodła wymierzył w Gustara palec.

– Majorze, mam wrażenie, że się polubimy.



## 51 ROZDZIAŁ

Jeszcze tego ranka, zaraz po przejęciu obowiązków dowódcy obrony Landfall, Vlora wprowadzona została do sali dla zagranicznych dygnitarzy budynku rządowego. Miała na sobie mundur galowy: adrański błękit ze srebrnymi wyłogami i szkarłatnymi mankietami, na lewej piersi skrzyżowane karabiny Najemnego Oddziału Strzelców Wyborowych, po prawej stronie rzędy medali za akty odwagi, o których dawno zdążyła zapomnieć. Aula była ogromna, sklepiona, ze ścianami udekorowanymi żółtym i białym marmurem. Oświetlał ją ogromny kandelabr oraz rząd wysokich okien, wychodzących na krawędź płaskowyżu Landfall i rozciągające się poniżej morze. Naprzeciw nich stały rzędy wyściełanych foteli, przeznaczonych dla elity Fatrasty, pośrodku zaś znajdował się wielki drewniany stół, otoczony kilkudziesięcioma krzesłami o wysokich oparciach.

W pomieszczeniu tym zasiąść mogło kilkaset osób, a zmieściłoby się i ponad tysiąc, lecz w tej chwili znajdowały się tu tylko Vlora i lady kanclerz.

Lindet siedziała przy stole, nad filiżanką mrożonej kawy i stosem papierów. Słyszając echo stukotu wojskowych butów na marmurowej posadzce, podniosła głowę i uśmiechnęła się łaskawie. Vlora nie wzięła tego do siebie. O ile wiedziała, Lindet wszystkich traktowała łaskawie.

– Lady Krzemień, to dla mnie prawdziwa przyjemność móc wreszcie poznać ciebie osobiście.

Były to słowa przyjemne, wypowiedziane niegłośnie i tak, by nie budzić echa w wielkiej sali. Vlora okrążyła stół, żeby znaleźć się po jego przeciwnej stronie, czyli tam, gdzie zapewne za niedługi czas zajmie miejsce dynizyjska delegacja. Skłoniła głowę i usiadła.

– Lady kanclerz, czy nie spodziewamy się przybycia dynizyjskiego ambasadora? Czy nie ma pojawić się tu lada chwila?

Lindet spojrzała na cyferblat zegarka kieszonkowego.

– Trzydzieści minut – powiedziała.

– Czy sala nie powinna być... pełna?

Vlora mijając po drodze tłumy przedstawicieli fatrastańskiej śmietanki, plotkujących z wielkim zapałem, a wszyscy oni aż gotowali się w nerwowym oczekiwaniu. Imperium Dynizyjczyków wyszło z izolacji i to było najważniejsze wydarzenie od czasu deklaracji niepodległości i zrzucenia dyktatu Kezu. Dla biznesmenów i polityków zgromadzonych na zewnątrz przybycie Dynizyjczyków na pokładach okrętów wojennych niewarte było nawet wzmianki.

Co, niestety, oznaczało, że armada jest problemem Vlory.

– Wejść, kiedy im na to pozwolę. – Lady kanclerz uważnie przeczytała leżące przed nią pismo, podpisała je na dole, odsunęła. – Bardzo się cieszę, że przyjąłś, pani, ofertę Jesa.

– Zaproponował pieniądze, dzięki którym moi żołnierze będą mogli szczęśliwi przejść w stan spoczynku po wykonaniu zadania.

– Najemniczka do końca. – Lindet powiedziała to z uśmiechem. – Godne szacunku, przynajmniej w moich oczach.

Oczywiście nie chodziło tylko o pieniądze. Fidelis zwrócił lady Krzemień uwagę, celnie, że jeśli najeźdźcy zablokują miasto, to



Strzelcy Wyborowi nie będą w stanie go opuścić. Równie trafna była i ta jego uwaga, że gdyby przyjezdni okazali się wrogami, duży oddział najemników, włóczących się po mieście bez kontraktu, łatwo byłoby uznać za zagrożenie i w takim razie musiałyby skierować przeciw nim Czarne Kapelusze. Był też motyw natury bardziej osobistej. Vlorze podobał się pomysł, by bronić mieszkańców Fatrasty, zamiast tłumić ich powstania. Byłaby to miła odmiana.

Ale w tej chwili zatrzymała te myśli dla siebie i tylko przytaknęła.

– Jeśli Dynizyjczycy mają jakieś swoje pomysły dotyczące portu, moi ludzie ich powstrzymają. Ale przyznaję, pani, że propozycja objęcia dowództwa całości obrony jest dla mnie zaskoczeniem.

Słowo to nie oddawało zresztą prawdziwych uczuć Vlory. Dostała przecież pod komendę czternastotysięczny garnizon, pięć fortów i sześć tysięcy żołnierza oddziałów pomocniczych. Jeśli trafnie oceniała polityczne układy, choć w tym akurat mogła mylić się ze sporym prawdopodobieństwem, czyniło ją to najpotężniejszym człowiekiem w Landfall... oprócz lady kanclerz, oczywiście. Od której przyjmowała rozkazy.

– Jesteś protegowaną marszałka polnego Tamasa, pani, oraz weteranką dwóch wojen i niezliczonej liczby pomniejszych konfliktów. Czy w mieście jest ktoś przewyższający cię kwalifikacjami?

– Nie – przyznała Vlora.

Lindet podpisała kolejny dokument.

– Najgorszy scenariusz jest taki, że nasi goście zamierzają dokonać inwazji. Gdyby do tego doszło, wzmocniłam obronę o brygadę strzelców pod odznaczonym dowódcą oraz uniemożliwiłam wynajęcie jej przez przeciwnika. Najlepszy scenariusz jest zaś taki, że Dynizyjczycy postanowili pożeglować sobie trochę, ćwicząc manewry całą flotą, a ja mam zapewnioną czteroletnią ochronę linii brzegowej mojego kraju. Wydaje mi się to układem, w którym nie mogę przegrać.

– Za to, co nam płacisz, pani, mogłabyś wynająć dziesięć razy większą armię.

– Nie mam pod ręką aż tyle wojska do wynajęcia. Czyżby weszło ci w zwyczaj, pani, wypominanie swoim pracodawcom, że przepłacili?

– Nie. Proszę o pozwolenie zapytania: czy masz, pani, jakiś szczególny powód, by mniemać, że Dynizyjczycy są tu w jakiegokolwiek innej misji niż pokojowa?

– Nie biorąc pod uwagę trzydziestu ośmiu okrętów wojennych i flotyli wsparcia?

– Tak, ich nie liczymy.

Lindet chrząknęła niezobowiązująco, ani na „tak”, ani na „nie”.

– Pani?

Lindet spojrzała na Vlorę sponad okularów. Znów uśmiechnęła się krótko.

– Rozumiem także, że przyjęłaś w szeregi Strzelców Szalonych Lansjerów? Dobrze myślę?

Vlora przełknęła z wysiłkiem. Lady kanclerz pozostawiła bez odpowiedzi pytanie o zamiary Dynizyjczyków, do tej sprawy trzeba będzie wrócić później. Nie miała wielkiej ochoty dyskutować o Szalonych Lansjerach, ale prawdą było, że nie wynajęła ich z konieczności, a w każdym razie nie tylko. Wiedziała przecież, że spowoduje tym spór, i to taki, który ustali zasady jej współpracy z Lindet. Przygotowała się na nieuchronną scysję.

– Tak. Wynajęłam.

– Doskonale.

– Słucham? – Vlora nie była pewna, czy udało się jej ukryć zaskoczenie.

Kolejny dokument został podpisany i odłożony na bok.

– Teraz ich dowódca jest twoim problemem, lady Krzemień, a jeśli uda się utrzymać go z dala od Fidelisa Jesa, będzie to dla mnie dodatkowa korzyść. Wielki mistrz dostał polecenie trzymania się z dala od Szalonych Lansjerów... przynajmniej na razie. Oczekuję, że Styke dostanie od ciebie, pani, identyczny rozkaz. Oby go wykonał. Wizyta Dynizyjczyków to problem pilniejszy niż nasze wewnętrzne spory.

Vlora wypuściła z płuc nadmiar powietrza, zmagazynowany tam w oczekiwaniu, że będzie musiała podnieść głos.

– Potrafię utrzymać Styke’a na krótkiej smyczy – oświadczyła.

– Życzę ci szczęścia, pani. – Lindet sprawdziła godzinę. – Osiem minut – stwierdziła. – Zapraszam wszystkich do środka – powiedziała głośno.

Lady Krzemień nie dostrzegła wcześniej nikogo ze służby, ale teraz drzwi otwały się i do sali wlała się ludzka fala. Rozpoznawała biznesmenów, polityków, kresjańskich ambasadorów, przybył nawet dowódca policji miejskiej. W ciągu kilku minut zapełniły się miejsca dla gości oraz połowa krzeseł przy wielkim stole. Vlora zwolniła krzesło naprzeciw Lindet, podeszła i stanęła obok niej. Wśród gości zauważyła Vallenciana, stojącego w kącie sali. Uniosła rękę w geście pozdrowienia, ale on tylko odwrócił wzrok. Można było spodziewać się tego afrontu, Lodowy Baron miał prawo czuć się wykorzystany, skoro wprowadził ją w wyższe sfery społeczności Palo tylko po to, by być świadkiem upadku Mamy Palo. Generał nie uważała się za osobę próżną, lecz utrata tak entuzjastycznego wielbiciela jej talentów nieco ją zasmuciła. Miała jednak na głowie ważniejsze rzeczy.

– A przy okazji, gdzie Jes? – spytała, gdy nie dostrzegła go wśród gości.

– Osobiście nadzoruje zabezpieczenie spotkania – odparła Lindet.

– Po egzekucji Mamy Palo jej zwolennicy wywołali pewne drobne zamieszki. Ostatnie, czego potrzebujemy, to obłąkany rewolucjonista, dokonujący zamachu na dynizyjskiego ambasadora i wywołujący tym międzynarodowy incydent. – Lindet spojrzała na Vlorę z irytacją. – Bardzo proszę, lady Krzemień, nie wiś tak nade mną. Usiądź. – Wskazała krzesło po swojej prawej ręce.

Vlora zajęła wskazane siedzisko z wahaniem. Nikt nie powiedział jej, że przy tej okazji ma pozostawać tak blisko lady kanclerz. Ciekawe, pomyślała, czy dostałam to miejsce ze względów praktycznych, czy też ma to być komplement? Uznała, że prawdopodobnie po części z obu przyczyn.

Ktoś delikatnie dotknął jej ramienia, to po cichu podszedł do niej Olem. Zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, dopiero teraz, gdy westchnęła z ulgą. Gestem poprosiła go, by przysunął się bliżej.

– Nie jestem gotowa wrócić do świata polityki – powiedziała do niego szeptem.

– Doprawdy? No to teraz tkwisz w nim po uszy.

– Myślałam, że zgadzam się walczyć. Co więc, na otchłań, tu robię?!

– Obrona Fatrasty to zapewne więcej niż tylko walka.

– Przekleństwo! Zamierzasz być tu do końca?

– Siedzę tam. – Wskazał jej fotel w jednym z pierwszych rzędów, wprost za plecami Vlory.

– Dzięki ci, Adomie. Czuję się tu jak wśród watahy wilków.

– Bo jesteś wśród nich, kochanie. Jesteś wśród wilków.

„Kochanie”... Tego nie oczekiwała. Wśród ludzi Olem rzadko posuwał się do poufałości większej niż zwracanie się do niej po imieniu. Poczula, że się rumieni.

– Dziękuję – szepnęła.

– Za co?

– Za to, że przy mnie jesteś.

– Nigdy nie chciałem być gdziekolwiek indziej.

– Nie masz pojęcia, jak wielką jesteś mi pomocą. A przy okazji, nie wiesz może, jak bardzo wściekły jest na nas Vallencian za tę sprawę z Mamą Palo?

– Dziś rano dowiedziałem się, że w żadnym lokalu Landfall nie podadzą niczego mrożonego żadnemu ze strzelców wyborowych.

Odetchnęła głęboko. Był to prawdziwy cios w morale jej wojska. Bez lodu jej ludzie nie poradzą sobie w tym dokuczliwym, wszechobecnym upale.

– Wyślij mu prezent. Coś dekoracyjnego, lecz jednocześnie praktycznego. Przejrzyj mój kufer, może wśród pamiątek znajdziesz coś, co by go trochę zmiękczyło.

– Warto spróbować.

Pojawił się goniec, wyszeptał coś do ucha Lindet. Ta podniosła się i odwróciła w stronę wejścia. Wszyscy obecni na sali także wstali, Olem pospieszył na swoje miejsce.

Goniec oznajmił wysokim, czystym głosem:

– Jego ekscelencja Ka-sedial, doradca tronu imperatora Janena Pierwszego, admirał Czarnej Floty, nosiciel pieczęci Imperium.

Do sali wszedł mężczyzna, którego trudno byłoby uznać za imponującego w jakimkolwiek znaczeniu tego słowa. Wyglądał na sześćdziesiąt kilka lat i był łysy, tylko na skroniach pozostały mu kępki rzadkich siwych włosów. Twarz miał gładko wygoloną, z małą szczęką i zbyt dużym nosem. Na jego strój składała się barwna szata: zielononiebieska, fioletowa, czarna i żółta, a z uszu zwisały mu krucze pióra. Szedł powoli, z rękami założonymi za plecy, przyglądając się otoczeniu i obecnym przyjaźnie, choć z pewnym lekceważeniem.

Zmysły Vlory obudziły się do życia. Nie musiała otwierać wewnętrznego oka, by wiedzieć, że ten człowiek dysponuje magią. Możliwość, że był Uprzywilejowanym, wykluczyła jako pierwszą. Nie miał też Zdolności i nie był magiem prochowym. Pozostawała tylko jedna możliwość, od której zebrało się jej na mdłości.

Kościane Oko. Mag krwi. Kiedy po raz ostatni spotkała Kościane Oko, była nim Ka-poel. Pomogła zabić boga.

Posłaniec okrążył stół, skłonił się Lindet nieznacznie i spoczął z cichym westchnieniem człowieka zaawansowanego w latach tak, że trudno mu utrzymać się dłużej na nogach. Nikt mu nie towarzyszył, siedział po przeciwnej do lady kanclerz stronie w towarzystwie kilkunastu pustych krzesel. Najwyraźniej w niczym mu to nie przeszkadzało. Vlora spojrzała na Lindet kątem oka, jej twarz była równie nieruchoma i spokojna jak oblicze Kościanego Oka. Usiadła, a za jej przykładem poszli pozostali.

Na sali zapanowały śmiertelny spokój i cisza, słychać było, jak na korytarzu za zamkniętymi drzwiami ktoś kichnął. Można było pomyśleć, że wszyscy w jednej chwili wstrzymali oddech. Lindet

poruszyła się pierwsza. Uniosła palec i przy jej boku natychmiast pojawił się asystent.

– Gdzie jego tłumacz? Przydzieliliśmy mu tłumacza, prawda?

– Nie potrzebuję tłumacza – powiedział Kościane Oko czystym, niemal nieakcentowanym adrańskim.

Lindet oddaliła asystenta identycznym gestem, a całą swoją uwagę skupiła na ambasadorze. Vlorą usiadła wygodniej, oparła podbródek na dłoni, zastanowiła się nad układem sił, rządzącym tym spotkaniem. W tej części świata nikogo nie bano się tak, jak lady kanclerz, a jednak jeden samotny mag przyćmił ją najwyraźniej bez wysiłku.

– Doskonale – odezwała się teraz swobodnie Lindet. – To oszczędzi nam mnóstwa kłopotów. Ka-sedial, witaj w Fatraście.

– Dziękuję ci za powitanie, pani.

– Tradycja nakazuje zapytać przybysza o nowiny z jego kraju, ale odpowiedź na to pytanie zajęłaby nam, obawiam się, bardzo dużo czasu. Nasze najnowsze informacje mają sto lat.

Ambasador przechylił głowę. Sprawiał takie wrażenie, jakby się nudził.

– Ależ skąd, lady kanclerz. Wystarczy kilka słów. Doszło do wojny domowej. Ofiary liczone w miliony, ludzie ginęli w walkach, z głodu i od magii. Trwała cztery pokolenia, ale rodzina imperatora odzyskała w końcu to, co jej się słusznie należało, i w Imperium znów zapanował pokój.

– Ach, pokój! Miło mi to słyszeć – powiedziała Lindet sarkastycznie.

– Nam także.

Vlorą dostrzegła oczywiście, że poseł sam nie wyraził zainteresowania nowinami. Była gotowa założyć się, że tego nie zrobi. Nie ma powodu, skoro Dynizyjczycy szpiegowali Fatrastę nikt nie wie, od jak dawna. Ciekawe, pomyślała, czy Lindet ma szpiegów w ich Imperium. Kraje Dziewięciu przestały zajmować się Dynizyjczycami z pół wieku temu, ale mając pod ręką Palo

mówiących ich językiem i pasujących do nich wyglądem, lady kanclerz mogła przynajmniej spróbować.

Nie była to jednak właściwa chwila na zadawanie tego rodzaju pytań.

– Obawiam się – mówiła dalej Lindet – że moje kolejne pytanie może się wydać nietaktowne, ale zajmuje nas ono bardziej niż wszystkie inne, a chciałabym uspokoić swój lud.

Ka-sedial uśmiechnął się i uprzedzając ją, rzucił:

– Co armada okrętów wojennych robi przy wejściu do portu?

– Otóż właśnie. – Lindet skrzywiła się kwaśno.

– Jesteśmy ekspedycją – powiedział ambasador tak, jakby to wszystko wyjaśniało. – Imperium nie miało floty godnej tej nazwy od czasu, gdy przed blisko siedemdziesięciu laty nasze okręty zatopiono przy Wybrzeżu Hebanu. Zamknęliśmy granice, odizolowaliśmy nasz kraj, chcieliśmy sami rozwiązać jego problemy. Dokonaliśmy tego przed zaledwie siedmioma laty. Rozpoczęliśmy restaurację państwa... i między innymi odbudowaliśmy naszą flotę.

– A teraz, kiedy już ją macie, do czego chcecie ją wykorzystać?

Gość cicho postukiwał palcami w stół.

– To zależy od was, pani.

Wśród zebranych przeszło wyraźnie słyszalne westchnienie i nawet trudno było się dziwić. Słowa były niewinne, ale w głosie wypowiadającego je Dynizyjczyka brzmiała niewątpliwa pogróżka. Vlora słyszała, że ostatnią osobą, która ośmieliła się posunąć do zastraszania Lindet, był kezański gubernator, który u progu fatrastańskiej rewolucji szantażował ją zwolnieniem ze stanowiska. Po zakończeniu rewolucji obcięto mu język, w pełnej zgodzie z brzmieniem zapisów traktatu pokojowego.

Generał odchrząknęła cicho.

– Ambasadorze, każda ekspedycja ma swój cel. Jaki jest pański?

Kościane Oko powoli obrócił głowę w jej stronę, jak jaszczurka, która właśnie zobaczyła szczególnie smakowitego robaczka. Ciekawe, czy dynizyjscy szpiedzy dostarczali informacji także i o niej?

– Lady Krzemień, jeśli się nie mylę?

No tak, chyba dostarczali.

– Owszem, to ja.

– Przy płynęliśmy tylko po to, co nam się słusznie należy.

Napięcie w sali zgęstniało tak, że można byłoby je kroić.

– Jestem bardzo ciekawa, co też może to być takiego? – spytała Lindet i choć twarz nadal miała nieruchomą, groźbę w jej głosie usłyszeli wszyscy. Mogło się wydawać, że jak jeden mąż zebrani wychylają się z siedzeń, by lepiej ją słyszeć.

Kościane Oko nie miał problemów ze słuchem.

– Te ziemie należały niegdyś do Imperium – powiedział niemal z tęsknotą. – Zbudowaliście swoje małe państewko na ruinach wielkości naszych przodków.

– Spodziewacie się odzyskać te zgliszcza? – zainteresowała się Vlora.

– Ach, skądże – zaprotestował. – To było bardzo długie stulecie. Nasz lud jest zmęczony wojną, a ja oczywiście rozumiem, że świat się zmienił. Podboje nie leżą w naszych zamiarach, z całą pewnością nie. Przybyliśmy wyłącznie po to, co nam się słusznie należy, a gdy to otrzymamy, natychmiast odpłyniemy.

Szafujesz słowem „słusznie”, ambasadorze, pomyślała Vlora. Ośmielam się wątpić, czy słowo to ma dziś takie samo znaczenie jak niegdyś. Coś się jednak zmieniło od czasu, gdy Tamas ściał „słusznego” króla Adro.

Vlora spojrzała na Lindet. Ta siedziała nieruchomo i tylko przyglądała się Ka-sedialowi zwężonymi oczami niczym u polującego jastrzębia. Cisza przeciągała się: dziesięć sekund, dwadzieścia, pół minuty. Przerwał ją ambasador, niekryjący zniecierpliwienia.

– Żądamy zwrotu boskich kamieni.

Po sali poniósł się donośny pomruk, ponad który wzniósł się głos lady kanclerz.

– Wszyscy wyjść!



Po minucie na miejscu pozostało tylko około piętnastu osób. Ich oczy white były w Lindet.

– Czym są boskie kamienie? – spytała Vlora.

Ka-sedial zatopił wzrok w Lindet. Lindet wpatrywała się w Ka-sediala. Vlora pochyliła się, powtórzyła pytanie, nie podnosząc głosu. Lindet zignorowała ją, wyszeptała coś do Uprzywilejowanego siedzącego po jej lewej ręce. Lady Krzemień skupiała uwagę na ambasadorze, ale usłyszała cichą odpowiedź.

– Oczywiście, dopilnujemy, pani.

Czy Kościane Oko słyszał tę wymianę zdań, nie sposób było powiedzieć. W każdym razie przebiegł spojrzeniem od lady kanclerz do Uprzywilejowanego i z powrotem.

– Wiemy, że je macie, a wy wiecie, że należą do nas. Gdy tylko je zwrócicie, natychmiast odstępimy.

– Albo? – spytała Lindet.

Vlora opanowała ochotę obejrzenia się na Olema. Ta rozmowa bardzo szybko przybrała nieprzyjemny ton.

– Czym są boskie kamienie? – raz jeszcze powtórzyła pytanie.

– Odbierzemy je siłą – odpowiedział Ka-sedial.

– Słyszałam, panie, jak mówisz, że wasi ludzie są zmęczeni wojną.

– Vlora nawet nie próbowała ukryć sarkazmu. Bardzo chciała dowiedzieć się czegoś o boskich kamieniach, a najwyraźniej nikt nie miał ochoty nic jej tłumaczyć.

– No tak... Oczywiście, lady Krzemień, są znużeni, ale są rzeczy ważniejsze niż tak tęsknie wyczekiwany odpoczynek. Jesteśmy zmęczeni, lecz jesteśmy też gotowi. Jeśli myślisz, pani, że złamała nas długotrwała wojna, to proszę pomyśleć jeszcze raz. Nasi żołnierze to twardzi weterani, od dzieciństwa znający smak krwi. Pozwolę im znów ją pić. Jeśli zostaną do tego zmuszony.

Vlora znów spojrzała na Lindet. I znowu nie doczekała się żadnej reakcji. Miała ochotę mocno nią potrząsnąć.

– Co jest takiego ważnego w tych boskich kamieniach?

– Wszystko – odparła lady kanclerz głosem niewiele donośniejszym od szeptu.

– Owszem – przytaknął Kościane Oko. – Przyszłość mojego narodu zależy od tego, czy uda się nam je odzyskać. Jeśli nie oddacie ich dobrowolnie, uznamy to za wypowiedzenie wojny.

Nieoczekiwanie Lindet wstała.

– Odpowiedzi udzielę jutro. Do zobaczenia, panie ambasadorze.

Wyszła tak szybko, że jej dwór omal nie potykał się o własne nogi, próbując za nią nadążyć. Vlorę też miała ten problem. Już w drzwiach obejrzała się przez ramię. Ka-sedial został przy stole, a wyraz determinacji na jego twarzy sprawiał, że wyglądał bardziej jako anioł zemsty niż stary słaby człowiek.

Dogoniła Lindet.

– Wyjaśnisz mi, pani, co właściwie zaszło? – spytała.

– Nic z tego, co zaplanowałam. Do jutra masz czas na przygotowanie garnizonu miejskiego do walki. Roześlij gońców, wojska pogranicza mają ruszać na pomoc Landfall. Podnosimy podatki wszystkich miast Fatrasty.

Lady Krzemień poczuła, jak ściska się jej żołądek. To nie były rozkazy kogoś, kto zabezpieczał się przed skutkami blokady, to były działania kogoś przygotowującego się do wojny.

– Czym są te boskie kamienie? – warknęła.

Lindet dumnie uniosła głowę.

– Pani generał, jak rozumiem, jesteście bardzo zajęta.

Odeszła, zostawiając Vlorę skamieniałą z otwartymi ustami.

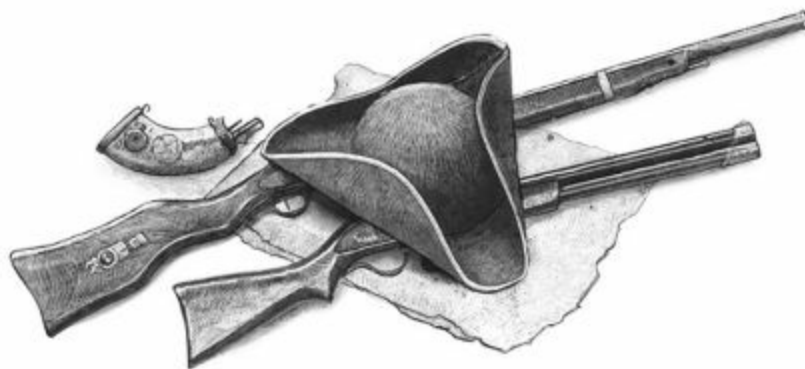
Taką w kilka chwil później odszukał ją Olem. Żeby do niej podejść, musiał przeciskać się siłą przez tłum wytrąconych z równowagi dygnitarzy.

– Co się stało po tym, kiedy wyrzuciła nas wszystkich za drzwi? – spytał.

– Nie jestem pewna. – Generał opuściła wzrok na swoje ręce, a potem znów podniosła go na Olema. – Czy nasi ludzie przenieśli się już do Fort Nied?

– Tak, ale...

– Żadne „ale”. Przekaż im, że do rana mamy czas na przygotowanie się na inwazję.



## 52 ROZDZIAŁ

**V**lora pojawiła się w Fort Nied godzinę po nieoczekiwanym zakończeniu wizyty dynizyjskiego ambasadora. Na drodze prowadzącej w dół wschodniego zbocza płaskowyzu panował tak wielki tłok, że ostatnie ćwierć mili musiała przejść piechotą. Przy okazji przysłuchiwała się plotkom, rozchodzącym się niczym pożar lasów wśród sklepikarzy, przechodniów i robotników. Ludzie zastanawiali się głośno, czy Dynizyjczycy dokonają inwazji, czy otworzą drogi handlowe, czy też może zatrzymali się celem uzupełnienia zapasów przed długą drogą do Dziewięciu. Czuła, jak miasto pulsuje niepewnością i oczekiwaniem. Jak rozciągnięta ponad miarę sprężyna, której energia tylko czeka na wyzwolenie.

Olem pojechał przodem, konno i gdy Vlora dotarła na miejsce, artylerzyści już stali przy działach, a strzelcy objęli straż na murach. Chorąży z warty przy frontowej bramie szybko przekazał jej najnowsze informacje: Strzelcy Wyborowi rozlokowali się w forcie, pozostała część brygady była na patrolach obejmujących całość portu i zatoki. Pojawili się gońcy z informacjami, że garnizon Fatrasty ćwiczy w drewnianych fortach na południe i na północ od miasta. Lady Krzemień zawróciła ich i wysłała z poleceniem

przekazania pełnych raportów o gotowości bojowej przed zapadnięciem nocy.

Następnie obejrzała sobie swoje nowe stanowisko dowodzenia.

Ford Nied nie był, na szczęście, stary, drewniany i ledwie obronny tak jak Loel. Ta nowoczesna twierdza panowała nad zatoką, musiały minąć ją wszystkie statki zmierzające do portu, a jej trzy bastiony miały czyste pole ostrzału. Fort chroniły też potężne bloki wapienia nasycone magią Uprzywilejowanych, dzięki czemu były odporne i na ogień artyleryjski, i na czary.

W trakcie rewolucji fatrastańskiej Fort Nied przetrwał niszczący ostrzał floty Kezu. Vlora pocieszyła się myślą, że i dziś wytrzyma wszystko... jeśli zajdzie taka potrzeba.

Goniec dotknął jej ramienia.

– Lady Krzemień, pułkownik Olem kazał poinformować cię, że dynizyjski ambasador powrócił na swój statek.

– Doskonale. – Vlora wbiegła po schodkach na szczyt wysuniętego najbardziej na wschód ramienia fortyfikacji. Wspięła się na palce i wyjrzała na morze. Zażyła prochu, przez chwilę rozkoszowała się nagłym przyplływem mocy i adrenaliny, po czym wyteńczyła wzrok i skupiła go na okrętach. Marynarze i żołnierze stali nieruchomo, na baczność. Na forkasztele Ka-sedial rozmawiał z kimś wyglądającym na kapitana. – Oddałabym lewą rękę, żeby wiedzieć, czego dotyczy ta pogawędka!

– Nie – powiedział głos za jej plecami. – Mały palec, może. Ale nigdy rękę.

Mimo wszystkiego, co się ostatnio zdarzyło, Vlora i tak zdziwiła się, widząc obok Taniela. Nie Tampie-prawnika, ale Taniela w skromnym, granatowym garniturze, koszuli ze sztywnym kołnierzykiem i kapeluszu. Tuż za nim stała Palo, niższa nawet od Vlory i nadal tak drobna jak przed dziesięciu laty. Miała na sobie czarny płaszcz, dłonie ukryła w rękawach. Kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, puściła do niej oczko.

– Witaj, Ka-poel. Miło cię widzieć. – W tym stwierdzeniu była odrobina przesady. Vlora już dawno odkryła, że żywić ciepłe uczucia

dla kobiety, która zajęła jej miejsce u boku byłego narzeczonego, było rzeczą bardzo trudną. Nawet jeśli ta uratowała Adro przed szalonym bogiem.

Ka-poel skłoniła głowę i pomachała.

– Nadal nie potrafisz mówić, mimo że dysponujesz magią?

Palo rozłożyła bezradnie ręce i wzruszyła ramionami. „Co mogę zrobić?”

– Eksperymentuje – powiedział Taniel. – Niełatwo to zrobić, a nawet jeśli się uda, trudniej utrzymać.

Vlorze nie udało się powstrzymać drżenia. Czym jest „eksperymentowanie” dla kogoś władającego magią krwi? Nagle coś innego przyszło jej do głowy. Rozejrzała się niespokojnie.

– Chyba wiesz, że moi ludzie to była kadra Siódemki i Dziewiątki, czyli jednostek pod osobistym dowództwem Tamasa. To praktycznie pewne, że wielu z nich doskonale cię pamięta, a w dodatku nie jesteście parą niezwracającą na siebie uwagi.

– Kiedy inni mają cię za martwego, przestają zwracać na ciebie uwagę. Przynajmniej tak wynika z mojego doświadczenia. Poza tym Ka-poel jest zbyt zmęczona, by stworzyć mi nową twarz w tak krótkim czasie. Uznałem, że warto zaryzykować, bo musimy porozmawiać.

– Przecież już rozmawialiśmy – obruszyła się Vlor.

– No więc, jak widzisz, okoliczności się zmieniły. Miałem nadzieję, że rozważysz ponownie moją propozycję.

– Na to już trochę za późno. Gdy pojawili się Dynizyjczycy, Lindet zaproponowała mi umowę na królewskich warunkach. Rozmawiasz z ostatnią nadzieją Landfall. Dowodzę całością obrony miasta.

Taniel spojrział na morze. Był niespokojny.

– Tak, widziałem – przyznał.

– I mam trochę pracy. – Spojrzała na jego towarzyszkę. – Poznałam dziś drugie Kościane Oko. Zimny sukinsyn. Nazywa się Ka-sedial. Potraktował Lindet z góry, jak byle ładacznicę. Wiesz coś o nim? Ma taką samą moc jak ty?

Między Tanielem a Palo doszło do jakiejś milczącej wymiany informacji, a potem dłonie Ka-poel zaczęły się poruszać. Gestykulacja była tak szybka, że Vlora nawet nie próbowała odróżnić poszczególnych ruchów. Taniel nie miał z tym problemów. Począł, aż skończy, i przetłumaczył:

– Ka-sedial nie jest tak potężny jak Ka-poel, daleko mu do tego, ale dorównuje Lindet sprytem i jest równie bezlitosny jak ona. Nie wolno mu zaufać.

– To mi do głowy nie przyszło. – Vlory nie zdziwiło, że Palo z góry wiedziała, z kim mają do czynienia. Zapisała sobie tylko w pamięci, że ma zapytać, skąd wiedziała. Ona i Taniel byli istną skarbnicą informacji. Jeśli zechcieli się nimi dzielić.

Gesty – i ich tłumaczenie – bynajmniej się na tym nie skończyły.

– Ka-sedial wie, że w mieście jest Kościane Oko. Próbuje rozgryźć je, od kiedy postawił stopę na suchym lądzie. Jest znacznie bardziej doświadczony, obrona przed nim wyczerpuje siły Ka-poel.

To zaniepokoiło Vlorę najbardziej ze wszystkiego. Towarzyszka Taniela była najsilniejszą żyjącą magiczką, jaką Vlora miała okazję poznać do tej pory, i musiała ukrywać się przed tym Dynizyjczykiem? Być może wynikało to ze zrozumiałej różnicy doświadczenia, lecz jednak Ka-sedial sprawiał trudności, a to budziło obawy lady Krzemień.

– Będzie z nim problem? – spytała.

– Od razu? Kościane Oczy to nie Uprzywilejowani. Nie mają bezpośredniego dostępu do ognia i błyskawic. Ich magia rozpala się powoli, to cierpliwe gromadzenie środków. Jeśli chce wojny, to dziś nie będzie żadnym kłopotem. Dopiero jeśli zostanie w mieście, stanie się niezmiernie dokuczliwym wrzodem na dupie.

– Więc w gruncie rzeczy mówisz mi, że nawet jeśli unikniemy walki, wypracujemy jakiś kompromis z Dynizyjczykami, po jakimś czasie będzie w stanie wyrządzić nam poważne szkody, nawet nie dysponując armią?

– Dokładnie.

Następne pytanie Vlora skierowała do Ka-poel.

– Potrafisz go unieszkodliwić?

Palo tylko po swojemu wzruszyła ramionami.

– Spróbuje – przetłumaczył Taniel. – Ale ona jest samoukiem, a on to wykształcone Kościane Oko z sześćdziesięcioletnią praktyką w magii krwi.

Lady Krzemień potarła skronie. To nie było coś, co pragnęła usłyszeć. No ale cenne dane wywiadowcze niekoniecznie muszą być dobrymi wiadomościami. Chciała coś powiedzieć, lecz Taniel nie dopuścił jej do głosu.

– Nie przyszliśmy tu tylko po to, żeby cię wynająć i udzielić kilku informacji o Dynizyjczykach. Sami też potrzebujemy informacji. Co się działo na spotkaniu?

Vlorę kusilo, żeby mu nie odpowiedzieć. Od kiedy się spotkali w sposób jawny, Taniel nie krył, że ma własne cele do osiągnięcia i są one przeciwstawne tym, które stawiała sobie Lindet, czyli jej pracodawczyni.

– Zdaje się, że powinnam cię w tej chwili aresztować – powiedziała.

Ka-poel wskazała Vlorę palcem, a potem wyprostowała ramię z uniesioną dłonią. „Nie”.

– No dobrze, zrezygnowałam z tego pomysłu.

Taniel miał oczywiście rację. Widziała, co zrobił z ludźmi-smokami. Powinna co najmniej spróbować przeciągnąć go na swoją stronę, dokładnie tak, jak to zrobiła ze Benjaminem Stykiem. Jeśli Dynizyjczycy okażą się zagrożeniem, to zarówno dla Lindet, jak i dla Palo, a ona będzie musiała przeciwstawić możliwej inwazji wszystko, co posiada, więc im więcej będzie miała argumentów, tym lepiej. Upór kazał jej jednak powtarzać sobie, że doskonale obejdzie się bez tej pary. Opanowała gniew, choć z wysiłkiem.

– Nie poszło zbyt dobrze. Ka-sedial pojawił się na nim sam i w zasadzie wystosował ultimatum: albo oddajemy Dynizyjczykom, co uważają za swoją własność, albo nam to odbiorą siłą.

– Jaką własność?

– Jakieś boskie kamienie. Lindet nie chciała mi powiedzieć, co to takiego, ale mam wrażenie, że coś magicznego.

Taniel odetchnął głęboko, Ka-poel podwinęła górną wargę, jakby szczyrzyła zęby. Długo patrzyli sobie w oczy, po czym Taniel zaklął:

– Co za gówno!

Vlora przeniosła na chwilę uwagę na żołnierzy, krzątających się na placu apelowym fortu, na artylerzystów, noszących kule i ustawiających je przy działach. Potem spojrzała na Taniela.

– O jakim gównie mówisz?

– Pamiętasz teorie, jakie ci przedstawiłem? Dlaczego Dynizyjczycy tu są?

– Tak. Pamiętam, że nic nie chciałeś mi o nich powiedzieć – warknęła.

– Chodzi o jedną z tych teorii – skrzywił się Taniel. – Jaka była reakcja Lindet?

– Powiedziała, że nie ma mowy, ale jeszcze o tym pomyśli.

Ka-poel stuknęła się palcem w skroń, pokręciła głową, energicznie machnęła ręką. Taniel pospieszył z tłumaczeniem.

– Nie odda ich. Teraz tylko kupuje czas.

– A po co go kupuje? – spytała Vlora agresywnie.

– Dla ciebie. Na przygotowania do obrony.

Lady Krzemień obawiała się ataku Dynizyjczyków, to oczywiste, ale do tej pory nie bardzo wierzyła, że zaatakują. Miała ku temu solidne podstawy, w tym tę najważniejszą: Fatrasta pozostawała w związkach z Dziewięcioma. Fortuny wszystkich rodzin królewskich zaangażowano w robione właśnie tu interesy.

– Jeśli Dynizyjczycy zaatakują, ściągną na siebie wszystkie Dziewięć. Szpiedzy musieli im o tym donieść.

– To dla nich bez znaczenia. Fatrasta ich nie interesuje, tylko boskie kamienie. Lindet nie zechce ich oddać, a to oznacza, że dobrze wie, co te artefakty potrafią, a to niemal równie przerażające jak perspektywa, że Dynizyjczycy dostaną je w końcu w swoje ręce.

Vlora traciła resztki cierpliwości w bardzo szybkim tempie.

– Więc może powiesz mi wreszcie, do czego one służą?



Taniel przechylił głowę z namysłem.

– O, na otchłań, jeszcze się nie domyśliłaś?

– Nie mam pojęcia! Tworzą bogów? Gdybym wiedziała, tobym... – Głos lady Krzemień opadał z wolna do szeptu. Nagle jej usta stały się suche. – Nie... Powiedz, że żartujesz.

– Zastanawiałaś się kiedyś, skąd się wzięli bogowie?

– Myślałam, że stworzył ich Kresimir.

– A skąd on się wziął? – Taniel tylko zadawał pytania. – Skąd wzięli się gurlańscy bogowie, których nasze kamaryle wymordowały za okupacji Gurli, przed czterdziestu laty? Oni się nie rodzą, ich się tworzy! W historii naszego świata mieliśmy kilkudziesięciu. Przychodzili i odchodzili. To nie jest wiedza powszechna, ale kamaryle wiedzą. Szukały boskich kamieni przez stulecia. Przypadek zrządził, że znaleźli je akurat Uprzywilejowani Lindet.

Vlora nie miała pojęcia, w co wierzyć. Choć wiele w życiu doświadczyła, ta historyjka akurat wydawała się tak naciągana, że aż nieprawdopodobna. Tyle że w tej chwili rozmawiała z dwojgiem jak najbardziej żywych zabójców bogów, którym, z czego zdawała sobie sprawę, nie chciała uwierzyć. Odruchowo cofnęła się o krok i oparła o dźwalo.

– Więc ktokolwiek ma te kamienie, może tworzyć bogów?

– Sądzisz, że Lindet dopuściłaby, żeby ktoś inny został bogiem?

– Zamierza je zatrzymać i wykorzystać – westchnęła Vlora.

– A Ka-sedial chce je odebrać.

– Dla siebie?

– Albo dla cesarza. Dynizyjska wojna domowa wybuchła, kiedy zamordowano ich ostatniego boga. Udało się ją zakończyć tylko obietnicą, że stworzony zostanie nowy. – Taniel pochylił się tak, że ich twarze niemal się stykały. – Dynizyjczyków nie motywuje ani zachłanność, ani ambicja, tylko rozpacz będąca skutkiem umierania wiary, a to najgroźniejsza motywacja na świecie!

Vlora oddychała szybko, urywanie. Wpatrywała się w widoczne nad falochronami żagle potężnej wrogiej floty.

– Widziałam, do czego zdolny jest bóg podczas wojny. Nie dopuszczę, by to się powtórzyło.

– I w tym się zgadzamy. – Oblicze Taniela było niczym maska skrajnej determinacji. Stojąca za nim Ka-poel skinęła głową.

– Więc dlatego tu jesteście. – Dopiero teraz dla Vlory wszystko stało się jasne. – Nie chodzi wam o Palo, Lindet czy Fatrastę. Jesteście tu z powodu boskich kamieni. Nie dopuście, żeby Lindet położyła na nich łapy.

– Nie chcemy, by ktokolwiek to zrobił – sprostował Taniel. – Nie zrozum nas źle. Walczymy dla Palo, bo wierzymy w ich sprawę, ale boskie kamienie są wielokroć ważniejsze niż jakiegokolwiek rozgrywki, polityczne czy rasowe.

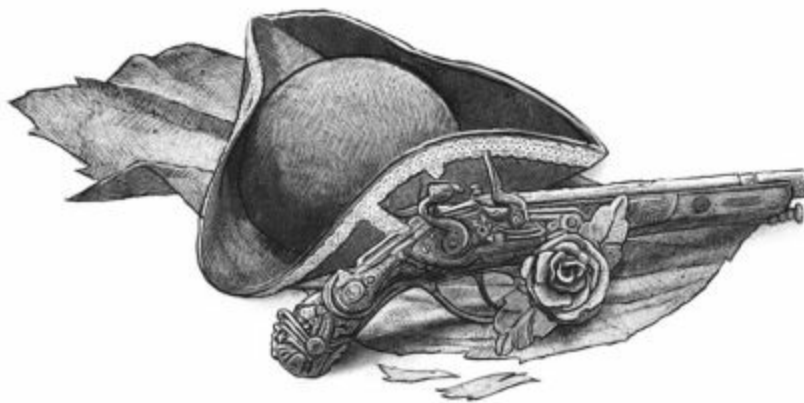
Z tym Vlora nie mogła się nie zgodzić. Ta sprawa była większa od niej, od Lindet, nawet od Dynizyjczyków. Boskie kamienie były wystarczająco potężne, by zmienić oblicze świata, najprawdopodobniej – nie, to wiedziała na pewno! – nie na lepsze.

– Nie dostaną ich – powiedziała stanowczo. Wyprostowała się z wysiłkiem.

– Dynizyjczycy? – spytał Taniel.

– Ktokolwiek.

To był koniec rozmowy. Vlora zeszła na dziedziniec, jeszcze na stopniach wołając o konia i dwustu jeźdźców eskorty. Lindet jest jej pracodawczynią, zgoda, ale tak czy inaczej, muszą porozmawiać.



## 53 ROZDZIAŁ

**D**otarcie do Ognistej Jamy zajęło Michelowi i jego matce kilka długich godzin.

Już w parę minut po ucieczce Bravis zrzucił uniform Czarnego Kapelusza. Potem często zmieniali dorożki, kluczyli i cofali się własnym tropem, a kilka przecznic nad Krawędzią oboje przeszli piechotą. W końcu dotarli jednak pod numer trzydziesty, zaniedbaną kamienicę wiszącą nad Jamą po jej zachodniej stronie.

Michel wsadził klucz w zamek drzwi swojego prywatnego bezpiecznego domu. Nie czuł się bynajmniej bezpiecznie, choć w ucieczkę zaangażował przecież wszystkie swoje niebagatelne umiejętności. Matka stała u jego boku. Po wybuchu i gradzie pytań, którymi zarzuciła go w pierwszej dorożce, teraz milczała, głowę miała opuszczoną i w ogóle wyglądała jak ofiara nerwicy frontowej.

Stary, zardzewiały zamek poddał się w końcu i Michel mógł już kopniakiem otworzyć drzwi.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – spytała matka.

– W domu. – Dla pewności spojrział w prawo i w lewo. Korytarz był pusty.

Mieszkanie był rozgrzane, duszne, a wszystko, co się w nim znajdowało, pokrywała gruba warstwa kurzu. Krztusząc się, Michel przede wszystkim przeszedł przez trzy pokoje, pootwierał okna na całą szerokość. Przy okazji rozglądał się też, sprawdzając, czy nikt nie nocował tu podczas jego nieobecności. Nie, nikt nawet nie zajrzał do środka. Od bardzo dawna. Jeśli dobrze liczył, od czterech lat.

– Czy właśnie to wy, szpiedzy, zwykliście nazywać „bezpiecznym domem”?

Michel zdziwił się, skąd matka zna to określenie, ale natychmiast przypomniał sobie, że przez cały dzień tylko czyta groszowe powieści.

– Owszem – przytaknął.

– Czy to bezpieczny dom Czarnych Kapeluszy?

Michel parsknął śmiechem, ale natychmiast się uciszył. Podeszedł do okna wychodzącego na Ognistą Jamę. Czuł zapach dymu, a ten zawsze zwiastował kłopoty. Wysunął głowę i nadstawił uszu. Tak, nawet tu, na górze, słyhać było słabe echa gniewnych okrzyków i brzęk tłuczonego szkła. Wśród Palo wszczęły się rozruchy. Wcale go to nie zdziwiło, od popołudnia gazety prześcigały się w relacjach z egzekucji Mamy Palo.

Nie był to bezpieczny czas na wizyty w Jamie, przynajmniej nie dla kogoś wyglądającego jak on, dziedziczący wygląd po kresjańskich przodkach, nie Palo, którym był w jednej czwartej. Nie powinien narażać się na niebezpieczeństwo. A jednak, powiedział sobie, znacznie większym ryzykiem jest nie zejść do Jamy.

– Zaczekaj tu – przykazał matce.

Wbiegł po chwiejnych schodach dwa piętra wyżej. Zapukał do czwartych drzwi po lewej. Musiał kołatać tak przez kilka minut, nim uchyliła je podejrzliwa Palo. Pokazał jej zwinięty banknot dwudziestokranowy.

– Jestem Synem Czerwonej Ręki – oznajmił. – Muszę dostarczyć informację do Żółtego Pałacu. Natychmiast.

Kobieta tylko rzuciła okiem na pieniądze.

– Tam są teraz zamieszki – powiedziała.

– Wiem. Ale to bardzo ważne. Mieszkam dwa piętra niżej, mieszkanie długo stało puste.

Palo zastanawiała się głęboko nad tym, co usłyszała. Tożsamość Michela, prawdziwa tożsamość, tak długo tkwiąca w jednej ze szkatulek w jego głowie, była równie dobrze skonstruowana jak przykrywka Czarnego Kapelusza. Wraz z Tanielem mieli kilkanaście planów zastępczych, a także bezpieczne domy, ustalone hasła, łańcuchy przekazywania informacji, skrytki bankowe. Nie pamiętał połowy z tych instrukcji i ustaleń, ale wiedział, że Taniel musi jak najszybciej dowiedzieć się, że w Kapelusznictwie Michel jest spalony na zawsze.

Kobieta nie reagowała, więc do pierwszej dwudziestokranówki dołożył drugą, i to ją przekonało. Skinęła głową.

– Ludzie Meln-Duna opanowali Żółty Pałac, ale owszem, mogę przekazać wiadomość Czerwonej Ręce. – Niemal wyrwała mu pieniądze. W chwilę później na korytarzu pojawił się mały chłopiec. Wyciągnął rękę.

Michel znalazł ogryzek ołówka. Napisał krótki liścik. Dzieciak wziął go i natychmiast wybiegł.

Po powrocie do mieszkania Michel zastał matkę siedzącą na zakurzonej sofie w dużym pokoju, wpatrzoną we własne ręce. Kiedy wszedł, podniosła głowę i spojrzała mu w oczy, widać było, że chce zadać jakieś pytanie, ale się przed tym powstrzymuje. On sam przede wszystkim znów wyjrzał na zewnątrz. I znowu usłyszał dobiegające z Jamy wrzaski. Woń spalenizny stawała się coraz mocniejsza i to była bardzo zła informacja. Pożar w groźnym miejscu i cała Jama mogła pójść z dymem.

Usiadł na kanapie przy matce. Siedział i gapił się w ścianę. Jego życie, to życie, które z takim trudem budował przez ostatnie cztery lata, właśnie się skończyło. Pozostawiło po sobie pustkę w sercu, aż musiał się zastanowić, czy nie za głęboko wszedł w rolę Czarnego Kapelusza. Powinien przecież radować się, że oto znów będzie tym kimś, kim był naprawdę.

– Michelu...

– Taniela i Ka-poel poznałem przed czterema laty – zaczął bez wstępów. Nie patrzył na matkę, nie chciał widzieć wyrazu jej twarzy, gdy zorientuje się, że tak długo ją okłamywał. – Udało mi się wepchnąć na którąś z tych politycznych gali w Górnym Landfall. Szukałem kogoś, kogo mógłbym okraść. Upatrzyłem sobie ich dwoje, mieli być moimi głównymi ofiarami. Nie spodziewałem się żadnych problemów. Ale... zaczęliśmy rozmawiać i okazało się, że są jacyś dziwni. Inni. – Zachichotał cicho. Do dziś cieszyło go, że nie spróbował pozbawić ich portfeli. Taniel zapewne wywróciłby go na drugą stronę. – Ka-poel przejrzała mnie natychmiast, ale zamiast kazać wyrzucić na ulicę, oboje wzięli mnie pod swe skrzydła. Przedstawili mnie ludziom, z którymi nie miałem prawa rozmawiać, no i w ciągu kilku godzin stworzyłem fikcyjną postać, której nigdy nie było. Zostałem pozbawionym majątku książątkiem ze Starland, próbującym odzyskać, co stracił przez zdradzieckiego starszego brata. Goście, durnie, łyknęli tę historię bez zastanowienia. Wyszedłem bogatszy o dziesięć tysięcy kрана ze zbiórki, mającej ułatwić mi rozprawę ze zdrajcą. Jakiś czas później zorientowałem się, że moi nowi przyjaciele też nie są tymi, za kogo się podają. Oni też dostali się na przyjęcie pod fałszywą tożsamością, jak ja, tylko im nie chodziło o pieniądze. Tworzyli sieć kontaktów. Muszę przyznać, że te znajomości zapewne były dla nich znacznie cenniejsze niż datki dla mnie. I tak się złożyło, że zacząłem pracować dla nich. Drobne kradzieże, fałszerstwa, tego rodzaju rzeczy. – Michel zignorował pogardliwe prychnięcie matki. – Nie zabrało mi wiele czasu odkrycie, że nie są to jacyś wielcy oszuści, królowa i król kryminalnego podziemia. Że grają w inną, trudniejszą grę. Że zajmują pozycję do ataku na Lindet. Występowali w obronie Palo, a to mi się bardzo podobało. Ze względu na dziadka.

Dopiero teraz, wreszcie, Michel spojrział na matkę. Zastanowił się, czy imiona Taniel i Ka-poel coś jej mówią. Miała problemy z pamięcią, szanse, że zapamiętała jakiegoś bohatera wojny sprzed lat, rzecz jasna oprócz swego zmarłego męża, były niewielkie. Teraz

przyglądała się synowi, mrużąc oczy, zupełnie jakby widziała go po raz pierwszy w życiu.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedziała po chwili milczenia – ale przerażasz mnie, Michelu.

Sięgnął pod koszulę. Wyciągnął Złotą Różę, pozwolił jej kołysać się w palcach.

– Mówię, że zanim zostałem tym, byłem kimś zupełnie innym. – Wskazał odznakę Czarnych Kapeluszy. – Tym nie jestem.

– A więc kim jesteś?

W tym momencie rozległo się pukanie. Michel poderwał się na równe nogi, przeszedł przez pokój najciszej jak potrafił, położył palec na wargach, nasunął kastet na dłoń. Powoli odsunął mosiężną zasłonę przeziernika. Odetchnął cicho i otworzył drzwi, jednocześnie cofając się o krok.

Na progu stali Taniel i Ka-poel. Taniel w prawdziwej postaci, nie jako Gregious Tampo czy ktokolwiek inny, a przez lata wcielał się w wiele osób, Ka-poel równie młoda jak wówczas, gdy Michel zobaczył ją po raz pierwszy. Ka-poel przytuliła Michela do siebie mocno, podczas gdy Taniel, jak sam Michel przed nim, dokładnie przeszukał całe mieszkanie.

– Jak znaleźliście mnie tak szybko? Przecież wiadomość wysłałem przed zaledwie kilkoma minutami!

Taniel wyjrzał przez okno, a potem pozamykał wszystkie. W powietrzu wisiał ciężki dym.

Matka Michela siedziała na kanapie, nieruchoma jak przerażony jelen. Wpatrywała się w nowych gości na poły podejrzliwie, na poły gniewnie.

– Ktoś od nas obserwował dom twojej matki – wyjaśnił Taniel. – Przed godziną, kiedy byliśmy w Fort Nied, dostaliśmy wiadomość, że zaatakowałś Fidelisa Jesa. Najpierw sprawdziliśmy tam, a potem przyszliśmy tutaj, gdzie spodziewaliśmy się ciebie spotkać. Zakładam, że jesteś spalony?

Michel skinął głową.

– Popełniłem błąd – przyznał.

Taniel westchnął, rozczarowany.

– Jaki błąd?

– Szukałem informacji o boskich kamieniach. Uruchomiłem jakiś alarm w tajnym archiwum Kapelusznictwa. Wielki mistrz od razu przyszedł po mnie do domu mamy. Udało mi się dać mu w łeb i uciec.

Goście wymienili spojrzenia. Palo tylko wzruszyła ramionami, jakby ta sprawa nie miała wielkiego znaczenia, Taniel wyglądał na bardziej przejętego.

– Tego się nie zmieni – stwierdził. Wyjął z kieszeni liścik, który Michel zostawił mu poprzedniego dnia w banku. – Nie miałem czasu sprawdzić, o co chodzi. Mógłbyś wyjaśnić?

Michel opisał krótko swoją wizytę w archiwach Kapelusznictwa i na stanowisku archeologicznym za miastem, na południu. W miarę opowieści Taniel rozpogadzał się, a na jej końcu nawet uśmiechnął.

– Więc mamy go? – spytał.

– Moim zdaniem tak, ale lepiej się upewnij. Nie jestem pewien, czy spodziewałeś się czegoś takiego. To gigantyczny obelisk, wysoki na osiemdziesiąt stóp, całkiem podobny do tych, które od czasu do czasu wykopują wszędzie wokół miasta.

Taniel przeszedł przez pokój, usiadł na kanapie obok matki Michela. Podparł podbródek na rękę, siedział tak, jakby nie zdawał sobie sprawy, że ma towarzystwo. Zmarszczył czoło.

– Masz rację – powiedział. – Nie tego oczekiwaliśmy.

– Michel! – Matka przemówiła wreszcie, głosem o oktawę wyższym niż normalnie. – Kim są ci ludzie?

Bravis otarł pot z czoła. Spojrzał na gości. Ka-poel wskazała siebie, a potem jego matkę, znaczenie tych gestów było oczywiste: „Przedstaw nas”. Mimo to wahał się jeszcze długą chwilę. Nie wiedział, czy jego opowieść sprzed kilku minut w ogóle do matki dotarła.

– Mamo, to Taniel i Ka-poel. Pracuję dla nich.

– Więc nie jesteś Czarnym Kapeluszem?



– Jestem. A raczej byłem. Domyślam się, że Fidelis Jes teraz na mnie poluje.

– A ty kim jesteś? – zapytała matka, odsuwając się od Taniela i mierząc go wzrokiem.

Zamiast odpowiedzi Taniel powoli zdjął rękawiczkę. Pokazał kobiecie dłoń koloru świeżej krwi. Paznokcie miał długie, skórę gładką. Pomachał ręką dla lepszego efektu.

Starsza pani westchnęła donośnie.

– Czerwona Ręka? – spytała z niedowierzaniem.

– Tak jest. We własnej osobie.

– Rewolucjonista! Bojownik!

– Podobnie jak twój syn, pani Bravis.

Michel uśmiechnął się do matki niepewnie. Widział, jak mruga, oszołomiona, i jak nagle wszystko układa się jej w głowie.

– Jesteś podwójnym agentem!

– Tak.

Kobieta poderwała się z kanapy, przebiegła przez pokój, chwyciła syna w objęcia, nim zdołał ją powstrzymać. Przytuliła go mocno. Podejrzewał, że właśnie się rozplakała. Odwzajemnił jej uścisk, delikatnie poklepał po plecach, uśmiechnął się przepraszająco.

– Już, mamó – poprosił. – Już wszystko w porządku.

– Nie jesteś Czarnym Kapeluszem. Jesteś dobrym chłopcem, prawdziwym Palo, walczysz przeciw Lindet!

– No... owszem.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Nie mogłem.

– Jestem twoją matką!

– Właśnie dlatego nie mogłem.

Przez chwilę miał ochotę opowiedzieć jej o ryzyku, o torturach i tych wszystkich strasznych rzeczach, które czekałyby ich, gdyby wymknęło się jej, kim jest naprawdę, gdyby został zdemaskowany, ale uznał, że w tej chwili byłoby to dla niej zbyt wiele.

– Zaczynałem od samego dołu – powiedział tylko – i awansowałem. Byłem szpiegiem i donosicielem, pomagałem

Czarnym Kapeluszm oczyszczać ulice z elementów niepożądanych. Przed kilku laty, dzięki pomocy Taniela, schwytałem zbuntowanego maga prochowego. Dostałem za to Srebrną Różę. Potem już polowałem na Złotą.

– Przepraszam, że przerywam – odezwał się Taniel cicho – ale mamy problem.

Michel delikatnie odsunął matkę od siebie. Odprowadził ją na kanapę, poczekał, aż usiądzie. Uśmiechała się do niego tak serdecznie, że aż poczerwieniał.

– Mamy same problemy – powiedział. – Fidelis Jes chce mojej głowy.

– Nie sędzę, by akurat teraz specjalnie się tobą przejmował. Dynizyjska flota, trzymająca się tuż przy granicy zatoki, może w każdej chwili zaatakować miasto. Dynizyjczycy chcą boskich kamieni. Moi informatorzy twierdzą, że rozruchy w Jamie wszczęli ich agenci. Posłałem już wszystkich dostępnych ludzi, żeby się z tym uporali, ale to my we troje musimy zrobić coś z tym kamieniem.

Michel postukał palcami w ścianę.

– Ja nie dam rady – oznajmił. – W tej chwili szuka mnie już połowa Kapelusznictwa. Zostanę tutaj, póki nie uda mi się wyprawić bezpiecznie matki. Jeśli Dynizyjczycy rzeczywiście zaatakują, to ja chcę być jak najdalej.

– Nie sędzę, by na ciebie polowano – odparł Taniel zimno. – Jes przeżył twoją napaść, to mogę ci już powiedzieć. Ale teraz, kiedy jesteśmy zagrożeni inwazją, wszystkie wysiłki poświęci raczej zachowaniu pełnej kontroli nad Czarnymi Kapeluszymi. Poza tym co ty sobie myślisz, że ktoś o tak wysokim mniemaniu o sobie przyzna się publicznie, że zwykły szpieg dał mu w łeb i uciekł? Będzie to trzymał w tajemnicy, aż nadejdzie czas, by osobiście się na tobie zemścić.

Michel wcale nie był o tym przekonany.

– W każdym razie – powiedział – ja się nie wybieram do walki. Nie jestem żołnierzem.

– Nie, nie jesteś. – Taniel przyznał mu rację. – Ale nadal masz swoją Złotą Różę?

– Mam. I zamierzam się jej pozbyć jak najszybciej.

– Jeszcze może się przydać.

– Ale także identyfikuje mnie jako agenta i biorący udział w rozruchach będą o tym wiedzieć. – Michel stanął w kącie pokoju z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Czuł pod koszulą ciężar medalionu. Próbował myśleć. Martwił się o matkę i jego najważniejszym obowiązkiem było teraz odesłanie jej z miasta. Jeśli o niego chodzi, to od tej chwili Taniel będzie musiał działać sam. Nie jest mu w stanie pomóc w żaden sposób, nie teraz. Spojrzał na Kapoel z nadzieją, że w niej znajdzie wsparcie. Oni oboje bywali bezcenni, ale Michel zawsze bardziej lubił Palo. Miała wspaniałe poczucie humoru.

Tymczasem dziewczyna wykonała serię błyskawicznych, skomplikowanych gestów. Michel potrzebował trochę czasu, by je sobie przetłumaczyć.

„Potrzebujemy tego kamienia”.

– Wiem – przytaknął Taniel ponuro.

„Jeśli ktoś ma go dostać, to już lepiej Lindet niż Dynizyjczycy” – gestykulowała zawzięcie.

– Niech o niego walczą. Nie mamy innego wyjścia niż to. Nie spodziewaliśmy się, że jest taki wielki.

„Musimy coś wymyślić!”

– Jasne – zgodził się Taniel. – Ale co niby mamy zrobić z głazem wysokości osiemdziesięciu stóp? Zaczaić się i ukraść go?

Michel odepchnął się od ściany, podszedł do kanapy i ukląkł przy matce. Kołysała się w przód i w tył, mrużąc coś pod nosem w Palo.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Moje książki! – jęknęła.

Omam nie roześmiał się głośno. Wokół nich płonęło miasto, cały ich świat walił się w gruzy, a starsza pani potrafiła tylko żałować pozostawionych w domu czytadeł. Pochylił się i łagodnie pocałował ją w czoło.

– Kiedy wydobanę cię z miasta, dostaniesz nowe, obiecuję.

– A czy możemy w ogóle wyjść z domu? Czy to bezpieczne? Te rozruchy! I Czarne Kapelusze...!

Prawdopodobnie nie jest bezpieczne, przyznał Michel w myśli.

– Prawdopodobnie musimy zostać tu na jakiś czas i jakoś znieść ten dym – powiedział głośno. – Ale nie bój się, w końcu uciekniemy.

Przygryzł kostki palców. Był wściekły na siebie. Próbował coś wymyślić. Gdyby zaryzykował w oparciu o przekonanie Taniela, że Jes nie poinformował o jego zdradzie, skorzystał z kontaktów Czarnych Kapeluszy, do wieczora nie byłoby ich już w Landfall. Ale nie był skłonny do poniesienia takiego ryzyka.

– Chwileczkę – powiedział głośno. – Co powiedziałaś?

– Próbuje ustalić jakiś plan – wyjaśnił Taniel.

– Nie. Jeszcze wcześniej. Powiedziałaś chyba, że nie możemy zacząć się i ukraść kamienia?

Ka-poel przechyliła głowę.

– A co, jeśli... – Michel uniósł palec w ostrzegawczym geście. Nie chciał, żeby mu przerywano. – A co, jeśli okaże się, że możemy tak zrobić?

– Nie rozumiem, co mówisz.

– Czy trudno ci będzie zorganizować kilka barek? Żeby czekały na nas w górze rzeki, powiedzmy milę na północ od Landfall? Potrzebni będą również uzbrojeni strażnicy, liny holownicze, tego rodzaju rzeczy. – Pamiętał, co powiedział mu profesor Cressel, że obelisk będzie przygotowany do transportu w ciągu kilku dni.

Taniel i Ka-poel wymienili szybkie spojrzenia.

– Ciężko będzie, ale chyba damy radę.

Michel wziął Taniela pod ramię, poprowadził do drzwi. Wyszli razem na korytarz. Z jakiegoś powodu dymu było tu więcej niż w mieszkaniu. Bravisowi wydawało się, że słyszy przeraźliwy krzyk.

– Możesz zabrać matkę z miasta? Natychmiast? – spytał bez wstępów.

– Oczywiście.

Przygryzł wargę. Miał pewien pomysł: ryzykowny, szalony i zapewne bardzo głupi. Ale mimo to mogło mu się udać.

– W porządku – zdecydował. – Wywieź matkę i dopilnuj, żebyśmy mieli barki na czas. Jeśli to zrobisz, być może uda się nam skrać boski kamień. Tak się umawiamy?

– Więc przyłączasz się do mnie?

– A mam wybór? – Michelowi wcale się to nie podobało. Wrócili do środka. – Mamo, opuszczasz Landfall – oznajmił. – Musisz już iść.

– Ale... – w głosie starszej kobiety brzmiał strach – ale ty nie idziesz ze mną?

Syn przytulił ją mocno.

– Nie. Zajmą się tobą moi przyjaciele. Spotkamy się, kiedy to wszystko się skończy. – Stłumił jej protesty jeszcze mocniejszym uściskiem, wyprowadził na korytarz i siłą wepchnął w objęcia Taniela, który tylko na niego spojrzał, lekko speszony. – Mamo, już czas. Przyrzekam, że po ciebie przyjadę. Obiecuję. – A nad jej głową przekazał Tanielowi polecenie samym ruchem warg: – Wyprowadź ją stąd i spotkajmy się na zewnątrz.

W kwadrans później Taniel pojawił się przed kamienicą, w której Michel miał swoje schronienie. Ka-poel wspięła się na palce. Uważnie obserwowała ulicę w kierunku, z którego dobiegały głośne wrzaski. Były to niewątpliwie okrzyki strachu, a coraz gęściejszy dym świadczył o tym, że gdzieś w pobliżu płoną domy. Pożar będzie się teraz rozszerzał błyskawicznie, a mieszkańcy Jamy spróbują się z niej wydostać, wszyscy naraz. Przerażająca perspektywa.

– Twoja matka jest już w drodze – oznajmił Taniel. – A teraz powiedz mi, jaki masz plan.

– Powodzenie mojego planu – Michel miał nadzieję, że w jego głosie słyhać optymizm, którego wcale nie czuł – zależy od tego, czy profesor Cressel gotów jest do przeniesienia monolitu. Jeśli tak, to go po prostu zarekwirujemy.



## 54 ROZDZIAŁ

**O**lem dogonił Vlorę, gdy w otoczeniu eskorty przebiła się już przez popołudniowy tłok na ulicach i dotarła do budynku rządowego. Podjechał blisko, chwycił ją za rękaw, zanim zdążyła zeskoczyć z siodła.

– Puść mnie. – Vlora ściągnęła rękawice do konnej jazdy. – Norrine, Davd, zajmijcie stanowiska na północnym i południowym krańcu placu. – Odprowadziła wzrokiem magów prochowych z karabinami w rękach, póki nie zniknęli w tłumie.

– Widziałem Taniela – powiedział pułkownik cicho. – Nie żartowałaś z tą Czerwoną Ręką. Powiedział, że zamierzasz zrobić coś głupiego. O co chodzi?

– Mam zamiar zrobić to, co trzeba – odparła, wyrwała rękaw, zeskoczyła z siodła, rzuciła wodze szeregowemu. Stał obok niej w krótką chwilę później. Poszli w stronę budynku rządowego marszowym krokiem, noga w nogę. Przechodnie zatrzymywali się i gapili, bez wątpienia szeptali też między sobą i próbowali się

domyślić, czemu kompania Strzelców Wyborowych stanęła na progu Lindet akurat teraz. Nic jej nie obchodziło, co kto sobie pomyśli.

– Vloro... – zaczął Olem ostrzegawczym tonem. Byli już bardzo blisko drzwi. Stojące na najwyższym stopniu schodów Czarne Kapelusze przyglądały się im, oblizując wargi ze zdenerwowania.

– Nie! – zaprotestowała stanowczo. – Chcę, żebyś zaufał mi w tej sprawie. To ważne. Wyjaśnię ci wszystko później, ale... – Nie znalazła słów, by w pełni wyrazić to, o czym myślała. W jej głowie zabrzmiało echo słów Taniela: „Bogowie się nie rodzą, ich się tworzy”. Widziała, co się dzieje, kiedy bogowie uczestniczą w zdarzeniach realnego świata. Nie zamierzała dopuścić, by coś takiego kiedykolwiek się powtórzyło.

Minęła agentów, nie poświęcając im żadnej uwagi. Weszła do środka, ruszyła korytarzem, osłaniana przez trzy oddziały najemników. Zatrzymali się przed wejściem do biura lady kanclerz.

– Powiedz mi, że mnie popierasz – poprosiła Olema.

– Nie mam pojęcia, w czym – mężczyzna nie wydawał się uszczęśliwiony, przez chwilę myślała nawet, że dojdzie do kłótni – ale... jestem z tobą.

– Pilnuj drzwi. Niech mi tam nie wejdzie żaden Czarny Kapelusze.

Sekretarka próbowała ją zatrzymać, ale Vlora na nią też nie zwróciła uwagi. Wkroczyła do gabinetu lady kanclerz niezapowiedziana.

Lindet siedziała na rogu biurka, a kilkunastu jej doradców przekrzykiwało się nawzajem. Nikt nie słuchał nikogo i chyba nikt nie zauważył jej wejścia. Vlora wzięła głęboki oddech i najlepszym tonem oficerskiej komendy przekrzyczyła wszystkich:

– Wyjść!

Zapadła cisza. Kilkanaście par oczu wpatrzyło się w nią, ale nikt nawet nie drgnął.

– Wyjść!!!

Doradcy znikli, jakby ich wywiał przeciąg. Lindet i Vlora zostały same. Lindet nie ukrywała irytacji.

– Mam nadzieję, że przedstawiś mi dobry powód takiego zachowania, pani generał. – Obrzuciła wzrokiem pistolet i miecz, a potem przeniosła spojrzenie na twarz intruza.

– Nawet bardzo dobry. – Vlora wyjrzała przez okno na ulicę. Widziała stąd schody przed wejściem i swoich żołnierzy, stojących przy nich na baczność. Pojawił się oczywiście oddział Czarnych Kapeluszy, kłócili się teraz zażarcie z majorem Donevinem. Na piętrze budynku po przeciwnej stronie ulicy poruszyła się firanka, czaił się tam Uprzywilejowany, dobrze ukryty przed wzrokiem Vlory. Ale nie wystarczająco dobrze.

Odetchnęła głęboko. Powtórzyła sobie, że nie musi przecież eskalować sytuacji. Sprawę załatwić można spokojnie i po przyjacielsku. Wystarczy porozmawiać.

– Chciałabym wiedzieć, co zrobisz z boskimi kamieniami.

– Nie muszę ci się tłumaczyć. – Lindet nie ruszyła się z biurka. Bębniła palcami w jego drewniany blat.

– W takim razie zapytam inaczej. Boskie kamienie. Wiem, czym są, wiem, że je masz, i wiem, że ty też wiesz, do czego służą. Jak masz zamiar ich użyć?

– Zrobiłaś się nagle bardzo uczona, lady Krzemień, wystarczyły ci zaledwie dwie godziny. Ciekawe, naprawdę ciekawe.

– Unikasz udzielenia odpowiedzi. Nie uda ci się, uprzedzam.

Lindet zamrugnęła szybko. Vlora zastanowiła się przelotnie, kiedy po raz ostatni ktoś odezwał się do lady kanclerz tym tonem... i jak straszny spotkał go los.

– Kto mówi, że w ogóle zamierzam ich użyć?

Vlora poczuła, jak strumyk zimnego potu spływa jej po kręgosłupie. W ostatniej chwili powstrzymała się przed próbą jego wytarcia. Okrążyła pokój, ta odrobina ruchu miała ją uspokoić. Zatrzymała się, wzięła niucha prochu. Lindet nie spuszczała z niej wzroku.

– Pani generał, czy rozważyłaś możliwe konsekwencje swego wybuchu? To ja wam płacę.



– Szczerze mówiąc, nic mnie to nie obchodzi. – Vlora popatrzyła pracodawczyni wprost w oczy. – Mówimy o tworzeniu bogów. Czy sądzisz, że w porównaniu z czymś tej wagi umowa najmu ma jakiegokolwiek znaczenie?

– A powinna.

– Doprawdy? A to czemu?

– Bo stąpasz, pani generał, po bardzo cienkim lodzie. – Głos lady kanclerz stał się nagle bardzo groźny, bo cichy i spokojny. – Przydzieliłam ci trudne stanowisko, bo wierzę w twoje zdolności. Nie sądzisz chyba, że nie mam pomysłu, jak odwołać każdego, komu dałam pracę?

– Jestem pewna, że masz wiele pomysłów. I to mnie przeraża. Gdzie są boskie kamienie?

– To informacja zastrzeżona.

Vlora uderzyła pięścią w drewniane deski na ścianie z taką siłą, że usłyszała trzask.

– Gównu mnie obchodzi, zastrzeżona, niezastrzeżona! Nie masz pojęcia, w co się bawisz, Lindet. Dynizyjczycy właśnie przysłali nam pod miasto całą armadę, bo tak bardzo chcą je mieć, a ty udajesz, że nie mają żadnej wartości? Tymczasem ja wiem, czego potrafią dokonać. Tego rodzaju potęgi nie powierza się nikomu... I nie zatrzymuje dla siebie.

Lindet wstała i przeszła za biurko, poruszała się niespiesznie, z wdziękiem. Uniosła ręce, jakby chciała pokazać, że jest nieuzbrojona. Usiadła. Vlora jeszcze nigdy nie znalazła się w jednym pokoju z bezbronną, nieposiadającą daru magii osobą, nad którą nie mogła osiągnąć przewagi. Doprowadzało ją to do szału.

– Mam nadzieję, że przedstawiś mi jakąś propozycję – powiedziała spokojnie Lindet. – I że twój plan nie kończy się na wtargnięciu do mojego gabinetu i wrzasku.

– Zniszcz je – powiedziała Vlora po prostu.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Słyszałaś, co powiedziałam.

Lindet oparła podbródek na splecionych dłoniach.

– Po pierwsze, mam tylko jeden kamień. Założmy dla dobra dyskusji, że ten starożytny artefakt w ogóle da się zniszczyć. Ale... mamy go dopiero od miesiąca, a już posiadliśmy dzięki niemu ogromną wiedzę o naturze magii i jej historii. Moi Uprzywilejowani twierdzą, że mogliby go badać przez pokolenia, a i tak nie dowiedzieć się wszystkiego. A ty twierdzisz, że powinnam go zniszczyć!

– Tak twierdzę.

– To, droga pani generał, po prostu się nie zdarzy.

– Zaryzykujesz, że wpadnie w łapy Dynizyjczyków? Maga krwi i jego floty?

– Wynajęłam cię właśnie po to, by do tego nie doszło. Mam nadzieję, że o tym nie zapomniałaś?

Vlora miała wielką ochotę splunąć Lindet na buty. Z uporem godnym lepszej sprawy lady kanclerz wracała do jej zatrudnienia, jakby ustalenia finansowe cokolwiek dla Vlory w tej chwili znaczyły. Być może Lindet nie była w stanie pojąć, co jej nieproszony gość widział i czego doświadczył w czasie wojny Adro z Kezem. A może nic jej to teraz nie obchodziło? Może jej świat zaczynał się i kończył na umowach i sprawowaniu władzy, i nie potrafiła zrozumieć niczego poza tym?

– A jeśli mi się nie uda? – spytała.

– Wtedy w ostateczności rozważę także twoją sugestię.

– Poświęcisz życie moich żołnierzy, istnienie całego garnizonu miasta, byle tylko zatrzymać dla siebie to coś?

Lindet pochyliła się przez biurko. Jej oczy płonęły niesamowitym blaskiem.

– Poświęcę życie milionów, by zostać bogiem, pani generał. Jak zrobiłby każdy człowiek przy zdrowych zmysłach.

Vlora patrzyła na Lindet, a jej złość i frustracja ustępowały miejsca lodowatemu strachowi. Tego nie miała w umowie. Nie zamierzała brać na swoje barki takiej odpowiedzialności... A jednak wzięła. Bo jeśli nie ona, to kto?

– Spotkałam bogów na swej drodze, lady kanclerz, i muszę ci powiedzieć, że bardzo się mylisz. – Spuściła wzrok i dopiero teraz zorientowała się, że nadal ma na sobie paradny mundur, włożony z okazji audiencji udzielonej ambasadorowi. Zdarła z niego baretki, pasek po pasku. Rzuciła je na biurko. – Lady kanclerz, jako dowódca obrony Fatrasty aresztuję cię pod zarzutem stwarzania zagrożenia dla jej przyszłości.

Lindet miała czelność zrobić zaskoczoną minę.

– Nie możesz! – zaprotestowała.

– Właśnie to zrobiłam.

– Ja jestem Fatrastą!

– Nie. Jesteś sługą swojego kraju, pani. Jesteś za niego odpowiedzialna.

– Nie ucz mnie odpowiedzialności, ty bezczelna zdrajczyni. Straż!

Zza drzwi dobiegły odgłosy szamotaniny, a potem pojawiła się w nich głowa Olema.

– Wszystko w porządku?

– Właśnie aresztowałam lady kanclerz.

Pułkownik przełknął z widocznym wysiłkiem.

– Aha. No tak. Takie rzeczy się zdarzają. – Wyszedł na korytarz, doszło do ponownej szamotaniny, a potem zapanowała cisza.

– Zostajesz zwolniona z pełnienia obowiązków, pani generał – oznajmiła Lindet chłodno. – Masz natychmiast opuścić mój gabinet.

– Tak prosto ci się nie uda. – Vlora czuła, jak wywraca się jej żołądek, jak napinają mięśnie brzucha. Popełniała polityczne samobójstwo, a może nie tylko to? Dokonała przewrotu. Nie słyszała nic oprócz bicia swego serca.

Lindet uniosła dłoń, Vlora w jednej chwili znalazła się obok niej.

– Nie, nie, nie – syknęła. – Dasz sygnał, a twój Uprzywilejowany zginie. Nie jestem aż tak impulsywna, by nie sprawdzić tego pokoju zaraz po wejściu, i nie jestem jedynym magiem prochowym w tym mieście. – Wyczuwała Norrine i Davda ukrytych na dachach z bronią wymierzoną w niewidzialnych strażników lady kanclerz.

– Rozumiem. – Lindet opuściła dłoń powoli, a jednocześnie zwęziły się jej oczy. – Popełniasz poważny błąd.

Vlora czuła tylko wielki smutek i ciężar na barkach, jakby właśnie góra przycisnęła ją do ziemi.

– Popełniłam w życiu wiele poważnych błędów, Lindet, ale to nie jest kolejny z nich. – Przechyliła głowę, nasłuchiwała okrzyków, które nagle poniosły się korytarzem. W następnej chwili w drzwiach znów pojawiła się głowa pułkownika.

– Mam problem – oznajmił krótko.

– Jaki? – Vlora nie odrywała wzroku od Lindet.

– Dynizyjczycy spuścili łodzie.

– Ile?

Olem uniósł wyprostowany palec. W pół sekundy później Vlora też to usłyszała: odległy, stłumiony huk, rozbrzmiewający raz za razem. Bum... Bum-bum... Bum... Znała ten dźwięk doskonale. Każdy weteran go znał.

Przemówiły działa.

– Wszystkie – powiedział krótko Olem. – Zaczęła się inwazja.

Lady kanclerz uniosła brodę, przymknęła oczy, odetchnęła głęboko.

– Nie kupili tej historyjki o czasie do namysłu.

– Rzeczywiście, wygląda na to, że nie kupili. – Vlora zastanawiała się, co zrobić. W myśli analizowała i odrzucała kolejne scenariusze. Usiłując aresztować Lindet, wskoczyła w płomień, który okazał się być ogniem na pokładzie tonącego statku.

– Wydaje mi się... – Lindet ostrożnie dobierała słowa – że naszym głównym priorytetem na dziś jest raczej utrzymanie Dynizyjczyków jak najdalej od boskiego kamienia niż cokolwiek innego.

– I co? Mamy zapomnieć, co się tutaj stało?

– O nie, takich rzeczy nie puszczam w niepamięć. Ale mogę przymknąć na nie oczy... na jakiś czas. Tę rozmowę możemy przecież przełożyć na później, kiedy wrogie imperium nie będzie już chciało nas zabić.

Lady Krzemień jeszcze raz rozważyła sytuację. W tej chwili miała Lindet w garści. Powinna wtrącić ją do więzienia, tylko że jeśli to zrobi, najpóźniej za kilka godzin będzie miała na karku Fidelisa Jesa i jego Czarne Kapelusze. A jeśli nie, to tworzyła sobie właśnie potężnego wroga. Niemniej potrzebowała sojusznika teraz, a o konsekwencje zatroszczy się w przyszłości.

– Zgoda – zdecydowała. – Potrzebuję zapasów, wyposażenia i dodatkowych żołnierzy do rezerwy. Uzbrój Czarne Kapelusze i wyślij Uprzywilejowanych na wybrzeże. Wszystkich, rozumiesz?

– Dostaniesz ich, oczywiście.

Vlora wybiegła na korytarz. Olem dołączył do niej natychmiast.

– A aresztowanie Lindet? – spytał.

– Będzie musiało poczekać.

– Zostawiłaś ją u władzy?

– Raczej nie miałam wyboru, prawda?

– Ciekawe, kiedy wbije nam nóż w plecy.

– Będziemy się martwić, kiedy to zrobi – odburknęła Vlora. – Poślij po Norrine i Davda, potrzebujemy ich w forcie. Inwazja jest w tej chwili naszym jedynym problemem.



## 55 ROZDZIAŁ

**V**lora i Olem wrócili do Fort Nied pod ciężkim ogniem artyleryjskim z nieodległych okrętów dynizyjskiej floty. Pociski armatnie spadały na wschodnią część płaskowyżu Landfall, na przypadkowe budynki i ulice, musieli przedzierać się, osłaniani przez eskortę, między tłumami uciekających w panice ludzi, dorożek i wozów z towarami. Panował chaos, niektórzy szukali bezpieczeństwa w głębi płaskowyżu, niektórzy zaś wśród zabudowań portowych. Ludzie, ubrani w najlepsze niedzielne stroje, wylegli z domów, by pogapić się na dynizyjską armadę i posłuchać plotek o negocjacjach. Nikt nie spodziewał się ostrzału, o czym świadczyły zdumienie i szok, widoczne na twarzach zdezorientowanych, wszczynających bójki oraz opłakujących rannych i martwych.

Gdy tylko wjechała do fortu, lady Krzemień zaczęła natychmiast wydawać rozkazy, przekrzykując świst kul i huk wybuchów.

– Wszystkie działa, ognia! Baterie Sześć i Siedem, zatopić fregatę zagrażającą portowi. Osiem do Jedenaście, załadować kartacze

i położyć ogień przed nabrzeżami. Nikt nie ma prawa dopłynąć tak blisko, żeby mógł podpalić krypy handlowe. Pozostałe, skupić ostrzał na jednostce na linii południowo-wschodniego czoła. Ogień z okrętów jest rozpaczliwie niecelny, ale jeśli podejdą bliżej, i tak rozniosą nas na strzępy.

Odetchnęła głęboko. Dodatkowymi zmysłami zanalizowała magię wplecioną w umocnienia. Fort Nied przetrwał bitwę o Landfall, mimo że miał przeciw sobie potężną flotyllę Kezu. Magia obronna wytrzyma najcięższą kanonadę, pytanie tylko, jak długo.

Wbiegła na wschodnią kurtynę. Spojrzała najpierw na zatokę, a potem na ocean. Nad każdym statkiem Dynizyjczyków w regularnych odstępach czasu wznosiły się kłęby czarnego dymu. Ich ogień był rozproszony, wręcz chaotyczny, pociski lądowały dosłownie wszędzie, od dzielnicy przemysłowej po bagna północy, ale prawdopodobnie wcale nie zależało im na celności. Mieli jeden cel: wywołując zamęt, udzielali wsparcia setkom zbliżających się łodzi.

– Gdzie Taniel? – spytała stojącego najbliżej sierżanta.

– Kto? – spytał zdziwiony.

– Na otchłań, nikt nie wie nawet... – Zdenerwowało ją to. Obejrzała się, wyostrzonymi zmysłami poszukała maga prochowego lub śladu magii krwi. Znalazła tylko swoich trzech magów i nikogo więcej. – To tyle, jeśli chodzi o wsparcie, dupku – mruknęła pod nosem.

Całą uwagę skupiła na łodziach. W każdej z nich znajdowało się sześćdziesięciu lub więcej żołnierzy. Wiosłowali sprawnie mimo wzburzonego morza, utrudniającego celowanie ich artylerii. Wylądują za piętnaście minut... I nikt nie wie, co się wówczas wydarzy.

Sięgnęła pamięcią wstecz, odwołała się do swojej wojskowej wiedzy i na moment przerażenie ścisnęło jej serce. Przecież nikt nie wie, jak walczą Dynizyjczycy. Od ostatniej bitwy z nimi minęło przeszło sto lat, a wówczas stosowano zamki kołowe i wczesne skałkowe. Nie wiedziała, czy strzelają w szyku, czy raczej szarżują

na oślepa, manewrują w ataku, czy też rzucają się na przeciwnika, polegając wyłącznie na przewadze brutalnej siły.

– Olem! – krzyknęła i pomachała do pułkownika przez długość kurtyny. Ten podniósł wzrok i natychmiast przykucnął za murem, w który w chwilę później uderzyła kula z taką siłą, że wybiła się w górę, przeleciała nad blankami i wpadła do wody po drugiej stronie twierdzy, nie robiąc nikomu żadnej krzywdy. Skulony, pobiegł w jej kierunku. Złapała go za rękaw, przyciągnęła tak blisko, że mogła krzyczeć mu do ucha, inaczej nie dogadaliby się w łoskocie palb własnych baterii.

– Te łodzie płyną na północny kraniec zatoki. Kogo tam mamy?

– Czterotysięczny garnizon i trzy kompanie naszych chłopców.

Vlora znów przyjrzała się łodziom. Niuchnęła prochu, wyostrzyła zmysły. Z wyraźnego obrazu dynizyjskiego żołnierza próbowała odczytać jego taktykę.

Nie widziała żołnierzy wyekwipowanych w ten sposób, chyba że manekiny w muzeum. Na zielonkawoniebieskich mundurach nosili ciężkie, gięte półpancerze i także stalowe hełmy. Widziała spokojne, zacięte twarze, mocno zaciśnięte zęby; ci ludzie byli gotowi na wszystko. Z każdym ruchem wiosł byli coraz bliżej brzegu. Jedną z łodzi rozerwały kartacze, zabijając jedną trzecią załogi. Łódź zatonała momentalnie, rufą ku górze. Z najbliższej rzucono liny tonącym w ciężkim opancerzeniu, ale nikt nie zatrzymał się, by wziąć ich na pokład.

Ich uzbrojenie stanowiły muszkiety, wyglądające na produkt masowy. Miały zdobne snycerką ciężkie kolby, które w Dziewięciu wyszły z mody przed kilkudziesięciu laty. Vlora nie widziała dokładnie zamków skałkowych, ale to, co widziała, wydawało się świadczyć, że są równie nowoczesne, jak te używane przez jej żołnierzy.

– Padnij! – krzyknął nagle pułkownik, złapał Vlorę za ramię i przewrócił, aż oboje skryli się za murem. Wyczuła działanie magii, od którego rozplómił się jej zmysł, a w ułamek sekundy później



po wierzchołku fortyfikacji przemknął jęzor płomienia, zabijając i spalając dwie obsady artyleryjskie.

– Uprzywilejowani! – krzyknął ktoś.

Vlora poderwała się na równe nogi. Wyrzała poza mur, otwierając wewnętrzne oko. Uprzywilejowaną znalazła niemal natychmiast, kobieta stała na dziobie łodzi jakieś ćwierć mili od brzegu. Dłonią w rękawicy wykonywała skomplikowane gesty nad głową. Poruszała palcami, wznosiła rękę i opuszczała, jakby dyrygowała orkiestrą. Ogień uderzył w północną ścianę fortu z siłą dziesięciu pocisków armatnich, rozbijając działo jednaście i zabijając jego artylerzystów, ale Uprzywilejowana drgnęła nagle i upadła na wznak na wiosłujących żołnierzy, a na jej czole pojawiła się jaskrawoczerwona plama. Norrine, stojąca za murem w pewnej odległości od nich, opuściła strzelbę, dmuchnęła w lufę, z której unosiła się smużka dymu, i natychmiast załadowała ponownie. Vlora skinęła głową z uznaniem.

– Jest ich więcej! – krzyknęła Norrine.

Vlora też wyczuła Uprzywilejowanych, w łodziach Dynizyjczyków było ich co najmniej dwudziestu. Do niektórych trudno było wymierzyć, najprawdopodobniej kryli się w Nieświecie, pozostali, widząc śmierć jednej ze swoich, zaczęli otaczać się sferami stwardniałego powietrza.

– Olem, ilu Uprzywilejowanych ma garnizon?

– Dwoje.

– Dwoje? – zdumiała się Vlora. – Co dwoje Uprzywilejowanych jest w stanie dokonać przeciw temu?

– Mamy magów prochowych. – Pułkownik gestem wskazał Norrine.

– A tak, czworo. Przeciw ich całej przeklętej flocie. Pchnij gońca do Lindet. Niech przyśle całą swoją kamarylę. Natychmiast albo ta bitwa skończy się przed wieczorem.

Jakby dla podkreślenia wagi jej słów na nabrzeżu rozległy się wrzaski. Na rynek przy ujściu Hadshaw posypały się z nieba

odłamki lodu, raniąc stłoczonych tam cywilów. Vlora zakłęła. Spojrzała na łodzie, niemal już wpływające do zatoki.

– Bierz Davda i jeszcze kompanię. Wzmocnijcie garnizon w miejscu spodziewanego natarcia. Niech Davd przede wszystkim likwiduje ich Uprzywilejowanych. Ruszaj się!

Odprowadziła wzrokiem Olema, zbiegającego po schodach na plac apelowy fortu. Widziała, jak wyciąga Davda z jego stanowiska strzeleckiego. W chwilę później, wraz z oddziałem Strzelców Wyborowych, biegli już groblą łączącą Fort Nied ze stałym lądem.

Chwyciła gońca za ramię.

– Przysłać mi tu na górę obsadę z rezerwy! Niech jeden z naszych inżynierów ze Zdolnością czyta magię murów. Nie chcę takiej niespodzianki, że któryś z ich Uprzywilejowanych wywierci nam w nich dziurę.

– Tak jest!

Vlora uniosła się, wtuliła plecami w mur. Spojrzała kątem oka na nadpływające łodzie. Uprzywilejowani jeden po drugim wchodzili w zasięg, dzieła ich magii sypały się na twierdzę i zatokę. Jak statki, z których nadpływali, oni też byli tym skuteczniejsi, im na mniejszą odległość działali. Odetchnęła głęboko, wyteżyła magicznie wzmocnione zmysły. Dalej, dalej, jeszcze dalej, tysiąc jardów... Tak, na dziobie stoi jeden z nich.

Jedną myślą zdetonowała proch wszystkich ładunków, jakie mieli ze sobą żołnierze. Setki pomniejszych wybuchów rozniosły strzępy ciał i drzazgi drewna na dobre pięćdziesiąt jardów we wszystkich kierunkach. Poczowała eksplozję całą sobą, wstrząsnęła nią, jakby znajdowała się w bezpośredniej bliskości.

Miała dobry sposób na unicestwienie całych jednostek, ale wszystkich przecież nie da rady zniszczyć.

Zadała sobie pytanie: ilu dynizyjskich Uprzywilejowanych kiedykolwiek spotkało się z magami prochowymi w walce? Nie wyeliminuje każdego, detonując proch... ale nie wcale nie musi.

– Ty! – krzyknęła do najbliższego szeregowca. – Przynieś moją strzelbę!



## 56 ROZDZIAŁ

Styke jechał na czele kolumny nieco ponad tysiąca trzystu konnych. Nad nimi powiewały dumnie chorągwie Szalonych Lansjerów i Strzelców Wyborowych, pierwsza dowiązana do lancy Szakala, a druga adrańskiego sierżanta, którego imię natychmiast umknęło Styke'owi z pamięci. Obok siebie miał Ibanę po jednej stronie i Gustara po drugiej. Ibana przechylała głowę, nadśluchiwała, co major ma Styke'owi do powiedzenia o jego nowym dowództwie.

To, co Gustar miał mu do powiedzenia, wpadało pułkownikowi do głowy jednym uchem, a wypadało drugim. Cała noc w siodle, do Jedwar, a teraz z powrotem, miała ten skutek, że oczy same mu się zamykały i lada chwila mógł zlecieć z konia. Nóg już nie czuł, dla zachowania równowagi ścisnął łąk siodła jedną ręką, a drugą klepał Amreca uspokajająco po szyi. Celine siedziała za nim. Obejmowała go w pasie i rozkosznie drzemała.

Gustar nagle umilkł. Styke drgnął, obudził się, podniósł wzrok. Ibana wskazywała mu drogę przed kolumną. Spojrzał i omal nie wrzasnął.

Czarne Kapelusze. Co najmniej dwieście Czarnych Kapeluszy. Uzbrojonych po zęby – garłacze, muszkiety – połowa piechoty, połowa konno. Eskortowali trzy wozy.

Styke obejrzał się przez ramię na Szakala. Ruchem głowy pokazał mu, że ma wyjechać na czoło. Szakal uśmiechnął się drapieżnie.

– Będzie komenda „stój”? – spytał Gustar.

– Nie zatrzymujemy się dla takich jak oni. – W głosie Ibany słychać było niekłamane obrzydzenie.

Kolumna jeźdźców posuwała się przed siebie. Szakal wyprzedził ją, spotkał się z agentami, mając przewagę stu jardów. Styke widział, jak jeden z nich spogląda na sztandar, opuszcza wzrok na chorążego, a potem bardzo uważnie przygląda się nadjeżdżającym. Krzyknął coś za siebie, Czarne Kapelusze rozjechały się na obie strony. Gdy Styke do nich dojechał, pilnowali przydrożnych rowów, mierząc chorągiew i noszącego ją chorążego spojrzeniami tak jadowitymi, że mogliby wypalić w nich dziury. Styke skierował Amreca na bok. Kawalkada nie zmieniła szybkości, podczas gdy on zatrzymał się przed Srebrną Różą.

– Wiesz, kim jestem? – spytał.

Agent dumnie uniósł głowę.

– Tak, mam o tym jakieś pojęcie. – Odpowiedź brzmiała wyzywająco, ale w oczach mężczyzny czaił się strach.

– Doskonale. Wasze rozkazy?

– Nie twoja sprawa.

Styke zadał to samo pytanie inaczej.

– Wasze dyspozycje dotyczące mnie?

Widać było, że Czarny Kapelusze ma na końcu języka „spieprzać!”, ale kolejne spojrzenie na przechodzące wojsko miało zbawienny wpływ na jego maniery.

– Polecono nam udawać, że cię nie widzimy. Zdaje się, że nasi dowódcy mają ważniejsze sprawy.

– Świetnie – ucieszył się Styke. – Co za radość, że wasz dumny szef znalazł sobie inny obiekt obsesji.

Zawrócił konia w miejscu i pokłusował wzdłuż kolumny na jej czoło. Ale słowa Srebrnej Róży go dogoniły.

– Masz wolną drogę, lansjerze, ale wielki mistrz chce, byś wiedział, że to jeszcze nie koniec.

– Nie – burknął Styke pod nosem. – Z całą pewnością nie koniec.

Dogonił Ibanę. Już nie chciało mu się spać, za to miał wielką ochotę zawrócić i rozjechać tę kapeluszną hałastrę.

– Oni to dokąd? – spytała, gdy się zrównali.

– Nie wiem. Nie pytałem.

– Może dobrze byłoby zapytać?

Skrzywił się niechętnie.

– To Czarne Kapelusze. Jeśli o mnie chodzi, niech sobie jadą wprost w otchłań.

Droga prowadziła ich ku odległemu płaskowyżowi Landfall, poprzez liczne spływające z bagien rzeczki, a potem w górę, na skaliste wzniesienie, opadające trzydziestostopowym klifem do oceanu. Znaleźli się na szczycie, gdy Gustar odwrócił się nagle i nakazał „stój!”.

– Tylko pułkownik może zarządzić postój – pouczyła go gniewnie Ibana, ale major zignorował jej słowa.

– Słyszycie? – spytał.

– Co mamy słyszeć?

Gustar wyjął lunetę. Podniósł ją do oka, skierował na równinę, przyglądając się czemuś. Styke najpierw zerknął na Ibanę, równie zdziwioną jak on, a potem wyteżył słuch.

Tak. Daleki i słaby, ale był to niewątpliwie huk artyleryjskiej kanonady.

Major rzucił mu lunetę.

– Proszę patrzeć na wschód od Landfall – odpowiedział.

Styke spojrział tam, gdzie mu wskazano. Skupił wzrok, uważał, by lorneta nie drżała mu w rękach. Zobaczył okręty na pełnym morzu i chmurki dymu, zasnuwające ich pokłady. Wytarł szkło rękawem, spojrział jeszcze raz. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości, Dynizyjczycy naprawdę ostrzeliwali miasto. Oczekiwał, że ściągają

go do Landfall z przeszło tysiącem kawalerzystów na pokaz siły, a tymczasem okazało się, że będzie musiał walczyć.

– Zostaliśmy zaatakowani – oznajmił głośno.

– Przecież to szaleństwo! – zaprotestowała Ibana. – Dziś miały się odbyć jakieś rozmowy dyplomatyczne.

– Widać strony nie doszły do porozumienia – burknął Gustar.

– Wręcz przeciwnie, powstały wielkie różnice zdań. – Styke jeszcze raz dokładnie obejrzał pole walki. Oceniał potęgę floty, zagrożenie, jakim były setki łodzi zbliżających się do stałego lądu. – Fort Nied odpowiada ogniem. Dynizyjczycy lada chwila wysadzą desant. Uprzedzić wszystkich, że mamy przed sobą kawałek ostrej jazdy.

Usłyszał skrzypnięcie, to Ibana przesunęła się w siodle.

– Jechaliśmy całe popołudnie. Konie są zmęczone, ludzie też. Na otchłań, lansjerzy są na nogach już drugi dzień!

– Wchodziliśmy już do walki po całonocnych przemarszach – zwrócił jej uwagę Styke.

– Jasne, tylko że byliśmy dziesięć lat młodszy. Teraz jesteśmy starzy, grubi i łatwo dostajemy zadyszki. Ja może nie, ale reszta z pewnością.

Styke już miał opuścić lunetę, kiedy zauważył coś jeszcze: więcej okrętów daleko na północ od tych, które w tej chwili zaangażowane były w walkę. Co najmniej kilkanaście transportowców opuszczało łodzie. Pierwsze, wyładowane wojskiem, przepływały właśnie przez płyciznę z niepokojącą prędkością. Szybko zbadał wzrokiem teren z punktu, w którym stali, prowadzący do morza: błota i strumienie, jakaś wioska i przedmieścia, zbudowane na osuszonych bagnach, ciągnące się aż do podstawy płaskowyżu. Brygada w ciemnożółtych mundurach właśnie je opuszczała. Żołnierze biegli stawić opór lądującym Dynizyjczykom. Ci nawet na pierwszy rzut oka przewyższali obrońców liczebnie, poza tym byli opancerzeni, bez wątpienia mieli przewagę nad regularnymi oddziałami z miejskiego garnizonu.

– Majorze Gustar, jak się panu podoba pomysł szarżowania po piasku?

– To zależy, po jakim, pułkowniku.

– Wątpię, czy będziemy mieli czas sprawdzić jego naturę. – Styke wręczył mu lunetę. Gustar szybko ocenił sytuację. Skrzywił się, niewątpliwie doszedł do tych samych wniosków.

– Mają dużą przewagę nad garnizonem. Moi kirasjerzy ugrzęzną, ale dragoni mają szansę. Mam uderzyć na nich z tyłu?

Styke chrząknął w charakterze potwierdzenia. Jak najdelikatniej obudził Celine. Dziewczynka przetała oczy, spojrzała na dalekich wrogów.

– Sunin – zawołał Styke.

Major Sunintiel podjechała, szczerząc krzywe, żółte zęby w szerokim uśmiechu.

– Rozkaz do szarży, pułkowniku? Wieki minęły od czasu, kiedy ostatni raz zabiłam kogoś w bitwie.

Była tak stara, że mogła być prababcią Styke'a, ale wygląd, bywa, myli. Od początku należała do jego najgroźniejszych lansjerów, co nie zmieniało faktu, że w jej wieku szarża najprawdopodobniej by ją zabiła.

– Wiem – odparł Styke. – Ale ta rozrywka to już nie dla ciebie. Weź Celine.

– Nie jestem opiekunką do dzieci!

– I nie jesteś w stanie unieść lancy!

– A nieprawda.

– Kobieto – warknęła Ibana – przecież ty masz chyba z tysiąc lat! Przypilnuj, żeby dziecku nic się nie stało.

Sunin burczała coś pod nosem, ale podjechała, zatrzymała się za swoim dowódcą, chwyciła Celine za kołnierz koszuli i przeniosła na swoje siodło.

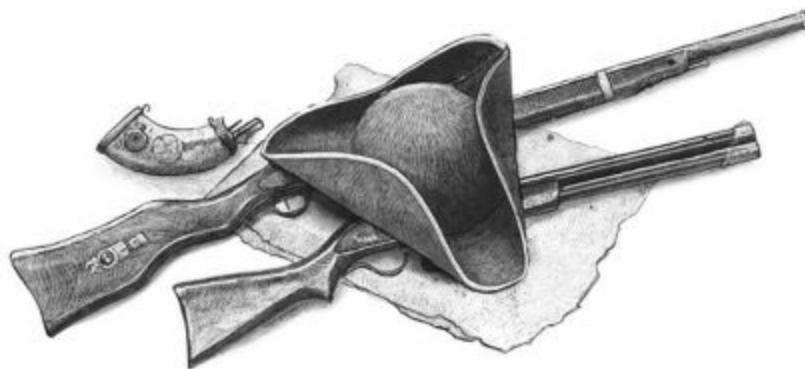
– Nic ci nie będzie? – spytała dziewczynka.

– Mnie? – Styke pozwolił, by koń zatańczył pod nim niecierpliwie.

– Mnie nic nie będzie, za to ty uważaj na siebie. To będzie krwawa bitwa. – Odwrócił się. – Gustar, twoi dragoni na plażę. Ibana, Szaleni

Lansjerzy i kirasjerzy Strzelców Wyborowych trzymają się drogi.  
No, do roboty, czeka nas ostra młócka.





## 57 ROZDZIAŁ

**M**ichel, Taniel i Ka-poel musieli pojechać na wykopaliska wierzchem. Ulice prowadzące do i z miasta były praktycznie nieprzejezdne dla dorożek, blokowali je przerażeni piesi, rodziny i handlarze uciekający przed inwazją. Wieść o ataku Dynizyjczyków rozniosła się błyskawicznie jak pożar lasu i z tym samym skutkiem. Zapanował chaos.

Pozostawili za sobą płaskowyż zachodni, przecisnęli się przez tłok dzielnicy przemysłowej, objeżdżali nieprzejezdne trakty na przełaj, przez podwórka, parki i strumienie. Na główną drogę wrócili dopiero za miejską bramą. Była to szarpiąca nerwy jazda i Michel, który w ogóle rzadko dosiadał konia, w każdej chwili oczekiwał, że zleci z siodła, a zrobiło się jeszcze gorzej, kiedy Ka-poel wyrwała mu wodze i we troje ruszyli galopem po zalewowej równinie. Ulgi doznał, dopiero gdy dojechali w pobliże stanowiska archeologicznego, zwolnili i zatrzymali się sto jardów od niego. Jak okiem sięgnąć, mieli uprawne pola okolicznych farm, przed sobą zaś ogrodzony teren, wyglądający bardzo niewinnie. Taniel skrzywił się, Ka-poel uniosła głowę i węszyła, jakby spodziewała się wyczuć coś oprócz zapachu dymu bijącego z Ognistej Jamy, a Michel walczył

z mdłościami po szalonej jeździe oraz w wolnych chwilach zastanawiał się, co tych dwoje naprawdę widzi.

Czytał to i owo o magii, głupio byłoby być szpiegiem i nie wiedzieć, jak cię można rozpoznać. Ale magia pozostała mu tak obca, jak Gurla czy Dyniz, nie miała z nim nic wspólnego i w ogóle go nie dotyczyła. A potem potknął się o nią w tajnym archiwum Czarnych Kapeluszy, zwrócił na siebie uwagę Fidelisa Jesa. Myślał o magii jak o polityce: wiedział, że istnieje, że ma na jego życie równie tajemniczy, co głęboki wpływ. Usiłował mieć z nią jak najmniej do czynienia.

A jednak był teraz tutaj i co więcej: prowadził zabójców bogów ku czemuś, co, jeśli mieli rację, było w stanie tworzyć bogów.

W tym momencie Michel przegrał bitwę z jeździecką chorobą, wychylił się z siodła i głośno zwymiotował w pole bawełny. Jego towarzysze jakby tego nie zauważyli.

– Zastanawiam się, jak coś takiego pozostało nierozpoznane przez lata, choć jest tak blisko miasta. Sam ledwie to wyczuwam. – Taniel wyglądał na zdziwionego, nawet zaniepokojonego. Spojrzał na Bravisa. – Jesteś pewien, że o to chodzi?

– Jestem. – Michel splunął, by pozbyć się z ust ohydny smaku. – Nie wyczuwam magii, a to coś szeptało mi w głowie. Nigdy nie słyszałem, żeby coś było do tego zdolne. Ale nawet gdybym wcześniej nie był pewien, podejrzenia potwierdził przecież Fidelis Jes dziś rano. Wykopują tu boskie kamienie.

Ka-poel mlasnęła, żeby zwrócić na siebie uwagę Taniela, a kiedy na nią spojrział, zaczęła gestykulować tak szybko, że Michel nic z tego nie pojął. Taniel przyglądał się jej uważnie, a potem skinął głową.

– Co tam się dzieje? – spytał, wskazując kierunek palcem.

Michel spojrział na to, co zwróciło ich uwagę. Część otaczającego stanowisko drewnianego ogrodzenia została rozebrana, w pogotowiu stało kilkaset koni pod opieką woźniców. Toczyły się jakieś przygotowywania i to nie była błaha sprawa. Łatwo się było domyślić jaka.

– Przenoszą kamień – powiedział. – Ten profesor, Cressel, twierdził, że będą gotowi w ciągu kilku dni. Ale to było wczoraj.

Ka-poel przekazała kilkoma gestami coś, co przetłumaczył Taniel:

– Przybycie Dynizyjczyków musiało przyspieszyć ich plany.

– Zgoda – przytaknął Michel. Jednocześnie zastanowił się, po co to robi. To przestała być już jego sprawa. Przeszła w ręce jego towarzyszy... i niech tak zostanie.

Tymczasem Taniel wyjął z kieszeni tabakierę. Wysypał kreskę prochu na grzbiet dłoni, niuchnął, potarł nos i jeszcze raz uważnie przyjrzał się wykopalisku.

– Mają tam paru ludzi ze Zdolnością – oznajmił. – Będą w stanie wyczuć coś w Ka-poel. Nie sposób powiedzieć, jak zareagują. Nie potrafią wyczuć maga prochowego i to jest plus.

– Uprzywilejowani? – spytał Michel. Bał się odpowiedzi.

– Nie mają Uprzywilejowanych. Wiesz, że jadąc tu, minęliśmy jednego po drodze? Prawdopodobnie wezwano wszystkich do miasta w związku z atakiem Dynizyjczyków.

Bravis westchnął z ulgą.

– W porządku. Więc mamy tam tylko zwykłych żołnierzy, robotników i Czarne Kapelusze. To dobrze. Powinno pójść łatwo. Bez problemu. Nie obawiam się żadnych niespodzianek. Po prostu nie potrafię wyobrazić sobie niczego łatwiejszego... – Przerwał, widząc, że Taniel i Ka-poel patrzą na niego dziwnie.

– Wszystko w porządku? – spytał Taniel.

– Denerwuję się.

– Nic ci nie będzie.

Ka-poel poklepała Bravisa po ramieniu, a on spróbował nie myśleć o tym, że dla nich może być takim zwykłym domowym zwierzątkiem.

– Zrozumcie, jeśli coś pójdzie nie tak, wy potraficie sobie wywalczyć odwrót. Ja nie.

Taniel pacnął go w ramię tak mocno, że Michel omal nie wyleciał z siodła.

– Nie zostawimy cię – obiecał.

– Dzięki. – Ale nie dodało mu to odwagi. Wiedział, co trzeba załatwić i jak, i miał też świadomość, że nie powinien, a nawet nie może przekazać ani przywództwa, ani odpowiedzialności. – No dobrze, niech to się już skończy. Jedźcie za mną i udawajcie, że ja tu rządzę.

– Ty tu rządzisz – powtórzył Taniel.

– Nic gorszego nie mogłeś wymyślić.

Michel odetchnął głęboko. Ruszyli na spotkanie z archeologami.



Żołnierze strzegący stanowiska zatrzymali ich jakieś sto jardów od ogrodzenia. Wyglądali na zmęczonych, wręcz znękanych. Z niepokojem popatrywali na dym, wznoszący się w niebo po obu stronach płaskowyzu, wschodniej i zachodniej. Michel nie dał im szansy, zanim zdążyli otworzyć usta, wyprostował się w siodle, wyjął spod koszuli Żółtą Różę i zakołysał nią niedbale przed ich oczami.

– Szukam majora Cole’a – oznajmił.

Wartowników było sześciu. Dowodzący nimi sierżant na widok medalionu wyprężył się i zasalutował.

– Major dowodzi załadunkiem, panie – zameldował.

– No to na co czekamy? Prowadźcie mnie do niego.

Sierżant zerknął niepewnie na towarzyszy Żółtej Róży. Skinął głową.

– Tędy, panie.

W ciągu jednego dnia stanowisko archeologiczne zmieniło się nie do poznania. Drewniane baraki rozebrano, znaczna część namiotów znikła, a z personelu pozostał tylko biegający dokoła krawędzi wykopu profesor Cressel, którego Michel rozpoznał natychmiast, poza nim nikt tu nie wyglądał na akademika. W zasadzie nie było to już stanowisko archeologiczne, raczej obóz wojskowy.

Wszędzie widać było krzątających się żołnierzy i robotników. Na północ od monolitu ustawiono kilka bardzo wysokich dźwigów.

Rusztowania znikły, a sam obelisk stał pochylony, oplątany najwytrzymalszymi linami, używanymi powszechnie do holowania największych statków. Na północy, tuż za dwoma dźwigami czekał już gotowy do transportu wóz tak wielki, jakiego Michel jeszcze nigdy nie widział. Samo słowo „wóz” nie było prawidłowym określeniem. Konstrukcja miała ponad osiemdziesiąt stóp długości i tyle osi z osadzonymi na nich drewnianymi kołami, że nie sposób było od razu je zliczyć. Właśnie podprowadzano do niej ponad setkę koni. Do głowy przychodziło natychmiast słowo „barka lądowa” – czyli coś, czego nie sposób sobie wyobrazić, trzeba zobaczyć na własne oczy.

– Imponujące, prawda? – Słowa te przywołały Bravisa do rzeczywistości. Obok niego pojawił się major Cole. – Szybko wróciłeś, panie. – Jego głos brzmiał całkiem przyjaźnie.

Michel poczuł, jak rozluźniają mu się napięte mięśnie karku. Najwyraźniej wiadomość o jego zdradzie i porannym ataku na Fidelisa Jesa nie dotarła jeszcze tak daleko.

– Rzeczywiście, potężna operacja – odpowiedział. Zszedł z wierzchowca nie tak godnie, jak by chciał. Taniel i Ka-poel dołączyli do niego natychmiast. Im major przyjrzał się z zaciekawieniem, ale też z pewną podejrzliwością. Tymczasem Michel udał, że ich po prostu nie zauważa. Starał się sprawiać wrażenie obdarzonego nieograniczoną władzą.

– Naprawdę zdołacie poruszyć coś tej wielkości? – spytał.

– Profesor Cressel transportował już obiekty tej wielkości lub nawet większe. – Major wskazał łysawego naukowca, biegającego w kółko między dźwigami, dziurą w ziemi i woźnicami, wykrzykującego, że wszyscy mają być bardzo ostrożni i na wszystko uważać. – Twierdzi, że to proste, potrzeba tylko siły i odpowiedniej dźwigni. Mamy rozkaz wyruszyć po południu, więc to tylko kwestia czasu.

– Czyli jesteście w stanie dotrzymać terminu?

– Landfall przysłało nam jeszcze czterystu ludzi. Cressel twierdzi, że to rozwiązuje problemy.

– Doskonale, doskonale.

Nagle rozległ się głośny okrzyk i na oczach Michela monolit wyraźnie się zakołysał. Serce podeszło mu do gardła, widok czegoś tak ogromnego rzeczywiście się poruszającego porażał, a tymczasem boski kamień przechylił się, jego wierzchołek opadł o kilka stóp i znów znieruchomiał. Sterczał nad ziemią pod ostrym kątem. Michel znów zacisnął powieki. Poczł w głowie ostry ból, jakby ktoś przejechał mu paznokciami po wnętrzu czaszki.

– Na Kresimira! – zaklął. – Toż to istne szaleństwo!

Cole zniósł ten widok spokojnie.

– Też tak kiedyś myślałem. Dobrze się czujesz, panie?

Ból znikł tak szybko, jak się pojawił, ale Michel nadal nie mógł oderwać wzroku od monolitu.

– Tak, nic mi nie jest – zapewnił. Zauważył, że kilkudziesięciu żołnierzy i robotników zakryło sobie uszy dłońmi. Obejrzał się na swoich towarzyszy. Oboje stali spokojnie, ale Taniel mocno zaciskał zęby i twarz miał napiętą, a Ka-poel chyba lekko drżała.

Obelisk tkwił w wykopie skosem. Robotnicy zeszli do dziury, część zaciągnęła liny i sprawdziła je, a część zaczęła szybko poszerzać jamę. Wierzchołek bryły powoli osuwał się na ziemię. No tak, dźwignia i siła. Stało się jasne, że zamiarem profesora było położyć boski kamień jak najbardziej poziomo, a potem wyciągnąć na powierzchnię.

– Majorze, kto dowodzi transportem? – spytał Michel, bardzo starając się, by zabrzmiało to obojętnie.

– Ja, panie.

– Miejsce docelowym miało być Dalinport?

– Tak, panie.

– Otóż nie. Zmiana rozkazów.

– Panie? – Cole stracił zainteresowanie obeliskiem, całą uwagę skupił na Złotej Róży. – Wszystko już przygotowaliśmy, oczyściliśmy szlak, ustawiliśmy punkty kontrolne. Nasi inżynierowie zniwelowali nawet wzgórza, przynajmniej częściowo. Tą drogą wóz przejedzie, ale inną?

– Wiem. Przykro mi, ale okoliczności czasami się zmieniają. Zaledwie przed kilkoma godzinami dowiedzieliśmy, że Dynizyjczycy mają swoje plany co do tego... obiektu.

– Ale dlaczego? – zdziwił się major. – Przecież to zwykły stary głąz.

Powiedz to tym wszystkim, którzy oszaleli przez ten zwykły stary głąz, Michel skrzywił się w duchu.

– Tego nie wiem, ale musimy przewieźć go jak najdalej od wybrzeża. Nowy plan zakłada transport równiną do Herrenglade, a stamtąd barką w górę rzeki. – Michel zerknął na Taniela. – Nie powiedziano mi, co dalej.

Cole przyglądał się im trojgu podejrzliwie.

– Jesteś pewien, panie? – spytał.

– Tak. – Bravis omal nie wstrzymał oddechu. Cały jego fortel opierał się na założeniu, że oficerowi rangi Cole'a do głowy nie przyjdzie kwestionować rozkazów Złotej Róży. Już przy pierwszym spotkaniu wydał mu się on żołnierzem niezadającym zbędnych pytań... ale w przeszłości Bravis popełniał już błędy w ocenie ludzi.

– Żałuję, panie, ale muszę spytać o pisemne rozkazy.

Michel podsunął mu przed oczy Złotą Różę.

– Te mam zawsze przy sobie! Myślisz, majorze, że wielki mistrz wysłałby mnie tu tak szybko, gdyby sprawa nie była pilna?

Widać było, że Cole nie wie, co powinien zrobić. Cofnął się kilka kroków, spojrzął na obelisk. Michel napiął mięśnie. Major nie kupił jego historyjki. Wezwie zaraz żołnierzy. Za małą chwilę ich troje znajdzie się w bardzo nieprzyjemnej sytuacji. Dla niego, podejrzewał, fatalnej, choć dla Taniela i Ka-poel niekoniecznie.

– Muszę wysłać kogoś dla potwierdzenia rozkazów – zdecydował Cole. – Biuro wielkiego mistrza postawiło sprawę jasno, to rzecz szczególnej wagi, więc muszę zyskać absolutną pewność, że robię wszystko tak, jak powinienem. Nie zamierzam cię urazić, panie, ale nie mogę niczego zmienić bez pisemnego potwierdzenia.

Michel zrobił wszystko, by jego twarz nie wyrażała paniki, którą czuł w tej chwili. Na otchłań, a prawie się udało!

– Oczywiście, majorze Cole. Jednak jeśli dosięgnie cię spowodowana opóźnieniem furia wielkiego mistrza, nie mów, że cię nie ostrzegałem. – Spojrzał znacząco na unoszące się nad Landfall słupy dymu, zawrócił, oddalił się dwadzieścia kroków od Cole’a i jego żołnierzy, a potem szepnął do Taniela i Ka-poel: – Co robimy?

Ka-poel zsunęła z ramienia torbę i zaczęła czegoś w niej szukać, marszcząc czoło w skupieniu. Taniel nie spuszczał wzroku z monolitu.

– To jest jak zaraza! – wypluł z siebie.

– Mów do mnie jeszcze. Czuję w głowie, jak upada.

– To kłęb mocy leżący sobie tu, pośrodku pól i czekający na kogoś, kto skorzysta z tej mocy.

– A tym kimś ma być Lindet. Ale na razie albo coś wymyślny, albo wynośmy się stąd choćby do otchłani!

Taniel ruchem głowy wskazał coś za jego plecami. Michel odwrócił się. Major Cole właśnie do nich podchodził. Nie wyglądał na uszczęśliwionego.

– Proszę o wybaczenie, Złota Różo – powiedział. – Właśnie dowiedziałem się, że Dynizyjczycy wylądowali dalej na południu. Droga do Dalinport została odcięta. Musimy się spieszyć... i zrobimy to. Pojedziemy na północ. Czy wspomniałeś, panie, o Herrenglade?

– Tak, majorze. – Michel z trudem ukrył wielką ulgę. Poczucia wyższości nie ukrywał. – Rzeczywiście, musimy się spieszyć.

– Tak jest! – Cole zsalutował. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, a moi żołnierze sformują straż tylną.

– Ilu macie ludzi, majorze?

– Około sześciuset.

Michel zerknął na Taniela. Ten niemal niewidocznie pokręcił głową. Jeśli Dynizyjczycy wiedzą, gdzie jest boski kamień, i jeśli już tu ruszyli, sześciuset ludzi nie wystarczy. Pomodlił się w milczeniu, by miasto wysłało im garnizon na pomoc.





## 58 ROZDZIAŁ

**S**tyke stęknął z wysiłku. Przebił lancą napierśnik dynizyjskiego żołnierza, ostrze wyszło tamtemu na plecach w strumieniu krwi. Próbował wyrwać lancę z trupa, ale zahaczyła o pas innego Dynizyjczyka. Musiał ją puścić, bo połączony ciężar groził wysadzeniem z siodła. Pozbył się broni z okrzykiem złości. Iba walczyła tuż za nim. Przebiła dynizyjskiemu muszkieterowi oko, aż odpadła mu część twarzy z policzkiem, a potem pierwsze linie piechoty mieli już pod kopytami.

Awangarda Szalonych Lansjerów szarżowała, tętent niemal całkowicie głużył wrzaski ludzi i rzenie koni. Wpadli z impetem na najeżoną bagnietami linię Dynizyjczyków. Parli przed siebie, roznosząc na kopytach wszystkich, którzy nie zdążyli uskoczyć im z drogi. Kirasjerzy Strzelców Wyborowych uformowali za nimi wachlarz. Czyścili pole walki z tych, którym udało się ująć furii lansjerów.

Styke wjechał na pagórek. Chciał zobaczyć, co dzieje się na plaży kilkaset jardów po lewej, ale okazało się to niemożliwe. Nad piaskiem wisiała gęsta zasłona dymu, huk strzałów z karabinów

i muszkietów odbijał się echem wśród wydm. O wiele lepszy widok miał na drogę prowadzącą do Landfall. Kilka dynizyjskich regimentów parło tam w szyku, metodycznie dziesiątkując garnizon Landfall. Jego ogień wyraźnie słabł.

– Czy oni w ogóle nas widzą? – Ibana pojawiła się przy boku Styke’a.

– Tak, widzą. – Za liniami Dynizyjczyków gońcy biegali między oficerami. Twarze obracały się ku niemu i jego lansjerom. – Tylko wcale się nie przejmują.

– Nasza kawaleria uderzy na nich od tyłu, a oni w ogóle nie mają konnych. – Ibana zeskoczyła z siodła, podniosła muszkiet Dynizyjczyka, żeby mu się bliżej przyjrzeć. – Bagnety mają o wiele za krótkie. Nie utrzymają szyku.

– Spróbujmy przełamać obronę miasta, nim dotrzemy na miejsce.

Ibana wspięła się na palce. Spojrzała w stronę Landfall.

– Garnizon dostał posiłki. Zyskał przewagę liczebną.

– Stawiam dziesięć do jednego, że napastnicy są o wiele lepiej wyćwiczeni. Grube te ich napierśniki?

Wystarczyło postukać kolbą muszkietu, ale na wszelki wypadek Ibana przeszła jeszcze bagnetem szyję Dynizyjczyka.

– Całkiem, całkiem. I tak uformowane, że kula pewnie ześlizgnie się po nich, chyba że wystrzeli się ją z bezpośredniej odległości.

– Och, na Kresimira! – Styke stanął w strzemionach. Obserwował walkę na brzegu. – Zauważyłaś w tych dupkach coś szczególnego?

– Tylko tyle, że jest ich więcej niż nas.

– To też, ale mnie chodzi o to, że są zdeterminowani. Nie uciekają.

– Zawrócił konia, przez krwawe pole bitwy podjechał do przebitego Dynizyjczyka, zeskoczył i wyrwał swoją lancę z trupa. Wskoczył na siodło, dołączył do Ibany.

– Daj sygnał do przeformowania. – Jeszcze raz przebiegł wzrokiem po ciałach Dynizyjczyków, których przed chwilą wzięli pod kopyta. – Zaskoczyliśmy dwie kompanie, a one ani drgnęły!

– Ustąpili nam pola. – Ibana także wskoczyła na wierzchowca.

– Owszem. Ale nie poszli w rozsypkę. Co to za piechota, która nie ustępuje po ataku dwukrotnie liczebniejszej jeździe?

– Tępa?

Jeden ze strzelców, bandażujący sobie zakrwawione ramię, przerwał i uniósł głowę.

– Panie pułkowniku – powiedział – piechota, która nie ustępuje, wygrywa.

– Nie zawsze – zaprotestowała Ibana.

– Ale wystarczająco często – zauważył Styke. Uniósł nos na wiatr, wciągał głęboko powietrze przesycone zapachem dymu i prochu, niosące woń magii Uprzywilejowanych i magów prochowych, smakował je, jak kiper smakuje wino. Pod znanymi mu woniami była jeszcze jakaś – inna, egzotyczna, ale dla jego Zdolności tak słaba, że niemożliwa do zidentyfikowania.

– No właśnie – potwierdził kirasjer. – Strzelcy wyborowi nie pękają. To jest podstawa naszego zwycięstwa. Na tym opierała się taktyka marszałka polnego Tamasa.

Styke słyszał, że bitwa na plaży trwa. Uświadomił sobie, że dragoni mogli ugryźć więcej, niż zdołają przełknąć. Z armią Dynizyjczyków coś było zdecydowanie nie tak, i nie chodziło tylko o to, że pojawiła się znikąd. Miał wielką ochotę spotkać się jak najszybciej z lady Krzemień i dowiedzieć się, co się dzieje na innych frontach.

– W porządku – powiedział głośno. – Garnizon zostawimy jego losowi. Lansjerzy, karabiny w dłoń! Przejedziemy się nadbrzeżem i wspomozemy naszych dragonów, a kiedy oczyścimy je ze śmieci, zaatakujemy tylną straż Dynizyjczyków i przebijemy się do miasta.



– Jak to: nie uciekają? – spytała Vlora z gniewem.

– Po prostu nie uciekają. – Kezański Budena brzmiał jak bełkot, niemal niemożliwy do rozszyfrowania, no ale brakowało mu połowy języka.

Vlora wystawiła głowę i ramiona ponad mury fortu. Wymierzyła w Uprzywilejowanego, przesunęła lufę zgodnie z jego ruchem. Dystans wynosił pół mili. Widziała, jak mag unosi ręce, jak rzuca zaklęcia, mierząc nimi w tę część plaży, gdzie Olem, żołnierze miejskiego garnizonu i strzelcy wyborowi walczyli z Dynizyjczykami, usiłującymi umocnić się na przyczółku. Łodzie nieustannie kursowały między statkami i wybrzeżem, wyrzucając coraz to nowe posiłki. Ściągnęła spust, jednocześnie siłą umysłu detonując dwa dodatkowe ładunki prochowe, popychając je za kulą, dzięki czemu ta mogła przebyć odległość znacznie większą, niż wynosił zasięg strzału z normalnej strzelby skałkowej. Pocisk leciał idealnym łukiem, wspomagany delikatnymi korektami magii. Uderzył Uprzywilejowanego w pierś, ciało maga upadło w spienione fale.

Znów mogła przyjrzeć się polu walki.

– Nie mają gdzie uciekać – zauważyła.

– Nie w tym rzecz. – Buden wysunął palec. Gniewało go, że lady Krzemień jeszcze nie rozumie. – Ale plaża to jak straszna otchłań dla każdego, kto znajduje się tam w tej chwili. Niektórzy powinni uciekać w panice z powrotem do morza. Widzisz, pani generał, żeby ktokolwiek uciekał?

Owszem, widziała, jak z łodzi wyskakują wszyscy oprócz niewielkiej obsady wioślarzy, kierujących ją natychmiast ku odległym okrętom. Napastnicy przebiegali płyciznę, trzymając muszkiety wysoko nad głowami. Ogień umocnionych oddziałów Olema nie wywierał na nich żadnego wrażenia. Natychmiast po wyjściu z wody padali na kolana, wyjmowali z plecaków metalowe łopaty i zaczęli się okopywać.

– Ani śladu paniki – skomentowała ich zachowanie.

– No właśnie to próbuję wytłumaczyć.

Vlora obróciła wzrok na ocean. Powoli, z wahaniem wyteżyła zmysły. Nieświat wydawał się... niestabilny. Ślady magii atakujących Uprzywilejowanych były dosłownie wszędzie, przypominały języki ognia. Wyczuwała także ochronną magię fortu... i coś jeszcze. Coś

tak delikatnego, jak odrobina obcej przyprawy w doskonale znanym daniu.

Nie wiedziała, co to takiego, i ta niewiedza ją przerażała.

Na placu apelowym wszczęło się nagłe zamieszanie, a w chwilę później na blankach pojawiła się znajoma postać, opędzająca się od dwóch szeregowców usiłujących uświadomić jej, że wystawianie się na strzał nie jest najlepszym pomysłem. Vlorze do głowy nie przyszło, że cokolwiek teraz może wywołać uśmiech na jej twarzy – nie w środku takiej bitwy – jednak na widok Vallenciana naprawdę się rozpromieniła.

– Dzień dobry, lady Krzemień. – Lodowy Baron zagłuszał swym basem nawet łoskot dział.

– Vallencianie, wybrałaś sobie nie najlepszy moment.

Lodowy Baron wyprostował się na całą swoją imponującą wysokość. Za nic miał ostrzał, widać było, że ogień go przerażał, lecz był zbyt dumny, by się do tego przyznać.

– Nonsens, lady Krzemień. Przyszedłem powiedzieć, że nie żywię do ciebie urazy za to, co zrobiłaś Mamie Palo.

Vlora zamknęła oczy. Miała wielką ochotę rozkazać swym ludziom, żeby go obezwładnili i znieśli na dół, gdzie było w miarę bezpiecznie.

– Dziękuję, baronie – syknęła przez zaciśnięte zęby. – W pełni doceniam twój gest. Zauważ jednak, proszę, że mamy tu bitwę.

– Nie wygląda to aż tak źle. – Vallencian skulił się odruchowo, kiedy kula armatnia uderzyła w mur zaledwie kilka jardów od niego. Żelazne odłamki zaświszczały wokół, jeden ze strzelców upuścił karabin, złapał się za gardło, usiłował krzyknąć, ale z ust pociekła mu krew.

– Wierz mi, jest źle. I nie jest bezpiecznie. Musisz odejść. Bez gadania!

Vallencian nagle podskoczył do niej i chwycił za ramiona.

– Źle cię oceniłem, lady Krzemień. Ewakuowałem z miasta moich ludzi, gdy tylko zobaczyłem w forcie żołnierzy w waszych

mundurach. Uznałem jednak, że nie mogę was tak zostawić. Powiedz mi, co mogę zrobić, żeby wspomóc obronę.

– Nic. – Vlora machnęła ręką, miała tego dość. Nie miała czasu na bzdury. – Wynoście się. Zapewnij bezpieczeństwo swoim ludziom. Sądzę, że uda się nam utrzymać wybrzeże, ale nie wiem, jak zacięty opór będą stawiali Dynizyjczycy.

– Nadchodzi odpływ – zauważył Vallencian.

– I co z tego?

– To, że łodziom trudniej będzie dopłynąć do brzegu.

– Niewielka to pociecha. – Przyptyw czy odpływ, przeciwnicy i tak posuwali się do przodu.

– Uchwycili przyczółek – odezwał się Buden. Ostatnie słowo wypowiedział tak niewyraźnie, że z trudem go zrozumiała.

– Vallencianie, jesteś dobrym człowiekiem. Najlepsze, co możesz zrobić, to ewakuować się i bezpiecznie opuścić miasto. Zabierzcie go stąd – rozkazała.

Kilku żołnierzy siłą oderwało Lodowego Barona od muru, nie zwracając uwagi na donośne protesty. Zaczynało brakować jej czasu. Buden miał rację. Część plaży pokryta była trupami, niektóre pływały w płytkiej przybrzeżnej wodzie i nie sposób było nawet ich policzyć, a jednak Dynizyjczycy nie wydawali się w najmniejszym stopniu poruszeni śmiercią towarzyszy broni. Kolejne oddziały zeskakiwały z kolejnych łodzi, a w miejscu, gdzie lądowali najgęściej, powstała już sieć okopów sięgająca na sto jardów w głąb lądu. Odpowiadano z nich skutecznym ogniem na ostrzał z pozycji dowodzonych przez Olema.

– Buden! – rozkazała. – Wybierz sobie działo i daj pułkownikowi wsparcie! – Obejrzała się przez ramię, ogarnęła wzrokiem gorejące ruiny wschodniej części płaskowyżu. – Gdzie posiłki? – mruknęła pod nosem. – Gdzie Czarne Kapelusze? Tam na dole potrzebujemy przecież wszystkiego, co mamy.

Nadal polowała na dynizyjskich Uprzywilejowanych, lecz każdy kolejny strzał wymagał od niej więcej zręczności, bo magowie otaczali się coraz skuteczniejszymi osłonami stwardniałego

powietrza. Jednego zabiła, przenosząc kulę, a następnie każąc jej spadać z wysokości, od czego rozboleła ją głowa. Na następnego poświęciła połowę pozostałego jej prochu. Przebiła zasłonę brutalną siłą, zginął on i czterech żołnierzy, którzy mieli pecha znajdować się za magiem.

Huk był ogłuszający, o wiele donośniejszy od normalnego przy salwie artyleryjskiej. Vlora odwróciła się błyskawicznie. Buden stał przy jednej z wielkich fortowych armat. Opierał się o jednego z artylerzystów, oczy miał zmrużone, wpatrzone w punkt na plaży. Śledziła lot kuli magicznym zmysłem, czuła zaangażowaną w strzał moc Budena, widziała też, jak omija okopy i jak, lecąc tuż nad piaskiem, zbija z nóg co najmniej pięćdziesięciu skulonych na linii wody żołnierzy niczym kula w kręglach. Dynizyjczycy zaczęli natychmiast rozglądać się za działem, ale nawet to ich nie spowolniło. Z łodzi wysypywały się kolejne oddziały. Miejsca zajmowane przez ofiary wystrzału Budena zostały natychmiast wypełnione.

– Oni wszyscy już dawno powinni zawrócić! – krzyknął stojący obok major, przyglądający się polu walki przez lornetkę. – Czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Jakim cudem trwają!

Vlora tylko pokręciła głową i przeładowała karabin. Na murach pojawił się goniec. Od razu podbiegł do niej.

– Jakies wiadomości od Olema? – spytała go niecierpliwie.

Umysłny był tak blady, że przez chwilę spodziewała się najgorszego. Ale gdy tylko odzyskał oddech, zameldował:

– Nie jestem pewien, co z pułkownikiem. Przychodzę prosto z budynków rządowych.

– Doskonale! Gdzie nasze zaopatrzenie i przeklęte posiłki?

– Nie mam pojęcia.

– Co to, na otchłań, ma znaczyć? – Vlora chwyciła go za kołnierz munduru. – Gdzie Czarne Kapelusze, które obiecała mi Lindet?

– Nikogo nie widziałem!

Vlora puściła go, cofnęła się chwiejnie o krok. Mówił dalej:

– Szukałem wszędzie. Budynek rządowy jest pusty. Nie widziałem ani jednego agenta, chyba że z daleka. Jakby ich nigdy tam nie było!

Wstrząsnęła nią ta rewelacja. Wokół ryczały działa, fort przykrywała kopała magii, w nozdrzach czuła zapach prochu tak ciężki, że bała się nieoczekiwanego, obezwładniającego transu, ale było to nic przy tej wiadomości. Lindet uciekła. Przysłała ją tu, na wojnę z Dynizyjczykami, po czym uciekła bez słowa wyjaśnienia.

– Zdradziła nas – szepnęła.

– Słucham, pani generał?

Chwyciła posłańca za koszulę i przyciągnęła do siebie.

– Pułkownik Olem walczy na plaży – krzyknęła mu do ucha. – Powiedz mu, że Lindet zdradziła! Że Czarne Kapelusze nas nie wzmocnią. – Spojrzała za mury. Łodzie opływały falochrony zaledwie kilkaset jardów od fortu. Albo dotrą tu za kilka minut, albo wylądują i okrążą Olema.

– Co robimy? – W głosie gońca brzmiała panika.

Vlora puściła żołnierza. Nienawidziła się za to, co miała ochotę zrobić: rozkazać odwrót. To nie jej bitwa. To nie jej miasto.

– Robimy to, za co nam płacą – powiedziała głośno. – Bronimy Landfall. Powiedz Olemowi... powiedz mu, że ma się utrzymać na plaży.





## 59 ROZDZIAŁ

**L**ansjerzy uderzyli na piechotę Dynizyjczyków od tyłu, z szaloną siłą, która powinna złamać wolę oporu najlepiej wyćwiczonego żołnierza, a jednak sukinsynom nawet do głowy nie przyszło wycofać się. Zaciskali zęby i walczyli z garnizonem, podczas gdy kawaleria szarżowała przez pole bitwy tam i z powrotem, wdeptując ich w ziemię kopytami koni, przebijając lancami i tnąc na oślep z siodeł, aż garnizon, który przed kilkoma chwilami omal nie podał tyłów, odzyskał ducha i dokończył dzieła. Następnie uformował szpaler, przez który wśród głośniejszej owacji przejechali jeźdźcy Styke'a.

Ten zatrzymał konia przed oficerem najwyższym rangą – zwykłym porucznikiem – po czym przyjrzał się jego podkomendnym. Choć liczebnością przewyższali przeciwników dwukrotnie, zostali praktycznie rozbici. Nie utrzymali szyku, porzucali broń, niektórzy po prostu schowali się i teraz opuszczali kryjówki, a ich towarzysze udawali, że nic nie widzą.

Porucznik zasalutował.

– Zdążyliście z odsieczą w ostatniej chwili – powiedział.

– Po nas nie przybędzie już nikt. Jedziemy do miasta. Straciłem setkę dragonów na oczyszczeniu nabrzeża, a tymczasem wrogów ciągle przybywa. Spróbuję załatwić wam posiłki u lady Krzemień.

– Posłaliśmy po nie.

– No tak. – Styke obejrzał się za siebie. – Przegrupujcie się jak najszybciej. Rannych odnieście na tyły. – Machnął ręką w stronę zabudowań przedmieścia, odległych o jakieś pół mili. – Schrońcie się w rowach melioracyjnych i za groblami. Im trudniej będzie Dynizyjczykom wejść z wami w bezpośredni kontakt, tym lepiej. Nie mają za dobrych bagnetów, ale ich broje są praktycznie kuloodporne. I wręcz walczą jak wściekli.

– To... to naprawdę przerażające, panie pułkowniku. Robimy, co możemy, dostają straszne lanie, ale nie ustępują.

– Nic nie przeraża tak jak śmierć. Niech drogo płacą za każdy krok, a ja dopilnuję, żebyście dostali uzupełnienia.

Na tym Styke skończył rozmowę. Dołączył do oddziału, jadącego do miasta. Był skrajnie wyczerpany, a po oczach swoich ludzi poznawał, że też ledwie żyją. Dwie szybkie potyczki po całym dniu jazdy odebrały im wszystkie siły. Potrzebowali odpoczynku. Długiego odpoczynku.

Nie było im to pisane.

– Masz złamaną lancę – powiedziała Ibana. Zwolniła specjalnie, by znaleźć się przy boku dowódcy.

Styke ze zdziwieniem spojrział na zakrwawioną broń. Rzeczywiście, była ułamana, został z niej tylko kikut. Odrzucił go. Pochylił się nad Amrekiem, sprawdził, czy koń nie odniósł ran na szyi i piersi. Nie znalazł niczego groźnego, ot, parę drobnych skaleczeń. O niego nie musiał się martwić. Pokazał dłonią w dół.

– Nogi? – spytał.

– Jak nowe.

Obejrzał z kolei wierzchowca Ibany.

– Głębokie rozcięcie na lewym boku. Trzeba będzie szyć. Gdzie Szakal?

– Dobiera konia z tych, które przeżyły jeźdźców. Jego złamał nogę, trzeba go było zastrzelić.

Styke aż się skulił. Ludzka śmierć na ogół nie robiła na nim wrażenia, ale utratę dobrego wierzchowca traktował jak tragedię. Zawrócił i stanął w strzemionach. Miał nadzieję, że z tyłu garnizon będzie wyglądał lepiej niż z przodu. Niestety, zawiódł się.

– Jeszcze jeden szturm taki jak ten i się załamie. – Ibana strąciła krople krwi ze swojej lancy, po czym uniosła ją nad głowę. Nie sposób było nie zgodzić się z jej opinią.

Wojsko miejskie zbierało się powoli, stawało w szyku i po tropach kawalerii szło zająć wskazane pozycje. Styke wytarł nos rękawem, musiał pozbyć się zapachu potu i trupów, by móc znów swobodnie oddychać. Przedziwna woń magii nadal wisiała w powietrzu, drażniła mu zmysły, pozostając nieodgadnioną.

– Czuję coś – powiedział głośno.

– Magię? – spytała Ibana z niepokojem.

– Nie wiem. Coś, czego nie potrafię zidentyfikować. Ale jest wokół nas... i w nas.

– Kościane Oczy?

To nie przyszło mu do głowy.

– Dynizyjczycy to znane sukinsyny, nie? – spytał.

– A my nie mamy pojęcia, do czego są zdolni.

Styke powrócił do wczorajszego spotkania z Ka-poel, rzeczywistego czy może wyobrażonego, i do krwi, tajemniczo znikającej z jego twarzy. Wówczas nie zdawał sobie z tego sprawy, ale teraz czuł się nią namaszczony. Spróbował o tym zapomnieć, wyjął z pochwy ciężką szablę, musnął jej ostrze kciukiem.

– Nie obrażaj mnie! – prychnęła Ibana. – Ostrzyłam ją osobiście.

– Tylko sprawdzam. To twoja robota?

– Taty. Od czasu do czasu robi zwykłą broń, ot, by nie wyjść z wprawy.

– A ojciec... – Styke nie miał odwagi dokończyć pytania.

Ibana nie patrzyła mu w oczy.

– Wczoraj, kiedy odjeżdżaliśmy, czuł się już lepiej. Kuracja Uprzywilejowanego omal go nie zabiła. – Zmrużyła oczy. – Czy ten dym to nad Ognistą Jamą?

Do tej chwili Styke'a interesowało tylko wybrzeże. Dopiero teraz spojrzął na płaskowyż. Zdziwił się bardzo, bo rzeczywiście nad zachodnią częścią miasta wisiały ciężkie kłęby. Poczł, jak ściska mu się żołądek. Jeśli to płonie Ognista Jama, prawdopodobnie tracą całą dzielnicę Palo. Niewielu Kresjan by się tym przejęło, ale właśnie tam znajdował się teraz Stary Fles.

– Jestem pewien, że uczniowie go wyniosą – powiedział uspokajająco.

– Wiem – mruknęła Ibana. Sprawdziła panewkę karabinu. Na wszelki wypadek załadowała go od nowa. – Ostatnia rzecz, jakiej ktokolwiek z nas by chciał, to rozruchy w Jamie akurat teraz, kiedy zostaliśmy zaatakowani.

– Jeśli bitwa tu zaczęła się przed kilkoma godzinami, co mogą wiedzieć o niej akurat tam? – zastanowił się Styke głośno. Nie mógł obronić się przed pytaniem, jak Lindet radzi sobie z tym wszystkim, chociaż była w swoim żywiole zawsze, gdy zdarzało się wiele kryzysów naraz, a poza tym miała w mieście hordeę Czarnych Kapeluszy. Ściągnie ich zapewne do siebie i użyje wyłącznie w ostateczności. Jeśli Dynizyjczycy dojdą na przedmieścia, brutalność toczonych tam walk uczyni z dotychczasowych starć błahe potyczki.

W tym momencie Styke zaprzestał rozważań. Dołączył do tylnej straży kolumny, w której jechał już także Szakał na myszonym koniku, obok majora Gustara, mającego krew na twarzy. Na złamanej lancy, której części związano pasem, chorągiew lansjerów powiewała nieco niżej i jakby trochę krzywo. W jakiś sposób doskonale pasowało to do otaczającej ich rzeczywistości.

– Rozkazy, panie pułkowniku? – Gustar spróbował zaszalutować, ale nie był w stanie sięgnąć dłonią do czoła.

Styke podziwiał determinację tego żołnierza, ale nie okazał mu ani odrobiny litości. Strzelcy Wyborowi nie dorównywali

wprawdzie Szalonym Lansjerom, ale byli twardzi, bez dwóch zdań.

– Jedziecie plażą, jak najbliżej wody. Aż do portu jest równo. Garnizon będzie miał pełne ręce roboty z Dynizyjczykami. Oczyszczymy plażę, to zgłosimy się do lady Krzemień po rozkazy.

– To teraz wykonujemy rozkazy, tak? – W cichym głosie Ibany brzmiał sarkazm, choć nieprzesadny. – Albo się starzejesz, albo naprawdę wierzysz, że ta Krzemień potrafi właściwie ocenić sytuację.

– Chyba jedno i drugie. Na pewno się tego dowiemy, jeśli dożyjemy końca dnia.

Jeszcze raz rozejrzał się po zmęczonych obliczach, po niemal zajechanych koniach. Stał w strzemionach, wznosił szablę nad głowę.

– Po krew! – krzyknął. – Jedziemy po krew!



Ognista kula spadła na ziemię z mocą pocisku móżdziejowego zaledwie kilkanaście stóp od Styke'a. Amrec stanął dęba, rżąc przeraźliwie ze strachu, a jego jeździec, trzymający w jednej ręce szablę, a w drugiej karabin, nie mając oparcia w zdrewniałych, pozbawionych czucia nogach, wyleciał z siodła. Padł na ziemię, aż zadźwięczało mu w uszach. Siła upadku odebrała mu oddech, czuł się tak, jakby cała góra się na niego zwała.

Wszędzie wokół niego słyhać było ogłuszający tętent kopyt walących w piasek wysuniętego trójkąta wybrzeża. Dźwięk dochodził, lecz nie widziało się niczego, bowiem powietrze przesycały kłęby spalonego prochu, rozświetlane gęsto przez błyski magii i eksplozje pocisków. Dynizyjczycy strzelali bezustannie, jakby było im wszystko jedno, czy ich kule kładą towarzyszy broni, czy wrogów. Po prawej ręce Styke'a strzelcy wyborowi w szkarłatnych mundurach i żołnierze garnizonu miejskiego w żółtych walczyli jak wściekłe psy z przeciwnikiem nacierającym na nich z lewej stałą, choć nierówną falą. Plażę zaścielały trupy obu walczących stron.

Styke zdołał wstać. Odrzucił karabin, złamany ciężarem ciała przy upadku. Chwycił rozgrzaną lufę broni atakującego go Dynizyjczyka, poderwał tak, że bagnet przeszedł mu obok głowy, nad ramieniem, a potem uderzył ostrzem szabli w szyję.

– Amrec! Amrec, niech cię otchłań! – Spodziewał się zobaczyć końskie truchło, leżało ich tu wiele, ale żaden nie był nawet w przybliżeniu tak wielki. Słyszał rżenie, lecz wszechobecny dym nie pozwalał mu dostrzec, czy to wołanie jego wierzchowca. Rzucił się w kierunku najbliższej walczącej grupy.

Napiersniki Dynizyjczyków, podobnie jak kirasjerów, chroniły wyłącznie klatkę piersiową. Wiązane były rzemieniami na plecach i szyi. Styke przebił najbliższego nieprzyjaciela pchnięciem w kręgosłup. Blisko, na wyciągnięcie ręki, strzelec wyborowy padł pod dynizyjskim sztychem. Zacisnął palce na szyi żołnierza, kobiety, i ścisnął, póki nogi się pod nią nie ugięły. Bezwładne zwłoki cisnął w kierunku jej ostatniej ofiary.

Kolejny pocisk z moździerza uderzył bardzo blisko. Gorący odłamek przeszył Styke'owi kurtę, raniąc bok i nogę. Zatoczył się od siły wybuchu, dzięki czemu kula armatnia, która dwadzieścia stóp od niego odbiła się od piasku, przeleciała nad nim i zamiast urwać mu głowę, rozerwała napierśnik Dynizyjczyka, zabijając go na miejscu.

Styke walczył. Parł przed siebie niepowstrzymanie, kierując się nie nieprzydatnym wzrokiem, lecz źródłem magii, które miał po lewej, w połączeniu z łatwiejszym do wyczucia, wnoszącym się lekko, skalistym gruntem po prawej. Od czasu do czasu z kłębowiska wynurzały się oszalałe, wierzgające, rżące zwierzęta, ale nie było wśród nich Amreca.

Starcie robiło się coraz gwałtowniejsze i bardziej okrutne. Lepiej wyszkolonym strzelcom wyborowym z ich długimi bagnetami udawało się powstrzymać Dynizyjczyków. Styke potknął się o zmiażdżone ciało lansjera, przygniecione przez końskie truchło z rozdartym brzuchem, z którego wypłynęły wnętrzności. Poznał go, ale po tak wielu latach nie pamiętał jego imienia.

Nagle z kłębow dymu wypadł Dynizyjczyk. Przeskakiwał trupy ze zręcznością gazeli, w dłoniach trzymał kościane toporki, a jego tułów osłaniała znana Styke'owi doskonale, ciemnozielona smocza skóra. Styke zakaszłał, splunął krwią i pobiegł za człowiekiem-smokiem, który w biegu zabił dwóch strzelców wyborowych, zanim, zaskoczeni, zdolali unieść lufy karabinów z nasadzonymi na nie bagnetami.

Udało mu się go dogonić. Ciął szablą, klinga zafurkotała w powietrzu, a w następnej chwili uderzył z całym impetem. Obaj polecili na ziemię, roztrącając na boki grupę kilku strzelców, którzy mieli być następnymi ofiarami Dynizyjczyka.

Po upadku człowiek-smok znalazł się na górze. Wypluł z ust piasek zlepiony krwawą śliną, obuchem toporka wymierzył cios wprost w nos przeciwnika. Styke zgubił szablę. Uderzył człowieka-smoka pięścią w szczękę, odrzucił go, oszołomionego, ale tylko na chwilę, bo człowiek-smok zablokował drugie uderzenie, chwycił pięść i boleśnie wykręcił Styke'owi ramię. Lansjer walczył jeszcze, napierał na Dynizyjczyka całym ciężarem, aż nagle zobaczył, jak głowa wroga odskakuje... W uszach aż zadzwoniło mu od pistoletowego wystrzału tak bliskiego, że chyba oddanego z przyłożenia. Zepchnął z siebie bezwładne ciało. Pierwszym, co zobaczył, był Olem otoczony przez strzelców, z zakrwawionym, niedbale przewiązanym ramieniem i głęboką szramą na policzku. Pułkownik zgubił gdzieś nieodłączny kapelusz.

– I tak bym go pokonał – powiedział półżartem, na poły jednak poważnie. Równe, mocne bicie serca odbijało mu się echem w głowie, mięśnie i ścięgna miał napięte, gotowe do natychmiastowej akcji, był jak nakręcona sprężyna.

– Wierzę ci na słowo, ale nie mamy czasu na ich zagrywki. Jeden z tych dupków już ranił Davda.

Styke nawet nie zapytał, kim jest Davd.

– Straciłem konia – powiedział. – Widziałeś tu gdzieś może takie wielkie bydlę...?

– Przed chwilą widziałem twoją zastępczynię... – Pułkownik zachwiał się nagle, podtrzymał go stojący po lewej stronie sierżant. Potrzęsnał głową, jakby nie był pewien, gdzie jest. – Kawaleria nadjechała w najlepszym momencie, ale w tym dymie więcej tam nie ugracie. Jedźcie na zachód, Vlora z pewnością zrobi z was dobry użytek.

– Utrzymacie pozycje? – spytał Styke.

Olem zdołał się uśmiechnąć. Z rany na jego twarzy pociekła świeża krew.

– Potrzebujemy piechoty, nie dragonów. Cofniemy się i przegrupujemy, zanim robi się jeszcze gorzej. No już, wynoś się.

Styke znalazł Ibanę zaledwie pięćdziesiąt stóp dalej. Siedziała na własnym koniu, w zębach ścisnęła wodze Amreca, zmuszała oba wierzchowce do obracania się i do wierzenia. Dynizyjscy piechurzy usiłowali dosięgnąć ją krótkimi bagnietami. Jej szabla wznosiła się i opadała. Kilka chwil wystarczyło, by pozabijać Dynizyjczyków i zakończyć ten szalony taniec. Uniosła klingę nad głowę, salutując w ten sposób dowódcy. Styke podszedł, chwycił Amreca za uźdę przy pysku. Pociski moździerzy znów zaśpiewały w powietrzu. Podciągnął się, wspiął na siodło. W tym momencie z tumanów pyłu wyjechał major Gustar. Rumak pod nim kulał, wyglądało to dość poważnie, a majorowi z prowizorycznie opatrzonej rany ramienia krew ściekała na dłoń.

– Jest źle – zameldowała Ibana.

– Wycofujemy się – zdecydował Styke. – Przede wszystkim wyjdźmy z tego przekłętego dymu! Olem pozwoli Dynizyjczykowi uchwycić skrawek plaży.

Gustar tylko skinął głową, zmęczony i zrezygnowany. Znikł im z oczu, za chwilę trąbka Adro zagrała sygnał do odwrotu.

– Postaraj się może zapamiętać, że już nie nosisz tej swojej zbroi – powiedziała Ibana.

– A co to ma właściwie znaczyć? – zirytował się Styke.

– A to, że nie wjedziesz już bezkarnie w ogień magii i artylerii. Magia i kule zabiją cię dokładnie tak, jak każdego innego człowieka.



Rzeczywiście, krew przeciekała Styke'owi przez ubranie, czuł też ostry, przenikliwy ból, jakby jego zmysły płonęły żywym ogniem.

- Spróbuję nie zrobić nic głupiego – obiecał.
- Ustąpienie wrogom choćby o krok już wydaje się głupie.
- Nie mamy wyboru. Za ten przyczółek zapłacili krwią.

Puścił Amreca w galop. Jechali na zachód. W ciągu dosłownie minuty znaleźli się poza zasięgiem dymu. Obejrzał się przez ramię. Strzelcy wyborowi, żołnierze miejskiego garnizonu i jego lansjerzy ukazywali się jego oczom jeden po drugim, widać było, jak cieszy ich rozkaz odwrotu. Dynizyjczycy nie rozpoczęli pościgu, Styke pomyślał nawet, że może zużyli wreszcie swoje ludzkie zasoby albo może zadowoliło ich samo lądowanie i właśnie zaczęli przegrupowywać się do kolejnej bitwy.

Nic go to nie obchodziło. Jego zadaniem było dojechać jak najszybciej do Fort Nied.



## 60 ROZDZIAŁ

**G**ońcy przepływali przez Fort Nied niekończącym się strumieniem, a Vlora czuła, jak nieokreślony niepokój coraz mocniej skręca jej żołądek. Garnizon znalazł się pod ciężkim ostrzałem wojsk, które wylądowały na północ od miasta, Olem ponosił poważne straty na plaży, a gęsty dym, gromadzący się szybciej, niż morską bryza mogła go przewiewać, uniemożliwiał wsparcie pułkownika ogniem nawet jej, Norrine czy Budenowi. Ognista Jama płonęła, Czarne Kapelusze widziano uciekające z miasta całymi grupami. Rozkazała przenieść dosłownie wszystkie działa ze starych fortów rozrzuconych po mieście na wschodnią krawędź płaskowyżu, dwa tysiące ludzi miało opuścić stanowiska po południowej stronie Landfall, by wzmocnić część północną, a dodatkowych dziewięciuset miało wesprzeć Olema.

– Chcę wszystkich! – krzychała do posłańca w żółtej fatrastańskiej kurcie. – Nie utrzymamy zatoki, ale zamierzam uniemożliwić wrogowi wejście na płaskowyż. Mam dostać każdą sztukę broni,

która nie jest do czegoś przybita na stałe. Możecie okraść zbrojownie Kapelusznictwa, mnie to nic nie obchodzi!

– Ale Czarne Kapelusze...

– Czarne Kapelusze uciekły! Och, na otchłań, każę moim ludziom to zrobić, a ty zejdź mi z oczu!

Pobiegła na drugą stronę muru, odbierając po drodze jeden z zapasowych karabinów z rąk rannego szeregowego, który miał łądować jej broń. Przeszukała Nieświat, nie znalazła śladów Uprzywilejowanego, więc wpakowała kulę w oko komuś, kto wyglądał jej na dynizyjskiego oficera. Opuściła lufę.

– Czekaj! – krzyknęła do gońca. – Niech ktoś stłumi rozruchy w Jamie i ugasi te pożary! Poślijcie tam wojsko garnizonu niebiorące bezpośredniego udziału w walce. I chcę mieć do dyspozycji gazety, heroldów miejskich, wszystkich, do których da się jeszcze dotrzeć. Jeśli uczestnicy zamieszek dowiedzą się, że miasto zostało zaatakowane, być może się opamiętają.

W górną część umocnień uderzył armatni pocisk. Vlora przykucnęła za osłoną i nagle zeszywniała... bo w stęknięciu, jakie wydał mur pod uderzeniem, było coś dziwnego. Brzmiało inaczej. Jeden rzut oka potwierdził jej najgorsze podejrzenia: pocisk wybił dziurę, na ziemię poleciał gruz. Ataki Dynizyjczyków przełamały magiczną ochronę Fort Nied.

– Potrzebuję inżynierów! – Łodzie zbliżały się, było ich zbyt wiele, by artylerzyści zdołali zatopić znaczącą liczbę kartaczami. Na dziobach stali żołnierze z hakami abordażowymi w rękach. Lada chwila rozpocznie się bezpośredni atak na twierdzę. – Czy te łotry nie boją się niczego?

Vlora próbowała zrobić krok, ale noga odmówiła jej posłuszeństwa. Przebił ją odłamek wapienia grubości kciuka, lecz dwukrotnie dłuższy. Krew zdążyła już przemoczyć nogawkę spodni. Wyrwała go, a głęboki trans prochowy sprawił, że niemal nie poczuła bólu. Ranę obwiązała chustką.

Z cierpieniem potrafiła sobie poradzić, ale mięśnie to co innego. Po prostu jej nie słuchały.

Kuśtykała wzdłuż blanek.

– Możemy wygrać – szeptała do siebie. – Możemy wygrać. Wróg nas nie złamie. Utrzymamy się. Jesteśmy jak kowadło. Jesteśmy jak gład. – Podeszła do najbliższego z jej nielicznych już, prowadzących ostrzał dział. Działonowy nie zwracał na Vlorę uwagi. Wykrzykiwał komendy.

– Odległość: pięćset jardów!

– Jest odległość: pięćset jardów – powtórzył jeden z artylerzystów. Pomógł nastawiać armatę. – Gotowi – zameldował.

– Ognia!

Huknął strzał, z lufy trysnął ogień i dym, działo odjechało kilka stóp, a grotmaszt dynizyjskiego okrętu dowodzenia pękł. Niczym wielkie drzewo, w zwolnionym tempie upadł na pokład, między załogę.

– Czekam na raport – warknęła Vlora do dowódcy obsady.

– Odległość: czterysta dziewięćdziesiąt jardów. – Artylerzysta nie zasalutował, nawet na nią nie spojrział. – Jesteśmy na granicy zasięgu, pani generał – krzyknął. – Mamy jeszcze kilkaset kartaczy, ale ich łodzie będą tu za kilka chwil.

– Majorze – zawołała do oficera stojącego w dole, na placu apelowym. – Chcę widzieć strzelców na pozycjach. Wszystkich! Z podwójnym przydziałem amunicji i niech nasadzą bagnety!

Artylerzysta miał jeszcze coś do powiedzenia.

– Ich flota jest coraz bliżej. Zatopiliśmy co najmniej osiemnaście okrętów wojennych plus około trzydziestu jednostek transportowych i wsparcia, ale ich jest po prostu za dużo! Mamy... – Powiódł wzrokiem wzdłuż muru. Poruszał wargami. Liczył. – Mamy zaledwie osiem dużych dział, tylko tyle zostało. Ich okręty podchodzą do nas w szyku liniowym, lada chwila będą wystarczająco blisko, by osiągnąć optymalną celność ognia artyleryjskiego.

Vlora klepnęła żołnierza w ramię.

– Strzelajcie dalej! Pokażcie im, jak wygląda otchłań!

Kulejąc, podeszła do kolejnej grupy gońców. Ze zdziwieniem stwierdziła, że jeden z nich to Palo w bladozielonym mundurze, takim, jaki nosili przyboczni Mamy Palo. Serce podeszło jej do gardła, ale prawie natychmiast przypomniała sobie, że Mama Palo, prawdziwa Mama Palo, jest po jej stronie.

– Ty pierwszy. – Wskazała go palcem.

– Wiadomość od Czerwonej Ręki – zameldował tubylec, na którym zgiełk bitewny nie wywierał chyba żadnego wrażenia. – Czerwona Ręka informuje, że podpaleń dokonali dynizyjscy sabotażyści i że to oni odpowiedzialni są za rozruchy w Ognistej Jamie. Ta sprawa jest właśnie załatwiana.

Vlora westchnęła z ulgą. Nareszcie jakaś dobra wiadomość! Całkiem zapomniała o zwolennikach Taniela i Ka-poel. Jeśli poradzą sobie oni z napastnikami i zabezpieczą tyły, będzie mogła wprowadzić do walki wszystkie rezerwy, a rozpaczliwie potrzebowała żołnierzy.

– Ma ludzi, którymi mógłby nas wesprzeć? – spytała.

Palo pokręcił głową.

– Dynizyjczycy w znacznej sile wylądowali na południe od miasta.

Vlora oparła się bezwładnie o mur. Odetchnęła cicho. Jesteśmy kowadłem. Jesteśmy skałą, o którą skruszą się nasi wrogowie.

– Właśnie przekierowałam wszystkie moje siły z południa. Mają wesprzeć wojska walczące w zatoce.

– Czerwona Ręka domaga się wsparcia na południu.

– Mam to gdzieś! – Vlora chętnie uderzyłaby Palo. „Nie zabija się posłańca, który przynosi złe wieści”. Tak, to powiedzenie doskonale pasowało do sytuacji.

– Czerwona Ręka chce, byś wiedziała, że interesujący nas przedmiot znajduje się dwie mile na południe od Landfall. Nie wolno dopuścić, by wpadł w ręce Dynizyjczyków.

– Przedmiot... – Vlora nie od razu zorientowała się, o czym mowa. – Boski kamień!

– Ta nazwa została użyta, tak.

– Majorze! – krzyknęła do żołnierza na placu musztry. – Czy możemy posłać kogoś na południe?

Oficer nie zdążył odpowiedzieć, bo w tym momencie rozległ się tętent końskich kopyt. Przez otwartą bramę fortu wjechali Styke, Ibana i major Gustar wraz z kilkunastoma Szalonymi Lansjerami. Vlora wpadła na nowy pomysł. Gestem uciszyła majora.

– Styke! – krzyknęła. – Raport! Natychmiast!

Pułkownik ściągnął wodze. Zatrzymał się na placu apelowym tuż pod nią.

– Przejechaliśmy po drodze przez północne nabrzeże. Wsparliśmy Olema, dzięki temu zdołał cofnąć się w szyku. – Vlora zaklęła. Ten teren był jej koniecznie potrzebny. Ale Olem nie wycofałby się, gdyby nie miał ku temu dobrych powodów. – Moje straty to około pięciuset ludzi, co oznacza, że mam około ośmiuset zdolnych do walki.

Vlora znowu zaklęła. Miała nadzieję, że Styke doprowadzi do niej wszystkie swoje siły, ale skoro stoczył już dwie bitwy, imponujące było, że ma jeszcze pod sobą kogokolwiek. Spojrzała na plażę. Jak bardzo samobójczym szaleńcem był ten człowiek, skoro nakazał szarżę w kłębach dymu, po nierównym gruncie?

– Dwie mile na południe od miasta – powiedziała głośno – znajduje się... coś. Nie wiem gdzie, nie wiem, jak wygląda, ale macie to coś znaleźć i zabezpieczyć.

Styke i Ibana podnieśli brwi jak na komendę, wymienili zdziwione spojrzenia.

– Ale bitwa...

– Będziecie mieli swoją bitwę. Dynizyjczycy ciągną z południa. Chcą mieć to... coś. Nie wiem, czy właśnie na tym zależy im najbardziej, ale jeśli nadejdą przed wami, będziemy mieli mnóstwo kłopotów z odzyskaniem tego.

– Tak jest, pani generał. – Styke skinął głową. Tylko tyle miał do powiedzenia. Zawrócił konia i opuścił fort na czele swojego oddziału. Lady Krzemień odprowadziła ich wzrokiem, w którym przebijała wielka tęsknota. Potrzebowała kawalerii Styke'a,

potrzebowała jej tutaj, potrzebowała jej do ataku na wybrzeże w celu odciążenia obrońców fortu. Ale nie miała kogo wysłać, a przecież nie wolno jej dopuścić, by Dynizyjczycy położyli łapy na boskim kamieniu.

– Pani generał! – zawołał artylerzysta. – Potrzebujemy tych strzelców. Nim będzie za późno!

– Majorze, wykonać!

– Wybiją ich jednego po drugim! Okręty są zbyt blisko!

Vlora zacisnęła zęby. Przyjrzała się jednostkom, podpływającym w szyku liniowym. Wpływały właśnie do zatoki, obrócone burtami do twierdzy. Otwierały ogień, nie zważając na nic, bez strachu, z wściekłą determinacją.

– Ja się tym zajmę – powiedziała. – A strzelcy mają być tu w tej chwili!

Podeszła do muru chwiejnym krokiem, oparła się o niego obiema rękami, wyteżyła zmysły. Objęła nimi zapasy prochu w ładowniach okrętu wojennego. Setki baryłek prochu, zgromadzonych w jednym miejscu. Jedna myśl wystarczy, by zdetonować je wszystkie jednocześnie, ale użyta do tego celu magia powróci do niej jak odrzut, z siłą zdolną powalić słonia.

Dotknęła zmysłami prochu. Natychmiast poczuła się tak, jakby przejechał po niej wyładowany po brzegi ciężki wóz. Jęknęła, w głowie się jej zakręciło, widziała, choć niewyraźnie, jak okręt rozpada się w drzazgi, dusiła się, nie mogła zaczerpnąć oddechu w zaciśniętej ze straszną siłą piersi. W ostatniej chwili odzyskała świadomość na tyle, by przykucnąć za murem, unikając salwy z wypełnionych Dynizyjczykami łodzi.

A w chwilę później Vlorę otoczyli jej strzelcy. Usłyszała dodający ducha huk karabinów Hruscha.



## 61

### ROZDZIAŁ

**M**ichel ze zdumieniem przyglądał się, jak robotnicy i żołnierze pod kierunkiem profesora Cressela wydobywają monolit z głębokiej studni na powierzchnię w niespełna dwie godziny. Używając kombinacji ramp, dźwigów i brutalnej siły, złożono obelisk na specjalnie przygotowanej hałdzie ziemi. Podprowadzony wóz cofał się, podczas gdy robotnicy podkopywali nasyp, aż ładunek od platformy, na której należało go złożyć, dzieliło zaledwie kilka cali. Był to fascynujący pokaz umiejętności inżynierskich, a w dodatku cała operacja odbyła się, przynajmniej w opinii Michela, niezwykle szybko i sprawnie. Jednemu z robotników noga utkwiała co prawda w szprychach kół tak, że trzeba ją było amputować, i nieszczęśnika odniesiono na bok, ale zastąpiono innym i wznowiono niezwłocznie prace.

Podczas gdy Cressel przygotowywał wszystko, co konieczne do złożenia obelisku na wozie, Ka-poel, wcale się nie kryjąc, przykucnęła na nim i wodziła dłonią po jego powierzchni jak dziecko bawiące się w piasku.



– Co ona tam robi? Hej, ty tam, na górze, schodź! – Cressel krzyczał i machał rękami, ale nawet nie zwróciła na niego uwagi. – Majorze Cole!

Cole przerwał rozmowę z jednym ze swoich żołnierzy. Pokazał profesorowi gestem, że tę sprawę ma załatwić z Czarnym Kapeluszem. Michel z kolei spojrzał na Taniela.

– O co jej chodzi? – spytał.

– Mnie o to nie pytaj. Jesteśmy razem już prawie jedenaście lat, a ciągle nie wiem o niej nawet połowy tego, co powinienem wiedzieć.

– Ale wie, że w bliskości tego czegoś ludzi ogarniało szaleństwo?

– Owszem – przytaknął Taniel.

Podszedł do nich Cressel. Wskazał kciukiem przez ramię.

– Złota Rózo, czy byłbyś uprzejmy skłonić tę osobę, by zeszła na ziemię?

– A dlaczego mam ją do tego skłonić? – zdziwił się Michel. – Komuś to przeszkadza?

– Przecież to niebezpieczne! Usunąłem już wszystkich naukowców, zostałem tylko ja. A operacja stwarza poważne zagrożenie! To cud, że jeszcze nikogo nie straciliśmy.

Bravis zwrócił się do Taniela.

– Czy to ważne, żeby została tam, na górze? – spytał.

Ten przyłożył dłonie do ust.

– Pole? – krzyknął. – Pole!

Ka-poel tylko machnęła ręką zniecierpliwiona. Taniel wzruszył ramionami.

– Pracuje – stwierdził. – Oczywiście, można ją ściągnąć siłą. Jeśli chcesz, spróbuj. Ja nie będę ryzykował.

– Czy ona wie, że monolit może się poruszyć, może się ześlizgnąć?

– Profesor szarpał resztkę włosów na łysinie. – Może stracić rękę albo nogę, może ją nawet zmiażdżyć!

– Jest świadoma niebezpieczeństwa – uspokoił go Michel. – Twoi ludzie mogą dalej działać, profesorze. Im nie przeszkodzi.

Cressel, wyraźnie wściekły, wrócił jednak do pracy. Michel przygryzł policzek. Od czasu do czasu spoglądał ku Landfall. Chmura dymu nad Ognistą Jamą stawała się coraz gęstsza, mógł tylko mieć nadzieję, że matce udało się już wydostać z miasta. W tej chwili interesowało go jednak to, co działo się po wschodniej stronie płaskowyżu, gdzie ogień i obłoki eksplozji szerzyły się w zastraszającym tempie. Strzały artyleryjskie zły się w jeden huk, widział też pojedyncze iskierki pocisków wybuchających nad powierzchnią oceanu. Wydawały się dalekie i nieszkodliwe.

Na razie.

– Majorze – Taniel podniósł głos – czy macie nowe informacje o zbliżającym się wrogu?

Cole skończył odprawę ze swymi oficerami. Podszedł, twarz miał ponurą.

– Cztery regimenty wylądowały właśnie jakieś sześć mil stąd. W najlepszym przypadku mamy kilka godzin, zanim tu dotrą. Wysłałem gońców do Landfall z prośbą o posiłki. Nie mam pojęcia, czy je dostaniemy. Jeden z moich żołnierzy właśnie wrócił z miasta. Podobno źle się tam dzieje.

Michel i Taniel wymienili zaniepokojone spojrzenia. Nie były to dobre wieści. Dynizyjczycy mogą ich dopaść, a w starciu z nimi są bez szans. No i jeśli major aktywnie szuka kontaktu z miastem, może dowiedzieć się o zdradzie Złotej Róży.

– Czy można przyspieszyć roboty? – spytał Michel.

– Cressel zapewnił mnie, że pracują jak najszybciej to możliwe bez narażania obelisku.

– Doskonale, doskonale. – Bravis zaczął chodzić tam i z powrotem, licząc kroki. Major Cole przyglądał mu się przez chwilę, a potem wrócił do swoich ludzi. Zaczął wydawać rozkazy. Michel przystanął. Przyglądał się łańcuchowi dowodzenia: oficerowie przekazywali rozkazy podoficerom i żołnierze powoli formowali ochronny krąg wokół monolitu.

Głośny trzask przywołał go do rzeczywistości. Odwrócił się w sam czas, by zobaczyć, jak Ka-poel ujeżdża potężny obiekt,

ześlizgujący się z ziemnego kopca po wygładzonych drewnianych balach wprost na wielką platformę transportową. Spoczął na niej nieruchomo, a wóz zagłębił się w ziemię niemal na stopę. Michel odetchnął głęboko, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że wstrzymywał oddech. Taniel pokręcił głową. Ka-poel uśmiechnęła się do nich obu, po czym powróciła do studiowania artefaktu.

Michel podszedł do Cressela. Klasnął w dłonie.

– Doskonale, profesorze, naprawdę znakomicie. Jesteśmy gotowi do drogi? – Usłyszał w swoim głosie strach i bezsilność, więc postarał się je stłumić.

Profesor poprawił okulary. Miał ze sobą teczkę z notatkami i teraz do niej zajrzał.

– Hmm... Inżynierowie sprawdzają stan osi i zabezpieczają ładunek. Powinniśmy wyruszyć za pół godziny.

– Bądźcie gotowi za kwadrans. – Michel skrzywił się boleśnie.

– Ależ, panie! – naukowiec zaprotestował.

Złota Róża pomachał mu palcem przed nosem, udając pewność siebie, której bynajmniej nie czuł.

– Piętnaście minut albo jakiś Dynizyjczyk wydlubie ci oczy z głowy na trofeum, profesorze.

– Oni nie wyłupiają oczu – prychnął Cressel z pogardą.

– Coś tam wydlubują. Do roboty, profesorze, czas nas goni!

Ktoś klepnął Michela w plecy. Taniel miał mu coś do zakomunikowania. Nie interesował go już ani monolit, ani żołnierze. Nie kryjąc się, niuchnął prochu, a potem wskazał na zachód.

– Widzisz? – spytał.

– Nic nie widzę.

– Jeźdźcy. Zbliżają się. Za kilka minut Cole ich zobaczy.

– To posiłki z Landfall?

– Może? A może nie. – Taniel wpatrywał się w dal jak wielki kot, broniący upolowanej zdobyczy. – To Czarne Kapelusze – powiedział po chwili.

– Na otchłań! Pora uciekać.

Michel od razu ruszył w stronę zagrody, w której major zamknął ich konie, ale kiedy się obejrzał, zobaczył, że Taniel pozostał na miejscu. Zawrócił biegiem, chwycił przyjaciela za rękaw.

– Nie warto ryzykować! Jeśli Czarne Kapelusze wiedzą, że zaatakowałem Fidelisa Jesa, jestem skończony, gdy tylko mnie zobaczą, a wy oboje w chwilę później. Wiekmy, póki możemy!

Taniel uśmiechnął się nieoczekiwanie. Pokręcił głową.

– Czekamy – zdecydował.

Bravis chodził. Zrobił dwa kółka, podszedł do przyjaciela.

– Jesteś pewien, że właśnie tego chcesz?

– Jeśli chcesz, uciekaj. My z Ka-poel zostajemy.

Michel zaklął, ale nie na głos. Instynkt nakazywał mu uciekać, uciekać natychmiast. Jeśli wśród jeźdźców jest ktoś, kto coś o nim wie, agenci obedrą go ze skóry i wcale nie będą się z tym spieszyć. Fidelis Jes może sobie żyć albo nie, to nie miało najmniejszego znaczenia, przecież musiał powiedzieć komuś o zdradzie Złotej Róży, choćby sekretarce. I teraz organizacja otworzyła sezon polowań na Bravisa.

– Czy to jest właśnie to? – spytał bezradnie.

Taniel spojrzał na niego, zaskoczony.

– Co jest co?

– Boski kamień... Czy na nim wszystko się kończy? Czy przez lata trudziłem się, by go znaleźć? Czy to był prawdziwy powód, dla którego wstąpiłem do Czarnych Kapeluszy?

Przyjaciel zastanawiał się długo, nim udzielił mu odpowiedzi.

– To był mój cel, owszem. Nie jedyny, ale tak. Lepiej byłoby zostawić cię wśród Czarnych Kapeluszy, ale masz rację. Odkrycie boskiego kamienia było najważniejszym z powodów, dla których rozpoczęłeś tę pracę.

To wyznanie przyniosło Michelowi spokój, którego nie spodziewał się odczuć. Miał wrażenie, że zdjęto mu z ramion wielki ciężar. Mógł wreszcie odszukać w głowie tę właściwą szkatułkę, w której był prawdziwy on. Mógł ją teraz otworzyć, opróżnić i wyrzucić. Roześmiał się z ogromną ulgą.

– Co cię tak rozbawiło? – spytał Taniel.

– Nie, nic. Zostaję.

Jak można się było spodziewać, major Cole dostrzegł wreszcie Czarne Kapelusze, a w kilka chwil później sam Michel ujrzał podnoszoną końskimi kopytami kurzawę na horyzoncie. Podobnie jak oni, tajna policja nie trzymała się drogi, jechała przez pola wprost na obóz archeologów. Na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że jest ich dużo, a gdy się zbliżyli, Michel zobaczył, że są dobrze uzbrojeni.

Zdecydował, że sprawę boskiego kamienia chce doprowadzić do końca. To była kiepska decyzja. Do tego z każdą chwilą wydawała mu się coraz gorsza.

A potem zrobiło się najgorzej, jak to było możliwe.

– Majorze Cole! – Wartownikowi udało się przekrzyczeć hałas towarzyszący przygotowaniom do transportu. – Nadjeżdża tysiąc Czarnych Kapeluszy pod dowództwem Fidelisa Jesa! Wielki mistrz chce osobiście wysłuchać pańskiego raportu.

Taniel aż gwizdnął cicho.

– Miałeś rację – przyznał. – Pora na nas. Sprowadź Ka-poel, a ja skoczę po konie.

Michel odczekał chwilę, a kiedy zobaczył, że major jest czymś zajęty, podbiegł do wielkiego wozu. Musiał zawołać ją trzykrotnie, ściszone głośnie, nim dziewczyna oderwała się wreszcie od swych studiów. Tylko po to, by gniewnie zmarszczyć czoło i odpędzić go machnięciem ręki.

– Nie! – zaprotestował. – Lada chwila pojawi się tu Fidelis Jes. Ruszamy w drogę. Teraz!

Palo wykonała w jego kierunku nieprzyzwoity gest, a potem, rozgniewana, uderzyła w monolit pięścią. Zeszła w końcu, ale po przeciwnej stronie. Michel przelazł pod platformą na kolanach, słyszał trzask pracującego pod ogromnym ciężarem drewna konstrukcji. Kiedy, czerwony na twarzy i spocony jak mysz, wynurzył się na światło dzienne, Ka-poel już na niego czekała. Podała mu rękę, pomogła wstać. Razem pobiegli do Taniela. Okazało

się, że zdążył już wyprowadzić z zagrody ich wierzchowce. Wskoczyli na siodła, a kiedy wyjeżdżali z obozu, wartownik krzyknął za nimi:

– Panie! Major Cole chce wiedzieć, dokąd jedziecie.

– Na spotkanie z wielkim mistrzem – rzucił Bravis przez ramię, nawet nie zwalniając.

– Ale... to jedziecie w złym kierunku!

– Nie – mruknął Złota Róża do siebie. – Z pewnością jedziemy w jedynym właściwym kierunku.

Kłusowali jakieś sto jardów, kiedy zorientował się, jak bardzo się mylił.

– Hej, chwileczkę! Rzeczywiście jedziemy w złym kierunku. Tanielu, dokąd właściwie zmierzamy?

– Na wschód.

– To widzę! Ale tam jest ocean! Na wschodzie są Dynizyjczycy!

– Kiedy dotrzemy do wybrzeża, skręcimy na północ, do Landfall. Vlorą potrzebuje pomocy, to po pierwsze. A po drugie, może będzie miała wolnych ludzi, żeby odbić monolit z rąk Czarnych Kapeluszy?

Michel miał zamiar wrzasnąć do niego, że to idiotyczny pomysł, że bardzo chce zostawić płonące miasto tak daleko za sobą, jak to tylko możliwe, ale zdołał tylko zawołać ochryple:

– Tanielu! Patrz!

Kilkadziesiąt Czarnych Kapeluszy oddzieliło się od głównej grupy. Mieli odciąć im drogę ucieczki.

– Widzę ich – odkrzyknął Taniel.

Ka-poel podjechała bliżej. Wyrwała Michelowi wodze, pochyliła się w siodle, przynagliła swojego wierzchowca do jeszcze szybszego biegu. We trójkę niemal unosili się nad polami, Taniel i Palo mknęli lekko niczym wiatr, a Michel tylko trzymał się kurczowo łęku siodła z nadzieją, że nie zleci na ziemię i nie skręci karku, gdy będą przesadzali kolejny rów melioracyjny. Czarne Kapelusze zbliżały się nieubłagane, aż Michel nabrał pewności, że w końcu ich dopadną.

Taniel skręcił nagle na północny zachód.

– Dlaczego jedziemy na nich?

– Mam plan!

Michel zdobył się na odwagę. Podniósł wzrok, do tej pory wbity w końską szyję. Taniel wcale nie patrzył na pościg, tylko na miasto.

– Skup się! – krzyknął Michel do siebie. Zacisnął powieki. Żołądek podchodził mu do gardła, ciekawe, czy ma jeszcze czym wymiotować.

Zwalniali. Otworzył oczy i zobaczył, że pogoń była tuż, tuż, a Taniel uniósł ręce. Zakręciło mu się w głowie, poczuł, że traci przytomność, omal nie spadł pod końskie kopyta.

– Poddajemy się? – wykrztusił.

– Poddajemy – przytaknął Taniel.

Michel był słaby jak dziecko. Próbował coś jeszcze wymyślić, znaleźć jakąś drogę ucieczki, ale nie, nie mieli szans. Na całą ich trójkę przypadała ponad trzydziestka Czarnych Kapeluszy. On sam nie umiał się bić, a Ka-poel, o czym wiedział, dysponowała magią wymagającą przygotowania. Czyli trzydziestu na jednego Taniela. To jest szansa... pod warunkiem że Czarne Kapelusze mają w ładownicach proch. Uznał, że na tym właśnie Taniel oparł swój plan, zacisnął zęby, czekając na zabójczy wybuch... ale się nie doczekał.

– Agencie Bravis!

Do tej pory Michel nie wierzył, że może poczuć się jeszcze gorzej. A jednak!

– Wielki mistrzu... – wykrztusił, wpatrując się w łęk siodła jak obrażone dziecko.

Fidelis Jes wyjechał przed grupę agentów. Głowę trzymał wysoko, twarz miał zaczerwienioną od ostrej jazdy.

– Co za odwaga! – powiedział tonem, w którym brzmiała nutka podziwu. – Dwadzieścia minut temu przejęliśmy informację od majora Cole’a, że jesteście na wykopaliskach. Wyobraź sobie, jaką rozkosz sprawiłeś mi tą próbą ucieczki.

– Domyślam się, panie. – Michel miał ochotę skończyć z tym raz na zawsze, zaatakować Jesa gołymi rękami z nadzieją, że obstawa wielkiego mistrza po prostu go zastrzeli. Żaden inny pomysł nie

przychodził mu teraz do głowy, choć ten też nie wydawał się przesadnie atrakcyjny. Chociaż taki koniec byłby lepszy niż powolna śmierć od tortur w katowni Kapelusznictwa.

Jes pomasował kark pod kołnierzykiem. Michel wyobraził sobie, że ma tam wielki krwawy siniec. Jak sukinsynowi udało się przeżyć uderzenie kastetem w kręgosłup, tego nie pojmował, ale można było założyć z góry, że ten typ potrafi przeżyć w każdych okolicznościach. Drań patrzył teraz na Taniela i Ka-poel. Przede wszystkim na Ka-poel.

– Masz mi sporo do wyjaśnienia, agencie Bravis – syknął. – Pojedziesz z nami do Dalinport. Tam będziesz miał czas nawet na bardzo wyczerpujące wyjaśnienia.

– Droga do Dalinport jest zamknięta – poinformował go Taniel, nie podnosząc głosu. – Dynizyjczycy wylądowali w mieście.

– Mam wystarczająco wielu ludzi, żeby się przebić przez blokadę.

Ka-poel gestem zwróciła na siebie uwagę Taniela, po czym wyprostowała cztery palce.

– Uprzywilejowani, co? Rzeczywiście, są wielką pomocą.

– Na otchłań, a to kto? – zdziwił się Jes.

Michel uśmiechnął się lekko. Nie odpowiedział.

– Kim jesteś? – warknął wielki mistrz, zwracając się do Taniela, który z cichym westchnieniem, jakby zniecierpliwiała go ta konieczność, powoli ściągnął rękawiczkę i uniósł lewą dłoń o gładkiej skórze koloru krwi.

Jes uśmiechnął się jeszcze szerzej i drapieźniej.

– Czerwona Ręka? Ech, agencie Bravis, więcej się po tobie spodziewałem. Szpieg kamaryli, kezański szpicel... Nie sądziłem, że poniżysz się pracą dla zwykłego buntownika.

– Nie takiego znowu zwykłego – zaprotestował Michel.

Taniel zsiadł powoli z konia, wyjął miecz z torby u siodła.

– Fidelisie Jes – oznajmił – od bardzo dawna pragnę cię zabić.

– Panie – ośmielił się odezwać jeden z oficerów Czarnych Kapeluszy – nie mamy na to czasu.



Wielki mistrz wahał się: stanowisko archeologiczne czy pojedynek. Michela nie zdziwiło, że zwyciężył instynkt. Jes zgrabnie zeskoczył z konia, wyjął miecz, podszedł do przeciwnika.

– Kim jesteś? – spytał. – Spodziewałem się, że Czerwoną Ręką okaże się Palo, a nie jakiś Adrańczyk.

– Opowieść Michela o wygnańcu z Adro była bliższa prawdy, niż sądzisz, panie.

Taniel przesunął dwoma palcami po ostrzu, jakby chciał sprawdzić, czy odpowiada jego standardom. Michelowi zdało się, że słyszy daleki tętent kopyt, ale nie potrafił oderwać wzroku od tego, co działo się w jego bliższym sąsiedztwie. W myślach popędział przyjaciela, niech wykończy sukinsyna, na co tu czekać?

Jes tymczasem przeciągnął się, skłonił w prawo i w lewo. Ale nie spuszczał wzroku z przeciwnika.

– Nie spodziewam się, by miało to trwać długo – oznajmił – więc jeśli masz mi coś jeszcze do powiedzenia, mów teraz.

Taniel przymknął oczy. Broń trzymał przed sobą w obu dłoniach, ostrzem w dół, jakby się modlił. Trwało to długo, może nawet pół minuty i Jes wreszcie stracił cierpliwość.

– Czas ci się skończył – oznajmił, robiąc krok w przód.

Taniel uniósł ostrze, ale mierzyło ono nad ramieniem Fidelisa Jesa.

– Nie jestem tu, by cię zabić – warknął.

Wielki mistrz uśmiechnął się kpiąco.

– I nie zabijesz.

– On to zrobi!

Taniel uskoczył przed pchnięciem Jesa. Poruszał się tak szybko, że nie sposób było nadążyć za nim wzrokiem. Chwycił przeciwnika za włosy z tyłu głowy, rozstawił mu nogi kopniakiem, po czym odwrócił go. Michel podążył wzrokiem za spojrzeniem Jesa i zdumiał się, bo jakiś oddział właśnie szarżował na Czarne Kapelusze.

Atak prowadził największy, najpotworniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć. Miał na sobie spłowiałą kurtę

kawalerii Fatrasty, siedział na potężnym karym wałachu z brązowymi łatami na szyi. Jego twarz pokrywały liczne blizny, lekko garbił się w siodle. Towarzyszył mu jeździec z chorągwią wyobrażającą lancę przeszywającą ludzką czaszkę. To samo godło widniało na pierścieniu, który nosił wielki mistrz.

Michel nie musiał pytać, z kim mają do czynienia.

– Jes! – ryknął Ben Styke, zeskakując, zanim koń zdołał się zatrzymać. – Już jesteś trupem!



## 62 ROZDZIAŁ

**S**tyke podszedł do Jesa. Oddychał szybko po trudnej jeździe, ale po zmęczeniu, które ogarnęło go wcześniej i które omal nie skłoniło do zarządzenia odpoczynku na południe od miasta, nie pozostał nawet najmniejszy ślad. W jednej ręce ścisnął szablę, dłoń drugiej zacisnął w pięść. Zignorował zbiorowy krzyk i zdziwienie Czarnych Kapeluszy. Za Jesem stał Taniel z obnażonym mieczem, za nim Ka-poel. Czarne Kapelusze nie zsiadły ze swoich wierzchowców.

Jes patrzył to na Taniela, to na Bena Styke'a, nie był pewien, z której strony nadejdzie prawdziwe niebezpieczeństwo. Taniel odsunął się o kilka kroków z lekkim ukłonem, wielki mistrz mógł więc całą swoją uwagę skupić na ogromnym lansjerze.

– Zabijałem cię dwukrotnie – warknął. – Dopilnuję, by trzeci raz był ostatnim.

Nawet Styke musiał przyznać, że wielki mistrz wyglądał imponująco w uniformie tajnej policji: czarnej dwurzędowej kurcie i spodniach w tym samym kolorze. Mundur skrojony był tak, by podkreślić szeroką klatkę piersiową i muskularne nogi. Na szyi zawiązał cienką białą chustę, na lewej piersi nosił przypiętą

Platynową Różę. Kciuk zdołał mu pierścień Styke'a, za pasem miał jego wielki nóż. Lansjer znalazł chwilę, by zerknąć na jego konia. Przy siodle wisały ciężkie juki. Lady Krzemień miała rację, Czarne Kapelusze uciekały z miasta.

Uspokoił oddech, choć kosztowało go to wiele wysiłku. Odrzucił szablę, wyjął otrzymany od Ibany nóż. Na ten widok Jes parsknął śmiechem. Schował do pochwy swój miecz, wyrwał zza pasa ostrze Styke'a. Zasalutował nim kpiąco, z wyraźnym lekceważeniem.

W jednej krótkiej chwili przed oczami Styke'a przemknęło wspomnienie wszystkich popełnionych poprzednio błędów: przystąpił do walki ranny, gniewny, pozwolił emocjom wziąć górę nad rozsądkiem. Teraz dostał drugą szansę. Prawda, nie jest w szczytowej formie i odczuwa trudy dzisiejszego rajdu, ale przed tym pojedynkiem i tak czuje się zdecydowanie lepiej. Porwany przez Ibanę Uprzywilejowany wyleczył jego rany, choć nie całkowicie. Znow jest pułkownikiem Benjaminem Stykiem, Szalonym Lansjerem Landfall. Nie zabiją go jak psa.

Spojrzał na broń w dłoni Fidelisa Jesa i na sygnet, dotykający rękojeści.

– Są moje – powiedział.

– Już nie. – Wielki mistrz wypluł z siebie te dwa słowa i zaatakował. Udał, że chce uderzyć z góry, wykonał fintę, ale zdradzieckie pchnięcie zadał od dołu, mierząc w brzuch. Styke odrzucił nóż Ibany. Zacisnął palce na swoim, skradzionym mu przez Jesa. Zignorował ostry ból i zgrzyt ostrza przesuwającego się po kościach palców, zatrzymał atak, a cios wymierzony prawą pięścią trafił przeciwnika wprost w nos z taką siłą, że omal nie urwał mu głowy.

– Tu nie chodzi o zemstę – uświadomił wielkiego mistrza Styke. – Chodzi wyłącznie o to, że jesteś dupkiem.

Puścił broń, zakrwawioną dłonią chwycił rękaw munduru Fidelisa, przyciągnął go do siebie. Jeszcze raz uderzył go w twarz. Bezwładne ciało osunęło się na ziemię u jego stóp. Pochylił się nad nim, zdjął pierścień, wsunął go na palec; miło było znow poczuć jego

znajomy ciężar. Wyjął też swój nóż z ręki Jesa i dwoma szybkimi ruchami obciął mu głowę. Uniósł ją za włosy, nie zwracając uwagi na krew kapiącą mu na kurtkę i spodnie. Westchnął. Żałował, że ma tylko te kilka chwil, by cieszyć się tym widokiem, a kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że Ibana przedziera się ku niemu pomiędzy Czarnymi Kapeluszami. Rzucił jej broczący czerep. Złapała go zręcznie.

– Nie mamy czasu na zrobienie siodła – powiedział.

Za jego plecami agent trzymający się blisko Ka-poel zwymiotował donośnie.

Ibana odsunęła makabryczne trofeum na odległość wyciągniętej ręki. Skinęła.

– To wystarczy.

– Tanielu. – Styke dopiero teraz skłonił głowę na powitanie. Zauważył krwistoczerwone ramię, przypomniał sobie, że kiedyś, przed wielu laty, czytał o buntowniku znanym pod mianem Czerwonej Ręki. Zabawne, że ten bandyta i niesławny duch Dorzecza Tristan to jedna i ta sama osoba. – Wygląda na to, że kryjesz wiele sekretów.

– Jak my wszyscy. – Taniel schował miecz do sakwy.

Pułkownik przeniósł uwagę na ludzi z oddziału Fidelisa Jesa. Nikt z nich się nie odezwał, niektórzy tylko poprawiali się w strzemionach. Patrzyli na bezgłowe ciało wielkiego mistrza.

– Kto tu dowodzi? – spytał szorstko.

– Ze starszeństwa wynika, że chyba on. – Taniel wskazał Czarnego Kapelusza, trzymającego się blisko Ka-poel, zielonego na twarzy, ocierającego drżące wargi. Wskazany usiłował się uśmiechnąć, choć bardziej przypominało to grymas obrzydzenia. Uniósł dłoń na powitanie.

– Złota Róża Bravis do usług, panie.

– Panie pułkowniku – poprawił go Styke z lubością. Na otchłań, nie sądził, że taką przyjemność sprawi mu możliwość wypowiedzenia tych słów.

Jeden z jeźdźców z ochrony Jesa, niekryjący Srebrnej Róży na piersi, wskazał Michela palcem.

– Jes twierdził, że jesteś zdrajcą!

Ku zdumieniu Styke'a Czarny Kapelusz zsunął się z siodła, na chwiejnych nogach podszedł do bezgłowego ciała i trącił je czubkiem buta.

– Improvizuję, proszę mi nie przeszkadzać – szepnął do pułkownika, po czym zwrócił się do swoich towarzyszy.

– Co ten oszust powiedział wam o waszych rodzinach? – spytał donośnym głosem. Nie usłyszał odpowiedzi. – Czy powiedział wam, że zostaną ewakuowane z miasta w odpowiednim czasie? Że jest nas więcej, gotowych pomóc waszym bliskim i przyjaciółom wyjść z Landfall, gdyby linie obronne zostały przełamane? Czy też... – tu uczynił efektowną pauzę – usiłował wam wmówić, że Strzelcy Wyborowi utrzymają miasto bez niczyjej pomocy, a wy możecie sobie spokojnie wiać gdzie oczy poniosą? – Pokręcił głową z teatralną przesadą. – Widzę te wasze juki przy siodłach. Jest was kilka tysięcy, zapakowanych na daleką podróż i wszyscy macie eskortować jakiś relikwiarz przeszłości, zamiast bronić własnych domów! Mnie to śmierdzi rejteradą!

– Nie uciekamy! – zaprotestował Srebrna Róża. – Wykonujemy misję lady kanclerz.

– Jej misją jest obrona miasta! – warknął Bravis. Pochylił się nad zwłokami Jesa, przez chwilę wyglądał, jakby znów miał dostać torsji, ale jakoś się opanował. Zerwał Platynową Różę z jego munduru. Cofnął się, nieco za szybko, wskazał palcem Styke'a. – Wielki mistrz mówił wam, że ten człowiek, bohater walk o niepodległość Fatrasty, jest niebezpiecznym kryminalistą. Okłamywał was i mnie, a jego ostatnie łgarstwo mogło zgubić miasto, które wszyscy kochamy! Miasto, w którym żyją nasi przyjaciele i rodziny!

– Więc co właściwie mamy zrobić? – spytał Srebrna Róża.

– Co ma robić tysiąc dobrze uzbrojonych agentów? Macie bronić miasta! Widzicie te chorągwie? – Wskazał palcem na Szakala i chorążego Strzelców Wyborowych, stojących ramię przy ramieniu

za plecami Czarnych Kapeluszy. – Dołączcie do nich. Jedźcie wraz z nimi! Z Benem Stykiem, bohaterem fatrastańskiej rewolucji! Ze Strzelcami Wyborowymi, wyznaczonymi do obrony Landfall przez samą lady kanclerz! Rozkazuję wam walczyć! Wracajcie do kolumny, ustawcie się w szyku i przygotujcie do bitwy!

Trzech Czarnych Kapeluszy, każdy ze Srebrną Różą, wymieniło kilka zdań ściszonymi głosami. Pozostała do ustalenia jeszcze jedna sprawa.

– Kto jest teraz naszym dowódcą? – spytał jeden z nich.

Bravis wyprostował się godnie. Przypiął do piersi Platynową Różę.

– Ja!

Zapadła cisza. Styke był pewien, że agenci roześmieją się temu Bravisowi w twarz. Ale nie, Srebrna Róża skrzywił się wprawdzie, ale potem skinął głową.

– Jak sobie życzysz, wielki mistrzu.

Zawrócił konia. Poprowadził ochronę Jesa między szeregami lansjerów do głównego oddziału, czekającego pół mili dalej.

Styke i Michel stanęli naprzeciw Taniela. Pułkownik przyjrzał się Czarnemu Kapeluszu bardzo dokładnie i niezbyt przyjaźnie. W odróżnieniu od bezgłowego trupa leżącego teraz na ziemi ten nowy nie był kimś, kto skupiałby na sobie uwagę wyglądem: cofnięta szczeka, jasnobrązowe włosy zmierzwił od długiego galopu. Ale trzeba mu było przyznać, że umiał szybko myśleć.

– Czyżbyś właśnie przekonał ich do ochrony boskiego kamienia, przekonując, by go nie chronili? – zażartował Taniel.

– Tak – odparł nowy wielki mistrz drżącym głosem. – Chyba nawet mi się udało. – Spojrzał na przyjaciela, na wielkiego lansjera i znów na przyjaciela. – Rozumiem, że się znacie?

Styke zmierzył wzrokiem Taniela, uśmiechającego się nieznacznie, jakby chciał tym uśmiechem zaznaczyć, że między nimi pozostały jeszcze niezłatwione sprawy. Uznał, że można odłożyć je na później.

– Racja – przyznał tylko.

– Przybyliście tu, pułkowniku, by przechwycić Dynizyjczyków, którzy znajdują się w tej chwili na południe od nas?

– W rzeczy samej.

Platynowa Róża wyglądał, jakby miał za chwilę zemdleć.

– Dzięki Adomowi, że nic nie pomyliłem. No proszę!

Styke nie spuszczał z niego wzroku. Nie wiedział, czy może zaufać Czarnemu Kapeluszu, nawet takiemu, który jest przyjacielem Taniela. Ta przyjaźń, uświadomił sobie nagle, to dobry powód, by być w tym względzie powściągliwym.

– Boski kamień... Czy to jest to coś, czego mam pilnować z rozkazu pani generał?

– Owszem – przytaknął Taniel.

– Wiemy coś o przeciwniku, z którym mamy się bić?

– Tylko tyle, że są ich co najmniej cztery regimenty. – Taniel brodą wskazał agentów. – I że z tymi tam masz dodatkowo tysiąc ludzi, w tym dwoje Uprzywilejowanych.

Styke odszedł. Podniósł nóż Ibany, wrzucił go do torby przy siodle. Oczyszczył długą ranę dłoni u nasady palców i obwiązał ją chustką. Choć paliła żywym ogniem, upośledzając jego zdolności bojowe, przynajmniej mógł zginać palce. Wytarł też swoje ostrze z krwi Jesa o jego mundur, sprawdzając przy okazji stan broni.

– Czarne Kapelusze to tylko banda łotrów spod ciemnej gwiazdy – powiedział. – Nie przydadzą się w walce z Dynizyjczykami, bo tamci to twarde sukinsyny. Nie sposób ich złamać.

– Ty dasz radę – powiedział Taniel.

Styke rozważał szanse. Tysiąc Czarnych Kapeluszy. Ośmiuset Strzelców Wyborowych i Szalonych Lansjerów. Kilkuset zwykłych żołnierzy, strzegących monolitu. Przewaga wroga jak dwa do jednego. Nie bardzo mu się to spodobało.

– Bywało gorzej – powiedział głośno. Podeszedł do swego wierzchowca. – Ale ty jedziesz ze mną, Dwa Strzały. Masz rozwalić łąby wszystkim Uprzywilejowanym, których Dynizyjczycy wystawią przeciwko nam.





Kiedy Michel wrócił do obozu archeologów, lądowa barka była już w ruchu. Rozpaczliwie powoli przesuwała się po polach, ciągnięta z wysiłkiem przez konie, bezustannie poganiane przez woźniców. Część robotników pchała ją, a część podążała przed nią, uprzątając z drogi przeszkody, niektórzy łopatami, inni gołymi rękami. Obelisk parł przed siebie, ale jasne było, że nieprędko dokądś zajędzie.

Ignorując pomruki swoich nowych podwładnych, Michel podjechał do Cole'a. Major długo przyglądał się Platynowej Róży na jego piersi. Owszem, na dobre i złe właśnie objął komendę nad Czarnymi Kapeluszymi, ale takie jej przejęcie, przez zamordowanie poprzedniego dowódcy, w nikim nie budziło zaufania. Jeśli przeżyje ten dzień, powiedział sobie Michel, będę miał powód, by uważać się za szczęśliwego człowieka.

Major wreszcie mu zasalutował.

– Rozkazy, panie?

Michel wydał mu dyspozycje z największą pewnością, na jaką było go stać.

– Z Landfall przysły posiłki, blisko dwa tysiące kawalerii. Pułkownik Styke przejmuje dowodzenie nad ochroną monolitu. Poleciałem mu podjąć walkę jak najdalej od nas, a wasz oddział zatrzymam tutaj, przy barce lądowej, jako odwód. Na wypadek gdyby Dynizyjczycy sforsowali linie obrony.

– Przy czym?

– Barce lądowej. – Michel poczuł, że się czerwieni. – Pomyślałem, że ten wóz...

– Barka na lądzie. – Cole skinął głową, choć niechętnie. – Tak, jasne, rozumiem. Nawet pasuje. My mówiliśmy po prostu „wielki wóz”.

– Moja nazwa jest lepsza. Trzymaj swoich ludzi pod ręką, majorze.

Michel odszedł powoli. Widział, że jego polecenia przybierają właściwą formę, przekazywane są niżej, a niejasności w nowym łańcuchu dowodzenia szybko się wyjaśniają. Czarne Kapelusze odjechały w końcu, jako ostatnie w kolumnie jazdy Bena Styke'a. Rozejrzał się. Major wrócił do swoich żołnierzy, a jemu za towarzystwo pozostała Ka-poel.

– Taniel odjechał z lansjerami? – spytał.

Palo skinęła głową.

– No tak. Jeśli Dynizyjczycy przebiją się przez siły Styke'a, to niewiele będziemy w stanie im przeciwstawić.

Kolejne skinienie, tym razem poważniejsze.

Koń nagle rzucił się pod nim, nowy wielki mistrz uznał, że ma tego dość.

– A do otchłani z nim – warknął. Ześlizgnął się z siodła, gdy tylko wierzchowiec trochę się uspokoił. – Nie mam zamiaru dłużej bawić się w jeźdźca. Te zwierzęta są od tego, żeby ciągnąć powozy, a nie, żeby je ujeżdżać.

Na Ka-poel nie wywarł chyba odpowiedniego wrażenia, bo zawróciła, spojrzała na południe, zdjęła plecak i zaczęła w nim grzebać. Michel podszedł do transportu, omijając po drodze robotników i klucząc między napiętymi linami. Wskoczył na platformę. Przeszedł wzdłuż leżącego monolitu, uważając, by go nie dotknąć, na sam przód. Stał tam profesor Cressel. Z okularami uniesionymi na czoło patrzył na wschód.

– Uciekniemy Dynizyjczykom? – spytał.

Bravis znacząco spojrzał w dół, na poruszającą się w żółwym tempie ziemię. Powinien cieszyć się, że w ogóle są w ruchu, ale tak jak profesor, on też czuł niepokój bliski paniki.

– Obawiam się, że nie, profesorze.

– A wystarczy nam ludzi do obrony?

Michel znał prawidłową odpowiedź na to pytanie, już otwierał usta, żeby jej udzielić, ale w ostatniej chwili zmienił „nie” na „może”.

– Landfall przysłało nam dwóch Uprzywilejowanych. To powinno wyrównać szanse – dodał.

Chyba że oni też mają magów.

– Ach, doskonale! – Cressel poklepał obelisk z uczuciem. – Nie możemy pozwolić, żeby wpadł w ręce nieprzyjaciół. To nie do pomyślenia.

Michel zapomniał, z czym ma do czynienia, oparł się o potężny starożytny głaz i odskoczył, bo poczuł, że między kamieniem a jego barkiem przeskoczyła iskra. Zatarł ręce, próbował pozbyć się obrzydliwego wrażenia, jakie po sobie pozostawiła. Znowś słyszał głosy w głowie, do tej pory stłumione podnieceniem, wywołanym przez szybko po sobie następujące, gwałtowne wydarzenia. Być może wspięcie się na lądową barcę nie było jednak najlepszym pomysłem. Spojrzał w dół. Ka-poel jechała stępa tuż obok, trzymając wodze jego konia. Skinęła ręką, zapraszając Michela na siodło, jakby wyczuła, że niepewnie się czuje.

– Zostanę tutaj – zdecydował. – Tu mam mniejsze szanse na skręcenie karku. – Wóz szarpnął nagle, omal nie zrzucając go pod koła. Musiał złapać się naukowca, by odzyskać równowagę.

– Dobrze się czujesz, Złota Różo? – spytał profesor.

– Wielki mistrzu, jeśli wolno – poprawił go Michel, wskazując Platynową Różę na piersi. – Nie, nie czuję się dobrze. Nienawidzę sam siebie, nienawidzę tego idiotycznego monolitu, nienawidzę Dynizyjczyków za to, że pchają mi się na oczy... O, na otchłań! Ka-poel, widzę ich!

Palo podniosła głowę. Spojrzała na południe. Chmura pyłu unosiła się aż do nieba niespełna milę od nich. Usłyszeli daleki jeszcze, ale wyraźny trzask wystrzałów z muszkietów.

Ka-poel wróciła do grzebienia w plecaku.

– Powiedziałaś „Ka-poel”, panie? – zdumiał się Cressel. – „Ka” to dynizyjski tytuł. Jesteście Dynizyjczykami? – Profesor spojrział na niego szeroko otwartymi, zdumionymi oczami. – To dynizyjska nazwa Kościanych Oczu! Ta kobieta jest magiem krwi?

– Nie przejmowałbym się tym zbytnio – pocieszył go Michel.

– Magia krwi! Ale to wiele tłumaczy! To może być klucz do tajemnicy... Ja... – Głos profesora cichł powoli, aż przeszedł w ledwie

słyszalny bełkot, Michel uznał, że tak jest najlepiej. Przepętniony niepokojem przyglądał się chmurze, czerniejącej prędko od spalonego prochu. W myśli popędzał zaprzęg. Marzył, by lądowa barka poruszała się choć odrobinę szybciej.



Srebrna Róża jechał obok Benjamina Styke'a. Spoglądał nerwowo to na niego, to na chorągiew, niesioną dumnie przez Szakala.

Zasalutował nerwowo.

– Panie pułkowniku, nie jesteśmy wojskową kawalerią. Nie mogę mieć pewności, że okazemy się skuteczni przeciw tym Dynizyjczykom.

– Okażecie się bardzo skuteczni – upewnił go dowódca. Nie ufał sobie, nie chciał patrzeć Czarnemu Kapeluszu w oczy. Co za ironia, myślał, prowadzi oto do walki oddział tajnej policji zamiast wdeptywać w ziemię kości jednego agenta po drugim. Pocieszało go tylko to, że łeb Jesa podróżuje w worku wiszącym na łąku Ibany.

– Nie tego nas uczono...

– Rzeczywiście. A jednak sobie poradzicie. Czy wasi ludzie umieją strzelać z konia?

– Większość tak.

– Doskonale. Proszę podzielić ich na dwa pododdziały. Nie zamierzam kazać wam szarżować centralnie, tego nie umiecie i wierzchowców mi szkoda. Macie oddzielić się od nas i objechać przeciwnika z obu stron. Będziecie działać jak lekka kawaleria, atakująca z flanki. Uderzcie wszystkimi siłami, ogień ciągły i naprzód do upadłego. Każdy pododdział ma mieć Uprzywilejowanego, najpierw załatwiają oni ich Uprzywilejowanych, dopiero potem wy kawalerię.

Srebrnej Róży wyraźnie przypadło do gustu, że ominie go atak frontalny.

– To chyba możemy zrobić, panie pułkowniku.

Styke chwycił mężczyznę za ramię i szarpnął tak mocno, że ten omal nie wyleciał z siodła.

– Masz być pewny, że możecie to zrobić! Wy, sukinsyny, polowaliście na mnie dwa tygodnie! Jeśli nie okażecie teraz odrobiny koniecznej odwagi, jeśli nie upuścicie tym Dynizyjczykom krwi, po wojnie osobiście dorwę każdego z was, po kolei, a wasze głowy wrzucę do tego samego worka, w którym mam już głowę waszego byłego szefa. Zrozumiano?

– Tak jest! – wychrypiał agent.

Styke rozluźnił uścisk.

– A jeśli powstrzymacie ich skrzydła od okrążenia moich ludziach wystarczająco długo, żebym wygrał tę bitwę, możliwe, że nawet zostaniemy przyjaciółmi. Wcale tego nie wykluczam. A teraz jedź, człowieku! Wytłumacz swoim agentom, czego od nich wymagam. I dopilnuj, żeby wszyscy dobrze to zrozumieli.

Czarny Kapelusze odkłusował. Styke całą uwagę skupił na nadchodzących Dynizyjczykach. Ich piechota poruszała się szybkim marszem w czterech kolumnach, a gdy znaleźli się bliżej, sprawnie uformowała rzędy. Pułkownik zamrugnął, bo pot ściekał mu do oczu. Opędził się od strachu, złych przeczuć i podsuwanych przez zmęczenie ponurych myśli.

Podwójna przewaga liczebna. Jazda przeciw piechurom... takim, którzy najwyraźniej nie łamią szyku pod nawet najsilniejszym naporem. W takiej sytuacji kawaleria musi po prostu wybić przeciwnika do nogi. Szanse jego wojsk wcale się Styke'owi nie podobały.

– Taniel! – krzyknął. Obejrzał się za siebie. Mag prochowy został dwadzieścia stóp z tyłu. Stał w strzemionach, mierzył z karabinu, Ibana trzymała wodze jego wierzchowca. – Co on robi? – zdumiał się.

– Swoją robotę – odparła Ibana spokojnie. – Mają sześciu Uprzywilejowanych...

Taniel ściągnął spust. Huknął strzał, Ibana drgnęła, wsadziła palec w ucho, poruszyła nim energicznie. Dwa Strzały w skupieniu

patrzył przed siebie. Poruszał wargami, jakby liczył. Po kilku sekundach opuścił lufę i natychmiast zaczął nabijać broń.

– Mają czterech Uprzywilejowanych – oznajmił.

Styke musiał się roześmiać, choć wcale nie było mu do śmiechu.

– Szakał, rozkazy! Wszyscy nasi mający jeszcze lance formują szpic. Za nimi jadą kirasjerzy Strzelców Wyborowych, następnie dragoni. Szyk zwarty, a jak mówię zwarty, to taki właśnie ma być! Sześć rzędów po czterech, sześć po pięciu, sześć po sześciu i tak dalej. Formacja klina.

– Chyba znów muszę ci przypomnieć, że nie mamy już naszych przeklętych zbroi! – krzyknęła Ibana.

– Oni nie mają długich bagnetów.

– Krótkie to też nie żart.

– A w otchłań z nimi! Jeśli nie uda się nam wybić sukinsynów, przebijemy się przez ich środek, zawrócimy i zaatakujemy od tyłu, zanim w ogóle zorientują się, co się dzieje.

Taniel uniósł karabin do ramienia, ale zanim wycelował, spojrzął na Styke'a.

– Ty naprawdę jesteś przeklętym szaleńcem.

– Wszyscy mi to mówią. Szakał, daj mi nową lancę. Pojadę na czele.

Nieprzyjaciel miał dwa razy więcej ludzi niż on. Powinien postarać się bardziej.



## 63 ROZDZIAŁ

Vlora użyła magii do zapalenia odrobiny prochu na odległość prawie mili. Udało się jej, nastąpiła natychmiastowa reakcja łańcuchowa i reszta prochu w ładowni jednego z wielkich okrętów wojennych wybuchła, rozrywając jednostkę na strzępy. Grotmaszt wyleciał w powietrze z takim impetem, że omal nie wylądował na brzegu.

Reakcja także była natychmiastowa. Vlora odczuła ją całą sobą, było tak, jakby beczka wina strąciła ją ze schodów. Omal nie spadła ze stanowiska na blankach, przytrzymała się w ostatniej chwili, paznokciami kurczowo ściśniętych dłoni orząc twardy kamień. W głowie pojawił się pulsujący ból, rana nogi, skaleczenie na ramieniu i wszystkie inne drobne urazy przypomniały o sobie w jednej chwili, omal nie przedzierając się przez barierę transu prochowego. Wzmocnione nim wrażenia zaatakowały jej zmęczony mózg całym swym bogactwem.

Tuż obok niej zagrzecotał uderzający w mur metal. Vlora opanowała się, wyjrzała i zobaczyła pod sobą łódź i wspinających się

po linie Dynizyjczyków. Nim zdołała wyciągnąć nóż i przeciąć ją, byli już w jednej czwartej wysokości. Usłyszała krzyk zaskoczenia, potem plusk. Jakby znikąd pojawili się przy niej trzej Strzelcy Wyborowi. Strzelali do łodzi, z której zarzucano kolejne haki.

To samo działo się na całej długości fortyfikacji. Przez niemal pół godziny napastnicy usiłowali wspiąć się na mury. Fort otaczały trupy i szczątki łodzi, lecz jakby właśnie dlatego atakowali coraz gwałtowniej. Tymczasem na stałym lądzie oddziały Olema wycofały się aż za nasyp, okopały się i podjęły walkę wręcz, nie ustępując dalej ani na krok.

– Pułkownik tu jest! – krzyknął ktoś.

Vlora zmusiła się do zejścia z umocnień, choć po drodze na plac apelowy musiała mocno opierać się na poręczach i w ogóle ledwie była w stanie unieść ciężar ciała. Główną bramę otwarto dosłownie na moment, a Olem wszedł do środka, z obu stron podpierany przez żołnierzy. Na twarzy miał krew, zgubił gdzieś kurtkę mundurową, jedno ramię opierał na temblaku. Podbiegła, zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła go mocno.

– Raportuj! – szepnęła.

– Jeszcze żyję. – Olem chrząknął. – Major Supin został przy komendzie, ma rozkaz utrzymać nasyp za wszelką cenę. Na otchłań, ale chce mi się palić! Woreczek z tytoniem przesiąknął krwią Dynizyjczyków.

– Przynajmniej nie twoją. – Vlora powstrzymała niespodziany szloch. Nie wiedziała, skąd się właściwie wziął: ze strachu, że widzi swojego mężczyznę w takim stanie, czy może radości, bo czuje się on zdecydowanie lepiej, niż wygląda?

– Ano nie. Moja przemoczyła bibułki. – Pułkownik zdjął ramiona z barków żołnierzy, odesłał ich gestem, bardzo ostrożnie stąpnał na kontuzjowanej nodze, pokuśtykał do ławeczki i opadł na nią z ulgą. Vlora zajęła miejsce obok niego. Uznała, że też zasłużyła na chwilę odpoczynku.

– Wyglądasz tak źle, jak ja się czuję – westchnęła.

Olem przyglądał się jej uważnie.



– Te okręty na pełnym morzu to twoja robota?

Przytaknęła. Pułkownik chwycił ją dłonią pod brodę, zmusił, by spojrzała mu w oczy. Obserwował w skupieniu przez długą chwilę.

– Doznałaś szoku – orzekł.

– Nic mi nie jest. – Olem zapewne miał rację. Wywołanie wybuchu tej ilości prochu zawsze ma konsekwencje, nawet dla kogoś z dużym doświadczeniem.

– Nie rób tego więcej. Skutki mogą być śmiertelne.

– A wiesz – powiedziała Vlorra z nadzieją, że zabrzmiałoby to jak żart – że ja tu jestem magiem prochowym?

– A kiedy myślałaś jaśniej niż teraz, prosiłaś mnie, i to w niewybrednych słowach, żebym nie pozwalał ci na takie zabawy. Magazyn prochu na okręcie wojennym to nie jest byle co.

Vlorra odwróciła głowę. Wolałaby, żeby Olem nie przejmował się nią aż tak. Nie teraz, kiedy liczy się walka, nie troska. Na żale będzie czas później.

– Przecież żyję – powiedziała. – Nie zrobiłabym tego, gdybyśmy nie potrzebowali pomocy. Jak to tam wygląda?

Drgnęła. Armatnia kula rozbiła fragment muru po północno-wschodniej stronie, wyrzucając w powietrze kamienne odłamki i ludzkie ciała. Niemal natychmiast w wyłomie pojawili się napastnicy, ale strzelcy wyborowi uprzedzili ich, wypełniając go bagnetami.

– Nie najlepiej – przyznał pułkownik. – Strzelcy jeszcze jakoś się trzymają, ale garnizon dostał straszne baty. Uginają się i nawet nie mam im tego za złe. Przekłęci Dynizyjczycy powinni zacząć się wycofywać już przed godziną, ale nie, nadal atakują.

Rzeczywiście, na ich oczach dynizyjscy muszkietrzy niezmordowanie usiłowali opanować wyłom i dostać się do fortu, choć wszyscy po kolei padali pod ciosami strzelców wyborowych.

– Magia – powiedziała Vlorra.

– Jesteś pewna?

– To nie może być nic innego. Nikt nie jest taki dzielny albo taki głupi. Nikt. Norrine twierdzi, że nie widziała ani jednego

Dynizyjczyka uciekającego z pola bitwy. Moim zdaniem to Kościane Oko. – Udało ci się go znaleźć?

– Próbowałam, uwierz mi. Okręt Ka-sediała dzielą od brzegu trzy mile. Dwa Strzały potrafiłyby strzelić na tę odległość. Ja nie umiem.

Olem skrzywił się przeraźliwie.

– Ale nie mamy pod ręką Taniela. Czy ten Ka-sediał pracuje sam?

– Wyczułam kilkoro innych Kościanych Oczu. Udało mi się zabić dwóch. Nadal szukam trzeciego. Jeśli nie złamiemy woli walki tych sukinsynów, przegramy.

– Środki mają raczej niewielkie – zauważył pułkownik z nadzieją w głosie. – Połowa ich armady albo spoczywa na dnie oceanu, albo tam spieszy. Łodzi też zostało im niewiele.

– Wystarczy, żeby przeszli po naszych głowach, są tego blisko.

Na murze pojawił się kolejny Dynizyjczyk. Vlorze serce podeszło do gardła, bo tym razem to nie był zwykły żołnierz piechoty, lecz człowiek-smok w skórze, potężny, otoczony aurą brutalnej siły męczyzna uzbrojony w długi, pozornie delikatny miecz. Zabił kilku strzelców wyborowych, zanim Vlorza zdążyła sięgnąć po pistolet, nabiła i wymierzyła. Napastnik wypadł przez wyłom, odrzucony gradem kul wystrzeliwanych z bardzo małej odległości. Ale i tak wyrządził więcej zniszczeń niż dwudziestu regularnych Dynizyjczyków.

– Muszę wracać. – Vlorza wstała powoli i chwiejnie. Olem chwycił ją za rękę.

– W twoim stanie możesz tylko przeszkadzać.

– Zadaniem dowódcy jest nie tylko wydawanie rozkazów. Musi być też widoczny.

Udało się jej doczłapać do schodów wiodących na blanki i zatrzymała się gwałtownie, bo powietrze przeszył niehumaniczny jęk, odbijający się echem nad zatoką, tak przeraźliwy, że przyprawiający o drżenie. Vlorza zignorowała ból, zażyła dodatkową porcję prochu, zmusiła się, by wejść wyżej... a to, co zobaczyła, zaparło jej dech w piersiach.

Płonęła przeszło połowa okrętów zacumowanych w porcie, w zatoce chmura czarnego dymu już sięgała horyzontu. Ale nie to przykuło uwagę Vlory. Co najmniej połowa ogarniętych ogniem jednostek nie stała zacumowana przy nabrzeżu, lecz dawała się unosić na pełne morze falą odpływu. Vlora przetarła oczy, bo powątpiewała w ich świadectwo. Dostrzegła małe z tej odległości postacie marynarzy biegających po pokładach i usiłujących gasić pożary.

– Co, na ot... – Z otwartymi ze zdumienia ustami Vlora patrzyła, jak okręt, buchający czarnym dymem z dwóch płonących żagli, z pożogą ogarniającą pokład, zazgrzytał nagle, zajęczał, wykonał szalony zwrot, przeciął dziobem zatokę, aż znalazł się na odległość wyciągniętej ręki od fortu. Płynął, miażdżąc łodzie. Dynizyjczycy wyskakiwali z nich i natychmiast tonęli, bo pod wodę wciągał ich ciężar zbroi. Niewielka grupa marynarzy walczyła dzielnie, by utrzymać kierunek, a na wysokiej rufie, na szeroko rozstawionych nogach stał Vallencian. Walczył ze sterem, śmiejąc się jak szaleniec.

Jego statek szybko minął twierdzę i z niepokojącą prędkością opływał właśnie główki falochronów. Za nim płynął drugi i trzeci, ale z czwartego załoga już skakała do wody, bo na nim ogień wymknął się spod kontroli. Porzucony wrak szybko zdryfował, uderzył w pirs i zatonął.

– Na otchłań, co oni wyrabiają?

Vlora spojrzała na stojącego obok niej żołnierza.

– Lodowy Baron poświęca swoją flotę, by wygrać nam bitwę.

Przypomniała sobie, jak wspomniał o pływach. Zacisnęła dłonie w pięści. Vallencian i jego marynarze nie wrócą na ląd, nie ma sposobu, bo nawet gdyby wyskoczyli we właściwej chwili, odpływ wyniosłby ich na pełne morze. Musieli o tym wiedzieć. W pełni świadomości podjęli się samobójczej misji.

Resztką dynizyjskiej flotyli natychmiast otworzyła do nich ogień ze wszystkich dział, ale nie przyniosło to żadnych skutków. Cele i tak płonęły, co czyniło z nich zaledwie pływające tarany. Statek Vallenciana uderzył w jeden z wielkich okrętów, któremu przez całe

popołudnie udawało się uniknąć ostrzału artylerii Fort Nied. Uderzeniu towarzyszył przeraźliwy, straszny wizg, jakby setka demonów drapała pazurami o zbocza otchłani, próbując się z niej wydostać. Splecione wraki tonęły, ludzie Lodowego Barona i Dynizyjczycy skakali do wody.

Drugi statek Vallenciana zgruchotał dziób wrogiego okrętu, a trzeci rufę i ster kolejnego.

Walka ustała, przeciwnicy jak jeden mąż śledzili te straszne zmagania. Lady Krzemień zatrzymała się przy samym murze, wystrzeliła z pistoletu do dynizyjckiego oficera z jednej z ocalałych łodzi i potrząsnęła głową, bo poczuła, jakby coś w niej pękło.

Najpierw myślała, że to jakiś fizyczny uraz, kontuzja, złamanie kości, zerwanie ścięgna, dużo złego może przytrafić się komuś w jej stanie. Nie czuła jednak bólu, więc rozejrzała się, szukając źródła tego uczucia. Dopiero po kilku chwilach zrozumiała, co się zmieniło.

Szeregi Dynizyjczyków, walczących przez cały dzień, dopiero teraz zaczęły się łamać.

Nie była to jakaś dramatyczna zmiana. Powoli, jak ogień chwiejący się na coraz silniejszym wietrze, zachwiała się i ich determinacja. Nie nacierali tak zdecydowanie, bojowe okrzyki cichły. Zapanowała równowaga, przez moment walka wydawała się nawet gwałtowniejsza, lecz nagle tam, gdzie żołnierze Olema rozpaczliwie bronili się zza nasypu, Vlorę dostrzegła pierwszego Dynizyjczyka odwracającego się, rzucającego muszkiet i biegnącego w stronę plaży. Za tym przykładem poszli następni, a potem wiatr zdmuchnął płomień.

Dynizyjaska armia uciekała.

Strzelcy wyborowi i żołnierze miejskiego garnizonu złapali drugi oddech. Ruszyli w pościg. Dopadli przeciwnika na plaży. Część nieprzyjacielskich żołnierzy usiłowała uciec w niewielu pozostałych na brzegu łodziach, jednak większość szybko uświadomiła sobie, że nie ma dokąd się wycofać i ostatni raz spróbowała stawić opór, ale na to zabrakło im czasu. Strzelcy zaatakowali ich i dosłownie wpędzili do morza.

Lady Krzemień widziała, jak napastnicy toną w swoich ciężkich zbrojach, jeden po drugim, aż ofiary można było liczyć w dziesiątkach. Nie chciała nawet myśleć, jak straszna jest taka śmierć. Spojrzała na szczątki statku Lodowego Barona. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że miną dni, zanim będzie w stanie przeprowadzić akcję ratunkową.

Mimo to i przeciw wszystkiemu jakimś cudem tę bitwę jednak wygrali.



Styke wyciągnął karabin jedną ręką, celował krótko, ściągnął spust. Niemal natychmiast wyjechał z obłoku prochowego dymu, a w uszach brzmiało mu echo palby, którą lansjerzy i kirasjerzy oddali w kierunku dynizyjskiej piechoty.

Dynizyjczycy momentalnie przyjęli szyk obronny. Odpowiedzieli salwą na rozkaz. Poczul, jak kula rozrywa mu mięśnie lewego ramienia, odepchnął od siebie falę mdlącego bólu, poruszył barkiem, by sprawdzić, czy jest w stanie walczyć. Gdzieś tam z tyłu rżały przeraźliwie i padały konie, on zaś, nie oglądając się, schował karabin, chwycił lancę, wymierzył ją w pierwszy nieprzyjacielski szereg, w którym ziały już widoczne dziury.

Amrec przeskoczył ранego Dynizyjczyka. Lanca przeszła na wylot przez gardło jednego przeciwnika, zmiażdżyła twarz następnego. Trzymał ją mocno i mierzył pewnie, ale pękła szybko jak zapalka. Cisnął odłamkiem w żołnierza zamierzającego się do wbicia bagnetu w pierś konia, wyrwał z pochwy ciężką szablę, machnął z taką siłą, że odciął głowę dynizyjskiego oficera.

Zachęcał Amreca, bodąc jego boki kolanami, usiłował zachować impet, dzięki któremu przebił się przez pierwsze osiem szeregów piechoty. Stał naprzeciw tych, którzy nie dostali jeszcze rozkazu „mierz”. Próbowali powstrzymać go rozpaczliwie, nieskoordynowanie, podczas gdy ich dowódcy wykrzykiwali spóźnione rozkazy.

Styke zaryzykował rzut oka przez ramię. Szakał utrzymał się tuż za nim, podobnie jak chorąży Strzelców Wyborowych, ale Ibana i bardzo wielu z jego pozostałych przy życiu lansjerów znikli gdzieś w bitewnym zamęcie. Zgrzytnął zębami, wychylił się z siodła, ciął kolejnego przeciwnika pod pachą, uniósł ostrze nad głowę.

– Naprzód, psy! – ryknął. – Do boju!

Kawaleria nie dała się powstrzymać. Styke dostrzegł Uprzywilejowanego z uniesionymi rękami w białych rękawicach. Twarz miał przewiązaną chustą, by chronić się przed dymem spalonego prochu. Pułkownik pchnął wierzchowca w jego kierunku, zamierzał zabić go, zanim tamten wyrządzi prawdziwe szkody, ale nie zdążył, bo mag spadł z siodła, ugodzony karabinową kulą w pierś.

Dwa Strzały nie pozwalał sobie na chwilę odpoczynku.

Styke parł przed siebie, nie dawał się zatrzymać. Amrec skakał przez przeszkody i wierzgał z wdziękiem gurlańskiego konia wyścigowego. Przełamali jeszcze kilka szeregów piechoty i nagle byli wolni, a przed nimi rozciągały się pola. Przebili formację wroga, znaleźli się na jego tyłach. Styke zawrócił w miejscu w sam czas, by dostrzec, jak z chaosu wyłania się kilkuset jego jeźdźców.

Obejrzał się w lewo i w prawo. Wielką satysfakcją sprawił mu krótki błysk widoczny na tle chmury prochowego dymu, to Czarne Kapelusze i ich Uprzywilejowani nacierali na wroga z flanki. Jego taktyka okazała się skuteczna, przynajmniej tak się w tej chwili wydawało. Nieprzyjaciel musiał dzielić uwagę między atakującą kawalerię i kłusującą mu skrzydła lekką jazdę, nie dysponował już także Uprzywilejowanymi, a więc nikt nie mógł odpierać ataków Uprzywilejowanych Czarnych Kapeluszy.

Policzył do czterdziestu, by dać reszcie swych ludzi szansę na przebicie się do niego, a potem zakręcił szablą nad głową.

– Formować się! – zakrzyknął i natychmiast zaszarżował. Uderzył na tylne szeregi Dynizyjczyków, zanim ci zdążyli stanąć w szyku do odparcia tego ataku. Bił się teraz z nieprzyjacielem niezdolnym uporządkować swoich szeregów, zmuszonym do walki z nim

i magią. W samym środku tego chaosu dostrzegł Ibanę w zakrwawionym mundurze, z karabinem w jednej ręce i krótkim mieczem w drugiej. Uformowała luźny okrąg z kawalerzystów, którzy w szarży stracili konie. Dynizyjczycy właśnie rozrywali to koło.

Natychmiast pospieszył jej z pomocą. Otrzymał pchnięcie w udo w chwili, gdy był już niemal u celu. Ból był dojmujący, przeszywający; Styke wyrwał muszkiet z ręki zaskoczonego piechura, wznosił w powietrze i spuścił żołnierzowi na głowę z taką siłą, że aż pękło łoże. Kolejny bagnet omal nie wybił mu oka, a jednocześnie Styke dostał w policzek kolbą jak pałką. Zobaczył gwiazdy, odchylił się do tyłu, machając szablą na oślep.

Błyskawica uderzyła blisko, omal nie zmieniła jego i Amreca w kupkę popiołu. Za nią przyszedł płomień, kolumną grubości ciała mężczyzny spadł z nieba i rozbiegł się na boki, mknąc zygzakiem przez szeregi Dynizyjczyków. Piechota w jednej chwili ugotowała się w swych zbrojach, Styke omal nie udusił się smrodem płonącej skóry i włosów. W jednej chwili spieszonym lansjerom zaglądała w oczy perspektywa klęski i śmierci, w następnej... nie mieli z kim walczyć.

Obrócił konia, by oszacować sytuację. Czarne Kapelusze poniosły wielkie straty, lecz mimo to udało im się objechać dynizyjskie skrzydła. Wyszli na ich tyły. Jeden z ich Uprzywilejowanych krwawił z rany postrzałowej, lecz obaj poruszali urękawicznionymi palcami, siejąc zagładę swoją magią. Toczyli piorunami i ogniem od centrum, w którym stał on, na zewnątrz, unicestwiając oddział napastników zdumiewająco szybko i skutecznie.

Nie spuszczał z nich oka, Styke ześlizgnął się z siodła. Podszedł do Ibany. Klęczała przy leżącym na wznak, wijącym się z bólu strzelcu wyborowym. Podtrzymała głowę chłopaka, któremu ostrze niemal odcięło lewą rękę przy ramieniu. Tu konieczna będzie amputacja.

Rozejrzał się. Przez chwilę wydawało mu się, że może go zemdlić od nagłego przyływu euforii. Wszechobecna woń śmierci, wiatr we

włosach, krew na ostrzu szabli... to dzięki nim czuł, że żyje. Nic nie zastąpi tego uczucia. Przypomniwał sobie strażników w obozie pracy i tych wszystkich ludzi, którym pozwalał bić się i poniżać tylko dlatego, żeby zasłużyć na zwolnienie warunkowe.

– Nie powinienem spędzić tam tyle czasu. – Odetchnął głęboko powietrzem przesyconym magią i śmiercią. – Powinienem próbować wyrwać się stamtąd dawno temu.

– O czym ty mówisz? – zdumiała się Ibana.

Styke uniósł głowę. Patrzył, jak przez otaczający ich chaos bitwy przedziera się Taniel Dwa Strzały, spieszony, walczący bagnetem. Na oczach lansjera pokonał kompanię dynizyjskiej piechoty, dokonał tego sam, bez niczyjej pomocy. Styke'owi jego sposób walki, oszczędny i pełen wdzięku, przypominał sposób walki lady Krzemień, choć Dwa Strzały poruszał się tak szybko, że było to wręcz przerażające.

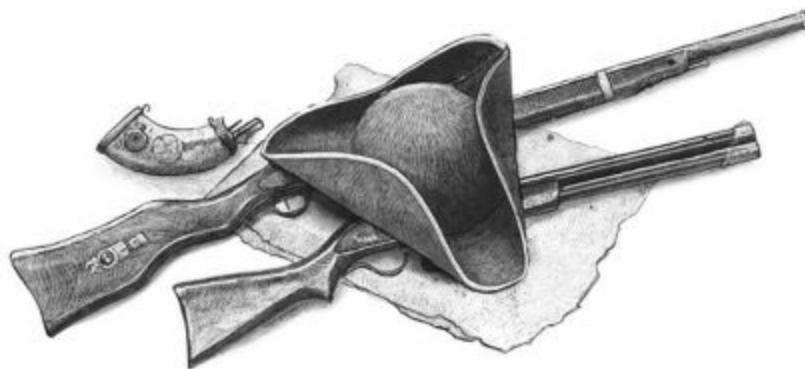
– Jeśli nie możesz ich przełamać... – powiedział.

– ...wdepcz w ziemię ich pokruszone pod kopytami kości – dokończyła Ibana. Nie odrywała wzroku od rannego strzelca. – Wygraliśmy?

Uprzywilejowani Czarnych Kapeluszy, to, co zostało z kawalerii, i Taniel wspólnie dorzynali pokonanych. Była to najlepsza ilustracja tego, czego jest w stanie dokonać magia na polu bitwy. Gdyby Dwa Strzały nie przechylił szali, to kości Styke'a i jego żołnierzy kruszyliby w tej chwili Dynizyjczycy i wkopywali w ziemię.

– Tak. – Styke wyjął nóż. Pochylił się nad rannym żołnierzem, chwycił mocno za ramię. – Zagryź pas – poradził chłopcu. – Będzie bolało, ale przynajmniej cięcie zrobię ci czyściutkie. Wygraliśmy.





## 64 ROZDZIAŁ

**V**lora stała na dziobie łodzi, okrążającej powoli mury Fort Nied. Powolne uderzenia wiosel niemal nie pozostawiały śladów na powierzchni wody, poruszały tylko unoszące się w niej trupy w zielononiebieskich mundurach, przesiąkających nadal sączącą się z ran krwią. Niedaleko na bakburcie nagle wystrzeliła fontanna, to reki rozszarpywały martwych Dynizyjczyków. Siedzący tuż za Vlorą strzelec wyborowy wstał, przyłożył kolbę karabinu do ramienia i wystrzelił. Przez kilka chwil drapieżniki rzucały się jeszcze gwałtowniej, a potem wszystko ucichło, tylko powolny prąd niośł zwłoki ku brzegowi.

Vlora doskonale czuła swoje ciało, obolałe od mniej lub bardziej poważnych obrażeń. Zastanawiała się, czy coś podobnego czuje ktoś, kto został przewrócony i bezlitośnie stratowany. Sięgnęła do kieszeni po ładunek prochowy, ale użyła tylko szczyptę. Szwy i rana od szrapnela na nodze przestały pulsować.

– Do niczego już się nie nadaje – powiedział jeden z siedzących za nią żołnierzy.

– Jestem innego zdania – zaprotestował drugi. – Możemy odbudować mur, nie naruszając jego konstrukcyjnej integralności.

– Oszalałeś? Nie mamy dostępu do magii, która w przeszłości uczyniła go tak potężnym. Moim zdaniem należy zrównać fort z ziemią, a potem postawić nowy. Zatrudnić specjalistów, murarzy najlepszych, jakich tylko da się kupić. Potrafimy zbudować go lepiej. Mamy do dyspozycji współczesne techniki, więc prawdę mówiąc, w ogóle nie potrzebujemy magii. I bez niej nasze fortyfikacje oprą się ostrzałowi bezpośredniemu.

– Za wiele czytasz tego idioty Yaddela. Współczesne budowle są niesamowite, zgoda, ale nie oprą się magii.

– Yaddel to wizjoner!

– Yaddel to szarlatan!

Zaintrygowana Vlorą przyjrzała się umocnieniom z większą uwagą. Trzy całkowite wyłomy i co najmniej piętnaście poważnych uszkodzeń, a ci tam inżynierowie z pewnością widzą więcej, bo mają wykształcenie i praktykę. Ich kłótnię skwitowała cichym westchnieniem i przestała jej słuchać. Zajęła się obserwacją co najmniej trzydziestu krążących po zatoce łodzi. Ich załogi wydobywały trupy sieciami i bosakami, na każdej płynął też strzelec, którego zadaniem było odpędzać, a jeśli się da zabijać rekiny.

Na oceanie, daleko poza zasięgiem niewielu pozostałych miastu dział, a także poza zasięgiem pływającego śmiecia, będącego kiedyś ich flotą, kotwiczyły ocalałe statki Dynizyjczyków. Widziała marynarzy kręcących się po pokładach, dokonujących koniecznych napraw. Wielkich okrętów wojennych naliczyła osiem, towarzyszyło im dwa razy tyle fregat wsparcia. Choć wczoraj pokonano ich tak zdecydowanie, Ka-sedial do tej pory nie dał znaku życia. Nie prosił o pokój. Nie prosił nawet o rozejm. Nie proponował wymiany rannych i jeńców. Dynizyjczycy czekali. Milczeli, a Vlorą nie miała oporów, by przyznać przed samą sobą, że to milczenie ją niepokoi.

Spróbowała o tym zapomnieć, przynajmniej na chwilę. Właśnie wygrała krwawą bitwę i choć poniosła znaczne straty, pozwoliła sobie na uśmiech. Ten melancholijny nastrój minie jej za kilka dni, powróci konieczność zajmowania się praktycznymi problemami

codziennego życia dowódcy armii: zaopatrzenie, zakwaterowanie, żywność, a przede wszystkim konieczność uzupełnienia stanu osobowego do pełnej brygady.

Nad portem nadal unosił się dym tłących się resztek statków kupieckich. Ich też ocalało niewiele, także zaledwie kilka nadawało się do remontu, co oznaczało bankructwa mniejszych i większych armatorów. Ale to już nie był, na szczęście, jej problem.

Rozglądała się, rozmyślając o tym i o owym, gdy nagle coś przyciągnęło jej wzrok. Na brzegu, niedaleko grobli, po której biegła droga łącząca twierdzę ze stałym lądem, leżało dość niezwykle ciało.

– Tam – rozkazała wioślarzom, wskazując im kierunek wyprostowaną ręką.

– Ależ, pani generał – zaprotestował jeden z inżynierów – nie skończyliśmy jeszcze inspekcji fortu.

– Wysadzicie mnie na brzegu, a potem możecie dalej wykonywać swoje obowiązki. Do wieczora chcę mieć kompletny raport. Od każdego z was.

Pod trupami i szczątkami kołyszącymi się na powierzchni w zatoce buszowały rekiny, więc zanim wyskoczyła z łodzi, Vloro odczekała, aż wpłynie ona na przybrzeżną płytcinę. W kilku krokach znalazła się przy zwłokach. Przyklękła.

Przed nią leżał ogromny mężczyzna o bujnej czarnej, mokrej brodzie, ubrany w jaskrawy strój, z resztkami niedźwiedziego futra przyklepionymi do ramion. Twarz miał śmiertelnie bladą, a jego pierś się nie poruszała.

– A niech cię otchłań, Vallencian! – Choć dziś widziała wiele ofiar wojny, dopiero teraz dotarła do niej w całej pełni straszna prawda tego, co się zdarzyło. – Byłeś chyba jedynym uczciwym człowiekiem w całym tym przeklętym mieście.

Zawołała dowódcę oddziału z miejskiego garnizonu, segregującego spoczywające na kamienistej plaży trupy według barw umundurowania. Podszedł do niej sierżant o płaskiej, ohydnej facjacie i ogolonej na łyso głowie. Na ramieniu niósł bosak.

– Co mogę dla ciebie zrobić, pani?

– To jeden z moich ludzi. Chcę, żeby trafił do kostnicy wraz ze strzelcami wyborowymi.

Podoficer ocenił sytuację jednym rzutem oka.

– Tak jest, pani generał, ale to chyba nie najlepszy pomysł, ta kostnica.

– Dlaczego?

Sierżant wyjął z kieszeni lusterko, przyklęknął, przysunął je do ust leżącego. Po chwili szkiełko pokryło się mgłą.

– Bo ten człowiek żyje.

Vlora poczuła wielką ulgę. Nareszcie jakaś dobra wiadomość!

– Ale ledwie żyje! Sprowadzić mi tu natychmiast lekarza wojskowego!

Sierżant pobiegł wypełnić rozkaz. Vlora pochyliła się nad Lodowym Baronem. Nie była pewna, czy naprawdę oddycha, ale gdy przyjrzała mu się dokładniej, mrużąc oczy, zobaczyła, że jego pierś rzeczywiście unosi się i opada.

– Staranowałeś statkiem okręt Dynizyjczyków – powiedziała do niego. – Rozbiłeś w drzazgi oba, a potem zdołałeś jeszcze dopłynąć do brzegu mimo odpływu. Jesteś niezniszczalny, wiesz?

Medyk garnizonowy wraz z sanitariuszami pojawił się bardzo szybko. Przede wszystkim wypełnił płuca Vallenciana powietrzem, używając do tego szklanej rurki, a potem na noszach przeniesiono barona do Fort Nied. Vlora pozostała na plaży. Powtarzała sobie, że powinna trwać przy boku Lodowego Barona, nie odstępować go na krok, aż dowie się, że jego stan się polepszył, ale nie potrafiła znieść myśli, że jeśli zdarzy się najgorsze, będzie patrzyła, jak jej wybawca kona.

Cienie znacznie się już wydłużyły, gdy najpierw poczuła znajomy zapach tytoniu, a po długiej chwili usłyszała kroki. Olem szedł po skalistym brzegu niezbyt pewnie, rękę miał na temblaku i bandaż na głowie.

– Miło mi widzieć cię na nogach – przywitała go.

– A mnie niemiło widzieć na nogach ciebie – odparł Olem. – Powinnaś odpoczywać.

– Mam sporo roboty.

– Tak? Na przykład stać i patrzeć na trupy?

Westchnęła z irytacją. Chciała ująć dłoń Olema, znaleźć jakiś przytulny hotel gdzieś na płaskowyżu, spędzić w nim dwa nieprzerwane tygodnie, wykurować się w ramionach kochanka, uleczyć jego.

– Popłynęłam z inżynierami sprawdzić stan umocnień od strony morza.

– I?

– Nie jest dobrze. Jakies wieści o Dynizyjczykach?

– Nic. Miałem nadzieję, że zauważyłaś może coś, co by świadczyło, że dojrzeli do rozmów.

Vlora odwróciła się i spojrzała na ocean. Okręty Dynizyjczyków stały na kotwicach. Nieruchome, ciągle wydawały się rzucać wyzwanie resztkom floty Landfall: no proszę, spróbujcie, czekamy.

– Nic o tym nie wiem.

– Mamy już raport o stratach?

– Trzy tysiące pięciuset rannych, siedmiuset zabitych.

Vlora nieco się ożywiła.

– Jest o wiele lepiej, niż się spodziewałam!

– To dane tylko Strzelców Wyborowych.

– Och. – Lady Krzemień walczyła z mdlącym rozczarowaniem.

A więc zaledwie kilkuset jej żołnierzy wyszło z bitwy bez szwanku. Ranni będą umierać: na choroby, z zakażenia, od utraty krwi, a ci, którzy w końcu wydobrzeją, nieprędko odzyskają zdolność bojową.

– Garnizon?

– Dostał straszne baty – powiedział Olem powoli. – Mają mniej rannych, ale około ośmiu tysięcy zabitych. Nie potrafią walczyć w takich bitwach.

– Nikt nie potrafi walczyć w takich bitwach. – Vlora pokręciła głową. – Ja sama w życiu czegoś takiego nie widziałam, wojsk niedających się przełamać, choćby nie wiem ilu z nich zabito. Rozmawiałam dziś z Ka-poel. Twierdzi, że to definitywnie sprawa magii krwi i że Kościanych Oczu było z pewnością kilkoro. Jeden

z głównych, ważniejszych, musiał być na okręcie, który staranował Vallencian. To złamało ich koncentrację.

– No to jednak zagadka rozwiązana.

– Wcale mi się nie podoba to rozwiązanie. Cała moja taktyka walki, o, na otchłań, cała taktyka walki wojsk adrańskich! opiera się na przełamaniu szyków gorzej wyćwiczonego żołnierza. Jak wygramy z przeciwnikiem, który nie ustępuje?

– Wczoraj zwyciężyliśmy.

– Ledwie, ledwie.

– Czy Ka-poel potrafi użyć takiej samej magii?

– Jest wystarczająco potężna, to z pewnością. Ale nie przeszła formalnego treningu. Sama nauczyła się wszystkiego, co umie. Uświadomiła mi dobitnie, że wspieranie dziesięciu tysięcy walczących to nie jest coś, co by przewidziała. A w dodatku zajmuje się teraz wyłącznie boskim kamieniem.

– I? – Olem strzepnął popiół z papierosa, stęknął i z wysiłkiem usiadł obok Vlory na piasku.

– I co? Nie jesteśmy Uprzywilejowanymi, ani ty, ani ja. Żaden z tych dwóch, których zostawiły Czarne Kapelusze, nawet się do niego nie zbliży. Nie wiemy, ani co to jest, ani co potrafi. Osobiście wolę o tym nawet nie myśleć. – Vlora podparła głowę dłońmi. Przetarła oczy. – A skoro już jesteśmy przy agentach...

– Nie wiemy, gdzie są. Wysłałem konnych na poszukiwania. Moim zdaniem Lindet wycofała się na bezpieczną odległość. Wróci, kiedy dowie się, że obroniliśmy miasto.

– W towarzystwie tysięcy uzbrojonych i wściekłych ludzi. – Vlora zacisnęła zęby. Nie była pewna, czy stać ją na walkę o władzę akurat teraz, po zakończeniu bitwy. – Raczej ją zabiję, niż dopuszczę, by przejęła kontrolę nad boskim kamieniem.

– Czy ona o tym wie?

– Mniej więcej coś takiego powiedziałam jej, kiedy chciałam ją aresztować.

– To możemy sobie darować czynnik zaskoczenia. – Olem strzelił niedopałkiem w stronę morza. – Widziałem żołnierzy, jak nieśli

Vallenciana do twierdzy. Powiedzieli mi, że żyje.

– Na razie.

– Idę sprawdzić, co z nim – zdecydował. – Dołącz do mnie, gdy znudzi ci się siedzieć tu i przyglądać tej apokalipsie.

Vlora pomogła Olemowi wstać, a potem odprowadziła go spojrzeniem, zmierzającego do Fort Nied. Próbowała uspokoić rozedrgane emocje. Siedmiuset zabitych, zbyt wiele nazwisk do zapamiętania, ale odczyta je z listy, zanim martwi spoczną w grobach. Być może w ostatniej chwili życia przeklinali ją za to, że postawiła ich naprzeciw Dynizyjczyków?

Znali ryzyko, powiedziała do siebie. Brali za nie pieniądze. Nie wysłała na śmierć bandy początkujących entuzjastów wojaczki, tylko najlepszych żołnierzy na świecie. Tylu ich przeżyło właśnie dlatego, że byli najlepsi.

Na plaży zapłonęło ognisko z wyrzuconego na brzeg drewna. Załoga garnizonu zaczynała palić trupy najeźdźców. Dla Dynizyjczyków płomień, dla strzelców wyborowych pożegnanie i oznaczona mogiła. Tak szanuje się zwycięzców, którzy nie dożyli zwycięstwa.

Bo to oni obronili to milionowe miasto.



## 65 ROZDZIAŁ

Styke leżał na wznak w długiej trawie porastającej podmokłą łąkę równiny zalewowej. Wpatrywał się w niebieskie, bezchmurne niebo, rozmyślał o wydarzeniach ostatnich dwóch tygodni. Gdzieś niedaleko po jego lewej stronie Ibana wrzeszczała na kogoś. Nie miał pojęcia, na kogo, skoro wszyscy lansjerzy albo zginęli w bitwie, albo zajęci byli w tej chwili rabunkiem broni z magazynów Czarnych Kapeluszy. Zabawiał się wyobrażaniem sobie, jaką minę zrobiłby Jes, gdyby wiedział, ile nakradną, zanim jego ludzie wrócą do miasta, ale przerwał tę zabawę, bo mina Fidelisa Jesa pozostała mu na całą wieczność. Nadal widniała na głowie, która znajdowała się w worku przytroczonym do siodła Ibany.

Na tę myśl Styke po prostu musiał się uśmiechnąć. Bezgłowe ciało Jesa płonęło zapewne, anonimowe, na jednym z wielu stosów, rozpalonych na południe od miasta. Jedyne właściwy koniec dla człowieka, który całe życie poświęcił dwóm celom: by wszyscy go znali i wszyscy się go bali.

– Co cię tak rozbawiło?



Ibana. Stała nad Stykiem, patrząc na niego z góry, ręce oparła na biodrach i w ogóle nie wyglądała na szczęśliwą.

– Myślałem o Jesie.

– No jasne, to wszystko tłumaczy. A przy okazji, ten jego czerep zaczyna śmierdzieć. Co chcesz z nim zrobić?

– Czy byłoby wielkim nietaktem nabić go na ostrze lancy i jeździć tak po Landfall cały jutrzejszy dzień?

– Mnie to się akurat podoba. Ale mamy pewien problem.

Styke usiadł. Miał ochotę się zdrzemnąć, ale najwyraźniej to nie była właściwa chwila.

– Jaki problem?

– Zwyczajowa formacja Szalonych Lansjerów to trzystu ludzi. Wczoraj zaczęliśmy w dwustu czterdziestu ośmiu, a zostało nas sto pięćdziesiąt. Jak teraz uzupełnić stan oddziału?

– To twoja domena.

– Akurat, na otchłań! – Odeszła. Wróciła. Znow odeszła i znow wróciła, chodziła tak tam i z powrotem, aż wreszcie podjęła decyzję. – Wiesz, ci Strzelcy Wyborowi są nawet całkiem dobrzy.

– Nie jestem pewien, jak zareaguje lady Krzemień, jeśli dowie się, że rekrutujesz wśród jej ludzi, ale cokolwiek zrobi, ma moje błogosławieństwo.

– Może mi nagwizdać – zachnęła się Ibana.

– Chciałabyś się z nią zmierzyć?

– No... nie.

Styke przeciągnął się, aż trzasnął mu kręgosłup, i znow położył się na plecach. Zdjął pierścień. Bawił się nim, dokładnie oglądał każdą rysę i szczerbę, tak głębokie, że nie warto go było polerować.

– Tak też myślałem. Szukaj gdzie indziej. Powiedzmy... Co sądzisz o Czarnych Kapeluszach? Tych, którym pozwoliliśmy walczyć razem z nami? Idź do nich, pogadaj, może znajdziesz jakichś z charakterem. – Styke założył sygnet.

– Mogłabym przy okazji porozmawiać z ich Uprzywilejowanymi – powiedziała Ibana z namysłem. – Nie było ich wśród nas od czasu... Zapomniałam nawet jej imienia.

– Jain? Jaim? Też zapomniałem. Ale pamiętam, jaka była śliczna.

Ibana kopnęła go w żebra. Złapał się za nie i zaczął śmiać tak serdecznie, aż poczuł, jak puszczają nowe szwy na barku. Na koszuli pojawiły się plamki świeżej krwi.

Znów zapatrzył się w błękit horyzontu.

– A co ty właściwie tu robisz? – spytała Ibana.

– Nie znoszę smrodu palonych ciał.

Była to prawda, ale odpowiadał mu także spokój tej polany i to, że nad nią nie było ani jednego obłoczka. Po raz pierwszy od dziesięciu lat mógł po prostu wylegiwać się na słońcu i nic nie robić. A poza tym odniósł rany, wszystko go bolało i ledwie się poruszał.

– Ben!

Tym razem nie zdążył się podnieść. Celine rzuciła mu się w ramiona i przytuliła tak mocno, że aż poczerwieniała na buzi. Styke też ją objął, a potem uniósł za spodenki i posadził sobie na piersi.

– Przeżyłaś – powiedział cicho.

– Przeżyłam! – cieszyła się dziewczynka. – Sunin pozwoliła mi zabić człowieka!

Tym razem Styke usiadł bez problemu i tak nagle, że Celine stoczyła się na trawę.

– Co?!

Celine pozbierała się z ziemi. Energicznie skinęła głową.

– Trzymałam lancę i w ogóle. Przebiłam nią jego piegowaty policzek, widziałam, jak mózg wylatuje z drugiej strony. To było obrzydliwe.

Styke skoczył na równe nogi. Zignorował chichot Ibany, poszukał wzrokiem Sunin. Nie musiał długo wypatrywać, stała o rzut kamieniem i czyściła konia.

– Na otchłań, kobieto! Wzięłaś ją do bitwy? Pozwoliłaś jej kogoś zabić?

– Kiedyś musiała zacząć się uczyć walki. – Sunin nie pofatygowała się nawet odwrócić w stronę dowódcy.

– Ale może by poczekać, aż sama zdoła utrzymać lancę? Niech cię otchłań, miałaś pilnować, żeby nic się jej nie stało!

– Miałam ochotę kogoś zabić... A jej przecież nic się nie stało.

Styke tylko warknął wściekle. Ibana, zgięta w pół, zanosila się śmiechem. Położył jej but na ramieniu, pchnął i przewrócił. Nie przestawała się śmiać, chociaż twarz miała już całą czerwoną. Odwrócił się. Celine stała z podniesioną dumnie główką. Patrzyła na niego, jakby na coś czekała.

– Ty – powiedział, wymierzając w dziewczynkę palec. – Nie jestem z ciebie zadowolony. Nie powinnaś zabijać, nie w tym wieku.

– Tak? – spytała Celine wyniośle. – Ale zrobiłam to, a ty nic nie możesz na to poradzić. Jestem bohaterką!

– Kto tak mówi?

– Ty! Ubiłam wroga w bitwie. Powiedziałaś, że to czyni z człowieka bohatera. No to masz.

Ibana leżała bezwładnie z rozłożonymi na boki rękami. Pękała ze śmiechu.

– Złapała cię na twoje własne słowa, Benjaminie – wykrztusiła.

– Na otchłań, ja... – Styke opanował się, umilkł, zacisnął zęby. Ciekawe, co tata by jej zrobił, gdyby tu był i usłyszał taką nowinę, pewnie postawił duże piwo i zabrał do meliny narkotykowej. Pochylił się, poszukał czerwonego polnego kwiatka, kwitnącego o tej porze roku. Znalazł jeden, zerwał, zawiązał łądyżkę i włożył dziewczynce za ucho.

– W porządku – powiedział cicho. – Jesteś bohaterką. Ale obiecaj, że więcej nie pójdziesz już do walki.

Celine patrzyła pod nogi. Milczała.

– I nie pozwól się uczyć tej starej wiedźmie, dobrze? Sunin nie jest już w stanie trzymać lancy prosto. Sam będę cię trenował, a kiedy skończę, będziesz umiała zwyciężyć przeciwnika dwa razy większego od siebie i nawet się przy tym nie spocisz. – Celine rozpromieniła się, nie ukrywając radości. Przechyliła główkę, żeby kwiat był lepiej widoczny. Styke zaskoczył samego siebie, bo

pocałował dziewczynkę w policzek. – A teraz idź i kopnij Sunin ode mnie w kostkę. Mocno kopnij, pamiętaj.

Celine odbiegła. Styke zauważył, że Ibana przygląda mu się z dziwnie rozbawioną miną. Wesołość ta znikła, gdy tylko spojrzał jej prosto w oczy. Wstała.

– Widzę, że ma to wyglądać jak kiedyś, podczas poprzedniej wojny. Ja wykonuję czarną robotę, a ty wylegujesz się i tylko czekasz na kolejną potyczkę?

– Taki miałem plan, owszem.

Ibana tylko przewróciła oczami.

– To kiedy ma być ta następna bitwa?

Styke zastanawiał się przez chwilę.

– Nie jestem pewien – zdecydował. – Na razie trzymamy z lady Krzemień. Potrzebuje dobrej kawalerii i hojnie za nią płaci.

– Chodzi plotka, że tuż przed inwazją Dynizyjczyków próbowała aresztować Lindet.

On też słyszał tę plotkę. Czyniła ryzykownym pomysłem zaprzęgnięcia swoich wierzchowców do jej wozu i jeśli była prawdziwa, pozbawiała go ochrony przed Czarnymi Kapeluszymi, ale, z drugiej strony, sprawiała, że lubił Vlorę jeszcze bardziej.

– Więc tym bardziej nas potrzebuje, a lansjerzy mają wreszcie szansę zabicia paru Czarnych Kapeluszy. – Zmarszczył brwi. Dynizyjska flota nie wróciła przecież do domu, choć na stosach wokół miasta płonęły trupy ich żołnierzy. – Dynizyjczycy mają więcej niż jedną armię – powiedział cicho. – Te ich boskie kamienie nic mnie nie obchodzą, ale obchodzi mnie, że najechali mój kraj. Za to jestem na nich wściekły. Wrócą, a ja chcę być wtedy blisko i znów skopać im tyłki.

– Nie sądzisz, że lady Krzemień zaokrętuje się teraz ze swoim wojskiem i odpłynie do Dziewięciu?

– Nie wydaje mi się. Nawet gdyby w którymś z pobliskich miast znalazła otwarty port i miejsce dla swoich ludzi... Nie, moim zdaniem znalazła sobie sprawę, której nie zdradzi. Ten obelisk... – Styke spojrzał na wschód, gdzie wielki kawał kamienia leżał tam,

gdzie upadł podczas ataku Dynizyjczyków. – Jest w nim coś, co nastawia ją bardzo bojowo. Tym bardziej, że wściekle chcą go mieć i Lindet, i Dynizyjczycy. Na razie się jej trzymamy. – Poczł się nagle bardzo zmęczony. Poczł ciężar bitwy na karku, obudziło się też wspomnienie o tych, którzy jej nie przeżyli.

– Czy pan pułkownik Styke?

Styke podniósł wzrok. Przed nim stał mężczyzna w eleganckim uniformie Czarnych Kapeluszy ze Srebrną Różą przypiętą do piersi. Ten człowiek z pewnością nie walczył wczoraj wraz z nim. Lansjer sięgnął za siebie, dotknął rękojeści noża, który nosił za pasem na plecach.

– To ja.

– Wiadomość dla pana. – Czarny Kapelusze podał mu czystą, niezaadresowaną kopertę, jej woskowy gmerk też nie niósł żadnej informacji. Styke powąchał przesyłkę, wyczuł słaby ślad magii. Złamał pieczęć kciukiem.

*Bracie, jak rozumiem, przeżyłeś bitwę. Przyjmij gratulacje i podziękowania. Naród zaciągnął u ciebie i Strzelców Wyborowych wielki dług. Dług, który, piszę to z przykrością, nigdy nie zostanie spłacony. Lady Krzemień zdecydowała, że jesteśmy wrogami, a więc trzeba będzie ją usunąć.*

*Dynizyjczycy nie zrezygnują. Druga armada, równie wielka jak ta, która zaatakowała Landfall, wysadziła desant osiemdziesiąt mil na północ od miasta. Bardzo cię proszę, żebyś porzucił służbę u lady Krzemień i przybył do mnie, do Redstone. Odwołałam armię z pogranicza, ogłosiłam pobór. Zmiażdżymy dynizyjską inwazję, odbierzemy to, co należy do nas, nim zdarzy się coś bardzo złego.*

*Jeśli spotkasz Fidelisa Jesa, nie zabijaj go. Mam plany dotyczące was obu.*

List podpisany był prostym S.

Siostra.

Styke zwinął kawałek papieru, obrócił nim między palcami. Drgnął, bo list Lindet nagle strzelił płomieniem. Magiczny ogień pochłonął go w jednej chwili.

– Co to było? – zdumiała się Ibana.

Styke potarł pokryte popiołem dłonie, a potem je powąchał.

– Magiczna ochrona. Jej zadaniem było zniszczenie listu w kilka chwil po złamaniu pieczęci.

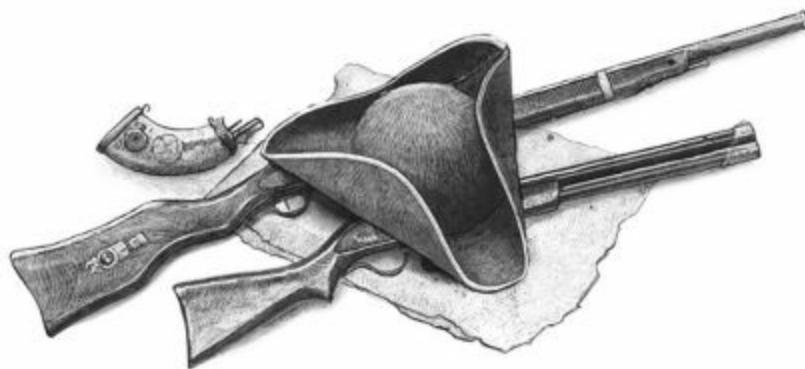
– A co w nim było?

Styke nie odpowiedział. Przyglądał się smugom popiołu.

– Dostarczysz odpowiedź? – spytał Czarnego Kapelusza.

– Oczywiście, panie pułkowniku. Lady kanclerz jej oczekuje.

– Doskonale. Ibano, daj, proszę, temu sympatycznemu młodemu człowiekowi worek, który wozisz przy siodle.



## 66 ROZDZIAŁ

**W**ięc twierdzisz, że to jeszcze nie koniec? – spytał Michel.  
Styke pokręcił wielką głową. Rozłożył ręce.

– Jeśli wierzyć Lindet, zmierza na nas cała armia. Mamy mniej niż tydzień.

Rozmawiali na równinie na południe od Landfall, zaledwie kilkaset jardów od miejsca ostatniego spoczynku wielkiej barki lądowej. Podczas bitwy uderzyła w nią zbłąkana magia, błyskawica, która niemal jej nie usmażyła. Zniszczyła koła, dla każdego było jasne, że obelisk ruszy w drogę wyłącznie pod warunkiem, że zbuduje się nową platformę.

Michel nie narzekał na samotność. Oprócz Styke'a tu, na równinie, byli przy nim lady Krzemień, Taniel i Ka-poel. Zastanawiał się, co za straszny życiowy pech rzucił go pomiędzy tych ludzi. Nie dla niego przecież wojownicy, magowie i oficerowie, podejmujący decyzje dotyczące bezpośrednio setek tysięcy ludzi. Powinien tkwić w cieniu, wzburzać wyłącznie fale tak małe, że niemal niewidoczne. Na takich falach właśnie płyną przecież dobre rządy.

Okazało się, że nie lubi stać na scenie, nawet tak małej jak ta. Wiedział, że gdzieś tam jest wielka sala, a w tej sali burmistrz i rada

starszych czekają, aż Vlora złoży im relację z właśnie zakończonej bitwy. Gdzieś tam jest lady kanclerz czekająca na wieści o magicznym kamiennym monolicie i wielkim mistrzu Czarnych Kapeluszy, który miał jej go dostarczyć.

– Nie obronimy miasta – powiedziała lady Krzemień. – Nie bez znacznych posiłków. Fort Nied nie wytrzyma kolejnego bombardowania, została nam mniej niż połowa sił. Czy Lindet dawała do zrozumienia, że ma zamiar wziąć czynny udział w wysiłku wojennym? – Chyba zdenerwowało ją, że to nie jej Lindet przekazała tę informację.

Styke tylko się skrzywił.

– Wycofuje się aż do Redstone. Zbiera armię. Wygląda na to, że spisała Landfall na straty. Pozwoli Dynizyjczykom zdobyć miasto, a potem wróci z jeszcze większymi siłami, prawdopodobnie zanim zdołają wykorzystać boski kamień.

– A oni wiedzą, jak go użyć? – spytał Michel. Nie pasował do towarzystwa, ale to nie znaczyło, że nie może zadawać pytań.

– Nie jesteśmy pewni. – Taniel spojrział na Ka-poel. Ta tylko demonstracyjnie wzruszyła ramionami. – Ten monolit leżał zagrzebany w ziemi niedaleko Landfall przez przeszło tysiąc lat. Wiedza mogła nie przetrwać tak długo, ale z drugiej strony nie wiemy, jak dobrzy są Dynizyjczycy w przechowywaniu wiedzy.

– Wiedzieli, gdzie jest – zauważyła Vlora.

– To wiedza z ich archiwów czy o odkryciu Lindet dowiedzieli się od szpiegów? – spytał Taniel. – Za mało o nich wiemy, ale podejrzewam, że zmieni się to znacznie szybciej, niżbyśmy chcieli.

Milcząca, niezwykle spokojna lady Krzemień wydawała się nieobecna.

– Przyjdą po obelisk – powiedziała cicho.

– Mam ochotę go im oddać – mruknął Styke.

– Nie ma mowy! – zaprotestowała niezwykle energicznie. – Po moim trupie! Chcą nowego boga, a ja na własne oczy widziałam, do czego zdolni są bogowie. Nie oddam im obelisku!

Ka-poel wykonała serię gwałtownych gestów.



– Możemy odbudować wóz, jeśli tylko będziemy mieli wystarczająco wiele czasu – przetłumaczył Dwa Strzały. – Profesor Cressel pomoże nam, jak sądzę. Ma obsesję na punkcie swojego odkrycia.

– Pytanie, po co. – Lady Krzemień spojrzała niezbyt przyjaźnie najpierw na Taniela, a potem na jego towarzyszkę. – Dokąd chcecie go zabrać?

– Nad brzegi rzeki Hadshaw. Przeniesiemy go na kilka zwykłych barek, popłynie na północ, a tam jest sporo kryjówek Palo, w których byłby bezpieczny. Mielibyśmy czas na badania.

– Nie powinno się tego badać!

Ka-poel zacisnęła wargi. Przechyliła głowę. Wystarczająco jasno wyraziła pytanie „dlaczego?”.

– Dlatego – wyjaśniła lady Krzemień – że byłaby to zabawa z czymś, czego nie rozumiemy. Ka-poel, jesteś potężna, ale to... to coś... potrafi tworzyć bogów. Nie zaufałamby sobie na tyle, by się tym bawić, i z pewnością nie ufam w tym względzie tobie.

Ka-poel zerknęła na nią gniewnie, ale Vlora jakby nie dostrzegła tego spojrzenia. Taniel westchnął.

– Więc co proponujesz? Mamy go zakopać z powrotem i mieć nadzieję, że następnym razem Dynizyjczycy go nie znajdą?

Michel nie mógł się już powstrzymać. Otaczali go ludzie należący do nielicznej grupy najsłynniejszych w świecie, a potrafili się tylko kłócić.

– Przecież to bardzo proste!

– Czyli? – spytał Styke.

– Zniszczmy to. Wysadźmy aż do samej otchłani. Czytałem gdzieś, że czarny proch jest dla Uprzywilejowanych żrący i że może nawet osłabiać ich magię. Dlaczego nie obłożyć monolitu całym prochem, którym dysponujemy, i nie zdetonować ładunku?

Zapadła długa, niezręczna cisza, a potem Ka-poel syknęła, Taniel westchnął z rezygnacją, na Styke’u zaś to stwierdzenie nie wywarło żadnego widocznego wrażenia. Lady Krzemień pokiwała głową z entuzjazmem.

– W porządku – ucieszyła się. – Zniszczymy boski kamień. Jeśli nie wy, to ja to zrobię. Zamierzasz walczyć o niego, Tanielu?

Ka-poel gestykulowała szybko, gniewnie. Dwa Strzały przyglądała się jej, a potem przeniósł spojrzenie na Vlorę.

– Nie będziemy ci przeszkadzać. Wręcz przeciwnie: pomożemy ci go unicestwić.

Lady Krzemień odeszła natychmiast. Poleciała znosić baryłki prochu. Taniel i Ka-poel pograżyli się w swej specyficznej rozmowie. Styke nie wydawał się towarzysko usposobiony. Michel, zostawiony sam sobie, wędrował po polu bawełny to w jedną, to w drugą stronę, bez żadnego celu. Nad odległym Landfall nadal unosiły się dymy. Ciekawe, pomyślał, czy rozruchy w Ognistej Jamie wygasły. Taniel twierdził, że jego Palo wyłowili dynizyjskich agentów, a potem zagonili protestujących do gaszenia pożarów. Za dobrze to brzmiało, żeby było prawdą, ale za dobry jak na prawdziwy był też ten fakt, że dożył końca bitwy i nawet nieźle się miał.

Szedł powoli w stronę miasta. Czuł mdłości. Ileż śmierci z tak głupiego powodu, wielkiego kawałka kamienia, podobno boskiego. W myślach gratulował lady Krzemień rozwiązania problemu, a Ka-poel i Taniel niech się złoścą, jeśli chcą. Tyle lat służył im jako szpieg, a nadal nie wiedział, co zamierzają.

Nie, uświadomił sobie, jest jeszcze gorzej. W tej chwili nie znał nawet własnych celów. Wykonał misję, ujawniając przy tym swoją tożsamość. Według wszelkich szpiegowskich zasad powinien teraz rozplątać się, zapewne nawet zmienić kontynent. Ciekawe, czy mógłby użyć Platynowej Róży i korzystając z panującego chaosu, pobrać fortunę przed zniknięciem. Mama pewnie polubiłaby chłodniejszy klimat. Być może powtórzy drogę Taniela i lady Krzemień, tylko w przeciwną stronę? Popłynie do Adro?

– Panie...

Michel drgnął. Okazało się, że nie jest już sam. Obok niego stał Czarny Kapelusze, młoda kobieta w rozerwanej kurtce, ze Srebrną Różą na piersi. Chodziła o kuli.

– Panie... Melduje się agent Hendres.

Patrzył na nią przez kilka chwil niezbyt przytomnie, aż przypomniał sobie, że ciągle nosi na widoku Platynową Różę.

– A tak, hmm... doskonale. Co macie do zameldowania, agentko Hendres?

Tym razem milczała dziewczyna. Patrzyła zdziwiona to na niego, to na Landfall.

– Panie, ja nie mam nic do zameldowania. Chciałam zapytać. Słyszałam, jak lady Krzemień powiedziała jednemu ze swych podkomendnych, że lady kanclerz zostawiła Landfall na łasce Dynizyjczyków. Czy to prawda?

Michel westchnął, przeklął w myślach Vlorę i jej donośny głos, przywykły do wydawania rozkazów.

– Mam nadzieję, że nie – odparł, nie wiedząc, czy udało mu się ukryć, że bezwstydnie łże.

– Chodzi o to, co mówiłeś nam przed bitwą, panie. O przyjaciółach i rodzinie. Niewielu nas pozostało, ale ci, co zostali, chcieliby wrócić. Pomóc bliskim wydostać się z miasta.

– To na co czekacie? Po co przyszedłeś do mnie z tą gadką?

– Czekamy na dyspozycje, panie.

A prawda, Platynowa Róża! Michel odpiął medalion, zrobił zamach, chciał wyrzucić w pole bawełny, ale opanował się w ostatniej chwili i schował go do kieszeni.

– Nie mogę wydawać wam rozkazów – próbował tłumaczyć. – Powiedziałem tylko to, co musiało zostać wypowiedziane.

Hendres posmutniała. Opuściła wzrok na czubki swych butów, pokiwała głową z rezygnacją. W jej oczach pojawił się wyraz tak głębokiego rozczarowania, że Michelowi zaczęła przypominać matkę, patrzącą na niego z identycznym rozczarowaniem, nieświadomą, że tak naprawdę pracuje dla osiągnięcia celu, który ona sama uważała za szczytny.

Wyjął odznakę, uniósł w wyprostowanej ręce.

– Jeśli potrzebujesz rozkazów, to je dostaniesz. Zaprowadź ludzi do miasta. Niech odszukają rodziny. Jeśli chcą, mogą pomóc w jego odbudowie. Mogą też odejść. Nie wiem, czy Dynizyjczycy będą je

okupować, czy spalą, więc lepiej się pospieszcie. – Schował Platynową Różę, zaoferował dziewczynie ramię. Wsparła się na nim z wdzięcznością.

Oboje ruszyli w długą drogę powrotną.

Nieoczekiwanie za ich plecami rozległy się donośne okrzyki. Michel odwrócił się, spojrział na monolit. Odeszli już dość daleko, musiał wyteńczyć wzrok, żeby zobaczyć uciekających ludzi.

– Na ziemię! – syknął. Pomógł agentce przykucnąć.

Błysk eksplozji dotarł do nich wcześniej od huku i fali uderzeniowej. Ziemia zafalowała tak gwałtownie, że omal oboje się nie przewrócili. Boski kamień otaczała jaskrawa kula ognia, na ten widok Michel odczuł wielką satysfakcję. I to, jak w książkach, które tak lubiła czytać matka, był koniec. Jeszcze przez chwilę patrzył na chmurę dymu, a potem spojrział na Landfall.

– A ty, panie... co zamierzasz? – spytała Hendres.

Odpowiedź na to pytanie wymagała chwili namysłu.

– Zamierzam – postanowił – robić to, w czym jestem najlepszy. Najpierw odzyskam matkę i upewnię się, że jest bezpieczna, a potem dopilnuję, by Landfall trzymało się na powierzchni, czy cisza, czy sztorm.



## Epilog

**T**anielowi dzwoniło w uszach od wybuchu, mimo że wcześniej wsunął w nie kulki wosku. Patrzył, jak kula ognia przygasa, walczył z bólem głowy, wywołanym koniecznością kontrolowania tak potężnej eksplozji. Oboje, on i Vlora, użyli swojej magii do kontroli detonacji niemal stu baryłek i skierowania całej jej siły w głąb monolitu.

W ten sposób mogliby zniszczyć pomniejsze miasto.

– Nie udało się – powiedział głośno. Wydłubał wosk z uszu.

– Bardzo celne spostrzeżenie – zauważyła Vlora kwaśno. Obie wraz z Ka-poel też pozbyły się zatyczek, po czym cała trójka podeszła do monolitu, brnąc w popiele spalonej trawy i kawałkach drewna wielkości zapałki, ostatnich pamiątek po lądowej barce. Wybuch pokrył boski kamień czernią, skutecznie oczyszczając go przy tym z resztek ziemi w zadrapaniach i wgłębieniach, ale poza tym nie zostawił nawet najmniejszego śladu. Ka-poel przesunęła dłoń po antycznych runach. Z dezaprobatą pokręciła głową. Nic.

– Taka eksplozja powinna roztrzaskać to coś na kawałki – orzekła Vlora. – A co najmniej wywołać pęknięcie.

Dwa Strzały przeszedł wzdłuż obelisku tam i z powrotem. Wytężał zmysły, bardziej niż kiedykolwiek żałował, że nie ma daru czytania Nieświata, jak Ka-poel. Byle Uprzywilejowany przydałby się im bardziej od niego czy Vlory, a jego towarzyszka uczyła się takich rzeczy z marszu. Nie bardzo wierzył nawet w świadectwo swych zmysłów. Poza tym wcale nie podobało mu się, jak odczuwa monolit w Nieświecie. Wywoływał swędzenie pod powiekami i takie wrażenie, jakby po kręgosłupie biegały mu pająki. Wiele widział dziwnych rzeczy na tym świecie – na otchłań, zabił nawet dwóch bogów! – ale od boskiego kamienia cierpła mu skóra, chociaż nie ścierpła, gdy stanął twarzą w twarz z samym Kresimirem.

– Nie pozwolę, żebyś go sobie przywłaszczył – powiedziała Vlora z naciskiem.

Uniósł ręce, jakby się poddawał.

– Bardzo jasno dałaś do zrozumienia, czego chcesz, ale Dynizyjczycy są już w drodze, więc jeśli masz jakiś pomysł... – Nie skończył zdania. Spojrzał na Ka-poel, zamyśloną, podpierającą brodę rękami i mocno zaciskającą wargi.

Palo zasygnalizowała gestem: „Chyba coś mam”.

– Potrafisz go zniszczyć?

„Nie. Za długo by to trwało. Ale jest inna możliwość”.

Wyjaśniła swój plan. Taniel kiwnął głową. Zgadzał się z dziewczyną.

– Ka-poel chce spróbować czegoś innego – powiedział do Vlory. – Boski kamień ma ochronę, jakiej nikt z nas jeszcze nie widział. Brutalna siła niczego nie załatwi. Tyle prochu, a po wybuchu nie ma nawet wgniecenia.

– To czego chcecie spróbować teraz? – spytała Vlora podejrzliwie. Taniela irytowała ta jej wieczna nieufność, ale musiał przyznać, że akurat ona ma do niej prawo. On sam zgadzał się z Lindet... do pewnego stopnia. Boski kamień należy zachować i badać, problem w tym, że i Lindet, i Dynizyjczycy nie ograniczyliby się do prac naukowych. W odróżnieniu od Vlory miał natomiast pewność, że jego żona by się ograniczyła.

Ka-poel nie odpowiedziała Vlorze. Wyjęła nóż z torby, którą nosiła na ramieniu, jego ostrzem narysowała na ziemi cienką linię. Szła tyłem, żłobiąc grunt, aż obeszła w ten sposób cały monolit. Vlora przyglądała się temu z zaciśniętymi wargami.

– Czy to coś, co może mnie zabić? – spytała.

– Kiedy Ka-poel pracuje, to najczęściej nad czymś, co przede wszystkim może zabić ją. – Taniel miał tylko nadzieję, że w jego głosie nie słyhać strachu. Zdawało mu się, że rozumie, co Ka-poel chce osiągnąć, chociaż mimo jedenastu lat bliskiej znajomości bezustannie go zaskakiwała. Magia krwi była bardziej sztuką niż nauką, nie mógł obronić się przed wrażeniem, że jego żona pisze własne zasady jej użycia.

Ka-poel tymczasem zamknęła krąg wyżłobiony wokół obelisku, cofnęła się o krok, potem drugi. Gestem kazała Tanielowi i Vlorze stanąć za sobą. Vlora prychnęła niecierpliwie, ale wypełniła polecenie.

– Co ona wyrabia? – spytała.

– Nie mam pojęcia – przyznał Taniel uczciwie.

Minęła długa chwila, nim Vlora doznała dziwnego wrażenia, że ziemia porusza się pod jej stopami. Najpierw to ignorowała, a potem zorientowała się, że to nie grunt, że coś porusza się między krzaczkami bawełny. Spojrzała w dół i włosy stanęły jej dęba.

Po ziemi rozlewała się kałuża krwi. Nie wsiąkała w nią, tylko rozplątywała się jak czerwony atrament po jakiejś nieprzepuszczalnej powierzchni i zbliżała do boskiego kamienia gęsta, czarna, niosąca ze sobą smród gnijących trupów. Vlora przegapiła moment, kiedy ta rzeka dosięgła monolitu i zaczęła wspinać się po jego bokach, a gdy to zauważyła, aż westchnęła ze zdumienia.

A krew nie przestawała płynąć. W tę ziemię wsiąkło jej przecież bardzo wiele. Poruszała ją wola jednej drobnej kobiety.

– Często tak robi? – spytała wyprowadzona z równowagi Vlora.

– Nigdy niczego takiego nie widziałem.

Już wkrótce cały kamień pokryty był grubą warstwą ciemnego śluzu. Trwał tak przez chwilę, po czym krew odpłynęła z wolna, jak

woda spływa rurą kanalizacyjną. Nawet Taniel dopiero po chwili zrozumiał, że wsiąkała w monolit.

– Nigdy nie widziałam niczego tak straszego – przyznała wstrząśnięta Vlorą.

Taniel przyglądał się Ka-poel, zadając sobie pytanie, co też dzieje się w jej głowie. Nawet w najlepsze dni jego żona potrafiła być tak skryta, że nie do rozszyfrowania. Nikt jej nie rozumiał, nie do końca. Ale przecież kochał ją właśnie taką, chodzącą tajemnicę.

Ka-poel westchnęła. Zatoczyła się, Dwa Strzały podbiegł, podparł dziewczynę ramieniem, powstrzymując przed upadkiem. Wydała mu się taka krucha, drobna i słaba. Ktoś nazwał kiedyś Ka-poel spodeczkiem wypełnionym prochem, czymś jednocześnie potężnym i delikatnym, to był jej doskonały opis.

– Jutro musisz odpocząć – powiedział.

Ka-poel tylko skinęła głową. Była bardzo słaba.

– Co ona zrobiła? – Vlorą podeszła do boskiego kamienia, położyła na nim dłoń.

Taniel wyteżył zmysły. Nie wyczuwał już magii w monolicie, nie słyszał w głowie jego groźnego szeptu, teraz to rzeczywiście był kawał martwego kamienia. Jego żona przemówiła gestami.

– Zamknęła go – przetłumaczył. – Magia nadal tam jest, w środku, ale... – Ka-poel powtórzyła kilka ruchów. – Użyła krwi zmarłych do budowy bariery. Kościane Oczy Dynizyjczyków zdołają ją zneutralizować, ale nie od razu. – Roześmiał się nagle, bezczelna pewność siebie Ka-poel nie przestawała go bawić. – Twierdzi, że jest potężniejsza od każdego z nich. Mówi, że rzuciła im poważne wyzwanie.

– Więc mamy czas – powiedziała Vlorą.

– To wszystko, co udało się osiągnąć.

Vlorą niecierpliwie spacerowała tam i z powrotem. Taniel miał nadzieję, że zrozumiała. Ka-poel była groźna, ale nie wszechmocna i nieomylna. Jeśli powiedziała, że nie potrafi zniszczyć obelisku, można było jej wierzyć.

– Ile czasu? – spytała nerwowo.



Palo tylko wzruszyła ramionami.

– Miesiące? – zaryzykował odpowiedź Taniel. – Lata? Kto wie? Wszystko zależy od sprytu Ka-sediała.

Było jasne, że Vlora ta odpowiedź bynajmniej nie ucieszyła. Nie komentowała jej jednak, tylko podeszła do stojącej na uboczu grupy swych oficerów. Zamieniła z nimi kilka słów i wróciła, bardzo poważna.

– Załatwione – oznajmiła.

– Ale co? – zdziwił się Taniel.

– Zarządziłam ewakuację miasta.

– Och!

Vlora zamknęła oczy. Czy Tanielowi tylko się wydawało, czy też dostrzegł w nich łzy?

– Dlaczego – spytała szeptem – czuję się tak, jakbym poniosła klęskę?

– Nie ma mowy o klęsce.

– Doprawdy?

– Oczywiście. Gdyby nie ty i Strzelcy Wyborowi, boski kamień byłby już w rękach Dynizyjczyków. Dysponowaliby narzędziem do tworzenia potworów.

– Dostaną je. Opuszczamy miasto. Wycofujemy się. Nie obronię Landfall bez pomocy Lindet, a Lindet chce mojej głowy. Dynizyjczycy dostaną to, po co tu przyszli.

– Wrócimy – powiedział Taniel z przekonaniem. Miał nadzieję, że jego pewność jest usprawiedliwiona. Od niego zależała teraz przyszłość kontynentu. – Nie od razu, to prawda, ale dam ci armię Palo wystarczającą na Dynizyjczyków.

– A co z Lindet?

– Zajmiemy się nią we właściwym czasie. Pilniejszym problemem są pozostałe dwa boskie kamienie.

– Co?! – Vlora aż jęknęła ze zdumienia.

Taniel czuł zmęczenie tak wielkie jak jeszcze nigdy od śmierci ojca. Lecz także czuł się dobrze. Właśnie zrobili pierwszy krok na drodze, którą wyznaczyli sobie z Ka-poel przed blisko dziesięciu laty.

Rozejrzał się, dostrzegł, że kilku strzelców wyborowych przygląda się jemu i jego żonie podejrzliwie, jakby domyślali się, z kim mają do czynienia. Niewiele go to obeszło. Odzyskał wolność, mógł wrócić do świata pod własnym nazwiskiem.

– Są jeszcze dwa boskie kamienie. – Wyprostował dwa palce. – Nie obawiaj się, Vloro, prawdopodobnie Lindet już wie, gdzie ich szukać. Musimy tylko dotrzeć na miejsce przed nią.



Koniec tomu pierwszego

# PODZIĘKOWANIA

*Nie mogę się nachwalić redaktorki, Devi Pillai, i kierunku, jaki nadaje moim książkom. Szczególnie cierpliwa była dla tej, która bez jej zdolności do wydobywania ze mnie tego, co najlepsze, byłaby dziesięć razy gorsza. Zwyczajowe podziękowania składam mojej agentce, Caitlin Blasdel, przyjmującej na siebie ciosy, gdy się spóźniam, i dodającej mi odwagi, gdy najbardziej jej potrzebuję.*

*Dziękuję żonie, Michele, za to, że czytała brudnopisy tej książki do samego rana, czym bardzo pomogła mi ją ukończyć. Jej rady są nieocenioną częścią mojego pisarstwa.*

*Specjalne podziękowania należą się moim beta-czytelnikom: Davidowi Wohltreichowi, Peterowi Keepowi, Markowi Lindbergowi i Justinowi Landonowi. Dobry beta-czytelnik bywa bohaterem procesu wydawniczego, także mojego, choć zazwyczaj pozostaje nieznanym.*

*Największe podziękowania kieruję do zespołu wydawnictwa Orbit, w tym (lecz nie wyłącznie) Lauren Panepinto, Jamesa Longa, Alexa Lencickiego, Ellen Wright i Laury Fitzgerald. To zespół wyjął mi z głowy wszystkie te historie i postawił je na księgarskich półkach. Nic by z tego nie wyszło, gdyby zespół nie wykonywał aż tak dobrej roboty, fakt często pomijany przez fanów tych książek.*

*I oczywiście dziękuję tym, którzy je czytają. Jesteście fanami, o jakich pisarze marzą. Moje szczęście, że mam miejsce na waszych półkach, i mam nadzieję, że staną tam także wszystkie następne.*





foto @ Kevin Kempton



# BRIAN McCLELLAN

Mieszka w Cleveland, Ohio z żoną, dwoma psami i kotem. Posiada też od 6000 do 60 000 pszczół miodnych (w zależności od pory roku). Jest zapalonym graczem gier wideo i czytelnikiem epickich powieści historycznych. Jego hobby to robienie domowych dżemów z jagód i pielęgnacja pszczół w ich przytulnych ulach.

Zachęcony do pisania przez rodziców, zaczął od opowiadań i nowel jako starszy nastolatek. Po pierwszych sukcesach zapisał się na kurs na kreatywnego pisania na Uniwersytecie Brigham Younga. To tu poznał Brandona Sandersona, który wspomógł wysiłki Briana w spisywaniu znaków, jak dziś uważa, bardziej, niż powinien. W listopadzie 2011 *Obietnica krwi* i dwa sequele zostały sprzedane na aukcji w Orbit Books. Od tego momentu zaczęła się międzynarodowa kariera McClellana i rosnące grono zachwyconych czytelników.



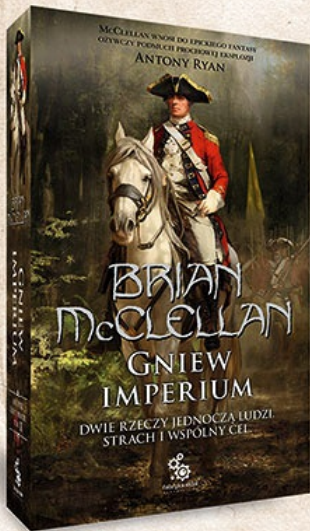
## OPOWIEŚCI ZE ŚWIATA MAGÓW PROCHOWYCH



Ta książka jest po prostu obłędna. Nowe podejście do magii, szybka akcja, ciekawy świat. Świetna zabawa!

Brandon Sanderson

## BOGOWIE KRWI I PROCHU (w przygotowaniu)



Mocną stroną McClellana jest budowanie napięcia i intryg za pomocą przyspieszania akcji i przeplatania licznych wątków. Jak on umie opowiadać!

Mark Lawrence





TRYLOGIA  
MAGÓW PROCHOWYCH



Proch i magia. Wybuchowa mieszanka.  
„Obietnica krwi” jest najlepszym debiutem,  
jaki czytałem od lat.

Peter V. Brett

Gra o coraz wyższe stawki i magia: mnóstwo  
magii!!! Brian McClellan to prawdziwy  
mistrz!

Brent Weeks



BOGOWIE KRWI I PROCHU  
TOM I • GRZECHY IMPERIUM

NOWY, STWORZONY Z ROZMACHEM,  
EPICKI CYKL FANTASY  
BRIANA McCLELLANA.

ŚWIAT, W KTÓRYM ŚCIERAJĄ SIĘ MAGIA I PROCH.

Fatrasta jest pograniczem rządzonej przez gwałt i przemoc. Jego mieszkańcy dopiero staną się narodem, złożonym z przestępców, biedaków szukających szczęścia, odważnych osadników i magów tropiących zabytki przeszłości. Tylko żelazna wola lady kanclerz (i jej tajna policja) jest w stanie utrzymać pozory porządku w stolicy. Pod powierzchnią spokoju tli się jednak nieustannie płomyk rewolty.

Jedyną obroną przed powstaniem jest przebiegłość i siła. Przebiegłość szpiega Michela Bravisa, siła szalonego bohatera wojennego Bena Styke'a i generał Vlory zwanej Krzemień, dowódcy najemników, o przeszłości równie burzliwej jak nastroje w stolicy.


Ale przeszłość prześladowuje nas wszystkich... Czy lojalność wytrzyma próbę czasu? Oto z okowów wyzwolony zostaje upiór stary jak świat. Mieszkańcy Landfall szybko przekonają się, że rewolta to najmniejszy z ich problemów.




fabryka słów®  
WYDAWACTWO

[fabrykaslow.com.pl](http://fabrykaslow.com.pl)



 /fabryka

 /fabrykaslow

